

J. T. ELLISON

WIEZY
&
KRWI

Każdy ma swoją mroczną stronę

Skomplikowane relacje rodzinne, trudne wybory i mroczne sekrety wychodzące na jaw w dramatycznych okolicznościach. Ta książka jest niczym emocjonujący zjazd czarną trasą narciarską. Mocna rzecz!

Joanna Wójciak
@zupa.czyta

Kłamstwa, półprawdy, sekrety to tylko niektóre elementy historii stworzonej przez J.T. Ellison, które nadają jej pikanterii i dynamiczności. Ten thriller czyta się z zapartym tchem, przedzierając się przez skomplikowane rodzinne emocje, aby tylko poznać prawdę...

Paula Sieczko
@ruderecenzuje

Początkowe rozdziały nie zapowiadają tego, jak mroczne i destrukcyjne zakamarki ludzkiej psychiki będzie dane nam zgłębić. To mocna, momentami przerażająca historia, która mogła wydarzyć się naprawdę.

Natalia Miśkowiec
@prostymislowami

Więzy krwi przypominają rozpędzoną lawinę złożoną ze stopniowo wypływających na wierzch mrocznych kłamstw i rodzinnych tajemnic, która zmierza ku spektakularnemu finałowi. To historia ukazująca, że czasami prawdziwe potwory żyją tuż obok nas – poczujcie na własnej skórze ten zimny oddech obłędu, pozostanie z Wami na długo!

Weronika Trzęsień
@ver.reads

Powieść J.T. Ellison pokazuje, że życie jest niczym układanka z kostek domina. Czasem wystarczy lekko naruszyć jeden element, żeby wszystko, co do tej pory się osiągnęło, w jednym momencie przestało istnieć. *Więzy krwi* to historia, która intryguje, wzbudza niepokój, by na końcu dać nadzieję. Z całą pewnością jest to doskonała lektura na nadchodzącą jesień.

Katarzyna Cupak
@katka_reads26

Misternie utkana intryga, skrywane latami przerażające sekrety, które miały nigdy nie wyjść na jaw, i historia pełna nieprzewidywalnych zwrotów akcji.

J.T. Ellison zagłębia w najmroczniejsze zakamarki ludzkiej natury, dostarczając czytelnikowi rozrywki na najwyższym poziomie, a przy tym nie stroni od trudnej i ważnej tematyki, która zmusza do głębszej refleksji. Polecam!

Gabriela Setla
@gabriela_setla_

Niepokojący i pełen tajemnic thriller! Wywołuje w czytelniku różne doznania: od naturalnej potrzeby wzruszenia, poprzez szokującą wręcz konsternację, aż po realne poczucie zagrożenia. Ta historia zdumiewa i zatrważa, panoszy się w wyobraźni, akcentując smak toksycznych zachowań i wskazując na oczywistą prawdę: krew nie kłamie.

Milka Kołakowska
@mozaikaliteracka

Więzy krwi zachwyca Was szybkim tempem i zaskakującymi zwrotami akcji. Tajemnice, które wychodzą na jaw, tworzą mistrzowsko wręcz utkaną sieć kłamstw. J.T. Ellison napisała znakomity, nieodkładalny thriller – absolutny must-read tej jesieni!

Katarzyna Lewandowicz
@herbatkowa.czyta

Książki takie jak ta przypominają mi, za co kocham thrillery. Dla książki takiej jak ta warto zarwać noc. Pełna mroku i napięcia historia o życiu budowanym na kłamstwach. Pamiętajcie tylko, aby nie ufać nikomu – absolutnie nikomu.

Marta Sarnecka
@bookholiczka_poleca

Więzy krwi to złożona powieść o życiu zbudowanym na kłamstwie i sekretach. Fenomenalna historia, na podstawie której mógłby powstać świetny film czy serial. Dla mnie to gatunkowy must-read.

Pamela Olejniczak
@polish.bookstore

J.T. ELLISON

WIĘZY
&
KRWI

Tytuł oryginału: ***Tear Me Apart***

Redakcja: *Dorota Kielczyk*

Projekt okładki: *Karolina Michałowska*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska, Renata Kuk*

© 2018 by J.T. Ellison

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2022

© for the Polish translation by Aldona Możdżyńska

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana. Wydanie za zgodą Harlequin Books S.A.

Ta książka jest fikcją literacką.

Ewentualne podobieństwo do osób, miejsc, zdarzeń i okoliczności jest przypadkowe.

ISBN 978-83-287-2425-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2022

Margaret Marbury i Nicole Brebner
za to, że pomogły mi dotrzeć do mrocznych zakamarków
w psychice człowieka.

I jak zawsze Randy'emu,
który mnie przed tym mrokiem chroni.

„Człowiek najmniej jest sobą,
gdy mówi we własnym imieniu.
Daj mu maskę, a powie ci prawdę”.

OSCAR WILDE

Spis treści

PROLOG

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

CZĘŚĆ DRUGA

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

CZĘŚĆ TRZECIA

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

88

89

90

91

92

93

94

95

96

EPILOG

Od autorki

Podziękowania

PROLOG

**SZPITAL UNIWERSYTECKI
NASHVILLE, TENNESSEE
1993**

VIVIAN

Bardzo wyraźnie pamiętam dzień, w którym przyjechała. Jakie zrządzenie losu ją do mnie przywiodło? Zastanawiałam się nad tym wiele lat. Gdybym tylko skręciła w prawo, nie w lewo, gdybym w szpitalu poszła schodami, zamiast pojechać windą, albo gdybym przed śmiercią ojca na ostatni wspólny posiłek zamówiła kurczaka, nie stek... Wówczas, zgodnie z teorią chaosu – efektem motyla – moje życie zmieniłoby się na tyle, że ona by się w nim nie pojawiła. Ja jednak skręciłam w lewo, pojechałam windą i zamówiłam stek, ona natomiast się pojawiła i na zawsze mną zawładnęła.

To moje ósme wtorkowe tetrazzini z indyka. Rozgrzebuję jedzenie na talerzu, nie jestem głodna. Mdli mnie od leków, nie mam apetytu, zresztą kolacja jest o piątej, już za parę godzin. Wtedy coś zjem, jeżeli poczuję się lepiej.

Inni ze smakiem pochłaniają tę szarą breję. Im wszystko jedno, co dostają. Połowie ślina cieknie na talerz, druga połowa obserwuje podróż zielonych ludzików przez morze sosu albo zdejmuje z bułek srebrną folię i robi z niej kwiatki, które potem wiesza na łóżku, żeby odstraszyć rządowych szpiegów. Krótko mówiąc, nie mam z nimi nic wspólnego. Nie postawiono mi żadnej interesującej diagnozy. Nie popełniłam żadnego przestępstwa. Po prostu depresja. Myśli samobójcze i trzy próby odebrania sobie życia. Tak, to ciężki przypadek.

Wracam do siebie, po drodze zerkając przez otwarte drzwi innych sal. Niekiedy pacjenci zostawiają na wierzchu coś fajnego. Czasopisma. Sznurek. Karty. Nie jestem wybredna, może być cokolwiek, byle przerwać nudę. Niestety dziś nie mam szczęścia. Wszędzie panuje idealny porządek. Łóżka są zasłane, ręczniki wiszą równiutko, cały oddział pachnie sosnowym środkiem czyszczącym. Salowe były bardzo skrupulatne. Zabrały wszystko, co mogło mieć jakąkolwiek wartość.

Przerywam rekonesans i kieruję się do kanciapy na fajkę. Cztery razy dziennie wolno mi zapalić w tej malutkiej pakamerze dwa na dwa metry przy tylnych schodach. Widzę z niej niebo. Krata na górze zamknięta jest na ogromną mosiężną kłódkę. Gdybym mogła ją otworzyć, odzyskałabym wolność, wyszła na parking i po prostu ruszyłabym w świat. Czasami się zastanawiam, czy możliwość zapalenia sobie jest tego warta. Tak pewnie czują się krowy, które codziennie są zaganiane na ogrodzone pastwisko i nie mogą się z niego ruszyć.

Moja sala, 8A, jest całkowicie biała. Biała jak tygodniowy śnieg, biała nie taką bielą, która jest czysta i świeża, lecz przybrudzona, szpitalna. Nigdzie indziej nie znajdzie się takiego odcienia. Białe ściany, biała pościel, białe linoleum. Białe szpitalne koszule. Białe kaftany z długimi rękawami i lśniącymi srebrnymi klamrami – dla niegrzecznych.

W każdej sali zwykle stoją dwa łóżka, ale ja od miesiąca – odkąd moja ostatnia współlokatorka została wypisana do domu – mieszkam tu sama. Nienawidzę jej za to, że stąd wyszła, a jednocześnie rozkoszuję się ciszą w przestrzeni, którą mam na wyłączność. Przedtem zawsze bałam się być sama. Nie znosiłam ciemności i jej upiornego piękna. Teraz łaknę jej prostoty, pustki i odosobnienia. Już nie mam siły się bać.

Staję w drzwiach. Ktoś jest w mojej sali.

Jej świeżo umyte ciemne włosy spływają kaskadą na plecy. Jedzie od niej tym nieznośnie czystym zapachem szamponu Johnson's Baby. Tutaj każdy nowy go dostaje w plastikowym kubelku z wyprawką „na powitanie”.

Dziewczyna siedzi na łóżku z głową przechyloną na bok, tyłem do drzwi. Wygląda przez malutkie okno, przesłonięte drucianą siatką. Gapi się na parking – smętny plac pokryty szarym asfaltem – po którym nieustannie

krażą samochody. Dziwna odmiana tortury, ten posmak wolności, jaki nam tu dają. Jesteśmy jak rybki w akwarium. Widzimy resztę świata, niezainteresowanych nami ludzi wiodących nieinteresujące życie.

To wtargnięcie w moją przestrzeń osobistą rozwściecza mnie, więc wypadam z powrotem na korytarz i maszeruję do dyżurki pielęgniarek. Zastaję tam akurat siostrę oddziałową Eleanor Snow. Nazywamy ją Suka, bo zachowuje się jak suka. Kto powiedział, że musimy być oryginalni?

Suka spokojnie wypełnia formularz przyjęcia pacjenta. Pewnie mojej współlokatorki. Spokój oddziałowej wkurza mnie już na maksa. Nie rozumiem, jak można być tak spokojnym. Mój umysł, który nigdy nie cichnie, nie pozwoliłby mi siedzieć i z uśmiechem wypełniać formularze.

– Kto jest w mojej sali? – warczę.

– Twoja nowa koleżanka. Proponuję, żebyś poszła się z nią przywitać. I trzymaj ręce przy sobie. Chyba nie chcesz, żebym znowu obcięła ci paznokcie?

Wstrząsa mną dreszcz. Nie chcę, dobrze o tym wie.

– Nikt nie spytał mnie o zgodę.

– Nie musimy o nic cię pytać. A teraz sio. Mam kupę roboty. I zjedz obiad, bo inaczej powiem doktorowi Freemanowi, że się głodzisz.

– To jeszcze koniecznie dodaj, że od jego prochów chce mi się rzygać.

Jak burza wypadam z dyżurki. Jedzenie to jedyna rzecz, którą kontroluję. Wszyscy tutaj każą mi brać leki, mówią, kiedy mam spać, brać prysznic i srać, muszę siedzieć w kółku ze śliniącymi się idiotami i opowiadać swoją historię. „Kochanie, czujesz się o wiele lepiej, kiedy to z siebie wyrzucisz”. Nie. Nie!

Pieprzyć przerwę na papierosa. Wracam do sali 8A. Dziewczyna tkwi w tym samym miejscu, z głową identycznie przechyloną na bok. Długie ręce trzyma po bokach. Wygląda to tak, jakby ją podpierały, osadzały w rzeczywistości.

Chrząkam, ale się nie odwraca. Staję przed oknem i pochylam się nad nią, żeby w końcu na mnie spojrzała. Pstrykam palcami tuż przed jej nosem, ani drgnie.

Aha.

Nie trzeba być specjalistą od głowy, żeby zrozumieć przyczynę jej milczenia i bezruchu. Ma spotkanie z Królem Thorem. Torazyną, dla niewtajemniczonych. To silny lek antypsychotyczny, którego lekarze w psychiatrykach nadużywają, żeby spacyfikować pacjentów awanturujących się, nadpobudliwych czy w inny sposób odmawiających współpracy.

Spotkań z Królem nie cierpię jeszcze bardziej niż obcinania paznokci przez Suke, więc daję nowej spokój. Zaczynam grzebać w jej rzeczach. Na dnie torby na pranie znajduję trochę zwykłych ciuchów. Dziewczyna ma na sobie rozciągnięte spodnie od dresu i bluzę, tak jak ja teraz, bo moje rzeczy poszły do pralni. Poza tym jest jeszcze parę artykułów toaletowych: szpitalna szczoteczka i pasta do zębów, grzebień. Nie przyszła tu na własne życzenie.

Dobrowolna hospitalizacja jest wtedy, kiedy pacjent zgadza się spędzić jakiś czas w szpitalu, żeby lekarze zrobili mu bajzel w głowie. Teoretycznie ja jestem tu z własnej woli, dlatego mam więcej przywilejów niż inni. Wylądowałam w tym miejscu ponad dwa miesiące temu i jestem już gotowa stąd spierdalać. Niestety podczas przyjmowania na oddział nikt ci nie mówi, że chociaż wchodzisz, kiedy chcesz, to nie możesz wyjść w dowolnym momencie. O nie. Decyzja należy do nich, do doktora Świroida, Suki i „zespołu terapeutycznego”.

Skurwiele.

Szybko przeszukuję różne zakamarki sali i przekonuję się, że nowa ma tylko to, w czym jest teraz, i ciuchy w torbie. Ciekawe. Przymusowo hospitalizowana pacjentka może stanowić miłą odmianę. A nuż, kiedy wróci ze spotkania z Królem, okaże się, że jest mamroczącą, śliniacą się idiotką albo jedną z tych, którzy wierzą w cudowne właściwości kwiatków ze srebrnej folii, niedoszłą samobójczynią lub nawet przestępcą. Wszyscy jesteśmy tu przemieszani – pacjenci stali i tymczasowi, osoby, które rzeczywiście są chore psychicznie, i te przysłane przez sąd na obserwację psychiatryczną – one są fascynującymi rozmówcami. Gruby biały bandaż na ręce współlokatorki opowiada mi część historii. Ktoś tu był niegrzeczny. Już ją lubię.

Biorę jej grzebień. W moim brakuje kilku zębów. Przydałaby mi się szczotka – mam zbyt gęste włosy na taki mały kawałek badziewnego plastiku – ale niewybrakowany grzebień jest lepszy od tego szczerbatego. Podmieniam je i zaczynam rozczesywać jedno pasmo po drugim.

Nadal siedząc kompletnie nieruchomo, głosem niskim, melodyjnym i ostrym jak tysiąc żyletek, dziewczyna mówi:

– Jak jeszcze raz dotkniesz moich rzeczy, to cię zabiję.

– Jasne.

Czeszę się dalej. Nowa się odwraca; gdy podnoszę wzrok, ogarnia mnie lęk. Nienawiść w jej oczach jest tak intensywna, jakby laska była demonem prosto z piekła. Włosy okalają jej twarz niczym czarna chmura burzowa i dosłownie czuję zapach powietrza po uderzeniu pioruna. Robię krok do tyłu, rzucam grzebień na jej łóżko.

Wtedy uśmiecha się i odwraca z powrotem do okna.

**CZĘŚĆ
PIERWSZA**

**VAIL, KOLORADO
PUCHAR ŚWIATA W NARCIARSTWIE ALPEJSKIM
4 STYCZNIA 2018**

– Do zjazdu przygotowuje się zeszłoroczna mistrzyni juniorów w slalomie, Mindy Wright.

Kiedy Mindy słyszy, jak wywołują jej nazwisko, przez chwilę czuje serce w gardle. Wie, o czym teraz mówią w budce startowej. O jej przeskoku do seniorów. Rok temu zwyciężyła w mistrzostwach świata juniorów w trzech kategoriach i w klasyfikacji generalnej. Jest nadzwyczajna. Wyjątkowa. Już teraz, zaledwie po roku wśród seniorów, totalnie wymiata. Porównuje się ją do jej idolek, Lindsey Vonn i Mikaeli Shiffrin. Niektórzy spekulują, że w tym finale może pobić rekord i zostać nową najmłodszą mistrzynią w narciarstwie alpejskim. Rozmawiają o jej rodzicach, ich poświęceniu, jej zaangażowaniu i wyczerpujących treningach, które znosiła bez słowa skargi, zawsze z uśmiechem na twarzy. Z pogodą ducha. Mówią o niej „pogodna dziewczyna”.

Za niecałe dwie minuty ta pogodna dziewczyna zostanie najszybszą na świecie zawodniczką w narciarstwie zjazdowym. Jak wtedy będą ją nazywać?

Mindy czuje energię w powietrzu, wręcz namacalne napięcie. Ma duże szanse, dobrze o tym wie. Podczas zjazdu treningowego pokonała trasę w rekordowym tempie. Teraz też da czadu. Ta góra należy do niej.

Wszyscy chcą, żeby wygrała w tych zawodach i zdobyła puchar. Zresztą co tam puchar. Jeżeli uzyska odpowiednią liczbę punktów, automatycznie zakwalifikuje się do reprezentacji olimpijskiej Stanów Zjednoczonych. Na luzie.

Ta myśl powoduje mały wyrzut adrenaliny do krwi, dodaje mocy. Jakieś dziesięć minut wcześniej zaczął padać obfity śnieg. Słyszała, jak

organizatorzy rozważają, czy nie lepiej zatrzymać narciarzy na górze, dopóki śnieżyca nie ustąpi, ale teraz z ich trzeszczących krótkofalówek płyną zapewnienia, że sypie tylko na szczycie, a po pierwszym zakręcie widoczność się poprawia.

Mindy przygotowuje się, wyobraża sobie tor, balans ciałem. Po raz ostatni w myślach pokonuje trasę.

Brzęczyk przywołuje ją do rzeczywistości. Nie słysząc skandowania ani żadnych okrzyków, kiedy Mindy zajmuje miejsce w budce startowej. Od tłumów kibiców u stóp zbiega dzieli ją niespełna półtorej minuty jazdy. Tutaj otaczają ją trenerzy, organizatorzy i inni zawodnicy. Nie jest to przyjazne miejsce.

Śnieg pada gęsto. To nie łagodne podmuchy, lecz jednolita ściana bieli, utworzona ze zbitych ze sobą płatków. Upiorna cisza i samotność wywołują jeszcze mocniejsze bicie serca. Mindy często tak się czuje tuż przed zjazdem. Łup, sama. Łup, sama. Łup, sama. Dobrze. To jej pomaga.

Poprawia gogle, żeby jak najlepiej ochronić oczy przed oślepiającą bielą; uderza nartami w zamarznięty śnieg, wbija kijki, sprawdza, czy jej stopy są dobrze osadzone w butach, a te mocno przypięte do nart. W odpowiedzi na to śnieg zaczyna zacinać jeszcze szybciej. Z tego miejsca nad budką startową kompletnie nie widać pierwszego odcinka toru. Dziewczyna musi wierzyć, że nie posłaliby jej na dół, gdyby to było zbyt niebezpieczne, że relacje o lepszej widoczności po pierwszym zakręcie są prawdziwe. Tak czy siak, Mindy zna tę trasę jak własną kieszeń. Ścigała się na niej wiele razy. Ze względu na paskudną pogodę to dobrze, że zawody odbywają się w Vail. To jej daje przewagę.

„Mindy, czadu!”

To głos jej mamy, odległy, jakby z zaświatów. Powtarza się to przed każdym zjazdem, co dziwne, bo rodzice czekają tam na dole, aż zatrzyma się przed nimi i energicznie potrząśnie dłonią zaciśniętą w pięść na znak triumfu.

Raz powiedziała mamie, jakie to fajne, że słyszy jej doping, kiedy stoi samotna na górze. Stało się to jej talizmanem, amuletem na szczęście. Mama uśmiecha się z lekkim zdziwieniem, przygląda włosy i mówi: „Zawsze jestem z tobą. Choćby nie wiadomo co”.

Nie pierwszy raz Mindy żałuje, że mama nie mogła wjechać z nią wyciągiem na górę. Potrafi ją sobie dokładnie wyobrazić: ascetycznie piękna, milcząca, z zaciśniętymi wargami. Spod czerwonej czapki w gwiazdki wysuwają się jasne, rozwichrzone włosy. Mocno ściska dłoń córki. To zabronione, ale byłoby miło. A może jednak nie. Mindy czasami się zastanawia, czy przed finałowym zjazdem mama denerwuje się jeszcze bardziej niż ona. Nie chciałaby, żeby ta negatywna energia sączyła się w jej psychikę.

No dalej, dalej.

W końcu starter daje znak. Już czas. Mindy znowu tupie nartami w zbite, nieco grudkowate podłoże. Śnieg pada teraz tak gęsto, że dziewczyna ledwo widzi tor przed sobą. Ale wie, że on tam jest: długa, niewidoczna linia prowadząca od czubków nart w dół. Nie namyślając się dłużej, wychyla się do przodu, ku zbocz, i czuje na goleniach twardą belkę startową. Znowu ustawia kijki. Robi głęboki wdech. Słyszy głos trenera: „Zobacz to. Zobacz, jak wygrywasz”.

Po trzecim sygnale wypada z budki, mocno odpycha się kijkami, błyskawicznie nabiera prędkości. Robi głęboki przechył w lewo – gładko pokonuje pierwszy zakręt. Narty grzechocząc, pędzą po zamarzniętym śniegu. Jak dobrze, jak dobrze. Przyciska kijki do boków i daje się ponieść przez pierwszy płaski odcinek. Niebo rzeczywiście się przejaśnia. W końcu widać niebieskie linie na śniegu, które wytyczają trasę. Po drugim zakręcie mocno przyśpiesza. Wpada w uniesienie, kiedy dochodzi do stu trzydziestu pięciu, stu czterdziestu i wreszcie stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Jest rakieta, gepardem, najszybszą dziewczyną na świecie.

Lewo, prawo, lewo, prawo, kijki niemal przyklejone do boków, wzbija się nad muldą, ręce lekko odrywają się od tułowia, ale zachowuje idealną pozycję, ma całkowitą kontrolę nad ciałem. Szybciej, szybciej, dosłownie frunie w dół. Mijając grupy kibiców, słyszy ich okrzyki i dopingowanie. Dzięki wieloletniemu doświadczeniu potrafi rozpoznać etap zjazdu i wie, że pędzi prędeż niż kiedykolwiek przedtem. Cała ta ciężka praca, obozy treningowe, podnoszenie ciężarów, wszystko to teraz przynosi owoce.

Lewo. Prawo. Lewo. Prosto.

Tuman wirującego śniegu pojawia się znikąd. Uderza ją prosto w twarz, kiedy Mindy dojeżdża do ostatniej bramki. Narty wypadają z kolein. Czubek lewej zderza się z plastikową osłoną tyczki i dziewczyna wylatuje w powietrze, tym razem naprawdę frunie.

Wszystko ucicha. Nie słyszy okrzyków kibiców, całkowicie skupia się na tym, żeby się rozluźnić – tak jak ją uczono. Jest w powietrzu, ale jeżeli do mety niedaleko, jeszcze może się udać, jeżeli tylko zachowa właściwą pozycję, wylądaje prawidłowo, bez podrywania tej cholernej prawej narty, i wejdzie w kolejny zakręt... Tyczka uderza ją w twarz; Mindy pędzi w kotłowaniu śniegu, nart i kijków.

Nie wie, jak długo leży, zanim uświadomi sobie, że zdarzył się wypadek. Jej ciało czempionki opiera się tej myśli, dalej próbuje wchodzić w ostatnie zakręty, tułów miota się po śniegu.

Śnieg jest zimny.

Twarz mnie boli.

Noga mnie boli.

Ma zamknięte oczy. Kiedy je otwiera, widzi tylko biel. „O Boże, oślepiłam”, myśli, a potem czuje przenikliwie zimno. Leży twarzą w dół. Podpiera się rękami i próbuje wstać. Ból w nodze jest rozdzierający. Mindy krzyczy. Parę sekund później otaczają ją ludzie. Ratownicy w czerwonych kurtkach z białym krzyżem. Pierwsza dotyka jej kobieta z mocno opaloną twarzą, w nieprzezroczystych goglach.

– Kochanie, złamałaś nogę. Postaraj się nie ruszać. Wiem, że ci zimno. Trzymaj się. Zaraz cię unieruchomimy i położymy na sankach.

– Noga? Złamałam nogę? Skąd wiesz? Dojechałam do końca?

– Ale z ciebie twardzielka. Niestety nie dojechałaś. Wpadłaś na ostatnią tyczkę i się przewróciłaś. Zrobiłaś fikołka do tyłu, mocno uderzyłaś o ziemię. Na parę minut straciłaś przytomność. Co za widowiskowy upadek. Twoja noga... kochanie, tak, złamana. Nie, nie, nie patrz.

Mindy ignoruje słowa kobiety i zaraz potem tego żałuje. Z goleni wystaje duża biała ostra drzazga. Rozbryzg krwi na rozmokłym śniegu wygląda jak rozrzucone rubiny. Mindy dusi w sobie kolejny krzyk.

– Ale mój czas... jeżeli nie dojadę do mety, zostanę zdyskwalifikowana. Muszę jechać dalej. Podnieście mnie.

– Kochanie, to niemożliwe – mówi kobieta ze współczuciem. – Może wystarczy ci punktów z poprzednich zawodów, żeby załapać się do kadry. Ale teraz nie pojedziesz dalej, złamanie wygląda paskudnie. O, jest orteza. Trzymaj się mocno. Będzie bolało jak cholera.

Dziewczyna zaciska zęby, kiedy ratownicy zaczynają pompować ortezę. Walczy ze łzami, skupia się na głosie, który ciągle powtarza: „Przegrałaś. Przegrałaś”. Przestaje się opierać, próbuje się rozluźnić, kiedy kładą ją na sankach i ruszają w dół po ostatnich metrach góry. Tak jak ją uczono, stara się ze spokojem przyjmować porażkę. Unosi dłoń zaciśniętą w pięść, a tłum kibiców szaleje i zaczyna dopingować swoją ulubienicę, ale ona w środku zanosi się płaczem.

Tak bardzo tego pragnęła. Jedyna rzecz, której naprawdę chciała. I zaważyła.

Co się stało? W myślach znowu pokonuje tor, w pewnym momencie jednak pojawia się czarna dziura. Nie pamięta, kiedy się przewróciła. Wie, że to się zdarza, słyszała o wypadkach innych narciarzy. Miała wielkie szczęście, bo do tej pory nie odniosła ani jednej poważnej kontuzji. Oczywiście skończyła zaledwie siedemnaście lat i dopiero od roku należy do kategorii seniorów, ale mimo wszystko...

A jeżeli już nigdy nie będę mogła jeździć na nartach?

Ból, jaki wywołuje w niej ta wizja, jest nie do zniesienia. Kiedy docierają do podnóża zbrocza, Mindy ociera łzy. Na dole czeka tata. Dziewczyna widzi jego jaskrawoczerwoną kurtkę marki North Face i niepokój na przystojnej twarzy. Ojciec odsuwa dwóch ratowników i klęka przy niej.

– Moje biedactwo... bardzo boli?

– Tatusiu, nie udało mi się.

– Kotku, najpierw zajmijmy się twoją nogą. O reszcie pomyślimy później.

– Nie pamiętam, jak się przewróciłam. Co się stało?

– Nagły prąd zstępujący. Pojawił się znikąd. – Jakby na dowód tych słów, wokół nich zaczyna wirować śnieg. – Naprawdę powinni przerwać zawody, teraz to zbyt niebezpieczne. – Poklepuje ją po dłoni. Przez grubą rękawicę Mindy czuje tylko nacisk, nie ciepły, ale dodający otuchy dotyk ręki ojca.

– Gdzie mama?

– Kochanie, tutaj. Wszystko w porządku. Jestem przy tobie.

Mindy słyszy kontrolowaną troskę w jej głosie i robi głęboki wdech. Jeżeli mama nie panikuje, znaczy nie ma tragedii.

– Z mamą zobaczysz się w szpitalu. Nie pozwolą nam obojgu pojechać z tobą. Weźmie samochód...

– Nie!

Na twarzy ojca maluje się zaskoczenie.

– Dobrze, zgoda. Mama zabierze się z tobą, ja wezmę samochód.

– Nie, w porządku. Nieważne, kto ze mną pojedzie. Chcę zostać. Muszę się dowiedzieć, kto wygrał. – Mówiąc to, słyszy sygnał, że zamykają tor.

Od uśmiechu taty robi jej się ciepło na sercu. Ojciec pochyla się nad nią i szepcze:

– Może jeszcze się uda. W łącznej punktacji nadal jesteś pierwsza.

Ratownicy nie piorunują ich wzrokiem, ale wyraźnie się śpieszą.

– Musimy już ją zabrać. Kto wsiada z nami?

Mama przyciska dłoń do policzka Mindy, potem rozpina jej kask.

– Trzymaj się, córeczko. Do zobaczenia w szpitalu. Na pewno cię poskładają. Bądź silna.

Mindy znowu zaciska zęby, kiedy wsuwają ją do karetki. Każde drgnięcie noszy czuje tak, jakby jej nogę ktoś przypalał prętem rozgrzanym do czerwoności. Kiedy drzwi ambulansu się zamykają, znika twarz matki, na której troska rysuje się niczym pęknięcia w granicie.

Tata siada na bocznej ławeczce, nie chce przeszkadzać ratownikom. Jeden z nich pochyla się nad pacjentką, mierzy jej ciśnienie i tętno. Mindy stara się nie płakać, nie załamywać się. Ciągłe myśli o trenerze, jego rozczarowaniu tym, że na podium stanie ktoś inny, bo ona pod koniec

jechała zbyt agresywnie i dopuściła do tego, że narta wypadła z koleiny. Często jej powtarzał, że agresja świadczy o arogancji, natomiast arogancja prowadzi do wypadku.

– Mindy, jestem Todd. Podłączę cię do kroplówki i dam ci lekarstwo, żeby noga tak bardzo nie bolała. Dobrze? Lekkie ukłucie, nie ruszaj się... Dzielna dziewczyna, już po wszystkim.

W ciągu paru chwil potworny ból znika. W myśli wkrada się chaos.

Arogancka Kraksa. Dobra nazwa dla zespołu. Ciekawe, czy dadzą mi tyczkę, przez którą się przewróciłam. Zachowam się niegrzecznie, jeżeli o to poproszę? Śnieg taki zimny.

Przegrałam.

Ku własnemu zaskoczeniu wcale się tym nie przejmuję. Ogarnia ją senność i ciepło, słyszy, jak tata rozmawia z Toddem. A potem nie ma już nic.

SZPITAL W VAIL

Lauren Wright wpada na ostry dyżur dokładnie dziesięć sekund po tym, jak przywożą na noszach jej córkę. Ratownicy wiozą ranną do gabinetu zabiegowego. Śpi, ale Jasper trzyma ją za rękę. Kiedy widzi Lauren, z ulgą zamyka oczy. Przytula żonę drugim ramieniem, nie puszczaając dłoni córki. Mindy wygląda jak martwa. Szara, obolała, bez życia.

– Co z nią? – pyta Lauren prawie szeptem.

– Dali jej morfinę, żeby aż tak bardzo nie cierpiała. Mamrotała coś o Aroganckiej Kraksie, potem w jednej chwili zasnęła. Podobno to jakiś zespół punkowy z Aspen, który wiosną w zeszłym roku grał na Coachelli. Tak mi wyjaśnił Todd, bo kto by to wiedział? – Jasper uśmiecha się szeroko, a Lauren udaje się odetchnąć.

– Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Mindy jest świetną narciarką – mówi ratownik.

Lauren dziękuje mu skinięciem głowy.

– Bardzo wam dziękujemy za opiekę.

– Spoko. – Oddaje kartę drobnej rudej pielęgniarce w niebieskim uniformie. – Trzymam kciuki.

Personel jest miły i uśmiechnięty. Ciśnienie Lauren odrobinę się obniża. Pielęgniarki się uwijają, zakładają kroplówki, mocują kabelki, przemieniają dziewczynę ze sportowca w pacjentkę. Lauren czuje się nieswojo, widząc córkę podłączoną do pikających maszyn. Jedna z sióstr podnosi z nogi Mindy biało-czerwony ręcznik. Lauren po raz pierwszy może dokładnie obejrzeć obrażenia. Dolna połowa nogi wygląda jak mielone mięso z wystającą długą białą kością. Lauren przeszywa dreszcz. Na rękach wyskakuje jej gęsia skórka.

Jasper widzi, że żona blednie.

– Co ci jest? O co chodzi?

Lauren wskazuje nogę Mindy i odpowiada szeptem:

– O to. Boże, Jasper, a jeżeli...

On mocno łapie ją za rękę, drugą dłonią unosi jej podbródek, żeby spojrzała mu prosto w oczy. To dobre oczy. Wyjątkowe. Jasnoniebieskie tęczy z ciemniejszą obwódką. W połączeniu z blond włosami i wysportowaną sylwetką sprawiają, że Jasper to mężczyzna, który zwraca na siebie uwagę, lecz – ku wiecznej uldze Lauren – nie zwraca uwagi na inne kobiety.

– Nie, nie, nie. Nie mów tak. Nawet o tym nie myśl. Mindy wyjdzie z tego. Jest młoda i zdrowa. Złamanie wygląda paskudnie, ale da się naprawić. Wszystko da się naprawić.

Naprawić.

W Lauren wzbiera szloch. Czuje, jak dolna warga zaczyna jej drżeć. Przeplakała w samochodzie całą drogę do szpitala, ze strachu, z gniewu, z troski o swoje jedyne dziecko. Jasper słusznie zrobił, rozdzielając je, nawet jeżeli trwało to tylko dziesięć minut. Podarował jej kilka chwil samotności, żeby mogła zmierzyć się z tą sytuacją. Miło z jego strony. Potrzebowała tego.

Kiedy tylko podjechała pod szpital i zostawiła samochód na parkingu, łzy przestały płynąć. Wytarła twarz, poprawiła włosy. Poprzysięgła sobie, że będzie silna dla córki. I Jaspera. I wszystkich innych. Bo taka jest rola matki. Lauren świetnie sobie radzi w kryzysowych sytuacjach. Każdy to potwierdzi.

Teraz za wszelką cenę stara się zachować spokój i opanowanie. Mindy jest taka silna, zmotywowana, zdeterminowana – taka idealna – kiedy więc Lauren zobaczyła córkę na śniegu, połamaną i krwawiącą, a teraz widzi ją nieprzytomną na obcym łóżku, coś w niej pęka. Nie chce reagować zbyt emocjonalnie, Mindy nie znosi takich scen i nie cierpi, kiedy Lauren zachowuje się nadopieczniaczko. Sama jest dość zimna i wyrachowana. Zresztą dlatego ma nadzwyczajne osiągnięcia sportowe. Potrafi włączać i wyłączać emocje. To nieustannie martwi Lauren. Po kim Mindy odziedziczyła tę cechę? Po niej? Po Jasperze? Oboje nie dopuszczają do

tego, żeby uczucia zbyt mocno wpływały na ich życie. Czyżby wyrządzili swojemu dziecku niedźwiedzią przysługę, postępując zbyt racjonalnie?

Jej noga, och... wygląda okropnie. Aż strach myśleć, jakie będą skutki tego wypadku. Czasami nawet mniej poważne urazy oznaczają koniec kariery. Co by się stało z jej córeczką, gdyby już nigdy nie mogła jeździć na nartach?

Do sali wchodzi krzepki ciemnowłose młody mężczyzna.

– Jestem Joe, z radiologii. Zabierzemy Mindy na prześwietlenie. Proszę zostać tutaj. Wracamy za piętnaście minut.

– Pójdziemy z wami, dobrze? – Lauren patrzy prosząco.

– Będziemy trzy pomieszczenia dalej. Proszę, chodźcie państwo, jeżeli chcecie, ale zapewniam, że dobrze się nią zajmę – obiecuje Joe. Lauren posyła chłopakowi swoje najlepsze matczyne spojrzenie, zimne jak stal, od którego nawet najsilniejsi młodzi ludzie tracą rezon. Chłopak się uśmiecha. – W takim razie idziemy.

Prześwietlenie nie trwa długo. Lauren i tak ledwo wytrzymuje. Na ekranie komputera, jedno za drugim, pojawiają się zdjęcia rentgenowskie. Kości nogi Mindy są ułożone nienaturalnie. Na samą myśl o tym, że zagląda córce pod skórę, żołądek podjeżdża Lauren do gardła. To zbyt intymne. Dobrze chociaż, że Mindy jest nadal nieprzytomna po zastrzyku z morfiny, nie czuje zimnej, metalowej płyty pod nogą, nie słyszy stukania i brzęczenia aparatu rentgenowskiego ani głosu ojca, który zasypuje techniką pytaniami. Leży bezwładnie pod grubym, ołowianym fartuchem ochronnym, podczas gdy Joe robi kolejne ujęcia. Lauren wie, że Mindy będzie wściekła, kiedy się dowie o tym wspólnym oglądaniu zdjęć. Bardzo chroni swoją prywatność. Nie dopuszcza ludzi do siebie, nawet rodziców. Nikomu nie wolno przekroczyć granic jej intymności.

Technik unika odpowiedzi na pytania Jaspera; Lauren widzi, że obaj zaczynają się denerwować.

– Nie wolno nam wypowiadać własnej opinii. – Joe mamrocze pod nosem, ale na tyle głośno, że słyszą słowa, których tak się obawiają: – To złożone złamanie kości piszczelowej i strzałkowej. – Potem już tylko dodaje wymijająco: – Nie mam całkowitej pewności. Muszą państwo porozmawiać z chirurgiem.

Dokładnie piętnaście minut później wracają do sali.

Jasper zaczyna szukać w internecie informacji na temat urazu Mindy, jego palce błyskawicznie przesuwiają się po ekranie telefonu. Lauren poprawia poduszkę, bezskutecznie próbuje ułożyć głowę córki w pozycji, która wydaje jej się wygodna. Wchodzi wysoka blondynka z lśniącem pierścieniem zaręczynowym na palcu. Z jej końskiego ogona wysuwają się kosmyki włosów. Rzuca okiem na kartę, unosi sterylny ręcznik, przez chwilę patrzy na nogę pacjentki, po czym odwraca się do Lauren i Jaspera.

– Witam mamę i tatę. Mają państwo dzielne dziecko. Widzieliśmy ten wypadek. Całe szczęście, że tylko złamała nogę.

– Widziała to pani? – Zainteresowanie lekarki i komplement sprawiają, że Jasper odruchowo się rozpromienia.

Za każdym razem, kiedy mowa o talencie Mindy, zachowuje się jak najbardziej irytująca matka na szkolnym przedstawieniu. Lauren to bardzo cieszy. Tylko w ten sposób potrafią sobie poradzić z presją, jaką wywołuje tak ogromny talent sportowy córki. Jasper reprezentuje dumę, Lauren – skromność. Wszyscy ulegają urokowi Mindy. Jest, jak to się mówi, prawdziwą wojowniczką – zahartowaną, pracowitą sportsmenką, która ma świadomość swojego talentu, ale nie pozwala, żeby woda sodowa uderzyła jej do głowy. Nie dorobiła się grona bliskich znajomych, za to cieszy się szacunkiem świata narciarstwa, a to dla niej o wiele ważniejsze niż imprezy, bale na zakończenie szkoły czy sekrety, które szeptem wyjawiałyby w nocy przyjaciółce.

Dobrze ją wychowali. Tak, Lauren z pewnością też czuje dumę. W końcu to ona wydała na świat tak wyjątkową istotę.

– No jasne, że oglądałam naszą miejscową gwiazdę. Co za straszny wypadek. I wielka szkoda, bo pewnie by wygrała. – Kobieta splata ręce na piersi, pierścionek połyskuje w świetle, i nagle lekarka wygląda złowrogo, jak gniewny anioł, który zstąpił do szpitala. – Przejdźmy do rzeczy. Już wezwaliśmy doktora Stuarta. To nasz najlepszy ortopeda. Wysłaliśmy po niego SUV-a, żeby tu bezpiecznie dotarł. Śnieżyca coraz bardziej szaleje, ale pan doktor przyjedzie zająć się nogą Mindy. Wtedy dokładnie zobaczymy co i jak.

Przejmuje ich córkę, jakby dziewczyna była samochodem zmieniającym właściciela. Lauren staje przed łóżkiem, zasłaniając Mindy.

– Przepraszam, a pani jest...?

– Och, oczywiście. Dani, asystentka doktora Stuarta. Będę mu towarzyszyć podczas operacji.

– Operacji? – Lauren i Jasper powtarzają jednocześnie głosami pełnymi niepokoju. Nic na to nie poradzą, w końcu są rodzicami.

– Tylko w ten sposób da się poskładać te kości. Potem doktor Stuart przyjdzie do państwa i wszystko wytłumaczy; teraz musimy szybko oczyścić ranę, zanim wda się zakażenie. Otwarte złamania trudno się goją. Pewnie trzeba będzie wstawić pręt, żeby ustabilizować nogę. Mindy czeka kilka trudnych tygodni, ale wychowaliście naprawdę dzielną dziewczynę, a do tego jest w świetnej formie fizycznej. Raz-dwa znowu wskoczy w narty.

W umyśle Lauren pojawiają się przerażające wizje: Mindy kuleje, nogę pokrywają blizny, które już nigdy nie znikną. Jak zareaguje na tę skazę na swojej pięknej, idealnie gładkiej skórze? Jakimś cudem szczupłe ciało Mindy jest bez najmniejszego uszczerbku. Czy córka przerazi się, będzie błagała o operację plastyczną? Czy też może przyjmie to ze stoickim spokojem i będzie nosiła te blizny jak medal za odwagę? Lauren obstawiałaby tę drugą opcję. Mindy jest niezwykle twarda, zupełnie inna niż dziewczęta w jej wieku. Nie, byle skaza jej nie załamie.

Jakiś ruch, szept od strony łóżka.

– Mamo?

Lauren łapie Mindy za rękę. Jej córka jest otumaniona i tak blada, że Lauren aż serce się ściska. O Boże. Moja córeczka. Nie wiem, czy sobie z tym poradzę. Dlaczego to nie ja uległam wypadkowi? Dlaczego nie ja cierpię z bólu?

– Kochanie, nie ruszaj się. Złamałaś nogę. Muszą ci ją zoperować. – Nie wytrzymuje, łzy spływają jej po policzkach.

– Wiem. Nie płacz, mamo. Będzie dobrze. To się zdarza. Poskładają mnie.

Dzielna, taka dzielna. Jeszcze pociesza matkę. Poruszona tą zamianą ról, Lauren pociąga nosem, uśmiecha się, bierze się w garść.

– Oczywiście, twardzielko, na pewno wyleczą ci nogę. Nawet śladu nie będzie. Doktor Stuart jest najlepszym ortopedą w tym szpitalu.

Lekarka wieszka kartę z powrotem na poręczu łóżka.

– Tak jest, Mindy, zaraz cię naprawimy. No, dajcie sobie buzi. Czas ułożyć te puzzle.

Zgodnie z poleceniem Lauren i Jasper całują i przytulają córkę o bladej, ściągniętej bólem twarzy. Znowu są silni. Dają jej oparcie i czułość. Koniec łez, już nie mogą sobie pozwolić na słabość. Do diabła, jeżeli Mindy musi być silna, oni też będą.

Kiedy jednak personel wywozi nastolatkę na łóżku, matkę na chwilę dopada obezwładniająca panika; ogarnia ją złe przeczucie. Coś złego dzieje się z ich małym światem. Nawet sobie nie wyobraża, że to dopiero początek całej lawiny zdarzeń.

Operacja ma potrwać niecałą godzinę. Oboje siedzą w nijakiej poczekalni z żółtymi ścianami i kanapami obitymi brązową sztuczną skórą nie do zdarcia – wygląda tak, jakby dała radę wytrzymać dźgnięcia nożem albo atak sfory wściekłych psów.

Lauren nie może usiedzieć w miejscu. Po prostu ją nosi. Jej córka jest teraz pod narkozą, prawie jak nieżywa, a w delikatne kości wstawiane są metalowe pręty. Jasper nie wydaje się aż tak roztrzęsiony. Wyszukał doktora Stuarta w internecie i przeczytał, że to najlepszy ortopeda narciarzy, więc teraz spokojnie popija kawę, dzwoni do znajomych, przekazuje im najnowsze informacje na temat stanu Mindy, rozmawia z jej trenerem, którego śnieżycy zatrzymała na górze. Poza tym Steve Hakuri czeka tam na wiadomość, czy, kiedy śnieg przestanie padać, zawody zostaną wznowione. Jasper włączył głośnik, więc Lauren słyszy obu rozmówców. Steve uważa, że nie wznowią zjazdów, co by oznaczało, że w ogólnej punktacji Mindy nadal zajmuje pierwsze miejsce i co ważniejsze, wystarczy jej punktów, żeby zakwalifikować się do drużyny olimpijskiej.

Lauren wątpi, czy aż tak bardzo im się poszczęści. Jasper, który siedzi półtora metra od niej, zadziera brodę ruchem mówiącym „głowa do góry”. Poczekalnia – to ohydne żółto-brązowe pomieszczenie – jest mała, ale Lauren czuje, że chyba jeszcze nigdy nie byli tak daleko od siebie.

Pojawia się między nimi przepaść i ciągle się powiększa. Jakby to Lauren zawiniła. Jakby to ona zrzuciła córkę z góry prosto na tyczkę i złamała jej nogę na pół.

Właściwie Jasper ma prawo tak myśleć. W pewnym sensie to prawda. Lauren popchnęła Mindy. Ale dziewczyna chciała być popchnięta. Cechuje ją wrodzona determinacja. Jest obdarzona talentem. Lubi treningi, biegi, wazenie, zdrową żywność, jogę, dzięki której ciało pozostaje jędrne, a umysł jasny. Szczerze mówiąc, kocha to bardziej niż własnych rodziców.

Lauren z całych sił stara się nie być zazdrosna, ale nie chce, żeby w życiu córki zabrakło dla niej miejsca. Pragnie być jego częścią, uczestniczyć w nim, wspierać i pomagać. Popychać, kiedy trzeba.

Dla Mindy narciarstwo to świętość. Sakramentalne przymierze z bogami, którzy stworzyli góry. Lauren i Jasper też uwielbiają jeździć na nartach, ale ich córkę łączy ze śniegiem i lodem wręcz cielesna więź. Pojmuje to każdy, kto ją widział. Narciarstwo jest jej przeznaczeniem.

Lauren nie może opędzić się od myśli: a co, jeżeli ten wypadek zakończy karierę ich dziecka?

Przygląda się Jasperowi: jak może być tak radosny? Wie, że mąż próbuje dodać jej otuchy – pogodny z natury, niepoprawny optymista. Są małżeństwem już tak długo, osiemnaście lat wzlotów i upadków, treningów Mindy, pracy do późnej nocy i wstawania z kurami, domowej edukacji, prywatnych nauczycieli, tysiące dni spędzonych na mrozie u stóp tyłu gór, niespokojnych drzemek podczas lotów transatlantyckich – i zawsze, ale to zawsze Jasper był cudownym ojcem i mężem.

Teraz ma mu za złe tę wymuszoną wesołość, co jest kompletnie niesprawiedliwe. Dopada ją wyczerpanie całym tym dniem. Kawa niewiele pomaga. Potrzebują prawdziwego jedzenia, prawdziwego odpoczynku.

Zanim wreszcie przychodzi chirurg, jej zegarek Apple’a pokazuje, że pokonała prawie trzy i pół kilometra. Patrzy w spiętą, zmęczoną twarz lekarza. Jest potężnym łysiejącym mężczyzną w małych okrągłych

okularach, w których wygląda jak staroświecki nauczyciel. Emanuje inteligencją i ciepłem. Lauren całkowicie mu ufa.

Kiedy jednak zaczyna od słów „Mamo, tato”, Lauren nie może pohamować irytacji. Dlaczego nie używa ich imion lub nazwisk? Dlaczego sprowadza ich do roli rodziców, a nie uznaje za odrębne osoby, żywe, oddychające istoty ludzkie?

Mimo to wpatruje się w niego błagalnie.

– Poskładaliśmy ją, wyjdzie z tego. Musimy pilnować, żeby nie wdała się infekcja, ale naszprycowaliśmy pacjentkę najlepszymi antybiotykami. Nie wiem, czy już przestała rosnąć. Nie wykluczam więc, że kiedyś mogą być konieczne operacje wydłużające kości w złamanej nodze. O tym jednak przekonamy się później.

– Ale wszystko dobrze, prawda? Wyzdrowieje i wróci do zjazdów? – Na twarzy Jaspiera pojawia się nadzieja. Lauren nadal nie czuje ulgi. Jest coś jeszcze. Coś nadchodzi.

– Jasne. Złamanie wyglądało paskudnie, ale kiedy zajrzałem do środka i wszystko oczyściłem, okazało się, że nie jest tak źle. Nie ma odłamków ani zmiażdżonych resztek kości. Założyliśmy jej aparat halo, co wygląda dość makabrycznie, ale to tylko na jakiś czas, dla stabilizacji, dopóki noga się nie wygoi. Co najmniej pół roku Mindy będzie musiała chodzić o kulach, czeka ją długa rehabilitacja, ale wyliże się z tego. – Mars między brwiami pogłębia się, bruzdy na czole łączą się ze sobą, upodabniając lekarza do szczeniaka shar pei. – Jest jednak pewna komplikacja.

Kiedy to mówi, do poczekalni wchodzi drugi lekarz, jakby czekał za kulisami na swoją kolej.

Lauren ledwo się powstrzymuje, żeby nie powiedzieć: A nie mówiłam? Wszystkie mięśnie w jej ciele się napinają.

– To doktor Oliver, onkolog.

– Onkolog? Co się dzieje? – Jasper łapie Lauren za rękę. Niemal pękają jej kości, chciałyby wyrwać się z tego uchwytu, ale równie mocno ściska dłoń męża.

A kiedy z ust lekarza padają kolejne słowa, ich świat się rozpada.

3

Lauren nie wszystko rozumie, ale coraz większe przerażenie przesywa ją do szpiku kości. Nie zwraca uwagi na naukową terminologię, obce, budzące grozę słowa. Skupia się na twarzy onkologa, który objaśnia im nową rzeczywistość.

Ich córka ma raka.

Białaczkę.

Potrzebuje natychmiastowego leczenia.

Jasper zadaje wszystkie właściwe pytania. Nadal ściska dłoń Lauren, która jednak odnosi wrażenie, że teraz to ona musi go podtrzymywać.

Przez dłuższą chwilę im nie przerywa, w końcu nie wytrzymuje.

– Jak mogliśmy nie wiedzieć, że jest chora? – wyrzuca z siebie.

Lekarz uśmiecha się łagodnie, odsłaniając idealnie kwadratowe zęby, przypominające klawisze klawiatury komputera. Pewnie licówki, które we fluorescencyjnym świetle są oślepiająco białe.

– Mamo, to bardzo dobre pytanie. Prawdopodobnie...

– Lauren.

– Słucham?

– Mam na imię Lauren. Nie „mama”. A to Jasper. Nie „tata”. Proszę nas tak nie nazywać.

– Oczywiście. – Onkolog zbiera myśli i zaczyna jeszcze raz; kładzie wyraźny nacisk na imiona, co jest prawie tak samo wkurzające jak zwracanie się do nich per „mamo” i „tato”. – Pani Lauren, panie Jasperze. Mindy jest sportowcem przyzwyczajonym do ogromnego wysiłku. Domyślałam się, że często czuła się zmęczona i obolała, zwłaszcza w ciągu ostatnich paru miesięcy, mam rację? Ostatnio trenowała wyjątkowo intensywnie, więc łatwo było przeoczyć objawy albo złożyć je na karb przetrenowania.

Łatwo przeoczyć. U jej córki wykryto potencjalnie śmiertelną chorobę, którą najbliżsi przeoczyli.

Boże drogi. Jak to przeżyją, jeżeli Mindy umrze, a oni zostaną ze świadomością, że jej stan tłumaczyli przetrenowaniem?

Rozlega się piszczenie pagera. Lekarz sięga ręką w dół i ze zmarszczonymi brwiami patrzy na urządzenie przy pasku spodni.

– Muszę iść, kolejna pilna operacja. Zostawię państwa z doktorem Oliverem. Zobaczą się z Mindy jutro podczas obchodu. To dzielna dziewczyna. Proszę się nie zamartwiać. Noga wydobrzeje.

Odwraca się na pięcie i wypada z poczekalni niczym biało-niebieski pocisk. Jego opuszczone ramiona świadczą o uldze – on już wykonał swoją robotę, a praca doktora Olivera i Mindy dopiero się zaczyna.

Onkolog ruchem ręki zaprasza ich na kanapę.

– Zaraz wszystko wyjaśnię.

Nazwy badań są długie i niezrozumiałe. Lekarz podaje im broszurkę z uśmiechniętym, łysym, niebieskookim duchem na okładce – Jak sobie poradzić z diagnozą nowotworu u dziecka. Wnętrznosci podchodzą Lauren do gardła. Chce zobaczyć Mindy, teraz, zaraz, potrzebuje tego tak bardzo, jakby w jej sercu pojawiła się dziura, którą musi natychmiast zapełnić.

Ale siedzi nieruchomo jak skała, udaje, że słucha i rozumie. Trzyma Jaspera za rękę, przytula się do jego ciepłego ciała i modli się w duchu, żeby to nie był koniec, bo przecież jeszcze tego dnia rano obudziła się z myślą, że zaczynają nowy rozdział w życiu.

Jest pewien plan, „procedura”, której doktor Oliver zamierza się trzymać. Na początek agresywna chemioterapia, potem inne formy leczenia. Mindy zostanie przeniesiona z chirurgii na onkologię, gdzie przeprowadzą więcej badań.

Nie, na razie nie wróci do domu. To nie gra Monopoly. Nie dostanie karty „Wychodzisz ze szpitala” do wykupienia za dwieście dolarów. Poleży w tym małym szpitalu jeszcze parę dni, a oni mogą z nią zostać. Wielu rodziców zostaje, zwłaszcza na pierwszą noc.

Doktor Oliver mówi dalej, ale Lauren już go nie słyszy. Patrzy tylko na jego poruszające się usta. Zerka na Jaspera, który błądzi wzrokiem po

twarży lekarza, rozpaczliwie próbując wyłuskać z tej przemowy coś pozytywnego.

Kiedy doktor kończy, pielęgniarka prowadzi ich oboje do sali dwa piętra wyżej. Pomieszczenie jest małe, ale słoneczne, ze ścianami o takim samym dziwnym, przemysłowym odcieniu żółci jak w poczekalni na dole. Gdy po drodze mijają sale pełne osobistych rzeczy – kolorowych koców i fotografii w ramkach – Lauren z całych sił stara się nie patrzeć na innych pacjentów. Omija wzrokiem łyse dzieci na wózkach inwalidzkich wyglądające na korytarz. Ignoruje ciarki, które przebiegają jej po plecach.

Pielęgniarka, Hazel, wydaje się bardzo miła – wszystkie one są miłe, tak miłe, że Lauren wręcz to denerwuje.

– Czy mamy do kogoś zadzwonić? Skontaktować się z kimś z rodziny?

Do kogo mogłaby zadzwonić?

Od wypadku jej telefon ani razu się nie odezwał.

Wygrzebuje z torby komórkę, okazuje się, że bateria padła. Nigdy do tego nie dopuszcza, ale teraz nie przywraca urządzenia do życia. Jej świat skurczył się do tej szpitalnej sali. Nie ma takiej osoby, z którą chciałaby porozmawiać, więc chowa z powrotem telefon i uważnie zapina torebkę, żeby nie wypadł.

Lauren, nie myśl tak.

Podobnie jak córka, ona też nie ma bliskich znajomych. Pochłonięta sportowym życiem Mindy nie zaprzyjaźniła się z innymi matkami dziewcząt w tym wieku. Te kobiety albo tak samo miały na głowie zajęcia dodatkowe, albo traktowały Mindy jak rywalkę i nie pozwalały dzieciom spędzać z nią czasu. Nie szkodzi. We trójkę im dobrze. Tak naprawdę to Lauren woli taki tryb życia. Lubi tę alienację. Zresztą nigdy nie przepadała za dużym towarzystwem.

– Powinniśmy zadzwonić do Juliet – odzywa się Jasper.

Kiwa głową. No tak, oczywiście. Juliet. Jej młodsza siostra. Ulubiona – i jedyna – ciocia Mindy. Trzeba ją powiadomić. Jasper wychodzi z sali, żeby zadzwonić.

Lauren zaczyna podejrzewać, że jest w szoku. Nie myśli jasno. Przenosi wzrok na okno, za którym szaleje śnieżycy. Fluorescencyjne światła i miłe

pielęgniarki tak ją przytłaczają, że aż chce jej się krzyknąć. Najchętniej by stąd uciekła, wybiegła na śnieg, znalazła się na górze, w ich domu, obudziła się i przeżyła ten dzień zupełnie inaczej.

Oczywiście nie może tego zrobić. Zostanie z Jasperem. Dla dobra dziecka muszą trwać w tej rzeczywistości.

Na korytarzu powstaje jakieś zamieszanie. Wiozą Mindy.

Sanitariusze wtaczają łóżko na kółkach. Noga Mindy jest uniesiona, z bandaży – jak nóżki z tułowia motyla – sterczą cienkie kawałki metalu. Połowę stopy pokrywa gips. Z tego kokonu wystają palce, czarne, niebieskie i w dziwnym odcieniu pomarańczowej żółci – przed operacją wysmarowano jej nogę odkażaczem. Wciąż leży pogrążona w głębokim śnie, z lekko rozchyłonymi ustami. Narkoza na pewno zrobiła swoje, ale leki przeciwbólowe też musiały być potwornie silne. Metabolizm Mindy jest szybki jak u rasowego konia. Dotąd nic nie zważyło jej z nóg. Nigdy też Lauren nie widziała, żeby córka spała równie mocno, w nienaturalnym bezruchu, dlatego znowu rozbrzmiewają te słowa: nie żyje, nie żyje, nie żyje.

Jak jej powiedzieć, że jest aż tak chora? Jak w ogóle do tego doszło? Tak, ostatnio była blada i zmęczona, ale przecież intensywnie trenowała. A może tylko Lauren tak się wydawało? Nie, wszyscy troje tłumaczyli to w ten sam sposób.

Pielęgniarka patrzy, jak sanitariusze ustawiają łóżko, po czym poprawia poduszkę pod głową pacjentki i znowu uśmiecha się do Lauren.

– Proszę pani? Czy mamy kogoś poinformować?

– Nie, naładuję telefon i sama zadzwonię do paru osób. Dziękuję. Jest pani niezwykle uprzejma.

Lauren odnotowuje w pamięci, żeby wysłać kwiaty do dyżurki pielęgniarek. Jakieś pogodne, jasne. Pielęgniarki pewnie rzadko dostają dowody wdzięczności. A przecież bardzo ciężko pracują.

Jasper wraca ze sztucznym uśmiechem, od którego bruzdy po obu stronach jego ust robią się jeszcze głębsze. Oboje się starzeją, co często ją zaskakuje. Nadal widzi w mężu tego młodego prawnika, którego poślubiła tyle lat temu. Włosy na skroniach przetykane siwizną, pogłębiające się

zmarszczki – Jasper ładnie się starzeje. Lauren obawia się jednak, że dla niej ten proces nie jest równie łaskawy. Za dużo słońca w dzieciństwie, za dużo papierosów, za dużo alkoholu na studiach. Jej twarz niedługo zacznie wyglądać na zmęczoną i zwiotczałą, skóra poszarzeje i pokryje się zmarszczkami.

Czy Mindy dożyje tego wieku?

Na tę myśl Lauren musi wziąć się w garść, żeby nie wybuchnąć płaczem i nie wybiec z krzykiem ze szpitala.

Jasper patrzy na metalową obręcz stabilizującą nogę. Blednie i oblizuje spierzchnięte usta.

– Dostała się – mówi.

– Słucham?

– Zakończyli zawody. Mindy weszła do reprezentacji olimpijskiej.

Lauren śmieje się gorzko, bez radości. Nie może się powstrzymać. Tyle pracy, tyle bezsennych nocy i długich mroźnych dni, a szansa na olimpijski medal, o którą jej córka tak bardzo walczyła, zostanie jej odebrana przez bandę zbuntowanych krwinek.

I znowu ta myśl: kiedy się obudzi, będzie wściekła.

Raz, tuż przed zawodami, złapała paskudne przeziębienie. Z powodu kontroli antydopingowej nie mogli jej dać żadnych lekarstw, więc czuła się fatalnie, ale postanowiła wziąć udział w zawodach. Ledwo oddychała, z nosa jej ciekło, a jednak pobiła własny rekord, zakwalifikowała się do krajowych mistrzostw juniorów, udzieliła trzech wywiadów dla telewizji i dopiero potem pozwoliła, żeby matka położyła ją do łóżka i napoiła gorącą czekoladą i rosółem.

Nic nigdy nie powstrzymało Mindy przed jazdą na nartach.

Ale teraz zrobiła to złamana noga i białaczka.

– Pewnie wybrali faworytów – mówi Lauren. – Pozostali zawodnicy nie będą wnosić skarg?

– Wszyscy chcą, żeby Mindy występowała w reprezentacji. Wiesz, jak bardzo ją kochają.

To prawda. Nawet budząca postrach Janice Cuthbert, o rok młodsza i prawie tak samo utalentowana, kocha Mindy. Chodzi za nią wszędzie jak szczeniak, szczęśliwa, że może być blisko swojej idolki. Teraz Janice nie dostanie się do reprezentacji. Lauren nie jest mściwa, ale cieszy się, że ten zaszczyt przypadnie jednak Mindy. Z drugiej strony nie wyobraża sobie, jak córka da radę trenować i pojechać na zawody, skoro jest aż tak chora, jak mówią lekarze, już nie wspominając o nodze – nie wiadomo, czy do tej pory kość zdąży się zrosnąć.

Po raz pierwszy Lauren modli się o cud.

Po południu plan leczenia jest już ustalony.

Kiedy Mindy była pod narkozą, pobrano jej szpik kostny i płyn mózgowo-rdzeniowy, żeby jak najszybciej zacząć działać. Nowotwór został zdiagnozowany jako AML – ostra białaczka szpikowa. Nie tak często spotykany jak ALL, ostra białaczka limfoblastyczna, trudniejsza do wyleczenia, a więc od samego początku wymagająca agresywniejszej terapii. Lauren słucha i robi notatki, Jasper pisze w telefonie. Zamierzają przez całą noc czytać przerażające historie, a do rana zdążą nabrać przekonania, że nic nie pokona ich córki. Nic.

Operacja skomplikowała wstępną fazę leczenia, ale teraz nie mają wyboru. Lekarze wyrazili się bardzo jasno. Muszą zabić komórki rakowe we krwi Mindy, i to szybko. Bo inaczej...

4

Doktor Juliet Ryder nienawidzi zapachu szpitala. Jak na ironię całe dni spędza w laboratorium. Jest głównym specjalistą zajmującym się DNA i kierowniczką laboratorium w CBI – Biurze Śledczym stanu Kolorado. Królowa Pipetek – tak ją nazywają współpracownicy; przyjęła tę ksywkę z klasą i spokojem.

Wrzuca do ust kostkę miętowej gumy do żucia, żeby nieco zamaskować tę chemiczną woń, i jedzie windą na trzecie piętro. Kiedy wysiada, ze zdumieniem stwierdza, że to oddział onkologiczny. Idzie do dyżurki pielęgniarek; ku swojemu jeszcze większemu zaskoczeniu zostaje skierowana do prywatnej sali.

Na pewno da się to jakoś wytłumaczyć.

Szybko idzie korytarzem, znajduje salę Mindy i na chwilę zatrzymuje się pod drzwiami. Dobiegają zza nich tylko odgłosy z telewizora; nie słyszy żadnych rozmów. Puka lekko i zagląda do środka.

Dziewczyna leży na łóżku z szklistymi oczami. Tępym wzrokiem patrzy w ekran na przeciwległej ścianie. Jest zupełnie sama.

– Cześć, mała.

Mindy odwraca głowę, nieco się prostuje, a jej twarz się rozjaśnia.

– Ciocia J! Co tam u ciebie?

– U mnie? To ja pytam, jak ty się miewasz!

– Utknęłam tu na dobre. Umieram z nudów. Śnieg w końcu przestał padać?

– Tak. Jakieś dwie godziny temu odblokowali drogę. Od razu wskoczyłam w samochód.

– Mama się ucieszy. Potrzebuje cię.

Juliet w to wątpi. Lauren nigdy jej nie potrzebowała. Starsza siostra. Zrobiła karierę. Została sławną malarką. Matką. Odnosi sukcesy i jest szczęśliwa.

– Kochanie, co się dzieje? Jakies komplikacje z nogą?

– Och, mama ci nie powiedziała? Podobno mam raka.

Serce Juliet zamiera.

– Co?

– Wykryli go, kiedy robili mi badania przed operacją. Białaczka. Czeka mnie chemioterapia. Włosy mi wypadną.

Mindy brzmi staro, bardzo staro, jak wyczerpana, znużona kobieta. Juliet przysiada na brzegu łóżka i łapie siostrzenicę za rękę – zimną jak lód, mocno ją rozciera.

– Gdzie twoi rodzice?

– Wyrzuciłam ich stąd. Mama musi się wypłakać i przytulić do taty. Nie mogli się rozwalić przy mnie, więc poprosiłam, żeby przynieśli mi jakąś zupę. Są w bufecie albo w kaplicy, schowali się, żebym nie widziała, jak panikują.

– Dziecko, skąd u ciebie taki cynizm?

– Hm, zastanówmy się...

– Ja nie jestem cynikiem.

– Nie, ale jesteś naukowcem. Racjonalna, chłodna, zrównowazona.

– Ty chyba coś ćpałaś. Dają ci mocne prochy, co?

Udało się. Mindy się uśmiecha. Juliet dusi w sobie strach i ból.

– Powiedz mi coś więcej. Jaki to nowotwór? Są różne odmiany białaczki.

– AML. Robią jeszcze więcej badań, ale mają już płyn mózgowo-rdzeniowy. Ciociu?

– Tak, słoneczko?

– Nie chcę umierać – mówi Mindy głosem tak ciekim i cichym, że Juliet serca się kroi.

– Nie umrzesz. Nie pozwolę na to.

– Włosy mi wypadną. Muszę przejść chemioterapię, dostanę też inne okropne leki i każą mi ciągle wracać do tego cholernego szpitala. Jak mam trenować? Dokończyć sezon?

Juliet wskazuje na jej nogę.

– Mała, nie chcę cię martwić, ale w najbliższej przyszłości nie założysz nart. Spójrz, na razie pręty trzymają ci kości. Na pewno nie możesz przeciążać nogi, prawda?

– Co najmniej przez sześć tygodni. Ale... – Mindy kręci głową. – Jakie to głupie. Złamać nogę i przy okazji dowiedzieć się o raku. Kto by to wytrzymał?

– Ty. Zawsze byłaś niesamowicie silna. – Zapada milczenie. Juliet podnosi z poduszki czarne, długie i gęste włosy dziewczyny. – Wiesz co? Myślę, że słodko byś wyglądała w krótkich włosach. I tak ci wypadną, więc może na parę tygodni powinnaś zrobić się na ostrą punkówkę, zamiast płakać, kiedy zaczniesz łysieć?

– Mama mnie zabije – stwierdza Mindy, ale oczy jej błyszczą, a usta rozciągają się w szerokim uśmiechu.

– O kurczę. W tej sytuacji trochę dziwnie to zabrzmiało.

Dziewczyna chichocze; malutka część ciężaru spada Juliet z serca.

– Wybacz, ale co cię, do cholery, obchodzi zdanie mamy? Skoro i tak stracisz włosy, to chociaż trochę się zabawmy. Mogłabym teraz ci je obciąć.

Układa bujne pasma w różne fryzury. Po kilku minutach Mindy wreszcie decyduje się zrobić coś niegrzecznego.

– Rany, zawsze marzyłam o krótkich włosach, ale na stoku jest strasznie zimno. Szybko, przynieś nożyczki, zanim mama wróci.

– Mówisz poważnie?

– A ty nie?

Rzuca jej wyzwanie. Juliet znajduje jakieś nożyczki w dyżurce pielęgniarek, ale uświadamia sobie, że są za małe. Siostrzenica ma grube włosy. Tak bardzo różnią się od jasnych loków ciotki, nawet od gładkich włosów Lauren, z idealnie równymi pasemkami. Nie, nie pasemkami. Z bależajem. Nawet jej fryzura jest wyjątkowa, niepowtarzalna.

Nagle w dyżurce pojawia się pielęgniarka.

– Halo? – Unosi brwi. – Mogę w czymś pomóc?

Juliet odskakuje od biurka.

– Przepraszam. Szukam nożyczek. Moja siostrzenica...

– Aha. Te będą dobre. – Kobieta otwiera inną szufladę i po chwili wyjmuje profesjonalne nożyce fryzjerskie.

– Niesamowite, że macie tu coś takiego – wypala Juliet, zaraz potem dociera do niej, że to dość oczywiste. – O rany, no tak, jasne. Przepraszam. Dopiero się dowiedziałam. Nadal nie mogę w to uwierzyć.

– A pani jest...?

– Ciocią Mindy. Juliet.

– Hazel. Bardzo mi miło. Mindy to piękna dziewczyna. W krótkich włosach też będzie wyglądała uroczo. Ma pani gumkę? O wiele łatwiej ciąć, jeżeli najpierw zrobi się koński ogon na czubku głowy.

Ta rada napawa Juliet smutkiem. Ilu dziewczynkom Hazel obcinała włosy? Juliet postanawia się nie roztkliwiać. Musi to odłożyć na później. Teraz dla dobra siostrzenicy powinna być silna i opanowana.

– Proszę je potem przynieść! – woła za nią Hazel. – To drogie nożyczki.

Ciotka wraca do sali. Mindy podniosła wezglowie łóżka, ale z powodu nogi nadal leży w dziwnej pozycji. Krzywi się z bólu. Juliet chce się płakać na ten widok.

– Boli?

– Tak, czasami, pomimo tych wszystkich prochów. Nie wiem, czy to przez raka, czy operację. W ogóle od jakiegoś czasu dziwnie się czuję, tylko myślałam, że po prostu od przetrenowania.

– Zawsze byłaś dziwna, niestety na to leki ci nie pomogą. W każdym razie – macha nożyczkami – teraz jesteś naćpana i nie możesz podejmować racjonalnych decyzji.

Mindy się śmieje.

– Myślę bardzo racjonalnie. Tnij.

– Jak sobie życzysz. – Zbiera włosy siostrzenicy, robi kucyk, po czym brutalnie obcina. RzUCA go na stolik. Nastolatka potrząsa głową. Włosy sięgają jej tuż za uszy. Wygląda jak skrzat. – Kurczę. Zupełnie inna twarz.

– Skróć je jeszcze bardziej, dobrze? Z prawej strony żeby grzywka opadała na oko. Ciociu J, muszę przyznać, że babcia K się nie myliła. Masz

talent. Dlaczego zostałam naukowcem, a nie fryzjerką?

– Twoja babcia upierała się, żebym zdobyła jakiś konkretny zawód. W liceum chciałam pojechać na obóz astronomiczny, bo marzyłam o studiowaniu astrofizyki. Zamierzałam pracować w NASA, zostać astronautką. Babcia stwierdziła, że moje plany są idiotyczne, i dała mi wybór: albo zatrudnię się na lato w pizzerii, albo pójdę do szkoły fryzjerskiej. Powiedziała: „Juliet, powinnaś mieć fach w ręku. Obóz astronomiczny to na pewno fajna zabawa, ale musisz mieć plan B, na wypadek gdybyś nie dostała się na studia”. – Juliet zabiera się do precyzyjnej pracy: układania i podcinania włosów. Po raz pierwszy w życiu cieszy się, że gdy miała siedemnaście lat, wzięła udział w letnim kursie fryzjerskim. W myślach dziękuje nieżyjącej już od pięciu lat matce, że ją do tego namówiła. – Byłam na nią wściekła. Rozumiałam, dlaczego kazała mi tak zrobić, ale przez parę tygodni się do niej nie odzywałam. Ostatecznie zamiast astrofizyki zaczęłam studiować genetykę i zgłosiłam się do programu astronautycznego w NASA. Chciałam zostać specjalistą do spraw ładunku. Doszłam do ostatniego etapu rekrutacji, wtedy mnie odrzucili. Miałam jednak sporo ofert pracy; ostatecznie zatrudniłam się w laboratorium kryminalistycznym w Krajowym Biurze Śledczym w Kolorado.

– Pewnie pękała z dumy. Taka praca to nie byle co.

Juliet parsknęła śmiechem.

– Ucieszyła się, że będę miała stały dochód, ale powiedziała, żebym na wszelki wypadek nie wyrzucała certyfikatu ukończenia kursu fryzjerskiego, bo może się przydać jako plan awaryjny.

– O kurczę.

– No, serio.

Juliet jeszcze trochę podcina włosy dziewczynie. Nigdy nie czuła się zbyt mocno związana ze swoją matką. Kathleen Ryder sama wychowała dwoje dzieci, bez pomocy ich biologicznego ojca, z którym się rozwiodła, gdy młodsza córka była jeszcze niemowlęciem. Juliet kiedyś go odszukała w internecie. Mieszkał w Oregonie, z żoną – higienistką stomatologiczną. Splodził z nią trzech dorodnych synów i najwyraźniej dla własnej wygody zapomniał o istnieniu swojej pierwszej rodziny.

Kiedy Juliet miała dwa lata, a Lauren trzynaście, Kathleen ponownie wyszła za mąż. Parę lat później ich ojczym zginął podczas napadu. Wtedy Kathleen przemieniła się w surową, zasadniczą, szczerą do bólu i nieco zgorzkniałą samotną matkę. Juliet zawsze odnosiła wrażenie, że z jakiegoś powodu Kathleen uważała, że to przez nią życie jej się nie ułożyło.

Juliet nie pamiętała żadnego z ojców, a matka często jej mówiła, że to żadna strata. Juliet nie do końca się z tym zgadzała. Chyba fajnie mieć tatę.

Matka z kolei uwielbiała Lauren. Trzymały się razem, więc Juliet czuła się odstawiona na boczny tor. Lauren spełniała wszelkie oczekiwania, całym sercem była przywiązana do domu, natomiast outsiderka Juliet zawsze marzyła o czymś więcej, dlatego przy pierwszej sposobności wyjechała.

Kiedy Kathleen zmarła na udar, Juliet długi czas chodziła przygnębiona, ale z drugiej strony odczuwała ulgę, do której nie potrafiła przyznać się nawet przed samą sobą. Wiedziała, że nigdy nie wypełniłaby woli matki, która pragnęła, aby młodsza córka – tak samo jak ona – wiodła skromne, spokojne życie.

O tym jednak nie wspomina Mindy.

Poza tym w Biurze Śledczym dobrze się odnalazła. W swojej dziedzinie uchodziła za gwiazdę. Opracowywała nowe metody sekwencjonowania DNA, które zmieniały sposób prowadzenia śledztwa i zwiększały szansę na jego pozytywne zakończenie. To jej wystarczało, przynajmniej na razie. Mimo wszystko do tej pory Juliet niekiedy staje w nocy z kieliszkiem wina przy teleskopie na tarasie swojego domu i myśli o niespełnionych marzeniach. No i umie sama obciąć sobie włosy, oszczędzając w ten sposób na czarną godzinę.

A teraz, pod wpływem impulsu, zrobiła siostrzenicy fryzurę o kilkadziesiąt centymetrów krótszą. Zachwycona dziewczyna przesuwa dłonią po głowie. Nawet Juliet musi przyznać, że panna wygląda ślicznie. Obcina ostatni długi kosmyk i podaje swojej klientce lusterko.

– Och, ciociu, idealnie!

Dokładnie w tej chwili do sali wraca Lauren.

– Na miłość boską, co tu się dzieje?

Słyszając potępiający głos siostry, Juliet stara się nie kulić ogona. Nie jest to łatwe: szok i gniew wygrały z opanowaniem Lauren, która teraz brzmi niemal dokładnie tak jak ich matka.

Juliet prostuje plecy.

– Sprawiałam twojej córce nowy fryz.

Lauren wygląda jak wyciągnięta psu z gardła. Niewykąpana, z rozmazanym eyelinerem i zjedzoną szminką. Jej ubrania są wygniecione, a kości policzkowe tak mocno zarysowane, jakby się głodziła. Juliet nie widziała jej od paru miesięcy, a przed tym ostatnim koszmarnym dniem Lauren schudła jeszcze bardziej. Tak samo jak jej córka, zawsze całkowicie skupia się na zwycięstwie, co odbija się na osobach z otoczenia. Juliet niemal jej współczuje. Zmusza się do uśmiechu i rozkłada ręce, żeby przytulić siostrę.

– Cześć, tak w ogóle.

Lauren rzuca jej jeszcze jedno złe spojrzenie i idzie prosto do łóżka.

– Melindo. Coś ty, do licha, pozwoliła sobie zrobić?

Mindy uśmiecha się od ucha do ucha i kładzie dłoń na potylicy, chwając się nową fryzurą.

– Nie podoba ci się, mamo?

– Nie, ani trochę mi się nie podoba. Do jasnej cholery, co ci strzeliło do głowy? – Odwraca się do Juliet. – Odbiło ci? Podobno jesteś dorosła. Zostawić was same na pięć minut i...

– Spokojnie, skarbie. Od tego są ciocie... Od rozpieszczania swoich siostrzenic.

– Ty... ty...

Mindy wybucha śmiechem. Słyszając to, Lauren odwraca się do łóżka i unosi palec, gotowa ją zbesztać. Ale widok świeżo ostrzyżonej córki, która chichocze bez troski, wystarcza, żeby ją rozbroić.

– Z czego tak się chichrasz?

– Uprzedziłam ciocię J, że się wkurzysz. – Z ciepłym uśmiechem na bladej twarzy wyciąga rękę do matki. – Dziękuję, że się zdenerwowałaś.

– Co? O czym ty gadasz?

Juliet doskonale wie, w czym rzecz. Mindy to mądra dziewczyna, w ogóle nie chodzi jej o włosy. Chciała, żeby matka znowu zaczęła ją traktować jak człowieka, jak swoją córeczkę, nie jak pacjentkę, która być może umiera.

Mindy podaje jej gałązkę oliwną. Odgarnia kosmyki z czoła.

– Ciocia może mi obciąć też grzywkę, żebym nie wyglądała jak punkowa.

Lauren strzepuje jej włosy na prawe oko.

– Nie. Tak jest ładnie. Nawet ślicznie. – W jej głosie znowu pojawia się ton: moja córka niedługo umrze.

Mindy cofa głowę.

Juliet puszcza do niej oko.

– Lauren, skoczmy na kawę? Tyle czasu się nie widziałyśmy, a pannie Melindzie przydałaby się drzemka.

– Nieprawda – zaprzecza nastolatka, ale oczy same jej się zamykają. W czasie gdy siostry się kłóciły, pompa podała jej dawkę morfiny, więc Mindy odpływa.

Lauren poprawia poduszkę i całuje córkę w czoło.

– O twoich wybrykach porozmawiamy później, młoda damo. Tymczasem prześpij się, a ja pójdę spuścić lanie twojej ciotce.

– Przyłóż jej porządnie, mammo – mamrocze Mindy, już zasypiając, z jedną dłonią nadal we włosach i z uśmiechem na twarzy.

Lauren kiwa palcem na siostrę: proszę za mną. Juliet wie, że dostanie niezły ochrzan. Kiedy mijają dyżurkę, pielęgniarki Hazel nie ma przy biurku, więc sama chowa nożyczki do górnej szuflady.

Idą do małego pokoju na końcu korytarza. Pomieszczenie jest dźwiękoszczelne. Może wyciszono je po to, żeby rodzice mieli gdzie wykrzyczeć swoją rozpacz?

Kiedy drzwi zamykają się z soczystym kliknięciem, Lauren odwraca się do Juliet.

– Znikam na pięć minut, a ty już rozrabiasz. – W jej napomnieniu nie ma jednak gniewu. Opiera się o ścianę, chowa twarz w dłoniach, potem

przeciera oczy pięściami.

Juliet dotyka jej ramienia, ale Lauren kuli się i strząsa jej dłoń.

– Bardzo mi przykro.

– Dlatego, że bez mojej zgody obcięłaś włosy Mindy, czy dlatego, że umiera?

– Nie umiera. W każdym razie jeszcze nie. Lekarze dopiero postawili diagnozę. Musisz cierpliwie poczekać. Ostatnio medycyna robi tak nieprawdopodobne postępy, że...

– Łatwo ci powiedzieć. To nie twoja córka.

Juliet się wzdryga.

– Lauren, nie atakuj mnie. Przyszłam wam pomóc. Powinnaś teraz zachowywać się wobec Mindy zwyczajnie po ludzku, nie jak apodyktyczna matka. Zadusisz ją swoim smutkiem.

– O czym ty mówisz?

– Poprosiła, żebym obcięła jej włosy, bo i tak wypadną.

– Tego nie wiemy.

– Mindy wie. Przed tobą udaje, że jest dzielna, a ty ją traktujesz tak, jakby już leżała w grobie.

– Nie masz pojęcia...

– Właśnie że mam. Widziałam, z jaką miną weszłaś do sali. I to twoje spojrzenie rannej sarny... Dla dobra Mindy powinnaś być silna i traktować ją jak wojowniczkę, którą przecież jest. Nic jej nie powstrzyma, nawet rak. Przestań zachowywać się tak, jakby dostała wyrok śmierci. – Kończy i rusza do drzwi.

– Zaczekaj – nakazuje Lauren, więc Juliet przystaje. – Przepraszam. Po prostu jestem roztrzęsiona. Wiem, że chciałaś pomóc.

– Tak już lepiej – przyznaje Juliet. – Mnie też miło cię widzieć.

Siostra przytula ją ze skrucą. Juliet nie próbuje wywinąć się z uścisku. Odnosi wrażenie, że kości jej siostry są wydrażone i niesamowicie kruche, zupełnie jakby pod golfem była pusta.

– W pracy wszystko dobrze? – zmienia temat Lauren.

- Jak najbardziej. Jestem szczęśliwa, jeżeli o to pytasz.
- Masz jakiegoś kawalera?
- Kawalera? Co ty, urwałaś się z lat czterdziestych? Zaraz mi tu jeszcze wyjedziesz z papilotami.

Lauren posyła jej tak surowe spojrzenie, że Juliet parska śmiechem.

– Nie, nie mam żadnego kawalera. Praca pochłania mnie całkowicie. Brakuje mi czasu na życie towarzyskie.

– Powinnaś o tym pomyśleć. Nie robisz się coraz młodsza i...

– Nie. W ten sposób nie będziemy rozmawiać. Już dosyć krytyki nasłuchiwałam się od mamy. A jak Jasper się trzyma?

Twarz siostry się rozjaśnia. Juliet kocha Jaspiera jak brata. Ciepło jej się robi na sercu, kiedy widzi, że tyle lat po ślubie nadal są zgodnym małżeństwem.

– W porządku. To dla nas bardzo trudne chwile. Jasper próbuje pogodzić obowiązki zawodowe z wizytami w szpitalu. W razie potrzeby bierze wolne, ale czeka na niego mnóstwo spraw, nie może w nieskończoność siedzieć na urlopie. Teraz właśnie jedzie do kancelarii przekazać część spraw młodszym współpracownikom.

– Ale ja pytam, jak on się czuje. Tak naprawdę.

– Jest przerażony – odpowiada szeptem Lauren i opada na brązową skórzaną kanapę. – Jak miałyby się czuć?

– Rozumiem. Zdaje się, że Mindy nieźle to wszystko znosi.

– Przez dokładnie pięć minut była zafascynowana szczegółami operacji, nacięciami, szynami. Kazała mi zrobić zdjęcia z każdej strony. Obejrzała je i powiedziała: „O rany, ale masakra”.

– Cała ona.

– A potem dodała: „Powiedz mi prawdę. Widzę, że coś jest nie tak. Zostanę kaleką do końca życia czy co?”. – Lauren pociąga nosem. – No to jej powiedzieliśmy. Boże drogi, ileż ona ma siły. „Będę walczyła, wygram i wrócę do treningów, żeby zdążyć przed olimpiadą”. Nie wyjaśniliśmy jej, że to niemożliwe...

– I dobrze. Przecież sami nie wiecie tego na sto procent. Lauren, Mindy to fajterka. Ma wielkie serce i jeszcze większą siłę. Bardzo możliwe, że dopnie swego.

Oczy Lauren się zamykają. Spod jednej powieki wypływa łza.

– Obyś się nie myliła.

– Powinniście przynajmniej pozwolić jej spróbować. Jestem przy was. I przy Mindy. Pomogę wam, jak tylko zdołam.

– Jesteśmy ci niewymownie wdzięczni. – Lauren znowu robi się drętwa, oficjalna. Wstaje z kanapy i energicznie rozciera ręce o spodnie. – No, chodźmy pogadać z tym moim uparciuchem.

– Słuchaj, poważnie, możecie na mnie liczyć.

– Wiem. Dziękuję. – I wypada z pokoju, znowu całkowicie pozbierana i opanowana.

Juliet idzie za nią, kręcąc głową. Z tą kobietą jest coś nie tak. Podobnie jak z jej córką.

DOM WRIGHTÓW TRZY TYGODNIE PÓŹNIEJ

Mindy z profesjonalnym dystansem ogląda relację FIS Cup w Lake Louise. Dusi w sobie zazdrość na widok Shiffrin, która jak zwykle świetnie wygląda i błyskawicznie pokonuje trasę. To ona powinna brać udział w tych zawodach. Niemal czuje smak kanadyjskiego śniegu, zimno przenikające aż do szpiku kości i słyszy, jak jej narty stukają o zamrożone podłoże. Niestety jest w Vail, w swoim ciepłym, przytulnym pokoju, a nie z zawodnikami. Totalna kicha.

Dobrze chociaż, że wypuścili ją ze szpitala. Myślała, że tam zwariuje. Nieustanne hałasy, jasne światła, zastrzyki o każdej porze dnia i nocy... Nie ma to jak w domu.

Wyłącza telewizor i wysyła SMS-a z gratulacjami, ignorując ucisk w żołądku. Dla niej sezon się skończył, a szanse na dołączenie do reprezentacji olimpijskiej stanęły pod znakiem zapytania. Ma już wszystkiego serdecznie dosyć. Tego byczenia się w łóżku. Braku ruchu. Bólu, który siedzi głęboko niczym najgorsze zakwasy po przetrenowaniu, ale nie jest to taki dobry ból jak po nadmiernym wysiłku. Ten ból jest zły. Obcy. Czuje go już od jakiegoś czasu, pojawił się co najmniej dwa miesiące przed wypadkiem, a kiedy jego przyczyna została nazwana, znosi go jeszcze gorzej.

Rak.

Wkurza się. Na cały świat. Na rodziców, lekarzy, ten cholerny pręt w nodze i na fizjoterapeutów, którzy pozwalają jej tylko wyciągać ręce do góry i wolno pedałowac na rowerku stacjonarnym, i to wyłącznie zdrową nogą. Wścieka się, bo coś niewidocznego zżera ją od wewnątrz, bo ciągle ma mdłości, chociaż bierze leki przeciwwymiotne, bo co rano po przebudzeniu czuje dziwną pustkę, jakby powoli stawała się wydrążona w środku.

Dzięki Bogu za ciocię Juliet. Przynajmniej ona traktuje ją normalnie.

Rodzice stali się nadopiekuńczy. W relacjach z nimi pojawiła się pewna zmiana, subtelna, lecz podstępna. Matka za każdym razem spogląda na Mindy z przerażeniem, jakby w obawie, że widzi ją żywą po raz ostatni. Tata zawsze postępował ostrożnie, ale nigdy nie próbował jej ograniczać. Aż do teraz. Ich dobre chęci, miłość i uwaga ją przytłaczają.

Dziwne, bo Mindy znajdowała się już w groźnych sytuacjach, mimo to w oczach matki zawsze wtedy widziała jedynie ogień. Mama posyłała ją na szczyt góry bez choćby krótkiej przestrogi: „Uważaj na siebie, nie szarżuj”. A przecież ryzyko śmierci było ogromne podczas tych dziewięćdziesięciu sekund, gdy pędziła po oblodzonym zboczu z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę.

Oczywiście to rozumiały, że się martwią, ale chętnie znowu zobaczyłyby ten ogień w oczach matki zamiast strachu i zamyślenia. I nie miałyby nic przeciwko temu, żeby tata się z nią kłócił, zamiast spełniać każdą jej zachciankę.

Może czas poprosić o taki mały kabriolet BMW, jaki widziała na parkingu przed szpitalem, kiedy przyjechała na pierwszą chemioterapię.

Jezu, ale się wtedy pochorowała. Nigdy nie przeżyła czegoś podobnego. Dopiero po paru dniach lekarzom udało się znaleźć taką mieszankę leków przeciwwymiotnych, że przestała rzygać jak kot. Nawet teraz chce jej się krzyczeć, kiedy przypomina sobie dwie ostatnie chemie i wie, że trzeba jechać na następną dawkę jutro, a potem w przyszłym tygodniu i znowu za dwa tygodnie.

Ale nie będzie krzyczeć. Musi pogodzić się z tą nową rzeczywistością. Nie stanie na podium. Dopadła ją naprawdę poważna choroba, więc musi pozwalać lekarzom, rodzicom i cioci, żeby trzymali ją za rękę i zagłaskiwali na śmierć.

Och, jak by było cudownie, gdyby mama chociaż na dzień dała jej spokój. Na jeden, jedyny dzień. Mogłaby wtedy odetchnąć. Odkąd przed trzema tygodniami zjechała z tamtej góry, właściwie ani na chwilę nie została sama. Znajdowała się pod nieustanną czujną obserwacją rodziców, cioci i lekarzy; od tego braku prywatności i ciszy powoli zaczyna jej odbijać.

Mogłaby poprosić rodziców, żeby wyszli z domu, wybrali się do restauracji i do kina, tyle że nie zniosłaby widoku zranionego spojrzenia mamy, jej oczu wypełnianych się łzami na myśl, że choć na parę godzin rozstałaby się z córką.

Nieporadnie zmienia pozycję, jak flaming podwija pod siebie prawą nogę. Gips jest ciężki, niewygodny, w nocy uderza się w niego kostką i goleniem zdrowej nogi. Już jej zdjęli stabilizator; ciało pod gipsem wydziela oleisty, nieświeży zapach; cięcie co prawda goi się dobrze, jednak swędzi jak cholera. Mindy marzy o tym, żeby umyć głowę, wejść pod prysznic i wygrzać obolałe kości w gorącej wodzie, ale nawet tego nie może zrobić, bo nie wolno zamoczyć gipsu.

Cholera, musi wreszcie stąd się wyrwać. Musi też żyć, choć na razie wystarczy, jak wstanie z łóżka, wyjdzie z pokoju i z domu. Żeby trochę się poruszać.

Mogłaby ostrożnie poćwiczyć jogę. Nie dostała na to zgody lekarzy, ale Mindy nie należy do ludzi, którzy proszą o zgodę. Tak, joga zapewni jej odrobinę ruchu. Dziewczyna przeszukuje szuflady, nie może znaleźć ulubionego topu. Pewnie mama go uprała i powiesiła do wyschnięcia.

Podpierając się kulami, idzie przez korytarz do pokoju rodziców.

Uwielbia go. Cały dom bardzo jej się podoba, lecz ten pokój to prawdziwy ideał. Mindy podobnie jak mama lubi minimalistyczny styl. Ściany tej sypialni są kremowe i w jasnozielonym odcieniu szalwii, sklepienie tworzą bele z drewna cedrowego, z okna rozciąga się panoramiczny widok na zbocze góry i zielone, teraz ośnieżone drzewa. Obrazek jak z pocztówki. Latem też jest tu pięknie, tak samo jesienią, kiedy liście osik stają się żółte, ale Mindy najbardziej kocha krajobraz zimowy. Ich dom zbudowano tak, by przez okna od podłogi do sufitu można było podziwiać okolicę. Cały ostatni tydzień Mindy spędziła przy kominku, patrząc na sypiący śnieg i tęskniąc za jego smakiem, teksturą, za nartami, które suną po śniegu niczym palce po ciele kochanka.

Staje w progu sypialni rodziców i z zaskoczeniem patrzy na swoją mamę. Lauren trzyma jakąś kartkę, która wygląda jak wyrwana z kołonoatnika, stoi przed toaletką i płacze.

– Mamo? Co się stało?

Kobieta ociera oczy, wkłada kartkę do otwartej szuflady i szybko odwraca się do córki – a wszystko to robi jednym płynnym ruchem. Na twarzy ma przyklejony uśmiech. Wygląda na bardzo zmęczoną.

– Kochanie! Co ty tu robisz? Myślałam, że drzemiesz. Powinnaś odpoczywać.

– Nudzę się jak mops, więc pomyślałam, że trochę poćwiczę jogę. Nie bój się, tylko rozciąganie. Gdzie mój żółty top?

– Na sznurku do prania. Może dam go do suszarki, żeby się trochę ogrzał?

Lauren idzie do pralni sąsiadującej z pokojem, wrzuca koszulkę do bębna, potem zaczyna składać ręczniki. Mindy, która przycupnęła na brzegu łóżka, kątem oka zerka na toaletkę. Co mama czytała? Czy to coś związanego z chorobą?

Lauren stoi tyłem do niej. Mindy mogłaby szybko zajrzeć do szuflady, ale właśnie w tej chwili suszarka się wyłącza i mama wraca do pokoju.

– Proszę, kochanie. – Wyciąga rękę i niemal od razu ją cofa. – Tylko żebyś sobie nie zaszkodziła, dobrze? Nie przemęczaj się.

Mindy bierze od niej top i wiesza na lewej kuli.

– Dobrze.

Kuśtykając, wychodzi. Matka rusza w przeciwnym kierunku – do salonu. Nastolatka bez namysłu po cichutku wraca do sypialni rodziców i idzie prosto do toaletki. Zasługuje na prawdę, całą prawdę o swojej chorobie.

Okazuje się jednak, że to coś innego.

Kartka, trochę poszarzała ze starości, ma wystrzępione i miękkie brzegi, jakby ktoś czytając, przesuwiał po nich palcami. Charakter pisma, którego Mindy nie rozpoznaje, jest jeszcze niewyrobiony, dziewczęcy i zaokrąglony.

14 grudnia 1993

Najukochańsza Liesel!

Bardzo się ucieszyłam z Twojego listu. Nawet nie zdążyłyśmy się pożegnać. O rany, ale za Tobą tęsknię. Tutaj jest okropnie nudno. Bez

Twojej pogody ducha Suka i reszta są jeszcze bardziej gburowaci. Myślę, że oni też za Tobą tęsknią. Mam nadzieję, że nie wypuścili Cię zbyt szybko. Bardzo się martwię o Ciebie. Jak się czujesz? Nie tniesz się?

Dzisiaj mieliśmy robótki ręczne. Zgadnij, jaki to dzień. Tak, brawo, wtorek. Przysięgam, że jeżeli zobaczę jeszcze choć jedną głupią ręcznie malowaną wycieraczkę, skoczę z dachu. Powiedziałam im to, a potem bardzo widowiskowo zemdlałam. Padłam jak kłoda u ich stóp i dlatego teraz piszę, zamiast siedzieć z grupą. Znowu mnie zamknęli, na całe pięć godzin. Wypuścili dopiero wtedy, kiedy obiecałam, że przestanę dramatyzować.

Czy to nie dlatego wszyscy tu trafiliśmy? Bo dramatyzujemy? Oprócz Ciebie. Ty miałś prawdziwy powód.

Co słyszać w wielkim świecie? Czy na wolności niebo jest bardziej niebieskie? Słońce świeci jaśniej? Pewnie przepisali Ci mnóstwo prochów, więc po prostu śpisz całymi dniami. Ja chyba też się kimnę. Może znowu przyśni mi się mama. To było takie fajne! Napisz do mnie!

Buziaki i szwy,

V

Mindy nic z tego nie rozumie. Kim jest Liesel? I ta anonimowa „V”, która napisała list? 1993 rok? To wiele lat temu, jeszcze zanim Mindy się urodziła. Liczy: mama skończyła czterdzieści jeden, więc w '93 miała szesnaście.

Była tylko trochę młodsza od Mindy.

Słyszysz wołanie: „Córeczko? Gdzie jesteś?”; serce zaczyna jej bić gorączkowo. Chowa list z powrotem do szuflady, przykrywa go bielizną i oddala się od toaletki. Dochodzi już do pralni, kiedy mama pojawia się w progu.

– Co robisz?

– Zapomniałam ręcznika – odpowiada nonszalanckim tonem i łapie puchaty ręcznik ze stosiku.

Mama uśmiecha się szeroko.

– Oj, ty gapo, powinnaś mnie zawołać, przecież bym ci przyniosła. Posiedzieć z tobą, kiedy będziesz ćwiczyła? Pomogłabym ci jakby co.

Mindy dusi w sobie jęk.

– Jasne, mamó. Byłoby miło.

„Buziaki i szwy”. Kurczę, co to w ogóle znaczy?

SZPITAL W VAIL

Przyjeżdżają do szpitala o siódmej rano, z kocem, słuchawkami, kapciami z futerka i miękką poduszką. Mindy milczy. Zachowuje stoicki spokój, ale Lauren widzi, że córka nie czuje się dobrze. Co się zmieni po kilku tygodniach leczenia? Nadal będzie chora?

Lauren cierpi z powodu swojej bezużyteczności, w żaden sposób nie potrafi pomóc własnemu dziecku. Może karmić, myć i kochać córkę, ale nie może zniszczyć tego czegoś, co w niej rośnie. To doprowadza kobietę do szału, stoi tuż nad przepaścią. Wracają stare pokusy, walczy z nimi jak pies warczący przy ogrodzeniu. Nigdy więcej.

W końcu udaje im się rozpakować. Pielęgniarka wiesza na stojaku worek ze straszliwym lekarstwem, wprowadza wenflon do żyły w ręce Mindy. Lauren poprawia kołdrę i cienki koc, przykłada do czoła córki ściereczkę namoczoną w chłodnej wodzie.

Jasper spędza z nimi pierwszą godzinę, potem musi wracać do pracy. Na szczęście Lauren wykonuje wolny zawód – może zostać i nikt się na nią nie wkurzy. Od kilku tygodni odwołuje wszystkie spotkania i wernisaże. Nie maluje. Nie przyjmuje zleceń. Z nikim się nie umawia. Bez przerwy jest przy Mindy – jak na prawdziwą matkę przystało. Nie potrafiłaby choćby na chwilę zostawić córki samej. Tak jakby się bała, że chwila nieuwagi i śmierć zabierze jej dziecko.

Tak, to irracjonalne, nic jednak nie może na to poradzić. Z każdym uderzeniem jej serce krzyczy: żyj, żyj, żyj! Schudła, tak samo jak Mindy. Obie mają ciemne kręgi pod oczami. Ale walczą. Razem.

Dziewczyna lekko zmienia pozycję i gwałtownie, ale cichutko wciąga powietrze. Spogląda na mamę z bólem w oczach, przeprasza ją. Lauren musi się powstrzymać, żeby nie wybiec na korytarz i nie zacząć się domagać leków przeciwbólowych. Lekarze przestali już podawać pacjentce

morfine, choć chemia przysparza jej tyle samo cierpienia, ile rany po operacji. Co osiem godzin wolno jej wziąć jeden opioidowy lortab. Tylko jeden. Na wypadek gdyby w przyszłości trzeba było zwiększyć dawkę. Tabletki trochę pomagają, ale czasami okazują się za słabe i ból staje się tak straszliwy jak bez żadnego znieczulenia.

Kiedy ją boli, wygląda jak pięcioletnia dziewczynka, a nie odnosząca sukcesy młoda kobieta. To wstrząsający widok. Zupełnie jakby chemioterapia odbierała jej lata życia.

– Och, kochanie. Dać ci słuchawki? A może coś opowiedzieć, żebyś się skupiła na czymś innym?

– Tak, opowiedz coś.

– Dawno, dawno temu mieszkała w lesie dziewczynka...

Mindy teatralnie przewraca oczami.

– Mamo. Poważnie? Bajka?

Lauren układa się wygodniej na cienkim materacu.

– Bajki są dobre dla duszy.

– A nie możemy znowu obejrzeć Dźwięków muzyki?

Mindy nadal uwielbia ten film – tak samo jak wtedy, gdy jako sześciolatka obejrzała go po raz pierwszy. To jej jedyna dziecinna cecha, ta obsesja na punkcie Julie Andrews, która wiruje na łące i śpiewa o górach.

– Teraz potrzebujesz solidnej dawki fantazji.

– Nie mam siedmiu lat, tylko siedemnaście. A Sarah J. Mass? Może przeczytałabyś mi kawałek jej książki?

– Masz siedemnaście lat, jeszcze nie osiemnaście – śpiewa Lauren ładnym sopranem. Mindy śmieje się, choć z wysiłkiem, cicho. Jest koszmarnie osłabiona. Chemioterapia już jej zabrała mięśnie, energię, witalność. Powoli ją zabija i obie o tym wiedzą. Trucizna płynie w żyłach niczym rwąca rzeka: nieustępliwie, bez końca, bez namysłu, nie przejmując się konsekwencjami. – W jej książkach jest za dużo sprośnych scen. Skarbie, nie przewracaj oczami. Myślisz, że przeczytam ci powieść dla dorosłych? Obie spaliłybyśmy się ze wstydu. Ale mamy telewizor. Wybór

należy do ciebie: obejrysz Dni naszego życia albo opowiem ci bajkę o śpiącej królewnie.

– Błę. Nie cierpię telenoweli. Poproszę Śpiącą królewnę.

– A widzisz? Jak już mówiłam...

Przerywa im pukanie do drzwi. Wchodzi doktor Oliver. Po jego poważnej minie widać, że nie przynosi dobrych wieści.

– Zadzwoń do Jaspera? – pyta natychmiast Lauren, a lekarz przytakuje.

Jest mu wdzięczna za tę szczerłość. Na samym początku Mindy kazała całej trójce obiecać, że nie będzie żadnego zamykania drzwi, rozmów na korytarzu, ukrywania się po kątach i przekazywania sobie szeptem wiadomości, na przykład o najnowszych wynikach badań. Wszyscy dostają nowe informacje w tym samym czasie. Tylko w ten sposób Mindy może kontrolować sytuację. Nie chce upiękzonej wersji prawdy.

Lauren wystukuje numer męża; Jasper odbiera natychmiast.

– Co się dzieje?

– Doktor Oliver chce nam coś przekazać. Przełączam cię na głośnik. – Wciska guzik, wyciąga komórkę w stronę lekarza, drugą ręką ujmując dłoń Mindy.

– Przykro mi, właśnie dostaliśmy wyniki badań i okazuje się, że nowotwór jest bardziej agresywny, niż nam się wydawało. Uważamy, że należy od razu zrobić przeszczep szpiku kostnego, i to szybko.

– Przynajmniej to nie będzie bolało – kwituje Mindy ze słabym uśmiechem.

Przedyskutowali już wszelkie kwestie medyczne związane z przeszczepem. Rzeczywiście, to nie będzie bolało. Ale może ją zabić.

– Weźcie mój – rzuca Lauren. – Natychmiast. Chodźmy.

Doktor Oliver uśmiecha się łagodnie.

– Zaraz państwa przebadamy pod tym kątem. O której pan może tu dotrzeć?

– Już wsiadam do samochodu. Będę za piętnaście minut. – Rozłącza się.

Lekarz oddaje telefon Lauren. Staje z drugiej strony łóżka i zwraca się bezpośrednio do pacjentki:

– Już rozmawialiśmy o tej ewentualności. Przeszczep często okazuje się konieczny. Ostra białaczka szpikowa to paskudne choróbko, nie poddaje się tak łatwo. Poprosiłem o współpracę swojego kolegę z Bostonu. Będzie nadzorował transplantację, dopilnuje, żebyśmy pozyskali idealne komórki macierzyste. Spuścimy niezłe lanie tej zołzie. Musisz tylko walczyć z całych sił.

Gładzi dłonią jej łysiejącą czaszkę. Oczy Mindy w wychudzonej twarzy są wielkie, ale czyste, nie ma w nich łez, nic oprócz ognia.

– Tak, panie doktorze. Dajcie mi trochę porządnych komórek i skopmy dupę tej zdirze.

– Mindy... – upomina córkę Lauren, ale lekarz przytakuje z wyraźnym zadowoleniem.

– Grzeczna dziewczynka. Wygrasz tę walkę, moja droga. Jesteś typem zwycięzcy. Mam dobre przeczucie. No, wracam do roboty, a ty odpoczywaj. Przed nami ważne dni!

Skinieniem głowy żegna się z Lauren, która – pomimo karcącego spojrzenia córki – wychodzi za nim na korytarz.

Lekarz kręci głową i mówi na tyle głośno, żeby dziewczyna słyszała:

– Proszę pani, w tej chwili nic więcej nie mogę powiedzieć. Wciąż nad tym pracujemy. Prosiłbym tylko, żeby skontaktowali się państwo z jak największą liczbą osób z rodziny. Zrobimy badania pod kątem zgodności tkankowej. Ciocie, wujkowie, kuzyni... liczą się wszyscy.

– Cóż, Jasper jest jedynakiem, a ja mam tylko siostrę. To nasza jedyna krewna.

– Oby więc się okazało, że wśród waszej trójki znajdziemy dawcę. Im bliższe pokrewieństwo, tym lepiej. Mniejsze ryzyko odrzucenia przeszczepu.

Lauren zniża głos.

– Panie doktorze? Proszę powiedzieć mi szczerze. Jakie ona ma szanse?

Uśmiecha się i klepie ją po ramieniu.

– Naprawdę duże. Mój kolega z Bostonu jest najlepszym specjalistą. Stworzył najbardziej zaawansowane procedury. Wielu jego pacjentów

z AML po przeszczepie komórek macierzystych wróciło do zdrowia. Mindy będzie w najlepszych rękach.

Lauren bez przekonania kiwa głową.

– Lepiej niech pani do niej wróci. Co prawda jest wyjątkowo silna, ale nie powinna dźwigać takiego ciężaru w samotności. Proszę dać mi znać, kiedy mąż przyjedzie. I niech pani sprowadzi tu swoją siostrę.

– Dobrze, dziękuję.

Podeszwy białych butów skrzypią po podłodze, kiedy odchodzi. Lauren odnosi wrażenie, że oczy wszystkich – dzieci, pielęgniarek, innych lekarzy – są zwrócone na nią. Nadciąga kolejna burza śnieżna. W tym roku zima jest wyjątkowo ostra, jakby opłakiwała swoją utraconą towarzyszkę zabaw. Słońce znika, pozostawiając Lauren w cieniu.

Spełniły się jej najgorsze obawy. Chryste.

Uświadamia sobie, że przesuwa paznokciem kciuka po skórze przedramienia tak mocno, aż tworzy się długi, ciemnoczerwony ślad.

Przestań. Na miłość boską, przestań.

Opuszcza rękaw i oblizuje usta, potem głęboko wciąga nosem powietrze i zawraca do sali córki. Po drodze dzwoni do Juliet.

Mindy patrzy na matkę, która wróciła przestraszona, z czerwonymi oczami, i fragment układanki wskakuje na swoje miejsce.

Liesel.

L.

Lauren.

Zawsze uwielbiały Dźwięki muzyki. Liesel to imię najstarszej córki, tej, która ma potajemny romans z młodym żołnierzem i jeszcze nie wie, że to jej przyszły wróg.

Może właśnie jakaś mroczna tajemnica tłumaczy fakt, że matka zachowała ten list?

LABORATORIUM BIURA ŚLEDZCZEGO DENVER, KOLORADO

Juliet siedzi w swoim laboratorium otoczona odgłosami aparatury. Jest w środku badania DNA, kiedy jej asystent Bai woła, że dzwoni siostra. Juliet ani na chwilę nie przerywa testu, tylko prosi o przełączenie rozmowy na głośnik w laboratorium. Nie chce się skazić i zaczynać od nowa. Akurat ten etap pracy wymaga szczególnej ostrożności.

Lauren dyszy, słycać, że płakała. Mówi grubym głosem, przez zatkany nos.

Juliet zatrzymuje aparaturę.

– Co się stało?

– Jak szybko możesz przyjechać?

– Ale co się stało?

– Nastąpiło pogorszenie. Przed chwilą rozmawialiśmy z lekarzem. Muszą natychmiast zrobić przeszczep szpiku kostnego. Prosił, żeby cię tu ściągnąć. Chcą znaleźć jak najbliżej spokrewnionego dawcę.

– A ty i Jasper?

– Jeszcze nie wiemy, czy możemy zostać dawcami. Nasz ubezpieczyciel nie chciał pokryć kosztów badań, dopóki nie okażą się konieczne. Doktor Oliver jest dobrej myśli, organizm Mindy reaguje na leczenie, ale ostatnie wyniki badań są złe. Lekarze od razu zaczęli działać. Z Bostonu jedzie do nas wybitny transplantolog. Całe szczęście, że mamy doktora Olivera, on też jest narciarzem, a do tego wielkim fanem Mindy. Myślę, że gdyby nie on, szanse na...

– Spokojnie. Oddychaj powoli.

W słuchawce rozlega się urywane, nabrzmiałe łzami westchnienie.

– Juliet, proszę.

Strach i błagalny ton w głosie siostry są dobijające. Nigdy przedtem Lauren nie pokazała jej swojej słabości. Nawet w dzieciństwie. Zawsze była mocno ogarnięta. Silna, skupiona, idealna i zdystansowana. Jeżeli teraz prosi, pozwalając, żeby ten mur wokół niej runął, i nie ukrywa przerażenia, to sytuacja rzeczywiście musi być podbramkowa.

Juliet odkłada pipetkę.

– Już jadę. Podobno w nocy spadnie kolejne trzydzieści centymetrów śniegu. Jeżeli natychmiast zacznę się zbierać, powinnam zdążyć przed tą zawieruchą.

– Dziękuję – wyrzuca z siebie Lauren zdyszczym głosem i odkłada słuchawkę.

Pół godziny później Juliet sunie zaśnieżoną autostradą I-70 do Vail. W popołudniowych korkach podróż potrwa jeszcze dwie godziny. Stara się przyspieszyć, dodawać gazu, kiedy to możliwe. Jeżeli zatrzyma ją policja, pokaże im swoją odznakę, wyjaśni sytuację i pewnie zostanie tylko surowo upomniana.

Nie chce myśleć o najgorszym, ale teraz to ona musi być racjonalna. Przeszczep szpiku to skomplikowana sprawa. Tak samo jak w wypadku transplantacji innego organu musi istnieć jak największa zgodność, żeby nie doszło do odrzucenia. Najlepszym dawcą byłby ktoś z rodzeństwa. Cóż, w przypadku Mindy w grę wchodzi tylko jej rodzice i ciotka. Juliet truchleje ze strachu na myśl o oficjalnej bazie dawców. Znalezienie odpowiedniej osoby może potrwać wiele miesięcy – a tyle czasu dziecko z agresywną białaczką szpikową nie ma.

Nigdy wcześniej nie słyszała takiego cierpienia w głosie siostry. Nawet kiedy rozpadło się jej pierwsze małżeństwo, gdy Kyle zawinął się i zostawił ją samą, w ciąży, bez pracy – nawet wtedy Lauren nie zwróciła się do niej z prośbą o pomoc.

Prawdę mówiąc, Juliet nie była zaskoczona rozpadem tamtego związku. Nigdy nie lubiła Kyle'a, od samego początku uważała, że nie jest odpowiednim mężczyzną dla Lauren. Głośny facet o gwałtownym usposobieniu, pozer najgorszego sortu, który nie dostrzegał własnych mankamentów. O ich rozstaniu dowiedziała się dopiero jakiś czas po tym, jak urodziła się Mindy. Wiedziała tylko, że Kyle nie chciał mieć dzieci

i wpadł w szal, kiedy się okazało, że Lauren jest w ciąży. Rozwiedli się więc, a on przeniósł się do Kalifornii.

Cholerny dupek. Paskudny egoista. Jaki mężczyzna odchodzi od żony, kiedy dowiaduje się, że ta jest w ciąży?

Juliet o wiele, wiele bardziej lubi Jaspera. To dobry, inteligentny człowiek, który nieprawdopodobnie kocha Lauren – Mindy też. I to liczy się najbardziej.

Ma poczucie winy, że w ogóle pomyślała o Kyle'u. Nie bez powodu ten temat jest zakazany. Zaraz po ślubie Lauren i Jaspera wszyscy troje umówili się, że o niczym nie powiedzą Mindy. Dziewczyna do tej pory nie zna prawdy o swoim biologicznym ojcu. Kyle odrzucił dziecko, Jasper je przygarnął – w oczach Lauren to czyniło z niego prawdziwego ojca. Juliet czasami wręcz zapomina, że Jasper jest dla Mindy tylko ojczymem.

W tej sytuacji jednak... czy jeżeli nie znajdzie się dawca, Kyle będzie musiał wrócić do ich życia? Mogłoby się zrobić bardzo nieprzyjemnie.

Nie zakładajmy od razu najgorszego, upomniała się w myślach. Któraś z nas na pewno okaże się odpowiednim dawcą.

Zapada zmierzch. Juliet patrzy na pierwsze płatki śniegu w świetle reflektorów i zastanawia się, co przyniosą najbliższe dni.

SZPITAL W VAIL

Lauren z niecierpliwością czeka na przyjazd siostry. Nie potrafi ukryć napięcia. Nerwowo nawija na palce kosmyki włosów. Potem, kiedy spogląda w lustro w łazience i widzi, że są potargane, ma to gdzieś, nawet nie próbuje ich przyglądać. Mindy jest spokojna i opanowana, podchodzi do tej nowej sytuacji z typowym dla siebie stoicyzmem. Po tym, jak pielęgniarka pobiera wymaz z jej policzka, Lauren zostawia córkę z Jasperem i zaczyna krążyć po szpitalnych korytarzach.

Zrobię wszystko. Zrobię wszystko. Błagam. Błagam, modli się w duchu.

Staje tuż przed głównymi drzwiami, wypatruje siostry. Zamieć już się zaczęła, śnieg sypie jak podczas prawdziwej burzy, malutkie, ostre płatki padają tak gęsto, że wkrótce parking traci wyraźny kształt. Kiedy Lauren już zaczyna się martwić, widzi snop światła reflektorów; oddycha z ulgą.

Szybko zróbcie jej wymaz i przynieście wyniki. Nie może myśleć o niczym innym. Na pewno dopisze im szczęście i uratują Mindy.

Juliet idzie do wejścia, machając do siostry. Szybciej, szybciej, ponagla ją bezgłośnie Lauren, chociaż wie, że to nie ma sensu. Wyniki badań DNA będą gotowe dopiero za parę godzin. Przeklina się po cichu – dlaczego wcześniej tego nie zrobili? Dlaczego się nie przygotowali? Nie przewidzieli najgorszego scenariusza?

„Bo ubezpieczenie nie pokryłoby kosztów bezpodstawnych badań”, w głowie słyszy głos Jaspera i aż się wzdryga na myśl o wydatkach na leczenie; pierwszy raz dopuszcza ją do siebie. Mindy próbowała z nimi o tym rozmawiać, ale ją zbyli. Mają świetne ubezpieczenie, ale teraz, kiedy terapia znalazła się na innym etapie, będzie ich to dużo kosztować. Wychowanie sportowca kalibru ich córki wymaga dużych nakładów finansowych. Jasper jako prawnik zarabia naprawdę nieźle, a Lauren dokłada się ze sprzedaży swoich obrazów. Mimo wszystko rachunki ze szpitala, lekarstwa i nowa terapia pochłoną kilkaset tysięcy dolarów, co mocno nadwyręży ich budżet. A jeżeli do tego będą musieli podjąć leczenie eksperymentalne, zgłosić się do testów...

Nie, nie dojdzie do tego. Teraz się uda. Musi się udać.

– Nie zmarłaś? – pyta Juliet, potrząsając głową, z której śnieg sypie się na ziemię.

– Nie – odpowiada, chociaż to nieprawda, bo ziąb przeszył ją aż do szpiku kości. – Chodźmy. Czeka ją na ciebie na górze.

Lauren udaje, że nie widzi, jak Juliet zaciska usta zirytowana tym, że siostra nie przywitała się z nią tak jak trzeba. Od razu wchodzi do środka, wie, że Juliet pójdzie za nią. Trudno, przeprosi ją później, kiedy ta sytuacja nie będzie już tak ponura i przerażająca.

Lauren wcześniej nie potrzebowała Juliet, nigdy tak bardzo, i przez to czuje się okropnie nieswojo. Są tak różne. Naukowiec i artystka. Jedna jest samotnikiem, druga matką, żoną, trenerem. Lauren niekiedy robi się

przykro z powodu dystansu, jaki je dzieli. Potem jednak myśli o Mindy, o jej osiągnięciach, i wie, że postąpiła słusznie, całkowicie poświęcając się córce, chociaż sama musiała się oddalić od jedynej osoby ze swojej rodziny. Tak naprawdę zawsze liczyła się dla niej tylko Mindy – wtedy i teraz.

W windzie próbuje wyciągnąć rękę na zgodę.

– Szkoda, że nie ty robisz te badania. Przynajmniej miałabym pewność, że nie doszło do żadnej pomyłki.

Na twarzy Juliet najpierw pojawia się zaskoczenie, potem nieśmiałe zadowolenie.

– Nie pomyłką się. I na pewno znajdzie się dawca. Doktor Oliver zna się na rzeczy.

– Uwierzyłabym ci bez namysłu, gdyby tylko chemioterapia dawała rezultaty. Juliet, Mindy jest taka słaba. Po chemii czuła się jeszcze gorzej, a pomimo wysiłków doktora Olivera rak nadal zjada ją żywcem.

– Czasami tak się dzieje. Trzymaj się mocno. Nie trać wiary.

– Łatwo ci powiedzieć.

– Lauren, przestań. Martwię się tak samo jak ty.

– Czyżby? – wypala Lauren, a Juliet kładzie dłoń na gardle. Rozlega się dzwonek, kiedy wina się zatrzymuje. – O Boże, bardzo cię przepraszam. Nie mogę spać. Cały czas się zamartwiam, jestem...

– Wiem. Wiem. Więc przestań, dobrze? Przestań na mnie warczeć i przestań przepraszać. Jest jak jest. Chodźmy do Mindy. Najpierw chcę ją uściskać, potem zrobię sobie wymaz.

Wieczorem, jeszcze przed zamknięciem bufetu, Juliet wysłała Lauren i Jaspera na kolację. Oboje są wykończeni i bladzi. Nakazuje im zjeść solidny, gorący posiłek i trochę odpocząć. Chętnie przez jakiś czas sama zajmie się Mindy.

Lauren zaczyna protestować, ale Jasper łapie ją za rękę i z wdzięcznością uśmiecha się do Juliet.

– Widzimy się za godzinę.

– Dwie. Mnie się nie śpieszy.

Mindy przespała ostatnie godziny. Emocjonujące wydarzenia dnia tak ją wyczerpały, że w końcu odpłynęła.

Juliet staje w nogach łóżka i patrzy na nią z miłością. Siostra stworzyła precudowną istotę. I wychowali ją z mężem na wspaniałą młodą kobietę.

Kątem oka widzi czerwone światelko. Na elektronicznym wyświetlaczu wiszącym na przeciwległej ścianie pojawia się aktualizacja. To najnowocześniejszy system – wyniki pokazują się tuż po zakończeniu badań. Juliet nie może się oprzeć, podchodzi do tablicy. To wyniki testu DNA. Na pewno. Akurat w tej chwili.

Lada moment wejdzie lekarz i powie, kto zostanie dawcą.

Albo ona sama to sprawdzi...

Spędziła w tej sali tyle czasu, że pamięta hasło. Pielęgniarki nie próbują go ukrywać – komu by przyszło do głowy włamywać się do systemu, żeby przeczytać opis wyników badań pełen naukowej terminologii, tak skomplikowany, że większość laików by go nie zrozumiała?

Ale Juliet nie jest laikiem.

Jeszcze raz zerka przez ramię na leciutko uchylone drzwi. Nikt się nie dowie.

Podchodzi do komputera i wpisuje hasło, którego wcześniej użyła pielęgniarka. System ma bezpośrednie połączenie z laboratorium. Tytuł

maila jest napisany pogrubioną czcionką.

Przypadek nr 867745453. Wyniki gotowe

Juliet otwiera plik i zaczyna czytać.

Ma zamęt w głowie.

Brak zgodności w wynikach badań wszystkich trzech profili DNA. Wiedziała, że nie ma co liczyć na choćby minimalne podobieństwo profilu Jaspera, ale u Lauren, Juliet i Mindy markery genetyczne powinny być zgodne w co najmniej kilku miejscach. Może nie w wystarczająco dużej liczbie, żeby mama albo ciotka mogły zostać dawczyniami komórek macierzystych, ale analiza ich DNA mitochondrialnego wykazałaby przynajmniej ich pokrewieństwo z Mindy.

Ponownie przebiega wzrokiem wyniki badań. Nieprawdopodobne. Całkowity brak zgodności.

Jak to możliwe? Kręci głową. W laboratorium musieli się pomylić.

Sprawdza jego nazwę. To prywatna firma spoza Denver, która cieszy się nieposzlakowaną opinią. Juliet zna jej szefa, Camerona Longera. Prawdopodobieństwo tego, że tamtejsi pracownicy popełnili tak poważny błąd... Nie, pewnie dostali niewłaściwy materiał, nie pochodzący od Mindy. Zrobi się z tego afera, będą musieli ponownie wykonać testy. Laboratorium pewnie straci kontrakt ze szpitalem.

Może ona potrafiłaby w czymś pomóc? Zadzwoiłaby do Camerona i powiedziała, że muszą powtórzyć badanie, natychmiast. Dzięki temu jakoś wybrną z sytuacji, zatuszują żenującą wpadkę.

– Proszę pani? Przepraszam, co pani robi?

Juliet odskakuje od komputera i potrąca tacę leżącą na łóżku – wszystko spada na podłogę: szklanka z wodą, chusteczki higieniczne, balsam do ust. Mindy budzi się gwałtownie.

– Ciociu? Co się dzieje?

– Co pani wyprawia?

– Wszystko w porządku, skarbie – zapewnia Juliet siostrzenicę, potem zwraca się do pielęgniarki: – Przepraszam, bardzo przepraszam. Czy działa tu internet?

Kobieta stuka palcem w klawisz i wyłącza komputer.

– Nie. To sieć wewnętrzna. Nie ma dostępu do internetu.

– Rozumiem. Chciałam tylko sprawdzić pogodę. Bateria w telefonie mi padła, a ładowarkę zostawiłam w samochodzie – tłumaczy. Pielęgniarka nie daje się na to nabrać, ale Juliet ignoruje jej znaczące spojrzenie i wraca do Mindy. – Wszystko w porządku – powtarza. – Po prostu twoja niezdarna ciocia wywaliła tacę.

Schyla się i zbiera rzeczy z podłogi. Musi szybko działać, jeżeli ma skontaktować się z Cameronem.

– Proszę już nie dotykać komputera.

– Oczywiście. Zresztą do niczego by mi się nie przydał. Nie weszłabym do systemu. Przecież trzeba podać hasło.

Kobieta raz jeszcze obrzuca ją rozgniewanym wzrokiem, po czym opuszcza salę; pewnie zaraz zgłosi incydent i zmienią hasło. Tak, system jest bezpieczny, ale szpital to jedno z najniebezpieczniejszych miejsc na świecie. Każdy może tu się dostać, wjechać windą na dowolne piętro, wejść do pacjenta, a nawet zdobyć hasło i zajrzeć do karty choroby. Dałoby się zhakować, zmienić, ukraść dane. Dla ochrony to koszmar, i w świecie realnym, i w internecie.

Mindy przeciera oczy.

– A tobie co, ciociu? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Po prostu ta babka mnie wystraszyła.

– Dlaczego zaglądałaś do mojej karty?

Mała spryociuła. Przez cały ten czas nie spała.

– Nie wydasz mnie?

– Nie.

– Chciałam sprawdzić, czy są już wyniki testów DNA. Niestety nie ma, więc cała moja genialna akcja godna ninja poszła na marne. – Szuka balsamu do ust, który potoczył się po podłodze, i w końcu go znajduje.

Mindy chichocze.

– No fakt, prawdziwy z ciebie ninja. Gdzie mama?

W błogiej nieświadomości je kolację.

– Wysłałam ich na randkę do motelu. Pomyślałam, że powinni spędzić trochę czasu tylko we dwoje.

– O fuuj! Obrzydlistwo.

Doskonale. Udało się zmienić temat.

– Serio? Myślisz, że przyniósł cię bocian? – Juliet znacząco porusza brwiami. Dziewczyna wkłada palec do ust i udaje, że wymiotuje. – Napijesz się herbaty? – pyta ciotka.

– Tak, poproszę. Miętowej.

– Zaraz wracam.

Mindy zastanawia się, czego siostra mamy szukała w komputerze. Najwyraźniej coś jest nie tak. Kiedy pielęgniarka przyłapała ciocię na myszkowaniu, ta zrobiła się prawie biała i podskoczyła jak oparzona.

Pewnie nikt z rodziny nie może oddać szpiku, więc trzeba będzie wziąć odpowiedniego dawcę z bazy. Mindy dziwnie się czuje na myśl, że gdzieś w jej wnętrzu miałyby się znaleźć DNA obcego człowieka, ale z drugiej strony chyba fajnie stać się taką chimerą. Dwoma osobami naraz. Koniecznie musi poszukać w sieci zdjęć chimer, znaleźć wzór do tatuażu, który planuje sobie zrobić na lewej łopatce. Już sobie wyobraża misterny rysunek – stwór zwinięty niczym wąż szykujący się do ataku.

Rozmyślenia Mindy przerywa Juliet, która wraca z herbatą. Jest taka ładna, kiedy się nie martwi. Nadal wygląda blado, ale z szerokim uśmiechem rzuca Mindy pudełko Hot Tamales. Z jakiegoś powodu te pikantne cynamonowe cukierki pomagają dziewczynie uspokoić żołądek tak samo, a może nawet lepiej niż herbata, ale Lauren nie zgadza się, żeby je kupować.

Mindy chciałaby być taka jak ciocia J. Wyluzowana i dowcipna, a nie pełna dziwactw jak matka. Lauren i Juliet w ogóle nie są do siebie podobne. Jak to możliwe, że dwie dziewczynki, które miały tych samych rodziców i mieszkały w tym samym domu, wyrosły na tak kompletnie różne kobiety? Kiedy ich spojrzenia się krzyżują, Mindy wskazuje na komputer i unosi brew. Dałaby głowę, że Juliet znowu blednie, potem jednak już całkiem wyraźnie przygryza dolną wargę i powoli kręci głową.

To znaczy: nie ma dawcy.

Nastolatka wypuszcza powietrze z płuc, powoli i spokojnie. Dobrze, że się tego dowiedziała. Teraz będzie mogła zgłębić temat i psychicznie się przygotować, zanim rodzice w końcu odważą się jej o tym powiedzieć.

Juliet siada na brzegu łóżka.

– Wyglądasz na zamyśloną. Bardzo się zmartwiłaś? Jestem pewna, że dawca się znajdzie.

– Pewnie, że się zmartwiłam. Ale nie o to chodzi. Nie przypominasz sobie, żeby ktoś kiedyś nazywał moją mamę Liesel?

– Liesel? Jak ta dziewczyna z Dźwięków muzyki? Nie. Dlaczego pytasz?

Mindy czuje, że się czerwieni. Ciocia J wpatruje się w nią badawczo.

– Co zbroiłaś?

– Nic. Naprawdę nic. Mama trzyma w swojej szufladzie na bieliznę jakiś dziwny list z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Osoba, która go wysłała, musiała się z nią przyjaźnić, bo pisała, że za nią tęskni i inne takie. Zauważyłam, jak mama płacze, czytając go w sypialni. Ile miałaś wtedy lat? Pięć, sześć? Pamiętasz coś niezwykłego z tamtego okresu?

– Nie pamiętam prawie nic sprzed przeprowadzki w dziewięćdziesiątym czwartym. Byłam w pierwszej klasie i właśnie zaczęłam marzyć o tym, żeby polecieć w kosmos. Tutaj jest mnóstwo firm lotniczych, wielu rodziców pracowało w przedsiębiorstwie Martin Marietta, teraz Lockheed Martin, które produkowało rakiety dodatkowe. Wszyscy pasjonowali się kosmosem. Oglądaliśmy każdy start rakiety. Całymi klasami przychodziliśmy do stołówki na telewizję. Czułam się tak, jakbym oglądała film w kinie, ale to działało się naprawdę. Cóż, ja też złapałam tego bakcyła i od tamtej pory pragnęłam zostać astronautką. Niestety sprzed tamtego okresu niewiele sobie przypominam.

– A mama? Co wtedy robiła?

– Uczyła się w szkole z internatem. Bardzo rzadko się widywałyśmy. – Juliet bawi się balsamem do ust, obraca go w palcach z zamyśleniem. Niesamowite, że widywała siostrę właściwie tylko na zdjęciach i rozmawiała z nią jedynie przez telefon.

– Nie wiedziałam, że była w szkole z internatem.

– Zaraz, jak to się nazywało... Kent Country Day, jakoś tak. Bardzo elitarne liceum. Nasza mama musiała harować na dwa etaty, żeby opłacić chesne. Lauren też pracowała, dostawała stypendium, nie przyjeżdżała do

domu nawet na święta. Potem dostała się do college'u, na malarstwo, poznała twojego ojca, no a później ty się urodziłaś. Wiesz, że nigdy nie czułyśmy się zbytnio ze sobą związane. Dzieliła nas spora różnica wieku.

– Pamiętasz coś jeszcze?

– Nie. Przykro mi, skarbie. Nie byłyśmy takimi siostrami, które ze wszystkiego się sobie zwierzają. Ale jeśli chcesz, mogę ją popytać.

– Nie, wykluczone. Domyśliłaby się, że grzebałam w jej szufladzie.

– Na pewno by ci wybaczyła. Przecież, praktycznie rzecz biorąc, siedzisz w areszcie domowym. Hej, opowiedz mi o tych nowych nartach, które masz dostać na Gwiazdkę.

– Słucham?

– Podobno znalazł się sponsor, który cię wyśle na K2.

Mindy parska śmiechem i sprawa tajemniczego listu do matki odchodzi w zapomnienie.

10

Juliet jest wstrząśnięta pytaniami Mindy, ale stara się zachować spokój.

Na pewno da się to jakoś wytłumaczyć. Ot, zwykła pomyłka. Musi istnieć racjonalne wyjaśnienie, dlaczego nie ma zgodności między ich DNA.

Mindy jest tak rozbawiona żartem o zjeździe z K2, że przyjmuje słowa ciotki za dobrą monetę i już o nic więcej nie wypytuje. Wygłupiają się jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut, aż wracają rodzice, może nie uśmiechnięci, ale na pewno mniej bladzi.

– Cześć, Juliet. Dziś są klopsy z ziemniakami. Może też byś coś przekąsiła?

– Chyba rzeczywiście tak zrobię. Nie jadłam lunchu. Mindy, przynieść ci coś?

– Więcej hot tamales. Są przy kasie.

– Księżniczko, twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Wracam za kilka minut.

Juliet zostawia Lauren i Jaspera, żeby mogli dalej adorować córkę. Nigdzie nie widzi pielęgniarki, która ją przyłapała, ale na wszelki wypadek dzwoni do Camerona dopiero po wejściu do windy.

Cameron odbiera po pierwszym sygnale, w słuchawce rozlega się jego rzeński głos z brytyjskim akcentem.

– Juliet Ryder, błagam, powiedz, że postanowiłaś skończyć ze ściganiem kryminalistów i zaczniesz pracować u mnie.

– Cześć, Cameron. Niestety nie, nadal haruję w Biurze Śledczym. Kręci mnie szukanie sprawiedliwości. Jak chcesz, możesz powiedzieć, że jestem wariatką.

– Jesteś wariatką.

Roześmiała się.

– Słuchaj, właściwie chciałam poprosić cię o przysługę. W dość delikatnej sprawie.

– Dawaj.

– Przeprowadzałeś testy DNA u pacjentki, z którą... która jest mi bliska.

– Juliet, wiesz, że nie mogę ujawniać takich informacji.

– Tak, ale w tym przypadku sprawdzałeś też moje DNA, więc daję ci zgodę na to, żebyś spojrział na wyniki i porozmawiał o nich ze mną.

– Och, moja droga, nie wiem, czy mi wolno. Tym bardziej że cię znam, więc byłby to konflikt interesów i...

– Cam, to sprawa życia i śmierci. Moja siostrzenica ma raka. Badaliście nasze DNA pod kątem tego, czy możemy zostać dawcami komórek macierzystych. Już widziałam opis. Coś poszło nie tak. Próbuję uratować twoje laboratorium, bo jeżeli wyjdzie na jaw, że popełniliście błąd, to pójdziesz na dno.

– Zabrzmiało jak szantaż – zauważa mężczyzna chłodnym tonem.

– To nie szantaż, ale, Cameron, ktoś z twojego laboratorium spieprzył sprawę. Zajmij się tym osobiście. Przyjrzyj się wynikom i powtórz test. Inaczej stracisz reputację. To będzie głośny przypadek, więc lepiej się upewnić.

– Twoja siostrzenica... to Mindy Wright, ta narciarka?

– Zgadza się. W innej sytuacji nie prosiłabym cię o coś takiego, ale, jak powiedziałam, wyniki testu są błędne. Kto wie, może podczas badań jakaś próbka została zanieczyszczona? Na pewno coś poszło nie tak.

– W jakim sensie?

– Z testów DNA, które widziałam, wynika, że mnie i Mindy nie łączy żadne pokrewieństwo, a moja siostra nie jest jej matką. Rozumiesz? Totalny absurd. Poznałam to dziecko, kiedy jeszcze było w brzuchu matki.

– No cóż – odzywa się Cameron zupełnie innym tonem. – Tak, to rzeczywiście duży problem. Ale wyniki nie są oznaczone twoim nazwiskiem. Wiesz, że robimy podwójnie ślepe próby. Jaki jest numer przypadku?

Juliet podaje ciąg cyfr, jak zwykle w takiej sytuacji ciesząc się ze swojej doskonałej pamięci.

– Zadzwoń, kiedy tylko to sprawdzę.

– Dzięki. Będę twoim dłużniczką.

Juliet kupuje sobie kolację, zmiata wszystko z talerza, potem jeszcze jakiś czas siedzi w bufecie, rozmyślając.

Z całą pewnością w wyniki wkradł się błąd. Zdarza się to częściej, niż mogłoby się wydawać. Nawet w najlepszych laboratoriach.

Z jednej strony powinna się wstydzić, że tak myszkuje, ale z drugiej – co za fart, że to zrobiła. Ocali reputację swojego przyjaciela, a przy drugim podejściu na pewno znajdą dawcę dla Mindy i wszystko się ułoży.

Telefon Juliet dzwoni parę minut po szóstej rano, wyrывая ją z głębokiego, ale męczącego snu. Śniło jej się, że podwórkiem zawładnęły wiewiórki, które najadły się ziaren słonecznika czarnego, przez co zmieniły się w mutanty obdarzone nadnaturalną mocą. W chwili, kiedy dwie z nich z rykiem wyskoczyły z największego karmnika, rozległ się dźwięk komórki. Sygnał brzmi jak cykanie świerszczy, więc Juliet wzięła go za element snu, ale w końcu wypłynęła na powierzchnię.

Krześło. Nogi przykryte płaszczem. Szpital.

Już sobie przypomina. Postanowiła zostać z rodzicami Mindy, zamiast wracać do domu. Kiedy zasypiała, za oknem szalała śnieżycą, teraz już się uspokoiło. W sali siostrzenicy panuje cisza i szarówka; powoli zaczyna świtać.

Przeciąga się i zaspanym głosem odbiera telefon.

– Tu Cameron. Nieźle dałaś mi w kość. Całą noc próbowałem udowodnić twoją teorię.

Juliet wstaje i się przeciąga.

– A ja spałam na krześle i śniły mi się zmutowane wiewiórki. Co ci wyszło?

– Wyniki są prawidłowe. Przetestowałem świeżą próbkę. Melindy Wright nie łączy genetyczne pokrewieństwo ani z tobą, ani z twoją siostrą. Nawiasem mówiąc, z trzecią osobą, z tym mężczyzną, też nie. Przykro mi.

– Kurczę, jak to możliwe?

– No właśnie. Na twoim miejscu przejrzałbym jej szpitalne akta od dnia narodzin.

– Dlaczego?

– Jeżeli nie ma zgodności tkankowej między DNA dziewczyny a DNA Lauren, to z kim ta zgodność istnieje? To tylko moje przypuszczenia, ale możliwe, że po porodzie coś im się pochrzało. Takie rzeczy się zdarzają.

– Sugerujesz, że pomylili ją z innym dzieckiem?

– Skoro twierdzisz, że znasz ją od zawsze... tak, to jedyne wytłumaczenie.

Co takiego? Jak to możliwe? Juliet nie próbuje jednak zaprzeczać. Cameron jest dobry w tym, co robi, więc jeżeli mówi o braku zgodności, to powinna przyrzeć się innym rozwiązaniom.

– Zajmę się tym. O rany. Jak ja im przekażę tę wiadomość?

– Zostaw to lekarzom. Do tej pory już zdążyli zobaczyć wyniki i na pewno wkrótce będą o tym rozmawiać z pacjentką i jej matką. Parę minut temu wysłałem im ostateczny raport.

– Ale przecież to moja siostra. Moja rodzina. Muszę ją o tym uprzedzić. Nie chcę, żeby przeżyli szok w obecności córki.

Cameron ziewa przeciągle.

– Rozumiem. Daj mi potem znać, jak sytuacja się rozwinie, dobrze? Przyznam, że jestem zaintrygowany. Niezbyt często się zdarza, że dzieci zostają zamienione tuż po urodzeniu. Jeżeli znajdziesz jej biologicznych rodziców, moglibyśmy razem opisać ten przypadek. A teraz wracam do domu na parę godzin, żeby odpocząć.

– Wielkie dzięki, Cameron. Bardzo to doceniam. Wiszę ci przysługę.

Jego śmiech w słuchawce brzmi nieco pocieszająco.

– Zacznij ze mną pracować i będziemy kwita.

– Zobaczymy... Śpij dobrze. Jeszcze raz ogromnie ci dziękuję.

Przez parę chwil Juliet siedzi w milczeniu, próbując ogarnąć umysłem to, czego domyślała się już wcześniej i w co nie chciała wierzyć. W tej sytuacji istnieje tylko jedno możliwe wytłumaczenie. Przeraza ją wizja rozmowy z siostrą.

Jakimś cudem siedemnaście lat temu w szpitalu doszło to straszliwej pomyłki i Lauren wróciła do domu z cudzym dzieckiem.

Lekarze przychodzą o siódmej rano, na ich twarzach widać spokój. Tłumaczą. Są optymistycznie nastawieni. To czasami się zdarza, mówią.

Szpital już się skontaktował z administratorami bazy dawców. Na pewno znajdzie się wielu kandydatów. Lekarz z Bostonu dodaje, że stworzył nowy system, który pomaga złagodzić objawy GvHD – choroby „przeszczep przeciwko gospodarzowi”. Potrafi niezwykle precyzyjnie dobrać dawkę, przez co prawdopodobieństwo, że organizm Mindy odrzuci przekazane komórki, są właściwie zerowe. Nowy system, bla, bla, bla. Teraz pacjentka ma wręcz jeszcze większe szanse niż wcześniej.

Juliet odwraca wzrok od Mindy – która zupełnie nie wygląda na zaskoczoną tym, że w jej rodzinie nie znalazł się dawca – i przenosi go na Jaspera i Lauren; oni z kolei są wyraźnie przerażeni. Juliet czuje się strasznie. Powinna powiedzieć im o tym wcześniej, dać szansę na oswojenie się z tą wiedzą. Dyskrecja nigdy nie należała do jej mocnych stron, więc ukrywanie przed siostrą informacji o tak ogromnej wadze jest dla niej tym bardziej przytłaczające.

Juliet zastanawia się, który z lekarzy przekaze drugą wiadomość i zdejmie z niej ten ciężar. Obstawia tego wysokiego, przystojnego gościa z bostońskim akcentem; tuż po wejściu do sali omiółł ją pełnym uznania spojrzeniem.

Nie pamięta jego nazwiska – Berger czy Barger – więc w myślach nazywa go doktorem Braveheartem. Facet ma klasyczny nos i gęste, długie brązowe włosy. Wygląda jak buntownik. Wolny jeździec.

Jest zaskoczona, kiedy obaj lekarze zegnają się skinieniem głowy i wychodzą bez słowa.

Co teraz zrobić? Zawołać ich z powrotem? Ale wtedy musiałyby się przyznać, że zajrzała do dokumentacji, a to nie zostałyby dobrze przez nich przyjęte.

Cholera.

Nie może stchórzyć. To zbyt poważna sprawa. Już sam brak dawcy jest straszny. Ale fakt, że Mindy nie łączy pokrewieństwo genetyczne z rodzicami? To istna katastrofa.

Lauren płacze. Juliet zerka na nią i widzi, że Jasper zaczyna pocieszać żonę, wychodzi więc za medykami na korytarz z nadzieją, że jednak jej pomogą. Ale oni oddalają się szybkim krokiem, cicho rozmawiając.

Wielkie dzięki, chłopaki.

Kiedy wraca do sali, siostrzenica przytula matkę, próbując powstrzymać jej potok łez, a Jasper patrzy na obie z nieszczęśliwą miną. Mindy podnosi wzrok pełen bezbrzeżnego bólu.

Oni już się poddali, krzyczą jej oczy, gdy zerka na ciotkę. Ani się waży robić tego samego.

– Kochana, chodź ze mną. – Juliet odciąga siostrę od łóżka i wyprowadza na korytarz. Lauren porusza się tak, jakby była z galarety. Nogi uginają się pod nią, całe ciało jest uległe. Idzie tam, gdzie każą: do wygłuszonego pomieszczenia. Juliet wpycha ją do środka, zamyka drzwi, opiera się o nie i splata ręce na piersi. – Krzycz.

– Co?

– Krzycz. Zrób to tutaj, teraz. Nie możesz załamywać się w jej obecności. Mindy potrzebuje wsparcia; musisz walczyć razem z nią, a nie poddawać się, rezygnować.

– Ale szanse...

– Chrzanić szanse. Ona jest silniejsza niż cokolwiek. Zawsze taka była.

– Nie mów tak do mnie. Nie masz pojęcia, jak to jest stracić serce, stracić duszę. Jeżeli moja córka umrze...

– To nie jest twoja córka.

Lauren urywa w pół zdania, jej usta układają się w małe „o”, jak w niemym krzyku.

– Coś ty powiedziała?

Cholera.

– Przepraszam. Nie chciałam przekazać ci tego w ten sposób.

– Na miłość boską, o czym ty mówisz?

– O tym, dlaczego nie możesz zostać dawcą. Mindy nie jest twoim dzieckiem. Nie chodzi o brak takiej zgodności, która umożliwiłaby przeszczep. Przede wszystkim nie ma między wami pokrewieństwa.

– To jakaś pomyłka.

– Mnie też tak się wydawało. Wczoraj zajrzałam do wyników badań. Myślałam, że popełniono błąd, więc zadzwoniłam do laboratorium, znam szefa tej placówki, i poprosiłam, żeby osobiście powtórzył testy. Mindy nie jest twoim dzieckiem. W szpitalu musiało dojść do wręcz nieprawdopodobnej pomyłki, twoją córkę zamieniono z innym dzieckiem. Nie mam pojęcia, jak coś takiego mogło się stać, ale to było siedemnaście lat temu. Od tamtej pory standardy bezpieczeństwa diametralnie się zmieniły. Idę o zakład, że ta druga rodzina też o niczym nie wie.

– Juliet, ty chyba zwariowałaś. – Lauren próbuje przepchnąć się obok niej do drzwi, ale siostra jest wyższa i masywniejsza, więc ani drgnie.

– Nie zwariowałam. To nauka. Stała się rzecz straszna, ale to fakty, to się dzieje naprawdę, więc mnie wysłuchaj. Będziemy musieli rozpocząć dochodzenie. Biuro Śledcze się tym zajmie. Oczywiście zachowamy dyskrecję, ale wiesz, że nie damy rady długo tego ukrywać. Na pewno pojawią się przecieki.

– Dochodzenie? – W głosie Lauren brzmi strach i jednocześnie wściekłość. – Nic podobnego. To jakiś nonsens. Przecież lekarze by mi powiedzieli. Wymyśliłaś sobie tę historyjkę, bo tym razem nie znajdujesz się w centrum uwagi. Proszę cię, żebyś stąd wyszła. Wyjdź i już nie wracaj. Zapomnijmy, że ta rozmowa w ogóle się odbyła.

– Uspokój się. To nie pomyłka. Krew nie kłamie.

Lauren wygląda tak, jakby zupełnie postradała zmysły. W końcu udaje jej się odepchnąć siostrę od drzwi, otwiera je i wypada na korytarz. Juliet jej nie zatrzymuje. Wyparcie. Lauren wypiera prawdę. To zrozumiałe. Z czymś takim trudno od razu się pogodzić. Nie powinna mówić prosto z mostu. Źle to rozegrała. Ani trochę się nie dziwi, że siostra ostro się wkurzyła.

Cóż, wcześniej czy później wszyscy będą musieli się zmierzyć z brutalną prawdą. Nie łączą ich więzy krwi.

Czyim dzieckiem jest Mindy?

12

Lauren ma serce w gardle. To się nie dzieje naprawdę. Niemożliwe!

Chce krzyczeć, uciekać. Nie wróci do Mindy i Jaspera, nie da rady, nie teraz, kiedy całkowicie się załamała, a jej serce pękło na milion kawałeczków.

Obiega szpital – ostatnio to jej sposób na codzienne ćwiczenia. Zwykle trenuje z córką. Nie zawsze potrafi dotrzymać jej kroku, ale może ćwiczyć we własnym tempie. Bez ruchu jej mięśnie zanikają, poza tym sporo schudła. Czuje, że skóra zrobiła się za luźna.

Ta cholerna wścibska Juliet, zawsze we wszystko musi się wtrącać. Lauren nawet nie przyszło do głowy, żeby spytać siostrę, jak zdołała zajrzeć do dokumentacji Mindy, jeszcze zanim lekarze poznali wyniki testów. Do tego od razu skontaktowała się z laboratorium. Ile osób już o tym wie? Oczywiście lekarze, szef laboratorium i Juliet. To tylko kwestia czasu, kiedy ktoś się wygada, a wtedy wszystkie media się na nich rzucą. Co za historia. Nieważna olimpijka, Melinda Wright, bohaterką skandalu. Zamieniona przy urodzeniu. Nie jest córką kobiety, która ją wychowywała.

Lauren opada na ławkę w atrium na pierwszym piętrze. Śnieg przestał padać, na szklanym dachu leży gruba warstwa białego puchu. Zaczynają się roztopy, przez chmury przebijają się delikatne promyki słońca.

Myśli o słodkiej, trochę pomarszczonej buzi Mindy, o tym, jak maleństwo popiskiwało i machało rączkami. Już jako dziecko nie potrafiła usiedzieć w miejscu, zawsze chciała chodzić, poruszać się, wszystko oglądać. Lauren pamięta, jak mocno córeczkę opatulała, żeby ją uspokoić; jak spała z nią w łóżku, jak kładła, nagusieńką, na swojej piersi, żeby stworzyć więź.

A potem pojawił się Jasper. Zakochała się w nim głównie z powodu jego całkowitego oddania się temu dziecku i dlatego, że nazywał je własnym. Nosił po mieszkaniu to wrzeszczące zawiniątko, żeby Lauren mogła odpocząć parę godzin. Musiał zrobić wiele rundek, aż w końcu Mindy

przestawała się wydzierać i zaczynała gaworzyć z buzią przy jego włosach, a on mówił do niej w języku, którego żadne z nich nie rozumiało.

Ich dziecko. Przez ostatnie siedemnaście lat spędzili z nią niemal każdy dzień. Pocieszali ją zawsze, kiedy nabiła sobie guza czy siniaka albo kiedy miała zły sen. Lauren zalewa falą wspomnień: mina Mindy, gdy ta po raz pierwszy dotknęła śniegu; trzyletnia Mindy na krótkich nartach i bez kijków zjeżdża z oślej łączki z ustami otwartymi w niemym krzyku radości. Co najmniej pięćdziesiąt razy wracali z nią na szczyt tej góry, a potem patrzyli z fascynacją, jak ruchy ich kochanej dziewczynki stają się coraz bardziej skoordynowane, płynne, jak wychyla się do przodu, żeby nabrać prędkości.

Kiedy tamtego popołudnia zabrali ją po raz pierwszy na stok dla początkujących, próbowali trzymać ją za ręce, ale wyrwała się i sama zjechała ze zbocza; szusując, naśladowała gibkie ruchy innych narciarzy. Potem siedziała na pupie u stóp stoku i gołymi rączkami robiła małe śnieżki. Gdy ją dogonili, poparzyła na nich z taką miną, jakby chciała powiedzieć: „Hej, co tak długo?”, i uśmiechnęła się, odsłaniając mleczaki.

„Genetyka się nie myli”.

Już jako dziecko Mindy stanowiła jedność ze stokiem. Z czasem zabawa przemieniła się w intensywny trening, a entuzjazm został przyćmiony przez dyscyplinę narzucaną przez matkę i trenera. Bywało, że całymi dniami nie odzywała się do Lauren, bo nie miała ochoty na jazdę na nartach podczas śnieżycy. Albo narzekała, że na obiad znowu jest kurczak z ryżem i szpinakiem. Niekiedy też nie chciała ćwiczyć na bieżni ani chodzić na balet, a Lauren musiała jej przypominać, jak wysoka jest stawka i że przecież Mindy nigdy się nie poddaje. Ale nawet wtedy, mimo różnych trudów i oporów, na stoku czuła euforię.

Oczywiście, że to ich córka. Oczywiście, że to dziecko Lauren.

„Krew nie kłamie”.

Dzwoni komórka, to Jasper. Lauren ociera oczy, pociąga nosem. Z całych sił stara się mówić różnym głosem.

– Cześć, kochanie. Poszłam... yyy... wybrałam się na krótki spacer.

– Mindy prosi, żebyś przyszła. Zadaje mi mnóstwo pytań.

– Pytań? – Czuje nadciągającą panikę. – O co?

W głosie Jaspera pojawia się niespotykane u niego napięcie.

– A jak myślisz? Chce wiedzieć, jakie są szanse. Co ją czeka. Ma gdzieś wyjaśnienia lekarzy. Musi usłyszeć, co ty o tym myślisz. Pragnie, żebyś ją zapewniła, że nie umrze. Potrzebuje swojej mamy. Potrzebuje ciebie – wyrzuca z siebie niemal jednym tchem, z goryczą i przerażeniem.

– Już idę. Jestem na dole. Przyniosę kakao i porozmawiamy.

– Weź cztery kubki. Juliet jeszcze tu jest.

Lauren gryzie się w język, żeby nie zakląć.

– Dobrze. Zaraz wracam.

Juliet. Od samego początku wszystko psuła. Od chwili, kiedy przyjechała i obcięła Mindy włosy. Kocha swoją siostrę, ale po prostu nie czuje z nią więzi, jaka łączy wiele rodzeństw. Juliet – uparta i trudna. W dzieciństwie kaprysiła przy jedzeniu, z nikim nie mogła się dogadać, wiecznie kłóciła się z siostrą, koleżankami, matką. A kiedy trochę podrosła, ciągle się wymądrzała. Pieprzony mały naukowiec. Mózgowiec samotnik, nieugięty i krnąbrny.

Zawsze z nią same problemy.

Lauren wstaje i rusza do bufetu. Zaniesie kakao, poczeka, aż siostra je wypije; dopilnuje, żeby trzymała gębę na kłódkę, a potem wyprowadzi ją ze szpitala. Nie życzy sobie – stanowczo odmawia! – żeby Mindy wysłuchiwała tak ohydnych insynuacji dotyczących jej rodziców. Dziewczyna już i tak znajduje się pod ogromną presją. Noga dopiero zaczęła się prawidłowo goić, a przeszczep szpiku kostnego to kolejne procedury, nowe lekarstwa i nowy stres. Lauren za nic nie dopuści do tego, żeby ta oczywista pomyłka odbiła się na psychice nastolatki albo miała wpływ na sposób i skuteczność jej leczenia.

Juliet patrzy na Lauren, która ze sztucznym uśmiechem wchodzi do pokoju. Siostra posyła jej gniewne spojrzenie: „Ani mi się waż o tym mówić”, i podaje córce kakao.

– Chyba musisz już się zbierać, żeby się nie spóźnić do pracy, prawda?
– Ojej, wyjeżdżasz? – pyta Mindy, biorąc kubek. – Myślałam, że zagramy w Trivial Pursuit. Ostatnio cię ograłam.

– Tylko dlatego, że akurat wtedy uczyłaś się historii, a wszystkie pytania były z tej kategorii. Jestem gotowa na rewanż. No, dawaj. – Juliet spogląda na Lauren z błyskiem w oku: „Tylko spróbuj mnie powstrzymać”.

Lauren ma ochotę rozorać paznokciami tę twarz z cwany uśmiechem i zostawić na niej czerwone bruzdy, a potem wyrzucić siostrę na śnieg, żeby zamarzła na śmierć. Może jakiś wilk zwęszy zapach krwi, przyjdzie i ją pożre.

Ale tylko podaje Jasperowi gorący napój, bierze własny, wrzuca styropianową tackę do śmieci i się uśmiecha.

– Kochanie, pewnie, że zagramy, ale twoja ciocia musi wracać do Denver. Prawda, Juliet? Nie chcielibyśmy, żebyś straciła pracę, którą tak kochasz.

Z twarzy Mindy nie da się niczego odczytać, za to Jasper szybko odwraca głowę do Lauren, która puszcza do niego oko. Mężczyzna się prostuje. Porozumiewawcze spojrzenie, korzyść wieloletniego małżeństwa. Nie padły żadne słowa, ale wiadomość została przekazana.

Jasper staje po drugiej stronie łóżka.

– No właśnie, skarbie, nie chcielibyśmy, żeby szef wyrzucił Juliet. Poza tym to chyba moja kolej na wagary. Za mało czasu spędzam z moju malienkuju babuszku.

Mindy śmieje się z jego koszmarne rosyjskiego akcentu, on pochyla się nad nią i porusza palcami, jakby pieszczotliwie szczypał policzki córki; dziewczyna z chichotem chowa się pod kołdrę.

Lauren korzysta z okazji i wyprowadza Juliet na korytarz.

– Pożegnaj się z Mindy i wynoś się stąd.

– Słuchaj, możesz mnie wywalić, ale nic nie zmieni faktów. Prawda wyjdzie na jaw.

– Nie wyjdzie, jeżeli będziesz trzymała gębę na kłódkę – syczy Lauren rozwścieczonym szeptem. – Wyjdz. Nie zamierzam wysłuchiwać bzdur na

ten temat. A jeżeli się wygadasz, jeżeli powiesz komuś o swojej idiotycznej teorii, twoi szefowie dowiedzą się, że grzebałaś w szpitalnych aktach. Jak myślisz, co się wtedy stanie? Bo według mnie Biuro Śledcze nie przymknie oka na to, że jeden z pracowników włamał się do szpitalnego systemu. Jasno się wyraziłam? Rozumiesz, o czym mówię?

Przez chwilę mierzą się wzrokiem, potem Juliet powoli wypuszcza nosem powietrze, zagląda do sali i posyła siostrzenicy pocałunek.

– Słoneczko, przyjadę w weekend. Nie znęcaj się nad rodzicami. Zlituj się zwłaszcza nad mamą. Wiesz, że ona nie potrafi przegrywać.

– Pa, pa, ciociu J! – woła nastolatka, nadal pod stertą koców. – Dziękuję za cukierki i za rozmowę.

Matka dziewczyny mruży oczy, ale Juliet na pożegnanie tylko jej salutuje i odchodzi wolnym krokiem.

Lauren przez chwilę się waha, ale nie rusza się z miejsca, dopóki drzwi windy nie zamkną się za jej siostrą.

Pojawił się problem. Bardzo duży problem.

Z Juliet zawsze były problemy.

Później. Zajmie się tym później.

Przywołuje uśmiech na twarz i wraca do sali córki, do swojej rodziny.

**SZPITAL UNIWERSYTECKI
NASHVILLE, TENNESSEE
1993**

VIVIAN

Przez pierwszy tydzień nowa współlokatorka nie odzywa się do mnie ani słowem. Właściwie nie rozmawia z nikim, chociaż dość uprzejmie odnosi się do Suki, jakby rozpoznała w niej pokrewną duszę z piekła rodem.

Jestem w pracowni plastycznej, maluję morski widoczek na podstawie ilustracji z książki, kiedy nagle czuję, że nie jestem sama. Podnoszę wzrok – na lewo od sztalugi widzę tę tajemniczą dziewczynę z zamyślonym wyrazem twarzy.

– Nieźle. Ale powinnaś dać jeszcze trochę cynobru. Ta zieleń jest wyblakła, brakuje głębi.

– Czerwień nic tu nie da.

– Stonuje błękit. Dodaj trochę do niebieskiej farby i popraw tę kreskę, o, tutaj.

Zaciskam zęby, żeby nie odpowiedzieć tak, jakbym chciała: „Spierdalaj, pojebie” – i robię to, co mi radzi. Staram się unikać konfliktów, żeby w końcu mnie stąd wypuścili.

To musi zadziałać.

Grzbiety fal nagle ożywają, a piana na wodzie zaczyna wyglądać jak prawdziwa, a nie jak szary lód.

– Skąd znasz takie sztuczki?

– Ja też maluję.

– Powiesz mi w końcu, jak masz na imię?

– Po co? Imiona są głupie.

– A może się boisz, że dowiem się o tobie z gazety?

Patrzy na mnie bez słowa, ja przyznaję sobie punkt. Obawia się tego, co mogłabym sobie o niej pomyśleć.

Kończę malować. Nic więcej nie mogę z tym zrobić. Odsuwam się od sztalugi i podziwiam nową głębię.

– Zamordowałam kogoś – wyznaje dziewczyna cicho, właściwie szeptem.

Przeszywa mnie zimny dreszcz, ale nie odwracam wzroku od obrazu.

– Jak?

– Nożem.

– Dlaczego?

– Bo niedokładnie czyścił swoje pędzle. – Uśmiecha się szeroko i szybko wychodzi z sali.

Nawiasem mówiąc, ja bardzo dokładnie czyszczę pędzle.

Na tabliczce na drzwiach naszej sali pojawia się drugie nazwisko: L. Thompson.

Wchodzę i opieram się o ścianę. L. Thompson równiutko ścieli łożko.

– Od jakiego imienia to L?

– Liesel.

– Dziwne imię.

– Niemieckie.

– Ale Thompson to amerykańskie nazwisko.

– No i?

– Kogo zamordowałaś?

– Nikogo ważnego. Zresztą, jakie to ma znaczenie?

– Jakieś ma, skoro cię tu wsadzili.

Przez chwilę patrzy na mnie, po czym wychodzi.

Nie wątpię, że mówi prawdę.

Kim jest moja nowa współlokatorka?

Teraz, kiedy wiem, że śpię łożko w łożko z morderczynią, rozpaczliwie chcę się czegoś o niej dowiedzieć. W dyżurce proszę o gazetę. Dostaję ją, ale nie znajduję nic na temat osoby o nazwisku Thompson. Gazety z zeszłego tygodnia nie chcą mi dać. Może właśnie tam jest coś, czego nie powinnam przeczytać.

Czekam na trzecią zmianę, kiedy Suka idzie do domu. Dzisiaj nockę ma Roger, który mnie lubi. Częstuje mnie marlboro i pozwala palić w pokoju socjalnym, a nie w tamtej klitce.

Po pierwszym nocnym obchodzie sal, kiedy Liesel już chrapie, skradam się ciemnym korytarzem do dyżurki. Wskazuję głową drzwi do pokoju socjalnego. Chudy, jasnowłosy Roger z rzadkim wąsem i rękami cienkimi jak patyki otwiera pokój i daje mi fajkę. Kiedy oboje już palimy, pytam:

– Mogę dostać gazetę z zeszłego tygodnia?

– Po co ci?

– Sprawdzę, za co tu wsadzili moją współlokatorkę. Boję się jej. Powiedziała, że...

– Że co? – Z zaciekawieniem wychyla się do przodu. Zaciągam się głęboko i zatrzymuję dym w płucach tak długo, aż zaczynam kaszleć, a wtedy Roger szepcze: – Cicho. Przez ciebie będę miał kłopoty.

Próbuję stłumić kaszel, prawie się duszę, oczy mi łzawią. Nagle już nie chcę się dzielić wyznaniem tej dziwnej pacjentki.

– No? To co ci powiedziała?

– Że nigdy mi tego nie wyjawি. Chcę tylko się dowiedzieć, czy jestem bezpieczna. Chyba mam prawo?

– Wiesz, ile będzie cię to kosztować – odpowiada chłopak. Kiedy stukam palcami w stół, na porysowany blat spada popiół z mojego papierosa. – Coś za coś, mała. – Nie zachowuje się obleśnie. To transakcja biznesowa. Nie mam pieniędzy, żeby mu zapłacić, ani żadnego przedmiotu, który przedstawiałby dla niego jakąś wartość, nie mogę mu niczego załatwić. Dysponuję tylko własnym ciałem. A tym nie zamierzam zapłacić. Nie za to.

– Nie mogę. – Odwracam wzrok.

– Jak chcesz. Kiedyś zmienisz zdanie. A teraz kończ palić i leć do łóżka.

Wracam do sali; widzę, że Liesel śni się jakiś koszmar. Kładę się na drapiącym kocu i słucham jej jęków i dyszenia. Mamrocze: „Nie, nie, nie, nie”, macha pięścią. Ciekawe, z czym – z kim – walczy.

**DENVER, KOLORADO
TERAZ**

Juliet wraca do Denver, czując natłok myśli. Lauren coś ukrywa. Na pewno. Jej reakcja, tak gwałtowna, tak ekspresyjna... Od dzieciństwa nie widziała siostry w podobnym stanie. Odkąd Lauren została matką, a jej życie przemieniło się w bajkę.

Bo bez wątpienia Lauren żyje jak w bajce. Cudowny mąż, oddany całym sercem. Piękna, utalentowana córka, która jest ambitną narciarką i powodem do dumy rodziców. Sama Lauren pracuje, kiedy chce, i robi, co chce. Podróże, pieniądze, uroda. To daje jej absolutną i całkowitą wolność.

Juliet nie jest wolna. Nie ma żadnej z tych rzeczy, oprócz wspaniałej pracy.

Nie zazdrości siostrze. Oczywiście, że nie. Zostaje jej jeszcze mnóstwo czasu na własną bajkę. Zresztą jak mogłaby jej zazdrościć, zwłaszcza teraz, kiedy się dowiedziała, co się stało?

Kiedy pędzi drogą prowadzącą z gór, mijając wiecznozielone lasy i skaliste zbocza pokryte śniegiem, które zna jak własną kieszeń, zaczyna widzieć tę okolicę w nowym świetle. Dopiero teraz dostrzega niektóre elementy krajobrazu. Nigdy przedtem nie widziała tego zamarznętego wodospadu. Kiedy zainstalowali te siatki, żeby lawiny kamieni nie zasypały autostrady?

Prowadzi samochód zupełnie odruchowo, całkowicie przywykła do otaczającej ją rzeczywistości – albo się na nią znieczuliła. Czowała się jak w transie. Skoro jednak wszystkie te widoki przy drodze teraz wyglądają inaczej, jak nowe, to jakie tak naprawdę jest jej życie? Czy to możliwe, że Mindy też stała się dla niej inna, nowa? Czy przez tych siedemnaście lat była kimś zupełnie obcym w rodzinie i żadne z nich o tym nie wiedziało?

Te rozważania sprawiają, że Juliet czuje się co najmniej nieswojo. Do głębi wstrząsa nią myśl, że jej rodzina to jakiś dziwoląg, że właściwie przestała istnieć. Juliet lubi to, co znane. Wymierne. Teorie, które można udowodnić, a nie sobie zmyślić.

Dobrze wie, co powinna zrobić. Nie złoży oficjalnego raportu, jeszcze nie teraz. Odnajdzie Kyle'a Noonana. Weźmie od niego próbkę krwi i poprosi Camerona, żeby wykonał test. Jeżeli okaże się, że Kyle nie jest ojcem Mindy, Juliet wróci do siostry z twardymi dowodami, przemówi jej do rozumu i zmusi ją do racjonalnego myślenia. To jedyne wyjście.

Po powrocie do laboratorium odpisuje na kilka maili i wysyła dwa genomy mitochondrialne do członków zespołu, z którym współpracuje. Prowadzą wyjątkowe śledztwo – szukają przestępcy pochodzenia azjatycko-szkockiego. Resztę pracy odkłada na później. Daje sobie godzinę. Jako pracownik organów ścigania ma dostęp do wszystkich baz danych. Jeżeli ktoś spyta, co ona robi, wykręci się swoimi badaniami.

Cieszy się większą swobodą działania po prostu dlatego, że dzięki swoim technikom dokonuje przełomu. Zafascynowana badaniami DNA, które pomagają w wyjaśnianiu zbrodni, rok temu zaczęła doskonalić metodę znaną jako fenotypowanie DNA. W przeciwieństwie do szukania dokładnej zgodności w CODIS – bazie FBI służącej do identyfikacji DNA sprawcy i zestawienia go z próbkami z miejsca przestępstwa – genotypowanie jest bardziej organicznym, środowiskowym podejściem: to dekodowanie samego materiału źródłowego DNA.

Koncepcja dość prosta. Tak jak Juliet powiedziała Lauren: krew nie kłamie. Dostarcza własnych dowodów. Technik może pobrać próbkę i w ciągu dwudziestu czterech godzin stworzyć pełny profil genetyczny danego człowieka: potrafi stwierdzić, czy ta osoba ma białą czy czarną skórę, niebieskie czy zielone oczy, jasne, ciemne czy rude włosy, jest mężczyzną czy kobietą. Na przykład jeżeli ofiara twierdzi, że została zgwałcona przez mężczyznę pochodzenia afrykańskiego, ale materiał DNA wskazuje na osobnika białego, policja od razu zobaczy tę sprzeczność: albo kobieta wyparła zdarzenie i coś jej się myli, albo po prostu kręci.

Metoda fenotypowania opracowana przez Juliet jako innowacyjne podejście do profilowania DNA również zyskuje coraz więcej zwolenników. Okazała się niezwykle użyteczna w przypadkach zabójstw. Jeżeli przedstawiciele organów ścigania szukają seryjnego mordercy, a wszelkie dowody wskazują na konkretny typ człowieka, fenotyp DNA może pomóc potwierdzić albo obalić ich teorię.

Wszystko pięknie, tyle że Juliet na tym nie poprzestaje. Pracuje nad nową techniką analizy fenotypowej: próbuje określić rysy twarzy i cechy rodzinne, a potem je porównuje z podejrzanymi o popełnienie przestępstwa. Wprowadza próbki DNA do systemu rozpoznawania twarzy, z którego korzysta FBI. Do tej pory pomogła rozwiązać dwadzieścia starych spraw dotyczących morderstw i czeka na nią ogromna liczba kolejnych.

W swojej dziedzinie jest niekwestionowanym liderem. A do tego jeszcze stworzyła program, dzięki któremu może załadować materiał DNA do drukarki 3D i dostać wydruk twarzy. W sądzie jest to na razie bezużyteczne, ale Juliet stosuje tę metodę, żeby dokładnie sprawdzić wyniki swojej pracy, kiedy policja zatrzymuje podejrzanego. To trzeci etap jej pracy.

W umyśle Juliet zaczyna pączkować pewna myśl, którą jeszcze nie do końca sobie uświadamia. Gdyby przyszło co do czego, mogłaby wykorzystać metodę fenotypowania do zawężenia liczby potencjalnych biologicznych rodziców Mindy. Nie da się jednak tego zrobić bez zgody samych zainteresowanych, a także szefów Juliet. Takie działanie za plecami innych uznano by za co najmniej nieetyczne, a w najgorszym wypadku za nielegalne, więc cały trud poszedłby na marne. Istnieją lepsze sposoby, żeby udowodnić jej teorię.

Lauren i Kyle nie rozstali się w zgodzie, ale jej wyjątkowo skryta siostra ani słowem nie wspomniała o szczegółach rozpadu związku. Juliet wie tylko tyle, że Kyle wkurzył się, kiedy usłyszał, że Lauren zaszła w ciążę. Złożył pozew o rozwód i postarał się o przeniesienie do innego biura, najlepiej jak najdalej od Lauren. Ostatecznie wylądował w Kalifornii, co dało taki sam skutek, jakby został astronautą i poleciał na Księżyc.

Na co był za głupi.

Juliet, ty złośliwa bestio, skarciła się w duchu.

Próbuje wygrzebać z pamięci, w jakiej firmie Kyle wtedy pracował. Spencer coś tam... Spencer Landry. Tak. Łapie telefon, znajduje numer w internecie i go wstukuje. Odbiera recepcjonistka. Jej rozciągnięte samogłoski zdradzają, że pochodzi z Północy.

– Spencer Landry i Wspólnicy, dzień dobry. W czym mogę pomóc?

– Chciałabym rozmawiać z kimś z działu HR.

– Och, niestety w tej chwili nie mamy wolnych stanowisk...

– Mówi Juliet Ryder z Centralnego Biura Śledczego.

– Och! Oczywiście, proszę chwileczkę poczekać.

Juliet dusi w sobie śmiech. Niekiedy dobrze powołać się na pracę w CBI, chociaż tym razem nie kontaktuje się służbowo.

Po chwili w słuchawce rozlega się męski głos:

– Eres Patrone, słucham, pani agent.

Juliet nie wyprowadza go z błędu. Jako doktor mikrobiologii i genetyki pracuje w CBI, oficjalnie jednak nie jest agentką. Ale agentka Ryder zajdzie dalej niż doktor Ryder.

– Dzień dobry panu. Szukam informacji na temat pracownika tej firmy, niejakiego Kyle’a Noonana. Wiem, że w roku dwutysięcznym odszedł ze Spencer Landry i podjął pracę gdzie indziej. Chciałabym się z nim skontaktować. Może ma pan namiary na jego obecne miejsce pracy?

– Hm, w dwutysięcznym roku. Jeszcze tu nie pracowałem, ale zajrzę do archiwum i oddzwonię do pani. Dobrze?

– Szczerze mówiąc, trochę się śpieszę. Będę wdzięczna, jeśli poszuka pan teraz. Poczekaam przy telefonie. Tak nowoczesna firma jak Spencer Landry z pewnością ma dane w sieci.

– Tak, ale... to informacje osobiste, więc najpierw musiałbym porozmawiać ze swoim przełożonym...

– Naprawdę nie ma takiej potrzeby – zapewnia Juliet serdecznym, konspiracyjnym tonem. – Chodzi mi tylko o namiary na jego nowe miejsce pracy. Na pewno wysłali mu państwo rozliczenie podatkowe. Mogłabym zdobyć nakaz, ale w ten sposób wszyscy stracimy mnóstwo czasu.

– Wie pani, że Spencer Landry to kancelaria adwokacka, prawda?

Juliet śmieje się z nadzieją, że nie brzmi to tak sztucznie, jak jej się wydaje.

– No dobrze. Liczyłam, że nie będę musiała tego robić, ale trudno, już wyjaśniam. Sprawa wygląda następująco. Kyle Noonan to mój szwagier. Rozwiódł się z moją siostrą, która niedawno zachorowała. Siostra leży w szpitalu, a ja mam się skontaktować ze wszystkimi członkami rodziny. Proszę. W innej sytuacji nie powoływałabym się na swoją funkcję, ale uznałam, że tak będzie najprościej.

– Ojej, bardzo mi przykro z powodu siostry. Obawiam się jednak, że nie mogę pani pomóc.

– No cóż, w takim razie postaram się o nakaz...

– Nie, to znaczy, nie mogę pomóc, bo nie mam żadnych informacji. Kyle Noonan przeniósł się do naszego biura w San Diego, a potem prawdopodobnie odszedł z firmy, bo jego akta kończą się na roku dwutysięcznym. Żałuję, że nic więcej tu nie zdziałam. Życzę, żeby siostra szybko wróciła do zdrowia.

– Dziękuję. I tak dużo pan dla mnie zrobił. Miłego dnia.

Juliet rozłącza się i ze zgrozą lekko otwiera usta. Co ona wyprawia? Próbowwała wyłudzić prywatne informacje bez nakazu, bez żadnego oficjalnego śledztwa, tylko po to, żeby osiągnąć własny cel. I zderzyła się ze ścianą.

„Dobrze ci tak za wtykanie nosa w nie swoje sprawy”, wyraźnie rozbrzmiewa w jej głowie nagana Lauren. „Ostrzegałam cię. Trzymaj się od tego z daleka”.

Boże, zaczyna słyszeć głosy. Powinna się przespać. Albo lepiej: wziąć trzy tygodnie urlopu, powylegiwać się na jakiejś ciepłej plaży, pić owocowe drinki i opalać na równikowym słońcu. Ale nie ma takiej opcji. Mindy nie może odpocząć, jest coraz słabsza. A jeżeli Lauren nie zrobi, co trzeba, Juliet już coś wymyśli.

Znowu wrzuca do wyszukiwarki Kyle’a Noonana, dodaje firmę Spencer Landry i San Diego.

Brak wyników. Nic dziwnego. Przecież szuka informacji sprzed siedemnastu lat. Wtedy jeszcze nie wszystko trafiało do internetu. Nie

każda myśl, fotka czy wyprawa lądowała w sieci.

Może posłużyć się bardziej nowoczesnymi narzędziami. W mediach społecznościowych wszystko widać jak na dłoni. Pogrzebie trochę w Facebooku, sprawdzi, czy na coś trafi. Co prawda, sama nie założyła własnego konta, ale może ma je Kyle.

Tak jak wszyscy pracownicy Biura Śledczego Juliet korzysta z publicznego i prywatnego serwera. Na prywatnym mogą wymieniać się poufnymi informacjami i aktami spraw, nie obawiając się hakerów z zewnątrz. Jej przełożeni nie mają nic przeciwko temu, żeby w godzinach pracy buszowała po internecie, ale krzywo patrzą na łączenie świata zewnętrznego z ich wewnętrznymi, ściśle tajnymi sprawami. Juliet wchodzi na prywatny serwer, otwiera Facebooka i loguje się na fałszywym profilu, którego często używa, przeglądając wpisy innych osób. Nie musi podawać swoich prawdziwych danych. „Cześć, pracuję w Centralnym Biurze Śledczym, dołączysz do znajomych?”, to nie najlepszy sposób na rozpoczęcie rozmowy.

Wciela się w Jessicę Baker – piersiastą platynową blondynkę, swoje całkowite przeciwieństwo – i wrzuca do wyszukiwarki nazwisko Kyle’a.

Przegląda listę wyników, rozczarowana tym, że żaden z Noonanów nie wygląda znajomo. Ale znajduje grupę „Absolwenci liceum Douglas County”. Szkoła Kyle’a to doskonały punkt wyjścia.

Grupa jest otwarta, co oznacza, że każdy może się do niej przyłączyć, więc Juliet od razu to robi. Nikt nie musi aprobować jej zgłoszenia. Wreszcie szczęście jej dopisało. Co prawda, grupy zamknięte też można zinfiltrować, tyle że nie tak łatwo.

Przez parę chwil przegląda stronę, ale nie widzi jego nazwiska. Niezrażona, czyta posty, zaznajamia się z językiem i sposobem bycia ludzi, którzy próbują po latach odnowić kontakt ze starymi przyjaciółmi. Potem wstawia post:

JESSICA BAKER: Cześć 87! Co słyhać? Szukam Kyle’a Noonana. Ma ktoś namiary na niego?

Czuje się jak idiotka, ale taka akcja to jej jedyna szansa.

Znowu się przeciąga i wstaje, żeby dolać sobie kawy, a kiedy siada, widzi, że już dostała odpowiedź.

MO CABOT: Hej, nie miałaś przypadkiem chemii z panem Williamsonem? Pamiętam Cię! Super wyglądasz!

O nie. Czyżby w tej grupie istniała inna osoba o tym nazwisku? Juliet szybko szuka drugiej Jessiki Baker, bez rezultatu. Osiem kobiet o imieniu Jessica, ale żadnej Baker. Dwie z nich dałoby się z nią pomylić, a ponieważ minęło tyle lat... może nosić nazwisko męża...

Jeszcze zanim zdąży odpisać, do wątku dołączają kolejne osoby.

OSCAR FIELDING: Cześć, Jess, witamy w grupie. Noonan... od jakiegoś czasu nic o nim nie słyszałem. Chyba przeprowadził się do Europy czy coś. Nie widzimy go tutaj. Co u Ciebie?

WILL LINDSY: Niestety mam złe wieści. Noonana raczej już nie zobaczymy między nami. Słyszałem, że wiele lat temu się utopił.

CAROL CHILDS: To nie Noonan, tylko Robert Sanford. Pamiętacie go?

WILL LINDSY: Nie, coś Ci się pomyliło. Sanforda porwała lawina gdzieś w Alpach. Zawsze chciał zdobyć K2. Zginął podczas wspinaczki.

ELIZABETH FLYNN: O rany, tylu naszych kumpli odeszło.

OSCAR FIELDING: Właśnie przeszukałem archiwa naszej grupy i znalazłem taki post z 2000 roku:

Z wielką przykrością zawiadamiamy, że Kyle Noonan z rocznika 1987 zginął w wypadku podczas nurkowania przy Półwyspie Kalifornijskim w Meksyku. Na zawsze pozostanie w naszych sercach.

Juliet jest kompletnie zaskoczona. Kyle nie żyje? Dlaczego Lauren jej o tym nie powiedziała?

Wstukuje następne pytanie.

JESSICA BAKER: Kto to napisał? Wiecie?

ELIZABETH FLYNN: Jessico, ja Cię nie pamiętam. Przypomnij mi, z którego jesteś rocznika.

JESSICA BAKER: Z 87, ale na początku drugiej klasy przeniosłam się do innej szkoły. Właśnie przeglądałam nasz album i natknęłam się na nazwisko Kyle'a. Tak długo nie miałam z nim kontaktu, chciałam sprawdzić, co u niego. Nie mogę uwierzyć, że nie żyje.

ELIZABETH FLYNN: Aha. Tak, to bardzo smutne.

OSCAR FIELDING: Nie widzę tu autora tego posta, ale poszukaj w sieci nekrologu Kyle'a.

JESSICA BAKER: Kochani, dzięki za odzew. Trzymajcie się!

Juliet wychodzi z Facebooka i wzdycha. Jeżeli to prawda, ta wiadomość jest straszna. I nie za bardzo chodzi o sam fakt, że Kyle nie żyje – arogancki, zapijaczony drań – ale właśnie straciła szansę na udowodnienie Lauren, że Mindy po narodzinach została zamieniona z innym dzieckiem.

Potrzebuje potwierdzenia, więc zagląda do archiwum meksykańskich dzienników i wpisuje do wyszukiwarki słowa kluczowe: Kyle, Noonan, amerykański, utonięcie, nurkowanie.

Pojawia się mnóstwo wyników zawierających słowa „amerykański”, „utonięcie” i „nurkowanie”, ale nie ma w nich ani „Kyle”, ani „Noonan”.

No dobra, Juliet, spokojnie się zastanów.

W 2000 roku po Kyle'u Noonanie zaginął wszelki śluch.

Według krótkiego wpisu na forum dyskusyjnym absolwentów liceum Kyle nie żyje. A może zmienił nazwisko, żeby nie mieć nic wspólnego z pierwszą żoną i dzieckiem? Niewykluczone: zawsze był dupkiem. Nowa tożsamość byłaby dobrym sposobem na uniknięcie płacenia Lauren alimentów.

- Co za kutas – mruczy Juliet pod nosem.
- Krok od jej biurka zatrzymuje się Bai.
- Yyy... chyba jednak wpadnę później.
- Nie, nie, chodź. Jesteś mi potrzebny.
- Ty mnie też. Znaleźliśmy pasujący profil DNA w sprawie Crusie. Chcą, żebyś przyszła do pokoju konferencyjnego i pogadała ze śledczymi o DNA.

Juliet zakłada włosy za ucho i wstaje.

– Okay. A mógłbyś w tym czasie wyświadczyć mi przysługę? Poszukaj, proszę, niejakiego Kyle’a Noonana. Mieszkał tu, w Denver. Około roku dwutysięcznego przeprowadził się do San Diego i zgodnie z niepotwierdzoną wiadomością zmarł na Półwyspie Kalifornijskim w Meksyku. Pracował jako prawnik w kancelarii Spencer Landry. Zachowaj dyskrecję, dobrze?

- To znaczy, mam nikomu nie mówić, co robię?
- Tak. Właśnie o to mi chodzi.
- Bai uśmiecha się, podnosząc tylko jeden kącik ust.
- Juliet, uwielbiam, kiedy wychodzi z ciebie buntowniczką.
- Jasne, jasne. – Wyciąga ze stosu teczek akta sprawy Crusie. – Postarajmy się tylko, żeby nas za to nie wyrzucili z roboty, dobra?

Dwie godziny później, wykończona intensywną dyskusją, Juliet wlecze się z powrotem do swojego gabinetu. Bai już poszedł do domu, ale na jej biurku zostawił kartkę złożoną na trzy, z napisem wykonanym równiutkim pismem technicznym: **ŚCIŚLE TAJNE**.

Nie no, stary, ale dyskrecja.

Juliet rozkłada papier i czyta.

Ale masz stukniętych znajomych. Wysłałem Ci info na prywatnego maila.

Juliet dosłownie rzuca się do komputera. Tak samo jak wtedy, kiedy zajrzała na Facebooka, przełącza się na prywatny serwer, otwiera skrzynkę i znajduje wiadomość od Baia.

Wygląda na to, że ten gość nie żyje. Udało mi się znaleźć tylko tyle. Sorki. Mam nadzieję, że spotkanie dobrze poszło. Do zobaczenia rano.

W załączniku znajduje wycinek z prasy dotyczący śmierci Kyle'a. Tym razem jest to notka z „Denver Post”, z 31 sierpnia 2000 roku. Z jakiegoś powodu podczas własnych poszukiwań sama się na nią nie natknęła.

Kyle Noonan (32 l.), pochodzący z Highlands Ranch w Kolorado, obywatel USA, w zeszłym tygodniu zginął w wypadku podczas nurkowania na wybrzeżu Półwyspu Kalifornijskiego w Meksyku. Noonan, członek palestry stanów Kolorado i Kalifornia, przed śmiercią pracował w San Diego w kancelarii adwokackiej Spencer Landry. Słynął ze swoich płomiennych mów na sali sądowej. Jako obrońca z urzędu reprezentował wielu oskarżonych w sądach w hrabstwie Araphoe. Skończył liceum Douglas County w Castle Rock i przez krótki czas był mężem malarki Lauren Ryder. Rodzina prosi, żeby zamiast przynoszenia kwiatów wpłacić datek na ulubioną organizację charytatywną Noonana.

Pod notką nie widnieje nazwisko autora, co oznacza, że została napisana przez kogoś z rodziny. Juliet zastanawia się intensywnie, próbując przypomnieć sobie cokolwiek na temat krewnych Kyle'a. Był jednakiem i miał cioteczną babcię. Pamięta, że Lauren bardzo się ucieszyła, kiedy po śmierci tej kobiety dostali w spadku trochę pieniędzy.

Siada wygodniej na fotelu. W pewnym momencie będzie musiała pogodzić się z tym, że zabrnęła w ślepią uliczkę.

Mimo wszystko nie może pojąć, dlaczego Lauren stwierdziła, że nie ma potrzeby mówić jej o śmierci byłego szwagra. Trudno, sama ją o to spyta, ale w tej chwili jest potwornie zmęczona. Marzy tylko o tym, żeby wrócić do domu i paść na łóżko. Tak czy inaczej, Kyle nie zostanie wybawcą Mindy.

Wybiera numer telefonu siostrzenicy, ale od razu włącza się poczta głosowa. Przez chwilę rozważa, czy jednak nie zadzwonić do Lauren, ale ostatecznie odpuszcza. I tak siostra by nie odebrała. Kiedy wkurzy się na maksa, dopiero po paru dniach udaje jej się ochłonąć na tyle, żeby pogadać.

Juliet musi więc poczekać do weekendu, kiedy to wróci do Vail i się skontaktują. Osobiście.

Zamienione przy urodzeniu.

Gdzie więc jest jej prawdziwa siostrzenica?

Juliet nie ma wyboru. Jeżeli uda im się znaleźć biologicznych rodziców Mindy, zyskają większą szansę na uratowanie jej życia. Musi o tym z kimś porozmawiać, nawet kosztem utraty Lauren i Mindy. Życie siostrzenicy jest ważniejsze.

Wie, że tylko w jeden sposób może potajemnie przeprowadzić śledztwo. Bierze komórkę i dzwoni do Camerona.

- Dwa telefony w ciągu tygodnia? Co znowu zbroiłem?
- Potrzebuję twojej pomocy. Rady. Mam pewien problem.
- To co, wyskoczmy na drinka i pogadamy?
- A nie mogę przyjść do twojego biura? Zależy mi na... dyskrecji.

Ton jego głosu się zmienia. Cameron pewnie zrozumiał, że chodzi o coś bardzo ważnego.

- Dobra, czekam w gabinecie. Na dole zadzwoń domofonem.
- Dzięki, Cam.

Juliet jedzie ostrożnie. Lekki śnieg po południu tylko prószył, teraz sypie gęsto. Na pokonanie tej odległości zwykle wystarczy pięć minut, teraz to trwa pół godziny. Sunie z dłońmi kurczowo zaciśniętymi na kierownicy. Pikapem ciągle zarzuca na boki, chociaż auto ma zimowe opony i napęd na cztery koła.

W końcu, strzepując śnieg z włosów, wciska guzik domofonu. Rozlega się brzęczyk, zamek się otwiera i można wejść. Do biura Camerona wpada dużo światła: w recepcji znajdują się okna od podłogi aż do sufitu. Laboratorium jest nieskazitelnie czyste, wyposażone w lśniące maszyny ze stali nierdzewnej. Mężczyzna ceni sobie porządek, a Juliet bezgranicznie ufa przyjacielowi.

Wychodzi do niej do holu. Przystojny facet, bez dwóch zdań. Co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, przedwcześnie osiwiwały, z czarną bródką, zawsze nosi czarne golfy albo szare swetry z suwakiem na szyi, wyblakłe dzinsy i czarne conversy – to jego służbowy uniform. Tego wieczoru zamiast soczewek założył okulary. Juliet musi przyznać, że gość wygląda świetnie. Typ atrakcyjnego mózgowca. Urodził się w Londynie, ale od dziesiątego roku życia mieszka w Kolorado. Do tej pory czasami wplata do języka brytyjskie zwroty, a niektóre słowa wymawia z lekkim wyspiarskim akcentem, przez co wydaje się jeszcze bardziej interesujący i nieco tajemniczy. Kobiety uwielbiają z nim flirtować.

W innym życiu mogłaby nawet wziąć go pod uwagę jako swojego partnera. Zawsze jednak się wycofywała z tego pomysłu, chociaż Cameron jasno dał jej do zrozumienia, że chętnie przeniósłby ich znajomość na wyższy poziom. Powstrzymywał ją jednak jego genialny umysł. Bardzo nie chciałyby stracić Camerona, bo to jeden z najbardziej ambitnych, inteligentnych i ciekawych ludzi, jakich kiedykolwiek poznała. Jego intelekt i ostry sarkazm nie są dla ludzi o słabych nerwach. Juliet uwielbia go za to.

– Chodź. Zrobię ci coś ciepłego do picia i opowiesz wujkowi Cameronowi, co cię trapi.

– Wujkowi Cameronowi? Stary, to trochę obleśne.

Mężczyzna ogląda się przez ramię z lubieżnym uśmiechem, a Juliet chichocze.

W gabinecie podaje jej kubek herbaty i opiera się o biurko z rękoma splecionymi na piersi.

– Otóż moja siostra upiera się, że laboratorium popełniło błąd. Oboje wiemy, że to nieprawda. Myślę, że Lauren coś ukrywa. No bo czy na jej miejscu nie chciałbyś się dowiedzieć, dlaczego wyniki testów nie wykazały zgodności? Istnieje tylko jedno logiczne wytłumaczenie, prawda?

– Takie, że to nie jej dziecko? Że Mindy została zamieniona tuż po narodzinach?

– Tak. A idąc dalej, to oznacza, że prawdziwa córka Lauren mieszka z obcymi ludźmi. I to też by znaczyło, że w biologicznej rodzinie Mindy, na przykład wśród jej rodzeństwa, może się znajdować odpowiedni kandydat na dawcę szpiku.

– Akcja się rozkręca. Kontynuuj.

– Nie wygłupiaj się. Mówię poważnie. Chcę rozpocząć śledztwo.

– No to rozpocznij.

– Lauren błagała, żebym tego nie robiła, a potem stwierdziła, że zwariowałam, i wyrzuciła mnie ze szpitala. Ale krew nie kłamie.

– To prawda. – Cameron upija łyk herbaty. Juliet czuje, że przyjaciel ma coś więcej do powiedzenia.

– Ale...?

– Juliet, twoja siostra przeżyła traumę. Jej cudowne dziecko poważnie zachorowało, a ty twierdzisz, że Mindy, którą ona kochała, wychowywała i wspierała w drodze do sukcesów sportowych, nie jest jej prawdziwą córką. W takiej sytuacji ja pewnie też nie zareagowałbym racjonalnie.

– Jasne, tyle że Mindy potrzebuje przeszczepu szpiku. Na cito. Powinniśmy odłożyć emocje na bok.

– Niech zaczną szukać kandydata w bazie dawców.

– Już zaczęli, tymczasem...

– Nie potrzebujesz mojej zgody, żeby powiedzieć o tym swoim szefom. Nie ma problemu. Wyjaśnię im, że z powodu sławy Mindy na wszelki wypadek dwukrotnie wykonałem testy. Powtórzę to w oficjalnym zeznaniu – zapewnia. Juliet milczy, odstawia kubek. Cameron wpatruje się w nią przez chwilę. W końcu znów się odzywa: – O co chodzi? Właściwie dlaczego przyszłaś?

Juliet głęboko wciąga powietrze i gwałtownie je wypuszcza.

– Tak tylko się zastanawiam... – zaczyna z wahaniem. – Można by przeprowadzić to śledztwo. Nieoficjalnie.

Cameron zdejmuje okulary i drapie się po nosie.

– Aha.

– No właśnie: aha.

Mężczyzna z powrotem zakłada okulary.

– Zaskakujesz mnie. Takie akcje są wbrew wszystkim twoim zasadom. Wiesz, co by się stało, gdybyśmy to zrobili i gdyby ktoś się o tym dowiedział. Trzeba by ponownie otworzyć każdą prowadzoną przez siebie sprawę. Przestępcy, których wsadziłaś za kratki, podważaliby wyroki, zaczęłyby się nowe rozprawy, a za drugim razem sprawiedliwości mogłoby nie stać się zadość. Poza tym straciłabyś pracę, swoje dobre imię i do końca życia musiałabyś jeść kanapki z mielonką. Nie łatwiej przekonać siostrę, niż zaryzykować karierę? Jeżeli to cię nie zniechęca, to może przemówi do ciebie perspektywa jedzenia czerstwego chleba z mięsem niewiadomego pochodzenia. Już nie wspominając o tym, że pewnie zamknęliby moje laboratorium.

– Cam, znam konsekwencje. Ale coś mi w tej całej sprawie cholernie nie pasuje. Na miejscu Lauren dobijałabym się do dyrekcji szpitala i groziłabym procesem, jeżeli nie wytłumaczą, jak to się stało, że moje dziecko pojechało do domu z obcymi ludźmi.

– Ale nie jesteś na jej miejscu. Lauren próbuje chronić Mindy. Wyobrażasz sobie, co ta dziewczyna będzie czuła, kiedy usłyszy, że nie jest dzieckiem Lauren i Jaspera?

– To, że nie jest córką Jaspera, było wiadomo od początku.

– Co takiego?

– Pierwszy mąż Lauren porzucił ją, gdy była w ciąży. Jaspera poznała, kiedy Mindy miała kilka tygodni. O tym moja siostrzenica też nie wie.

– A gdzie teraz się podziewa eksmąż Lauren?

– Nie żyje. Utopił się podczas nurkowania w Meksyku – odpowiada Juliet i z rezygnacją opuszcza ramiona.

Cameron kuca obok niej.

– Juliet, rozumiem, dlaczego chcesz to zrobić, ale jeżeli ktoś się o tym dowie, stracisz wszystko. Jak wytłumaczysz, że nagle znalazłaś pasujące DNA? Jeżeli wyrwiesz się przed szereg z rozwiązaniem problemu, którego nie da się rozwikłać w inny sposób, od razu cię prześwietlą. Nie potrzebujesz zgody siostry, żeby rozpocząć dochodzenie. Pracujesz w CBI. Jestem pewien, że w tych okolicznościach Woody zachowa dyskrecję. Jeżeli zajmiesz się tym oficjalnie, będziesz mogła szukać do woli, opowiadać o swoich nowych technikach, a nawet dla zabawy zrobić sobie trójwymiarowe modele potencjalnych członków rodziny. Bez lęku, że okryjesz się hańbą i będziesz musiała żywić się mielonką.

Juliet wie, że Cameron ma rację.

– Oczywiście, musimy to zrobić zgodnie z procedurami. Nie zamierzam tak bardzo ryzykować dla Lauren. Sama na pewno nie zrobiłaby tego dla mnie. Co mi się ubzdurało? Zapomnijmy o tej rozmowie, dobrze? Wstyd mi, że w ogóle poruszyłam ten temat.

– Daj spokój, w porządku. – Cam się uśmiecha. – Kochasz siostrę i siostrzenicę, po prostu nie chcesz przysparzać im jeszcze więcej cierpienia. Masz wielkie serce i jesteś lojalna, a w tych czasach to rzadkość. Zadzwoń, gdybyś potrzebowała jakiegokolwiek pomocy. Niezmiennie pozostaję do twojej dyspozycji. A teraz wyskoczmy na kolację, co? Masz ochotę na stek?

– Cam, innym razem, zgoda? Zanim porozmawiam z Woodym, muszę zadzwonić do Lauren.

Po powrocie do domu Juliet dzwoni do siostry, która – o dziwo – odbiera telefon.

– Już późno. Coś się stało? – Słyszysz po drugiej stronie.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że dziś rozmawiałam ze swoim szefem. Musimy ustalić, co się dzieje z twoim biologicznym dzieckiem. Zachowam dyskrecję. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby żadne nazwisko nie zostało ujawnione. Oznaczę Mindy jako NN. Gwarantuję pełne bezpieczeństwo.

– Co? O czym ty mówisz? Otwierasz dochodzenie w imieniu Biura Śledczego?

– Tak. Musimy...

– Nie, nie, nie. Wykluczone.

– Lauren. Posłuchaj mnie...

Juliet zdumiewa ostry ton siostry.

– To ty posłuchaj mnie, siostrzyczko. Jeżeli to zrobisz, już nigdy się do ciebie nie odezwę. Nigdy. I nie pozwolę, żeby Mindy spotykała się z tobą. Wyrzucę cię z naszego życia.

– Uspokój się. A swoją drogą, nie powinnam się dziwić. Przecież nawet nie wspomniałaś mi słowem, że Kyle nie żyje.

– Jego śmierć nie ma tu żadnego znaczenia – odparowuje Lauren błyskawicznie.

– Tego nie wiemy. Mogliśmy zbadać jego DNA... Boże kochany, ty naprawdę nie chcesz się dowiedzieć, gdzie jest twoje prawdziwe dziecko?

W głośniku rozlega się płacz.

– Proszę cię, błagam, zostaw to.

– Nie mogę. Bardzo mi przykro. Zostało złamane prawo, a ja pracuję w organach ścigania.

– Kurwa, jesteś zwykłą laborantką. Nawet nie agentką.

– I tym oto miłym akcentem...

– Czekać. Czekać. Przepraszam. – Lauren wzdycha ciężko. – Możesz jutro tu przyjechać?

- Niestety, muszę zająć się papierkową robotą.
- Wszystko ci powiem, ale chcę to zrobić osobiście, nie przez telefon.
- Coś przede mną ukrywasz?
- Nie. Tylko że... Juliet, na miłość boską, przestań się do mnie dopierdalać. Przyjedź jutro, pogadamy.

Wulgarny język siostry zaskakuje Juliet. Lauren nigdy nie przeklina. I nie traci kontroli nad sobą. Nie grozi, nie mówi ostrym tonem. Ostatnie tygodnie mocno się odbiły na jej psychice.

- Pod jednym warunkiem – rzuca Juliet.
- Dobra. Jakim?
- Kiedy już mi powiesz, co masz do powiedzenia, złożysz u mnie oficjalne zeznanie, że nie wiedziałas, że Mindy nie jest twoim biologicznym dzieckiem. Na dłuższą metę to ci pomoże. Lepiej, żeby śledczy nie zaczęli czegoś podejrzewać.

Kolejne westchnienie.

- Nie odpuścisz, co? Uwierz mi, kiedy porozmawiamy, nie będziesz potrzebowała żadnego zeznania i dochodzenia. Do jutra.

Rozłącza się. Juliet czuje się tak, jakby dostała obuchem w głowę.

Do diabła, o co jej chodzi?

SZPITAL W VAIL

Lauren próbuje pokonać rosnącą panikę. Czy na to pozwoli, czy nie, siostra użyje swojego ostrego jak brzytwa umysłu, żeby otworzyć najgłębsze rany. Cały jej świat legnie w gruzach.

Nie może do tego dopuścić. Musi powstrzymać Juliet.

Nie do wiary, jak bardzo ich życie się zmieniło. To chyba jakiś koszmarny sen. Codziennie wchodzi głębiej w labirynt, z którego nie ma wyjścia. A teraz Juliet wszystko zniszczy.

Znowu.

Myśl. Myśl!

Wraca do pokoju córki, do dużego fotela, miękkiego koca i książki, z której nie przeczytała ani jednej strony. Włosy spięła w niedbały kok na czubku głowy, na nogach ma botki z owczej skóry. Przedtem przed wyjściem z domu zawsze brała prysznic i robiła sobie pełny makijaż. Teraz ledwo ma siłę na to, żeby przeciągnąć szczotką po włosach. Zdaje sobie sprawę, jak wygląda. Jak zaniedbana, zniszczona kobieta. W ogóle jej to nie obchodzi.

Mindy śpi wyczerpana, wychudzona, z łysymi plackami na głowie i sterczącymi obojczykami.

Lauren głaszcze ją po przedramieniu, próbuje przemienić swoje dziecko w dziewczynę sprzed wypadku.

Tę, której ciemne długie rzęsy rzucały cień na dolne powieki.

Której prężne, wyrzeźbione mięśnie wręcz lśniły.

Której skóra latem przybierała ciepły odcień herbaty.

Kiedy Mindy była jeszcze malutka, nie mogła doczekać się weekendów, bo zawsze wtedy wsiadali w samochód i wybierali się do jakiegoś cudownego miejsca, gdzie cieszyli się wspólnymi chwilami. Jeździli na

nartach, pili kakao przy kominku i wylegiwali się w jacuzzi, żeby dać ukojenie obolałym mięśniom. Piękne czasy. Idealne.

Mindy zawsze chciała towarzyszyć swoim rodzicom, nie odstępowała ich na krok – do tego stopnia, że musieli odprowadzać ją do pokoju i wciskać książkę do ręki, żeby nauczyła się być sama ze sobą.

Teraz siedzą kolejny weekend w szpitalu, bo po południu ból Mindy stał się nie do zniesienia. Córka śpi, bez kontaktu, otumaniona lekami, a Lauren ma przed sobą kolejną bezseną noc w świetle jarzeniówek, wypełnioną nieustannymi odgłosami aparatury, kaszlu i krzyku innych pacjentów. Szary, zamrożony śnieg, który stuka w szyby, budzi w całej ich trójce tylko lęk. Nie do wiary, że kiedyś ich cieszył. Lauren już nigdy w życiu nie chciałaby widzieć śniegu. Jeżeli Mindy przeżyje... ta myśl paraliżuje jej umysł. Lauren walczy ze szlochem próbującym wyrwać się z gardła.

Musi przeżyć.

Wszyscy jakoś to przetrwamy.

Z zamyślenia wyrывa ją cichy głos.

– Proszę pani? – Pielęgniarka uśmiecha się nieśmiało. Nowa dziewczyna, spokojna i miła, z lśniąco jasnymi włosami, związanymi w rozkołysany koński ogon. – Ma pani chwilkę? Nie dla mnie, dla doktora Olivera.

Panika rozlewa się po piersi Lauren, intensywna, niemal obezwładniająca.

– Co się stało? Coś złego?

– Nie. Pan doktor jest u siebie w gabinecie, prosił, żebym po panią przyszła. Ja tu zostanę, na wypadek gdyby pacjentka się obudziła. Wiem, że pani męża dzisiaj nie ma.

Lauren kiwa głową, wstaje, starannie zwija koc i kładzie na nim książkę. Nie zaznacza strony, na której skończyła.

– Proszę mi przypomnieć swoje imię.

– Lolly – odpowiada dziewczyna, a w jej policzkach pojawiają się głębokie dołeczki. – Mam staż na onkologii. Słyszałam dużo dobrego o Mindy. Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam.

Lauren połyka łyżę i gryzie się w język, żeby nie chlapnąć czegoś nieprzyjemnego. Ta dziewczyna wygląda młodo, jak licealistka, która dorabia po lekcjach, a nie jak pielęgniarka na stażu. Lauren zmusza się do uśmiechu.

– Niech pani jej tylko nie budzi; jeżeli sama się ocknie, porozmawiajcie sobie. Nudzi się jak mops. Większość jej przyjaciół i zawodników z drużyny jeździ teraz na nartach, a ona utknęła tutaj.

– No tak. Proszę już iść. Doktor Oliver czeka.

Lauren wkłada telefon do tylnej kieszeni spodni i posłusznie zmierza korytarzem do pokoju lekarskiego. Doktor Oliver siedzi za dużym biurkiem, w pomieszczeniu przytulnym dzięki zdjęciom, książkom i światłu ze zwykłych lamp. Żadnych jarzeniówek. Lauren zamyka oczy i znowu je otwiera; czuje, jak bardzo się stresowała w sali zalanej ostrym światłem.

Lekarz podnosi głowę, spogląda na nią łagodnie i z uśmiechem wskazuje krzesło po drugiej stronie biurka.

– Co się dzieje?

– Witam panią. Chciałem sprawdzić, jak się pani trzyma.

– Och, jako tako. Ale Mindy to prawdziwa wojowniczką. Jest taka silna i...

– Ale jak pani się czuje? I mąż.

Lauren przez chwilę milczy.

– Biorąc pod uwagę to, że możemy stracić córkę? Do dupy. Przepraszam za wyrażenie.

Doktor Oliver wygląda jednak na zachwyconego.

– Nie ma za co. Cieszę się, że zostało w pani jeszcze trochę ognia. Wiem, jak państwu ciężko. Nawiasem mówiąc, fantastycznie pani sobie radzi. Tak samo jak Mindy. Trzeba jednak więcej myśleć o sobie. Proszę pojechać do domu i wrócić tu jutro.

– Dziękuję, zostanę. – Wie, że zabrzmiało to trochę arogancko, ale co zrobić? Ma zostawić chorą córkę? Nigdy.

Lekarz styka ze sobą czubki palców obu dłoni.

– Niech pani posłucha. W takim stanie nie będzie z pani pożytku. Oczywiście trzyma się pani świetnie, mimo to podobnie jak Mindy marnieje pani w oczach. Ona to widzi i bardzo cierpi. Poza tym w ten sposób krzywdzi pani również samą siebie.

– Nie rozumiem. Moja córka to panu powiedziała?

– Dziewczyna ma wszystko wypisane na twarzy, chociaż próbuje to ukryć. Ale tak, wspomniała o tym. Martwi się o panią.

– Rozmawiał pan z nią? Co jeszcze mówiła?

– Tak, zamieniliśmy ze sobą kilka słów. Wczoraj, kiedy zakładałem jej port naczyniowy. Obchodzi mnie nie tylko zdrowie fizyczne pacjentów. Psychika również jest ważna. – Jego uśmiech staje się cieplejszy. – Mindy walczy. Pytała, dlaczego pani i Jasper nie możecie zostać dawcami. Prosiła, żebym jej opowiedział o DNA.

Serce Lauren zamiera na chwilę, potem ożywa gwałtownie, zalewając ją adrenaliną.

– Nie powinien pan wdawać się z nią w dyskusje bez nas.

– Proszę pani...

– Co dokładnie pan mówił? Jak pan to wyjaśnił? – pyta ostrym głosem; zachowuje się jak paranoiczka, trudno, ma to gdzieś.

Oliver przez chwilę marszczy brwi.

– Rozmawialiśmy o zgodności DNA. Streścić? Jestem pewien, że pani sama już zapoznała się z tematem.

– Tak, ale... – urywa nagle. Po chwili robi głęboki wdech. – Istnieje pewien powód, dla którego nasze profile DNA do siebie nie pasują – wyrzuca w końcu z siebie. Lekarz kiwa głową, jakby od początku czekał, aż sama to powie. – Po prostu... Ja nie... Nie powiedział pan o tym Mindy, prawda?

– Oczywiście, że nie. Podkreśliłem, że często się zdarza, że żaden z rodziców nie może zostać dawcą, dlatego dysponujemy bazą dawców. Lauren, nie musi mi pani niczego tłumaczyć. Jest pani jej matką i tylko to mnie obchodzi. Cieszę się jednak, że poruszyła pani tę kwestię, bo chciałbym tę sprawę z panią omówić. Dobrze by było, gdybyśmy skontaktowali się z biologiczną rodziną Melindy. Może dawca znajdzie się

wśród jej krewnych, nie musielibyśmy wtedy prowadzić poszukiwań na ogromną skalę – przekonuje, lecz Lauren już kręci głową, więc doktor Oliver podnosi rękę. – Nie wie pani, gdzie mieszkają? To była zamknięta adopcja?

– Tak.

– Rozumiem. Zapytam z ciekawości: dlaczego od razu pani mi tego nie zasygnalizowała?

– Nie przypuszczałam, że to takie ważne. Myślałam, że ktoś z naszej trójki zostanie dawcą. Nie znam się na tym tak dobrze jak moja siostra.

– Jasne. Włączyliśmy profil pani córki do systemu i wystosowaliśmy pilny apel do dawców z bazy. Wkrótce na pewno ktoś się odezwie.

– Co się stanie, jeżeli nic z tego nie wyjdzie?

Doktor Oliver znowu się uśmiecha, tym razem ze smutkiem.

– Lauren, nie będę pani okłamywał. Jej wyniki się nie poprawiają. Ale nie skupiamy się na tym, dobrze? A teraz proszę, żeby wróciła pani na noc do domu i trochę odpoczęła. Mindy musi mieć więcej własnej przestrzeni. Jest zmęczona udawaniem odwagi i optymizmu, tak jak pani. Aha, jeszcze jedno.

– Słucham...

– Ręka pani krwawi. Zauważyłem, że się pani drapie. Mogę wystawić receptę na jakiś lek uspokajający.

Lauren spogląda na rękę i z przerażeniem znajduje ślady krwi na bluzce. Pod paznokciami ma czerwone obwódki. Podczas tej rozmowy nieświadomie rozorała sobie skórę aż do krwi.

– Nic mi nie jest – ucina ostrym tonem. – Dziękuję, że zwrócił mi pan uwagę. Poproszę pielęgniarki o plaster.

Wychodzi z gabinetu zła. Zła na Boga, na doktora Olivera – który niczemu nie jest winny, ten człowiek to wręcz święty – zła na siebie za ten niesłychany brak dyscypliny. Rozdrapała sobie skórę jak jakiś kundel. Musi wziąć się w garść.

Juliet przyjeżdża rano. Taksuje Lauren wzrokiem i kręci głową.

– Rany, odkąd ostatnio się widziałyśmy, schudłaś jeszcze bardziej. Kiedy zjadłaś coś konkretnego, nie tylko te przekąski z bufetu? Ej, krew ci leci?

Lauren spuszcza wzrok na rękę. Powinna zmienić plaster. Rozdrapała ranę jeszcze bardziej. To tyle, jeśli chodzi o wzięcie się w garść.

– Nic mi nie jest. Mindy...

– Tak, potrzebuje matki. Ale zdrowej i silnej, nie cienia. Chodź. Zamówimy sobie ogromnego cheeseburgera i dziesięć porcji frytek. Będiesz jadła, dopóki nie pęknie. I przy okazji wszystko mi opowiesz.

– Śmieciowe jedzenie nie jest...

– Cheeseburger? Śmieciowym żarciem? Na miłość boską, pamiętam, jak...

Lauren podnosi rękę.

– Krążki cebulowe. Chcę też krążki cebulowe.

– No, teraz to rozumiem.

– Tylko pójdę po torebkę.

Juliet idzie z siostrą do Mindy, która jeszcze śpi. Pielęgniarka siedzi cichutko i czyta książkę. Na ich widok uśmiecha się, wskazuje na pacjentkę i podnosi kciuk. Lauren kiwa głową i mówi szeptem:

– Idziemy coś zjeść. Może pani zostać jeszcze trochę?

– Kończę zmianę za dwie godziny. Proszę iść.

Lauren uświadamia sobie, że to doktor Oliver przysłał im Lolly niejako w prezencie. To naprawdę dobry człowiek. Mają farta.

Juliet w skupieniu prowadzi swojego nissana xterre po oblodzonych ulicach. Żadna z nich nic nie mówi. Lauren jeszcze nie jest gotowa. Ma sobie za złe, że opuściła szpital, ale zarazem czuje się wolna jak nigdy. Mogłaby rzucić to wszystko w cholerę, uciec do Meksyku i już nigdy nie

wrócić. Zrób to! Uciekaj, teraz! Każe się zamknąć temu idiotycznemu głosowi. Przykłada sobie do ręki chusteczkę higieniczną. Krwawienie ustało. Do końca tygodnia, dopóki ranka się nie zagoi, będzie musiała nosić bluzkę z długim rękawem.

– Możemy pójść do Little Diner... – zaczyna Juliet, ale Lauren już wybrała inne miejsce.

– Nie, do Araphoe Cafe.

– Do Dillon? Poważnie?

– To tylko czterdzieści pięć minut drogi i znajdziemy się w niebie. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

– Jasne. Jedźmy. Dawno tam nie byłam. – Juliet zawraca i wjeżdża na autostradę I-70 prowadzącą na wschód, do Denver. – No, mów, o co chodzi – prosi cicho.

Lauren opiera głowę o szybę. Wie, że nie uniknie tej rozmowy, nie chce już dłużej ze wszystkimi walczyć.

– Juliet...

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Kyle nie żyje? Wiem, że nigdy mi się nie zwierzasz, ale w końcu należał do naszej rodziny.

Lauren nie rusza się, tylko strzela oczami w stronę siostry.

– Po prostu zniknął z naszego życia i nie miałam ochoty z powrotem go tu wciągać.

– Z grobu trudno byłoby go wyciągnąć. Myślę, że powinnaś mnie zawiadomić o jego wypadku. Zginął podczas nurkowania?

– Tak, gdzieś na rafie. Chyba przy Półwyspie Kalifornijskim.

– Nie wiedziałam, że lubił nurkować.

Wzrusza ramionami.

– Lubiał wiele rzeczy, o których nie wiesz.

– Nie rób tego. Nie zamykaj się przede mną.

– Co mam ci powiedzieć?

– Powiedz, co, do cholery, się dzieje. Z Mindy nie łączą nas więzy krwi, jej niby biologiczny ojciec nie żyje, a ty zachowujesz się dziwnie

i tajemniczo jak pieprzony sfinks. Mów natychmiast, o co w tym wszystkim chodzi. Chcę poznać prawdę. Może wtedy uda mi się wam pomóc.

Lauren śmieje się gorzko, nieprzyjemnie.

– W tej sytuacji nikt nie może nam pomóc. Nie zrozumiałabyś.

– Założymy się?

Czy powinna wyjawic siostrze całą prawdę? Czy da radę? Ciągłe myśli tylko o tym. Co to zmienia, ile Juliet w tej chwili wie? Oczywiście może jej zaufać. To rodzona siostra, nie pielęgniarka, lekarz czy psychoterapeuta. W końcu ta sama krew.

– Musisz przysiąc, że to, co usłyszysz, zostanie między nami. Nie wolno ci powtórzyć tego Mindy, lekarzom czy Jasperowi. Zwłaszcza jemu.

Juliet robi na sercu znak krzyża.

– Przysięgam na wszystko.

– To tylko moja historia. Niczyja więcej. Obiecuj, że kiedy skończę, nie polecisz z tym do swoich szefów.

– Hm, dotyczy to również Mindy, ale to już wasza sprawa. Jeżeli nie zrobiłaś nic złego, daję słowo honoru, że nikomu się nie wygamam.

– Straciłam dziecko.

Juliet zachowuje neutralny wyraz twarzy, ale lekko dotyka dłoni Juliet.

– Tak mi przykro. Niedawno?

– Nie. To się stało, kiedy byłam w szóstym miesiącu ciąży. Po tym, jak Kyle ode mnie odszedł. – Lauren ignoruje wstrząśniętą minę młodszej siostry.

– Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Musisz zrozumieć, co wtedy przeżywałam. Kyle był skończonym draniem. Bardzo pragnęłam mieć dziecko, w przeciwieństwie do niego. Myślałam jednak, że ostatecznie, jak już się oswoi z sytuacją, będzie szczęśliwy. Poczekalam, aż ciąża stała się widoczna, zrobiłam wszelkie badania, żeby zyskać pewność, że dziecko jest zdrowe, i dopiero wtedy mu powiedziałam. Wpadł w szał. Zaczął mnie tłuc pięścią po twarzy, walić w brzuch, strasznie mnie pobił. Potem oznajmił, że chce się rozwieść, przenieść do Kalifornii i zacząć pracę w jakiejś księgarni. Twierdził, że

zamierza pisać. Sprzedał opowiadanie jakiemuś nędznemu czasopismu, co zachęciło go do dalszych starań w tym zakresie. Wiedziałam, że zawsze chciał pisać powieści i mieszkać w domu przy plaży, ale byłam pewna, że w tym marzeniu jest miejsce również na rodzinę. Myliłam się.

– Wtedy straciłaś dziecko, po tym pobiciu? Gdyby nie to, że już nie żyje, chybabym go zamordowała.

– Nie, to się stało prawie dwa miesiące później. Ale jestem pewna, że przyczyną było pobicie. Musiał mi coś uszkodzić. Czułam się jakoś inaczej. A kiedy zaczęłam krwawić... już dawno się z Kyle'em rozstaliśmy.

Juliet milczy, zaciska dłonie na kierownicy tak mocno, że bieleją jej kostki.

– O Boże, skarbie. To straszne. Musiało ci być potwornie ciężko.

Lauren kiwa głową.

– Dawne czasy.

– Ale co z Mindy?

– Kiedy leżałam w szpitalu, moja lekarka bardzo mi współczuła. Powiedziała, że mam poważne zaburzenie krzepnięcia krwi i że to cud, że dziecko żyło tak długo. Dodała, że szanse na to, że kiedykolwiek donoszę ciążę, są znikome. – Słowa płyną z ust Lauren coraz szybciej i szybciej, aż przemieniają się w potok. Tyle kłamstw, półprawd, pominięć. Historia ukrywana całymi latami teraz wylewa się z niej jak tsunami. – Wpadłam w rozpacz i pewnie nie myślałam jasno. Już wcześniej parę razy poroniłam, na samym początku, w pierwszym trymestrze. Poczytałam o wielokrotnych poronieniach, znalazłam informację, że lekarze w takich sytuacjach polecają aspirynę dla dzieci, pobrałam ją przez parę miesięcy i voilà, znowu zaszłam w ciążę. Tym razem udało mi się ją utrzymać.

A potem Kyle mnie pobił, straciłam dziecko i ta miła pani doktor stwierdziła, że nie będę mieć dzieci. Powiedziała, że inna jej pacjentka, nastolatka, urodzi dziecko w tym terminie, w którym ja bym urodziła, ale chce je oddać do adopcji. I że to też dziewczynka.

Lekarka wszystkim się zajęła. To była adopcja zamknięta. Biologiczna matka nie chciała kiedykolwiek kontaktować się z Mindy. Podejrzewam, że została zgwałcona czy coś w tym rodzaju, bo bardzo jej zależało, żeby

zostawić dziecko i w ogóle o nim zapomnieć. Spotkałam się z nią tylko raz, dwa dni później. Ładna, chociaż mocno zniszczona jak na swój wiek. Przytuliła mnie i powiedziała: „Dziękuję, opiekuj się nią”. Potem już nie usłyszałam nic na jej temat, dopóki dziecko się nie urodziło. Kiedy lekarka zadzwoniła, pojechałam do szpitala i zabrałam dziewczynkę do domu.

Juliet kręci głową.

– A to przyjęcie, twój brzuch? Widziałam cię pod koniec ciąży. Nie miałaś ogromnego brzucha, ale był wyraźny. Nigdy nie zaprzeczyłaś.

– Wstydziałam się. Wtedy o poronieniach nie mówiło się tak otwarcie jak teraz. Nie czułam się na siłach z kimkolwiek o tym rozmawiać. Adopcja wydawała mi się idealnym rozwiązaniem. Pragnęłam dziecka, a tamta dziewczyna chciała je oddać. Dogadałyśmy się, lekarka pomogła nam załatwić sprawę. Uważałam, że nie muszę nikomu o tym opowiadać.

Juliet zjeżdża z autostrady I-70 w stronę Denver.

– Kłamałaś ponad siedemnaście lat – mówi, parkując przed restauracją.

– Nie kłamałam. Mindy jest moją córką. Była nią, jeszcze zanim się urodziła.

– Mimo wszystko to zatajenie prawdy. Boże drogi, Lauren.

– Nie oceniaj mnie, Juliet. Nie wiesz, co przeżyłam. W ogóle mnie nie znasz. Byłaś wtedy jeszcze dzieckiem. Co miałam zrobić? Zwierzyć ci się? Uczennicy podstawówki skupionej na nauce? Dobrze pamiętam, wybierałaś się na targi naukowe. Ciekawe, co byś mi poradziła – prycha z sarkazmem.

– Nie oceniam cię. Mówię tylko, że jestem twoją siostrą. Mogłaś mi zaufać. Mama wiedziała?

– Nikt nie wiedział.

Juliet odwraca się do Lauren. W aucie panuje półmrok. Stoją w cieniu budynku restauracji i chociaż zamrożone jezioro aż skrzy się od słońca, to ten mały fragment parkingu pogrążony jest w ciemności.

– Opowiedz mi resztę. Dlaczego nie mogę porozmawiać o tym z Jasperem? – pyta przez zaciśnięte zęby.

Lauren przeciągle wypuszcza powietrze.

– Bo on też o niczym nie wie. Nigdy mu nie powiedziałam, że nie jestem biologiczną matką Mindy.

Cisza w samochodzie staje się przytłaczająca. Waga wyznania siostry uderza w Juliet mocno niczym taran. Lauren zamyka oczy, jakby uświadomiła sobie, że już za późno, że nie zdoła cofnąć słów. Że teraz wszyscy się dowiedzą, a ona nic nie może na to poradzić. Zaczyna mieć rękaw ubrudzony krwią. Juliet kładzie dłoń na jej dłoni i siedzi w bezruchu.

Kilka razy próbuje się odezwać, lecz zaraz zamyka usta. Musi przyznać, że czuje ogromną ulgę. Nie mogła znieść myśli o tym, że dzieci zostały zamienione po porodzie. To – informacja o adopcji – sprawi Mindy ogromny ból, ale przynajmniej dziewczyna będzie wiedziała, że Lauren i Jasper stali się jej rodzicami nie w wyniku pomyłki, tylko dlatego, że ją wybrali i pokochali. A do tego nie trzeba ciągać po sądach drugiej rodziny.

Kiedy w końcu odzyskuje mowę, w jej głosie brzmi pozbawiona emocji ciekawość. Nie zachowuje się jak oceniająca młodsza siostra, tylko jak racjonalny naukowiec, który próbuje rozwiązać zagadkę.

– Dlaczego nie powiedziałaś Jasperowi?

– Bo go to nie obchodziło. Kiedy się poznaliśmy, Mindy była malutkim, wrzeszczącym bobasem. A on od razu się w niej zakochał. Tyle mu wystarczało. Nic więcej nie miało znaczenia.

– Hm... Może jednak inaczej by patrzył na nią, na ciebie?

– Przecież Mindy i tak nie była jego dzieckiem, a jednak ją pokochał. Nic by się nie zmieniło, gdyby się dowiedział, że ją adoptowałam. W ogóle by się tym nie przejął. To nie miało żadnego znaczenia – podkreśla raz jeszcze Lauren. – Mindy jest moim dzieckiem. Moim.

– Rozumiem, co czujesz. Nie wyobrażam sobie lepszej matki niż ty, Lauren. Radzisz sobie w tej roli doskonale. Ale pod względem biologicznym nie jesteście spokrewnione. A teraz Mindy zachorowała i musimy znaleźć dla niej dawcę. Co oznacza, że powinnaś się do wszystkiego przyznać, żebyśmy jak najszybciej namierzyli biologiczną matkę i zrobili jej badania.

Lauren kręci głową.

– To niemożliwe.

– Pracuję dla Centralnego Biura Śledczego. Wierz mi, skarbie, nie ma rzeczy niemożliwych.

– Ta jedna jest nie do rozwiązania. Nie znam biologicznej matki Mindy. Nawet nie pamiętam imienia, o ile w ogóle podała mi prawdziwe, w co szczerze wątpię. Ot, ładna, pogubiona nastolatka latynoskiego pochodzenia, która ledwo mówiła po angielsku i bardzo się cieszyła, że może pozbyć się dziecka. Założę się, że po porodzie już ani razu nie pomyślała o Mindy. W każdym razie ja o tej kobiecie już zapomniałam.

– Dałaś jej pieniądze. Na pewno zostały jakieś dokumenty...

– Zapłaciłam gotówką. Z góry. Bez pokwitowania. Bez papierkowej roboty. Inaczej czułabym się tak, jakbym kupowała dziecko, więc zdecydowałam... zdecydowałyśmy, że zrobimy to nieoficjalnie. Nie ma żadnych dokumentów.

– W takim razie podaj mi nazwisko tamtej lekarki.

– Też nie pamiętam.

– Po prostu nie chcesz mi powiedzieć.

Lauren uderza pięścią w deskę rozdzielczą.

– Jak ty nic nie rozumiesz!

– Rozumiem. Próbujesz ocalić własną skórę, bo się boisz, że Jasper cię zostawi, kiedy się dowie, że przez tyle lat go okłamywałaś.

– Nie, w ogóle nie o to chodzi. Nie zostały żadne dokumenty, nic – powtarza niemal krzykiem. – To była zamknięta adopcja z moją gwarancją, że nigdy nie spróbuję skontaktować się z biologiczną matką.

– Inaczej mówiąc, zrobiliście to nielegalnie.

– Nie. Zagwarantowałam tylko, że nigdy nie podejmę starań, żeby ją odnaleźć, to wszystko.

– Ale teraz złamiesz tę przysięgę.

– Nie.

– Tak. Inaczej ja to zrobię.

Lauren spogląda na młodszą siostrę.

– Co to ma znaczyć? Ani się waż. To moja rodzina i moja decyzja. Tobie nic do tego.

– Serio? Mindy jest moją siostrzenicą. Nie pozwolę dziewczynie umrzeć, jeżeli istnieje szansa na to, żeby uratować jej życie. Chyba nie wierzysz, że uda ci się ukrywać to w nieskończoność? Lekarze już znają prawdę o braku pokrewieństwa między wami. Ile czasu minie, zanim wygadają się Jasperowi? On nie jest głupi. Wie, że coś tu nie gra.

– Nieprawda.

– Słowo daję, ty chyba oszalałaś. Wszyscy widzą, że dzieje się z tobą coś złego. Popatrz na siebie. Dosłownie nikniesz w oczach. Spójrz na swoją rękę.

Lauren spuszcza wzrok. Ranka znowu zaczęła krwawić, rozdrapała ją podczas rozmowy. Juliet dostrzega w tym ruchu coś znajomego, coś z odległej przeszłości, zaledwie cień wspomnienia. Lauren siedzi naprzeciwko niej przy dużym, okrągłym drewnianym stole, przykrytym obrusem w czerwoną kratkę – to było w Kolorado, kupiliśmy ten obrus w Targecie. Skubie bandaż na rękę, strzępi jego końce, a ich matka szarpie ją za rękę i wrzeszczy: „Przestań!”.

Juliet nie przypomina sobie, czy potem Lauren jeszcze kiedyś rozdrapywała sobie skórę do krwi. Aż do teraz.

– Juliet, jeżeli Mindy umrze...

– Jeżeli umrze, wtedy o wszystkim powiesz? Myślisz, że w ten sposób to naprawisz? Usprawiedliwisz swoje kłamstwo? To ogromne kłamstwo, które postawiło cały wasz świat na głowie?

– Przestań się na mnie wydzierać. To moje życie. Mój wybór. Nie złamię własnych zasad.

– Własnych zasad? Pieprzyć twoje zasady. Mindy walczy o życie. Po prostu trzeba działać, i już. Posłuchaj, jeżeli nie staniesz na wysokości zadania, to wierz mi, ja zajmę się wszystkim bez twojej zgody.

– Tak? Wtedy już nigdy się do ciebie nie odezwę. Przysięgam.

– Czcze pogrożki. Co to zmieni, skoro już teraz się do mnie nie odzywasz?

Te gorzkie słowa wiszą między nimi.

– Straciłam apetyt. – Lauren odwraca głowę i wygląda przez okno.

– Ja też. Od całej tej maskarady niedobrze mi się robi. Ale pójdziemy do restauracji i zjemy porządny posiłek, bo zaczyna ci odbijać, więc może jedzenie przywróci ci jasność myślenia. – Juliet wyjmuję kluczyki ze stacyjki, otwiera drzwi i wysiada, po czym z powrotem zagląda do wnętrza auta. – Lauren, kiedy wrócimy do Vail, musisz wyjawić prawdę Jasperowi.

– Nigdy mi nie wybaczy.

– Powinnaś pomyśleć o tym wcześniej, zamiast budować z nim życie na kłamstwie. – Trzaska drzwiami tak mocno, że samochód aż się kołysze, potem idzie do restauracji.

Promienie słońca odbijają się od świeżego śnieżnego puchu, skrzą się na zamarzniętym jeziorze dwadzieścia metrów od samochodu. Lauren wyjmuje z torebki chusteczkę, ociera rękę i przylepia nowy plaster. Nawet nie wie, kiedy zerwała poprzedni, który teraz znajduje zrolowany pod lewą piętą.

Kości jej nadgarstków ostro rysują się pod skórą, chude dłonie o żółtawej skórze leżą na udach cienkich jak patyczki. Juliet ma rację – został z niej cień człowieka. Przez ostatni miesiąc się skurczyła.

Ogarnia ją strach. Juliet nie żartuje. Zmusi ją do wyjawienia prawdy. Nadchodzi kolejna fala paniki.

Lauren ma wrażenie, że jej świat staje na głowie. Powracają obrazy, które dawno temu z trudem usunęła z pamięci – pełna nienawiści twarz Kyle’a z szyderczym uśmiechem, przeszywający ból w brzuchu, krew na rękach. Malutka, ciepła kulka z rzadkimi, czarnymi włosami i przezroczystą skórą, cicha, tak cicha, tak nieruchoma. Płacz zdrowej Mindy leżącej w łóżeczku, parę bezsennych tygodni przed poznaniem Jaspera, kiedy myślała, że umrze z wyczerpania i nerwów.

Teraz czuje znajomą desperację; znów straciła kontrolę nad swoim życiem, nie ma do kogo zwrócić się o pomoc, a świat wiruje tak szybko, że grunt usuwa jej się spod nóg.

Co jest gotowa stracić, żeby uratować życie córki? Jaka będzie cena prawdy?

Niech szlag trafi Juliet. Ale rzeczywiście, trzeba porozmawiać z Jasperem, powiedzieć, że Mindy jest adoptowanym dzieckiem. I ponieść konsekwencje.

Musi zrobić to jak najszybciej, wyprzedzić swoją siostrę. Nie może dopuścić do tego, żeby usłyszał tę historię od Juliet. Jasper nigdy jej nie wybaczy, ale może – dla dobra Mindy – da radę żyć z tym kłamstwem. Tak, wszystko mu wyjaśni, postara się, żeby zrozumiał.

Maszeruje w stronę Juliet, która już siedzi przy stoliku przy oknie z widokiem na jezioro. Na blacie stoją dwie szklanki z mrożoną herbatą. Siostra patrzy przed siebie niewidzącym wzrokiem. Jakby Lauren była duchem. Jakby nie istniała.

– Juliet. – Ze zdumieniem zauważa jej zaczerwienione oczy i zaróżowiony nos.

Juliet Ryder nigdy nie płacze. Nie płakała w piątej klasie, kiedy złamała rękę w nadgarstku, ani wtedy, gdy tuż przed wyjazdem na studia rzucił ją chłopak i kiedy zabrakło jej ułamka punktu, żeby dostać się do programu astronautycznego. Juliet Ryder nie płacze. Koniec, kropka. A jednak teraz ledwo panuje nad sobą, chociaż wokół siedzą obcy ludzie.

Lauren kładzie dłoń na jej dłoni.

– Powiem mu dziś wieczorem. Potem poszukam nazwiska tamtej lekarki. Pamiętam tylko tyle, że była Latynoską. Masz rację, musimy odnaleźć biologiczną matkę Mindy i poszukać dawcy szpiku w jej rodzinie.

– Dziękuję – wykrztusza Juliet, a Lauren ściska jej dłoń jeszcze mocniej, aż w środku przeskakuje jakaś kostka, a w oczach siostry pojawia się ból.

– Juliet, ale to ja się tym zajmę. To moja rodzina, mój błąd i moja odpowiedzialność. Nie twoja. Już się w to nie angażuj, dobrze? Ja wszystko załatwię.

Kiwa głową.

– W porządku. No to jak? Chcesz te krążki cebulowe?

**SZPITAL UNIWERSYTECKI
NASHVILLE, TENNESSEE
1993**

VIVIAN

Od dwóch tygodni Liesel milczy. Nie bierze udziału w terapii grupowej ani indywidualnej, a kontakt ze mną ogranicza do niezbędnego minimum. Lubi jednak sztukę. Na zajęciach plastycznych maluje z wielką pasją, ale przez resztę czasu prawie się nie odzywa.

Po plastyce, kiedy myjemy pędzle – ja wyjątkowo dokładnie – w końcu postanawiam ją zaczepić.

– Płakałaś przez sen. Znowu. Chcesz o tym pogadać?

Przez dłuższą chwilę trwa nieprzyjemna cisza, potem rozlega się stłumione: „Może”.

– Skoczmy na fajkę?

– Ja już nie palę.

– To pójdziemy do naszej sali.

– Dobra. Niech ci będzie.

Dwadzieścia minut później, kiedy udaje mi się przemyścić napoje i jej ulubione krakersy o smaku kwaśnej śmietany i twarożku ze szczypiorkiem, zostawiam tylko leciutko uchylone drzwi i robimy sobie imprezkę. Siadamy na podłodze między łózkami, nasze kołdry służą nam za koc piknikowy i poduszki.

Liesel chrupie krakersy.

– Mówię coś przez sen? – odzywa się po chwili.

– Powtarzasz tylko „nie”. W kółko. I walisz pięścią w powietrze.

Spokojnie kiwa głową, jakby się tego spodziewała.

- To wszystko?
- Tak, ale... jesteś wtedy bardzo zdenerwowana. Przerazona. Upiornie to wygląda.
- Dlaczego w nocy wymykasz się z sali? Co wtedy robisz?
- Sprawdza mnie. Dobra, raz kozie śmierć.
- Jeden pielęgniarz z nocnej zmiany pozwala mi palić w pokoju socjalnym.
- Co za to chce?
- Za fajki nic. Ale za informacje... wszystko ma swoją cenę. – Wzruszam ramionami. – Jeszcze jej nie zapłaciłam.
- A zrobiłabyś to?
- Czy dałabym się zerznąć pielęgniarzowi, żeby dostać jakiś cynk? Gdybym musiała... Gdyby chodziło o coś naprawdę ważnego. – Udaję chojraczkę, którą nie jestem.
- Zrobiłabyś to, żeby dowiedzieć się czegoś o mnie?
- Zaproponował mi taki układ, ale odmówiłam. Wolę, żebyś sama powiedziała.
- Nigdy nie sprzedawaj się za informacje. Nie poniżaj się. Przysięgnij, że w życiu się do tego nie posuniesz.
- Przysięgam. W porządku? Przysięgam. A teraz mów o sobie.
- Próbowałam się zabić. Dlatego tu jestem. – Podciąga lewy rękaw i odsłania pionowe cięcie, które zaczyna się u podstawy dłoni i prowadzi do zgięcia w łokciu. Jest proste, jednolite, jeszcze czerwone na bladej skórze, ale czyste i dobrze się goi. W świetle, na białym, miękkim ciele jej przedramienia widzę też liczne blizny o długości mniej więcej pięciu centymetrów. Tylko dwie z tych poprzecznych blizn krzyżują się z nowym cięciem. Są o wiele starsze, wyglądają jak tory kolejowe położone dawno temu.
- Niezła robota.
- Liesel opuszcza rękaw.
- Dzięki. Zależy mi na precyzji.

- Kiedy zaczęłaś się ciąć?
- Parę lat temu. – Wzrusza ramionami. – To nic takiego.
- Spróbowałam raz, ale się przestraszyłam.
- Mnie to poprawia nastrój. Doktor Świroid mówi, że próbuję w chory sposób ukoić ból psychiczny, tyle że dla mnie to naprawdę fajne uczucie.
- Ja mam tatuaż. Też mi się podobało, kiedy mi go robili. Ukłucia igły bolały, ale było w tym coś przyjemnego.
- Wyrzut serotoniny. Od tego można się uzależnić. Pokaż.
- Zsuwam koszulkę z ramienia. Mój tatuaż to malutki motyl na łopacie. Żółty w niebieskie kropki. Jak dla mnie zajebisty.
- Jako nieletnia przyniosłam fałszywy dowód. Tatuażysta się nie nabrał, ale był anarchista, więc ostatecznie przymknął oko, i wziął pół ceny.
- Bardzo ładny. Może też się wydziaram. Zobaczę, jakie to uczucie.
- Poprawiam koszulkę.
- Mam jeszcze kolczyk w pępku. No i w nosie. Kazali mi je wyjąć, pewnie się bali, że wydlubię sobie nimi oczy, czy coś.
- Dotyka dziurki na moim brzuchu. Jej palce są miękkie, paznokcie obgryzione. Ten dotyk jest fajny. Dziwny, ale fajny. Uświadamiam sobie, że od miesięcy nikt nie dotykał mnie tak spokojnie, bez gniewu.
- Obciążam koszulkę.
- Niedawno mówiłaś, że kogoś zabiłaś.
- Na chwilę znowu zamyka się przede mną. Poprawia się na kocu, patrzy pustym wzrokiem ponad moim ramieniem.
- Bo zabiłam.
- Powiedz mi o tym. Lepiej się poczujesz. Przysięgam, że nikomu się nie wygadam.
- Dziewczyna za stara jak na swój wiek wzdycha przeciągle, z bólem, i zaczyna opowiadać.
- To samo powiedziałam policjantom.
- Prawdę czy wersję, którą podsunął ci adwokat?
- A co za różnica?

Mówi mi wszystko, ze szczegółami. Takimi, że żołądek podchodzi mi do gardła i zaczynam widzieć ją w nowym świetle. Moja współlokatorka przeżyła prawdziwe piekło. Na pewno o wiele gorsze niż moje. W porównaniu z jej przejściami moje wydają się dość błahe. Myślę, że z tą swoją depresją, tym poczuciem braku szczęścia zachowuję się jak egoistka.

– No i tak tu wylądowałam. W ten sposób skończyłam z okropnym życiem. Współczujesz mi?

Wiem, że patrzę na nią ze współczuciem, jednak też z przerażeniem. Na chwilę zamykam oczy i głęboko wciągam powietrze.

– Nie. Zrobiłaś, co musiałaś. Przykro mi, że zostałaś za to ukarana, ale ci nie współczuję.

– A teraz?

Ujmuje moją dłoń i kładzie ją sobie na brzuchu. Dres, który dostała tej nocy, kiedy tu trafiła, skutecznie ukrywa ciążę.

DOM WRIGHTÓW TERAZ

Roztrzęsiona po rozmowie z siostrą Lauren wjeżdża na brukowany podjazd przed swoim domem. Teraz patrzy na ten budynek inaczej. Wygląda jak opuszczony. Nie tak, jakby udali się na wakacje, ale jakby nagle stąd uciekli. Trejaż na pnącą różę przy garażu połamał się, przed wejściem leży ubita zaspą śnieżna, której Jasper nie odgarnął na bok. Okna są brudne, zasłony zaciągnięte, balkony przykryte grubą warstwą śniegu. Lauren aż się krzywi na myśl o tym, jak cierpią na tym kamienne posadzki. Wiosną będą musieli położyć nowe płytki na całym parterze. Posiadłość w górach wymaga regularnej pielęgnacji, mnóstwa czułej opieki, a oni nie podołali temu zadaniu.

Ten dom jest dla nich za duży, choć i tak wydaje się przytulny. Kupili go trzynaście lat temu, kiedy tylko zrozumieli, że Mindy już zawsze będzie związana ze stokami narciarskimi, i gdy zwróciła na siebie uwagę Klubu Narciarskiego w Vail, co było prostą drogą do zdobycia mistrzostwa świata. Dom został zbudowany w stylu europejskim, miał balkony, sklepione drewniane sufity. Kosztował majątek, ale z okien rozciągały się nieprawdopodobne widoki; w chwili, gdy Lauren weszła do salonu, najchętniej złapałaby za pędzel i namalowała otaczający ją krajobraz. Uczucie to nigdy się nie zmieniło. Na pierwszym piętrze niemal wszystkie ściany są przeszklone. Widać z nich trzy szczyty i trasy narciarskie Back Bowls w Vail.

Ostatnio ceny domów w tej okolicy wzrosły tak bardzo, że mogliby sprzedać swój za co najmniej dziesięciokrotność tego, ile na niego wydali, ale to niewielkie pocieszenie. Koszty leczenia Mindy są coraz wyższe, mimo to Lauren nie chce tracić dzieła swojego życia. Włożyła mnóstwo serca i pracy w to, żeby z tego miejsca stworzyć prawdziwy dom. Sama urządziła wszystkie pomieszczenia, oznaczyła je jak kot zostawiający swój

zapach. Kocha go całą sobą – równie mocno, jak kocha Mindy. Ten dom jest częścią niej, tak samo jak ręce i nogi. Nigdy z własnej woli by go nie opuściła.

Kiedy wjeżdża do garażu, widzi, że w środku nie ma audi Jaspera. To dobrze. Potrzebuje trochę czasu, żeby się zastanowić, jak załatwić tę sprawę. Co powiedzieć. Jak sobie poradzić w tej sytuacji.

Cześć, kochanie. Jak minął dzień? Nalać ci martini? Aha, przy okazji, całe nasze życie to jedno wielkie kłamstwo.

Salon jest zakurzony i wyziębiony. Lauren rozpala ogień w wielkiej, pękatej żeliwnej kociołce i uchyla szyber. W środku natychmiast zaczyna się ogrzewać. Dorzuca więcej drewna, aż ogień w piecu buzuje.

W ich sypialni panuje bałagan. Jasper jest schludny, ona to pedantka, a Mindy minimalistka, dzięki czemu ich dom zawsze wygląda jak z obrazka, lecz teraz na niezasałanym łóżku kłębi się zatechła, wygnieciona pościel, książki i magazyny lada chwila spadną z nocnego stolika.

Ogarnia ją ślepy gniew. Niech szlag trafi Jaspera za to, że zostawił jej ten bajzel. Niech szlag trafi Juliet. Niech szlag trafi Mindy, że wpadła na tamtą tyczkę. Niech szlag trafi raka, który pożera dziewczynę żywcem. Niech szlag trafi lekarzy, DNA, igły i badania. Niech szlag trafi to wszystko.

Z hukiem zrzuca książki na podłogę. Zdiera pościel z łóżka i ciska ją w kąt. Z wściekłością wyżywa się na każdym przedmiocie, na tyle lekkim, by mogła go ruszyć z miejsca, a potem pada na materac i zalewa się łzami.

Słyszy ciche pikanie alarmu – ktoś otworzył drzwi. Jasper wrócił do domu. Niech i to szlag trafi.

– Kochanie? – woła Jasper. Lauren się nie rusza, choć słyszy, że mąż idzie po schodach. Nie da rady mu powiedzieć. Już nie. – Boże drogi, co się dzieje? Co ty robisz?

– Rozpaczam – ledwo wykrztusza z siebie. Położyła się twarzą do dołu, żeby nie widzieć współczucia w jego oczach.

Jasper zaczyna się śmiać. Nerwowo, spazmatycznie, jak ktoś, kto zbyt długo siedział w odosobnieniu. Lauren obraca się na plecy i patrzy na niego z niedowierzaniem, przez co Jasper rechocze jeszcze głośniej.

– Ale bajzel. Zdemolowałaś sypialnię.

– Twoja żona zalewa się łzami, a ty się śmiejesz? Niezły z ciebie psychol.

Jasper rzy na całego.

– No bo kręci mnie widok sypialni, która wygląda jak pokój gwiazdy rocka po trzydniowej imprezie. Chodź do mnie.

Przytula ją do siebie. Łzy już przestały się lać, Lauren nigdy nie była beksą. Nawet teraz, w obliczu możliwej śmierci Mindy, kiedy cały jej świat się rozpada i istnieje duże prawdopodobieństwo, że straci wszystko, płacz wydaje się niepotrzebną stratą czasu.

Jasper przestał szeptem uspokajać żonę; teraz delikatnie całuje ją w szyję. Lauren pozwala mu na to. Chciałaby wziąć prysznic; muszą poważnie porozmawiać, ale kąpieli potrzebuje bardziej. To ułatwi jej wyjawienie prawdy.

Siada mężowi na kolanach, twarzą do niego, zdejmuje mu okulary i rzuca na nocną szafkę, potem zaczyna mu rozpinąć spodnie. Jasper pomaga Lauren, ściąga jej legginsy, a w tym czasie ona obsypuje go pocałunkami – usta, szyję i tors; zsuwa się niżej, aż bierze jego członka do ust; Jasper z jękiem wypowiada jej imię.

Zawsze byli dobrzy w te klocki.

Zawsze we wszystkim byli dobrzy.

Jasper podciąga ją z powrotem w górę. Lauren odruchowo obejmuje go nogami w pasie. Przytula ją mocno, porusza się w niej, a ona wciska się w niego, zatracą się w rytmie, w tym cudownym doznaniu, że jest żywa, że czuje go w sobie. Odrzuca głowę do tyłu. Przytuleni do siebie poruszają się coraz szybciej, potem on podnosi się i kładzie ją na łóżku. Przestaje być delikatny. Wie, że Lauren musi czuć, że żyje. Wchodzi w nią mocno. Lauren zaciska zęby na jego ramieniu i wypycha biodra do góry, Jasper traci nad sobą kontrolę, teraz już się nie zatrzyma. Lauren dochodzi razem z nim, drżąc, trzęsąc się i krzycząc.

Kiedy wraca do siebie, otwiera oczy i widzi nad sobą jego zaniepokojoną twarz.

– Bardzo cię...

Kładzie palec na jego ustach.

– Nie. Nie przepraszaj. Ja też tego potrzebowałam.

– Ale przedtem płakałaś.

– A teraz już nie płaczę. Zadanie wykonane, prawda?

Całuje ją głęboko, powoli, a ona się rozluźnia, rozkoszuje pocałunkiem, zacieśnieniem więzi.

Razem, słyszy głos w swojej głowie. Jesteście w tym razem.

Korzystając z tego, że mają prysznic z dwiema głowicami, oboje wchodzi do kabiny, potem się ubierają. Nie rozmawiają o niczym poważnym, zwykła małżeńska gadka. Starannie unikają tematu Mindy, szpitala i powodu, dla którego Lauren przyjechała do domu.

Kiedy jej włosy są już suche i z powrotem ściągnięte w koński ogon, Jasper pomaga zmienić pościel i posprzątać sypialnię.

– Przepraszam, że zostawiłem taki bałagan. Bardzo śpieszyłem się do pracy.

– Nie szkodzi, kochanie. Nie przejmuj się. To nie bałagan mnie zdenerwował, tylko cała ta sytuacja...

– To dobrze. Cieszę się, że w końcu coś poczułaś. Od jakiegoś czasu żyjesz jak na autopilocie. Co ci się stało w rękę?

Na szczęście plaster się nie odkleił.

– Małe zadrapanie. Nic poważnego.

– Chybabyś mi powiedziała...

– Oczywiście. Wszystko w porządku. Zgłodniałam, a ty?

Są małżeństwem już tak długo, że Jasper wie, kiedy się wycofać.

Robią kolację, wciąż nie rozmawiając o Mindy, o jej nieobecności przy stole, o ich nieobecności w szpitalu. To dziwne i Lauren źle się z tym czuje, ale coś jej podpowiada, że potrzebuje więcej przestrzeni. Będzie o wiele lepszą matką i żoną, jeżeli zadba o siebie, nawet jeśli pozwoli sobie jedynie na długi prysznic, seks i przespaną noc.

Z zadowoleniem stwierdza, że lodówka jest dobrze zaopatrzona. Zabiera się do robienia francuskiej zupy cebulowej. Karmelizuje cebulę, od apetycznego zapachu masła i sherry ślina napływa jej do ust. Dodaje pozostałe składniki i stawia zupę na małym ogniu, potem wyjmuje z zamrażalnika bagietkę i wkłada ją do piekarnika. Trze szwajcarski ser

gruyère, wolniej niż zwykle, starannie, ostrożnie. Rytmiczne, nieśpieszne tarcie wonnego sera o metalowe ząbki działa na nią uspokajająco.

Nadal nie ma pojęcia, jak wytłumaczyć wszystko mężowi. Na szczęście jedzenie i seks to dobry bufor. Powie po kolacji. Wino, powinna też otworzyć wino. Francuskie, jakiegoś burgunda, może zaszaleje i wybierze pomerol?

– Co to za wielka tajemnica, którą skrywasz? – Jasper siada przodem do niej na kuchennym taborecie. Jest od niej dużo wyższy, więc teraz ich oczy znajdują się na tym samym poziomie. Ręka Lauren zatrzymuje się. – Daj, ja to zrobię. Zamieszaj zupę.

Podaje mu kostkę sera i tarkę, przez chwilę zajmuje się zupą – wykorzystuje ten moment, żeby przybrać odpowiedni wyraz twarzy. Potem znowu spogląda na męża i głęboko wciąga powietrze.

– Dlaczego myślisz, że mam jakąś tajemnicę?

Posyła jej ten zawadiacki uśmiech, który Lauren tak uwielbia.

– Kochanie, jesteśmy małżeństwem od tylu lat. Widzę, że coś cię gryzie. Wyrzuć to z siebie. Poczujesz się o wiele lepiej.

Bierze od niego ser i odkłada na bok.

– Proszę, nie znienawidź mnie za to, że nie powiedziałam ci o tym wcześniej.

– Skarbie, nigdy nie mógłbym cię znienawidzić. Kocham cię. No to o co chodzi?

Przez chwilę przygryza dolną wargę, potem wypala prosto z mostu:

– Adoptowałam Mindy, jeszcze zanim się urodziła.

Spodziewa się po mężu wielu reakcji, ale spokojna akceptacja nie jest jedną z nich.

– To dlatego ty i Juliet nie możecie zostać dawczyniami?

– Tak.

– Dlaczego nawet nie wspomniałaś o tym, kiedy się poznaliśmy? Myślisz, że to by coś zmieniło?

– Chyba tak. Co innego być z kobietą, która ma dziecko, a co innego z kobietą, która postanowiła wprowadzić do swojego życia cudze

dziecko...

– To najgłupszy argument, jaki kiedykolwiek słyszałem.

– Bardzo spokojnie to przyjąłeś.

– Nie. W środku wrzeszczę na ciebie. – Jasper przesuwając dłonią po twarzy, czując kłujący zarost. – Ta dziewczyna to największy dar, jaki dostałem od życia. Poczuliśmy to w chwili, kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz. Nie ma dla mnie znaczenia, kto ją urodził. Ale to boli, cholernie boli, że nie ufałaś mi na tyle, żeby się ze mną podzielić tą informacją.

– Bardzo mi przykro.

– Mnie też. Postawiłaś pod znakiem zapytania zaufanie między nami, i to w chwili, kiedy najbardziej go potrzebujemy.

W jego głosie brzmi taki smutek, że Lauren chce się płakać. Jasper próbuje spojrzeć jej prosto w oczy, jakby chciał zajrzeć w duszę, żeby zrozumieć żonę, ale ona odwraca wzrok – cierpi, że go zawiodła, że sprawiła mu ogromną przykrość. Ależ z niej tchórz. Straszny tchórz.

– Nigdy nie zamierałam cię zranić. Ani z premedytacją niczego ukrywać. Po prostu uznałam, że to wyłącznie moja sprawa. Decyzję o adopcji podjęłam, kiedy byłam w nie najlepszym stanie psychicznym, a potem już nie mogłam, nie chciałam się wycofać.

– Opowiedz mi wszystko.

Opowiada, najspokojniej, jak potrafi. Całą historię, od początku do końca: o koszmarnej obojętności Kyle'a, o ciąży i poronieniach, o lekarce.

Kiedy kończy, mąż wzdycha.

– Moimi zranionymi uczuciami zajmiemy się później. Zgadza się z Juliet: na razie musimy jak najszybciej odnaleźć prawdziwą matkę Mindy.

– Ja jestem jej prawdziwą matką! – Te słowa brzmią jak warknięcie.

Jasper podnosi rękę.

– Biologiczną matkę, kochanie. Tylko to miałem na myśli. Zresztą... wiesz, nie powinnaś na mnie napadać. Zachowuję się bardzo racjonalnie jak na człowieka, który właśnie się dowiedział, że żona przez siedemnaście lat go okłamywała.

– To prawda. Przepraszam. – Timer nad piekarnikiem pika, bagietka już gotowa. – Zjedźmy kolację. Potem...

– Potem zaczniemy szukać tej kobiety, czy ci się to podoba, czy nie – oznajmia. Lauren chce zaprotestować, ale on kręci głową. – Nie masz wyboru. To ważniejsze od ciebie, od twoich uczuć i dumy. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby uratować Mindy.

– Nie może się dowiedzieć o adopcji. Nigdy.

Jasper znowu kręci głową.

– Koniec z sekretami. Musi poznać prawdę. Ona cię kocha. Nikt cię nie zastąpi.

– Czy to rozsądne? Bo wydaje mi się, że nie. Jeżeli powiemy Mindy, że ją adoptowałam, będziemy musieli też wyjawić, że nie jesteś jej biologicznym ojcem. Czujesz się na to gotowy? Ustaliliśmy, że nigdy jej tego nie zdradzimy, a teraz zamierzasz zrzucić na nią taką bombę, i to wtedy, kiedy tak poważnie choruje. Na miłość boską, ona ma siedemnaście lat. Nam się wydaje, że jest bardzo silna, ale to tylko nastolatka, która ciężko zachorowała i może umrzeć.

Na jego twarzy pojawia się szczery ból, jakby dostał obuchem w głowę.

– Kochanie, posłuchaj mnie. Oczywiście to potwornie trudna sytuacja, ale nie traktuj Mindy jak głupiutkiej panienki. Myślę, że już coś podejrzewa. Poprosiła, żebym przyniósł jej jakąś książkę o DNA. Stwierdziła, że kiedyś może będzie tak jak Juliet pracować w CBI, ale ja sądzę, że próbuje zrozumieć to zamieszanie z wynikami testów. Chyba coś przeczuwa, może już wcześniej się nad tym zastanawiała. Kto wie? Ma prawo poznać swoje prawdziwe pochodzenie. I zyskać większe szanse na to, że znajdziemy dla niej najlepszego dawcę. Teraz to nasz obowiązek. Musimy odłożyć własne interesy na bok i robić to, co dobre dla naszej córki.

– Widzę, że twoje podejście się zmieniło. Zawsze mówiłeś, że...

– Pojawiły się nowe okoliczności. Nie mogę uratować Mindy, oddając jej szpik, a teraz wiem, dlaczego ty też nie zostaniesz dawczynią. Tak, zmieniłem podejście. Jest już na tyle dorosła, żeby zrozumieć tę historię. I usłysz ją od nas.

Lauren rozkłada talerze, porusza się sztywno, z tłumioną wściekłością. Nie, nie dopuści do tego, żeby Mindy się dowiedziała. Po prostu. Zrobi wszystko, co się da – wszystko – żeby uchronić ją przed prawdą.

Lauren nie może usnąć. Łóżko wydaje się za wygodne, w pokoju jest zbyt ciemno i cicho. Lekkie chrapanie Jaspera i wiatr świszczący w drzewach za oknem odbiera tak, jakby ktoś walił w jej mózg młotem pneumatycznym.

Wstaje powoli, żeby nie obudzić swojego cudownego męża, otula się jego swetrem i wykrada do swojej pracowni na parterze. Panujący tam chłód w ogóle jej nie przeszkadza, wręcz pomaga nieco się uspokoić.

Jasper zaskakująco dobrze przyjął wiadomość, że Lauren nie jest biologiczną matką Mindy. Pomijając jego żądanie, żeby powiedzieć Mindy całą prawdę, poradził sobie w tej sytuacji lepiej, niż się tego spodziewała. Och, widziała, że buzuje w nim wściekłość, że w każdej chwili może wybuchnąć, ale zdołał pohamować emocje. Przez resztę wieczoru docinali sobie, aż w końcu ona zamknęła się w łazience, a on poszedł odśnieżyć tarasy. Takie napięcie było jednak do przewidzenia.

Problemem są kolejne kroki, które zaplanował. Nie rozumie, dlaczego żona wzbrania się przed wyjawieniem córce prawdy. Lauren musi mu to uświadomić.

Nie chce – nie może – zaryzykować, że straci dziecko, z powodu jakiegoś technicznego szczegółu.

Zdejmuje plaster z ręki. Ranka jest poszarpana, niejednolita. Przecina inne blizny, które już dawno temu zbladły. Wie o nich zaledwie kilka osób spoza rodziny. Wszystkim mówiła, że to ślady po wypadku samochodowym, jaki jej się przydarzył jeszcze w liceum. Stłukła ręką przednią szybę i szkło pozostawiło na skórze mnóstwo malutkich ranek. Blizny są już tak jasne, że poza nią nikt ich nie dostrzega.

Na nowej rance pojawił się strupek. Przesuwa po nim opuszką palca, czuje nierówną wypukłość. Podważa brzeg, aż pojawia się kropelka żywoczerwonej krwi. Dotyka jej czubkiem palca, potem przenosi rozmazaną ciecz na język. Głęboko wciąga powietrze i z powrotem zakleja ranę plastrem.

Bateria w laptopie już całkiem się wyczerpała. Lauren podłącza go do prądu i odczeka parę minut, żeby się trochę podładował; wreszcie otwiera skrzynkę mailową. Nazbierało się mnóstwo wiadomości. Raz na jakiś czas sprawdzała swoją pocztę w telefonie, ale nie czyściła jej ze spamu, więc musi zabrać się do tego teraz.

Piętnaście minut później, po bezwzględnym usunięciu wszystkich wiadomości od nieznanomych nadawców i każdej oferty ze sklepów internetowych, zostaje pięć maili. Dwa są od znajomych, którzy pytają o zdrowie Mindy, proponują, że przyniosą im coś ciepłego do jedzenia albo pomogą w inny sposób. Pozostałe trzy to nic ważnego: rozkład zajęć prowadzonego przez nią kursu malarstwa, zawiadomienie o standaryzowanym teście w ramach edukacji domowej. Szybko i sprawnie odpowiada na wszystkie, po czym otwiera Google i przełącza się na tryb incognito, żeby internetowe boty jej nie namierzyły. Wstukuje nazwisko osoby, o której nie myślała od bardzo, bardzo dawna.

Pisze, szuka, klika i czyta, aż odzyskuje spokój.

Jej sekret jest bezpieczny. Wreszcie może odetchnąć z ulgą.

– Kochanie, co ty tu robisz? Jest trzecia w nocy.

Podsłuchuje i szybko zamyka laptopa. W drzwiach pracowni stoi Jasper, rozczochrany, ziewający, ma zdezorientowaną minę.

– Uch, jak się zlekłam. Przepraszam. Obudziłam cię?

– Usłyszałem jakieś odgłosy i zobaczyłem, że nie ma cię w łóżku. Zimno tu jak w psiarni. Serio, co robisz?

– Nie mogłam zasnąć, więc pomyślałam, że sprawdzę maile. Znalazłam zatrzęsienie spamu. – Wstaje, ukradkiem odłączając kabel od laptopa. – Surfowałam trochę po internecie, aż w końcu się zmęczyłam. – Ziewa dla większego efektu. – Przepraszam, że cię obudziłam. I za wieczór. Za wszystko. Nie chcę, żebyśmy się kłócili. Wiem, że masz rację. Musimy jej powiedzieć. – Podchodzi do męża, przyciska twarz do jego piersi, obejmuje go w pasie tak płynnym ruchem, jakby jej ręce zostały stworzone jedynie w tym celu. – Wracajmy do łóżka – mówi z seksowną chrypką, a on nie sprzeciwia się, tylko gasi światło, obejmuje ją ramieniem i wychodzą razem z pokoju. Od sypialni dzieli ich zaledwie kilka kroków, kiedy Lauren znów

się odzywa: – O rany, zapomniałam podłączyć laptopa. Zaraz wracam. Zaczynaj beze mnie – żartuje.

Jasper sztywnieje, ale daje się okłamać. Czy od tej pory tak już będzie między nimi? Kłamstwa, ukrywanie prawdy, podstępny? Lauren ma nadzieję, że nie. Chciałaby raz na zawsze odłożyć całą tę historię do archiwum.

Wsadza do urządzenia wtyczkę; jeszcze chwilę zostaje w swojej pracowni: loguje się, zamyka wyszukiwarke w trybie incognito, otwiera ją w zwykłym trybie. Na razie to wystarczy. Jutro wróci i dokładnie wyczyści historię, żeby nie został ślad po stronach, które przeglądała.

Jasper czeka na nią. W ciemności jego oczy wydają się jeszcze jaśniejsze niż zwykle. Lauren wślizguje się do łóżka, zrzuca z siebie ubranie, wtula się w niego i zaczyna się bawić ściągaczem bokserek. Modli się w duchu, po chwili całuje męża na dobranoc.

Tyle sekretów. Tyle kłamstw.

Niech to już się skończy.

DENVER, KOLORADO

Juliet wie, że powinna sobie odpuścić, ale to nie w jej stylu. Obiecała siostrze, że nie będzie się wtrącać, tyle że nie może siedzieć beczynn timer i patrzeć, jak Lauren coś kombinuje. Mijają minuty, godziny. Juliet wpatruje się w powoli wirujące skrzydła wiatraka pod sufitem i rozmyśla: „Dlaczego? Na miłość boską, dlaczego kłamała?”.

W końcu uznaje, że już nie zaśnie, więc idzie do kuchni zrobić sobie herbatę. Czekając, aż woda się zagotuje, znowu zaczyna analizować, co jej siostra ukrywa. Cała opowiedziana przez Lauren historia jest pełna półprawd. Zna siostrę na tyle dobrze, żeby dostrzec, kiedy ta kłamie. Lauren zupełnie nie umie oszukiwać, nigdy nie umiała.

Przemilczenie to jednak coś innego niż perfidne łgarstwo, prawda?

Lauren nigdy nikomu nie dała powodu do podejrzeń, że Mindy nie jest jej córką, ale też nigdy nie oznajmiła, że to jej rodzone dziecko. Pozwalała, żeby ludzie tak zakładali, nikt tego nie kwestionował. Czy można to nazwać kłamstwem?

Wraca myślami do okresu, kiedy jej siostra była w ciąży. Tylko raz widziała Lauren między rozwodem a narodzinami Mindy: podczas baby shower.

Pamięta, że na lodówce wisiało zdjęcie USG. Próbuje przypomnieć sobie kobiety zaproszone na to przyjęcie – ich imiona i twarze – ale nic jej nie przychodzi do głowy. Wtedy nieszczególnie ją to obchodziło. Jako nastolatka żyła we własnym świecie.

Dopiero po śmierci matki znowu zaczęła regularnie kontaktować się z siostrą, więc tak, rozumie, dlaczego Lauren jej się nie zwierzyła. Nie były wtedy zbyt mocno związane ze sobą, zresztą tak samo jak teraz.

Coś tu jednak nie gra... Chociaż Juliet wolałaby dać sobie z tym spokój, to nie potrafi.

Już z herbatą siada przy biurku i dmucha, żeby ochłodzić wrzątek. Kiedy dotyka myszki, jej iMac natychmiast się budzi. Zaczyna od łatwej części – szuka lekarzy położników, którzy pracowali w tamtym szpitalu, kiedy Mindy się urodziła. Na wszelki wypadek podaje ramy czasowe – od osiemnastu do szesnastu lat wstecz. Otrzymane zestawienie sprawdzi bez większego trudu, bo zawiera ono tylko dziesięć nazwisk. Co było do przewidzenia, siedem osób z tej listy to mężczyźni, więc od razu ich eliminuje. Zostają trzy lekarki. Tylko jedna nosi latynoskie nazwisko.

Doktor Soledad Castillo. Zrobiła licencjat w Colorado School of Mines, skończyła medycynę na Uniwersytecie Kolorado ze specjalizacją z położnictwa i ginekologii. Nie otworzyła prywatnej praktyki, natomiast w latach 1998–2000 pracowała w szpitalu Swedish Medical. To nieco tłumaczy sytuację opisaną przez Lauren – Castillo na pewno spotykała w szpitalu mnóstwo kobiet, które szukały drogi na skróty.

Jednym słowem: bingo.

Patrzy na zegarek i ze zdziwieniem stwierdza, że już ósma rano. Mała akcja wywiadowcza nie zaszkodzi. Wybiera numer telefonu.

– Dzień dobry, tu szpital Swedish Medical, wolontariuszka Jasmina. Z kim połączyć?

– Chciałabym rozmawiać z doktor Castillo. Powinna być na oddziale położniczym.

Kobieta zaczyna szukać, cicho nucąc.

– Przykro mi, na położniczym nie pracuje żaden lekarz o nazwisku Castillo.

– Może odeszła ze szpitala. Połączy mnie pani z kadrami?

– Oczywiście. Co prawda, nie sędzę, żeby o tej porze ktoś już tam był, ale najwyżej proszę zostawić wiadomość. Życzę miłego dnia. – Rozlega się długi sygnał, potem windowa wersja przeboju Britney Spears z zapętloną solówką na klarncie. W chwili, gdy Juliet zaczyna się obawiać, że ta melodia przyczepi się do niej na dobre, odzywa się głos, tym razem zmęczonego mężczyzny.

– W czym mogę pomóc?

– Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie. Szukam informacji na temat doktor Soledad Castillo. W dwutysięcznym roku pracowała w państwa szpitalu jako położnik.

– Kto mówi?

– Juliet Ryder z CBI.

– Doktor Castillo niestety już tu nie ma.

– Zostawiła jakiś adres?

– Proszę jej poszukać na cmentarzu w Fairmount.

– Poważnie? – Juliet wydaje z siebie jęknięcie. – Nie żyje?

– Doktor Castillo zmarła... chyba w dwutysięcznym roku. Tak, zgadza się. Pamiętam, bo wtedy zacząłem tu pracować. Wszyscy bardzo to przeżywali. Była dobrym człowiekiem.

– Czy jej akta nadal są w archiwach?

– Z pewnością, ale... – W głosie mężczyzny pojawia się znajoma nuta rezerwy. – Bez nakazu sądu niestety do nich nie zajrzę. Przykro mi, więcej nie dam rady pomóc.

– No cóż, dziękuję.

Juliet rozłącza się, przesuwa palcami po czole i delikatnie stuka nimi po skroniach, próbując przegonić stamtąd lekki ból.

Doktor Castillo nie żyje. Cholera. To duże utrudnienie. Uzyskanie dostępu do dokumentacji pacjenta żyjącego lekarza jest trudne, a co dopiero mówić o nieżyjącym, i to od tylu lat. Facet z kadr się nie mylił: na pewno musiałyby zdobyć nakaz sądowy. Nawet gdyby dało się łatwo dotrzeć do akt lekarki – prawdopodobnie pośredniczki w nielegalnych adopcjach – to Juliet nie miałyby do nich wglądu.

Herbata już wystygła. Juliet wstawia kubek do mikrofalówki; czeka, bębniąc paznokciami o blat i rozmyślając.

Jak znaleźć nastolatkę, która urodziła dziecko mniej więcej tego dnia, kiedy na świat przyszła Mindy – 3 sierpnia 2000 roku – i która nie chce być odnaleziona?

Nastolatkę, której bardzo zależało na tym, żeby oddać dziecko.

Pewnie podała fałszywe nazwisko. Może być kimkolwiek i mieszkać gdziekolwiek.

Szansę na odnalezienie jej są zerowe. To znaczy bez jej DNA.

Na pewno w tę sprawę był zaangażowany jakiś prawnik. Lauren mówiła, że zgodziła się nigdy nie podejmować kontaktu z biologiczną matką dziecka. Bez prawnika lekarz chyba nie mógł doprowadzić do adopcji, nawet takiej zamkniętej, prawda?

Och, chrzanić to. Istnieje prosty sposób na rozwiązanie tego problemu. Juliet zna drogę na skróty. Istnieje taka, choć jest nielegalna, nieetyczna i jeżeli ktoś się o tym dowie, Juliet z całą pewnością straci pracę.

Cameron zaoferował jej pomoc. Już przeprowadził kodowanie DNA Mindy. Jeżeli Juliet go poprosi – ubłaga, przyrzeknie, że odda mu swojego pierworodnego – może przyjaciel wprowadzi wynik do bazy danych CODIS i sprawdzi, czy istnieje jakiś zgodny profil, rodzinny lub osoby spoza rodziny. Nie żeby się czepiała, ale wie, że wiele nastolatek, które zachodzą w ciążę i oddają swoje dziecko, potem często nie może ułożyć sobie życia. Juliet często się z tym spotyka. W zasadzie ciągle.

A jeżeli w systemie znajdzie się pasujący profil DNA – bezpośredni, może nawet należący do brata, ojca czy kuzyna – wtedy poszukiwanie dawcy pójdzie błyskawicznie.

Siada przy biurku i odchyła się na krześle. Na samą myśl o przeprowadzeniu takiej akcji robi jej się niedobrze. Wracają fragmenty rozmowy z Cameronem, słyszy jego głos.

„To wbrew wszystkim twoim zasadom”.

Mogłaby skłamać...

– Pieprzyć to.

Bierze telefon i łączy się z laboratorium; Cam odbiera już po pierwszym sygnale.

– Dostałam zgodę. Zrób dopasowanie DNA.

– Juliet, jak zawsze twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

**SZPITAL UNIWERSYTECKI
NASHVILLE, TENNESSEE
1993**

VIVIAN

Razem obserwujemy jej rosnący brzuch. To takie surrealistyczne. Jednego dnia jest ledwo wypukły, a już parę dni później nie da się go ukryć. Naprawdę. Pielęgniarki mówią, że czasami tak bywa. „Niektóre kobiety mają takie przyśpieszenie”, jak to ujęła jedna z nich.

Suka zabrała Liesel do swojego gabinetu, pogadały i teraz dziewczyna wygląda na szczęśliwą. Przestała się ciąć. Zdrowo się odżywia. Promienieje. Lekarze zastanawiają się nad lekami przeciwdepresyjnymi, które można bezpiecznie podawać kobietom w ciąży. Chodzi na kontrole ginekologiczne i dodatkowe rozmowy z psychologiem. Ciągłe ktoś puka we framugę naszych drzwi albo zabiera ją z zajęć. Wszyscy pacjenci z naszego oddziału troszczą się o nią, zostawiają pod naszymi drzwiami przekąski, łaładki ze sreberka albo kredki żółte jak słońce. Nawet największe wariatki spośród nas są przejęte tym, że powstaje nowe życie. To jak symboliczne wskrzeszenie i odkupienie grzechów.

Liesel mówi, że czuje zbyt wielką presję, ale ja widzę, że to jej się podoba. Karmi się tym nieustannym zainteresowaniem, jaśniej jak Matka Boska, która objawiła się na łące i czeka na swoich czcicieli. Jest jak motyl, co uciekł z wyschniętego kokonu i mknie do światła. Myślę, że w domu nigdy nie dostawała pozytywnych wzmocnień.

Nie lubię pozostałych pacjentek na naszym oddziale, zresztą one też zwykle omijają mnie szerokim łukiem. Kiedy jednak Liesel nagle stała się ich supergwiazdą – chociaż z fałszywą skromnością nie chce przyjmować hołdów – ja również jestem obdarzana serdeczną uwagą. Wszystkie czujemy się nieco mniej samotne.

Nadal nie chce brać udziału w terapii grupowej, więc zostaje odesłana do „cichego pokoju”. Myślę, że właśnie taki ma plan, bo tam w końcu może spędzić trochę czasu w samotności. Na oddziale jest głośno, pali się jasne światło. Nie istnieje coś takiego jak spokój, kiedy żyjesz wśród ludzi odklejonych od rzeczywistości. Nie mówiąc już o tym, że wśród nich może się znaleźć ktoś, kto nagle zechce poderżnąć ci gardło, żeby sprawdzić kolor twojej krwi. Liesel chętnie przebywa w tym białym pomieszczeniu. Mówi, że maluje wtedy w myślach, leżąc na twardym łóżku i czując, jak rośnie w niej dziecko.

Ciąża ją zmieniała. Nie jestem pewna, czy na lepsze. Wydawała mi się ciekawsza, taka ponura i szara, zamknięta jak pierwsze pąki na rabatce, które poszarzały i zwiędły polane środkiem chwastobójczym. Nie lubiłam, kiedy w naszej łazience, skulona w kucki, drapała skórę plastikową skuwką długopisu, ale rozumiałam to i nie kablowałam na nią.

Nie mam pojęcia, jak szesnastolatka z psychiatryka poradzi sobie z noworodkiem. Nie chce rozmawiać o tym, co się stanie, kiedy dziecko się urodzi. W każdym razie na pewno tu zostanie.

Ja bym od razu zaczęła domagać się aborcji. Myśl o ciąży jest dla mnie odrażająca. Nie zniosłabym tego zniewolenia, tej niemożności ucieczki przed czymś, na co byłabym skazana, co rosnęby we mnie przez dziewięć miesięcy. Natomiast Liesel wydaje się zaskakująco zadowolona. Mówi, że teraz ma po co żyć.

Kiedy jest w czwartym miesiącu, w naszych relacjach następuje pewna poprawa. Ja przestaję ją namawiać, żeby pozbyła się tego małego szatana, ona przestaje rzygać mi do butów.

Z lekkim uśmiechem codziennie wykonuje te same czynności: budzi się, je śniadanie, idzie na terapię indywidualną i zajęcia plastyczne, je lunch, drzemie, bierze prysznic, je kolację, ogląda telewizję, kładzie się spać. Pielęgniarki kontrolują ją co piętnaście minut, potem co pół godziny i wreszcie co godzinę, dopóki nie zyskają pewności, że spokojnie śpi.

Muszę się zmierzyć z jeszcze jedną prawdą.

Na naszych oczach Liesel odzyskuje zdrowie psychiczne. Szaleństwo, przez które się cięła, zostało przerwane przez popełnioną przez nią zbrodnię. Wszyscy już o tym morderstwie wiedzą i uważają, że było

usprawiedliwione. A w ramach kary nosi pod sercem dziecko gwałciciela, mężczyzny, któremu miała ufać i wierzyć, który miał ją chronić i kochać, a nie brutalnie się w nią wdrzeć. Liesel jest jednocześnie bohaterką i wyzwaniem dla lekarzy i pielęgniarek. To nasza spadająca gwiazda.

Kiedy w piątym miesiącu ciąży pojawia się u niej plamienie, Suka osobiście prowadzi ją do przychodni na dole. Lekarz zaleca pacjentce odpoczynek w łóżku. Gdy więc cała reszta nadal żyje według starego rozkładu dnia, ona wyleguje się w przetartej, cienkiej, czyszczonej wybielaczem pościeli.

Tydzień później zaczyna krwawić – zapach czuć aż w stołówce. Biegnę do naszej sali. Liesel wije się na łóżku, a plama pod nią robi się coraz ciemniejsza i coraz większa. Dziewczyna nie wydaje z siebie żadnego dźwięku, tylko z zaciśniętymi powiekami gryzie róg poszewki od poduszki.

W końcu pojawia się maleńki aniołek – trzeba go gdzieś pochować, nigdy się nie dowiadujemy gdzie. Liesel dokądś zabierają, materac zostaje wyrzucony, pokój zdezynfekowany. Muszę tam spędzić noc, czując otaczający mnie odór śmierci.

Wraca już nie ta sama.

Może nie zmieniła się aż tak bardzo, tylko straciła blask, ma takie martwe spojrzenie, a brzuch znowu zrobił się płaski.

Pielęgniarki ponownie ją sprawdzają co piętnaście minut. Do tego Suka prosi, żebym wyświadczyła jej przysługę i również nie spuszczała swojej współlokatorki z oka. Martwi się o swoje piskłę.

Liesel się nie odzywa. Tak samo jak wtedy, kiedy się tu pojawiła.

Śpiewam jej. Przynoszę słodycze. Robię wszystko, żeby przywrócić ją do życia.

W końcu moje starania przynoszą rezultaty.

Zaczyna się uśmiechać.

Znowu się śmieje.

Planujemy ucieczkę. Chcemy zamieszkać przy plaży w chatce z trawy, żywić się kokosami i zabawiać turystów. Liesel uczy parę wariatek malować i wyżywać się na płótnie, zamiast na sobie.

Któregoś zimnego, szarego poranka ktoś puka w futrynę naszych drzwi.
Suka.

– Gotowa? – pyta dziewczynę, a ta uśmiecha się i kiwa głową.

Na chwilę mocno mnie przytula, potem macha do mnie na pożegnanie.

Opuszcza oddział. Zostawia mnie. Samą w naszej sali.

Wychodzi ze szpitala.

A ja nadal w nim tkwię.

Nienawidzę jej tak samo mocno, jak ją kocham.

**DOM WRIGHTÓW
TERAZ**

Lauren budzi się o świcie. Mąż leży obok niej na brzuchu, nagi, z odrzuconą kołdrą, śpi twardo. Przykrywa go do bioder kołdrą i kocem. Jasper nie porusza się, jego oddech się nie zmienia. Dobrze. Lauren szybko się ubiera, idzie do kuchni, włącza ekspres do kawy i biegnie do pracowni usunąć historię z przeglądarki.

Jasper siedzi, wciąż nagi, przy jej biurku, na którym stoi jej otwarty laptop. Wpatruje się w ekran.

– Co robisz? – Stara się, żeby w jej głosie nie pojawił się gniew czy strach, ale co on, do diabła, wyprawia?

– Kto to jest Zack Armstrong?

– Co... – zaczyna Lauren, ale mąż podnosi rękę.

– Posłuchaj mnie uważnie. – Takim głosem przemawia na sali sądowej: oficjalnym, starannie wymodulowanym, chłodnym. Przechodzą ją ciarki. Nigdy, przenigdy nie odezwał się do niej w ten sposób. Do klientów, innych prawników, sędziego... tak. Ale do niej? Jej serce przez chwilę bije nierówno, kiedy dostaje zastrzyk czystej adrenaliny. – Lauren, postawiłaś się w całkowicie jednoznacznej sytuacji. Wczoraj usłyszałem, że od siedemnastu lat, właściwie odkąd się poznaliśmy, okłamujesz mnie. A teraz w środku nocy wykradasz się do swojej pracowni, przełączasz się na tryb incognito i szukasz w internecie człowieka, o którym nigdy nie słyszałem...

– Skąd wiesz, czego szukałam w trybie incognito?

– W nocy widziałem, co wpisałaś do wyszukiwarki. Jestem bardzo cierpliwy i wiele mogę znieść, ale nie będę tolerował kolejnych kłamstw. Rozumiesz?

Rozumie, bo Jasper mówi głośno i wyraźnie.

Odwraca się i wychodzi z pokoju. Za nic nie zamierza teraz się tłumaczyć. Nie, nie może ryzykować. Poza tym Jasper ma rację: nie powinna znowu go okłamywać.

Oczywiście idzie za nią, głośno ją wołając. Lauren nie przystaje, nie waha się ani przez chwilę. Łapie buty, torebkę i kluczyki do samochodu, schodzi tylnymi schodami do kuchni, by stamtąd pójść do garażu. Jasper dalej do niej krzyczy, próbuje zastawić jej drogę, ale ona patrzy przez niego jak przez szybę. W końcu mąż daje za wygraną, odsuwa się i ją wypuszcza.

Lauren siada za kierownicą, rzuca swoje rzeczy na fotel pasażera. Dopiero wtedy patrzy Jasperowi prosto w oczy; walczy z poczuciem winy, kiedy widzi, jak bardzo jest zdenerwowany i zdezorientowany. Z trudem hamuje gniew i Lauren dobrze o tym wie. Musi działać bardzo ostrożnie, nie może nastawić go przeciwko sobie.

Opuszcza szybę.

– Ta historia nie ma nic wspólnego z tobą i wydarzyła się bardzo, bardzo dawno temu. Kocham cię i tylko cię. Teraz jadę zobaczyć się z Mindy. Byłabym zobowiązana, gdybyś już nigdy więcej nie włamywał się do mojego komputera.

Szyba podnosi się z cichym szumem i Lauren, z bosymi, zmarzniętymi stopami na pedałach, wyprowadza samochód z garażu.

SZPITAL W VAIL

– Mama!

Mindy uśmiecha się szeroko i radośnie; Lauren uświadamia sobie, że doktor Oliver miał rację. Obie musiały od siebie odetchnąć.

– Jak się czujesz, kurczaczku?

– Dobrze. Lepiej. Dali mi coś, co zadziałało. W ogóle mnie nie boli. Zostanę tu jeszcze jeden dzień, potem mogę wracać do domu. Przespałam całą noc, a wczoraj świetnie się bawiłam z Lolly. Ona też lubi Sarę J. Mass,

więc długo gadałyśmy o fantasy. Wiesz, chyba zostanę pisarką. To znaczy, kiedy jako narciarka przejdę już na emeryturę.

– Naprawdę? – Lauren przysiadła na brzegu łóżka i poprawia skłębioną pościel. – Co byś pisała?

– Powieści. Grube, odjazdowe historie fantasy; sama stworzyłabym jakiś świat i wprowadziła własne zasady.

– Myślę, że byłabyś w tym świetna. To naprawdę wspaniały pomysł. Rzeczywiście powinnaś mieć jakieś zajęcie, kiedy już przestaniesz brać udział w zawodach. Jeśli chcesz, włączę do naszego planu zajęć więcej lekcji angielskiego. Może nawet dodać kurs pisarski?

– Mamo, jesteś cudowna. Kto wie? Może dostanę złoty medal na olimpiadzie i literacką Nagrodę Nobla?

– Ja myślę, kochanie, że pisarze mają większą szansę zdobyć Nagrodę Pulitzera, ale sama koncepcja jest doskonała. Serio, uważam, że będziesz dobrą pisarką.

– Dzięki.

Ta lawina radości i planów na przyszłość sprawia, że Lauren serce pęka, ale cały czas, z uśmiechem przyklejonym do twarzy, przytakuje i zachwyca się we wszystkich odpowiednich momentach. Zmiana, jaka zaszła w jej córce, jest zdumiewająca. Zaledwie w ciągu nocy znowu zaczęła wyglądać kwitnąco. Jej policzki pokrywa zdrowy rumieniec, oczy błyszczą.

Dusiłaś ją. Twoje cierpienie ją przygnębiało.

Koniec z tym. Lauren przysięga sobie, że od tej pory będzie zawsze wesoła, pełna zapału. I da więcej przestrzeni, której córka wyraźnie tak bardzo potrzebuje. Powinna się domyślić, że jej początkująca buddystka chciałaby mieć trochę czasu na medytacje. Lauren obiecuje sobie, że się poprawi.

– Mamo, wiesz co? Dzwoniła ciocia J. Dzisiaj znowu przyjedzie.

– To miło. Fajna ta twoja ciocia – rzuca twardym tonem. Dziewczyna lekko mruży oczy. Lauren wie, że źle zrobiła, nie okazując zbytniego entuzjazmu. Zwłaszcza teraz, kiedy Juliet zna okoliczności narodzin Mindy.

– Nie patrz na mnie takim wzrokiem. Pamiętaj, że dorastałyśmy w dwóch

różnych dekadach. Była jeszcze smarkulą, a ja miałam dużo spraw na głowie.

– Na przykład jakich?

– Na przykład ciebie i twojego tatę, głuptasku. Pragnęłam dla was dwojga wszystkiego, co najlepsze.

– I udało ci się, mamo. Zawsze czułam się szczęśliwa.

– No to się cieszę. Co dzisiaj robimy? Chcesz się pouczyć czy pójdziemy na spacer?

– Chodźmy na spacer. Zdecydowanie. Niedługo mięśnie mi zanikną. – Klepie się po nogach. – Poćwiczmy jogę? Koleżanka, taka jedna, ze złamaną nogą w kostce, pokazała mi kilka świetnych ćwiczeń. Trochę tylko je zmodyfikuję, żeby nie obciążać nogi.

– Jasne. Pójdę się rozejrzeć, gdzie możemy poćwiczyć, dobrze?

Mindy uśmiecha się promiennie; Lauren na chwilę zamiera. Źle zajmowała się córką. Normalność – tego teraz temu dziecku potrzeba. I od tej pory ona – jako wzorowa matka – będzie jej to zapewniać.

Na korytarzu zamienia parę słów z pielęgniarkami i dostaje zgodę na wykorzystanie mat do rehabilitacji na zaimprovizowaną sesję jogi. Pod wpływem impulsu zagląda do gabinetu doktora Olivera.

– Lauren, zapraszam panią. Wygląda pani o wiele lepiej.

– I czuję się lepiej. Dziękuję, że odesłał mnie pan do domu. Przydała mi się ta przerwa, bardzo. Mindy też jakby odzyskała formę. Właśnie zamierzamy poćwiczyć jogę.

Lekarz kiwa głową i nagle poważnieje.

– Cieszę się, że wstąpiła pani do mnie, bo właśnie miałem dzwonić. W nocy wyniki Mindy znacznie się pogorszyły, więc stwierdziłem, że trzeba naładować baterie. Daliśmy jej zastrzyk na wzmocnienie. Dostała między innymi witaminę B12, żelazo. Wystarczy jej to na mniej więcej tydzień, na razie...

Lauren ciężko opada na krzesło za biurkiem.

– Co to znaczy, że wyniki się pogorszyły?

– Być może będziemy musieli zrobić przeszczep szybciej, niż planowaliśmy, a co za tym idzie, wykorzystać komórki nie od idealnego dawcy, tylko od najlepszego spośród tych, którzy się zakwalifikują.

– Ale...

Na twarzy doktora Olivera nagle pojawia się zmęczenie. Lauren często zapomina, że nie jest jedyną przerażoną matką, z którą lekarz przeprowadza podobną rozmowę. Nie zaprzyjaźniła się z rodzicami pozostałych pacjentów na oddziale, trzyma wszystkich na dystans. Nie zniosłaby dodatkowo ich bólu. Chyba jej nie lubią, trudno, wcale się tym nie przejmuję. Ale lekarz – wobec niego powinna być otwarta i szczerą.

Musi zachowywać się fair wobec osoby, którą obarczyła swoim zatroskaniem, gniewem i strachem.

– Pani Wright, proszę mnie posłuchać. Wiem, że okoliczności są dla pani trudne. Staramy się zapewnić pacjentce jak najlepszą pomoc. Ale Mindy umrze, jeżeli nie zrobimy jej przeszczepu. Może nie jutro czy za tydzień, niedługo jednak jej czas się skończy. Bardzo mi przykro, że muszę mówić o tym wprost, ale wczoraj jej stan był mocno niepokojący. Oczywiście zastrzyki z witamin trochę poprawiają formę, lecz bez długofalowego planu... W bazie nie znajdujemy odpowiedniego dawcy. Potrzebujemy osoby, która jest z nią blisko spokrewniona. Jeżeli nie...

Lauren podnosi rękę.

– Rozumiem.

– Przykro mi, nie możemy już zwlekać. Nie mamy czasu na taktowne dyskusje. Potrzebuję informacji o biologicznej matce Melindy.

Lauren na chwilę traci oddech. Z trudem się powstrzymuje, żeby nie zerwać się z krzesła i nie wybiec. Czuje się zdradzona, niesprawiedliwie potraktowana. Lekarz, któremu ufała, który powiedział, żeby porozmawiali o tym, kiedy będzie gotowa, teraz rzucił jej wyzwanie. Potem myśli o twarzy córki, o rumieńcu na jej policzkach, o energii, wesołym spojrzeniu i przełyka tę cholerną dumę.

– Nie mam pojęcia, jak się nazywa. To była zamknięta adopcja. Dziewczyna urodziła Mindy jako nastolatka, a pośrednicząca w adopcji lekarka już nie żyje. Nie wiem, jak dotrzeć do jej akt, o ile w ogóle istnieją.

– Jak nazywała się ta lekarka?

– Soledad Castillo. Zmarła zaledwie rok po tym, jak Mindy się urodziła. Widziałam w gazecie jej nekrolog.

– Proszę mi przybliżyć okoliczności tej adopcji, dobrze?

Lauren powoli wciąga powietrze i opowiada lekarzowi całą historię.

Doktor Oliver słucha w milczeniu, przyswajając sobie nowe wiadomości.

– I na pewno nie zna pani nazwiska tej dziewczyny?

– Na pewno. Była przestraszona nastolatka latynoskiego pochodzenia. Zresztą pewnie podała w szpitalu fałszywe dane.

– Lauren, dziękuję pani za szczerość. Te informacje pozwolą nam zawęzić krąg dawców z bazy i próbować odnaleźć dawcę spokrewnionego z Mindy.

– To znaczy, że będziecie szukali osób pochodzenia latynoskiego, tak?

– Zgadza się. To może okazać się pomocne. Przejdźmy do kolejnej sprawy... – Lekarz styka czubki palców obu dłoni, a Lauren próbuje wziąć się w garść. – Czy byłaby pani skłonna wygłosić apel w telewizji?

– Apel?

– Mhm. Skoro lekarka, która umożliwiła adopcję, już nam nie pomoże... Mój znajomy pracuje w Channel Nine. Mindy jest naszą lokalną bohaterką. Jej historia wzbudzi powszechne zainteresowanie. Poprosilibyśmy widzów, aby zgłosili się, nawet anonimowo, jeżeli znają biologiczną matkę Mindy. I żeby poddali się testom DNA, jeżeli chcieliby zostać dawcami szpiku.

Lauren zaczyna wstawać z krzesła. Jak on mógł? O Boże, już i tak znalazła się w fatalnej sytuacji, a teraz jeszcze miałyby wystąpić w telewizji i opowiadać o tym publicznie?

– Nie. Nigdy w życiu. To absolutnie wykluczone.

– Pani Wright, w ten sposób pomogliśmy nie tylko Mindy. Więcej ludzi, więcej dzieci potrzebuje przeszczepu komórek macierzystych. Gdybyśmy namówili widzów do tego, żeby zostali dawcami, pomogliśmy tylu pacjentom. Baza latynoskich dawców nie jest zbyt duża...

– Nie wygłosimy żadnego apelu. I nie zamierzamy powiedzieć Mindy, że nie jesteśmy jej biologicznymi rodzicami.

Doktor Oliver uśmiecha się ze smutkiem, a jej jest cholernie przykro, bo go zawiodła.

Mężczyzna wzdycha ciężko.

– Czy ukrywanie prawdy rzeczywiście leży w najlepszym interesie Mindy?

– To nie pańska sprawa.

– To zdecydowanie moja sprawa. – Doktor Oliver również wstał. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby stracił kontrolę nad sobą, jeszcze chwila, a zacznie na nią krzyczeć. – Moja praca polega na zapewnieniu pacjentom optymalnego leczenia. A Mindy jest moją pacjentką. Jej zdrowie stanowi dla mnie priorytet, a nie pani uczucia czy prywatność. Lauren, pani córka umrze, jeżeli nie znajdziemy właściwego dawcy. Czy to jasne? Umrze. Nie mamy innego wyjścia. Musimy publicznie poprosić o pomoc i spróbować odnaleźć jej biologiczną rodzinę.

To nie dzieje się naprawdę. To niemożliwe.

Robi jej się słabo, czuje mdłości. Traci grunt pod nogami. Zaczyna osuwać się na podłogę; w samą porę łapią ją znajome, silne ręce.

– Jasper, bardzo się cieszę, że pan przyszedł. – Do Lauren jak przez mgłę dobiega głos lekarza. – Właśnie opowiadałem o pewnym rozwiązaniu...

– Słyszałem. – Jasper wchodzi mu w słowo. – Kochanie, już w porządku?

Lauren kręci głową. W uszach jej huczy; czuje, że za chwilę zemdleje.

– Panie doktorze, mógłbym prosić szklankę wody?

– Oczywiście. Zaraz wracam.

Kiedy lekarz zamyka za sobą drzwi, Lauren pada w ramiona męża. Z jej piersi wydiera się szloch.

– Nie możemy. Nie możemy jej o tym powiedzieć. Nie teraz. Jeszcze nie.

Jasper klęka przed nią na podłodze.

– Skarbie, nie mamy wyboru. Musimy uratować jej życie, a jeżeli w tym celu trzeba wyjawic prawdę, zrobimy to. Jej miłość do ciebie się nie zmieni, zapewniam. Mindy cię uwielbia. Może trochę się wkurzy, pomilczy jakiś czas, ale przemówimy jej do rozsądku. Moim zdaniem apel w telewizji to dobry pomysł. Nie mamy innego wyjścia. Lauren, proszę. To również moja córka, nie chcę jej stracić.

– Nie wierzę, po prostu nie wierzę, że to wszystko dzieje się naprawdę. Odnoszę wrażenie, że stoimy nad przepaścią.

– Jeżeli Mindy umrze, z pewnością w tę przepaść runiemy. Lauren, błagam. Pomyśl racjonalnie.

Nigdy wcześniej nie ogarnął jej tak paraliżujący strach jak teraz, kiedy mówi:

– Tak, masz rację. Doktor Oliver też ma rację. Ale, o Boże, zniszczymy jej świat.

I mój.

– Świat Mindy runął miesiąc temu, kiedy miała wypadek, a potem usłyszała diagnozę.

Lauren milczy przez chwilę, po czym kiwa głową. Czuje, że Jasper się rozluźnia; słyszy, jak oddycha z ulgą. Co by zrobił, gdyby się nie zgodziła? Zlekceważyłby jej wolę i powiedział Mindy o wszystkim? Wiedziאלby, że robi dla córki to, co trzeba, więc do diabła z żoną.

O dziwo, kategoryczna reakcja męża wzbudza w Lauren pewien szacunek. Jasper zawsze jest dobry, łagodny i miły, nigdy wcześniej nie widziała u niego takiej stanowczości. Pewnie właśnie ze względu na tę cechę, która jednak ujawnia się wyłącznie w pracy, jest takim dobrym adwokatem procesowym. A może po prostu nie zna go aż tak dobrze, jak jej się wydaje. Może on też ma swoje sekrety? Przez te wszystkie lata, odkąd są małżeństwem, skupiała się przede wszystkim na Mindy. Całkiem prawdopodobne, że i Jasper coś przed nią ukrywa.

– Dobrze. Jeżeli mamy jej powiedzieć, zrobmy to teraz. Jednak nie zgodzę się na publiczny apel. Po prostu nie mogę.

– Ale...

– Poczekaj, wysłuchaj mnie. Poprośmy Juliet, żeby poszukała biologicznej matki Mindy. Przekażę wszelkie szczegóły, które zapamiętałam, pomogę, jak tylko zdołam, ale nie wystąpię w telewizji i nie opowiem całemu światu o naszym życiu. Kiedy Mindy wyzdrowieje, taka historia zapewne obniży jej szanse na dostanie się do drużyny olimpijskiej. Nie zrobię niczego, co zagroziłoby jej karierze. Zgoda?

– Zgoda. – Jasper ją obejmuje. – Kochanie, podjęłaś właściwą decyzję. Zaraz zadzwonię do Juliet i razem porozmawiamy z naszą córką.

Całuje ją w czoło i mocno przytula. Skulona w jego objęciach, powtarza sobie, że wszystko będzie dobrze. Siedemnaście lat to mnóstwo czasu. Miała szczęście, że do tej pory udawało jej się ukrywać prawdę. Teraz modli się jedynie, żeby córka jej nie znienawidziła. Tego by nie wytrzymała.

Słyszy, jak spokojny głos rozsądku, który usilnie stara się uciszyć, śmieje się i śmieje.

– Lauren, mocno wierzę w to, że odnajdziemy jej biologiczną matkę. Mam dobre przeczucie.

Kiwa głową z twarzą w jego włosach i szepcze:

– Jej matka miała na imię Graciela.

DENVER, KOLORADO

Juliet właśnie wychodzi spod prysznic, kiedy dzwoni telefon. Jest zaskoczona, gdy na ekranie wyświetla się numer Jaspera. Nagle przestraszona, wciska ikonkę zielonej słuchawki.

– Hej, wszystko w porządku?

– Cześć, Juliet. Tak, tak. Potrzebujemy tylko twojej pomocy.

– Jestem do waszej dyspozycji.

– Lauren mi powiedziała. O wszystkim. Wiem, że ty też znasz prawdę.

Głęboko oddycha z ulgą.

– Och, dzięki Bogu. I co teraz?

– Niedługo powiemy Mindy, ale chcielibyśmy, żebyś coś dla nas zrobiła. Lekarze martwią się, czy znajdą dawcę. Lauren i ja prosimy, żebyś odnalazła biologiczną matkę Mindy.

Ogromny ciężar spada jej z serca. Co za ulga. Teraz zdoła zatrzeć za sobą ślady. Jest jednak czujna i ostrożna, bo przecież podjęła działania za ich plecami.

– Cóż, jeżeli nie chodzi o przestępstwo, nie wolno mi tego zrobić z ramienia CBI.

– Tak, ale pomyśleliśmy, że jako pracownik Biura Śledczego mogłabyś przesłuchać personel szpitala, sprawdzić, czy udostępnią ci dokumentację, coś w tym rodzaju. Gdybyśmy poznali nazwisko matki, bezpośrednio byśmy się z nią skontaktowali i zobaczyli, czy byłaby zgodność tkankowa. Zostałabyś naszym prywatnym detektywem. Oczywiście zapłacimy.

– Wykluczone, zajmę się tym z wielką radością. Muszę przyznać, że już zaczęłam szukać tamtej lekarki i dowiedziałam się, że niestety od dawna nie żyje. Ale jeszcze podzwonię, a nuż poznam jakieś nowe fakty.

– Lauren zdradziła mi, że ta dziewczyna miała na imię Graciela. Nie wiem, czy to w czymś pomoże.

– O kurczę. Mnie powiedziała, że nie pamięta.

– Myślę, że ukryła tę informację bardzo głęboko w podświadomości, z nadzieją że już nigdy nie będzie musiała do niej wracać. Wydaje mi się, że nic więcej nie wie, bo inaczej też by się tym ze mną podzieliła. Może tyle wystarczy, żeby ruszyć ze sprawą. Lekarze zaproponowali, żebyśmy ogłosili apel w telewizji i poprosili osoby pochodzenia latynoskiego o to, by zostały dawcami, zwłaszcza te spokrewnione z młodą dziewczyną, która w tamtym okresie była w ciąży. Niestety Lauren stanowczo odmówiła. W żadnym wypadku się na to nie zgadza.

– Wcale jej się nie dziwię. Musiałaby się poddać publicznemu osądowi, a poza tym jeżeli pojawią się fałszywe tropy, stracimy dużo czasu. Teraz, kiedy znam imię tej dziewczyny, powinno być łatwiej. Ucałuj ode mnie moją siostrzenicę, dobrze? Przekaż jej, że przyjadę, gdy tylko uda mi się wyrwać z pracy, i poruszę niebo i ziemię, żeby znaleźć dla niej dawcę.

– Bardzo się ucieszy. Dziękuję, Juliet.

– Nie ma sprawy. Powodzenia. Aha, Jasper...

– Tak?

– Nie bój się. Mindy uwielbia was oboje, poza tym to inteligentna istotka. Przez parę dni na pewno będzie jej ciężko, ale zrobimy wszystko, żeby zrozumiała, jak ogromnie się staraliście stworzyć z nią prawdziwą rodzinę.

– Dziękuję, Juliet. – Jasperowi załamuje się głos. – To wiele dla mnie znaczy. Dla nas.

– Zadzwoń, kiedy tylko się dowiem czegoś istotnego. Na razie.

– Zaraz, czekaj. Może to nic ważnego, ale mam coś jeszcze. Wczoraj w nocy Lauren szukała w internecie niejakiego Zacka Armstronga. Widziałem, jak wpisała to imię i nazwisko do wyszukiwarki. Kiedy spytałem, kto to, zareagowała dziwnie. Zdenerwowała się i nie chciała o tym ze mną rozmawiać. Pomyślałem, że to pewnie jej były chłopak. Kojarzysz kogoś takiego?

– Zack Armstrong? Nie, nie przypominam sobie. Ale Lauren jest przecież dziesięć lat starsza ode mnie. Z wieloma chłopakami się kolegowała, nie pamiętam, jak się nazywali. Poszukam tego faceta, myślę jednak, że faktycznie to jakaś jej dawna miłość. W stresującej sytuacji ludzie często dziwnie reagują. Lauren uwielbia ciebie i wasze wspólne życie. Nie wierzę, żeby kiedykolwiek świadomie naraziła je na jakieś niebezpieczeństwo.

– Ja też nie myślę w ten sposób. Ale w świetle wszystkich innych... spraw...

Nie musi kończyć. Juliet dobrze wie, co zamierzał powiedzieć: W świetle tych kłamstw, które opowiadała...

– Tylko spytałem, kto to, a ona się wściekła.

– Jasne. Na pewno go poszukam.

– Dziękuję, Juliet. Tylko nie...

– Spokojnie. Tej rozmowy nie było. Rozumiem.

Jasper śmieje się cicho, dziękuje jeszcze raz i się rozłącza.

Zack Armstrong. Do diabła, co to za gość?

Juliet na chwilę ogarnia tęsknota za matką. Ona wiedziałaby, kim jest ten Zack, bo Lauren jej się zwierzała, i to z intymnymi szczegółami. Wtedy uświadamia sobie, że w sprawie Mindy jej siostra okłamywała nawet matkę. O rany.

No cóż... do matki już się nie zwróci po informacje, ale od czego jest internet?

Dzwoni do Camerona.

– Cześć, piękna.

– Jakieś wieści?

– Na razie nic.

– Cholera. Słuchaj, przed chwilą Jasper poprosił, żebym poszukała lekarki, która umożliwiła Lauren adopcję Mindy. Mogę liczyć na twoją pomoc? Jeżeli zostanę Sherlockiem, czy będziesz moim Watsonem?

– Nigdy nie wspominałaś, że lubisz takie zabawy. To mi się podoba. Nawet bardzo. U ciebie czy u mnie? Założyć kapelusz i wziąć lupę?

Juliet się śmieje.

– Ech, ty perwersie. Znasz kogoś, kto na początku dwudziestego pierwszego wieku pracował w szpitalu Swedish Medical?

– Zepsułaś całą frajdę. Myślałem, że będziemy...

– Mój drogi, pytam śmiertelnie poważnie.

– Oddzwonię do ciebie.

Teraz powinna porozmawiać również ze swoim szefem. Musi wziąć parę dni wolnego, a nzebierało jej się sporo spraw. Szef odbiera już po pierwszym sygnale.

– Cześć, Woody. Tu Juliet.

– Mój geniusz. Co się dzieje? Rozchorowałaś się? Rano wstąpiłem do laboratorium, a Bai mówi, że cię nie ma.

– Sprawy osobiste. Wiesz, że moja siostrzenica ma raka, prawda?

– Tak. Biedactwo. Domyślam się, że jej stan się nie poprawia?

– Niestety jest coraz gorzej. Poza tym w naszej rodzinie pojawił się pewien dodatkowy problem i siostra poprosiła mnie o pomoc. Zostało mi kilka dni urlopu, więc...

– Juliet, weź tydzień wolnego. Nie wiem, czy obejdziemy się bez ciebie dłużej, ale na razie zajmij się swoimi sprawami, a jeżeli będziesz potrzebowała więcej czasu, daj znać. Wszyscy trzymamy kciuki za Mindy. To nasza czempionka.

– Woody, jesteś cudowny. Dziękuję.

– Nie, to ty jesteś cudowna. Pamiętasz tę próbkę, którą badałaś w zeszłym tygodniu w sprawie poczwórnego morderstwa w Golden? Dzięki tobie właśnie dorwaliśmy skurwysyna. Wyobraź sobie, że policja cały czas podejrzewała kogo innego.

– Bo szukaliście mężczyzny. Rzadko się zdarza, żeby kobieta popełniła tak potworną zbrodnię.

– Rzadko, a jednak. Okazuje się, że kobiety potrafią być tak samo bezwzględne jak faceci.

– Co ty powiesz? Dobra, wielkie dzięki za urlop. Będę z tobą w kontakcie, na wypadek gdybyś natychmiast mnie potrzebował. Poza tym

podczas mojej nieobecności Bai zajmie się laboratorium i na pewno spisze się doskonale.

– Jasne. Powodzenia. Zadzwoń w razie czego, chętnie pomogę.

Juliet zastanawia się, co u Mindy, i jednocześnie układa plan działania. Przesłuchać pracowników szpitala Swedish Medical; sprawdzić, czy jakimś cudem nie zachowały się nagrania z kamer z tamtego okresu. Szanse są minimalne, ale na oddziale noworodkowym panują inne zasady niż na pozostałych. Warto spróbować.

Musi też wygrzebać wszystko, co się da, na temat pacjentki o imieniu Graciela. Jeżeli szczęście jej dopisze, w szpitalnym archiwum znajdzie jej nazwisko. A do tego jeśli okaże się, że ta kobieta mieszka w Denver albo w jego okolicach, to będzie ogromny sukces.

No jasne. Prawdopodobieństwo, że od tej pory wszystko pójdzie jak z płatka, niewątpliwie jest nikłe, ale warto zachować optymizm, przynajmniej dopóki nie pojawią się jakieś komplikacje.

No i oczywiście jest jeszcze baza dawców. Komputery przesiewają miliony profili, żeby znaleźć pasujące komórki macierzyste.

Tak czy inaczej, zagadka wkrótce zostanie rozwiązana.

SZPITAL W VAIL

Mindy ogląda zawody z narciarstwa zjazdowego w Val d'Isère i próbuje nie uważać się nad sobą, że jej tam nie ma; wtedy w drzwiach pojawiają się rodzice z torbą jej ulubionych ciasteczek. Natychmiast się domyśla, że stało się coś poważnego. Mama miała znaleźć miejsce, gdzie mogłyby poćwiczyć jogę, a zamiast tego przyszli razem, niemal się skradając, i teraz uciekają wzrokiem, jakby nie potrafili spojrzeć jej w oczy.

Umiera. Wie o tym. Na pewno są już badania, które to potwierdzają. Wczoraj rano czuła się fatalnie, na szczęście doktor Oliver zrobił jej jakiś zastrzyk i trochę odzyskała wigor. Taka poprawa to jednak za mało.

Łzy od razu cisną się jej do oczu. Nie chce umierać. Czuje, że rak płynie w jej krwi, nieuchwytny jak cień. W ciągu kilku ostatnich dni rozrósł się, coraz trudniej z nim walczyć. Mindy jednak nigdy się nie poddaje, robi wszystko, żeby nie przegrać. Potwór kłapie szczękami tuż-tuż... Nie, ona nie odpuści. Tylko jak długo jeszcze zdoła się przed nim bronić?

Teraz rodzice powiedzą, że to już koniec. Musi poddać się z godnością, oni na pewno są gotowi pozwolić jej odejść. To nieuchronne, ale i tak ją wkurza. Chciałaby znowu jeździć na nartach, czuć wiatr chłostający twarz. Odtąd już na pewno cały czas będzie pod ich baczną kontrolą. Skażą ją na gnienie w tym szpitalnym łóżku, aż w końcu nie da rady nawet się z niego ruszyć, a ból stanie się tak potworny, że lekarze otumanią ją lekami do nieprzytomności.

Nie tak sobie wyobrażała swój koniec.

– Możecie mi powiedzieć – odzywa się pierwsza, przygotowując się na najgorsze. – Już wiem, z czym przyszliście.

Wpatrują się w nią bez słowa, a ją przeszywa krótki dreszcz. Nie, będzie silna i to ona zadecyduje, jak to wszystko się skończy. Kiedyś przeczytała książkę o dziewczynie, która przeprowadziła się do Waszyngtonu, żeby

poddać się eutanazji. Mindy ma nadzieję, że nie będzie musiała posuwać się tak daleko. Na pewno zdoła przekonać rodziców i lekarzy, żeby pozwolili jej jeszcze ten jeden raz założyć narty i stanąć na szczycie zbocza. Raz zjedzie dla przyjemności. Za drugim razem skręci w przepaść. Niemal czuje, jak leci w dół, a rozrzedzone powietrze szarpie jej ciałem...

Tata zamyka drzwi. Mama siada na brzegu łóżka i poprawia kołdrę. Mindy nagle czuje, że się dusi, więc z powrotem się odkrywa. Mama marszczy brwi, natychmiast jednak znów przywołuje kamienny wyraz twarzy.

– Kochanie, to, co od nas usłyszysz, na pewno będzie dla ciebie wielkim szokiem.

– Mhm, umieram. – Splata ręce na piersi. – Już o tym wiem. Nie mogą znaleźć dawcy, więc to koniec.

Jasper przysuwa sobie krzesło i siada po drugiej stronie łóżka.

– Nie, kochanie. Nie jest jeszcze tak źle, a nawet pojawiły się pewne szanse... Twoja mama... – Spogląda na Lauren, która miętosi dłońmi róg koca.

Mindy chyba jeszcze nigdy nie widziała jej tak zdenerwowanej, więc w pocieszającym geście wyciąga do niej rękę. Lauren uśmiecha się blado i kiwa głową.

– Skarbie, nie wiem, jak ci najlepiej to przekazać, więc powiem wprost. Jesteś adoptowana. Zdaję sobie sprawę, że to dla ciebie ogromny wstrząs i na pewno chciałabyś zadać wiele pytań. Odpowiemy na wszystkie, ale pamiętaj, że...

– Zaraz, co takiego? Nie umieram?

Iskra nadziei rozbłyska na twarzy dziewczyny jak kometa. Nagle Mindy czuje przypływ energii, jakby wszystko znowu stało się możliwe. Jednocześnie chce jej się krzyżeć, płakać i śmiać, ale całą tę eksplozję emocji zalewa potężna fala ulgi.

– Nic nam o tym nie wiadomo. Diagnoza się nie zmieniła.

– Ale... jak to: adoptowana? Nie jesteście moimi rodzicami?

Brzmi to absurdalnie. Jak w jednym z tych dziwacznych koszmarów, w których śnisz ze świadomością, że to nieprawda, więc starasz się

obudzić, bo to w ogóle ci się nie podoba.

Lauren odchrząkuje.

– Adoptowałam cię tuż po tym, jak się urodziłaś. Twój ojciec...

– Który? Biologiczny czy tata?

– Tata. Poznaliśmy się, kiedy miałaś zaledwie kilka tygodni. Zakochaliśmy się w sobie i...

– Słoneczko, zawsze czułem, że jesteś moją córką. Nigdy nie myślałem o tobie inaczej. – Jasper gładzi ją po nodze. – Kochałem cię od chwili, kiedy po raz pierwszy zrobiłaś mi kupę na koszulę.

Mindy się nie śmieje, więc Jasperowi rzadnie mina. Dziewczyna zastanawia się, dlaczego jest mniej zła na tatę niż na mamę. I czy w ogóle jest zła? Czy po prostu chciałaby tylko krzyczeć z radości, ogarnięta totalną ulgą, że dzisiaj nie patrzy śmierci prosto w oczy? Ma mętlik w głowie.

– Kim są moi prawdziwi rodzice? Ci biologiczni?

– Nie wiemy – odpowiada Lauren. – To bardzo długa i zawiła historia.

Mindy zatacza ręką krąg.

– Mnie się nie śpieszy. Mówcie. Chcę wiedzieć wszystko.

Lauren i Jasper opowiadają więc, a Mindy słucha, próbując uspokoić serce, które trzepocze za każdym razem, kiedy mocno dociera do niej myśl: „Zostałam adoptowana. Nie jestem waszym dzieckiem”. Ból w głosie mamy, jej wyraźne poczucie winy. Dziewczyna nie wie, co zrobić z tą wiadomością, jak z nią sobie poradzić. Adopcja to poważna sprawa, niesłuchanie poważna, ale w porównaniu ze śmiercią, z planami zakończenia życia, wydaje jej się... do przyjęcia.

– Chwileczkę. Przepraszam, że przerywam, ale czy możemy ich odnaleźć?

Jasper odchyła się na krześle.

– Oczywiście taką mamy nadzieję. Bo przede wszystkim liczymy na to, że któreś z nich okaże się idealnym dawcą.

– No dobra. Jestem wściekła na was oboje. Wkurza mnie, że wcześniej ukrywaliście to przede mną. Ale na jakiś czas odłożę te emocje na bok. – Boże, mówi zupełnie jak własna psychoterapeutka, ta głupia krowa. – Na

razie skupmy się na tym, żeby ich odnaleźć. Czuję tego raka w sobie, jest jak potwór, który nie zamierza odejść. Może oni pomogą mi go pokonać. Nie chcę umierać. Pragnę wyzdrowieć. A wtedy zrobię wam awanturę o to, że tyle lat ściemniacie.

Lauren wybucha płaczem i wtula twarz w brzuch córki, która głaszcze ją po głowie, a do taty uśmiecha się drżącymi ustami.

– Nie takiej wiadomości się spodziewałam – przyznaje.

– Wiadomo. – Jasper odwzajemnia jej uśmiech. – Ale pamiętaj, że to niczego nie zmienia, jeżeli chodzi o naszą rodzinę.

– No, teraz jest większa. Właściwie to łut szczęścia, którego tak potrzebowaliśmy. Zawsze mi mówiłeś, że życie w dziewięćdziesięciu procentach zależy od nas samych, a w jednym procencie od farta. To właśnie ten nasz jeden procent.

Bardzo odważne słowa. Wszyscy troje się przytulają. Lauren nadal płacze i pociąga nosem, ale Mindy czuje ulgę. Może trochę dochodzą do głosu wyrzuty sumienia. Mama pewnie spodziewała się bardziej dramatycznej reakcji, która jeszcze mocniej scementowałaby ich miłość, ale w tych okolicznościach to, z kim łączą ją więzy krwi, a z kim nie, wydaje jej się mniej ważne niż odnalezienie ludzi, którzy prawdopodobnie jej pomogą.

Nie pyta, dlaczego nie wyjawili prawdy kilka tygodni temu, kiedy okazało się, że potrzebuje przeszczepu. O tym pomyśli później.

Rozlega się pukanie do drzwi, do sali zagląda doktor Oliver.

– W porządku?

– On wie? – Mindy zerka na lekarza.

– Tak – potwierdza Jasper.

Teraz już serio trafia ją szlag.

– Kurwa, to wszyscy wiedzieli, tylko nie ja?

Lauren błyskawicznie podnosi głowę.

– Ej, nie przeklinaj.

Lekarz zamyka drzwi. Jest dla nich jak rodzina.

– Kto jeszcze został wtajemniczony? Ciocia J?

- Tak. – Lauren kuli się w sobie.
- No super, dzięki. Panie doktorze, bardzo dziękuję również panu.
- Mindy, posłuchaj. – Doktor Oliver odchrząkuje. – Prawdy dowiedziałem się z wyników badania krwi. Spytałem o to twoich rodziców. Gniewaj się na nich, nie na mnie. To ja...
- W tej chwili jestem wkurzona na was wszystkich. I mam serdecznie dosyć tego miejsca. Mogę wrócić do domu?
- Lauren zaczyna przeproszać za ton swojej córki, ale lekarz kiwa głową.
- Nie mam do ciebie pretensji. Jasne, dziś cię wypiszę. Ale uważaj na siebie. Zobaczymy się za parę dni, dobrze?
- Dzięki, doktorze – rzuca naburmuszona Mindy, potem zwraca się do rodziców, którzy nie są jej rodzicami: – Dokończymy tę rozmowę później. Na razie zabierzcie mnie stąd.

**SZPITAL UNIWERSYTECKI
NASHVILLE, TENNESSEE
1993**

VIVIAN

Kiedy dostaję list, aż podskakuję z radości. Odkąd Liesel mi się zwierzyła, pierwszy raz szczerze się z czegoś cieszę. Zbliża się Boże Narodzenie, Liesel nie ma już od dwóch tygodni. Bez niej na oddziale jest okropnie. Znowu wpadłam w codzienną rutynę, znalazłam się w jednym worku ze śliniącymi się pacjentami, których dręczą halucynacje. Jestem zmęczona, śmiertelnie zmęczona i zastanawiam się, dlaczego jeszcze chodzę po tej ziemi, skoro absolutnie nie widzę sensu żyć.

Suka przynosi mi list do świetlicy i pozwala, żebym przeczytała go w swojej sali. Próbuje wyciągnąć mnie z doła; niestety nic z tego. Tkwię w nim zbyt głęboko. Na samym dnie.

Prawie całkowicie zamykam drzwi i siadam z podciągniętymi nogami na łóżku Liesel. Koperta jest otwarta – na oddziale nie ma ani odrobiny prywatności.

10 grudnia 1993

Kochana V,

co u Ciebie? Wszystko dobrze? Chciałam Ci podziękować za to, że mi pomogłaś – zanim straciłam dziecko i potem. Muszę zamknąć ten rozdział swojego życia. Jak pewnie się domyślasz, to dla mnie wielkie cierpienie i prawdziwa tragedia. Cóż, chyba już zapłaciłam za swoje grzechy i teraz pojawiła się szansa, żeby zacząć wszystko od nowa, spojrzeć na świat z innej perspektywy.

Nie zamierzałam wysłać do Ciebie listu, ale uświadomiłam sobie, że powrót do zdrowia w dużym stopniu zawdzięczam Tobie. Byłoby fajnie,

gdybyś odpisała, ale zrozumieć, jeżeli nie zechcesz. Przeżyliśmy razem okropne chwile, więc nie będę Cię obwiniać, jeżeli stwierdzisz, że wolisz o tym zapomnieć.

Mam nadzieję, że dzisiaj jest Ci chociaż trochę mniej smutno.

Myślę o Tobie,

Liesel

Najpierw czuję złość. Jestem wkurzona. Wściekła. Krążę po sali, głośno tupiąc, i rozrzucam co mi podejdzie pod rękę. No proszę, Liesel dostała szansę na ucieczkę z tego cholernego miejsca. A ja? Mogę sobie pomarzyć. Dlaczego ogląda się za siebie? Powiedziałam jej, żeby tego nie robiła, jeżeli wyjdzie pierwsza.

Kiedy jednak zaczynam myśleć racjonalnie, jestem cholernie wdzięczna za to, że się ze mną skontaktowała. Rzuciła mi koło ratunkowe ze świata z zewnątrz. Dała mi nadzieję. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam jej się zrewanżować. Nie cierpię być wdzięczna. Niech to szlag, dzięki temu krótkiemu liścikowi moje serce się otworzyło i zalał mnie potok emocji.

Nasza przyjaźń jest wyjątkowa. Razem przeszliśmy tyle, że nigdy o sobie nie zapomnimy.

Siadam i odpisuję, mocno opierając nadgarstek na stole. Tak rzadko zdarza mi się pisać ręcznie, że dłoń mi drętwieje i kilka razy muszę przerwać, żeby ją rozruszać.

14 grudnia 1993

Najukochańsza Liesel!

Bardzo się ucieszyłam z Twojego listu. Nawet nie zdążyliśmy się pożegnać. O rany, ale za Tobą tęsknię. Tutaj jest okropnie nudno. Bez Twojej pogody ducha Suka i reszta są jeszcze bardziej gburowaci. Myślę, że oni też za Tobą tęsknią. Mam nadzieję, że nie wypuścili Cię zbyt szybko. Bardzo się martwię o Ciebie. Jak się czujesz? Nie tniesz się?

Dzisiaj mieliśmy robótki ręczne. Zgadnij, jaki to dzień. Tak, brawo, wtorek. Przysięgam, że jeżeli zobaczę jeszcze choć jedną głupią ręcznie malowaną wycieraczkę, skoczę z dachu. Powiedziałam im to, a potem bardzo widowiskowo zemdlałam. Padłam jak kłoda u ich stóp i dlatego teraz piszę, zamiast siedzieć z grupą. Znowu mnie zamknęli, na całe pięć

godzin. Wypuścili dopiero wtedy, kiedy obiecałam, że przestanę dramatyzować.

Czy to nie dlatego wszyscy tu trafiliśmy? Bo dramatyzujemy? Oprócz Ciebie. Ty miałś prawdziwy powód.

Co słyszeć w wielkim świecie? Czy na wolności niebo jest bardziej niebieskie? Słońce świeci jaśniej? Pewnie przepisali Ci mnóstwo prochów, więc po prostu śpisz całymi dniami. Ja chyba też się kimnę. Może znowu przyśni mi się mama. To było takie fajne! Napisz do mnie!

Buziaki i szwy,

V

TERAZ

Mindy ostrożnie wychodzi ze szpitala, podpierając się kulami. Wsiada do samochodu mamy, tata pojedzie za nimi własnym autem. Zakłada słuchawki. W milczeniu, każda zatopiona we własnych myślach, wjeżdżają na wzgórze, aż w końcu nie może wytrzymać tego napięcia i ściąga słuchawki.

– Naprawdę mnie adoptowałaś?

– Naprawdę.

– I nie masz pojęcia, kto mnie urodził? Trudno mi w to uwierzyć.

Mama zerka na nią i kręci głową.

– Kochanie... wiem, że to dla ciebie szok i że jesteś przerażona. To straszne, że z konieczności musieliśmy powiedzieć ci o tym w taki sposób. Ale na dłuższą metę wyjdzie z tego coś dobrego, zobaczysz. Doktor Oliver i doktor Berger wiedzą, co robią. Wyzdrowiejesz. Obiecuję.

– Ale na razie nie czuję się zdrowo, a mówię o tym, że okłamywaliście mnie przez całe moje życie.

– Rozumiem twój gniew. W ogóle ci się nie dziwię. – Mama poklepuje ją po ręce. Jej dotyk wydaje się Mindy obcy i nieprzyjemny.

– Przestań.

– Dobrze. Coś ci powiem. Doktor Oliver planuje znaleźć dla ciebie dawcę, opierając się na danych o pochodzeniu genetycznym. Twoja biologiczna matka była Latynoską. Ta informacja pomoże im zawęzić krąg potencjalnych dawców. To ważne, żebyśmy szczerze z nimi rozmawiali.

– Ale nie wiesz, gdzie ona mieszka?

– Niestety nie. Jeszcze nie. Ciocia Juliet już jej szuka. Kochanie, znajdziemy dla ciebie dawcę. Przysięgam.

– Tego nie możesz być pewna.

– Wierzę w to, Mindy. Wierzę, że wszechświat da nam to, czego teraz potrzebujemy.

– Odkąd to jesteś tak uduchowiona?

– A ty odkąd jesteś taka pyskata?

Dziewczyna wyszarpuje rękę spod dłoni Lauren.

– Nie masz pojęcia, co przeżywam. Całe życie trenowałam, żeby dostać się do reprezentacji narodowej, a teraz, na ostatniej prostej, stało się coś takiego. Zachorowałam na raka. I dowiedziałam się, że jestem adoptowana. Mogę umrzeć, zanim znajdzie się dawca. To takie niesprawiedliwe. Dlaczego wcześniej nie powiedziałaś o tym lekarzom? Dlaczego tak długo zwlekałaś?

– Bo stchórzyłam, Melindo. Bałam się, że cię stracę. Mówię nie tylko o twoim życiu, lecz także o sercu, miłości. Kochanie, zdaję sobie sprawę z tego, że mi nie wierzysz, ale naprawdę wiem, co czujesz. Mnie też nieraz spotykała niesprawiedliwość.

Matka wydaje jej się teraz taka zagubiona i samotna. List. Spytaj o tamten list, nakłania się Mindy w duchu.

Ale już podjechały pod dom i odpowiednia chwila mija. Lauren wprowadza samochód do garażu, gasi silnik.

– Spójrz na mnie.

Córka zerka na nią i szybko odwraca wzrok. Jeszcze chwila i się rozpłacze. Nie cierpi, nienawidzi płakać. Według niej to największa słabość, a ona nigdy nie okazuje słabości.

– Poradzimy sobie z tym. Znajdą dla ciebie dawcę i wyzdrowiejesz. Zdążysz przed kwalifikacjami.

Mindy się nie odzywa, bo wtedy łzy na pewno by popłynęły. Kiwa tylko głową.

– Grzeczna dziewczynka. No, chodźmy na górę.

Powoli idzie schodami prowadzącymi z garażu na parter i po raz pierwszy w życiu brakuje jej tchu. Stara się nie wpaść w panikę. Doktor Oliver uprzedził ją, że chemioterapia wysysie z niej całą siłę i energię.

– Kochanie, na co masz ochotę? Może być coś zjadła?

Kręci głową. Najchętniej spędziłaby trochę czasu w samotności. Musi oswoić się z tą nową sytuacją, ze świadomością, że jest nie wiadomo czym dzieckiem.

– Położę się. Pooglądam końcówkę zawodów. Nagrałaś je, prawda?

Twarz Lauren pochmurnieje, brwi ściągają się i łączą w jedną linię.

– Czy to dobry pomysł? Na pewno chcesz oglądać zawody, w których nie bierzesz udziału?

W których nie biorę udziału...

– Pewnie, że tak. Nawiasem mówiąc, dostałam SMS-a od trenera. Napisał, że mogę wrócić, kiedy tylko stanę na nogi. Po powrocie z Francji przyjdzie z tobą porozmawiać.

– Nie uważasz, że jeszcze nie pora na przyjmowanie gości?

– Mamo, rak nie jest zaraźliwy.

– Ale musimy uważać na twój układ odpornościowy, a twój trener dużo podróżuje. Lepiej, żebyśmy na razie z nikim się nie spotykali, tylko do przeszczepu. Dobrze?

– Pokłóciłaś się z ciocią J z powodu tej adopcji?

W oczach mamy na chwilę pojawia się błysk, ale zaraz potem Lauren odwraca się i idzie do kuchni.

– Po prostu się posprzeczałyśmy, nic więcej. Lada chwila przyjedzie twój tata. Będzie musiał załatwić przez telefon jakąś sprawę zawodową. Odpocznij w swoim pokoju, a ja pojadę do sklepu po parę rzeczy. Kupić ci niesolony bulion? Albo żelki bez cukru?

Mindy się krzywi. W takiej chwili, kiedy całe ich życie się zmienia, mama wybiera się na zakupy?

– Dobrze. Ale weź pudding. I czekoladę. Nie chcę nic niskokalorycznego i bez cukru. Właściwie cukier nawet mi się przyda. Za bardzo chudnę.

Lauren przez chwilę stoi ze zdumioną miną, ale szybko z powrotem przywołuje uśmiech na twarz.

– Jasne. Czyli prawdziwy pudding. Dla mojej słodkiej dziewczynki. Wrócę za godzinę. Prześpij się, a wieczorem obejrzymy jakiś film.

– Okay.

Mindy czeka przy oknie, aż lexus znika na końcu podjazdu. Wtedy cicho idzie do sypialni rodziców. Może aluzja, jaką zrobiła w samochodzie matka – „mnie też spotykała niesprawiedliwość” – ma coś wspólnego z tamtym listem? Nadal nie zna całej prawdy o tym, jak przyszła na świat.

Tata jeszcze nie wrócił. W razie czego Mindy usłyszy pikanie alarmu przy drzwiach.

W szufladzie nie znajduje listu. Mama schowała go gdzie indziej. Tylko gdzie?

Przeszukuje pozostałe szuflady, garderobę, łóżko, ale nic ciekawego nie znajduje. Do gabinetu nie ma wstępu. Poza tym tam pójdzie tata, żeby załatwić swoje sprawy. Gdzie by tu jeszcze sprawdzić? Gdzie nikt nie zagląda, nawet sprzątaczką?

Strych – ale o kulach tam nie wejdzie, nie ma szans. Mama też nie lubi tego miejsca – jest tam zimno i ciemno – kiedyś nawet mówiła, że upiornie.

A może...

Wraca do komody. Odsuwa ją od ściany – robi to bez większego trudu, bo nóżki zabezpieczone filcem ślizgają się na podłodze. W końcu jej wysiłek zostaje nagrodzony. Na tylnej ścianie, między listwami, widzi szarą kopertę.

Serce bije jej jak oszalałe.

Przysuwa komodę z powrotem do ściany, wraca z kopertą do swojego pokoju i wchodzi do łazienki. Dla niepoznaki bierze też książkę. Zamyka drzwi na klucz.

Siada przy toaletce – jak dobrze, że ma wygodne krzesło – i otwiera kopertę. W środku znajduje kilka listów. Wszystkie napisane ręcznie, na starym, miękkim papierze i ułożone w porządku chronologicznym. Mindy zauważa, że cała korespondencja jest między Liesel a kimś, czyje imię zaczyna się na V. Po co mama to trzyma?

Zdezorientowana przez chwilę przegląda kartki, potem zaczyna czytać.

Styczeń 1994

Kochana V!

Mam tatuaż! Ale czad, co? Bardzo bolało, ale tak jak powiedziałaś, to był przyjemny ból. Oczywiście mama zauważyła bandaż i zaczęła się dopytywać, dlaczego widać na nim krew w kształcie motylka. Pokazałam, co tam mam, a jej normalnie odbiło. Zażądała, żebym go usunęła, nawet umówiła mnie na wizytę u pewnego znanego dermatologa, ale nie chciałam o tym słyszeć. Tak jak mi zawsze radziłaś, postanowiłam zawalczyć o siebie. Mama do tej pory zachowuje się, jakbym popełniła straszliwą zbrodnię, jakby zobaczyła, że poderznęłam komuś gardło. Szkoda, że nie widziałaś jej miny, naprawdę bezcenna. Przecież nie przekłułam sobie sutków ani nic takiego. Przysięgła, że na parę miesięcy zamknie mnie w domu i nie pozwoli zrobić prawa jazdy. Odpowiedziałam, że jeżeli uwięzi mnie w tym stęchłym, okropnym mauzoleum, od razu podetnę sobie żyły i wykrwawię się na jej drogocennym dywanie Aubusson (to ten ładny, srebrno-różowy, o którym Ci mówiłam). Cha, cha, cha, chyba nie za bardzo jej się to spodobało, bo zaczęła płakać i przeproszać. A co mnie to obchodzi? Potem zawiozła mnie na egzamin na tymczasowe prawo jazdy. Zdałam! Krok bliżej wolności!

Jestem więc dumną posiadaczką tatuażu, który wygląda dokładnie tak samo jak Twój (teraz jesteśmy niemal bliźniaczkami!), i tymczasowego prawa jazdy, które zezwala mi na prowadzenie samochodu w obecności uprawnionego dorosłego.

Już nigdy nie chciałabym wrócić do szpitala, ale tęsknię za Tobą. Kiedy Cię wypuszczą?

Buziaki,

Liesel

Mindy kładzie list na kolanach. Jej matka nie ma tatuażu. Nie może być tą Liesel. Mindy czuje lekką ulgę. Mama na pewno trzyma te listy na czyjaś prośbę. Może przyjaciółki lub kogoś, kogo poznała w szkole z internatem, o której wspominała Juliet. Pamięta, jak kiedyś zrobiły remanent i opróżniły pudła ze starymi rzeczami sprzed ślubu rodziców – było tam trochę zdjęć jakichś facetów, pewnie byłych chłopaków mamy. Lauren tylko rzuciła na nie okiem i ze złośliwym uśmiechem wepchnęła je do wielkiego czarnego worka. Nie miała zbyt wielu pamiątek z przeszłości, wolała teraźniejszość. Tak więc najbardziej logiczne wydaje się to, że

przechowuje te listy dla kogoś. Z drugiej strony: dlaczego więc nad nimi płakała? Mindy postanawia zająć się tym później.

Zaraz. A może mają one coś wspólnego z jej biologiczną matką?

Rozkłada kolejną kartkę.

Styczeń 1994

Najukochańsza Liesel!

Jestem bardzo dumna, że postawiłaś na swoim! Twoja matka to prawdziwa wiedźma. Chce, żebyś była taka jak ona, jak idealna laleczka z porcelany. Nie możesz jej się poddawać. Gdyby rzeczywiście była taka doskonała, nie wybrałaby tego gnojka na Twojego ojczyma. Próbuj dalej odnaleźć samą siebie. Jesteś na tyle mądra, żeby się stamtąd wyrwać i zostać kimś. Dzieciaku, Ty masz prawdziwy talent. Nie musisz wychodzić za mąż, mieć dwojga, trojga dzieci, śliniącego się psa i domu na przedmieściach. Zasługujesz na lepsze życie. Nie pozwól, żeby wmówiła Ci co innego.

Mam dla Ciebie ważną wiadomość. Suka zaliczyła wpadkę. Nie chce powiedzieć, kim jest szczęśliwy tatuś, ale chyba wszyscy wiemy, że to doktor Świroid. Leciała na niego od kilku miesięcy. Teraz ciągle wymiotuje. Obrzydliwość. Znowu każą nam jeść w stołówce i zabraniają wnosić jedzenie do sal, bo Suka jest „nadwrażliwa na zapachy”. Dlaczego karzą nas, skoro to ona nie brała tabletek antykoncepcyjnych? Pieprzona zdzira. Nienawidzę jej. Strasznie tu bez Ciebie. W ogóle nie warto, wiesz? Nigdy mnie nie wypuszczą. Umrę w tym cholernym psychiatryku. I to raczej wcześniej niż później.

Przepraszam za tę wiadomość o ciąży. Nie pomyślałam.

V

Marzec 1994

V, gdzie się podziewasz? Tak długo się nie odzywasz, a muszę przyznać, że Twój ostatni list bardzo mnie zmartwił. Miałam wrażenie, że jesteś w kiepskiej formie. Proszę, napisz, że u Ciebie wszystko w porządku. Matka nie pozwala, żebym Cię odwiedziła. Błagam ją i błagam, ale się nie zgadza. Jeżeli szybko się nie odezwiesz, ukradnę kluczyki od samochodu

i przyjadę. Obiecałaś, że nie zrobisz sobie znowu krzywdy. Trzymam Cię za słowo.

Całuję,

Liesel

Kwiecień 1994

Liesel!

Tak mi przykro, że się o mnie martwiłaś. Wiem, że od mojego ostatniego listu minęło parę tygodni. Suka powiedziała mi, że dzwoniłaś na oddział, bardzo to doceniam. Jak się pewnie domyślasz, miałam próbę. Byłam zdołowana. Bardzo, ale to bardzo. I cholernie zmęczona. Nie miałam na co czekać. Nie miałam z czego się cieszyć. Stwierdziłam więc, że się powieszę.

Udałoby mi się, gdyby nie to, że Suka, która ma pieprzony szósty zmysł, nieoczekiwanie zajrzała i mnie odcięła. Potem zostałam uśpiona na kilka dni, żeby zesza mi opuchlizna z tchawicy. Do tej pory mam trochę zachrypnięty głos. Suka twierdzi, że to brzmi seksownie.

Dobra wiadomość jest taka, że zaczynam czuć się lepiej. Zrobili mi elektrowstrząsy i to pomogło. Trochę. Bardzo się tego bałam i wiem, że jesteś przeciwna takiemu leczeniu, ale to nie było nic strasznego, a po kilku sesjach odrobinę odżyłam. Nie powiedziałabym, że rzygam tęczą, ale naprawdę próbuję się ogarnąć.

Mam nadzieję, że nie jesteś mną rozczarowana. Cholernie się staram. Nasze plany nadal są dla mnie najważniejsze. Chcę stąd wyjść i uciec z Tobą do jakiegoś ciepłego miejsca; będziemy mieszkać na plaży i codziennie chodzić w kostiumach kąpielowych.

Dobrze przeczytałaś, rzeczywiście powiedziałam coś miłego o Suce. Przez cały ten czas zachowywała się wobec mnie naprawdę w porządku. Nawet powiedziała, że postara się jakoś mi wynagrodzić Twoją nieobecność. Brzuch ma wielki jak piłka do kosza, normalnie można pęknąć ze śmiechu. Uczę się do matury, zdam ją tutaj, bo za żadne skarby nie wrócę do szkoły. Pod koniec lata będę miała świadectwo maturalne, wyobrazasz sobie? Może wtedy mnie wypuszczą.

Marzę o tym, żebyś mnie odwiedziła. Tęsknię za Tobą.

Całuję,

V

Kwiecień 1994

V!

Nigdy nie mogłabyś mnie rozczarować – no, chyba że nigdy bym Cię nie poznała. Bardzo się cieszę, że Suka w porę Cię znalazła, że zgodziłaś się na leczenie elektrowstrząsami i że to pomaga. Prochy, które biorę, też mi pomagają. Zeszłam do dwóch antydepresantów. Matka mówi, że moje hormony zaczynają się stabilizować – nadal myśli, że wahania nastroju u mnie to tylko faza i że z tego wyrosnę – ale te lekarstwa naprawdę są spoko. Nie dają zbyt dużo skutków ubocznych i ostatnio nastrój całkiem mi się wyrównał.

Niestety mam dla Ciebie również złą wiadomość. Przeprowadzamy się. Ona zdecydowała, że zmiana otoczenia dobrze mi zrobi. Nie powiedziała, dokąd się przenieśmy, jeszcze nie zamknęła swoich spraw w pracy, ale już wystawiła nasz dom na sprzedaż. Nadal nie zgadza się, żebym Cię odwiedziła, ale zrobię wszystko, żeby przed wyjazdem wpaść do Ciebie. Jestem wściekła, że podejmuje decyzje i załatwia różne sprawy za moimi plecami, ale z drugiej strony czuję lekką ulgę. Może uda mi się zamknąć ten rozdział i zacząć od nowa wśród ludzi, którzy nie znają mnie jako „kryminalistki i niedoszłej samobójczyni”? Rozumiesz, prawda?

Niestety więc przez długi czas na pewno się z Tobą nie zobaczę. A to mnie martwi. Przyjedziesz do mnie, jeżeli Cię wypuszczą?

Buziaki i szwy (a może raczej sznury?),

Liesel

Maj 1994

Najukochańsza Liesel!

Ale się uśmiełam! Buziaki i sznury! Tak naprawdę użyłam do tego prześcieradła. Suka powiedziała, że weszła do sali, bo myślała, że na podłodze leży koc. Niezłe, co?!

Jestem załamana Twoją przewodzątką. Normalnie załamana. Błagam, nie zapomnij o swojej przyjaciółce, która bardzo Cię kocha i chciałaby Cię odwiedzić, kiedy już przestanie być zagrożeniem dla siebie i innych. Właśnie dzisiaj doktor Świroid wspomniał mi o ewentualnym przeniesieniu do ośrodka przejściowego. Tak. Poprawa jest duża. Więc nie znikaj, dopóki stąd nie wyjdę!

Ściskam z całych sił,

V

PS

Zapomniałam: Suka urodziła! Po terapii grupowej słyszałam, jak pielęgniarki o tym rozmawiają. To chłopczyk. Suka przez kilka tygodni będzie na urlopie macierzyńskim, więc na ten czas muszę wrócić do swojej nudnej rutyny. Napisz do mnie szybko!!!

Sierpień 1994

Kochana Liesel!

Kilka moich ostatnich listów...

– Mindy? Kochanie, gdzie jesteś?

Cholera, cholera, cholera. Mindy odkręca wodę pod prysznicem i chowa listy pod umywalką.

– Tutaj! Biorę prysznic.

– Mam dla ciebie pyszny pudding z holenderskiej czekolady. Będzie gotowy, kiedy skończysz się myć.

– Dzięki, za chwilę wychodzę.

Mindy wstrzymuje oddech. Jeżeli przekręci klucz w zamku, mama to usłyszy i zacznie się zastanawiać, dlaczego córka się zamknęła. Lauren tego nie lubi. To jedno z jej dziwactw. Można zamknąć drzwi od swojego pokoju – przed wejściem Lauren zawsze puka – ale zamykanie się na klucz jest niedopuszczalne.

Na szczęście mama gdzieś się oddała, pewnie idzie do kuchni. Dziewczyna oddycha z ulgą. Kiepsko, że nie może teraz odnieść listów, musi spróbować później. Mama schowała ich dużo więcej, musiała je zbierać przez wiele lat.

Mindy zabezpiecza nogę plastikowym workiem, wchodzi pod prysznic, żeby zmyć z siebie szpitalny zapach i zastanawia się, kim są te dwie dziewczyny.

DENVER, KOLORADO

Juliet jeszcze nie zdążyła rozpocząć poszukiwań, gdy w drzwiach jej gabinetu pojawia się Cameron – z pizzą, plikiem dokumentów, pełen tłumionej energii.

– Jeżeli chodzi o tę nieżyjącą doktor Castillo, udało się uzyskać więcej szczegółów. O wiele więcej. W dwutysięcznym wyrzucili ją z pracy, wkrótce potem popełniła samobójstwo.

– Wejdz, proszę. Samobójstwo? Opowiadaj. Za co ją zwolnili?

– Wychodzi na to, że brała łapówki. Prawdopodobnie za nielegalne adopcje, takie jak w przypadku twojej siostry.

Serce Juliet zaczyna bić jak oszalałe. Ostrożnie zamyka drzwi za Cameronem.

– Nielegalne? Nie zamknięte?

– Za każdym razem, kiedy dziecko zmienia opiekuna prawnego, musi to zostać udokumentowane. Samo oddanie komuś czyjegoś dziecka za pieniądze jest niezgodne z prawem. Podobno ta lekarka świadczyła też usługi polegające na szukaniu domów dla dzieci ubogich pacjentek. Brała forszę od rodziny adopcyjnej, płaciła rachunki za pobyt w szpitalu matek biologicznych, a resztę zostawiała sobie. W końcu wpadła i ją wywalili. Niestety wcześniej zdążyła sprzedać sporo dzieci.

– O rany. Z jednej strony można powiedzieć, że pomogła wielu maluchom. Nie miałyby udanego życia, skoro nastoletnie matki bez grosza przy duszy ich nie chciały. Ale z drugiej strony...

– No właśnie. Handel dziećmi. Kiepska sprawa.

– Da się sprawdzić, kim były jej pacjentki?

– W archiwum została dokumentacja kilku młodych kobiet, ale większość po prostu zniknęła. Teraz słuchaj. Jedna z tych kobiet nazywa się

Graciela Flores. Urodziła dziewczynkę i oddała ją do adopcji.

- Boże drogi. To może być ta osoba, której szukamy.
 - Z tym, że...
 - Oczywiście to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Z tym, że co?
 - Noworodek, którego sprzedała, miałyby teraz osiemnaście, nie siedemnaście lat. Mówiłaś, że widziałaś Mindy tuż po narodzinach. Nie sądzę, żebyś pomyliła noworodka z niemowlęciem.
 - Na pewno nie. A może zaraz potem urodziła następną córkę? Albo lekarce pomyliły się daty.
 - Nie wiem, Juliet. Coś mi tu nie gra. A to nie wszystko.
 - Opowiadaj.
 - Castillo została zwolniona w czerwcu dwutysięcznego, a Mindy urodziła się w sierpniu.
 - To znaczy, że doprowadziła do adopcji po utracie pracy?
 - Możliwe.
 - Pomyśl tylko. Lekarka, która właśnie straciła prawo wykonywania zawodu, i małolaty, które zaliczyły wpadkę. Spadła im jak manna z nieba. W momencie, kiedy ją wyrzucili, pewnie już miała ugadanych kilka dziewczyn i potem musiała tylko dać im znać, gdzie jej szukać, kiedy nadejdzie termin porodu.
- Cameron z powątpiewaniem przeczesuje palcami siwe włosy.
- Musisz wyciągnąć od siostry więcej informacji.
 - Nie w tej chwili. Właśnie teraz Lauren i jej mąż wyjawiają córce prawdę o jej prawdziwym pochodzeniu. Powinniśmy spróbować odnaleźć tę Gracielę, sprawdzić, czy w ogóle pamięta Lauren i czy zgodzi się na badania. Może do jej dokumentacji wkradł się zwykły błąd? Została nam tylko nadzieja, prawda? – Juliet ze zmęczeniem przesuwa dłonią po twarzy.
 - Zdecydowanie tak. – Przyjaciół siada przy jej biurku. – Znajdzie się u ciebie jakieś piwo do tej pizzy? Skoro już jestem na wagarach...
 - Pewnie, już przynoszę. Chcesz szklanek?
 - Nie, wypiję z gwinta.

W kuchni wyjmuję butelkę yuenglinga, robi sobie herbatę i wsypuje precelki do miski. Kiedy przynosi poczęstunek do gabinetu, Cam szuka czegoś w swoim telefonie.

– Co robisz? Buszujesz na Tinderze? – żartuje Juliet, ale Cameron nie śmieje się, tylko podnosi wzrok i patrzy na nią z powagą.

– Co jest? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Mamy dawcę.

Puls Juliet przyśpiesza.

– W bazie CODIS? Pokaż.

– Chwileczkę. Muszę skorzystać z twojego komputera.

– Jasne. – Juliet wskazuje na peceta.

Cameron otwiera Google i mówi cicho:

– Jest nierozwiązana sprawa w Nashville, w Tennessee. Kilka lat temu widziałem wyniki śledztwa. Chodzi o Zachary’ego Armstronga. Jego dziecko zostało porwane.

– Zaraz. Tak się nazywał facet, którego szukała Lauren. Jasper prosił, żebym go sprawdziła.

Cameron wpisuje do wyszukiwarki Zachary Armstrong dziecko porwane.

– Zobacz.

Pojawia się kilka stron wyników. Juliet serce podchodzi do gardła.

– Nie. Nie, nie, nie. To niemożliwe. Nie rozumiem, co sugerujesz. Lauren kupiła dziecko, które zostało porwane w Tennessee, i wychowywała je jak własne?

– Nie, Juliet, jest o wiele gorzej.

Otwiera pierwszą stronę. Na ekranie pojawia się zdjęcie młodego oficera wojska i jego ładnej żony, a kiedy Juliet czyta nagłówek, nogi się pod nią uginają i robi jej się słabo.

Porwano dziecko i zamordowano żonę żołnierza z Fort Campbell

**CZĘŚĆ
DRUGA**

**NASHVILLE, TENNESSEE
SIERPIEŃ 2000**

Metal, z którego zrobiono trumnę, jest ciemnoszary jak niebo tego dnia i połyskuje na srebrno, kiedy słońce chwilami przebija się przez chmury. Odgłosy szlochania, płacz żałobników, trzepot mojego serca. Dlaczego wybrałem taką wielką trumnę? To najmniejsza trumna dla dorosłej osoby, jaką mieli, ale i tak jest za duża. Vivian dosłownie w niej tonie. Powinni się tym zająć. Trzeba zrobić grubszą wyściółkę, żeby ciało nie przesunęło się w środku.

Ciało. Jej ciało.

Słowa, które ciągle słyszę od paru dni, są dla mnie zaskakujące – nowe, niewypróbowane, nieprzećwiczone. Trumna. Ciało. Pogrzeb. Oględziny. Balsamowanie. Sekcja zwłok. Rany. Dwudziestocentymetrowe ostrze z nierdzewnej stali.

Zabójstwo.

Policjanci przyjechali szybko, zaledwie w trzy minuty. Ale było już za późno.

Vivian nie żyła, a moja córka zniknęła.

Nie wiem, gdzie kończy się moje życie, a zaczynają programy informacyjne. Na okrągło mówi się o tragedii, która dotknęła naszą rodzinę. Mieszkańcy miasta są wstrząśnięci, przerażeni i w stanie najwyższej gotowości. Wszyscy szukają mojego dziecka. I mordercy żony.

Słońce całkowicie schowało się za chmury, w zamglonym powietrzu zaczyna siąpić deszcz. Żałobnicy – tłum naszpikowany policjantami – spoglądają na mnie ze współczuciem, spod opuszczonych powiek. Wiem, co widzą. Wysokiego mężczyznę o ciemnych włosach ostrzyżonych po wojskowemu, z zaczerwienionymi, smutnymi oczami i żebrami jeszcze obandażowanymi po ranie postrzałowej, odniesionej miesiąc wcześniej

podczas zasadzki w Afganistanie. Samotnego mężczyznę. To drugi pogrzeb, na który przyszedłem w tym tygodniu. W ciągu kilku ostatnich dni straciłem matkę, żonę i dziecko.

Nie mogę patrzeć na tę trumnę. Żona ma na sobie swoją ulubioną jedwabną sukienkę, w prawie takim samym ciemnoszafirowym odcieniu jak jej oczy. Musiałem przynieść do domu pogrzebowego całą kosmetyczkę – nie mogłem zdecydować, którą szminkę by wybrała. O tuszowaniu rzęs wiedziałem wszystko – zawsze uwielbiałem patrzeć, jak je malowała tuszem z czerwonego opakowania, tak mocno wychylona do przodu, że prawie dotykała twarzą swojego odbicia. Raz za razem rozprowadzała wilgotną maź po rzęsach, aż jej cudowne fiołkowe oczy otaczała czarna firanka. Ale szminka... codziennie używała innej. Poprosiłem pracownika domu pogrzebowego o dobór koloru. Uznałem, że tak będzie lepiej.

Zaczynają otwierać się parasole. Ksiądz kiwa głową i uśmiecha się ze smutkiem, próbując dodać otuchy żałobnikom. Czuję dłonie na swoich dłoniach, delikatne uściśnięcia, przytulenia. Już nie wiem, kto jest kim. Ci, którzy przyszli, mają mnie chronić. Zapewnić mi bezpieczeństwo. Nie mogli uratować mojej rodziny, ale, na Boga, nie pozwolą, żebym ja też umarł.

Dziękuję skinieniem głowy i smutnym uśmiechem, który widzę na twarzy księdza. Tak wypada.

Cmentarz pustoszeje. Zostałem sam ze swoją żałobą. Ostatkiem sił powstrzymałem się przed tym, żeby nie skoczyć do wykopanego dołu i nie umrzeć razem z nią. Nie zrobiłem tego wyłącznie z jednego powodu: muszę wziąć się w garść, na wypadek gdyby odnaleziono moje dziecko.

Moją córkę. Maleńki, ale wytrzymały kwiatusek, który urodził się przedwcześnie, zaledwie tydzień temu. Zanim nasza kuchnia przemieniła się w rzeźnię. Maleństwo oderwano od piersi matki, niemal wydarto z jej łona.

Chcieliśmy dać jej na imię Ellie, ale ostatecznie zdecydowaliśmy się na Violet.

V od pierwszej litery imienia jej matki i od tych fiołkowych oczu^[1], których już nigdy nie zobaczę. V jak victoria. Vivian tak dzielnie walczyła

o to, żeby żyć – pomimo wszystkich przeciwności losu. To dziecko jest owocem miłości dwojga ludzi, których rozłączyła śmierć.

V jak Violet.

Mogę tylko modlić się o to, by żyła i żebym któregoś dnia znowu ją zobaczył.

**NASHVILLE, TENNESSEE
TERAZ**

Szyjka butelki uderza o szkło, płyn chlusta do szklanki z grubym dnem. Zack Armstrong ledwo zwraca uwagę na głośny brzęk i na to, że źle wycelował, przez co większość whisky wylała się na stół. Butelka jest już do połowy pusta, a on znajduje się na dobrej drodze do tego, żeby urznąć się w trupa.

Potrzebuje wspomagacza. Nie lubi tam dzwonić, ale za każdym razem czuje przymus. Co pół roku, jak w zegarku, kontaktuje się z detektywem Gormanem, żeby sprawdzić, jak idzie śledztwo.

Zupełnie bez sensu. Śmierć Vivian i porwanie Violet to stare sprawy. nierozwiązane przypadki sprzed siedemnastu lat spadły z listy priorytetowych zadań i nie obchodzą nikogo oprócz rodziny.

Gorman już nawet nie jest oficerem śledczym, tylko sierżantem. Stoi na czele wydziału, a kiedy ostatnio rozmawiali, szykował się do przejścia na emeryturę. Planował, że weźmie swoją broń i znajdzie sobie atrakcyjniejsze zajęcie. Tuż przed zakończeniem pracy na dobre nie w głowie mu było ponowne otwieranie dawnych spraw.

Ale Zack musi spróbować. Co pół roku wybiera numer komendy policji w Nashville, prosi o połączenie z Gormanem, rozmawiają chwilę, po czym obaj na kolejne sześć miesięcy rozchodzą się każdy w swoją stronę. To bezowocne próby, ale dzięki nim Zack w ogóle może funkcjonować. Ma domowy i komórkowy numer telefonu gliniarza. Na początku często do niego wydzwaniał, ale kiedy sprawa zaczęła się starzeć, a cierpienie wrosło w niego i okrzepło, uznał, że powinien zacząć okazywać uprzejmość. Zawsze daje facetowi szansę na uniknięcie rozmowy, dzwoniąc bezpośrednio do wydziału zabójstw.

Nie ma takiej opcji, żeby w ogóle przestał się z nim kontaktować, ale po latach zamiast dzwonić co godzinę, codziennie, co tydzień, z szacunku ograniczył się do jednego telefonu na pół roku. Nie dopuści do tego, żeby policja zapomniała o tej sprawie, a Gorman jest tam jedynym człowiekiem, który zna wszystkie makabryczne szczegóły, który widział niemal czarną krew na podłodze i rozumie, jak to jest, kiedy odwrócisz się na chwilę i w tym czasie ktoś zniszczy ci całe życie. Stary glina nie tylko rozumie, ale czasami nawet przejmuję się tym wszystkim.

Zack wie, że śledczy na swój sposób przeżywa tę historię, tyle że potrafi odciąć się od emocji.

Tak, pewien dystans i parę miłych słów – tyle Zack może dać człowiekowi, który tak ciężko pracował, żeby znaleźć mordercę i porywacza. Nieważne, że nie odnalazł, chociaż większość mężów tak łatwo by tego nie darowała.

Dla kurażu upija łyk whisky Laphoraig, po czym wybiera numer.

– Komenda policji, słucham.

– Poproszę z wydziałem zabójstw.

Cisza, kliknięcie. W słuchawce rozlega się nieznamy głos.

– Parks, słucham.

– Chciałbym rozmawiać z sierżantem Gormanem.

Znowu cisza.

– Hm... przykro mi, sierżant Gorman już u nas nie pracuje.

Zacka rozpiera gniew. Jak gość śmiał bez słowa pożegnania odejść z policji? Bez uprzedzenia, że przekazuje sprawę innemu oficerowi?

Udaje mu się zapanować nad sobą.

– Kiedy przeszedł na emeryturę?

– Nie przeszedł. Z przykrością muszę poinformować, że sierżant Gorman zmarł. Mogę panu w czymś pomóc? Przejąłem dzienną zmianę. Sierżant Bob Parks.

– Zack Armstrong.

Kolejna chwila milczenia. Zack w tle słyszy szelest przekładanych dokumentów, stłumiony wybuch śmiechu. Kiedyś często tam przychodził.

Wie, że pokój jest malutki, w kącie nad biurkiem wisi telewizor, a cały wydział zabójstw to kilka boksów upchniętych na małej powierzchni. Śledczy dosłownie siedzą tam sobie na głowach. Niedługo mają się przenieść do nowego biura, pewnie nowoczesnego i lśniącego czystością. Może już się przenieśli, a jego obraz tamtej rzeczywistości się zdezaktualizował.

– W czym mogę pomóc? – pyta ponownie policjant tonem neutralnym, ale dociekliwym. Jest uprzejmy i najwyraźniej zupełnie nie kojarzy Zacka.

– Chciałem się dowiedzieć, jaki jest obecnie status nierozwiązanej sprawy z dwutysięcznego roku. Zamordowano wtedy Vivian Armstrong, moją żonę.

Policjant reaguje natychmiast, zupełnie szczerze.

– Och, bardzo współczuję.

Gdyby Zack dostawał ćwierć dolara za każdym razem, kiedy słyszał te słowa...

– Kontaktowałem się w tej sprawie z sierżantem Gormanem. Nikt mnie nie poinformował, że nie żyje.

– Przepraszam. Zmarł nagle, miał wypadek. Dopiero teraz reorganizujemy wydział.

– Jaki to: wypadek?

– To... to prywatna informacja, której nie wolno mi udzielić.

– Jasne. Ale że też o tym nie słyszałem. Przecież czytam gazety. Nigdzie nie natknąłem się na wzmiankę o śmierci sierżanta policji.

– Krewni nie chcieli rozgłosu. To był dla nich trudny okres.

– Rozumiem. To bardzo smutna wiadomość, ale dzwonię spytać o postępy w śledztwie.

– Rok dwutysięczny? Vivian Armstrong, prawda? Przypominam sobie. Byłem wtedy na patrolu. Nie pracowałem przy tej sprawie, ale oczywiście dużo na ten temat słyszałem. O ile dobrze pamiętam, porwano również pana córeczkę.

– Zgadza się.

– Czy to nie pan znalazł swoją żonę? Wyjechał pan z miasta, a po powrocie znalazł ją w domu, martwą?

Zack zaciska zęby. Wyczuwa w tym pytaniu pewien podtekst. Czy aby na pewno z jakiegoś powodu nie wpadł pan w amok i nie zamordował żony? Mnie może pan powiedzieć prawdę.

– Tak, pojechałem do Gulf Shores. Matka zachorowała.

– Nie mam żadnych nowych informacji, chętnie jednak poszukam akt tej sprawy i je przejrzę. Oddzwonię za jakiś czas, dobrze?

– Oczywiście. Dziękuję.

– Numer telefonu i adres są wciąż te same?

– Mhm.

– Proszę mi dać kilka dni.

– Jasne. Dzięki.

Zack rozłącza się i nagle wpada w dziwne uniesienie. Nowa perspektywa. Od lat nie spojrzał na tę sprawę świeżym okiem.

Bierze butelkę whisky i przestępuje nad psem. Zachwycający płowy owczarek belgijski podnosi piękny łeb. Zack mógłby przysiąc, że zwierzak marszczy brwi.

– Kat, wybacz, że ci przeszkadzam. – Kat, zdrobniale od Katerina, wzdycha ciężko i macha ogonem. – Kochanie, nie musisz wstawać. Chciałem tylko się rozejrzeć.

Jeszcze jedno machnięcie i dywan lekko się przesuwają pod uderzeniem. Kat rozumie go lepiej niż większość ludzi. Z powrotem kładzie głowę na przednich łapach, a Zack idzie do pokoju gościnnego.

Jego dom na Love Circle jest nowoczesny, wygląda jak pudło ze szkła i gołej cegły. Bezosobowy, ktoś mógłby powiedzieć. Zack sam go zaprojektował i postawił na wzgórzu, skąd ma widok na miasto. Może też chodzić do pracy pieszo albo jeździć na rowerze, dzięki czemu życie stało się łatwiejsze. Łatwiejsze? Wygodniejsze.

Przytulny dom, w którym mieszkał z Vivian i ich kruszynką, został zburzony lata temu. Zack nie mógł sobie wyobrazić, by ktoś chciał w nim zamieszkać, a on na pewno by tam nie został. Za każdym razem, kiedy

spoglądałby na podłogę w kuchni, widziałby krew. Kazał więc rozebrać budynek, a nienaruszone elementy przekazał fundacji Habitat for Humanity. Dźwig zdjął dach w jednym kawałku. Goodwill wzięła meble, a reszta – drzwi, okna i belki – poszła do różnych mieszkaniowych organizacji charytatywnych w Nashville. Zack zatrzymał tylko fotografię ślubną, zdjęcie USG córeczki i to, co miał na sobie.

Wrócił do życia, ale nie zamknął tamtego rozdziału.

Ściany w pokoju gościnnym są oklejone wycinkami z gazet. Niektóre pożółkły i już się kruszą, inne, nowsze, to wydruki ze stron internetowych o tematyce kryminalnej i poświęconych zaginionym osobom oraz z for, których uczestnicy odkopują nierozwiązane sprawy i snują domysły na temat sprawców. Zack analizował wszystkie przedstawiane teorie, również te, gdzie autorzy zakładali jego winę, twierdząc, że wynajął kogoś do zamordowania żony, a dziecko sprzedał mafii zajmującej się handlem ludźmi.

Wiadomo, że coś takiego mogli wymyślać tylko wariaci. Zack śpiewająco zaliczył badanie wariografem i nigdy oficjalnie nie został uznany za podejrzanego. Byłoby to niemożliwe. Miał żelazne alibi. Nikt, choćby stanął na głowie, nie wyrobiłby się w tak krótkim czasie.

Teraz przesuwa palcami po wydruku sprzed trzech lat. Był to – zrobiony za pomocą programu do wykonywania progresji wiekowej – portret Violet jako nastolatki.

Patrzy na twarz nieznajomej dziewczyny – na swoje nieco skośne oczy, na mocny nos Vivian, wargi nie cienkie jak u niego ani nie tak pełne jak u Vivian, tylko gdzieś pośrodku. Kształt zębów – też jakoś pomiędzy – uzyskany w oparciu o algorytm wieku, długości i głębokości kanałów. Zack przygląda się i wie, że ten obraz nie jest bliski prawdy. To nie jego córka. Nie ma pojęcia, jak Violet teraz wygląda, ale na pewno nie tak jak na tym zdjęciu.

Oczywiście nigdy jej nie zobaczył. Nigdy nie trzymał na dłoni ciepłej, okrągłej główki córeczki, nie przytulał elastycznego ciała, nie czuł zapachu skóry. Została porwana, kiedy uczestniczył w pogrzebie swojej matki w spokojnym miasteczku Gulf Shores w Alabamie, więc nie zdążył poznać własnego dziecka.

Zawsze podejrzewał, że sprawcą nie był obcy człowiek. Nie, to musiała być osoba z jego otoczenia. Ktoś, z kim miał kontakt, ktoś, kto poczuł się przez niego skrzywdzony. I postanowił go ukarać. Wcześniej Zack pracował w wywiadzie. Jego informatorzy, kryminaliści najgorszego sortu, ukrywali się przed światem i brali kasę za donoszenie. Wszyscy oni byli zwykłymi kurwami. Łącznie z nim.

Oczywiście policja widziała to inaczej. Od pierwszego dnia uważnie go obserwowali, ale jego alibi okazało się nie do podważenia. W tamtej chwili znajdował się w mieście oddalonym o sześć godzin jazdy samochodem, stał nad grobem matki w obecności stu świadków. Następnego dnia, kiedy – zaniepokojony tym, że żona nie odbiera telefonów – wrócił do domu, na podłodze w kuchni zobaczył zaschniętą, niemal czarną krew.

Mimo wszystko wzięli go w krzyżowy ogień pytań, przetrzepali jego wyciągi bankowe i połączenia telefoniczne, przesłuchali każdego, z kim się kontaktował, każdego znajomego z Nashville. Dopiero Gorman w końcu położył temu kres. Wiedział, że Zack jest niewinny. On sam jednak do nikogo nie miał pretensji. Gliniarze po prostu wykonywali swoją robotę.

Niestety na koniec nie został im ani jeden podejrzany.

Zack siada na krześle przy biurku i wbija wzrok w ścianę. Do pokoju wchodzi Kat. Przysiada obok i wciska łeb pod jego dłoń. Daje mu bezwarunkową miłość, wsparcie i ochronę. Robi to lepiej niż którykolwiek z jego znajomych.

Szklaneczka z rżniętego kryształu jest już pusta. Zack zastanawia się przez chwilę – dolać sobie jeszcze? Nic nie jadł, poza tym ma stos prac do przejrzenia. Unika pomocy asystentów, woli sam wykonywać pewne obowiązki. Lubi obserwować postępy swoich studentów, oceniać, czy pod jego kierunkiem zaczynają coraz lepiej pisać. Po kolejnym drinku zupełnie odleci i dzisiaj już nie da rady popracować. Ale akurat jest trzydniowy weekend, więc co komu do tego, kiedy oceni te prace?

– Chodź, psinko – mówi cicho i Kat wychodzi za nim. Zack jeszcze na chwilę staje w progu i patrzy na zgliszcza swojego życia, po czym popycha drzwi, które zamykają się za nim z cichym kliknięciem, idzie do kuchni i otwiera butelkę.

Budzi się z okropnym kacem. Czuje się tym gorzej, że musi wyjść z rozgrzebanej pościeli i zaspokoić potrzebę fizjologiczną – własną i psa. Słońce uparcie wspina się po niebie i razi go w oczy, a tego ranka akurat Kat jest w świetnej formie, ma ochotę biegać i bawić się, mocno ciągnie na smyczy, więc Zack w końcu ustępuje i prowadzi ją do parku dla psów. Tam ją uwalnia. Kat puszcza się pędem przed siebie. Jej długie nogi śmigają nad zmarzniętą zimową trawą, aż dobiega na sam koniec terenu, gdzie raptownie się zatrzymuje i patrzy w mrok. Na jej grzbiecie pojawia się gruba linia zjeżonej sierści, z gardła wydobywa się niskie warczenie.

Pewnie wywęszyła sarnę w lesie albo jakieś inne zwierzę. Zack przenikliwie gwizdże i odruchowo podnosi dłoń do głowy, jakby mógł w ten sposób powstrzymać ból. Psisko nie rusza się jednak z miejsca.

W końcu Zack idzie do niej przez park i bierze ją na smycz, ale owczarek opiera się, skamle i ciągle odwraca łeb.

– No chodź. Daj spokój. Wstąpimy do sklepu, kupię ci kość. Zjadłabyś kostkę, co? Pyszna kosteczkę?

Kat nie jest w nastroju na jego gierki. Wolałaby dalej warczeć na drzewa. W końcu jednak spuszcza łeb i wolno, z rezygnacją idzie za nim.

Pasują do siebie.

Po drodze Zack wyczuwa zapach hiacyntów. Dziwne, dopiero kończy się zima i nic jeszcze nie kwitnie. Vivian używała perfum o podobnym, choć nie identycznym, zapachu. Serce boleśnie mu się ściska, jak za każdym razem, kiedy myśli o zmarłej żonie. Wciąga powietrze, lecz zapach już zniknął. Widocznie istniał tylko w jego umyśle. Nic nowego. W ciągu tych wszystkich lat często się zdarzało, że o najdziwniejszych porach czuł woń kwiatów, chociaż prawie nigdy nie rosły nigdzie w pobliżu. Raz nawet poszedł z tym do lekarza, chciał zrozumieć te olfaktoryczne halucynacje. Dowiedział się, że może to być zapowiedź udaru albo innych straszliwych chorób. Lekarz dokładnie go przebadał, powiedział, że widocznie Zack

jeszcze nie zakończył procesu żałoby, i zapewnił go, że pod względem fizycznym jest całkowicie zdrowy.

Choć pod względem psychicznym...

Kiedy z powrotem wchodzi na wzgórze, Zack otwiera drzwi i dosłownie musi wepchnąć sukę do środka. Kat w końcu daje za wygraną i strzygąc uszami, truchtem biegnie do kuchni. Idzie za nią; na widok panującego tam bałaganu ogarnia go lekkie poczucie winy. W zlewie leży pusta butelka – nic dziwnego, że rano czuł się podle – a na blacie obok, w lepkiej kałuży zaschniętej whisky, stoi szklanka.

– No to się popisałeś, Zack.

Sprząta i robi sobie jajecznicę na bekonie. Zjada ją prosto z patelni, nad zlewem. Niemal duszkiem opróżnia pół kartonu soku pomarańczowego, potem podgrzaną wczorajszą kawą popija kilka tabletek przeciwbólowych. Daje chrupiącą kostkę Kat, która tylko łypie na przysmak okiem, ale się na niego nie rzuca. Zack idzie do gabinetu.

Uruchamia komputer i odłącza komórkę od ładowarki. Ma jedno nieodebrane połączenie i wiadomość w poczcie głosowej. Rozpoznaje numer – komenda policji.

Cholera. Telefon zadzwonił pół godziny temu, kiedy Kat zbuntowała się w parku. Zack w pośpiechu dzwoni, nie zwracając sobie głowy odsłuchiwaniem wiadomości.

– Mogę rozmawiać z Bobem Parksem? Wydział zabójstw.

Kliknięcie, cisza, potem znowu sygnał oczekiwania... i oczekiwania.

W końcu ktoś odbiera.

– Wydział zabójstw.

– Szukam sierżanta Parksa.

– Wszedł. Przekazać mu coś?

– Skontaktuję się później.

Kończy rozmowę i łączy się z pocztą głosową, żeby odsłuchać nagranie.

– Tu sierżant Parks. Rano mam kilka spotkań, ale gdyby dzisiaj udało się panu po południu wygospodarować trochę czasu, porozmawialibyśmy

o sprawie pańskiej żony. Proszę o telefon. Mógłbym przyjechać do pana? Dzwonię z prywatnej komórki.

Z mocno bijącym sercem Zack zapisuje numer na strzępku koperty, po czym wstukuje go na klawiaturze całkiem z pamięci. To jeden z jego talentów: wystarczy, że rzuci okiem na długi rząd cyfr, i od razu go zapamiętuje. Czasami popisuje się tym na imprezach, recytując rozwinięcie liczby Pi do kilkudziesięciu miejsc po przecinku.

To znaczy popisywał się tym, kiedy jeszcze chodził na imprezy.

– Parks.

– Tu Zack Armstrong. Dzwonił pan – mówi głosem pełnym nadziei. Nie potrafi jej zamaskować. Tyle czasu minęło, odkąd ostatnio dzwonił do niego ktoś z policji.

– Tak. Ma pan czas po lunchu? Chętnie bym się z panem spotkał i porozmawiał.

– Znalazł pan coś?

– Niezupełnie. Chciałbym tylko usłyszeć streszczenie tej sprawy, żeby być na bieżąco. Pracuję nieco inaczej niż Gorman. Lubię aktualizować stan rzeczy. Zwłaszcza tych nierozwiązanych.

– Będę czekał.

– Świetnie. W takim razie wpadnę za jakieś dwie godziny.

„Co za wyrefinowana tortura”, myśli Zack i zabiera się do sprzątnięcia domu.

Dokładnie o pierwszej rozlega się dzwonek. Zack rzuca się do drzwi tak szybko, że niemal przewraca się o Kat. Sunia ani drgnie. Do tego postanawia, że od dzisiaj zacznie szczekać na obcych.

– Co ty wyprawiasz? Rusz się.

Kat patrzy prosto na niego, wydaje ostatnie szczeknięcie, jakby chciała powiedzieć: „Stary, odpierdol się. Jak chcę, to będę szczekała”, i siada z uniesioną kufą.

Za drzwiami stoi wysoki ciemnowłosy mężczyzna z gęstymi wąsami i o wiele niższa kobieta z rudawymi włosami, ściągniętymi w koński ogon. Oboje są po cywilnemu, ale na biodrach mają pas z bronią. Jako wojskowy, chociaż osiemnaście lat temu odszedł ze służby, Zack natychmiast rozpoznaje po kolbie glocka 27. Na ich kostkach u nóg widzi lekką wypukłość kabury. Cztery pistolety, razem pięćdziesiąt dwa naboje. Na pewno noszą ze sobą także gaz pieprzowy. I noże. Zapasowe magazynki. Na pierwszy rzut oka oboje wyglądają zupełnie niegroźnie, lecz on wie, że w razie potrzeby mogą być śmiertelnie niebezpieczni.

Usatysfakcjonowany tą oceną łapie Kat za obrozę i daje gościom ręką znak, żeby weszli.

– Dzień dobry. Sierżant Parks, a to detektyw Brianna Starr.

– Bardzo mi miło. Proszę przez chwilę się nie ruszać. Kat nie lubi broni. Kiedyś, jak jeszcze była młoda, tresowano ją do szukania broni. Niech się państwo nie przejmują, jeżeli będzie warczała, po prostu wykonuje swoje zadanie.

Zack puszcza obrozę i owczarek zaczyna inspekcję, fachowo obwąchuje obcych od góry do dołu; gdy jest na wysokości pasa, a potem kostek, rozlegają się krótkie szczeknięcia.

– Piękny pies – chwali pani detektyw, usiłując stać nieruchomo. Jej niski, lekko ochryply głos nie pasuje do drobnej postury. – Jaka to rasa?

– Owczarek belgijski. Pies pasterski.

- Pracowała w policji?
- Nie, nie zdała egzaminu. Była zbyt rozbrykana.
- Ale jak można nadać psu imię Cat^[2]? To okrutne.

Zack się śmieje.

- Kat przez K. Zdrobnienie od Katerina.
- Aha.

Suka kończy obwąchiwanie i siada, zadowolona, z wywieszonym językiem. Zack głaszcząc ją po głowie, mówi: „Dobra robota, malutka”, i prowadzi policjantów do salonu.

- Napiją się państwo czegoś?
- Nie, dziękujemy – odpowiada Parks.

Cała trójka przez chwilę siedzi w milczeniu. W końcu Zack w geście zachęty i oczekiwania rozkłada ręce.

- Chcieliście porozmawiać.

– Zgadza się. – Parks przygląda wąsy dwoma palcami; ten nerwowy gest wzbudza w Zacku czujność. – Wczoraj przejrzałem akta i poprosiłem detektyw Starr, żeby zebrała wszystkie dokumenty i dokonała aktualizacji. Nie chcę robić panu nadziei, ale postanowiłem ponownie przeanalizować tę sprawę. Śledztwo poprowadzi detektyw Starr. Odniosła wiele sukcesów w rozwikływaniu starych spraw. Biorąc pod uwagę ogromny postęp technologiczny, oboje uznaliśmy, że trzeba pobrać świeży materiał DNA i wprowadzić wyniki do systemu. Od dnia zabójstwa minęło dużo czasu, a kiedy sprawdzałem bazę CODIS, nie znalazłem w niej pańskiego profilu. Odszukałem profil pana żony, ale nie pana własny.

Zack cały tężeje.

– Chcecie znowu wziąć ode mnie próbkę DNA? Zostałem oczyszczony z wszelkich podejrzeń.

– Proszę się nie martwić – reaguje natychmiast Starr. – Jeżeli mam ponownie otworzyć tę sprawę, zgodnie z procedurami muszę zaktualizować dane, a ponieważ nie ma pana w systemie, potrzebuję świeżego wyniku testu DNA. Nigdy nie wiadomo, czy czegoś nie znajdziemy.

– Myślicie, że moja córka jest nastoletnią przestępczynią i liczycie na to, że znajdziecie ją w systemie?

Kobieta kręci głową, walcząc z uśmiechem.

– Ależ skąd. Nie podejrzewamy niczego złego. Po prostu pana DNA nie jest już dołączone do akt. Po latach różne dane się zawieruszają. To się zdarza. Szansa, że znajdziemy zgodny profil, jest minimalna, ale po prostu na wszelki wypadek z powrotem włączę pana do gry. Zgoda?

Zack krzyżuje ręce na piersi.

– Proszę dalej.

– Kiedy zaktualizuję to DNA, wprowadzę je do CODIS porównującego DNA i dołączę tę informację do ViCAP, Programu Ścigania Brutalnych Przestępców. Oba te programy wyszukują zgodne profile genetyczne. Dodam do opisu sprawy wszelkie szczegóły: rodzaj użytej broni, ułożenie ciała, porwanie noworodka, wszystko, co się da, żeby sprawdzić, czy podejrzany o zabójstwo pańskiej żony ostatnio popełnił jakieś przestępstwo. Mogę nawet wprowadzić symulację wyglądu zgodnego z obecnym wiekiem pana córki, tak z ciekawości. Jest już program identyfikacyjny nowej generacji.

– Momencik. Na nowo otwieracie tę sprawę?

– Niezupełnie. Najpierw muszę posiedzieć przy komputerze i sprawdzić, czy w bazie nie pojawi się jakiś nowy wpis, dowód, sygnał. Jeśli się pojawi, wtedy otworzymy śledztwo. Czy to jasne?

– Tak. Jak słońce.

– Doskonale. Teraz proszę mi opowiedzieć całą historię. Od początku do końca.

– W aktach...

Detektyw Starr się uśmiecha. Ma ładne zęby. Z uśmiechem na twarzy wygląda uroczo i niewinnie, ale Zack wie, że to tylko pozory, dalekie od prawdy. Ta kobieta niejedno już widziała w swojej pracy.

– Akta to akta. Wolelibyśmy to usłyszeć z pańskich ust, poznać z pańskiej perspektywy, a nie czytać raporty i oglądać stare nagrania.

– Liczy pani na jakieś rozbieżności między mową mojego ciała a tym, co mówię?

– Oczywiście. A jeszcze bardziej na to, że spojrzę na tamte wydarzenia pańskimi oczami. Dzięki temu nie będę się do niczego uprzedzać. Wiem, że to się stało dawno temu, ale na pewno dużo pan zapamiętał.

Jest świetnym graczem, nie da się zaprzeczyć. Zack spogląda na nią, a ona robi zachęcający ruch głową.

– Niestety niewiele mam do opowiedzenia. Przebywałem wtedy na południu Alabamy. Umierała moja matka... ostatnia faza raka piersi. Vivian miała termin dopiero za parę tygodni. Chciałem zostać w domu, ale stwierdziła, że powinienem być przy mamie. Nie dała sobie tego wyperswadować. Pojechałem więc, pożegnałem się z mamą i ją pochowałem, a w dniu pogrzebu Vivian została zamordowana.

Zack wylicza fakty, starając się okazywać jak najmniej emocji, chociaż serce mu pęka. Nie spodziewał się, że na nowo otworzy wszystkie swoje stare rany.

– Został pan ranny na służbie, tak? Dlatego przebywał pan wtedy w domu?

– Wpadłem w zasadzkę, skończyło się postrzałem. Odesłano mnie do domu, żebym doszedł do zdrowia. Tak się złożyło, że wróciłem, zanim nasza córka się urodziła.

– Z pańskiego zeznania wynika, że żona nie zadzwoniła do pana, kiedy przedwcześnie zaczęła rodzić... ani już po porodzie. Jak pan myśli, dlaczego?

– Nie wiem. Chciała urodzić w domu, tylko w obecności położnej ze Szpitala Uniwersyteckiego. Poród przebiegł bez komplikacji. Położna zapisała ją na wizytę u lekarza, na którą Vivian jednak nie poszła.

Oczywiście bardzo żałowałem, że nie mogę natychmiast wsiąść do samochodu i pojechać do niej, ale po śmierci mamy musiałem załatwić mnóstwo spraw. Nie zdziwiłem się, że Vivian nie odpowiada. Kiedy byłem na służbie, też czasem nie odbierała, więc z początku machnąłem na to ręką. Ale w końcu zacząłem się niepokoić i wróciłem do domu. Jak wiemy, ktoś włamał się do nas i dwukrotnie dźgnął Vivian nożem: raz w brzuch

i raz w szyję. Dziecko zniknęło. Sprawca działał w rękawiczkach. Nie znaleziono żadnych odcisków palców czy DNA obcej osoby, nie licząc położnej, która wyszła krótko po porodzie.

– Pan znalazł żonę.

– Tak. Następnego dnia. Nie żyła już od jakiegoś czasu. – Spogląda w dal, na miasto za oknem. Kat kładzie łeb na jego kolanie, a Zack z roztargnieniem drapie ją za uchem.

– Widziałam zdjęcia. To musiało być trudne – odzywa się Starr ze współczuciem.

Trudne. Co za eufemizm.

– Owszem, było trudne.

– Nie przychodzi panu do głowy, kto mógł to zrobić?

– Nie. Raz tylko przemknęło mi przez myśl, że może wpadłem na właściwy trop, więc dostałem ostrzeżenie.

– To znaczy, że podejrzany, czy podejrzani wysłali panu wiadomość? Po tym wydarzeniu odszedł pan z armii?

– Tak. Wystąpiłem z wojska i na nowo podjąłem studia. Zrobiłem doktorat, zostałem wykładowcą na uniwersytecie Vanderbilt. Miałem szczęście. Na tej uczelni trudno o etat. – Nie musiał dodawać: A poza tym niektórzy podejrzewali, że to ja jestem mordercą...

– Wykłada pan literaturę angielską, zgadza się?

– Tak. Prowadzę zajęcia z historii literatury, pisarstwa, kompozycji utworu i tak dalej.

– Jak się panu układało w małżeństwie?

Rzuca jej przelotne spojrzenie.

– Dobrze, choć podczas moich misji widywaliśmy się tylko raz czy dwa razy w roku. Mieliśmy kontakt telefoniczny i mailowy, czasami udawało nam się pogadać na jakimś komunikatorze internetowym. Nie było to takie proste jak teraz, ze względu na bardzo ograniczony dostęp do internetu.

– Czym zajmował się pan w armii? Praca w kontrwywiadzie to dość ogólne określenie.

– Te informacje są ściśle tajne.

Starr przekłada kartkę i spogląda w dół.

– Dostał pan przydział do Specjalnego Oddziału Operacji Powietrznych. SOAR. Najpierw należał pan do Nocnych Łowców, pilotował helikoptery, potem przeniesiono pana do kompanii Alpha, batalion 902d MI, jako szefa komórki wywiadowczej.

– Zgadza się.

– Został pan odznaczony wieloma medalami, między innymi Brązową Gwiazdą i Purpurowym Sercem, tak?

– Mhm. Bardzo wieloma.

– I skłania się pan ku tezie, że w wyniku pańskiej pracy w kontrwywiadzie ktoś poczuł się skrzywdzony, więc zamordował pańską żonę i porwał dziecko?

– Tak jest.

– I rzucił pan tę pracę, żeby zostać wykładowcą literatury angielskiej.

– Chciałem znów...

– Nie kupuję tego.

– Słucham?

Detektyw Starr wychyla się do przodu.

– To się nie klei. Zaatakowali rodzinę, żeby przekazać panu wiadomość? Dlaczego to nie pana próbowali zabić? A może próbowali i stąd ta rana postrzałowa? Chcieli pana zabić, ale się nie udało, więc przyjechali do Nashville, zamordowali pana żonę i porwali dziecko?

– Miałem do czynienia z bezwzględными ludźmi, nie zawsze myśleli logicznie. Działali raczej w stylu: „Najpierw spalimy świat, potem zaczniemy zadawać pytania”.

– Taka wersja zawiera też sugestię, że w Nashville działali terroryści.

– Zgadza się.

– Czy to się nie kłóci z pana doświadczeniem? Uważa pan takie założenie za prawdopodobne? Dla mnie ta historia jest dość naciągana.

– Pani detektyw, nie mam żadnej wiedzy o tym, co rząd ujawnia miejscowym organom ścigania. Czy wersja z terrorystami jest

prawdopodobna? Cóż, powiedziałbym: niewykluczona. Na przykład jedenasty września. Przed atakiem terroryści mieszkali tu przez wiele miesięcy, przygotowywali zamach. Z tego, co wiem... – urywa. Ostrożnie... – Przepraszam. Nie mogę w to wnikać. Wszystko, czym się zajmowałem, wciąż stanowi tajemnicę wojskową. Twierdzą tylko, że taki scenariusz nie wykracza poza ramy prawdopodobieństwa.

– Straszne – kwituje Starr. – Mimo wszystko nie rozumiem. Po co porywaliby dziecko? Samo to nie pasuje do typowego podejrzanego o terroryzm.

– To była kara – odpowiada Zack pełnym napięcia głosem. – Oczywista kara.

Wątkują tę historię kilka razy. Wszystko, co się wydarzyło, wszystko, o czym Zack wie. Najtrudniejszy moment to oczywiście ten, w którym znalazł Vivian. Tym bardziej że przed morderstwem nie widział jej przez kilka dni, a ona urodziła ich dziecko i go o tym nie zawiadomiła.

Zack zauważa, że Starr wyciąga pewne wnioski.

Jest niewiarygodnym świadkiem.

Jest winny śmierci Vivian.

Proste.

Godzinę później Parks sprawdza godzinę i lekko trąca łokciem koleżankę, która zgrabnym ruchem składa akta i wyjmując z torebki zestaw do pobrania próbki DNA.

Zack przykładając szczoteczkę do wewnętrznej strony policzka i obraca ją w palcach, potem pluje do kubeczka i podaje im oba przedmioty. Nie ma nic do ukrycia.

Wyraźnie jednak czuje, że to Parks i Starr coś ukrywają.

Obiecują, że będą się z nim kontaktować, i wychodzą, a on nadal nie zna konkretnego powodu, dla którego ponownie zainteresowali się tą sprawą. Och, ich wyjaśnienia brzmiały sensownie – Parks dopiero zaczął pracę w tym wydziale, Starr specjalizuje się w rozwiązywaniu zagadek

z zamkniętych już dochodzeń. Oboje dużo zyskają, jeżeli odnajdą sprawcę tej ohydnej zbrodni sprzed lat.

Mimo wszystko...

Idzie do pokoju gościnnego, siada i przez parę chwil patrzy na ściany. Od przeszło trzech lat nie przykleił do nich nic nowego. Żadnych wywiadów, żadnych artykułów. Nie pojawiła się ani jedna prawdziwa nowa informacja. Sprawa jest nie do ruszenia.

Z tym, że gdzieś tam istnieje żywe dziecko z krwi i kości. Jego córka.

W pewnym momencie ogarnia go pewność, że detektywi wpadli na świeży trop.

Przesuwa palcem wzdłuż ostrej krawędzi biurka, potem robi głęboki wdech, wychodzi z gabinetu i zabiera się do oceniania prac studentów.

– Nie przypuszczałem, że zgodzi się na pobranie próbki DNA. Dobra robota.

Parks i Starr wracają nieoznakowanym wozem do nowego biura przy Murfreesboro Pike.

– Jak myślisz, podejrzewa coś? – pyta Starr.

Parks dwoma palcami przygląda wąsy, lewą rękę nonszalancko trzyma na kierownicy.

– Gość był uhonorowanym medalami agentem wywiadu wojskowego, a teraz wykłada literaturę na uniwersytecie. W obu tych zawodach trzeba rozumieć motywy zachowania ludzi. Umieć je rozpoznać. Tak, moim zdaniem był bardzo podejrzliwy.

– Mimo to pozwolił sobie pobrać materiał DNA. Albo jest wyjątkowo przebiegły, albo całkowicie niewinny. Ciekawe, jak długo dasz radę trzymać go na dystans.

– Sądzę, że zgodził się tylko z uprzejmości. Od razu wyczuł pismo nosem. Daję mu... najwyżej trzy dni. Wystarczy?

Starr kiwa głową.

– Zrobię z tego sprawę priorytetową. Parę osób wisi mi przysługę. Czasu mało, ale zdążę. Przynajmniej zaktualizujemy śledztwo i spojrzymy na tę zbrodnię z nowej perspektywy, posługując się świeżymi próbkami.

– Co potem?

– Dobre pytanie. Powiemy mu, co znaleźliśmy w aktach Gormana?

– Będziemy musieli. Zasługuje na to. Ale Kolorado... No nie wiem, Breezy, coś mi tu nie pasuje. Bardzo dziwne, że Gorman zginął, śledząc pierwszy trop, na jaki wpadł od lat. Chociaż... może rzeczywiście przydarzył się zwykły nieszczęśliwy wypadek.

– Nie, mnie też to wygląda podejrzanie. Proponuję skontaktować się z tamtejszą policją, żeby nam naświetlili tę sprawę.

– I co im powiemy? Nasz były szef pojechał z rodziną na narty i spadł z urwiska, a według nas to śmierdzi na kilometr? Nie, wstrzymaj się. Szukaj dalej. Rozłóż wszystko na czynniki pierwsze. Jeszcze za wcześnie na to, żeby dopuścić do sprawy osoby z zewnątrz.

– Tak jest.

– Breezy, jeszcze jedno. Bądź tak miła i zajrzyj do kartoteki tego żołnierzyka.

– Bob, on wyklada literaturę angielską.

– Wojskowym zostaje się do końca życia. On wie, jak się poruszać, nie zwracając na siebie uwagi. Wyświadczy mi tę przysługę i sprawdź, czy kiedyś nie narozrabiał, dobrze?

Wóz wjeżdża na parking. Starr wysiada i zagląda przez okno od strony kierowcy.

– Nie wstąpisz do mnie?

– Nie, chyba wybiorę się na przejażdżkę.

– Dokąd?

– Zajrzę do Andrei Cameron Longer.

– Wdowy po Gormanie? Dobry pomysł. Odezwij się po powrocie. Przekażę ci, czego się dowiedziałam. – Starr uderza dłonią w dach wozu i rusza do domu.

Parks bez zapowiedzi jedzie do Green Hills. Andrea, z zawodu dziennikarka, wolny strzelec, pracuje w domu. Jeżeli jej nie zastanie, wtedy zadzwoni, ale są spore szanse, że...

Bingo. Na podjeździe stoi jej prius.

Parks puka do drzwi i zauważa, że przy oświetleniu na ganku oblużowała się podsufitka. Powinien wrócić tu później i naprawić parę rzeczy.

Gliniarze już tacy są. Kiedy umiera jeden z nich, skrzykują się i próbują pomóc wdowie, biorąc na siebie chociaż część domowych obowiązków. Gormana lubili wszyscy, a poprzez niego także jego żonę.

Wciska dzwonek; parę chwil później uśmiechnięta Andrea otwiera drzwi. Schudła, ale i tak nie ma porównania z tym, jak wyglądała, kiedy

Parks widział ją ostatnio.

– Wychodzisz?

– Cześć, Bob! Tak, właśnie szykowałam się do wyjścia. Ale zapraszam. Tak się cieszę, że cię widzę – mówi z południowym zaśpiewem, słodkim jak miód.

Policjant idzie za nią do kuchni.

Wnętrze domu wygląda o wiele lepiej niż jego otoczenie. Ściany są pomalowane zieloną farbą w odcieniu wodorostów, a w dolnej części obite białą boazerią. W nowoczesnej, szaro-białej kuchni stoją kremowe szafki i ciemna wyspa. Odnowili dom z okazji zbliżającego się przejścia Gormana na emeryturę. Parks wie, że z prawej strony znajduje się przestronny, wspaniały pokój, cały w drewnianej boazerii i skórach. Jaskinia, jak go nazywał szef. Bob chętnie, w swoim czasie, urządziłby sobie podobne pomieszczenie.

Jak na idealną panią domu przystało, Andrea robi mrożoną herbatę, wyjmując z szafki ciasteczka imbirowe i układa je na talerzyku.

– Nie chcę ci sprawiać kłopotu...

– Oj, cicho bądź. Czasami powinieneś coś przekąsić. Co u Lindy?

– Chyba jest gdzieś na Florydzie. Już od dawna nie mam z nią kontaktu.

Kobieta uśmiecha się do niego ze współczuciem.

– Bardzo mi przykro. Myślałam, że jednak się wam uda.

– Ja też liczyłem na to, że jakoś wyjdziemy na prostą, ale kiedy awansowałem na sierżanta, wszystko się posypało. Junior, nasza chluba, też został gliniarzem. Myślę, że Linda nie mogła znieść dwóch policjantów w rodzinie. Ale ogólnie jest okay. W przyszłym tygodniu finalizujemy rozwód. Staramy się to zrobić kulturalnie.

– Mimo wszystko wielka szkoda. Hm, Junior... świetny chłopak. Bardzo przystojnie wygląda w mundurze. Moi synowie wiecznie się buntują. Nie wiem, czy kiedykolwiek dorosną – śmieje się.

Andrea ma dwóch bliźniaków. Są weseli, odważni i inteligentni. Teraz studiują na przedostatnim roku uniwersytetu w Sewanee. Kiedy dostali się

na tę uczelnię, Gorman był tak dumny, że chwalił się tym sukcesem wszystkim dookoła.

Andrea przysuwa gościowi szklankę i daje znak, żeby usiadł na stołku przy kuchennej wyspie. Sama nadal stoi.

Parks upija duży łyk herbaty.

– Pewnie się zastanawiasz, po co przyszedłem.

– Domyślam się, że w związku z jakimś śledztwem, które prowadził Gorman – mówi o zmarłym mężu z całkowitym spokojem. Pozbierała się, to dobrze.

– Zgadłaś. Chodzi o sprawę Armstronga.

– Och, tę z porwanym dzieckiem? Rany, stare dzieje.

– No tak. – Upija jeszcze łyk herbaty, chrupie ciasteczko.

– Bob, mów wreszcie.

– Gorman prowadził własne akta tej sprawy?

– Jak każdy policjant z wydziału zabójstw. Dobrze o tym wiesz. Są ci potrzebne? Po tylu latach. Coś takiego.

– Może to fałszywy trop, ale wczoraj zadzwonił Zack Armstrong. Okazało się, że regularnie kontaktował się z Gormanem z nadzieją na nowe informacje.

– Nie on jeden. Ale tak, rzeczywiście dzwonił do niego zawsze dwa razy w roku. Chyba nikt mu nie powiedział o... o tym, że Gorman odszedł. Że nie żyje.

– Faktycznie, dopiero ode mnie usłyszał o wypadku. Był szczerze zaskoczony. No i przy okazji przejrzałem akta, żeby zapoznać się z tą sprawą. Wcześniej nie zaglądałem do nich, stwierdziłem, że nie ma sensu. Ale teraz znalazłem notatkę, która zwróciła moją uwagę. Została napisana charakterem pisma Gormana. Pomyślałem, że może w jego osobistych aktach dochodzeniowych trafię na jakieś wyjaśnienie.

– Co tam było napisane?

– „Kolorado”. Trzy razy podkreślone.

Andrea nieruchomieje, spuszcza powieki i przykłada dłoń do gardła.

– Nie wspominał, że kiedy tam pojechaliście, zamierzał coś sprawdzić?

Kobieta kręci głową, nadal blada.

– Jeżeli to prawda, i tak by mi nie powiedział. Wybraliśmy się na rodzinne wakacje. Przedtem nigdy nie jeździliśmy na nartach w Górach Skalistych, a Gorman pomyślał, że chłopcy będą zachwyceni. Powiedział, że chce tam poszaleć, dopóki ma zdrowe kolana i jest ubezpieczony... w razie gdyby złamał nogę. – Wygląda przez okno na podwórze. Na czerwonym, kulistym karmniku huśta się wiewiórka. – Zupełnie jakby przeczuwał, że coś mu się stanie.

– Andi, wiesz, jacy jesteśmy. Przesądni aż do bólu.

– Wiem, wiem. – Znowu odwraca do niego wzrok. Jej oczy są zamglone, uśmiecha się ze smutkiem. – Nie przypominam sobie, żeby poruszał temat tamtej zbrodni, ale chodźmy przejrzeć jego akta.

Prowadzi Parksa na piętro, do gabinetu całego w ciemnym drewnie i z ciężkim biurkiem; blat jest starannie odkurzony i wypolerowany. Półki na regałach są lekko podświetlone, jakby pan domu miał lada chwila przyjść i przejrzeć ich zawartość. Na myśl o tym Bob czuje bolesne ukłucie w sercu.

– Niczego tu nie ruszałam. Nie było takiej potrzeby. Za jego życia rzadko tu zaglądałam. Wystarczy mi miejsca na dole, zwłaszcza teraz, kiedy chłopcy wyjechali na studia. Jeżeli któryś z nich postanowi wrócić do domu na dłużej niż tydzień, zastanowię się, czy nie przerobić tego gabinetu na sypialnię. Dziś młodzi często muszą mieszkać z rodzicami, bo nie stać ich na kupno własnego lokum i utrzymanie. Ojej, ale się rozgadałam. Rozgość się, proszę. Akta Armstronga pewnie leżą z całą resztą, w szafie. Ja pójdę...

– Andrea zaczyna wycofywać się z pokoju.

– Postaram się szybko to załatwić.

– Nie, nie, nie śpiesz się. Zrobię jeszcze herbaty.

– A twoje zajęcia? Nie chcę cię zatrzymywać, jeżeli musisz wyjść.

Kobieta przystaje, przechyla głowę i zaciska wargi.

– Dzisiaj chyba daruję sobie jogę. Pójdę na wagary, wybiorę się do księgarni, poprzeglądam książki. Ostatnio nie czytałam niczego dobrego. Nie śpiesz się – powtarza, a Parks już jej nie zatrzymuje.

Twarda babka, ta Andrea Austin.

Akta są tam, gdzie powiedziała: w szafie. Pudło z falistej tektury, a w środku wysoki stos papieru. Parks stawia to wszystko na biurku i zaczyna się przekopywać przez spiętrzone rzeczy.

Czasopisma narciarskie. Kserokopie różnych terenów zjazdowych w Kolorado, rozkłady i kalendaria zawodów. Parks zaskoczony szuka dalej.

Nie znajduje niczego, co by się wyróżniało. Może Gormanowi coś się pochrzaniło i schował materiały narciarskie do niewłaściwego pudła?

Przekłada kolejną stronę i widzi wycinek ze „Ski Magazine”, przyczepiony spinaczem do styczniowego wydania. Na okładce widnieje młoda kobieta z parą nart. Uśmiecha się szeroko, w prawej dłoni trzyma złoty medal. Gogle zasłaniają dużą część jej twarzy, ale można się domyślić, że to jeszcze nastolatka. Nagłówek wydrukowany dużymi literami jest zakreślony czerwonym markerem.

Mindy Wright, nowa gwiazda narciarstwa

– Mindy Wright? – Z zamyślenia wyrывa go głos Andi, która cicho jak kot wróciła na górę i stanęła za nim.

– Znasz ją?

– Nie słyszałeś o pannie Wright? Obecnie to jedna z najlepszych młodych narciarek. Gorman uważnie śledził jej karierę. W tym roku miała się dostać do drużyny olimpijskiej.

– A dlaczego się nie dostała?

– W zeszłym miesiącu złamała nogę podczas Pucharu Świata. Boże, Gorman by się zmartwił. Uważał, że to druga Lindsey Vonn, tylko lepsza. Bardziej skupiona, mocniejsza kondycyjnie. Dzięki intensywnym treningom mniej narażona na kontuzje. Niestety się mylił.

– Kto by pomyślał, że był takim fanem narciarstwa.

W policzkach Andrei pojawiają się dołeczki.

– Och, uwielbiał ten sport, chociaż sam rzadko miał okazję szusować. Parę lat temu chłopcy stwierdzili, że chcą się nauczyć jeździć na snowboardzie, więc zabraliśmy ich na ferie zimowe do Wirginii Zachodniej. Dosyć im się podobało, natomiast Gorman złapał bakcyła na

maksa. Był w siódmym niebie. Ja kiedyś jeździłam jedynie na nartach wodnych. Na zwykłych też lubiłam, tylko przeszkadzało mi zimno, no i ciągle się przewracałam, bo zamiast wychylać się do przodu, odchylałam tułów do tyłu.

Gorman w ogóle nie miał formy; zjeżdżając, wyglądał jak drewniana marionetka, która w każdej chwili może się rozpaść, ale czuł wtedy adrenalinę, uwielbiał ten stan. Pierwszego dnia ledwo ściągnęliśmy go z trasy. Od tamtej pory, kiedy tylko mógł... Dostał obsesji na punkcie nart. Niektórzy mężczyźni w weekendy godzinami śledzą rozgrywki golfa w telewizji, prawda? On tak miał z zawodami narciarskimi. Nawet wykupił dodatkowy pakiet w kablówce, żeby oglądać zawody w Europie. Nic, tylko FIS i FIS.

– FIS?

– Międzynarodowa Federacja Narciarska. Sponsoruje wszystkie zawody o Puchar Świata.

– Aha. I kibicował Mindy Wright?

– Jeszcze jak! Kiedyś go spytałam, co takiego w niej widzi, oczywiście poza tym, że we wszystkich odpowiednich miejscach jest ładnie zaokrąglona. Powiedział, że podziwia jej talent. Czasami jednak zastanawiałam się, czy nie chodzi o coś więcej.

– To znaczy?

– Sama nie wiem. To nie w jego stylu tak się fascynować obcym człowiekiem.

– Poznał ją kiedyś?

Andrea potakuje.

– W ten ostatni weekend pojechał... pojechaliśmy do Beaver Creek, żeby zobaczyć ją na zawodach. Wygrała. Poprosił ją o autograf i podali sobie dłonie. Mam to gdzieś na fotce, pewnie w aparacie. Nigdy... nigdy nie obejrzałam tych zdjęć.

– Nie musisz. Ja chętnie sam rzucę na nie okiem.

– Nie. Najwyższa pora, żebym je zobaczyła – oznajmia Andrea twardo.
– Chodź ze mną.

Aparat znajduje się na parterze, w kuchni, wciśnięty głęboko do szuflady z różnymi rupieciami. Gospodyni uśmiecha się przepaszająco, wyjmując śrubokręty i taśmy maskujące. Ta szuflada zupełnie nie pasuje do reszty domu, a Parks z radością stwierdza, że Andrea Austin Gorman nie jest absolutnie idealna.

Bateria w aparacie padła, ale Andrea podłącza ją do ładowarki i parę minut później jest naładowana na tyle, że można zacząć przeglądać zdjęcia. Kobieta mocno blednie i kilka razy głośno przetyka ślinę, ale poza tym trzyma się na tyle dobrze, że udaje jej się znaleźć zdjęcia męża ze swoją idolką.

Przysuwa aparat do Parksa, a ten uważnie ogląda fotografie.

Szef, uśmiechnięty od ucha do ucha, triumfalnie unosi dłoń, drugą ręką obejmuje ramię nastolatki z ciemnymi oczami i długimi ciemnymi włosami.

Parks z osłupieniem wpatruje się w ten obraz.

– Co się stało?

– Mogę wziąć aparat?

– Hm...

– Faktycznie, przecież to jego ostatnie zdjęcia. Wiesz co, Andi? Po prostu przerzucę je do swojego komputera, dobrze?

– W porządku. Właściwie mogę je zapisać na pendrivie. Zaczekaj chwilę. – Na blacie stoi laptop. Andrea sprawnie zrzuca zdjęcia na pendrive i daje go Parksowi.

– Dziękuję.

– Wolno spytać, po co ci to?

Nawet w rozmowie z żoną gliniarza dyskrecja jest wartością nadrzędną.

Parks spogląda na kobietę przeciągle, po czym wskazuje komputer.

– Pozwolisz?

– Jasne.

Otwiera Google i przez chwilę wpisuje coś do wyszukiwarki. Parę sekund później odwraca laptopa do Andrei.

– Wygląda znajomo?

– To Mindy Wright.

Bob klika ponownie i na ekranie pojawia się fotka jakiejś młodej pary. Oba zdjęcia wyświetlone obok siebie zapierają mu dech w piersi.

Andi wpatruje się w nie dłuższą chwilę, w końcu mówi:

– O Boże. Myślisz, że...

– Że Gorman odnalazł porwaną córkę Vivian i Zacka Armstrongów? Tak. Właśnie tak myślę.

Nie wypowiada słów, które im obojgu rozbrzmiewają w głowie:

I była to ostatnia rzecz, jaką zrobił przed śmiercią.

— — —

Wracając na posterunek, Parks stara się panować nad sobą. Nie chce do nikogo dzwonić, wszczynać alarmu. Musi jeszcze dużo zrobić, żeby dowiedzieć się, co właściwie zaszło, ale jest pewien, że intuicja go nie zawodzi.

Mindy Wright to nie sobowtór Vivian Armstrong. Jest od niej wyższa i ma bardziej pociągłą twarz. Ale oczy wyraźnie odziedziczyła po ojcu, a podbródek po matce. Jest do nich na tyle podobna, że gdyby Parks pokazał jej zdjęcie Zackowi Armstrongowi, ten na pewno najbliższym samolotem poleciałby szukać dziewczyny.

Muszą działać ostrożnie. Jeżeli Gorman podejrzewał to samo, pojechał do Kolorado, żeby potwierdzić swoją teorię, i wydarzyło się coś, co nie było wypadkiem...

Parks zdaje sobie sprawę z tego, że chwyta się brzytwy, ale cała ta historia jest przedziwna, a jako policjant z wieloletnim doświadczeniem wie, że przeczuć lepiej nie ignorować.

A on ma przecucie, że Gorman wpadł na właściwy trop.

DENVER, KOLORADO

Posileni piwem, precelkami i chińszczyzną zamówioną około drugiej w nocy, Juliet i Cameron pracują aż do rana. Wielokrotnie sprawdzają tablice kodonów, szukając zabójcy Vivian i porywacza jej córeczki. Juliet całym sercem kocha Mindy i zrobiłaby wszystko, żeby uchronić ją przed cierpieniem, ale jest coraz bardziej przekonana, że jej siostrzenica to zaginione dziecko z Nashville. Zdjęcia Vivian i Zacka Armstrongów mówią same za siebie – Melinda jest podobna do nich obojga, zwłaszcza do niego.

Oczywiście cała ta historia i niespodziewane odkrycie są straszne, ale to ogromny krok naprzód. Zachary Armstrong albo ktoś z jego najbliższej rodziny mogą okazać się dawcami komórek macierzystych, których potrzebuje dziewczyna.

Jej ciotka marzy o tym, żeby dostać fioletową krew Armstronga. Krew to coś, co Juliet rozumie. Krew jest prawdziwa i prosta. Hemoglobina, plazma, woda. Potas, chlorek, fosfor, sód. Tlen, dwutlenek węgla, azot. Krew jest piękna i cudownie skomponowana, to idealna substancja, dzięki której ciało może funkcjonować. Chyba że postanawia zdradzić swojego właściciela – tak jak zdradziła Melinę.

Im więcej Juliet dowiaduje się o tej sprawie, tym dziwniej się czuje. Stara się myśleć racjonalnie i pracować w skupieniu, choć to bardzo trudne. Tu chodzi o jej najbliższych. Jest emocjonalnie zaangażowana. Teraz jeszcze lepiej rozumie rodziny ofiar przestępstw, nad którymi pracuje niejako za kulisami.

Około czwartej rano mają utworzone profile DNA. Juliet raz jeszcze przeprowadza sekwencjonowanie DNA. Maksymalnie skoncentrowana przygryza dolną wargę; włosy spięła ołówkiem, żeby nie opadały jej na twarz. Cameron zagląda jej przez ramię.

– Mamy zgodność – stwierdza, ale ona go ucisza i dla pewności ponownie przeprowadza analizę danych. Czuje, jak krew buzuje jej w żyłach i zbliża się kop adrenaliny, kiedy znowu pojawiają się wyniki sekwencjonowania. – Juliet, daj spokój. Wszystko pasuje, sama widzisz. Wiesz to od paru godzin.

Fakt. Mitochondrialne DNA nie kłamie. Mindy jest biologiczną córką Vivian Armstrong.

– Daj... daj mi chwilę, dobrze?

Cameron rozmasowuje jej ramiona, a ona zamyka oczy i poddaje się jego dotykowi. Znaczenie tego odkrycia nie mieści jej się w głowie, ale w tym samym czasie jej chłodny, racjonalny umysł naukowca sporządza wewnętrzny raport z sytuacji.

Vivian Armstrong została zadżgana nożem. Jej córkę, wtedy jeszcze noworodka, porwano z domu. Lekarka z Kolorado załatwiała nielegalne adopcje.

A zatem Lauren adoptowała porwaną dziewczynkę. Nie dziecko nastoletniej Graciel, która chciała dla swojej córeczki lepszego życia. Przyjęła pod swój dach małeństwo odebrane kobiecie, którą zamordowano.

Lauren chyba oszaleje, kiedy pozna całą prawdę o pochodzeniu Mindy.

Ale, co ważniejsze, jak to wpłynie na samą Mindy?

Juliet już widzi nagłówki: „Światowej sławy narciarka w dzieciństwie została porwana, a jej matkę zamordowano”.

Ta zła sława zaszkodzi dziewczynie, a jej należy się uznanie za ciężką pracę. Będzie zdruzgotana, kiedy talent i trud okażą się mniej ważne od historii, o której zaczną trąbić brukowce.

– W porządku. – Juliet w końcu odrywa wzrok od komputera. – Jakie są nasze następne kroki?

– Oczywiście powinnaś zgłosić to Woody’emu. I powiedzieć swojej siostrze. A jeżeli chodzi o resztę...

– Przede wszystkim muszę jak najszybciej ściągnąć tu Zachary’ego Armstronga i wziąć od niego próbkę krwi. Może okazać się idealnym dawcą.

– Zapewne. Czyli działamy na dwa fronty? Odnajdujemy Armstronga i sprowadzamy go do Kolorado, a jednocześnie dajemy sygnał twoim ludziom, niech rozpoczynają dochodzenie?

Juliet odchyła się na fotelu, żeby Cameron widział jej twarz.

– Obawiam się, że dochodzenie będzie miało pierwszeństwo. I że Armstrong nie zechce zostać dawcą. Że cały nasz świat się zawali.

Cameron z roztargnieniem przesuwa palcami po krawędzi pustego opakowania po chińszczyźnie i po chwili wzrusza ramionami.

– Niewykluczone. Ale możliwe, że wszystko pójdzie po naszej myśli. Jakkolwiek by patrzeć, nie wygląda to najlepiej, jednak musisz ujawnić prawdę. Nie wolno jej zataić.

– Nie jestem taka jak moja siostra – prychna Juliet.

– Jasne, ale odkryliśmy coś, co będzie miało długofalowe konsekwencje. Jak najszybciej zawiadom Woody’ego i Lauren, potem poleć do Nashville i ściągnij tu Armstronga.

– Chyba nic innego nie pozostaje mi zrobić, prawda? Wyniki dochodzenia to osobna kwestia. Tylko że... to dobije Lauren. Ona jest cholernie skryta i tak jej zależy na tym, żeby Mindy była gwiazdą. Zwariuje, kiedy uwaga obcych ludzi skupi się na niej i na jej mężu.

– Każdej ofierze jest ciężko.

– Wiem. Dobrze chociaż, że pomogliśmy rozwikłać część tej sprawy.

Juliet z pomocą Camerona kończy sekwencjonowanie, a kiedy Cam wychodzi do pracy, z zaczerwienionymi oczami i w wygniecionym ubraniu, ona sprawdza wyniki po raz kolejny.

Wpatruje się w profil DNA, jakby na ekranie mogło pojawić się coś innego niż poznana właśnie historia.

Zaginiona dawno temu córka Vivian i Zacka Armstrongów została odnaleziona.

Ale to rodzi trudne pytania i kiedy Juliet planuje sobie sprawy do załatwienia na ten dzień, nie może się od nich opędzić.

Kto zamordował Vivian Armstrong? Na jakiej podstawie wybrano Mindy, żeby sprzedać ją Lauren? Czy Castillo miała na sumieniu coś więcej

niż organizowanie nielegalnych adopcji dzieci swoich ubogich pacjentek? Czy zajmowała się handlem porwanymi noworodkami?

Na te pytania odpowiedzą jej znajomi agenci z CBI. Ona musi zająć się rodziną.

Bierze prysznic i trochę ogarnia mieszkanie. Wbrew temu, o czym rozmawiali z Cameronem, nadal nie wie, co zrobić w pierwszej kolejności. Powiedzieć Lauren? Porozmawiać z szefem? Lecieć do Nashville i sprawdzić, czy Zack Armstrong bez zadawania pytań zgodzi się przyjechać do Denver?

Wszystkie te kroki to jedyna opcja.

Niezależnie od rozwoju sytuacji ta historia wyjdzie na jaw, i to bardzo szybko. Każdy z rodziny powinien ją poznać, bo kiedy tylko media się o niej dowiedzą, rzucają się na nich jak sępy. Ludzie uwielbiają historie o spotkaniach po latach, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi porwane dziecko.

W końcu postanawia najpierw zadzwonić do siostry.

Kiedy Lauren odbiera telefon, w jej głosie brzmi taka sama senność, jaką czuje Juliet.

– Przepraszam. Obudziłam cię?

– Niezupełnie – odpowiada i ziewa. – Ty też mówisz tak, jakbyś nie spała całą noc.

– Bo nie spałam. Słuchaj, jesteś sama? Musimy porozmawiać.

– Okay. Jasper poszedł do sklepu.

– Mindy bardzo to przeżyła?

W słuchawce rozlega się cichy śmiech.

– Tak, bardzo. Najpierw wstąpiła w nią nadzieja połączona z entuzjazmem, potem pojawiły się strach i gniew. Gdyby nie fakt, że ta wiadomość może uratować jej życie, czułabym się urażona. Bardzo ucieszyła się, że jest dzieckiem kogoś innego, po czym zaatakowała mnie za to, że tak długo to przed nią ukrywałam.

– W tych okolicznościach to całkowicie normalna reakcja.

– Juliet, Mindy nie jest głupia. Wie, że teraz ma szansę na przeszczep.

– Właśnie dlatego się ucieszyła. Ale kocha ciebie i Jaspera, nic tego nie zmieni.

– Zobaczymy – wypala z zaskakującą goryczą w głosie. – To się jeszcze okaże, siostrzyczko.

Juliet głęboko wciąga powietrze.

– Muszę z tobą porozmawiać o rodowodzie Mindy.

– Mówisz o niej tak, jakby była koniem.

– Przestań, okay? Chyba odnalazłam jej ojca.

Zapada wręcz ogłuszająca cisza.

– Jesteś tam jeszcze?

– Tak. Kto to? – odzywa się w końcu.

– Niejaki Zachary Armstrong z Nashville.

Przeklina, krótko i szpetnie.

– O rany, Lauren. Nie bluzgaj.

– Jak na to wpadłaś?

Juliet wyczuwa, że powinna zachować ostrożność. Nie chce doprowadzić do kolejnej kłótni między Jasperem a Lauren. Ale wolałaby też nie wyjawiać, że wykonała badanie DNA bez zgody szefa. Postanawia więc zaryzykować i przedstawić tylko część prawdy.

– Jasper powiedział mi, że szukałaś tego człowieka w internecie. W jakich okolicznościach poznałaś Armstronga?

– Nie znam nikogo takiego.

– Ale wczoraj wieczorem wpisałaś jego imię i nazwisko do wyszukiwarki.

– Nieprawda.

– Jasper mówił, że...

– Nie szukałam konkretnie jego. Przypomniała mi się Castillo. Nie myślałam o niej od lat. Nie miałam pojęcia, że przy okazji wyskoczy jakiś Zachary Armstrong.

– Już wcześniej wiedziałaś, że Mindy jest jego córką?

- Co? Nie, oczywiście, że nie.
- Ale słyszałeś, że kiedyś porwano jego dziecko?
- Po prostu coś mi się przypomniało. Kiedyś mieszkaliśmy w Nashville. Czasami przeglądam wiadomości stamtąd.
- I wtedy wpadłaś na ten trop? Bo ja tak. Mindy jest bardzo podobna do niego i do jego żony – tłumaczy Juliet. W słuchawce rozlega się cichy odgłos gwałtownie wciąganego powietrza. – Przepraszam. Nie chcę się z tobą kłócić, ale nie mówisz mi wszystkiego. Jak go poznałaś? Skąd wiesz o jego porwanym dziecku?
- Już ci mówiłam, że go nie znam i nic nie wiem o tej sprawie. Powtarzam: myślałam o doktor Castillo i zastanawiałam się, czy ta adopcja rzeczywiście była legalna. Nie mogłam usnąć. Wpadłam na pomysł, żeby poszukać zaginionych dzieci, które urodziły się w tym samym roku, co Mindy, no i natknęłam się na historię Armstrongów. Zwróciłam na nią uwagę, bo to wydarzyło się w Nashville. Nie pamiętałam tej tragedii. Kiedy otworzyłam stronę, pojawił się Jasper. Nawet nie zdążyłam zacząć czytać. – Milczenie. – Podejrzewasz, że Mindy jest ich dzieckiem?
- Ja to wiem. Kiedy okazało się, że sprawa Armstrongów jest nierozwiązana, dostałam wolną rękę. Zrobiłam test DNA. Ich profile się zgadzają. Twoja doktor Castillo była zamieszana w coś o wiele bardziej mrocznego niż nielegalne adopcje.
- O Boże, Juliet. Nie mogę... Co my teraz zrobimy?
- Skontaktuję się z Zacharym Armstrongiem. W ciągu tych kilkunastu lat na pewno robił sobie wielkie nadzieje, więc to będzie dla niego ogromne przeżycie. Trzeba też wziąć pod uwagę dalsze konsekwencje. Zwłaszcza jak to się odbije na psychice Mindy. Media...
- Zrób to. Juliet, jeżeli odnalazłaś rodziców Melindy, musisz im powiedzieć, i to zaraz. Resztą będziemy się przejmować później. Mindy z dnia na dzień czuje się coraz gorzej. Potrzebujemy dawcy.
- Jego żona zmarła.
- Och, bardzo mi przykro. Ale jeżeli ojciec żyje...
- Nie przeczytałaś całej historii?
- Już ci mówiłam. Kiedy tylko otworzyłam stronę, wszedł Jasper.

– Żona Armstronga została zamordowana, a ich córkę zabrano z domu.

Z ust Lauren wyrywa się cichy okrzyk.

– To jakiś ponury żart?

– Nie, okrutna prawda. Ten, kto porwał dziecko, zabił jego matkę. Ojca nie było wtedy w mieście. Kiedy wrócił do domu, znalazł żonę martwą, a noworodek zniknął.

– Chryste, jakie to straszne... – Lauren milknie na chwilę, a kiedy znowu się odzywa, jej głos brzmi zupełnie inaczej. – I cudowne. Wspaniałe! Nie chcę wyjść na egoistkę, naprawdę bardzo współczuję temu mężczyźnie, ale jest szansa, że pomoże nam uratować Mindy! Nie tracimy czasu. Może ma więcej dzieci albo sam mógłby zostać dawcą.

Radość w głosie siostry nieco uspokaja Juliet.

– To prawda. Czyli się zgadzasz, żebym się z nim skontaktowała?

– Oczywiście, ja... – Lauren znowu urywa. – Biedna kobieta...

– Tak, spotkała ich koszmarna tragedia. Będziemy w kontakcie. Trzymaj się. Wszystko się ułoży. Ale musicie być przygotowani na to, że gdy tylko media się dowiedzą, że Mindy jest zaginioną córką Armstrongów, natychmiast zaczną o tym trąbić.

Lauren wzdycha ciężko.

– Tę kwestię na razie odłożmy.

NASHVILLE, TENNESSEE

Logistyka jest prosta. O 9.35 rano jest bezpośredni samolot do Nashville. Juliet bukuje bilet przez internet, z niezadowoleniem płaci pełną cenę, chociaż to last minute, wrzuca do torby parę rzeczy – szczoteczkę do zębów, ubranie na zmianę, szczotkę do włosów, laptopa – i przez aplikację mobilną zamawia podwózkę. Na lotnisko docierają w rekordowym czasie.

Nie dzwoni do Woody’ego.

Wie, że to głupie i że szef ją objedzie, ale słucha głosu, który jej podpowiada: Jeszcze się z tym wstrzymaj. Najpierw pogadaj z Armstrongiem. Delikatnie przekaż mu tę wiadomość i zabierz go do Kolorado; dopiero wtedy powiedz Woody’emu.

Myśli galopują jej w głowie, lecz odsuwa je na bok i korzystając z okazji, postanawia się zdrzemnąć. Jest tak wykończona, że natychmiast zasypia, z głową na poduszce z kurtki przyciśniętej do ściany kadłuba. Budzi się, kiedy lądują w Nashville. Ze snu gwałtownie wyrywa ją wizg kół samolotu na asfalcie.

Ma wszystkie namiary na Armstronga, które z łatwością znalazła w bazie danych. Wsiada do taksówki i prosi kierowcę, tym razem młodą kobietę, o zawiezenie na uniwersytet Vanderbilt.

– Akurat zaczęły się ferie, więc nie ma korków. Będziemy na miejscu za piętnaście minut.

– Chwileczkę, teraz są ferie?

– Zgadza się.

– Wobec tego podam inny adres. Poczekaj tam pani kilka minut, bo może się okazać, że moje spotkanie nie dojdzie do skutku. – Przeklina pod nosem, zła na siebie o to, że wcześniej nie sprawdziła, kiedy studenci mają przerwę w zajęciach. Myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej zobaczyć się z Armstrongiem, i założyła, że jako wykładowca facet na pewno będzie

na terenie kampusu. Oj, Juliet, ale z ciebie śledczy, kpi w duchu. Dlatego trzymają cię w laboratorium.

Jadąc, ucina sobie pogawędkę z kobietą. W mieście stoi mnóstwo dźwigów, dosłownie na każdym rogu trwa jakaś budowa. Wkrótce wjeżdżają na zielone wzgórze porośnięte lasem liściastym i zatrzymują się przed minimalistycznym, nowoczesnym budynkiem, szklanym prostopadłościanem. Na podjeździe stoi czarny, czterodrzwiowy jeep wrangler.

Czyżby jednak dopisało jej szczęście?

– Proszę poczekać, dobrze? – zwraca się do kierowcy.

– Jasne.

Idzie stromym podjazdem, wchodzi na werandę i dzwoni do drzwi.

Cisza.

Próbuje raz jeszcze, chociaż czuje, że to na nic. Co prawda, widziała na podjeździe samochód, ale dom wydaje się pusty.

Wiesza torbę na drugim ramieniu, wyjmuje komórkę i notebooka. Odwraca się do taksówki i podnosi palec wskazujący na znak, żeby poczekała jeszcze chwilę, potem wybiera zapisany wcześniej numer telefonu.

Słyszy sygnał, ale w tej samej chwili na ulicy pojawia się wysoki, ciemnowłosy mężczyzna z płowym psem na smyczy. Na widok taksówki i obcej kobiety przy domu staje jak wryty. Pies wygląda na zaciekawionego.

Na żywo podobieństwo jest jeszcze bardziej uderzające niż na zdjęciu. Juliet aż zapiera dech w piersi. Przerywa połączenie, kiedy Zack Armstrong sięga do saszetki przy pasie.

– Pan Armstrong? – woła Juliet.

Facet, nadal z dłonią na pasku, mruży coś do psa, którego ciekawość zamienia się w czujność.

– Słucham. O co chodzi? – Nie rusza się z miejsca.

Ona też ani drgnie. Zna jego przeszłość. Kiedyś był doświadczonym agentem, chociaż te czasy już dawno minęły.

– Doktor Juliet Ryder, Centralne Biuro Śledcze, oddział w Kolorado. – Wyciąga rękę z odznaką, żeby Zack zobaczył z daleka. Uważa, że powinna się przedstawić nie tylko jako siostra zrozpaczonej kobiety i ciotka porwanego dziecka. Armstrong musi od samego początku traktować ją poważnie.

Nie rozpoznaje, co oznacza jego wyraz twarzy, który znika po chwili, ale ramiona mężczyzny nieco się rozluźniają, pies patrzy na nią wesoło. Wreszcie Zack ze swoim pupilem ruszają w jej stronę.

Juliet kiwa głową do kobiety z ubera, która przez cały ten czas ją obserwowała, a teraz odjeżdża, żeby przyjąć kolejne zlecenie. Zostawia Juliet samą pod domem Zachary’ego Armstronga.

Kiedy cała trójka wchodzi do domu, Zack najpierw daje psu miskę ze świeżą wodą, którą Kat zaczyna głośno chleptać. Tego ranka zaliczyli pełne okrążenie. Nie śpieszyło mu się, więc po drodze zrobił sobie długą przerwę na lunch. W Nashville panuje piękna pogoda. Powietrze jest rześkie, ale nie mroźne, pojawiają się pierwsze oznaki wiosny; rozbudzona przyroda powoli rozpycha się łokciami. Takie dni Zack i Kat lubią spędzać na zewnątrz.

Proponuje Juliet butelkę zimnej wody; kobieta przyjmuje ją z wdzięcznością. Sam też pije, po czym napełnia butelkę wodą z kranu i siada przy blacie w kuchni.

Kobieta jest tak mocno spięta, że chyba pęknie, jeżeli zaraz nie przejdzie do sprawy. Wygląda na zmęczoną, podekscytowaną i przestraszoną. Całkowicie różni się od innych przedstawicieli organów ścisania. Po wczorajszej wizycie Parksa i jego ulubionej oficer śledczej Zack zachowuje jeszcze większą czujność niż zwykle.

– Więc co panią sprowadza do Nashville?

Juliet bierze głęboki wdech, prostuje ramiona.

– To z pewnością będzie dla pana szokująca wiadomość. Mam informacje na temat pańskiej córki.

Armstrong podrywa się tak szybko, że przewraca butelkę z wodą, a Kat zaczyna szczekać, nisko i głośno. Zack w okamgnieniu dopada kobietę i łapie ją za rękę tak mocno, jakby ścisnął ją w imadle.

– Co pani powiedziała?

– Proszę mnie w tej chwili puścić.

Zack uświadamia sobie, że zachował się agresywnie, więc rozluźnia dłoń i robi krok do tyłu.

– Cicho bądź – rzuca do Kat; suka skamle i posłusznie siada, nie wydając już z siebie żadnego dźwięku.

– Przepraszam. Zaskoczyła mnie pani. – Każde słowo wymawia powoli, wyraźnie, żeby dobrze go zrozumiała. – Ma pani informacje na temat mojej córki? – powtarza, jakby nie dowierzał własnym uszom.

Kiedy Juliet wkłada rękę do kieszeni, Armstrong odruchowo przyjmuje pozycję obronną.

– Spokojnie – tonuje go Juliet. – Chciałam tylko wyjąć telefon. Proszę się uspokoić.

– Przepraszam – powtarza Zack, nie zdejmując jednak dłoni z paska. Pod spodniami do joggingu ma walthera PPK w zrobionej na zamówienie kaburze. Regularnie ćwiczy obchodzenie się z bronią. Trudno pozbyć się starych nawyków.

Czeka całkowicie nieruchomo, kiedy Juliet włącza komórkę i odnajduje zdjęcie. Na jego widok Zack odnosi wrażenie, że zaraz pęknie mu serce. Czuje, że nogi uginają się pod nim. Nie zdąża zareagować. Osuwa się na podłogę.

Odzyskuje przytomność z głową na kolanach Juliet Ryder. Kat liże go po twarzy, piszcząc i trącąc łapą jego rękę.

– Jak na tak potężnego mężczyznę zemdlał pan z dużym wdziękiem – żartuje Juliet, a on w tej chwili zauważa, jakie ładne są jej oczy. Złotobrzazowe, co wyraźnie widać, bo pochyła się nad nim tak nisko.

Próbuje usiąść, Juliet mu pomaga. Kat, uradowana tą zmianą pozycji, liże go po twarzy. Z jej pyska czuć zapach wędzonych kości. W końcu Zack obejmuje ją za kark i mocno przytula.

– Spokojnie, głuptasku. Nic mi nie jest.

– Da pan radę wstać? – pyta Ryder.

– Tak. Proszę tylko podać mi rękę.

Juliet podnosi się, otrzepuje dzinsy i wyciąga do niego rękę. Zack ujmując ją i ostrożnie dźwiga się z podłogi. Ostatnio zdarzyło mu się zemdleć latem podczas pierwszego roku w armii, po piętnastokilometrowym biegu przez gęsty, duszny las w Karolinie

Południowej, w pełnym rynsztunku i przy temperaturze przekraczającej trzydzieści stopni. Wtedy było mu głupio, ale nie tym razem. Teraz, w tych okolicznościach, utrata przytomności to jak najbardziej zrozumiała i uzasadniona reakcja. Próbuje się pozbierać. Ogarniają go jednocześnie przerażenie i radość, emocje, których nie czuł od bardzo dawna. Tak długo nie czuł właściwie nic.

– Proszę jeszcze raz pokazać mi to zdjęcie.

Juliet podaje mu telefon.

– Niech pan przewija ekran. Fotek jest sporo.

Zack siada na kanapie, wpatruje się w ekran komórki, stara się wyryć sobie w pamięci każdy obraz. Zdjęcia nie są ułożone w żadnym konkretnym porządku: Violet przedszkolak, Violet nastolatka, znowu Violet dziecko, Violet na nartach, upačkana tartą marchewką samodzielnie zajadana łyżeczką, Violet z książką, podnosząca ciężary, wygięta w idealny mostek na tle zachodu słońca, roześmiana tak mocno, żywiołowo i radośnie, że widać jej równiutkie zęby trzonowe.

Łzy płyną mu po policzkach, nie próbuje ich ocierać. W całkowitym milczeniu dwa razy ogląda wszystkie zdjęcia, potem głośno pociąga nosem i przejeżdża po twarzy rękawem. Wydaje mu się niemożliwe, a jednocześnie całkowicie oczywiste, że to jego córka, Violet. Wie, że to ona. Ciało i dusza reagują na jej widok, rozpoznają dziewczynę.

Agentka CBI przygląda mu się z nieskrywaną ciekawością. Mija kilka minut, zanim Zackowi udaje się wykrztusić parę słów.

– Proszę mi wszystko powiedzieć.

– To moja siostrzenica.

– I pracuje pani w CBI?

– Jestem analitykiem DNA, szefem laboratorium.

– Tak szybko znaleźliście zgodny profil DNA? Boże, przecież wczoraj wzięliście ode mnie próbkę.

Agentka marszczy piękne brwi.

– Słucham? Kto pobrał od pana próbkę?

– Policjanci z Wydziału Zabójstw w Nashville. Przyszli i powiedzieli, że zastanawiają się nad wznowieniem śledztwa.

Ryder jeszcze bardziej ściąga brwi. Z roztargnieniem głaszcze Kat, która jest zachwycona jej zainteresowaniem. Sunia uwielbia kobiety. Za każdym razem, kiedy oboje idą przez kampus, zaczepia wszystkie dziewczyny po drodze, popisuje się, licząc na pochwały i pieszczoty ze strony przedstawicielek płci pięknej. Kiedy teraz Zack patrzy, jak Kat zachowuje się wobec Ryder, przychodzi mu do głowy, że być może próbuje mu w ten sposób coś powiedzieć.

W końcu Ryder z powrotem kieruje na niego uwagę.

– Co za zbieg okoliczności. Razem z kolegą z pracy zrobiliśmy liczne testy DNA i znaleźliśmy profil pasujący do profilu pańskiej żony. Niedawno dowiedzieliśmy się, że Mindy nie jest biologiczną córką swoich rodziców, krew nie kłamie. Kiedy jednak usłyszałam o pańskiej sprawie i zobaczyłam zdjęcia... ona jest tak podobna do pańskiej...

– Do mojej żony. Do Vivian. To prawda.

– Ale i do pana. Odziedziczyła pewne cechy po was obojgu, ale oczy ma po panu. No i oczywiście wyniki badania krwi potwierdzają jej pochodzenie.

Zack oddaje jej telefon tak ostrożnie, jakby aparat mógł wybuchnąć w chwili, kiedy go puści.

– Agentko Ryder, co tu się dzieje?

– Juliet. Proszę mi mówić po imieniu. Opowiem ci całą historię. Przepraszam, trochę się rozpedziłam. Moja siostra, Lauren, adoptowała Mindy, twoją Violet, jako maleńkie dziecko, zaledwie dwunastodniowego noworodka. Adopcję umożliwiła pewna lekarka z Kolorado. Dowiedzieliśmy się, że zrobiła to nielegalnie, ale moja siostra nie miała o tym pojęcia. Zgodziła się na zamkniętą adopcję i przekazała lekarce ogromną sumę pieniędzy. Nikt nawet się nie domyślał, że Mindy nie jest jej rodzoną córką, nawet ja. Wyszło to na jaw dopiero parę dni temu. – Juliet urywa i lekko kręci głową. – Posłuchaj. W tej chwili to mniej ważne. Wrócimy do tego później. Porozmawiajmy teraz o samej Mindy. Jest chora. Bardzo chora. Natychmiastowy przeszczep komórek macierzystych może jej pomóc pokonać agresywną odmianę białaczki.

– Białaczki?

– Tak. Zdaję sobie sprawę, że to szokująca, straszna wiadomość, ale potrzebuję próbki twojej krwi, żeby porównać wasze DNA, dla potwierdzenia, że jesteś ojcem Mindy...

– Jestem jej ojcem. Próbkę...

– Mitochondrialne DNA Mindy pasuje do DNA twojej żony, ale trzeba jeszcze sprawdzić ciebie. Rozumiesz? Inaczej nie da rady. Takie są procedury. Bo gdyby na przykład się okazało, że Vivian cię zdradziła... Przepraszam, po prostu musimy przeprowadzić testy. Jeżeli twoje DNA okaże się zgodne, prześlemy je lekarzom dziewczyny, żeby to potwierdzili i ocenili, czy nadajesz się na dawcę komórek macierzystych.

– Próbki krwi. – Ty idioto, przestań powtarzać jej słowa. Ogarnij się, i to już. Zack na chwilę zamyka oczy. Pod tym nawałem informacji nie może się skupić.

Violet.

– Pani doktor... to znaczy Juliet. Dam wszystko, co trzeba. Ale czy mógłbym pojechać do Kolorado i spotkać się z Violet? To znaczy wiem, że wychował ją ktoś inny i że nadal są jakieś wątpliwości... Ale... co, jeśli to jednak nie moja córka, a jej rodzice... Jezu, pewnie jestem ostatnią osobą, z którą teraz chcieliby się spotkać. Skoro jednak mógłbym jej pomóc... Mówiłaś, że czas nagli, prawda?

Uśmiech Ryder jest promienny, niemal oślepiający.

– Tak. Jeżeli zdołasz się zorganizować, polecimy nawet dziś wieczorem. A siostra i szwagier będą uszczęśliwieni. Znamy stawkę. Musimy odłożyć na bok sprawy osobiste. Priorytetem jest Mindy. Dla nas wszystkich.

– Cieszę się, że tak mówisz. Oczywiście mogę polecieć wieczorem. Choćby w tej chwili. Ale chyba powinniśmy zawiadomić o mojej podróży policję. Jeżeli tu przyjdą i mnie nie zastaną...

– Zajmę się tym. Zaczniij się pakować, ja zabukuję bilety do Kolorado. Na policję zadzwonimy w drodze na lotnisko.

Zack robi trzy kroki w głąb domu i przystaje.

– Jak bardzo jest chora? Tak szczerze?

Brwi Juliet znowu na chwilę się stykają, wygląda jak młoda, przestraszona dziewczyna.

– Bardzo. Przeszczep to jej jedyna szansa. Raka wykryto zaledwie parę tygodni temu, i to przypadkowo. Podczas zawodów miała wypadek, złamała nogę. Szczęśliwy traf.

– Podczas zawodów?

Juliet uśmiecha się i jej twarz całkowicie się zmienia: staje się serdeczna i szczerą; po strachu nie zostaje nawet ślad.

– Mindy jest światowej klasy narciarką alpejską. Na poziomie Pucharu Świata, olimpiady. Jeżeli pokona nowotwór, dostanie się do reprezentacji narodowej.

– To na pewno nasze dziecko? Ani Vivian, ani ja nigdy nie przepadaliśmy za sportem. Mieliśmy dobrą kondycję, ale nie lubiliśmy współzawodnictwa.

– Tak, to na pewno wasze dziecko – przytakuje Juliet z cichym śmiechem. – Idź się spakować.

Zack czuje się jak we śnie albo jakby znajdował się pod wodą. Bielizna złożona – moja córka żyje. Szczoteczka do zębów trafia do kosmetyczki z przyborami toaletowymi – Violet może umrzeć, szybciej, szybciej. Skórzana kurtka. Gdzie, do diabła, są rękawiczki? – och, Vivian, chyba w końcu ją znaleźliśmy.

Dzwoni na chwilę do swojego przyjaciela, Blake’a Malone’a, weterynarza Kat, który obiecuje, że wpadnie za parę godzin i weźmie psisko do siebie na kilka dni. Wykłada na blat zapas karmy, wędzonych kości. Całuje ją na pożegnanie, obiecuje, że niedługo będzie z powrotem, i odwraca się do Ryder.

– Jestem gotowy.

Juliet patrzy na plecak na ramieniu Zacka.

– O, widzę bratnią duszę. – Zarzuca na ramię swój plecaczek. – Ja też podróżuję z jak najmniejszą ilością bagażu. Pies zostaje?

– Tak. Mój przyjaciel później po nią wpadnie.

– Szkoda, że nie masz dla niej takich fajnych szelek, jakie noszą psy policyjne. Wpuściliby ją do samolotu bez problemu.

– Kat ma takie szelki.

– W takim razie dlaczego nie weźmiesz jej ze sobą? – wypala zupełnie spontanicznie Juliet.

Owczarek patrzy na Zacka takim wzrokiem, jakby pytał o to samo.

– Bo... – Właściwie dlaczego jej nie zabrać? Oprócz tego, że się przyjaźnią, może liczyć na jej pomoc. On niedługo znajdzie się w emocjonalnie trudnej sytuacji, z grupą obcych ludzi. Kat umie wytropić broń i zna wiele komend. Tak jak mu wiele razy powtarzano, dzięki niej staje się silniejszy. Fajnie ze wsparciem wejść na nieznaną teren.

– Mindy kocha psy – dodaje Juliet, drapiąc Kat za uchem.

Zacka już nie trzeba dłużej przekonywać. Pakuje do plecaka trochę kości i karmy; dziesięć minut później jadą na lotnisko. Kat z wywalonym językiem wystawia głowę za okno.

Zack odwołuje opiekę nad psem, potem dzwoni na lotnisko, uprzedza, że będzie z psem towarzyszącym i tak, posiada niezbędne dokumenty.

Na końcu wstukuje numer Parksa.

– Właśnie zamierzałem się z panem skontaktować. Mógłbym wpaść na krótką rozmowę?

– Niestety to niemożliwe. Jestem w drodze na lotnisko. Przełączę pana na głośnik. Obok mnie siedzi agentka Juliet Ryder z Biura Śledczego w Kolorado.

– Słucham? – rzuca zaskoczony Parks, a wtedy do rozmowy włącza się Juliet.

– Sierżancie, mówi doktor Ryder. Nie jestem agentką. Prowadzę laboratorium kryminalistyczne. Przepraszam, że kradnę panu Zacka, ale wpadliśmy na trop jego córki i z powodów osobistych musimy działać błyskawicznie.

– Pracuje pani dla CBI? – pyta wyraźnie zdezorientowany Parks. – Jaką rolę odgrywa pani w tym śledztwie?

– To jeszcze nieoficjalne, za chwilę zadzwonię do swojego szefa. Natychmiast zajmie się procedurami. Mindy Wright jest moją siostrzenicą.

– Mindy Wright? Ta narciarka?

– Tak. Zna pan to nazwisko?

– Hm... Pani doktor, o której odlatuje wasz samolot?

Juliet zerka na Zacka, wzrokiem pytając go o zgodę, a on tylko wzrusza ramionami. Nie ma nic do ukrycia.

– Lecimy o piętnastej czterdzieści pięć bezpośrednio do Denver. Liniami Southwest.

– Spotkajmy się przy bramce odlotów. Nie wsiadajcie na pokład, zanim ze mną nie porozmawiacie, słyszy mnie pani?

– Głośno i wyraźnie.

Zack rozłącza się i wsuwa palce w gęstą sierść Kat.

- O co mu, do cholery, chodziło?
- Odnoszę wrażenie, że też już sporo wie o tej sprawie.

Parks macha do koleżanki i wyciąga ją z odprawy.

Po wyjściu na korytarz Starr wkłada kurtkę i mówi:

– Dzięki, że mnie uratowałeś. Posiedzenia grupy zadaniowej Ruchu Obywatelskiego to chyba najnudniejsze i najdłuższe zebrania na świecie.

– Trwają dziesięć minut.

– Trwały. Kiedyś. Teraz to godzinne kazanie o tym, że w wydziale zabójstw wszyscy się obijają i nie wykonują swojej roboty.

– A jaka jest nasza rola w tym Ruchu Obywatelskim?

– Doskonałe pytanie. Zdaje się, że jeden weekend w miesiącu powinniśmy udzielać się społecznie, ale nikomu się nie chce. – Starr przewraca oczami. – Teoria i praktyka. Wiesz, jak jest.

– Pogadam z porucznikiem. Może szepnęłaby słówko, komu trzeba? Nie życzę sobie, żeby ktoś marnował czas moich śledczych.

Idą przez garaż, ich buty stukają o betonową posadzkę.

– Coś się stało?

– Nowy trop w sprawie Armstrongów. Jedziemy na lotnisko porozmawiać z Zackiem Armstrongiem i genetyczką z Biura Śledczego w Kolorado.

Wsiadają do samochodu, dopiero wtedy Starr zadaje kolejne pytanie:

– A konkretnie jaki to trop?

– Kojarzysz Mindy Wright? Tę narciarkę?

– Nie.

– Pół nocy czytałem o niej w internecie. Ostatnio to największa sensacja. Siedemnastolatka. Prawdziwe cudowne dziecko. Uprawia narciarstwo alpejskie, miała szansę znaleźć się w grupie najwybitniejszych sportowców. Niestety w zeszłym miesiącu podczas zawodów złamała nogę, przez co

prawdopodobnie nie trafi do reprezentacji olimpijskiej. Wciąż czeka tam na nią miejsce, ale jeżeli nie zdąży wyzdrowieć...

– Uu, fatalnie.

– Wiedziałaś, że Gorman uwielbiał jazdę na nartach?

– Tak. Ciągłe o tym gadał. Cholernie się cieszył na ten wyjazd do Kolorado. Wielka szkoda.

– Poznał tam Melinę Wright i niedługo potem zginął w nieszczęśliwym wypadku.

– Nie nadążam. Co nastoletnia narciarka ma wspólnego ze sprawą Arm... Zaraz, myślisz, że ona jest tym zaginionym dzieckiem?

– Tak mi się wydaje. Z wyglądu bardzo przypomina Vivian Armstrong. Gorman mocno interesował się Mindy Wright. A dziś rano u Armstronga pojawiła się jej ciotka.

Starr zakłada ray-bany.

– To byłaby najszybciej rozwiązana stara sprawa w historii naszej policji. Nie wierzę, że aż tak nam się poszczęściło.

– Lubię cię, Starr. Powala mnie twój optymizm.

Na międzynarodowym lotnisku w Nashville pokazują odznaki pracownikom Southwest Airlines i przechodzą przez odprawę celną. Ochrona nie zwraca im zbytnio głowy, ale zostają poddani kontroli, żeby wiedzieli, kto tu rządzi. Potem kierują się do bramki C15, przez którą niedługo będą przechodzić pasażerowie samolotu do Denver.

Zack Armstrong siedzi na krześle przy oknie, energia bije od niego jak światło ze stroboskopu. U jego stóp leży piękny pies z podniesioną głową. Na szelkach ma małą czarną plaketkę z wyszytymi czerwoną nicią słowami „Pies towarzyszący”. Jasny, prosty przekaz. Jeżeli jednak samo zwierzę nie powstrzyma ludzi przed podchodzeniem, to nawet najbardziej ciekawscy wycofają się na widok jego właściciela, potężnego mężczyzny, który – choć jest wykładowcą literatury angielskiej – wygląda jak antyterrorysta.

Nie dotyczy to ładnej kobiety z włosami o odcieniu ciemnego blondu, która mówi z ożywieniem, pokazując swojemu towarzyszowi coś na ekranie telefonu.

Kiedy Parksa i Starr dzielą od niego już tylko trzy metry, Armstrong, czujny jak drapieżnik, wstaje. Pies strzyże uszami, ale się nie rusza. Młoda kobieta – bo dopiero teraz Parks widzi, że jest młoda, nawet młodsza od Starr – zostaje na miejscu, zachowuje się jednak z większą ostrożnością. Podaje im rękę.

– Doktor Juliet Ryder, CBI.

– Sierżant Bob Parks i detektyw Brianna Starr, Wydział Zabójstw Komendy Głównej.

Po tym powitaniu Zack przejmuje kontrolę nad spotkaniem.

– Nie mamy dużo czasu, więc powiem krótko. Juliet odnalazła Violet, która teraz nazywa się Mindy Wright. Dziewczyna jest bardzo, bardzo chora. To rzadka odmiana białaczki; raka wykryto podczas operacji nogi, którą złamała...

– W wypadku podczas zawodów w Vail. – Parks kiwa głową. – Tak, przeczytałem o tym wczoraj. Wiem o niej wszystko. Do akt tej sprawy Gorman dołączył kartkę z tylko jednym słowem: Kolorado. Poznał Mindy w tym samym tygodniu, w którym zginął. Pojechał tam na urlop, ale myślę, że tak naprawdę próbował dowiedzieć się czegoś w sprawie Armstrongów.

– Fatalny zbieg okoliczności – stwierdza Zack. – Macie coś konkretnego czy tylko przecucie? Nie wygląda to na przypadek.

– Przy zabójstwach nie ma przypadków. Intuicja mi podpowiada, że coś tu nie gra. Gorman był dobrym śledczym, solidnym i prostoliniowym. O ile wiemy, nikomu nie zdradził, że prawdopodobnie wpadł na nowy trop. W końcu udało mu się odnaleźć Violet. I co? Ot, tak zdarzył się nieszczęśliwy wypadek? Zanim szef komukolwiek o swoim odkryciu powiedział?

– W jaki sposób zginął? – docieka Armstrong. – Wiem, że chroni pan prywatność rodziny, ale...

– Zjechał z urwiska w przepaść. Z tego, co słyszałem, stało się to tego dnia, kiedy poznał Mindy.

– Wypadki chodzą po ludziach – kwituje Ryder krótko, ale nie bez współczucia.

– Pani doktor, mogę spytać, jak pani się tu znalazła?

– Oczywiście. Moja siostra, Lauren, adoptowała Mindy, która miała wtedy zaledwie kilkanaście dni. Jej mąż, moja siostrzenica i ja dowiedzieliśmy się o tym dopiero parę dni temu. Lauren poznała swojego obecnego męża tuż po narodzinach dziecka, ale przed nim też trzymała adopcję w tajemnicy. Żadne z nas nie wiedziało, że Mindy nie jest jej biologicznym dzieckiem.

– To musiał być ogromny szok – włącza się Starr.

– Nawet sobie pani nie wyobraża.

– Dlaczego to się wydało właśnie teraz?

– Mindy potrzebuje przeszczepu komórek macierzystych, a żadne z nas nie może zostać dawcą. Nie łączy nas z nią choćby najbardziej odległe pokrewieństwo. Od tego się zaczęło. Kiedy się o tym dowiedzieliśmy, Lauren przyznała się, że adoptowała Mindy, i powiedziała, kto w tym procesie pośredniczył. Okazało się, że pewna lekarka z Denver sprzedawała dzieci. Nie mam pojęcia, jak Mindy znalazła się w Kolorado, jeszcze nie zdążyłam się tym zająć. Wczoraj natknęłam się na sprawę Zacka, zobaczyłam zdjęcia, porównałam DNA dziewczyny z profilem DNA Vivian w bazie CODIS i okazało się, że próbki do siebie pasują. Natychmiast tu przyleciałam namówić Zacka na wizytę w Kolorado i poddanie się testom. Może uratować jej życie.

– Dlaczego po prostu pani nie zadzwoniła? – pyta Starr.

– Chciałam porozmawiać z nim osobiście. Takie wiadomości powinno się przekazywać bardzo delikatnie. Musiałam też poprosić go o próbkę krwi, żeby sprawdzić, czy może zostać dawcą. Chodzi tu o dwie rzeczy: oczywiście spotkanie po latach, ale też ratowanie życia.

Parks kciukiem i palcem wskazującym przygląda wąsy. To pomaga mu się skupić.

– No i odnalezienie mordercy oraz porywacza. Mindy rzeczywiście jest aż tak chora?

– Śmiertelnie chora, a jej stan ciągle się pogarsza. – Ryder kiwa głową. – Dlatego działamy tak szybko. Wiem, że to dość niekonwencjonalna metoda prowadzenia śledztwa i że trudno będzie dojść, skąd doktor Castillo wzięła noworodka i w jaki sposób sprzedała go mojej siostrze. Nawiasem mówiąc, ta lekarka już nie żyje. – Juliet przełyka ślinę, w jej oczach nagle pojawiają się łzy. – Ale to może być jedyna szansa na uratowanie mojej siostrzenicy. Teraz, kiedy Zack już wie, gdzie jest jego córka, uważam, że Mindy ma pierwszeństwo przed śledztwem.

Pracownik lotniska woła pasażerów, żeby ustawili się w kolejce do wejścia na pokład samolotu. Policjantom zostało już dosłownie kilka minut.

– Zrobimy tak – odzywa się Parks. – Proszę zbadać krew pana Armstronga i sprawdzić, czy może zostać dawcą. Starr albo ja jutro przyjedziemy do Denver. Chętnie nawiążemy współpracę z panią albo z pani kolegami, ale musimy aktywnie włączyć się w śledztwo.

– Oczywiście. Im nas więcej, tym lepiej. – Juliet podaje mu komórkę. – Proszę wpisać swój numer telefonu. Kiedy tylko dostanę wyniki badań, będzie pan drugą osobą, do której zadzwonię.

– Chcę być pierwszą.

– Przykro mi, w pierwszej kolejności zadzwonię do lekarza Mindy i zawiadomię go, że może przygotowywać Zacka do pobrania szpiku kostnego.

Kolejne wezwanie do wejścia na pokład samolotu. Wszyscy spoglądają w stronę bramki.

– Musimy już iść. – Armstrong bierze smycz i zarzuca plecak na ramię. – Sierzancie, będziemy w kontakcie. Naprawdę tak samo jak panu zależy mi na odnalezieniu zabójcy Vivian.

Gliniarz patrzy za nimi, aż znikają w samolocie. Czuje rosnący niepokój, od którego aż zaciska mu się gardło. Starr stoi obok i sprawdza w telefonie rozkład lotów.

– Dziś wieczorem jest jeszcze jeden samolot, jutro są cztery loty bezpośrednie. Co robimy?

– Szczerze? Najchętniej wsiadłbym razem z nimi, żeby nie stracić Armstronga z oczu i jak najszybciej znaleźć się w Kolorado. Ale możemy

poczekać do jutra. Przed wyjazdem musimy ogarnąć jeszcze parę spraw. Poza tym, kto wie? DNA naszej slalomistki pasowało do profilu Vivian, prawda? Kiedy zbadają krew Armstronga, może się okazać, że zostanie odrzucony jako dawca.

– Chyba nie wierzysz w to, co mówisz.

Parks kręci głową.

– Wierzę, że świat to ciekawe miejsce. Co do reszty, to się jeszcze zobaczy.

DOM WRIGHTÓW

Lauren właśnie zasypia w fotelu w salonie, kiedy rozlega się dźwięk sygnalizujący nadejście SMS-a. To Juliet z najnowszymi wiadomościami.

Znalazłam Armstronga. Będziemy w Vail dzisiaj późno w nocy. Możemy się spotkać u Ciebie?

Panika przetacza się przez nią jak fala ognia. Lauren jest śmiertelnie przerażona – od tej pory wszystko, co się wydarzy, pociągnie za sobą poważne konsekwencje.

Mindy śpi w swoim pokoju. Kiedy ostatnio Lauren do niej zajrzała, jeszcze dobitniej sobie uświadomiła, jak bardzo skurczyła się jej córeczka, jaka jest krucha i blada na tle pościeli. Chwilowa ekscytacja wywołana wiadomością – nadzieją – kompletnie wyczerpała dziewczynę; Lauren obawia się, że teraz jej dziecko czuje się jeszcze gorzej. Ogarnia ją nagła potrzeba malowania, uwiecznienia na płótnie tego obrazu śpiącej córki. Zatykują go Sen przed śmiercią.

O Boże, Lauren. Dlaczego tak makabrycznie?

Jak Mindy sobie z tym wszystkim poradzi? Muszą być z nią szczerzy – choć tyle są jej winni. Ale co się stanie, jeżeli się okaże, że Armstrong nie może zostać dawcą?

Myśl o tym, że Lauren może stracić córkę, jest potworna. Wręcz niewyobrażalna.

W końcu wyszła na jaw jej tajemnica. Cała rodzina już o tym wie. Lauren czuje się pusta jak zasuszony owad, wyspany do ostatniej kropli przez pająka i leżący na podłodze za firanką. Musiała ujawnić swój sekret, absolutnie nie miała innego wyjścia, ale teraz jej życie całkowicie się zmieni. Odtąd już nie jest po prostu Lauren Wright, matką Mindy, żoną Jaspera i siostrą Juliet. Stała się kobietą, która ukrywała prawdę. Kobietą, która miała tajemnice. Kobietą, która kłamała.

Od samego początku, odkąd tylko postanowiła przywieźć Mindy z powrotem do domu, wiedziała, że nadejdzie taka chwila, kiedy ludzie się dowiedzą, że jej dziecko zostało adoptowane. Właściwie miała szczęście. Najbliżsi kochają ją tak bardzo, że już jej wybaczyli. Prawda? Czy też po prostu postanowili wstrzymać się z wymierzeniem kary, dopóki nie zobaczą, co z tego wyjdzie? Czy ceną jej postępowania, zaprzeczeń i sekretów, będzie życie dziecka?

Nie ma złudzeń. Jeżeli Mindy umrze, motywy działania Lauren nikogo nie zainteresują. Jeżeli jednak wyzdrowieje, Lauren raczej nie dostanie szansy, by odkupić swoje grzechy.

Przychodzi kolejny SMS od Juliet.

Jesteś tam?

Natychmiast odpisuje:

Przepraszam, poszłam do Mindy. To niesamowita wiadomość. Kiedy wyniki?

Szybka odpowiedź:

Wpadnę do Camerona, zrobię kopię i natychmiast wprowadzę je do systemu. Jeżeli DNA będą do siebie pasowały, dr Oliver na pewno najpierw zrobi własne testy. Wszystko powinno się okazać wcześniej rano.

Lauren aż zapiera dech w piersi.

Tak szybko? Czy to w ogóle możliwe?

Juliet odpisuje:

My, naukowcy, potrafimy działać szybko, jeżeli tylko mamy dobry powód. Przekaż Mindy, żeby się trzymała.

Lauren na chwilę przygryza dolną wargę.

Juliet, czy to on? Mnie możesz powiedzieć.

Lauren dłuższą chwilę czeka na odpowiedź. Tak jakby Juliet pisała długi, szczegółowy tekst, aż w końcu na ekranie pojawiają się tylko cztery słowa:

Nie mam żadnych wątpliwości.

A potem jeszcze:

Jasne, potrzebujemy dowodu, ale to naprawdę on. Są bardzo podobni do siebie. Teraz musimy tylko trzymać kciuki, żeby jego DNA okazało się na tyle zgodne, by mógł zostać dawcą komórek macierzystych.

Lauren nie hamuje entuzjazmu.

O Boże, obyś miała rację.

Juliet dodaje:

Policjanci z Wydziału Zabójstw w Nashville zachowali się bardzo w porządku. Poprowadzą całe śledztwo albo jego dużą część, bo ta sprawa podpada pod ich jurysdykcję. My będziemy z nimi ściśle współpracowali.

Lauren zamiera na chwilę. W końcu wystukuje:

Śledztwo?

Siostra wyjaśnia:

Przede wszystkim chcą się dowiedzieć, skąd dr Castillo wzięła Mindy. Pamiętaj, że matka dziewczyny została zamordowana. Musimy odkryć, co się stało. Ale nie martw się. To nie będzie miało żadnego wpływu na Melinę. Mówiłaś dr. Oliverowi, co robisz?

– Mamo?

Ostatni SMS:

Muszę kończyć, Mindy mnie woła. Spokojnego lotu.

Lauren chowa telefon do prawej tylnej kieszeni spodni i szybko idzie do pokoju córki.

– Wszystko w porządku, kochanie? Coś się stało?

Mindy trzyma rękę na brzuchu. Zrobiła się taka malutka, wymizerowana. Wygląda, jakby miała osiem lat, jej oczy są ogromne w łysej głowie, która lśni w świetle.

– Nie za dobrze się czuję.

– Brzuszek cię boli? Co ci przynieść? Piwo imbirowe?

– Tak.

– Poczekaj chwilkę, skarbie. Już idę.

Lauren serce pęka z bólu. Jej córka przemienia się w jakieś inne dziecko, inną duszę. Ambitna Mindy nie cierpiała prosić o cokolwiek. Szybko się

usamodzieliła i nigdy z tego nie wyrosła. Aż do teraz. Lauren przez chwilę myśli ze strachem, że jej ukochana kruszynka się poddała, że przestała być sobą, ale szybko odsuwa tę obawę. Tłumaczy sobie, że terapia tuż przed przeszczepem jest szczególnie przykra. Lekarze pewnie będą musieli zmienić dawkę leków przeciwwymiotnych. Obiecuje samej sobie, że nie przejdzie na mroczną stronę. Nie teraz, kiedy potencjalny dawca już jest w drodze.

Wyjmuje z lodówki piwo imbirowe, przelewa je do kubka z lodem i wyrzuca pustą puszkę do kosza na śmieci. Wkłada do piwa zginaną słomkę, potem bierze z blatu marker i starannie rysuje na kubku uśmiechniętą, zezowatą buźkę z wyciągniętym językiem – idealne odwzorowanie emotki, którą Mindy wstawiała do swoich wiadomości na znak, że się wygłupia. Zrobi wszystko, cokolwiek, żeby chociaż trochę rozweselić bidulkę, czymś ją zająć. To pogorszenie samopoczucia po wczorajszym przypiływie euforii jest przerażające. Lauren nie wie, jak sobie z tym poradzić. Może tylko nadal się uśmiechać i zapewniać, że wszystko będzie dobrze.

Ale czy to wystarczy? Zwłaszcza jeżeli okaże się, że Zack Armstrong nie może zostać dawcą? Czy wtedy Mindy po prostu zgaśnie, przestanie walczyć? Doktor Oliver często powtarzał, że każdy pacjent ma jakąś kontrolę nad chorobą, ale w pewnym momencie presja, by panować nad swoim losem, staje się za duża i chory postanawia się poddać.

Lauren była przy tym, kiedy jej matka zrezygnowała z dalszej walki. Zmarła, cicho i spokojnie, dwanaście godzin później. Bez żadnych werbli. Bez dramatycznych scen. Po prostu zgasła jak iskierka.

Boże, proszę. Błagam. Zrobię wszystko, jeżeli dasz jej siłę. Obdarz ją nadzieją. Pomóż mi wesprzeć to dziecko.

Kiedy wraca do pokoju, Mindy siedzi w łóżku z koszem na śmieci na kolanach.

– Zwymiotowałaś?

– Jeszcze nie. Ale było blisko. – Słaby uśmiech.

Lauren podaje jej kubek z głupią minką. Dziewczyna upija kilka łyków, zamyka oczy, potem zwraca wszystko do kosza.

SZPITAL W VAIL

– Grypa żołądkowa – stwierdza pielęgniarka, która wcześniej pobrała Mindy krew i zmierzyła temperaturę. – Na naszym piętrze szaleje wirus. Podamy kroplówkę i silniejsze leki przeciwwymiotne. Może uda się szybko z draniem rozprawić. Taka grypa trwa dwadzieścia cztery godziny.

Przyjmują Mindy na oddział, zakładają wenflon, podłączają do kroplówki z solą fizjologiczną i wiozą do sali. Na tym piętrze czworo innych dzieci ma podobne objawy. Na nocnej zmianie wszystkimi opiekowała się pielęgniarka, która już wieczorem czuła się słabo; potem nie przysłała do pracy.

Personel zapewnia opiekunów, że to nic takiego, ale każdy jednak się niepokoi. Wirus w szpitalu to poważna sprawa, a na oddziale onkologicznym może przynieść katastrofalne skutki. Lauren uprzedza Jaspera, żeby nie przychodził; sama opiekuje się Mindy. Modli się w duchu, żeby córka szybko pokonała wirusa i żeby ona, siedząc z Mindy non stop, sama się nie zaraziła.

Parę godzin później, kiedy wyczerpanej nastolatce w końcu udaje się zasnąć, w drzwiach pojawiają się jakieś ciemne postacie.

To Juliet; obok niej wysoki, potężnie zbudowany ciemnowłosy facet. Lauren rozpoznaje go ze zdjęć w gazetach. Teraz mężczyzna wygląda nieco starszej, ma zmarszczki wokół oczu i trochę siwych włosów na skroniach, ale poza tym w ciągu tych siedemnastu lat niewiele się zmienił. Sprawia wrażenie bardzo zmęczonego i oszołomionego.

Lauren wstaje, zaskoczona własnym brakiem sił – o nie, czyżby rzeczywiście się zaraziła? – i ręką daje im znak, żeby cicho wyszli na korytarz.

Juliet posłusznie opuszcza salę, ale Armstrong nie rusza się z miejsca. Nadal stoi w drzwiach i patrzy na niespokojnie śpiącą, podłączoną do

kroplówki dziewczynę. Zewsząd dobiegają go odgłosy maszyn, jęki, dzwonki telefonów i nawoływania. Lauren widzi, że do oczu napływają mu łzy. Z trudem przełyka ślinę, wie, że kilka najbliższych dni będzie najtrudniejszym okresem w ich życiu. Spokojnie czeka, aż mężczyzna weźmie się w garść.

„Tak czuje się człowiek, który stracił dziecko”, myśli. Jej serce wyrywa się do niego, jakby mogła wszystko naprawić i oddać mu ostatnie siedemnaście lat.

W końcu Armstrong raz jeszcze pociąga nosem, nieco się przesuwa i wtedy Lauren dostrzega psa. Pies? W szpitalu? Jakim prawem... I wtedy jej wzrok pada na szelki. Pies towarzyszący. Ten wysoki, mocno zbudowany gość potrzebuje takiego wsparcia?

Cóż, był w wojsku. Może ma zespół stresu pourazowego? Ostatnio czytała w prasie sporo historii o PTSD.

Albo załamał się po utracie żony i córki?

Wskazuje w głąb korytarza, a on kiwa głową; idą bez słów, dopóki nie oddalą się od sali na bezpieczną odległość. Pies człapie obok nich, pazury stukają o podłogę.

– Złapała grype żołądkową – odzywa się w końcu Lauren. – Od kilku godzin wymiotuje.

– Jest strasznie wychudzona...

– Ostatnie dni były dla niej bardzo trudne. Dowiedziała się, że została adoptowana, a teraz jeszcze ten wirus. Jest silna, ale w takiej sytuacji nawet najmocniejszy człowiek by się podłamał. Lauren Wright, matka Mindy – przedstawia się i wyciąga rękę. W jej głosie brzmi ledwo wyczuwalny zaczepny ton. Ona jest moja, chociaż również twoja.

– Zack Armstrong. A to Kat. – Pies macha ogonem, uderzając nim o nogę swojego pana.

Lauren zauważa, że Juliet trzyma się z daleka, zupełnie jakby chciała zobaczyć, jak sobie poradzą we dwoje. Czego się spodziewa? Myśli, że Lauren będzie krzyczała, przyciskała Mindy do piersi i nie pozwalała mu się zbliżyć, żeby nie odebrał jej dziecka? Ten człowiek daje im największą nadzieję na uratowanie Mindy i na tym etapie Lauren zrezygnowała

z wszelkich roszczeń. Słyszy jedynie cichy głosik, który woła gdzieś w głębi jej umysłu: Moja, moja, moja.

– Piękny pies – chwali.

– Piękne dziecko – mówi Armstrong z tak wielkim cierpieniem, że Lauren nieomal się wzdryga.

– Usiądźmy. – Juliet wskazuje w kierunku pokoju rodzinnego, ale Lauren odmawia.

– Mindy teraz śpi, ale przez pięć godzin wymiotowała, więc nie chcę zbyt blisko się od niej oddalać. Jeśli można, wolałabym porozmawiać tutaj. – Ostatnie słowa kieruje do Armstronga, który tylko kiwa głową. – Kiedy się obudzi, przedstawię jej pana.

– Jest na to gotowa? Czy z powodu stresu nie poczuje się jeszcze gorzej? Nie chcę w jakikolwiek sposób jej zaszkodzić. – Głos więźnie Zackowi w gardle.

Lauren delikatnie dotyka jego ręki: co za dziwne uczucie, jego ciało jest ciepłe i twarde. Szybko cofa dłoń.

– Mindy wie, że pan istnieje. Myślę, że teraz nie będzie już tak bardzo zestresowana. Poza tym macie identyczne oczy. To ją na pewno zafascynuje.

– Mimo wszystko... No i proszę mówić mi po imieniu.

Juliet patrzy na zegarek.

– Dochodzi dziesiąta. Cam mógłby już zadzwonić.

Przez parę chwil stoją w niezręcznym milczeniu, aż w końcu Lauren uśmiecha się nieśmiało i pyta:

– Opowiedzieć ci anegdotkę o Mindy?

W ułamku sekundy wyraz jego twarzy zmienia się z posępnego na ożywiony.

– Chętnie usłyszę każdą jej historię.

– Była... jest... bardzo dojrzała jak na swój wiek. Raz, kiedy miała pięć lat, zobaczyliśmy, że wspina się na regał z książkami. Spodobała jej się okładka jakiegoś tomiszcza na najwyższej półce: czarna, z gwiazdami na grzbiecie. Zdjęłam dla niej tę książkę. Okazało się, że to jeden

z podręczników astronomii. Juliet go u nas zostawiła. Mówiła ci, że chciała się dostać do programu astronautycznego?

Zack kręci głową.

– Rozmawialiśmy właściwie tylko o Mindy.

– Powinna zostać astronautką. Zabrakło jej ułamka punktu.

– Daj spokój – wtrąca Juliet, rumieniąc się.

– Przepraszam. Po prostu do tej pory nie mogę się pogodzić z tym, że cię nie przyjęli. Ale wracając do historyjki: Mindy usiadła na kanapie z tą księgą, tak ogromną, że nie mieściła się w całości na jej kolanach, i zaczęła przewracać kartki. Wtedy jeszcze nie czytała zbyt dobrze. Radziła sobie z książeczkami dla dzieci, ale ta cegła była dla niej o wiele za trudna. Przycupnęłam obok niej, a ona podniosła głowę i poprosiła: „Mamusiu, pokaż mi Drogę Mleczną. Chcę zobaczyć batoniki na niebie^[3]”. – Oboje się uśmiechają. – Rozzłościła się, kiedy jej powiedziałam, że na niebie nie wiszą żadne batoniki. Milky Way to jej ulubione, ale rzadko je jada, bo są niezdrowe. Ma obsesję na punkcie właściwej diety, to jeden z elementów jej treningu. Nic przetworzonego, nic, co nie jest naturalne. Na jedzenie dla niej wydajemy mnóstwo pieniędzy.

– Nie rozmawiajmy więc o tym, co je, odkąd tu trafiła – wtrąca Juliet. – Przyznaję się, że niedawno znowu przyniosłam jej pudełko Hot Tamales.

Juliet spostrzega, że Armstrong nagle znieruchomiał.

– Co się stało?

Zack potrząsa głową, jakby właśnie się ocknął z głębokiego snu. Juliet myśli, że może takie przebudzenie zdarzyło mu się pierwszy raz od wielu lat.

– Och, nic takiego. Ja też najbardziej przepadam za Milky Way. Co jeszcze lubi?

– Psy. Na pewno zakocha się w Kat. Poza tym ziarna słonecznika. Zajada je całymi garściami. Wrzuca do ust i wypluwa łupinki. Do każdej potrawy dodaje awokado, natomiast arbuza nie cierpi. Nie wiemy dlaczego.

Na twarzy Zacka pojawia się zdumienie.

– Vivian miała alergię na arbuzy.

– Wobec tego chyba znamy odpowiedź.

– Co jeszcze?

– Pisze wiersze, tyle że nikomu ich nie pokazuje. No i oczywiście jeździ na nartach. Żebyś widział, jak śmiga ze stoku. Nieprawdopodobny widok. Narty to jej największa miłość.

– Koniecznie muszę to zobaczyć. No i chciałbym z nią porozmawiać. Zrobiłaś... zrobiłaś dla niej wszystko, to widać. – Głos mu się załamuje.

– Wszystko oprócz jednego. Nie potrafię jej wyleczyć. Nie wiem, skąd u niej się wziął ten nowotwór. Ktoś w twojej rodzinie chorował na raka?

– Tak, mama, na raka piersi. Zmarła... – Jego oczy zachodzą łzami. – Zmarła tuż przed tym, jak Vivian... jak dziecko się urodziło.

– Tak mi przykro – mówi Lauren. – Śmierć rodziców to straszne przeżycie.

Kiedy rozlega się dzwonek telefonu Juliet, niemal podskakują, przestraszeni.

Juliet widzi na twarzach siostry i Zacka nadzieję połączoną ze strachem. Staje do nich tyłem i odbiera telefon.

– Tu Cameron. Mam coś, co powinno cię zainteresować.

– Cała zamieniam się w słuch. Poczekaj chwilę. – Z powrotem odwraca się do Armstronga i Lauren, którzy śledzą każdy jej ruch; kręci głową. – Sprawy zawodowe. Wracam za kilka minut.

Znów przykłada komórkę do ucha.

– No, dawaj, Cam. Są wyniki?

– Jeszcze nie. Jestem w trakcie badań. Dzwonię w innej sprawie. Castillo miała współnika.

– Co takiego?

– Udało mi się wyśledzić kobietę, o której wspominała twoja siostra. Niejaką Gracielę Flores. Mieszka w Alamosa. Zgodziła się porozmawiać ze mną, kiedy powiedziałem, że szukamy dawnych pacjentek doktor Castillo. Krótco mówiąc, dowiedziałem się, że z lekarką współpracował jakiś facet; to on przynosił pieniądze. Zapłacili Gracieli w ratach. Dostała dwa tysiące zaliczki i kolejne dwa tysiące parę tygodni już po porodzie, kiedy dziecko znalazło się u nowej rodziny.

– Cztery tysiące? Lauren twierdzi, że zapłaciła dziesięć.

– Niezły zysk, co? Sześć tysięcy od dziecka.

– Całkiem przyzwoity. Jak się nazywa ten koleś?

– Carlos Fuentes. Z tego, co się zorientowałem, obecnie odsiaduje wyrok w Federalnym Zakładzie Karnym w Englewood za oszustwa pocztowe.

– Poważnie? To niedaleko.

– Zgadza się. Juliet, słuchaj. Myślę, że najwyższa pora pchnąć tę sprawę dalej.

– Tak, racja. Już rozmawiałam z policją z Nashville, przyjadą pewnie jutro. Kiedy tylko pojawią się wyniki testów, okaże się, czy Zack, daj Boże,

nadaje się na dawcę, i zaczyna się przygotowania do przeszczepu. Ja wtedy zajmę się kryminalnym aspektem tej sprawy. Ty już zakończ swoje śledztwo. Bardzo mi pomogłeś, nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

– Coś się wymyśli. Może w końcu wywabię cię z CBI.

– Nie zaprzeczam, okay? Będziemy w kontakcie.

Juliet rozłącza się i wraca do Zacka i Lauren, którzy niecierpliwie na nią czekają.

– Mam nowe wiadomości, informację dotyczącą doktor Castillo. Lauren, pamiętasz jej współnika o imieniu Carlos? Carlos Fuentes?

– Nie, pierwsze słyszę o kimś takim. Zawsze rozmawiałam tylko z nią. Co to za facet?

– Zdaje się, że był kurierem. Przekazywał pieniądze matkom, którym Castillo pomagała.

– Chryste, jakie to wszystko zawiłe. – Lauren dotyka czoła, jakby zaczynała boleć ją głowa. – Jeżeli pozwolicie, wrócę do Mindy. Nie za dobrze się czuję. Obym i ja nie złapała tego wirusa. Zack, zatrzymaj się u nas. Juliet ma klucze. Pojedźcie do domu, zostawcie bagaże i wyskoczcie gdzieś na kolację, co? Kat pewnie też zgłodniała. Może jeszcze kilka godzin i Mindy trochę wydobrzeje.

– To bardzo miłe z twojej strony, ale nie chcę wam się narzucać. Wynajmę pokój w hotelu.

– Nalegam. Jasper niedługo wróci z pracy, o ile już nie przyjechał. Powiedziałam mu, że w szpitalu szaleje wirus i żeby tu nie wpadał. Zaopiekuje się wami.

– Zack, nie walcz z Lauren. To bez sensu. Jest urodzoną organizatorką. Muszę przyznać, lecę z nóg. Za mną ciężki dzień; poza tym nie wiemy, kiedy Mindy się obudzi. Zack, zjedzmy coś i odpocznijmy, co ty na to?

Nie odpowiada.

– Doskonale rozumiem, że chcesz być przy niej – włącza się znów Lauren. – Ale lepiej nie decyduj się na pierwsze spotkanie, kiedy dokuczają jej mdłości. To nieprzyjemny widok, oboje będziecie się stresowali. Idźcie. Zadzwoń, jeżeli coś się zmieni.

Juliet ciągnie Zacka za rękę. Kat wstaje i przechyla głowę. Mija ich grupa pielęgniarek, omiatają całą trójkę przelotnym spojrzeniem. Przekazanie dyżuru. Juliet z doświadczenia wie, że teraz przez jakiś czas będzie panował chaos, dopóki nowa zmiana nie rozeźna się w aktualnym stanie pacjentów. Potem przyjdzie czas na lekarstwa, sprawdzanie parametrów życiowych i inne utrapienia. Nawet jeżeli niedługo Mindy się obudzi, ciągle ktoś będzie im przerywał.

– Zack, nie przeszkadzajmy im teraz w pracy. Chodźmy.

Mężczyzna jeszcze raz rzuca okiem na śpiącą postać w biało-żółtej sali i kiwa głową.

DOM WRIGHTÓW

Pierwsza myśl Zacka na widok posesji Wrightów to: jaka wielka. Wrightowie na pewno nie klepią biedy. Ich dom wygląda niczym luksusowy hotel w górach albo jak obiekt ze zdjęcia z rozkładówki magazynu architektonicznego. Teraz, w nocy, wzdłuż podjazdu palą się ciepłe światła, które widać również za oknami. Armstrong wyobraża sobie, jak to miejsce musi wyglądać za dnia. Kiedy jechali na górę, droga w kilku miejscach skręcała pod kątem stu osiemdziesięciu stopni. Teraz można odnieść wrażenie, że znaleźli się na najwyższym szczycie świata. Kiedy Kat opiera głowę na jego ramieniu, Zack czuje przy uchu miękką sierść na jej pysku i cieszy się, że nie jest sam.

Widok chorej nastolatki wzbudził w nim współczucie, które wyparło resztę emocji. Mindy – musi się nauczyć tak ją nazywać, bo dziewczynie jest teraz potwornie ciężko, a Violet, którą stracił tyle lat temu, zastąpiło to nieznajome, wychudzone dziecko w szpitalnym łóżku. Zack nie ma pojęcia, co przyniosą kolejne dni, ale wie, że musi trzymać pion. Na tyle, na ile to możliwe. Kat bardzo mu w tym pomaga. Jej zadanie polega na tym, żeby nie pozwolić mu stracić równowagi. Zna jego nastroje, wie, kiedy wspomnienia go przytłaczają, kiedy zaczyna się rozpadać.

Doskonale do siebie pasują. Kat nie zdała egzaminu na psa policyjnego, bo była za bardzo rozbrykana. „Niepoważna” – jak to ujął jej opiekun, Chad Mishin, stary kumpel Zacka z wojska. Teraz prowadzi organizację charytatywną zajmującą się szkoleniem zwierząt dla emerytowanych wojskowych oraz dzieci ze spektrum autyzmu. Zack pojechał tam na weekend z paroma kolegami ze swojego dawnego plutonu. Ośrodek znajduje się na farmie na południu Kentucky, nieopodal Bowling Green.

Chad oprowadził ich po terenie i opowiedział o zasadach panujących w tym świecie.

– Psy policyjne muszą mieć konkretny rodzaj temperamentu. Widzicie tę suczkę przy ogrodzeniu? Jest zbyt głupiutka, żeby pracować dla wojska czy policji. Potrzebujemy poważniejszych psów. Z właściwym podejściem.

Zack popatrzył na wyrośniętego, rozbawionego szczeniaka i mimowolnie uśmiechnął się od ucha do ucha. Suczka właśnie wytropiła kreta i radośnie wykopywała go z ziemi; potem go podrzuciła i zaczęła obskakiwać. Ale tylko się tak bawiła, nie próbowała zrobić mu krzywdy.

– To chyba idealny pies dla mnie – stwierdził, śmiejąc się z jej wygłupów.

– Pajac z niej. Popisuje się, bo wie, że na nią patrzymy. Zbyt silna osobowość może być problematyczna, zbyt słaba tak samo. Pies musi mieć bardzo konkretne cechy, żeby pracować z dziećmi albo byłymi żołnierzami, którzy przeżyli traumę. Oddamy ją do zwykłej adopcji. Ma rodowód. Dostanę za nią niezłą sumkę.

– Ja ją wezmę – wypalił Zack, zanim te słowa w ogóle pojawiły się w jego umyśle.

– Żartujesz?

– Nie. Od lat tak się nie uśmieiałem. Może potrzebuję takiego pajaca.

Okazała się wcale nie aż tak głupiutka, jak wszyscy myśleli. Wyrosła na wspaniałego towarzysza – poważnego, kiedy trzeba, ale też wesołego i kochającego. Zawsze była przy swoim panu, kiedy potrzebował wsparcia albo gdy budził się ze złych snów. Zaczęły go nawiedzać po tym, jak w Afganistanie został zdradzony, ranny i zostawiony na łaskę losu w starym magazynie, a po śmierci matki i potem po przyjeździe do domu znalazł swoją żonę martwą na podłodze w kuchni, bez dziecka.

Kat już była zarejestrowana jako pies towarzyszący, więc miała wyrobione papiery. Zack stwierdził, że nie są mu potrzebne, ale jego kolega nalegał:

– Weź, weź. Może kiedyś będziesz musiał z nią gdzieś pojechać albo zabrać ją w miejsce, gdzie co do zasady nie wpuszczają psów. A swoją drogą, fajnie, że zdecydowałeś się na adopcję. Gdybym wiedział, w jakim jesteś stanie, sam bym ci to zasugerował. Marnie wyglądasz, stary.

Zack miał ochotę walnąć go pięścią w nos, ale tylko zebrał rzeczy Kat i zawiózł ją do swojego domu w Nashville. To było cztery lata temu i od tamtej pory – aż do teraz – tylko raz musiał założyć jej szelki z napisem „Pies towarzyszący”. Cholernie się cieszy, że wziął ją ze sobą. Czuje się niepewnie, jest wytrącony z równowagi, a ona to wie. Trąca go pyskiem, liże po nosie, jej ciemne oczy patrzą na niego poważnie. Zawsze wyczuwa, kiedy Zack jest bliski załamania.

– Czy Kat nie będzie przeszkadzała Jasperowi?

– Nie, nie. Kiedyś mieli psa. Po jego śmierci nie wzięli kolejnego, bo ciągle wyjeżdżali. Musieliby często zostawiać go w hoteliku dla zwierząt, zwłaszcza kiedy wybieraliby się na dłużej do Europy czy Kanady. A takie rozłąki uznawali za okrucieństwo. Mindy ich błagała, ale pozostali nieugięci. Teraz Jasper na pewno się ucieszy, kiedy w ich domu znowu pojawi się taki uroczy futrzak. – Juliet zatrzymuje się przed garażem. – Wypuść ją. Szwagier chyba jest w domu. Widziałam jakiś ruch w kuchni. Pójdę przodem i go uprzedzę. Wejdziesz, kiedy będziesz gotowy.

– A może to zły pomysł?

– Nie, na pewno nie. Daję słowo. Zobaczysz, wszyscy będziemy jak jedna wielka rodzina.

Rodzina. Doprawdy?

W ogóle tego nie przemyślał. Przeżył szok, kiedy dowiedział się o Mindy – Violet – Boże, sam już nie wie, jak ją nazywać. Nie chce sobie robić nadziei, lecz pragnie tego spotkania tak bardzo, tak rozpaczliwie, aż do utraty tchu.

Ale co robi, jeżeli się okaże, że to rzeczywiście jego córka? Zabierze ją do domu w Nashville, tak jak Kat? Przeprowadzi się do Kolorado, żeby być przy niej? Pozwoli, żeby dalej mieszkała z Jasperem i Lauren? Dostanie prawo do opieki i będzie ją zabierał na weekendy?

Jeżeli to jego dziecko, to właściwie jakie on ma prawa? Jakie prawa mają Lauren i Jasper? I czy próbując ograniczyć ich prawa, nie zachowa się jak skurwysyn?

Udaje mu się odeprzeć nagły atak lęku. Prowadzi Kat na brzeg podjazdu; suczka zaczyna wesoło węszyć wśród skał. Po ostatniej zamieci nadal leży

tu śnieg, świeży i nietknięty. Tylko przy dębie niedźwiedzim widać czarne ślady na bieli, wgłębienia, które pewnie zostawiły sarny. Dobrze, że dla węży jeszcze za zimno. Kat uwielbia wszystko, co się rusza, a najbardziej właśnie węże. A w tych górach pełno jest jadowitych odmian.

Kat załatwia się, potem przywiera do boku swojego pana i patrzy na dom, jakby ona też się obawiała, że zaraz stanie na grząskim gruncie.

Otwierają się drzwi i na werandę wychodzi Juliet. Zack czuje zapach pieczonego mięsa – to pewnie hamburgery.

– Co tak długo? – woła Juliet. – Chodźcie. Powiedziałam Jasperowi, że nie jedliśmy kolacji. Wrzucił parę hamburgerów na grilla. Głodny?

– Bardzo – odpowiada Zack, robi głęboki wdech i idzie po schodkach do wejścia.

Jasper w każdym calu wygląda jak prawnik podczas weekendu – od wyprasowanych sportowych spodni, poprzez białą koszulkę polo zapinaną pod szyją na guziki, aż po burzę jasnych, lekko zmierzwionych włosów. Dość serdecznie ściska przybyszowi dłoń. Biorąc pod uwagę okoliczności, zachowuje się niezwykle uprzejmie; zaprasza gościa do stołu.

– Piwo? Wino? Jakie hamburgery lubisz?

– Dzięki, poproszę piwo. I hamburgera z dobrze wysmażonym mięsem.

– Mindy też takie lubi – zauważa Juliet. – Wiesz, Jasper, dzisiaj graliśmy w taką grę. Szukaliśmy rzeczy, które Zack i Mindy lubią tak samo.

– O, fajnie. – Jasper stawia na stole dwa heinekeny, siada na krześle naprzeciwko Armstronga i pociąga łyk piwa. – To wszystko jest dla mnie niesamowicie dziwne, dla ciebie na pewno też. Myślałem, że biologiczny ojciec Mindy od dawna nie żyje, a Lauren nie wyprowadzała mnie z błędu. Trzymajmy się razem, dobrze?

Stuka swoją butelką o butelkę Zacka i wstaje, żeby przewrócić hamburgery na drugą stronę. Juliet patrzy za nim z uśmiechem, potem uśmiecha się do Zacka i podnosi piwo jak w toaście. „Widzisz?”, mówią jej oczy. „Jedna wielka, szczęśliwa rodzina na grillu, przy piwku w górskiej willi”.

Wszyscy go traktują trochę jak stukniętego sąsiada, są tak troskliwi i uprzejmi, że zaraz chyba zagłaszczą go na śmierć. Zack nie może oprzeć się myśli: „Czy oni nigdy nie tracą panowania nad sobą? Dla wszystkich są tacy mili? I dla przyjaciół, i dla obcych ludzi? Nie udają?”.

Z nagłym przestraszeniem uświadamia sobie, że im nie ufa. Decyzję o tej długiej podróży podjął na podstawie paru zdjęć i kilku zbiegów okoliczności, z nadzieją że odnajdzie porwaną córkę i odpowiedzi na pytania, które go przesładują od tylu lat. Przecież to mogą być zupełnie przypadkowi ludzie. A jeżeli wpadł w pułapkę? Czyżby intuicja całkowicie go zawiodła? Cholera, za dużo tego jak na jeden dzień. Za dużo.

Przetacza się przez niego fala paniki. Nagle ogarnia go dziwne uczucie, robi mu się słabo, bolą go mięśnie.

– Dobrze się czujesz? – Juliet zauważa, że coś się z nim dzieje. – Na pewno jesteś zmęczony. W każdym razie ja padam.

Wydaje mu się, że słabnie. Dali mu jakieś narkotyki? Dosypali czegoś do piwa?

– Gdzie jest łazienka?

– Pierwsze drzwi po prawej na korytarzu.

Zamyka za sobą drzwi i ochlapuje twarz zimną wodą. Trochę lepiej, ale nadal czuje się marnie. Boli go brzuch. Może w szpitalu złapał wirusa grypy żołądkowej? Ale czy objawy wystąpiłyby tak szybko? Zack nie jest chorowity – ma silny organizm, również dzięki zdrowemu trybowi życia i regularnym ćwiczeniom. Nie pamięta, kiedy ostatnio miał coś poważniejszego niż zwykle przeziębienie.

Z kuchni dobiegają głosy: ciche, stłumione. Uchyła drzwi.

– ...typowe dla Lauren, prawda? – Juliet brzmi wyraźniej niż Jasper.

– Jest taka łatwowierna. – Gospodarz wypowiada te słowa ze smutkiem i czymś jeszcze, może odrobiną miłości lub dezorientacji.

– Świetnie sobie z tym wszystkim radzisz.

– Widzisz inne wyjście? Chcę tylko, żeby Mindy wyzdrowiała. Emocjami i kłamstwami Lauren zajmę się później. Po prostu...

– Co?

– Nie wiem. To się dzieje zbyt szybko. Zupełnie jakby Lauren zaprowadziła nas prosto do Armstronga. A może chciała, żebym zobaczył, że szuka go w sieci? Czy w ogóle powiedziałyby nam o nim, gdybym jej nie przyłapał?

– Myślę, że tak, ale dopiero wtedy, kiedy stan Mindy bardzo by się pogorszył. Przynajmniej taką mam nadzieję. Nie wyobrażam sobie, żeby beczynn timer patrzyła, jak dzieciak się męczy. Poza tym zrobiłam badania DNA i natknęłam się na tę starą sprawę. Tak czy siak dotarlibyśmy do niego.

– Ale dlaczego nie powiedziała prawdy, kiedy tylko się dowiedzieliśmy, że nasza córka potrzebuje przeszczepu? Przecież musiała wiedzieć, że żadne z nas nie może zostać dawcą i że trzeba szukać go w bazie.

– Zadałam jej to samo pytanie. Odparła, że nie rozumiała, jak cały proces działa, że te naukowe sprawy są dla niej za trudne. Sądziła, że po prostu wystarczy oddać krew.

Zack wychwytuje w tonie tej wypowiedzi zamyślenie. Wyobraża sobie, jak Juliet siedzi przy stole, z przechyloną głową, stukając palcami w szyjkę butelki.

– I w ten sposób ci tłumaczyła, mimo że zajmujesz się badaniem DNA? Boże, czy ona naprawdę jest aż tak naiwna, czy to po prostu wyparcie?

– Obstawiam to drugie. Ale rzeczywiście nigdy nie radziła sobie zbyt dobrze z naukami ścisłymi. Już w dzieciństwie zawsze chodziła z głową w chmurach.

Zack zastanawia się nad tym, co usłyszał; ta rozmowa wydaje mu się bardzo dziwna.

Dochodzi też do wniosku, że jednak nie umiera. Osłabienie, co prawda, nie ustąpiło, ale też się nie zwiększyło. Nie został więc otruty ani nie zaraził się grypą. Na pewno po prostu zmęczenie i stres dają o sobie znać. Może powinien już tam wrócić, zanim pomyśla, że chodzi po domu i zagląda do szuflad.

Spuszcza wodę, potem, idąc przez korytarz, chrząka, żeby ich uprzedzić.

– Źle się czujesz na tej wysokości? – zagaduje Jasper. Spokojnie kroci pomidory, jakby nie rozmawiał przed chwilą ze szwagierką o kłamstwach swojej żony i sprawach życia i śmierci.

– Zgadza się – jęczy w odpowiedzi. – I to jak. – Teraz przypomina sobie obezwładniające mdłości i panikę, które go dopadły w Hindukuszu, w Afganistanie. – Dawno nie byłem tak wysoko. Zupełnie zapomniałem, jakie to uczucie.

– Pij dużo wody i weź ibuprofen – radzi Juliet i zaczyna grzebać w torebce. – Chyba gdzieś go tu mam. Powinien pomóc. – Podaje mu tabletki i nalewa wody do szklanki. – Wypij to, potem jeszcze ze dwie

szklanki. Jesteś odwodniony, więc niedługo zrobi ci się jeszcze gorzej, jeżeli cię napoimy i nie nafaszerujemy lekami przeciwbólowymi.

Zack pozwala, żeby Juliet mu matkowała, żeby wzięła go pod swoje skrzydła. To miłe uczucie, kiedy ktoś o ciebie dba, nawet jeżeli ten ktoś ma pośredni związek z twoimi najgorszymi wspomnieniami.

– Kat lepiej też dać więcej picia. – Jasper bierze dużą miskę ze stali nierdzewnej. – Wysokość wpływa na zwierzęta tak samo jak na ludzi. No i musimy cię nakarmić. Burgery i frytki już gotowe. Lepiej nie kończ tego piwa.

– Dziękuję. Masz rację, chyba zostanę przy wodzie. Czuję się jak ofierma.

– Daj spokój. Niektórzy na tyle ciężko przechodzą chorobę wysokościową, że trafiają do szpitala. Zdziwiłbyś się. Podczas zawodów narciarskich połowa przypadków, którymi zajmują się ratownicy medyczni, to właśnie skutki choroby wysokościowej. Jest równie powszechna jak udar słoneczny na plaży podczas upału.

– Oboje zajmujecie się mną tak wspaniale. Ogromnie się cieszę, że Vi... Mindy was ma.

Jasper nieruchomieje.

– Jakie imię chciałeś powiedzieć?

– Przepraszam. Próbuję używać jej obecnego imienia, ale to nie takie proste. My daliśmy jej na imię Violet.

– Violet. – Jasper ma pustkę w oczach, ale patrzy na Armstronga zupełnie inaczej, jakby dopiero w tej chwili wszystko do niego dotarło. – Ładne. Ciekawe, czy jej się spodoba.

Juliet jak gdyby nigdy nic stawia jedzenie na stole.

– Zajadajcie.

Jasper nadal przygląda mu się tak intensywnie, jakby w środku cały buzował. Łyżka do nakładania jedzenia drży w jego dłoni. Pewnie dopiero teraz rzeczywistość zaczęła do niego docierać. Zaginiona córka Zacka, zmarnowane życie, stracone możliwości. Dziewczynka o imieniu Violet teraz znana jako Mindy. Córeczka Zacka jest też ich córeczką.

– Jeśli chcesz, po jedzeniu pokażę ci jej pokój.

Zack patrzy Jasperowi prosto w oczy. Są niebieskie i nieprawdopodobnie jasne, czego wcześniej nie zauważył. Coś w sobie kryją, jakby Jasper z całych sił starał się być uprzejmy i otwarty, ale wewnątrz powoli umierał. Traci rodzinę, tak samo jak ja kiedyś. Ta myśl cholernie boli.

– Bardzo chętnie.

Pokój Mindy nie wygląda jak pokój typowej nastolatki. Panuje w nim nieskazitelny porządek i nie ma tam zbyt wielu ozdób. W kącie, na niskim drewnianym stoliku, stoi mały posążek Buddy, obok niego jest gong z brązu i parę kadzidełek Nag Champa. Na podłodze dziewczyna rozwinęła matę do jogi. Ściany są w ciepłym odcieniu zieleni lasu za oknami, a na parkiecie z ciemnego drewna oprócz maty leży tylko biały, puchaty dywanik. Całości dopełnia biurko; na półkach zawieszonych nad blatem są ustawione książki w porządku alfabetycznym. Zack zauważa, że to głównie beletrystyka. Dobrze się tu czuje. To miejsce kojarzy mu się ze studiem jogi albo z przykładowym pokojem w sklepie meblowym.

– Tak samo jak my, Mindy lubi minimalizm – mówi Jasper. – Wiem, że to nieco dziwne, ale w przeciwieństwie do innych dzieci nigdy nie przywiązywała się do przedmiotów. Pozbyła się większości swoich rzeczy, ubrania i zabawki oddała do organizacji charytatywnych. Zawsze prosi nas, żebyśmy wpłacali pieniądze na różne zbiórki, zamiast kupować jej prezenty na urodziny i Boże Narodzenie. Jedynym wyjątkiem w tym jej altruizmie i minimalizmie jest sprzęt narciarski, który ma własny pokój na dole. Mindy zawsze chce, żebyśmy jej kupowali najnowsze narty i akcesoria, chociaż odkąd zaczęła odnosić sukcesy, sponsorzy walą do niej drzwiami i oknami.

Juliet staje w progu i z lekkim uśmiechem patrzy na Zacka.

– Niesamowite, prawda? Mój pokój w czasach liceum był okropnie zagracony, wszędzie wały się książki i ciuchy, ściany oklejałam plakatami. Sypialnia Lauren z kolei wyglądała jak z obrazka. Łóżko zasłane, ubrania w komodzie, nic nie leżało na wierzchu. Wymarzone dziecko, obsesyjna pedantka; ja niestety bałagałam ile wlezie. Mindy przejęła od niej wiele zachowań. Też ma lekkie zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Między innymi dzięki temu może skupić się na karierze. Nic w otoczeniu jej nie rozprasza.

Zack spogląda na iMaca na pustym blacie biurka i mały notes obok.

– Do której szkoły chodzi?

– Lauren uczy ją w domu – odpowiada Jasper. – Przez jakiś czas miała indywidualny tok nauczania. Zimą koncentrowała się na nartach, latem uczęszczała do szkoły. Kiedy jednak zaczęła uprawiać sport zawodowo, po prostu łatwiej było nam przestawić ją całkowicie na edukację domową. Uwielbia się uczyć, kocha książki. We wrześniu skończy liceum. Studia w tej chwili nie wchodzi w grę, dopóki jest... no, po prostu teraz mamy za dużo problemów na głowie, żeby myśleć o przyszłości. – Spogląda na zegarek. – Na pewno chętnie byś odpoczął. Może zaprowadzę cię do twojego pokoju?

Są w połowie drogi, kiedy dzwoni telefon Juliet. Odbiera, słucha przez chwilę, przenosząc wzrok z Jaspera na Zacka i z powrotem, dziękuje i się rozłącza.

Obaj mężczyźni patrzą na nią z wyczekiwaniem. Z jej twarzy nie da się niczego wyczytać. W końcu mówi lekko załamującym się głosem:

– Uzyskaliśmy stuprocentową pewność. Zack, jesteś biologicznym ojcem Mindy.

Jasper znowu spogląda na zegarek, usta ma zaciśnięte, twarz nagle pobladła. Słowa Juliet ledwo docierają do Zacka. Przez parę chwil stoi zaszokowany, próbuje ogarnąć umysłem to, czego jego serce do siebie nie dopuszcza. To jego córka. Odnalazł swoją córkę. To nie sen. To się dzieje naprawdę. Na jego twarzy zaczyna pojawiać się uśmiech.

– O Boże. Nie chciałem robić sobie nadziei, nie przypuszczałem, że kiedykolwiek ją odnajdę. Nie wiem, co my... O Boże. – Nie potrafi wyrazić, co w tej chwili przeżywa. Patrzy na Jaspera, którego mina wyraża przygnębienie, smutek, żal. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Nikt z nas nie ma wpływu na tę sytuację.

– Jasper, tak samo jak ja jesteś jej ojcem. A Lauren jest jej matką tak samo jak kiedyś Vivian. Nie myśl, że sobie tego nie uświadamiam. To trudne dla nas wszystkich, ale damy radę.

Jasper klepie go po ramieniu, nie odzywa się jednak ani słowem. Kat budzi się z drzemki przed kominkiem i szczeka, jakby ona też cieszyła się z nowiny.

– Powinniśmy zadzwonić do tych policjantów z Nashville. Na pewno będą chcieli natychmiast ruszyć ze śledztwem – oznajmia Juliet.

– Nie. Najpierw skontaktujmy się z Lauren. – Jasper już trzyma telefon w dłoni.

– Tak. Racja. – Zack kiwa głową. – Najpierw Lauren. Policja może poczekać do rana.

Ale mówiąc to, cały czas myśli tylko o jednym: „To twoja córka. Twoja. Tylko kto ją porwał? Bo zapewne ten sam człowiek zabił Vivian”.

SZPITAL W VAIL

Lauren rozłącza się i patrzy przez okno w mrok.

Powinna wpaść w euforię. Jest duża szansa na to, że DNA Zacka okaże się na tyle zgodne, że będzie można zrobić przynajmniej wstępny przeszczep komórek macierzystych. A może nawet jest idealnym dawcą i wkrótce nowotwór wejdzie w remisję. To najlepsza wiadomość od tygodni.

Ona jednak czuje zbliżającą się falę totalnego przerażenia; przeszywa ją dreszcz strachu.

Na szczęście córka jeszcze śpi. Wygląda na to, że kryzys minął i Mindy powoli zacznie wychodzić z tej grypy. Przed przeszczepem musi być jak najsilniejsza, bo czeka ją sporo naprawdę koszmarnych dni. Izolacja, agresywna chemioterapia, która wykończy jej system odpornościowy, a potem sama transfuzja, niejako na dokładkę – obca krew wsączy się w jej ciało, w jej jestestwo, i może ją wyleczy.

Nie zwracając sobie głowy sprawdzaniem godziny, Lauren wybiera numer telefonu doktora Olivera. Wie, że jest późno, ale na pewno chciałby jak najszybciej dowiedzieć się o wynikach testów.

Lekarz odbiera natychmiast; zdaje sobie sprawę, że Lauren zadzwoniłaby tylko w wyjątkowej sytuacji. Zawsze starała się nie nadużywać przywileju, jakim jest posiadanie jego prywatnego telefonu.

– Pani Wright? Co się dzieje? Podobno Mindy złapała wczoraj grypę żołądkową, ale myślałem, że już czuje się lepiej.

– Źle to znosiła, na szczęście kryzys chyba już minął. Kontaktuję się w innej sprawie. Przepraszam, że przeszkadzam o tak późnej godzinie, po prostu dzwonię najszybciej, jak mogę. Odnaleźliśmy biologicznego ojca Mindy.

Lekarz głośno wciąga powietrze.

– Jak wam się to udało?

– Moja siostra znalazła w systemie CODIS jego żonę. To długa historia. W każdym razie ojciec Mindy jest tutaj, w Kolorado. U mnie w domu.

– Rozumiem. Oczywiście muszę przeprowadzić własne testy i sprawdzić, czy zgodność na poziomie komórkowym jest wystarczająca; ogólnie to doskonała wiadomość. Proszę jednak nie robić sobie zbyt dużych nadziei. Często rodzeństwo okazuje się lepszym dawcą niż rodzice. Czy on ma inne dzieci?

– Nic mi o tym nie wiadomo. To dosyć... trudna sytuacja. – Lauren wzdycha ciężko. – Wygląda na to, że lekarka, która umożliwiła mi adopcję, zrobiła to nielegalnie, a Mindy została porwana. Jej matkę zamordowano. To straszne i bardzo denerwujemy się tym, że zostaniemy wciągnięci w skandal, ale w tej chwili wszyscy jesteśmy skupieni na leczeniu naszego dziecka.

Lekarz gwizdże nisko, przeciągle.

– Dobrze. Jutro pewnie znajdziemy trochę czasu, żeby porozmawiać o tym szczegółowo. Teraz dzwonię do swoich współpracowników. Z samego rana pewnie będziemy gotowi do testów. Czy jej ojciec... biologiczny, mógłby przyjechać do szpitala o piątej rano?

– Oczywiście. Do zobaczenia.

– Pani Wright?

– Tak?

– To naprawdę świetna wiadomość.

– Wiem. Próbuję tylko nie liczyć na zbyt wiele.

– To zrozumiałe. Proszę trochę odpocząć.

Kończą rozmowę. Lauren wkłada telefon do tylnej kieszeni spodni i przypomina sobie tamtą pierwszą noc sprzed siedemnastu lat, kiedy przywiozła Mindy do domu.

Szaleństwo. Tylko tak może nazwać to, co wtedy czuła. Dziecko cały czas się darło, chociaż robiła wszystko, żeby je uspokoić. Przystawiła ją do piersi, mimo że nie mogła nakarmić; miała jednak nadzieję, że gdy maluszek instynktownie weźmie sutek do buzi, ona wsunie mu smoczek

butelki. Nie udało się. Podgrzała świeże mleko, po raz kolejny przewinęła Mindy. Odkąd przywiozła dziecko do domu, w pieluszkach znajdowała tylko mocz. Nie wiedziała, jak często noworodek powinien się wypróżniać; na pewno należało wziąć pod uwagę to, że jeszcze nie jadł. Nosiła dzieciątko na rękach, śpiewała mu kołysanki, przytulała je i bujała, ale wciąż płakało żałośnie, aż serce pękało, a w uszach zaczynało dzwonić.

– Ćśś, maleńka, ćśś. Już dobrze, mamusia jest z tobą.

Oczywiście mamusi tam nie było, ale Lauren nie mogła się na tym skupiać. Myślała tylko o tym, że dziecko płacze, płacze, płacze.

Doskonale pamięta te pierwsze noce: strach, smutek, świadomość, że jej życie już nigdy nie będzie takie samo, że wszyscy się zmienili. Wrzaski dziecka budziły w niej przerażenie. Uważała, że to jej wina, bo tak bardzo go pragnęła. Nie, to głupie, to niczyja wina, ale przez chwilę wyobrażała sobie nawet, że dziecko ją karze. Rozumiała to, naprawdę. Jeżeli przez dziewięć miesięcy maluch znajduje się w brzuchu jednej kobiety i nagle to znajome, ciepłe otoczenie znika, a na jego miejscu pojawia się inna, niedoświadczona, obca osoba, która nawet nie potrafi nakarmić... tak, Lauren pewnie też darłaby się wniebogłoso.

„Jeżeli coś będzie nie tak, nie idź do szpitala. Zabierz ją gdzie indziej. Do prywatnej kliniki albo poproś o pomoc jakąś doświadczoną przyjaciółkę”.

Po dwóch dniach nieustannego płaczu, zdesperowana, poszła na ostry dyżur. U dziecka szybko zdiagnozowano żółtaczkę i położono je pod lampą do fototerapii. Po kilku pierwszych wypróżnieniach rozpaczliwy płacz się skończył, a świat Lauren odzyskał równowagę.

Powinna się domyślić, od razu wpaść na to, że dzieje się coś złego. Czowała się jednak sparaliżowana wyrzutami sumienia i przekonaniem, że nie jest godna być matką, więc nie mogła się skupić na samopoczuciu dziecka.

Męczyła się tak, dopóki nie pojawił się Jasper. Zazdrościła mu jego podejścia do Mindy, która w jego obecności zawsze się uspokajała, jadła bez protestowania i smacznie spała. Ich randki polegały na tym, że jedli pizzę, wypijali trochę wina i oglądali wypożyczony film na wideo, żeby być na posterunku, gdyby Mindy się obudziła i ich potrzebowała.

Lauren bez wątpienia zakochała się w Jasperze, ale dopiero później, kiedy uświadomiła sobie, że bez niego obie nie mogą funkcjonować. Miłość okazała się korzyścią dodatkową. Owszem, Jasper był przystojny, ale nie w jej typie. Zawsze wolała niegrzecznych chłopców, a on – student filologii angielskiej, zapalony tenisista, prawnik ze starannie ułożonymi włosami i uprzejmym uśmiechem – przypominał jej wzorowego ucznia.

Poznali się w pralni. On przyniósł wielgachną kołdrę, ona – podczas gdy Mindy ucięła sobie drzemkę – składała ubranka i czekała, aż upiorą się kolejne. Ciepło i buczenie pralek zawsze działało na małą usypiająco. Oczywiście jakaś idiotka musiała przyjść z boom boxem. Głębokie basy obudziły dziecko, które zaczęło płakać, a miły gość przy sąsiedniej pralce zaproponował, że ją weźmie na ręce, żeby Lauren mogła wyjąć ubrania z suszarki. Nie wiadomo kiedy znaleźli się w pobliskiej pizzerii, a Lauren uświadomiła sobie, że ten facet cały czas trzyma jej córeczkę na rękach. Kiedy spytał, czy da mu swój numer telefonu, poczuła coś na kształt ulgi, nadziei, że może właśnie znalazła kogoś, kto jej pomoże w codziennym trudzie.

Była taka młoda, taka naiwna. I miała wielkie szczęście. Przecież mógł jej ukraść to dziecko, porwać. A co, jeśli okazałby się mordercą? Teraz jednak woli myśleć, że wyczułaby, gdyby kierowały nim złe zamiary.

Jasper mógł mieć dosłownie każdą, a jednak wybrał je obie; Lauren nie widziała w tym nic dziwnego, choć uważała się za jedną z największych szczęściar na świecie. Zawsze wydawało jej się, że on też uważał się za szczęściarza.

Miłość przyszła pewnego popołudnia niczym fala. Lauren czuła się wykończona – tak jak każdy, kto opiekuje się niemowlęciem – ale teraz było jeszcze gorzej, bo Mindy zaczęła ząbkować. Płakała tak długo i głośno jak wtedy, gdy chorowała na żółtaczkę; nawet czarodziejski dotyk Jaspera nie potrafił ukoić jej bólu. Nosił ją na rękach i śpiewał cicho, a w pewnej chwili podniósł wzrok i spojrzał wesoło na Lauren. Uśmiechnęła się do niego i coś w niej przeskoczyło, jakby zapaliło się jakieś światło. W jej umyśle pojawiły się dwa słowa, które natychmiast wypowiedziała na głos:

– Kocham cię.

Zatrzymał się, znowu się uśmiechnął i delikatnie włożył czubek palca do buzi Mindy.

– Ja też cię kocham. Możesz mi podać whisky? Posmarowalibyśmy jej dziąsła.

– Nie wolno dawać dziecku alkoholu. Jeszcze nas aresztują.

– No to nikomu o tym nie mów. – Jego oczy błyszczały. Sprawiała mu radość tym nieoczekiwanym wyznaniem.

Przyniosła butelkę szkockiej i nalała odrobinę do szklaneczki, a potem patrzyła, jak Jasper zanurza w płynie czubek kciuka i masuje nim czerwone, obolałe dziąsła małej.

Zadziałało. Jak wszystko, co robił dla Mindy.

Kiedy przestała płakać, udało im się ukołysać ją do snu, po czym wymknęli się do sypialni. Po wszystkim powiedział jej, że jest dobrą matką, a ona rozplakała się, zaprzeczyła i stwierdziła, że to on jest dobrym ojcem.

Pocałował ją mocno, po czym się oświadczył. Tak po prostu. Leżeli w skłębionej pościeli, pachnieli śliną dziecka, whisky i seksem, a Lauren pomyślała, że chyba nigdy nie będzie szczęśliwsza niż w tej chwili.

– Mamo?

Z zamyślenia wyrywa ją głos Mindy.

Oczy ma podkrążone, ale dzięki Bogu znowu pojawiła się w nich leciutka iskierka. Lauren delikatnie gładzi córkę po policzku.

– Cześć, kochanie. Obudziłaś się. Długo spałaś. Jak się czujesz?

– Jestem głodna. Przyniesiesz mi krakersy?

– Oczywiście. Poczekaj chwilę, już idę.

Łapie z automatu paczkę krakersów oraz puszkę piwa imbirowego i wraca do sali. Mindy podniosła zagłówek i usiadła w łóżku. Wygląda zdecydowanie lepiej niż wcześniej.

– Byłaś w domu?

– Nie, spędziłam tu całą noc. Nie chciałam zostawiać cię samej.

– Powinnaś pojechać i trochę się przespać.

– Tak zrobię, ale najpierw zobaczmy, czy uda ci się nie zwymiotować.

Z uniesioną brwią patrzy, jak córka skubie krakersa i pomalutku sący napój. Jedną rękę trzyma w gotowości na zielonych plastikowych torebkach, o wiele lepszych niż te, których używała wcześniej – ale okazuje się, że kryzys minął. Obie wzdychają z ulgą.

Już nie może dłużej tego ukrywać, musi jej powiedzieć.

– Kochanie, mam dla ciebie wiadomość.

– Jaką wiadomość?

– Chyba go znaleźliśmy. Twojego biologicznego ojca. – Zaczyna i już nie może się zatrzymać. – Jest tutaj, w Vail, w naszym domu, z twoim tatą i ciocią Juliet. Doktor Oliver z samego rana przeprowadzi testy. Poznałam Zacka, bo tak ma na imię, i myślę, że go polubisz. Jest bardzo spokojny. Twój tata powiedział, że to niezwykle uprzejmy i kulturalny człowiek. Aha,

i ma psa. Dużego, ślicznego, wabi się Kat. Zabawne, że pies ma na imię Cat, prawda?

– Mamo, strasznie się rozgadałaś.

– No rzeczywiście. – Lauren odgarnia włosy z twarzy. – Po prostu jestem podekscytowana i przejęta. Zack wygląda na dobrego człowieka.

– Jeśli chodzi o mnie, to może być nawet seryjnym mordercą, byle tylko został moim dawcą.

– Melindo, jak możesz opowiadać takie rzeczy? Nie waz się chlapanąć przy nim czegoś podobnego, czy to jasne?

– Dlatego, że jego żona została zamordowana?

Lauren zastyga.

– Skąd...

– Za głośno rozmawialiście. Mam przy sobie komórkę. – Mindy pokazuje ją matce. – Odnalazłam go w sieci. Rzeczywiście jestem do nich trochę podobna. Dziwne uczucie wiedzieć, że ktoś ją zamordował tuż po tym, jak się urodziłam.

– To była tragedia, kochanie. Wielka tragedia.

– Czy policja przyjdzie ze mną porozmawiać? W końcu byłam świadkiem, prawda? Taak, miałam może z dziesięć sekund i w ogóle, ale może dzięki hipnozie regresyjnej przypomniabym sobie swoje narodziny.

Jej mały głuptasek uśmiecha się łobuzersko, a Lauren prychna i kręci głową.

– Jesteś niemożliwa. Skąd wiesz o takich rzeczach?

– Z telewizji, mamusiu.

Mindy wyciąga rękę, a Lauren ją ściska.

– Mamo, posłuchaj. Jestem jeszcze trochę zła na ciebie, ale na zawsze pozostaniesz moją matką. Choćby się paliło i waliło. Nic tego nie zmieni. Kocham ciebie i tatusia.

Lauren ociera łzy płynące jej po policzkach.

– Och, córeńko, tak bardzo tego pragnę.

Mindy wyraźnie chce o coś spytać, ale Lauren kładzie jej palec na ustach.

– Kocham cię, słoneczko. Bardzo, bardzo cię kocham.

– Ja też cię kocham – urywa, potem wyrzuca z siebie: – Mamo, czy masz znajomą, którą nazywasz „V”?

Lauren ziemia usuwa się spod stóp.

– V? Nie, nie mam.

Dziewczyna kiwa głową.

– Aha. No cóż. Słuchaj, skoro mam się spotkać ze swoim biologicznym ojcem... jak właściwie go nazywać: biotatą?, to muszę się trochę ogarnąć.

– Biotata. Fajne. Tak, kochanie, zrobmy cię na bóstwo.

Lauren ignoruje szybkie bicie serca, pomaga córce wstać z łóżka i pójść pod prysznic.

Dlaczego Mindy właśnie teraz spytała ją o V? Dlaczego?

Cholera. Na pewno znalazła listy.

Kwiecień 1994

Kochana Liesel!

Kilka moich listów wróciło do mnie z pieczętką „Zwrot do nadawcy”. To pewnie znaczy, że się przeprowadziłaś. I zaczęłaś nowe życie. Wiem, że Twoja matka, ta podła zołza, nie pozwala nam kontaktować się ze sobą. Jeżeli ją kiedyś zobaczę, zrobię jej coś złego. Ale nie Tobie. Ciebie nigdy bym nie skrzywdziła. Bardzo za Tobą tęsknię, Liesel. Napisz, proszę.

Całuję,

V

Wrzesień 1994

Liesel, do kurwy nędzy. Nie mogę uwierzyć, że się na mnie wypięłaś. Ty głupia suko. Wysyłam ten list, chociaż wiem, że go nie dostaniesz. Einstein chyba w ten sposób definiował szaleństwo, nie? Robić ciągle to samo i spodziewać się innego wyniku? Jak dostanę od Ciebie list, odeślę go do nadawcy. Co Ty na to?

Styczeń 1995

Moja kochana V!

Długo nie piszesz, pewnie jesteś na mnie zła. Albo wyszłaś ze szpitala. Taką mam nadzieję. Nie musisz tam siedzieć. Masz w sobie moc. Jeżeli jednak nadal jesteś w psychiatryku, to przepraszam, jeśli czymś Cię uraziłam, i że przed wyjazdem nie wpadłam z wizytą do Ciebie.

Jestem zachwycona nowym domem i tutejszą szkołą. Mam tu cudowny widok na góry i na razie świetnie dogaduję się ze wszystkimi w klasie. Matka polubiła pracę w tym mieście. W starym domu zostawiłyśmy większość mebli – powiedziała, że dzięki temu wartość nieruchomości się zwiększy – więc wszystko mamy prosto ze sklepu. Namówiłam ją, żeby mi kupiła wielkie, królewskie łóżce, który które z przyjemnością

przetestowałam ze swoim nowym chłopakiem. Mój tatuaż bardzo mu się podoba.

Często myślę o Tobie. Mam nadzieję, że odpiszesz.

Całuję,

Liesel

Marzec 1995

Kochana Liesel!

Niestety u mnie źle. Znowu jestem w szpitalu. Zgłosiłam się z własnej woli na pół roku. Odpowiedź na Twoje pytanie brzmi: tak. Miałam kolejną próbę. Wszyscy są na miejscu: doktor Świroid, Suka i cała banda bredzących bez sensu czubków. Nic się nie zmieniło. Tu nigdy nic się nie zmienia. To wciąż ta sama stara, nudna, śmierdząca nora.

Nie chciałabyś wrócić?

Wiem, że Cię rozczarowałam. Przepraszam.

Całuję,

V

Kwiecień 1995

Kochana V!

Właśnie dostałam Twój list. Tak mi przykro, że trafiłaś do szpitala, zapewniam Cię jednak, że nigdy nie mogłabyś mnie rozczarować. To znaczy czuję się rozczarowana, ale tylko tą sytuacją, bo wiem, że nienawidzisz tego miejsca, i doskonale to rozumiem. Ale pamiętaj, V, prosić o pomoc to nie wstyd. Zasługujesz na szczęście, na życie pełne radości. Jeżeli pobyt na oddziale, terapia u Świroida, Suka, zdrowe jedzenie... dobra, przestań się śmiać, wiem, że tego tajemniczego mięsa nie da się nazwać zdrowym jedzeniem, ale przynajmniej to regularne posiłki. Zawsze byłaś za chuda. W każdym razie – jeżeli to wszystko Ci pomaga, to chyba dobrze, prawda?

Ale tak poważnie, słuchaj ich rad i daj sobie pomoc. Kibicuję Ci na odległość! Trzymaj się i nie puszczaj – cha, cha, cha, taki tam żarcik. Pamiętaj, bądź grzeczna.

Całuję,

Liesel

NASHVILLE, TENNESSEE

Jest późno, kolejna godzina drugiej zmiany. Policjanci głośno się śmieją i rozmawiają, czekając na następne wezwanie na miejsce przestępstwa. Parks zamyka się w sali konferencyjnej i wyciąga z tekturowego pudła akta Armstrongów. Musi zapoznać się ze sprawą morderstwa i porwania, uzupełnić luki w wiedzy. Zlecił Starr współpracę z genetykiem z CBI. Bez problemu poradzi sobie z koordynacją działań i przygotowaniem do śledztwa. Jutro oboje lecą do Kolorado. Zostało mu jeszcze trochę czasu, żeby zgłębić ten przypadek.

Wcześniej pojechał do domu Gormana. Andrea pozwoliła mu zabrać prywatne akta tej sprawy zgromadzone przez męża. Parks ma nadzieję, że dokładniejsza analiza pozwoli mu odkryć coś, co przeoczył za pierwszym razem.

Wie, że szef pojechał do Kolorado nie bez powodu. Musiało to być coś więcej niż tylko wrażenie, że młoda narciarka, której był zagorzałym fanem, jest podobna do ofiary z zamkniętej sprawy. Parks nie kupuje tak naciąganej wersji.

Znowu zaczyna od samego początku. Wyjmuje kopię oryginalnych akt razem z kopiami wszystkich zdjęć z miejsca zbrodni i z sekcji zwłok Vivian Armstrong.

Sprawozdanie jest jasne i dość oszczędne. Dwa tygodnie wcześniej Vivian Armstrong urodziła w domu dziecko z pomocą położnej z programu położniczego Szpitala Uniwersyteckiego, którą wezwała w późnej fazie porodu. Akcja porodowa przebiegła bez komplikacji i stosunkowo szybko. Położna zeznała, że po wszystkim Vivian miała się całkiem dobrze. Martwiła się jednak tym, że musi zostawić młodą matkę zupełnie samą; zaproponowała, że zadzwoni do jej męża, ale Vivian powtarzała, że potrzebuje trochę czasu, aby stworzyć więź z dzieckiem, i obiecała, że następnego dnia przyjdzie na kontrolę.

Policję wezwał mąż. Kiedy wrócił do domu, drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz, a gdy wszedł do kuchni, zobaczył na podłodze żonę. Nie żyła dobę, może więcej. Dziecko zniknęło.

Obok ofiary leżał duży nóż kuchenny. Znaleziono na nim odciski palców – niestety rozmazane, a ten jeden, który udało się zdjąć, należał do Vivian Armstrong – nic dziwnego, w końcu znajdowała się w swojej kuchni, a nóż pochodził właśnie stamtąd.

Nie znaleziono śladów włamania. Kamery nie zarejestrowały momentu wejścia albo wyjścia napastnika. Morderca musiał być duchem.

Albo mężem ofiary.

Parks kręci głową, czytając raport. W czasie, gdy przestępstwo zostało popełnione, Zachary Armstrong przebywał w Alabamie, stał nad grobem matki. Zostawił trzy nagrania na automatycznej sekretarce – wszystkie świadczące o narastającym niepokoju. Większość osób zgadza się co do tego, że nie popełnił tej zbrodni. Co prawda, pojawiło się kilka karkołomnych teorii mówiących, że mąż pojechał do domu, zamordował żonę i wrócił na pogrzeb, ale Gorman jednoznacznie stwierdził, że Armstrong mówi prawdę. Z powodzeniem przeszedł badanie wariografem, był otwarty, szczery i niezaprzeczalnie zdruzgotany. Na jego wyciągach bankowych nie widać śladów żadnych dziwnych przepływów pieniędzy, niczego, co mogłoby sugerować, że wynajął płatnego zabójcę, chociaż biegły księgowy nie mógł wykluczyć, że Armstrong przez jakiś czas odkładał gotówkę i przekazał należność osobiście. Owca

Potem Parks dokładnie zapoznaje się z ocenzone raportami wojskowymi z akcji, w której Armstrong został ranny. Stara się odtworzyć tę historię na podstawie skąpych danych i czytając między wersami. Armstrong spotkał się wtedy z informatorem – facet od kilku miesięcy przekazywał mu tajne informacje. W pewnej chwili, zamiast podać mu najnowsze wiadomości, wyjął broń i bez uprzedzenia do niego strzelił. Armstrong miał na sobie kamizelkę kuloodporną, ale strzał został oddany z boku, nabój odbił się rykoszetem od wewnętrznej strony kamizelki i niemal go zabił.

Armia podleczyła Zacka i odesłała do domu. Miesiąc później zamordowano jego żonę. Czy ktoś próbował mu w ten sposób przesłać jakiś

sygnał? Parksowi coś nie pasuje w tej teorii. Nic nie wskazuje na to, by podejrzanym był obcokrajowiec. Nic. Żadnych żądań, telefonów, nic, co by sugerowało, że dziecko porwała osoba, która planowała zemścić się na Armstrongach. Po paru tygodniach, kiedy wyniki badań toksykologicznych Vivian wykazały brak nielegalnych substancji w jej ciele, śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Parks przegląda korespondencję między mężem a żoną. Jest tego niewiele – tylko jeden mail i kilka listów na papierze. Wszystkie teksty są pełne miłości, czułych słów i radości z dziecka, które wkrótce przyjdzie na świat. Nic zastanawiającego. Vivian i Zack tęsknili za sobą, łączyła ich silna więź. Armstrong nie pisał o swojej pracy, nawet o tym, gdzie się obecnie znajduje, a żona nie pytała.

Typowa wojskowa rodzina.

O wiele ciekawszy okazał się raport z sekcji zwłok.

Vivian Armstrong zmarła z powodu zatrzymania akcji serca, co nastąpiło w wyniku wykrwawienia z dwóch ran kłutych – jednej na prawej tętnicy szyjnej, a drugiej na aorcie brzusznej. Rana na szyi miała siedem i pół centymetra głębokości i sięgała do tętnicy. Rana na brzuchu powstała wskutek silnego ciosu nożem, który wszedł w ciało tak głęboko, że drasnął kręgosłup L3. Następnie sprawca wyciągnął nóż i rzucił go na podłogę obok ofiary. Z ułożenia rany wynikało, że zabójca był najprawdopodobniej praworęczny. Kobieta wykrwawiła się w ciągu czterech, pięciu minut. Nie znaleziono śladów walki, nic nie wskazywało na to, by po upadku Vivian Armstrong próbowała się czołgać. Kałuża krwi pod nią była nienaruszona. Narzędzie zbrodni to pochodzący z kompletu profesjonalny nóż kuchenny marki Wüsthof Classic, z ostrzem o długości dwudziestu czterech centymetrów. W drewnianym bloku pozostało puste miejsce po takim właśnie narzędziu. Do raportu dołączona jest notatka Gormana: „Potwierdzono, że zestaw noży został kupiony w Niemczech w sklepie AGD i przywieziony przez męża do domu jako prezent”.

Wszystko wskazuje na to, że morderstwo nie było zaplanowane, a może nawet popełniono je w afekcie. Sprawca nie przyniósł własnej broni, tylko użył tej, która znajdowała się w pobliżu.

Policjant przerzuca kartki, aż dociera do zapisu ustnego raportu z sekcji zwłok. W oryginale znajduje się korekta, którą Gorman zaznaczył markerem. Parks czyta ją, zupełnie zdezorientowany. To coś, o czym do tej pory nie wiedział. Nie przypomina sobie, żeby ktokolwiek o tym mówił – chociaż oczywiście przedtem nie pracował nad tą sprawą, więc nie musiał aż tyle wiedzieć. Gorman uznał jednak, że ta informacja jest na tyle ważna, by ją zaznaczyć.

„Poszerzony panel toksykologiczny wykazał wysokie stężenie notryptyliny, co potwierdzają testy wątrobowe”.

Notryptylina?

Parks wrzuca nazwę do wyszukiwarki i dowiaduje się, że to trójpierścieniowy lek przeciwdepresyjny, sprzedawany pod nazwą Pamelor. Zaintrygowany, kopie głębiej. To lek z kategorii C: korzyści płynące z jego zażywania mogą przewyższać potencjalne ryzyko uszkodzenia płodu.

Będąc w ciąży, Vivian Armstrong brała antydepresant. Interesujące, ale nie przełomowe. Dlaczego więc Gorman to zaznaczył?

Parks szybko wertuje resztę akt, szukając innych informacji na ten temat – niczego nie znajduje. Dziwne. Powinno być chociaż nazwisko lekarza, który wydał receptę. Niestety szef nie daje mu nic więcej. Nie ma diagnozy lekarza, notatek z wizyt kontrolnych, żadnych zapisków. Na liście dowodów brakuje słóiczka z lekarstwem.

Istnieje proste wytłumaczenie – policja skupiła się na najpilniejszej sprawie: odnalezieniu dziecka, a ponieważ ostateczny raport toksykologiczny pojawił się dużo później, potem już nikt nie poszedł tropem choroby psychicznej. Skoro przeoczyli coś takiego, to co jeszcze im umknęło?

Gorman był solidnym śledczym. Jeżeli zaznaczył ten element, musiał być poważnie zaniepokojony. Parks uznaje więc, że warto się tym wątkiem zająć. Z doświadczenia wie, że psychiatrzy bardzo starannie prowadzą kartoteki pacjentów.

Dokąd udałaby się żona wojskowego potrzebująca porady psychiatry?

Parks sprawdza godzinę. Przesiedział nad papierami całą noc, już prawie siódma rano. Wkrótce powinna przyjść Starr. Dzwoni do niej; Breezy

odbiera po pierwszym sygnale.

– Jesteś na miejscu?

– Na komendzie? Tak.

– Dobrze. Przyjdź do sali konferencyjnej.

Parę minut później Starr puka i wchodzi z notatnikiem w jednej ręce i jabłkiem w drugiej.

– Siedziałeś tu całą noc?

Mężczyzna obiema dłońmi rozciera twarz.

– Mhm. Słuchaj, w raporcie z sekcji zwłok Vivian Armstrong znalazłem informację, że leczyła się na depresję. Czy ktoś poszedł tym tropem?

– Rzeczywiście widziałam coś takiego. Poczekaj chwilę. – Wychodzi i wkrótce wraca z czerwoną teczką i kubkiem parującej kawy, który stawia przed nim.

– O, dziękuję. – Parks upija duży łyk.

Starr otwiera teczkę.

– Tak, w jej organizmie stwierdzono obecność leku przeciwdepresyjnego, ale nie ma żadnych dowodów na to, że się leczyła. Żadnych rachunków od lekarza, recept, więc nie da się stwierdzić, kto ją leczył. Ja też byłam zaskoczona. Myślisz, że to ważne?

– Powinniśmy zająć się wszystkim, co wtedy nie zostało sprawdzone. Gorman zaznaczył tę informację w swoich prywatnych aktach. Musimy zbadać tę kwestię jeszcze przed wyjazdem.

– Samolot mamy za kilka godzin. Zostało ci trochę czasu. Ja kompletuję akta dla policji w Kolorado. Krzycz, jeżeli będziesz mnie potrzebował.

– Jasne, dzięki.

Parks bierze komórkę. Szpital z ostrym dyżurem, do którego Vivian Armstrong miała najbliżej, znajduje się w Vanderbilt. Czemu nie zacząć od niego?

DOM WRIGHTÓW

Po kolacji, zmęczony skutkami choroby wysokościowej, Zack zasypia bez najmniejszych problemów. Kiedy za piętnaście piąta rano Juliet delikatnie potrząsa jego ramieniem, budzi się zaskakująco wypoczęty.

– Przepraszam, ale lekarze chcą, żebyś jak najszybciej poddał się testom. Pojedziesz ze mną do szpitala?

– Oczywiście. – Już jest całkowicie przytomny.

Zawsze był rannym ptaszkiem. Lubi ciszę przed świtem, kiedy wokół panuje bezruch i tylko wspomnienia wydają mu się żywe. Wskakuje pod prysznic, ubiera się i po pięciu minutach schodzi do kuchni. Jasper robi kawę, Juliet nakłada do miski psią karmę. Kat patrzy z uwielbieniem na swoją nową boginię, która nie tylko wyprowadziła ją na siusiu, ale też bez proszenia podaje śniadanie.

– Zdrajczyni – mruczy Zack i głaszcze po uszach sunię, która z apetytem pochłania jedzenie.

– Spałeś? – pyta Jasper. Sam wygląda tak, jakby przez całą noc nie zmrużył oka. Ma opuchniętą twarz, włosy sterczą mu z tyłu.

– Owszem, dziękuję. Dosłownie padłem jak kłoda. Wczorajszy dzień trochę mnie wyczerpał. Znajdzie się jakieś miejsce, gdzie mógłbym ją zostawić? – pyta, nadal głaszcząc owczarka. – Ja jej pozwalam spać na kanapie, ale nie chcę, żeby wam wchodziła na meble.

– Nie, nie, weź ją ze sobą. – Juliet kręci głową. – Dzisiejszy dzień dla wszystkich będzie trudny, a Kat świetnie się sprawdzi jako amortyzator. Poza tym Mindy nie wybaczyłaby ci, gdybyś przyszedł bez swojego pupila. Kocha psy; Lauren już jej opowiedziała o Kat.

– Zgoda. Dobry pomysł.

– Chodźmy już. Weź termos. – Jasper podaje mu pojemnik z kawą. Jest trochę nieobecny, bardziej milczący niż poprzedniego wieczoru.

„Gramy o wysoką stawkę”, myśli Zack. „Dzisiaj zmieni się życie każdego z nas”.

Zakłada Kat szelki i cała czwórka idzie do garażu. Jasper kieruje się do srebrnego audi Q7, Juliet prowadzi Zacka i Kat do swojego czarnego nissana xterra. Kat wdrapuje się do auta i od razu wskakuje na tylną kanapę. Zack siada z przodu na miejscu pasażera, otwiera termos i upija duży łyk aromatycznego parującego napoju.

– Jasper robi świetną kawę, prawda? Fajnie by było, gdyby codziennie przynosił mi do domu taki termos – żartuje Juliet.

– Rzeczywiście doskonała – przytakuje Armstrong i bierze kolejny łyk.
– Wszyscy jesteście dla mnie tacy mili. Bardzo to doceniam.

– Zobaczymy, jak będzie dalej. Mindy od dawna jest naszym priorytetem, a teraz to już w ogóle. Uprzedzam, że kiedy się dowiemy, na czym stoimy, atmosfera może się zrobić bardzo napięta.

– Mam nadzieję, że jednak nie. Przeżyłem tyle dramatycznych wydarzeń, że starczyłoby na całe życie dla dwóch osób.

– No, nie wiem, czy media cię oszczędzą, Zack. Kiedy ta historia wyjdzie na jaw, zrobi się o niej bardzo głośno.

– Wolałbym, żeby obyło się bez tego. Jestem dość skryty, a z moją przeszłością... Na razie po prostu starajmy się nie rozmawiać z nikim obcym na ten temat, dobrze?

– Oczywiście ja zachowam dyskrecję, Lauren tym bardziej, ale policja może mieć inne plany. Tamtych dwoje detektywów przylatuje po południu. Umówiłam ich na dzisiaj z ludźmi z CBI. Na pewno będą chcieli dokładnie przyjrzeć się Castillo i Fuentesowi. Muszą ustalić, w jaki sposób Mindy tu trafiła. Może lekarka i jej współnik na skalę kraju stworzyli sieć ludzi, którzy przywozili im dzieci? A może Vivian padła ofiarą jakiejś większej akcji? Trzeba wszystko dokładnie przeanalizować, Zack. Przykro mi, to na pewno naruszy twoją prywatność.

– Posłuchaj, tak samo jak wszystkim zależy mi na tym, żeby odnaleziono zabójcę. Ale minęło już siedemnaście lat. Kilka dni więcej

nikogo nie zbawi. Chciałbym mieć chociaż trochę czasu, żeby porozmawiać z Mindy, żebyśmy oboje zaczęli się poznawać.

– To zrozumiałe. Zrobię, co w mojej mocy. Wczoraj wieczorem Lauren powiedziała jej, że przyjdiesz. Dziewczyna bardzo się cieszy na spotkanie z tobą.

– Ja też. Niesamowite, że dopiero teraz poznam rodzoną córkę.

Zack wygląda przez okno. Kierują się drogą w dół zbocza, przejeżdżają pod autostradą, a kiedy już są w Vail, jadą w kierunku szpitala. Zack jest zaskoczony tym, jak bardzo podoba mu się architektura tego małego miasta, domy z drewna i kamienia, starannie rozmieszczone iglaki, luksusowe sklepy i ulice zamknięte dla pojazdów. Mimo wczesnej pory widać już trochę narciarzy w goglach, z nartami na ramieniu. Pewnie już nie mogą się doczekać kolejnego dnia na stoku, więc chcą zjeść śniadanie, jeszcze zanim wyciągi zostaną uruchomione. Ulicą u podnóża gór powoli jedzie kilka samochodów, ale za światłami Juliet skręca w stronę szpitala. Na miejsce docierają dziesięć po piątej, tylko trochę spóźnieni.

Juliet gasi silnik i odwraca się do Zacka.

– Po kolei. Najpierw porozmawiamy z doktorem Oliverem i zrobimy ci badania krwi. Do tej pory Mindy pewnie już zdąży się obudzić i będzie gotowa spotkać się z tobą. To ranny ptaszek, na pewno nie wyrwiemy jej ze snu.

Zacka znowu ogarnia to dziwne uczucie. Kolejna wspólna cecha. Ranny ptaszek, tak samo jak ja. W przeciwieństwie do niego Vivian zawsze po przebudzeniu lubiła trochę powylegiwać się w łóżku, poczytać gazetę, wypić kawę. Zanim w ogóle wstała, on już zdążył pobiegać, wziąć prysznic, zjeść śniadanie i zabrać się do pisania książki.

Oczywiście wtedy, kiedy był w domu.

Oblicza, że w ciągu dwóch lat spotykania się, a potem małżeństwa, spędził z Vivian w sumie jakieś cztery miesiące.

Ledwo ją znał.

I ona ledwo znała jego.

Nie byli ze sobą długo, kiedy więc zaszła w ciążę, postanowił ubiegać się o przeniesienie z powrotem do bazy, żeby być w domu, ze swoją

rodziną. Potem Vivian została zamordowana, dziecko zniknęło, a Zack poczuł, że zawiódł żonę pod każdym względem. Kochał ją, to jednak nie wystarczyło.

Teraz czeka go rozwiązanie połowy tej potwornej tajemnicy. W duchu prosi Vivian o siłę.

Kiedy Juliet otwiera drzwi, Kat zaczyna szczekać. Zack nie rusza się z miejsca. Nagle ogarnia go przerażenie. Tak długo trwał w przekonaniu, że po Violet zaginął wszelki ślad... Na myśl, że jego córka jest tuż, niedaleko, ma ochotę uciec z krzykiem albo pobiec do niej, wziąć ją w ramiona i już nigdy jej nie puścić.

A jeżeli Violet go nie polubi? Jeżeli będzie patrzyła na niego z potępieniem lub, co gorsza, z obojętnością?

A jeżeli, a jeżeli, a jeżeli...

– Zachowuj się jak mężczyzna – w końcu mruczy do siebie pod nosem i wysiada z samochodu.

Odnosi wrażenie, że wszyscy się na niego gapią, więc czuje się skrepowany, ale po chwili uświadamia sobie, że patrzą na jego psa, więc nieco się rozluźnia. Lekarz Mindy, doktor Oliver, jest miły i pełen entuzjazmu. Patrzy, jak pielęgniarka pobiera Zackowi krew, potem osobiście pisze na naklejce jego nazwisko.

– Wyślą próbkę do laboratorium i natychmiast zrobią badanie. Najpóźniej za godzinę dowiemy się, czy może pan zostać dawcą. Jeżeli wyniki okażą się pozytywne, od razu zaczniemy cały proces. Przygotowanie pacjentki potrwa parę dni, więc będziecie mieli czas na spotkania. Już wdrożyliśmy u niej leczenie przygotowujące do przeszczepu niemieloablacyjnego, który chcieliśmy przeprowadzić zaraz po znalezieniu dawcy. Teraz przez dwa dni będziemy podawać zwiększoną dawkę leków i jeżeli wszystko dobrze pójdzie, przeszczepimy komórki macierzyste. – Zaciska dłoń na ramieniu Armstronga. – Moje gratulacje. Nie wiem, co powiedzieć więcej.

– Czy mógłby pan te informacje medyczne przetłumaczyć na angielski?

– Musimy wybić wszystkie złe komórki, żeby przygotować jej organizm do przyjęcia zdrowych.

– Teraz rozumiem. Muszę się podszkolić w fachowej terminologii.

– Może pan o wszystko pytać Mindy. Doskonale się na tym zna. Dokładnie studiuje każdy etap leczenia. Wyjątkowo inteligentna dziewczyna.

– Jak się pobiera komórki macierzyste?

– Podłączymy pana do maszyny, która wypompuje krew, wyizoluje potrzebne nam krwinki, po czym z powrotem wpompuje krew. Kiedy tylko zobaczę, że wyniki badania są pozytywne, podam panu lek o nazwie Filgrastym, zwiększający liczbę krwinek. Ten proces zazwyczaj trwa pięć dni, ale szczerze mówiąc, nie mamy tyle czasu, więc zwiększymy tempo. –

Doktor Oliver poprawia okulary. – Oznacza to, że przez parę dni oboje będziecie czuli się fatalnie.

– Mindy musi najpierw poczuć się gorzej, zanim poczuje się lepiej?

– Tak. Na tym polega problem z tego rodzaju leczeniem. Ale dzięki konkretnemu kodowi zgodnego DNA terapia przebiegnie o wiele łatwiej, niż gdybyśmy przeszczepili komórki macierzyste od osoby z pasującym DNA, ale niespokrewnionej. W każdym razie na to liczę. Współpracuję ze świetnym lekarzem z Uniwersytetu Bostońskiego, ma na koncie duże sukcesy w tej dziedzinie. W zeszłym tygodniu przyjechał tu i opracował całą procedurę. Wszystko jest zorganizowane i gotowe do przeszczepu, łącznie z terapią stworzoną specjalnie pod kątem DNA Mindy. Takie indywidualne podejście ma ją uchronić przed chorobą o nazwie „przeszczep przeciwko gospodarzowi”. Jak pan widzi, plany są starannie opracowane. Chcemy możliwie najbardziej zwiększyć szansę Mindy na pokonanie nowotworu i wejście w remisję po pierwszej turze.

– „Przeszczep przeciwko gospodarzowi”... Chodzi o odrzucenie przeszczepionego organu, tak? Z krwią może zdarzyć się to samo?

– Zgadza się, ale właśnie dzięki tej nowej terapii ryzyko nie powinno być aż tak wysokie, jak w przypadku przeszczepu alogenicznego od dawcy spoza rodziny. Jest pan jej ojcem, więc pańskie DNA w dużo większym stopniu zgadza się z DNA Mindy.

Juliet siedzi w poczekalni, pod przeszklonymi drzwiami laboratorium. Trzyma Kat na smyczy i uważnie ich obserwuje. Zack uśmiecha się i unosi rękę w jej kierunku.

– Dziękuję, doktorze. Jestem ogromnie wdzięczny za wyjaśnienia.

– To ja dziękuję. Jeżeli pomoże mi pan uratować życie mojej ulubionej pacjentki, będę pańskim dłużnikiem.

Podają sobie ręce i Zack wychodzi na korytarz.

– Gotowe? – pyta Juliet.

Armstrong poprawia opatrunek w zgięciu łokcia.

– Tak. Całe szczęście, że rzadko muszę dostawać zastrzyki. To bolało.

– Ale z ciebie dzieciuch. Nawet Kat tak uważa. Przysięgam, że kręciła głową, kiedy się krzywiłeś podczas pobierania krwi.

Parska śmiechem.

– Aleś ty wyszczekana.

Juliet uśmiecha się szeroko, a on znowu uświadamia sobie, jak ta kobieta młodzieńczo wygląda.

– Po prostu lubię żartować. Chodźmy. Jasper i Lauren czekają na nas w sali Mindy.

Z sercem ściśniętym ze strachu Zack przejmuje smycz i rusza przez korytarz.

Juliet puka do drzwi, a kiedy je otwiera, odwracają się do nich trzy twarze. Zack najpierw widzi oczy Mindy, która przez chwilę patrzy na niego, po czym nieśmiało spuszcza głowę.

Ciotka dziewczyny lekko trąca go łokciem w bok, a Lauren, choć z przerażenia blada jak ściana, zachęcająco kiwa do niego głową, więc robi kilka kroków przed siebie.

– Cześć. Jestem Zack.

Mindy znowu podnosi głowę i wtedy mężczyznę ogarnia wrażenie, że świat dosłownie staje na głowie. Przez chwilę boi się, że znowu zemdleje, tak jak wtedy w swoim domu. Jego córka – moja córka, myśli Armstrong – przedstawia się:

– Melinda Wright. – Ma taką samą barwę głosu jak Vivian. Zackowi aż zapiera dech w piersi.

Lauren wstaje i bierze Jaspera za rękę.

– Pójdziemy na śniadanie. Porozmawiajcie sobie. Juliet, przyłączysz się do nas?

– A skąd. Wolę tu zostać i popatrzeć.

– Idziesz z nami – rzuca Jasper z rozdrażnieniem. – No, zbierajmy się.

Zack ledwo ich słyszy. Mindy spogląda na ciotkę, przewraca oczami i lekko unosi lewy kącik ust. Zack czuje, że coś w nim pęka. O Boże, teraz wygląda zupełnie jak Vivian, uświadamia sobie.

Kiedy zostają sami, Mindy nie zwleka, tylko od razu pyta:

– Mogę pogłaskać twojego psa?

– Jasne. Kat? – Ręką wskazuje owczarkowi łóżko.

Sunia podchodzi, ostrożnie opiera się przednimi łapami na materacu i kilka razy wciąga nosem powietrze. Mindy kładzie dłoń na jej szyi i czeka na kolejny ruch psiaka. Kat natychmiast wpycha głowę pod jej rękę.

– Śliczna – chwali z czułością Mindy.

Kat w ekstazie zamyka oczy. Uwielbia, kiedy się ją drapie po szyi. Z jej gardła wydobywa się niski pomruk.

– O kurczę, ona mruczy jak kot!

– Tak to brzmi, prawda? – Zack podchodzi trochę bliżej. – Robi tak, kiedy jest bardzo zadowolona. Miała zostać psem towarzyszącym dla weteranów ze stresem pourazowym albo autystycznych dzieci, ale nie bardzo się do tego nadaje, więc wziąłem ją do siebie. Głuptas z niej.

– Nie jesteś żadnym głuptasem, tylko piękną sunią. I masz urocze uszka.

Kat uznaje to za zaproszenie i wskakuje na łóżko, trącając stojak na kroplówkę, który z brzękiem leci na podłogę. Zack rzuca się do przodu i łapie go w ostatniej chwili.

Mindy parska śmiechem i przytula psa.

– Jejku, pierwszy raz od miesiąca czuję się normalnie.

– Leczenie daje ci się we znaki?

– Mhm, a do tego ten głupi gips. – Wskazuje na nogę przykrytą kocem.

– Mam już dosyć. Nie cierpię tak się wylegiwać. Ale ty jesteś w świetnej formie. Jaki sport uprawiasz?

– Biegam.

– Razem z Kat?

– O, tak. Uwielbia park niedaleko mojego domu. Na drugim końcu tego terenu jest zagajnik, tam spuszcza ją ze smyczy. Pędzi wtedy jak rakieta, goni za wszystkim, co się rusza.

– Chciałabym zobaczyć, jak biegnie.

– Da się to załatwić. Kiedy tak gna, wygląda jak czarno-brązowa, rozmazana plama.

Na chwilę zapada cisza. Zack stara się nie gapić na Mindy, ale jest taka piękna. Pomimo bladej skóry, ciemnych kręgów pod oczami i łysej głowy zachowała urodę. Błagam, modli się Zack w myślach do jakiegoś boga. Błagam, daj mi z nią więcej czasu.

Odrzchąkuje.

– Lubisz psy. Co jeszcze?

– Narty. Wiadomo. Na śniegu czuję się szczęśliwa. Czy tam, gdzie mieszkasz, pada śnieg?

– W Nashville? Niezbyt często, ale raz na jakiś czas poproszy. Jeżeli w prognozie pogody pojawi się choćby malutka wzmianka o śniegu, zamykają szkoły. Po prostu nasze autobusy nie są przystosowane do takich warunków.

– Hm, dziwne. Z innej beczki, tata mówił, że jesteś wykładowcą literatury angielskiej. Przepraszam, to chyba źle zabrzmiało. Wiem, że jesteś moim prawdziwym tatą, ale trochę potrwa, zanim się do tego przyzwyczaję. No i... Przykro mi z powodu Vivian. Mojej matki.

Zack z trudem przełyka ślinę i ujmuje dłoń córki.

– Mindy, nie chcę, żebyś marnowała energię na zmartwienia. Czeka cię walka i to na niej powinnaś się skupić. O nas pogadamy, kiedy już skopiesz tyłek rakowi, dobrze?

Dziewczyna uśmiecha się, tym razem szerzej.

– Och, super, jasne. Mama i tata... sorki... i nawet Juliet obchodzą się ze mną jak z jajkiem. Jakby się bali, że się potłukę. Tak, czeka mnie kilka ciężkich dni, ale na szczęście przyjechałeś i teraz na pewno wszystko się ułoży. Czuję to. Mam naprawdę dużą intuicję.

– Podoba mi się twoje podejście. Wracając do pytania: zgadza się, wykładam literaturę angielską. Lubię pomagać młodym ludziom odnaleźć swój styl pisania. Kilku moich studentów rzeczywiście zostało pisarzami. To dla mnie wielka satysfakcja.

– Lubisz czytać? Bo ja ubóstwiam.

– Lubię. Widziałem twój regał z książkami. Masz dobry gust.

Mindy uśmiecha się tak szczerze, tak serdecznie, że Zack nie może się powstrzymać.

– Mogę cię przytulić? – wyrzuca z siebie.

Dziewczyna zastanawia się przez chwilę, lekko marszcząc wypukłe czoło.

– Tak. Myślę, że to będzie spoko, biorąc pod uwagę fakt, że szukałeś mnie prawie osiemnaście lat. Tylko uważaj, żeby nie potraćić kroplówki. Mama ciągle niechcący wyrywa z niej rurki.

Zack ostrożnie siada na samym brzeżku, wyciąga ręce nad Kat i przygarnia do siebie Mindy. Jest wysoka, ale taka chudziutka. Pachnie szpitalem, lekarstwami i, co dziwne, kwiatami, których woń Zack często wyczuwa w lesie za swoim domem. Kłębią się w nim silne i sprzeczne emocje. Chce mu się jednocześnie płakać i krzyczeć z radości. Mindy obejmuje go za szyję – jej ręce są cienkie jak patyczki, lecz silne – a on zamyka oczy i w końcu, w końcu zaczyna płakać.

Córka poklepuje go po plecach i szepcze uspokajająco, w ogóle niezrażona tym, że ten potężnie zbudowany mężczyzna szłocha z twarzą wtuloną w jej ramię. Po chwili Zack uspokaja się, prostuje i wyciera oczy. Mindy też jest na granicy łez.

– Tak mi przykro, że musiałeś tyle przeżyć – mówi. – Na pewno było ci potwornie ciężko. Straciłeś żonę. Naprawdę bardzo ci współczuję. Żałuję, że nie mogę jej poznać.

Patrzy na nią, spogląda w swoje oczy w twarzy młodej kobiety, która ma taki sam podbródek jak Vivian.

– Jesteś niezwykła, wiesz?

Mindy uśmiecha się łobuzersko.

– Jeszcze nie widziałeś, jak jeżdżę na nartach.

Lauren wpatruje się w biszkopczik na swoim talerzu, jakby w kawałku miękkiego ciasta znajdowały się odpowiedzi na wszystkie pytania. Obok niej Jasper z roztargnieniem bawi się słomką, owija ją sobie wokół palca, potem rozwija i tak w kółko. Juliet jak zwykle trątkocze, opowiada o śledztwie, które niedługo się rozpocznie, o dwójce oficerów śledczych z Nashville i o tym, jakie kroki teraz powinni podjąć. Jasper kiwa głową i co pewien czas rzuca jakąś uwagę, ale Lauren właściwie nic nie słyszy. Nie może przestać myśleć o Mindy – została sama z kimś, kto się przyczynił do jej stworzenia.

I o jej niewinnym pytaniu, które z każdą minutą staje się coraz mniej niewinne.

V.

Cholera.

Mindy wie. Znalazła listy i się domyśliła.

Lauren czuje, że sprawy idą w złym kierunku. Wszystko jest nie tak. Powinna się cieszyć, że być może znalazł się dawca, że pojawiła się szansa na uratowanie życia córki, ale nie czuje nic poza strachem, że została zdemaskowana. Tak jakby każda zła decyzja, którą podjęła w życiu, niedługo miała zostać ujawniona.

– Lauren, czy ty w ogóle mnie słuchasz?

Siostra spogląda na nią, przechyla głowę jak pies i pytająco unosi brwi.

– Przepraszam, zamyśliłam się. Co mówiłaś?

– Musimy dostać od ciebie oficjalne oświadczenie na temat twoich rozmów z Castillo. Poza tym chciałabym zobaczyć wszelkie dokumenty związane z tą sprawą.

– Żadne dokumenty nie istnieją! Nie mam nawet metryki urodzenia, którą mi dała.

– Dlaczego?

– Zmieniliśmy ją, kiedy Jasper adoptował Mindy. Może został po tym jakiś ślad w archiwum Kolorado. Oddałam tam starą metrykę. Kazano mi tak zrobić.

– Czy na oryginalnej metryce widniało nazwisko Kyle’a jako ojca dziecka?

– Oczywiście. To był element historii, którą stworzyła Castillo. Dlatego chciałam zmienić dane, żeby w akcie urodzenia znalazł się Jasper. Ten skurwysyn Kyle nigdy nie był częścią naszego życia. Całe szczęście, że umarł, zanim przywiozłam córeczkę do domu.

– Zginął w Meksyku.

– Na Półwyspie Kalifornijskim. Wypadek podczas nurkowania. Przecież już wiesz.

– Tak, ale podczas przesłuchania policja będzie chciała poznać szczegóły. Usiłuję tylko ci pomóc, żebyś je sobie przypomniała.

– Juliet, myślę, że na razie wystarczy – odzywa się cicho Jasper. – Ten dzień już i tak jest trudny. Nie wygrzebujmy z pamięci złych wspomnień. Możemy to odłożyć na później i spokojnie zjeść śniadanie?

– Przepraszam. Rzeczywiście trochę się zagalopowałam. Teraz powinniśmy skupić się na Mindy, przeszczepie i na reakcji jej organizmu.

– No właśnie. A skoro już o tym mowa, to ja wracam do sali. Siedzą tam sami już prawie godzinę. – Lauren słyszy złość w swoim głosie, ale nie potrafi nad nią zapanować. Rzuca na tacę niedojedzony biszkopt i wstaje.

Jasper odkłada słomkę, również się podnosi i zbiera tace. Juliet patrzy na nich, lekko marszcząc brwi.

– Idziesz? – pyta ją Lauren.

– Za chwilę. Muszę zadzwonić do paru osób.

Lauren kładzie dłoń na ramieniu siostry.

– W takim razie do zobaczenia u Mindy. Aha, jeszcze jedno. Juliet, jestem ci wdzięczna, że odnalazłaś Zacka, naprawdę. Tylko po prostu to straszne, że już nigdy nic nie będzie takie samo.

Śmieją się. Lauren ich słyszy, chociaż znajduje się trzy sale dalej. Rechoczą w dziwnie podobny sposób, głośno i spontanicznie. Widzi, że Jasper też wychwycił ten śmiech i marszczy brwi. Zatrzymuje się, przyciąga męża do siebie.

– Przepraszam – szepcze z ustami tuż przy jego piersi. – Nigdy tego nie chciałam.

Jasper pozwala się przytulić, ale nie odwzajemnia się tym samym. Tak, obejmuje ją i opiera brodę na jej głowie, ale to wszystko – nie przyciska Lauren do siebie, nie czepia się jej kurczowo tak jak ona jego. Zwykły uprzejmy gest, nic więcej.

– Wiem, Lauren. Wszystkim nam ciężko, nie masz na to monopolu.

Odsuwa się od niego.

– No, nieźle mi dogadałeś. To było przykre.

– W tej chwili nie stać mnie na empatię.

– Ale nie wyzywaj się na mnie. Próbuję trzymać rodzinę razem.

– Lauren, nasze życie stanęło na głowie, tylko dlatego, że postanowiłaś ukrywać przede mną prawdę. Nie jestem w nastroju na wyrozumiałość. Pozwij mnie, jeśli sobie tego życzysz.

– „Pozwij mnie”? Skąd ta złośliwość?

– Stąd, że tak długo mnie okłamywałaś. Chyba nie zdajesz sobie sprawy z konsekwencji. Podczas śledztwa policja rozłoży nasze życie na czynniki pierwsze, media będą się do nas dobijać. Nie jesteśmy tylko rodzicami zaginionego dziecka. Jej matka została zamordowana. Mindy nawet nie jest naszym dzieckiem. Teoretycznie możemy natychmiast stracić do niej jakiegokolwiek prawa. Czy ty w ogóle o tym pomyślałaś?

– Tego nie wiemy, czy...

– Sprawdziłem. Zack mógłby dzisiaj zabrać ją stąd i każdy sędzia stanąłby po jego stronie. Odtąd będzie tak, jakby nasza rodzina nigdy nie istniała. A jeszcze zaczną sprawdzać, czy to nie my ją porwaliśmy. Czytałaś raporty w tej sprawie. Na pewno pamiętasz, co się stało z jego żoną. To ty nas w to wciągnęłaś, Lauren. Ciekawe, jak nas z tego wyplądziesz. Najpewniej sam będę musiał znaleźć jakieś wyjście. I bez twojego histeryzowania jest mi ciężko, więc bardzo cię proszę, skończ z tym.

– Ja histeryzuję? Ja?!

– Tak, ty!

Teraz już oboje mówią podniesionym głosem. Cichy korytarz wypełnia się ich pokrzykiwaniem, pielęgniarki odwracają się za nimi.

– Ale z ciebie drań, Jasper. Jak mogłeś powiedzieć coś takiego? Robię wszystko, żeby pomóc naszej córce, a ty mi wytykasz, że zachowuję się jak idiotka. Idź stąd, po prostu zejdź mi z oczu. Nie chcę cię więcej widzieć.

W drzwiach sali Mindy pojawia się Zack. Na jego widok Jasper rzuca żonie spojrzenie w stylu „Zadowolona?”, po czym ze złością maszeruje do windy, z której właśnie wysiada Juliet. Bezceremonialnie przepycha się obok niej.

Lauren z trudem powstrzymuje łzy.

– Bardzo przepraszam – mówi do najbliższej stojącej pielęgniarki. – Nie chcieliśmy robić zamieszania. Ta presja... ta presja nas wykańcza.

To Zack, a nie jej mąż, podchodzi i obejmuje ją ramieniem.

– Chodź ze mną – prosi cicho i prowadzi ją korytarzem do pokoju dla rodzin pacjentów, mijając Juliet, która patrzy za nimi ze zdumieniem.

W zaciszu pokoju Lauren wtula się w Zacka i zaczyna rozpaczliwie szlochać. Armstrong obejmuje kobietę i pozwala jej się wypłakać. Od kilku tygodni nikt nie okazał jej takiej dobroci, co wzbudza w niej jeszcze większy żal.

Parę chwil później uświadamia sobie, że Zack poklepuje ją po plecach i uspokaja szeptem, jakby była dzieckiem wybudzonym z koszmarnego snu. Rzeczywiście to jakiś koszmar. Jej życie zmieniło się w jeden wielki, pierdolony koszmar.

– Już dobrze. Biedactwo, jesteś wykończona, prawda? Prawie nie sypiasz. Mindy powiedziała mi, że od wypadku codziennie siedzisz przy niej właściwie przez całą dobę. Lauren, wróć do domu, co? Odpocznij w końcu.

Sztywnieje i odsuwa się od niego.

– Dlaczego? Bo teraz ty tu jesteś? Przyjechałeś na białym rumaku, żeby nas uratować?

– W każdym razie spróbuję jakoś pomóc – odpowiada Zack i moc w jego cichym głosie sprawia, że Lauren czuje się jeszcze gorzej. W tej sytuacji Armstrong też jest ofiarą.

Nie chce, żeby ten mężczyzna tak się o nią troszczył. Do cholery, to nie on powinien ją pocieszać.

Ale robi to. Jej mąż poszedł sobie, a ten gość jest przy niej, duży, silny i troskliwy. Już od dawna zanosilo się na taką awanturę. Jasper był wręcz absurdalnie cierpliwy, a ona to wykorzystywała, zwlekała z rozmową, żeby tylko nie mierzyć się z trudnymi emocjami: cierpieniem i uczuciem zdrady. Nagłe pojawienie się Zacka bardzo skomplikowało sprawę i właściwie nikt nie potrafi sobie z tym do końca poradzić. A ona potrzebuje wszystkich po swojej stronie. Jej drużyna musi się zjednoczyć, nawet jeżeli przyjdzie im jednocześnie poddawać się przesłuchaniu i przeżywać emocje związane z przeszczepem.

Lauren ociera oczy i odgarnia włosy z twarzy.

– Przepraszam. Rzeczywiście jestem przemęczona, zła i zdenerwowana. Tak jak mi radzisz, pojadę do domu i odpocznę. Dobry pomysł. Dziękuję.

– Nie ma za co. Wyśpij się porządnie.

Lauren ignoruje Juliet, która stoi na korytarzu ze zmarszczonymi brwiami, wpatrując się w telefon. Na chwilę wchodzi do sali Mindy. Córka spogląda na nią szeroko otwartymi oczami, a pies, który leży na łóżku obok niej, podnosi uszy.

– Mamo, wszystko między wami w porządku?

– Oczywiście. Skarbie, przepraszam za to zamieszanie. Po prostu czasem ponoszą mnie nerwy. Pojadę do domu i trochę się zdrzemnę, porozmawiam z twoim tatą... – mówiąc to, odruchowo się krzywi. Boże, musi w końcu wziąć się w garść. – Wrócimy za jakiś czas, okay? Co myślisz o Zacku? Polubiłaś go?

– Tak, jest bardzo miły. Przyniesie mi trochę książek. No i zakochałam się w Kat. – Uśmiecha się od ucha do ucha, teraz zupełnie szczerze.

Lauren głęboko wciąga powietrze.

– Świetnie. Do zobaczenia później. Trzymaj się. Bardzo się cieszę, że lepiej się czujesz. Wczoraj było ci ciężko, wiem. – Lauren całuje dziewczynę w czoło i wychodzi.

Jej pierwsza myśl jest taka, żeby pójść na drinka, ale na dłuższą metę to niczego nie rozwiąże. Wsiada do samochodu i wysypuje zawartość torebki na sąsiedni fotel. Grzebie w tej stercie złożonej z notesów, chusteczek higienicznych, portfela, telefonu i innych drobiazgów, aż wreszcie znajduje buteleczkę z tabletkami przeciwlękowymi od doktora Olivera. Wkłada jedną do ust i popija ją resztką wody z butelki, od tygodnia stojącej na półce w drzwiach samochodu.

Musi się zastanowić. Musi spokojnie pooddychać. Musi spojrzeć na tę sytuację z wielu stron. Nie może stracić Mindy. Po prostu nie może. Jasper ma rację w kwestii ich opieki nad dzieckiem – kiedy prawda wyjdzie na jaw, żaden sędzia nie stanie po ich stronie.

Wyprowadza samochód z parkingu i, nękana wspomnieniami, jedzie, sama nie wie dokąd.

**SZPITAL UNIWERSYTECKI
NASHVILLE, TENNESSEE
1993**

LIESEL

Mieliście kiedyś krew na rękach?

Nie w przenośni. Zupełnie dosłownie.

Ja miałam. Jest ciepła. Zaskakująco gładka i lepka jak dobry balsam do ciała. Do tego śliska, jeśli wypłynie jej wystarczająco dużo.

W pewnym okresie potrzebowałam chwilowego bólu, który się pojawiał podczas nacinania skóry. Krew, która wyciekała ze mnie, była piękna i czerwona. Skapywała do wody w wannie, ból znikał, a razem z nim znikало moje cierpienie. Odzyskiwałam poczucie kontroli. Pustka w mojej duszy się wypełniała.

Wiem, jak to brzmi. Nikt przy zdrowych zmysłach się nie tnie. Och, ale to takie cudowne uczucie. Nie masz pojęcia, jak wspaniałe, dopóki tego nie spróbujesz.

Upuszczanie krwi z ciała innej osoby nie daje takiej samej ulgi. Jest złe, a krew śmierdzi niebezpieczeństwem.

Bolą mnie ręce.

Światła są nieznośnie jaskrawe. Mam ochotę schować się w kącie i po prostu umrzeć, ale nikt mi na to nie pozwoli. Myją mnie, znieczulają, zszywają i bez przerwy gładzą, bredzą coś, pieprzą jakieś głupoty, żebym tylko skupiła się i nie zasnęła. Dopiero po paru godzinach, może nawet dniach, uznają, że jestem gotowa na rozmowę z psychiatrą.

Wygląda na miłego człowieka. Zamyka za sobą drzwi, siada na obrotowym stołku i opiera stopy na podpórce. Przez chwilę uważnie się we mnie wpatruje, potem robi pełny obrót. W ten sposób mówi: Jestem dziwakiem, możesz mi zaufać.

Nie ufam nikomu. Też byście nie ufali, gdybyście przeżyli to co ja.

Patrzę na niego bez słowa. Ma krótkie, nienaturalnie czarne włosy, zbyt szeroki uśmiech i za mocno pachnie wodą kolońską.

– Twardzielka z ciebie, co? No dobra. Sprawy wyglądają tak: z punktu widzenia prawa musimy cię przyjąć na oddział psychiatryczny, bo próbowałaś zrobić sobie krzywdę. Twoja mama powiedziała, że jutro miałaś się zgłosić do stanowego szpitala psychiatrycznego, ale jeżeli chcesz, możesz zostać tutaj. Co najmniej na tydzień. Zobaczysz, czy się z nami dogadasz.

Wzruszam ramionami. Naprawdę mnie nie obchodzi, co teraz ze mną będzie.

Ostrożnie dotyka mojego nadgarstka.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Znowu wzruszam ramionami.

– Chcesz, żebym myślał, że w ogóle się tym nie przejmujesz, a to nieprawda. To było coś więcej niż wołanie o pomoc. Wierz mi, często spotykam młodych ludzi, którzy próbują się zabić, ale nie idą na całość. Wydaje im się, że są zdecydowani, coś jednak ich powstrzymuje. Łykają za mało pigułek, nie tną się wystarczająco głęboko. Na szczęście pozostają przy życiu, my ich leczymy, potem znowu są szczęśliwi i cieszą się, że im się nie udało siebie uśmiercić. Ale ty to zrobiłaś na poważnie. Gdyby siostra cię nie znalazła, byłoby po tobie. Zastanawiam się tylko, dlaczego chciałaś się zabić? Dlaczego tak bardzo pragnęłaś umrzeć?

Spuszczam wzrok na podłogę.

– Nie wie pan, kim jestem?

– Może mi powiesz?

– Serio? Przecież widział pan wiadomości. I moją kartę. Zna pan przyczynę.

Lekarz prostuje się i przez chwilę patrzy na mnie w milczeniu. Kiedy w końcu się odzywa, ma zmieniony głos.

– Liesel, posłuchaj. Przeżyłaś piekło. Nie da się zaprzeczyć. Ale uwierz mi, nie czas umierać. Masz dopiero szesnaście lat. Życie stoi przed tobą otworem, możesz z niego brać pełnymi garściami. Zostać, kim tylko zamarysz. Mieszkać, gdzie tylko zechcesz. Nie musisz zostawać tu i być dziewczyną, którą ludzie obgadują za jej plecami. Jeszcze rok i będziesz mogła wyjechać. Zmienić nazwisko. Polecieć do Europy, codziennie jeść czekoladę i zamieszkać na szczycie góry. Opłynąć świat. Za rok od tej chwili absolutnie nic cię nie będzie ograniczać. To jedno wydarzenie nie musi cię określać.

– Nie sędzę, żebym miała jakikolwiek wybór. Zginął człowiek. Straszny, koszmarny, potworny człowiek. – Nie daję rady się powstrzymać i zaczynam płakać. Próbowałam być silna, co z tego? Jestem kompletnie rozwalona.

– Ja dam ci wybór. Poświęć mi tylko rok.

Nieźle słodzi.

– Nawet pana nie znam.

Wyciąga rękę, ale jej nie ściskam.

– Doktor John Freeman – przedstawia się. – Zostanę twoim psychoterapeutą. Będę osobiście z tobą pracować, stworzę plan, jak z powrotem postawić cię na nogi. I daję słowo: potrafię cię z tego wyciągnąć. Tylko musisz mi w tym pomóc.

– Wszystko mi jedno.

– Nie, nie wszystko jedno. Za to, co zrobiłaś, zostałaś skazana na rok leczenia na oddziale zamkniętym w szpitalu psychiatrycznym. Kiedy człowiek ma szesnaście lat, może się wydawać, że rok to dożywocie. Oczywiście tak nie jest. A trafiłaś tutaj, bo w nocy się poddałaś. Powiesz dlaczego?

Dlaczego? Powodów jest tysiąc i jednocześnie nie ma ani jednego. Kręcę głową. Wciąż jeszcze zbyt mocno odczuwam ból. Nie da się go opisać słowami.

Freeman znowu dotyka mojego nadgarstka.

– Musisz obiecać, że nie spróbujesz tego powtórzyć.

– A jeżeli już nie dam rady? – mówię tak cicho, że ledwo się słyszę. – Jeżeli już dłużej tego nie wytrzymam? Tych spojrzeń, tych żarcików. Wspomnień. Nie mogę przestać myśleć o tym, co zrobiłam. Co wtedy czułam. Krew... Było w tym... coś dobrego. Nie chcę tu być. Wypuść mnie.

Zaczynam szlochać. Łzy ciurkiem płyną mi po twarzy. Siedzę w pułapce. Uwięziona jak ptak. Już nigdy nie wyfrunę z klatki na wolność.

– Skarbie, nie mogę cię wypisać. Albo pójdziesz na górę ze mną i paroma innymi ciekawymi osobami, albo pojedziesz do stanowego szpitala psychiatrycznego. Ludzie siedzą tam do końca życia. Większość nigdy nie wychodzi. Tu naprawdę będzie ci lepiej.

– Dostałam taki wyrok, mam iść do tamtego szpitala.

– Postaram się to zmienić. Moja koleżanka zna sędziego Gilbert. Już się z nią umówiliśmy na rozmowę. Przysięgam, że ci pomogę, jeżeli mi na to pozwolisz. Odnajdziesz sens życia, zobaczysz.

– Musicie używać mojego prawdziwego imienia?

– Niestety tak. Przykro mi, skarbie.

– No dobra.

Potem już nie próbuję z nimi walczyć. Poddają mnie standardowym badaniom – krew, mocz, waga, wzrost. Pielęgniarka, która mi pomaga przebrać się w jakieś bezkształtne bawełniane ciuchy, patrzy na mnie znaczącym wzrokiem. Po chwili wraca doktor Freeman.

– Liesel – odzywa się bardzo delikatnym tonem. – Wiesz, że jesteś w ciąży?

– Tak.

– Kto jest ojcem?

Patrzę na niego wyzywająco, aż w końcu mówi „Och” z cichym westchnieniem, a mnie aż się chce wrzeszczeć.

– Powiadomimy o tym sędziego.

– Już o tym słyszała. Dlatego dostałam niski wyrok.

– No to porozmawiamy o twoich możliwościach jutro. Kiedy już się rozłokujesz.

Zaraz chyba pękne ze śmiechu.

– Nie mam żadnych możliwości. Ciągle to powtarzam, ale pan nie słucha.

Kiedy zabierają mnie na oddział psychiatryczny, idę potulnie, ze spuszczoną głową, przytrzymując przed sobą pociętą rękę. Lidokaina jeszcze nie do końca przestała działać, więc nadal nie mam czucia w nadgarstku i przedramieniu obandażowanym od dłoni aż do łokcia.

Prowadzą mnie do sali, gdzie pielęgniarka znowu mnie bada, zapisuje wagę i wzrost, daje jakąś tabletkę.

– To pomoże zasnąć.

Biorę lek, chociaż jest rano. Sen – dobry pomysł. Chciałabym zasnąć na zawsze.

Potem idziemy długim białym korytarzem. W mojej sali stoją dwa łóżka. Oba puste.

Pielęgniarki coś do mnie mówią, nic nie rozumiem.

Pomieszczenie zaczyna nieprzyjemnie wirować.

To działanie tabletki. Czuję się dziwnie, jak pozbawiona ciała, jakbym nie mogła dotknąć własnej skóry.

Zostawiają mnie samą. Pojawia się jakaś dziewczyna. Ma ciemne włosy. Gapi się na mnie. Wychodzi i słyszę, jak kłóci się z kimś na korytarzu. Wraca. Obchodzi mnie dookoła jak wilk okrążający ofiarę, a ja nic nie mogę zrobić, żeby ją zatrzymać. Pstryka mi palcami tuż przed twarzą. Kusi mnie, żeby je ugryźć – niestety nie jestem w stanie się ruszyć. Słyszę, jak otwiera moją torbę, ale tylko patrzę, patrzę i patrzę przez okno.

Wiem, że powinnam się jej postawić. Chociaż raz mieć kontrolę nad sytuacją. Dziewczyna czeka. Czuję to. Chce, żebym z nią porozmawiała. W końcu się odzywam. Język mam tak zdrętwiały i suchy, że dosłownie wypluwam z siebie słowa.

– Jak jeszcze raz dotkniesz moich rzeczy, to cię zabiję.

– Jasne. – Pogarda w jej głosie mnie wkurza.

Udaje mi się odwrócić i spojrzeć na nią, tak naprawdę zobaczyć ją pierwszy raz. Całkiem ładna. Długie czarne włosy, szafirowe oczy. Chyba coś zrozumiała, kiedy zobaczyła mój wyraz twarzy, bo wzdryga się i cofa. Bardzo dobrze.

Znowu patrzę przez okno na parking.

Witaj, Liesel. To kolejny rok twojego życia.

Jakie to, kurwa, okropne.

Już nienawidzę tego oddziału.

Nienawidzę tej głupiej dziewczuchy. Ewidentnie się mnie boi. Patrzy takim wzrokiem, jakby myślała, że przeskoczę przez łóżko i zębami rozszarpie jej gardło.

Nie cierpię tych ludzi, tych zapachów, tego upokorzenia. Lidokaina przestaje działać. Swędzi mnie skóra pod bandażem, mam wrażenie, że cała ręka mi płonie.

Nie powinno mnie tu być.

Walę pięścią w materac, raz za razem, wściekłość narasta we mnie, zaczynam krzyczeć; przestraszona współlokatorka biegnie po pielęgniarki. Robią mi jakiś zastrzyk, który szczypie, i znowu odpływam. Zanim wszystko wokół mnie przestanie istnieć, w umyśle pojawia się jeszcze jedna myśl.

„To nie moja wina. To nie moja wina, że zginął”.

**SZPITAL W VAIL
TERAZ**

Mindy opuszcza zagłówek łóżka najniżej, jak się da, kładzie się na boku i opiera głowę na tułowiu Kat. Świetna z niej poduszka, ma taką mięciutką sierść. Śpi mocno, lekko pochrapując. Mindy uwielbia głaskać puchate futerko pod jej uchem, które podnosi się i opada w rytm oddechu.

Ona też powinna się zdrzemnąć, ale nic z tego. Ma już serdecznie dosyć spania. To jedno z przekleństw raka – za każdym razem, kiedy zamyka oczy, boi się, że już nigdy ich nie otworzy. Po wczorajszej jelitówce zdążyła porządnie się wyspać, więc teraz jest całkowicie rozbudzona.

Spod lekko opuszczonych powiek spogląda na nową postać w swoim życiu. Zachary Armstrong siedzi z rękoma na kolanach i obserwuje ją uważnie. Jest przystojny. Miły. Mindy czuje, że łączy ich dziwna więź – widzi u niego niektóre cechy własnego wyglądu. Zack patrzy na nią jej oczami, co niemal budzi grozę, ale jednocześnie przynosi pewną ulgę.

Mindy trudno się w tym wszystkim odnaleźć. Najpierw dowiaduje się, że została adoptowana, potem, że jej prawdziwą matkę ktoś zamordował, a teraz pojawia się biologiczny ojciec, który może zostać dawcą i uratować jej życie.

A do tego mama kłamała. W żywe oczy.

V.

Mindy nie jest głupia. Nie trzeba być geniuszem, żeby powiązać ze sobą te dwa fakty. Odnalazła listy jakiejś nastolatki, tajemniczej V., po czym dowiedziała się, że jej biologiczna matka miała na imię Vivian. Prawdopodobieństwo, że to nie ta sama osoba, jest bliskie zeru.

Wszystko to razem wzięte oznacza coś strasznego. A mama skrywa przed nią tę tajemnicę.

Mindy nie może już dłużej o tym myśleć. To ją wykańcza. Z całego serca pragnie, żeby już było po wszystkim, żeby już wyzdrowiała, zdjęła ten cholerny gips, od którego noga ją swędzi, założyła narty, poczuła wiatr na twarzy i odzyskała kontrolę nad własnym ciałem.

Umieranie na raty jest takie żenujące.

Cała rodzina przechodzi dramatycznie trudne chwile. Dziewczyna wkurza się na mamę – niesamowicie, że teraz za każdym razem, kiedy wypowiada to słowo albo kiedy o nim myśli, w jej wyobraźni pojawia się ta nowa twarz – ale jednocześnie jest jej przykro, kiedy widzi ją zdenerwowaną i zestresowaną. Z kolei tata – tu też nowa twarz, nie będzie łatwo! – wydaje się zagniewany i prawie nic nie mówi. Zawsze był ich rodzinnym błaznem, dowcipnisiem, a teraz już od kilku tygodni nie widziała na jego twarzy uśmiechu, tylko smutek. Mama i tata, Vivian i Zack. W myślach dopasowuje imiona do twarzy i powtarza sobie, kto ją wychował. Koniec z podwójnymi imionami rodziców. Jest tata i biotata. Zack.

Najlepiej Zack. Fajne imię. Tak go będzie nazywać. Czuje, że tak powinna.

Słyszy odgłosy jakiegoś zamieszania na korytarzu; całkowicie otwiera oczy. Zack patrzy na drzwi. Sekundę później do sali wpada doktor Oliver z uśmiechem od ucha do ucha.

– Ludzie, mamy to! Jest pan idealnym dawcą dla naszej pacjentki! Przygotujemy was oboje i zaczniemy indywidualne terapie. Mindy, bardzo mi przykro, na razie musisz się rozstać z pieskiem. Na parę dni przeniesiemy cię do sterylnego pomieszczenia, bo lekarstwa, które zamierzamy ci podawać, wykończą wszystko, łącznie z twoim układem odpornościowym.

– Będzie ją bolało? – pyta Zack.

I to Mindy odpowiada, z szerokim uśmiechem:

– Całe leczenie jest bolesne. Ale ja się nie łamię. Dam radę. A ty? Ciocia J mówiła, że nie cierpisz igieł.

Wzrusza ramionami.

– To prawda, nie przepadam, ale skoro pani jest taka dzielna, to chyba nie mam wyboru, co? – Puszczą do niej oko.

Córka posyła mu promienny uśmiech.

– Proszę spróbować pokonać ten lęk, bo na kilka dni stanie się pan naszą poduszczką na igły – uprzedza lekarz. – Mindy, a gdzie twoja mama?

– Pojechała do domu, tata też. Ciocia J rozmawia przez telefon z policjantami, którzy tu lecą, żeby nas przesłuchać. Zostałam sama z Zackiem. Teraz jego kolej, żeby mnie niańczyć.

– Wobec tego zaczniemy bez nich. No, zabierajmy się do roboty. Zaraz pójde po kogoś, żeby wziął stąd psa.

– Poszukam Juliet – proponuje Zack. – Kręci się gdzieś w pobliżu.

Nastolatka spogląda na niego z ciekawością. Zack wymówił imię jej cioci z pewną sympatią. Mindy wie, że Juliet to jego sojusznik, ale jest też ładna i wolna. A Zack jest przystojny i też wolny. Tworzyliby piękną parę. Ale czy wtedy Juliet stanie się dla niej macochą?

Mindy czuje rozpierającą radość. Będzie żyła. Na pewno.

Przed wyjściem Zacka raz jeszcze go przytula. Ojciec w dwóch postaciach to całkiem fajna sprawa.

Juliet wraca na górę po psa, a ojciec z córką trafiają do izolatek. To wszystko dzieje się tak szybko, że Zackowi aż kręci się w głowie. Podczas przygotowań lekarze bombardują go pytaniami o przyjmowane leki, alergię, zbierają całą historię jego chorób. Zdaje na szóstkę – na szczęście nigdy poważnie nie chorował i nie bierze żadnych lekarstw oprócz zyrtecu na sezonowy katar sienny, którego teraz nie ma.

Kiedy podłączają go do kroplówki, odwraca wzrok i myśli o swojej pięknej córce. Jeżeli ona potrafi wziąć się w garść i dzielnie znosić zastrzyki, jemu nie wolno wymiękać. Szybko dostaje podwójną dawkę leku zwiększającego liczbę krwinek; lekarze uprzedzają, że może czuć się tak jak podczas grypy, mieć bóle mięśni i głowy. Choroba wysokościowa już i tak nieźle dała mu w kość. Nie wyobraża sobie, że poczuje się jeszcze gorzej. Przez dwa dni, rano i wieczorem, będzie dostawał zwiększoną dawkę, potem podczas ośmiogodzinnej sesji pobiorą komórki macierzyste z jego krwi. Zack stara się nie myśleć o tym, że na tyle godzin zostawią mu w żyłę metalowy szpikulec. Raz jeszcze powtarza sobie, że Mindy to twardzielka i że musi być tak samo dzielny jak ona.

Po pierwszej dawce proszą, żeby położył się na kilka minut, bo podczas chodzenia zakręci mu się w głowie. Tak, może porozmawiać z Juliet.

– Niby taki z ciebie chojrak, a zachowujesz się jak mięczak. Ciągle cię widzę w pozycji horyzontalnej.

– Chcesz zamienić się miejscami?

– No dobra, czas na zwierzenia. Ja też staram się unikać igieł.

– Wspaniała i potężna Juliet, ekspert od DNA, superwoman z CBI ma jakąś słabość?

Przechyla głowę tak, żeby znalazła się pod tym samym kątem, co jego, i owija sobie smycz Kat wokół ręki.

– Tylko spróbuj komuś pisać słówko, a już nigdy nie zobaczysz swojego psa.

– Czcze pogrożki. To ty spróbuj trzymać mnie z dala od Kat. To superpies. Wszędzie mnie znajdzie.

Juliet prostuje się i uśmiecha szeroko.

– Gliniarze z Nashville są w drodze. Mój szef się nimi zajmie. Od tej pory będzie im pomagał w śledztwie.

– A ciebie nie wezmą do współpracy?

– Pamiętaj, że jestem genialnym naukowcem, nie śledczym. Poza tym jako osoba prywatnie zaangażowana w tę sprawę muszę zadbać o własne interesy. Takie są zasady w naszej firmie. Mnie też wezwą na przesłuchanie. W końcu to moja rodzona siostra kupiła sobie noworodka.

– Jak dobrze ją wtedy znałaś? Dowiedziałaś się o Mindy dopiero teraz, tak samo jak Jasper, prawda? Dlaczego Lauren to przed tobą ukrywała? Przecież jesteście siostrami.

Juliet odwraca wzrok, patrzy przez okno na parking i góry.

– Nigdy nie łączyły nas silne więzi. Wiem tylko, że latem dwutysięcznego roku poroniła; przed wszystkimi udawała jednak, że nadal jest w ciąży. Oczywiście mam do niej żal, że nic mi nie powiedziała. Własnej siostrze. Kto powinien wiedzieć o tym, jak nie ja?

– Mąż Lauren zginął w wypadku; lekarka, która zorganizowała adopcję, tak samo; detektyw przez lata prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa i porwania, też nie żyje. Okropnie dużo ludzi zmarło.

Na twarzy Juliet nagle pojawia się przerażenie.

– Co ty sugerujesz?

– Hej, nic nie sugeruję. Tak tylko zauważam, że wiele tropów się urwało. Skąd to pytanie? O co chodzi?

Juliet odpowiada, nie patrząc na niego:

– Myślałem, że próbujesz oskarżyć o coś Lauren. O śmierć Vivian.

Zack wyciąga do niej dłoń, a ona ją ujmuje.

– Posłuchaj. Twoja siostra zaopiekowała się moją córką. Oboje byli dla niej cudownymi rodzicami. Chciałem powiedzieć tylko tyle, że policjanci będą pytali o wiele trudnych spraw.

– W porządku. Przepraszam za te nerwy. Po prostu tak samo jak wszyscy jestem wykończona.

– Nic dziwnego. No, chyba mogę spróbować usiąść. Pójdziemy na kawę? Przydałoby mi się trochę energii.

– Wolno ci pić napoje z kofeiną? A ta cała procedura?

– Nie mówili, że nie mogę. Na wszelki wypadek wezmę bezkofeinową, zgoda?

Juliet pomaga mu usiąść. Ładnie pachnie, kwiatami, których Zack nie potrafi rozpoznać; różami? To delikatny aromat, niezbyt intensywny. Podoba mu się. Po chwili jednak Zack upomina samego siebie w myślach. Nie powinien uważać, że inne kobiety są atrakcyjne. Od lat mu tego nie wolno. Zaspokajał swoje naturalne potrzeby, nic więcej. Nigdy żadna kobieta nie wydawała mu się pociągająca, bo wtedy dzieliłby go tylko krok od zaangażowania, a on jest zaprzysięgłym kawalerem. Ostatnia kobieta, którą kochał, została zamordowana z jego powodu, nie narazi na to już żadnej innej.

Juliet zna drogę na skróty do bufetu. Armstrong i Kat idą za nią powoli. Po tym lekarstwie Zack już zaczyna czuć się źle. Juliet płaci za kawę i prowadzi go do stolika przy oknie. Sypie lekki śnieżek, na który Zack patrzy z zachwytem mieszkańca południa. Kat też się gapi – uwielbia śnieg.

Juliet zauważa wirujący puch dopiero, kiedy widzi, że Zack chwilę wygląda przez okno.

– Na co tak patrzysz?

– Na śnieg. Tak tu ładnie.

– Ładnie? Zimno i mokro; a w tunelu pewnie dojdzie do wielu wypadków. Oby samolot Parksa i Starr nie miał zbyt dużego opóźnienia.

– Rozumiem. Trudno zachwycać się czymś, co widzi się dosłownie codziennie przez pięć miesięcy w roku. Dla nas, południowców, wygląda to baśniowo.

Juliet popija kawę i też spogląda za okno. Nagle czymś zaalarmowana, pochyla się niżej nad swoim kubkiem.

– To Lauren tam stoi? Kurczę, co ona tu robi?

Rzeczywiście na parkingu pojawiła się Lauren. Zack rozpoznaje ją po puszystym, jasnym końskim ogonie.

– Nie wiem. Mówiła, że pojedzie do domu się przespać. Czegoś szuka przy...

– ...moim pikapie. Co jest, do cholery?

– Ma kluczyki?

– Nie, ale wie, że pod kołem zapasowym trzymam drugi komplet. Lepiej pójde zobaczyć, może coś jej wypadło z torebki. Wczoraj pojechałyśmy razem na lunch. Na miłość boską, przecież mogła napisać SMS-a. – Kręci głową z dezaprobatą. – Zaraz wracam.

Zack odprowadza ją wzrokiem, potem znowu przenosi spojrzenie na Lauren, która wyraźnie usiłuje coś znaleźć. Kilka chwil później pojawia się Juliet. Siostra, spłoszona, odskakuje od auta. Zamieniają ze sobą parę słów, co wkrótce przeradza się w gwałtowną kłótnię. Lauren odwraca się, a Juliet otwiera drzwi pikapa, pochyla się i wsadza do niego głowę. Gdy po chwili wyjmuje coś ze środka, Lauren natychmiast ucieka.

Do diabła, o co tu chodzi?

Zack dopija kawę, wstaje i kupuje przy ladzie milky waya. Potrzebuje cukru, czuje się słabo.

Kiedy siada, do bufetu wraca wyraźnie wkurzona Juliet. Ciężko opada na krzesło.

– Co się stało?

– Zgubiła rękawiczkę.

– Taka kłótnia o rękawiczkę?

– Ze zmęczenia kompletnie jej odbiło. Boi się, że ten, kto zamordował Vivian, teraz wróci, żeby zabić Mindy. Jakby zadarła z mafią albo grała w Breaking Bad. Chyba ma urojenia. Powiedziałam jej to wprost, wtedy wybuchła. Dzisiaj jest okropnie agresywna. My we dwie ciągle się kłócimy, zawsze tak było, ale nie pamiętam, kiedy ostatnio krzyczała na Jaspera. Co w nią wstąpiło?

Armstrong styka ze sobą opuszki palców obu dłoni.

– Wiesz, czym kiedyś się zajmowałem, prawda?

– Pracowałeś w wywiadzie wojskowym.

– Tak. Co znaczy, że sam też dorobiłem się niezłej paranoi. Lauren niedawno się dowiedziała, że jej córka została porwana przez kogoś, kto najpierw zamordował biologiczną matkę dziecka. I niewykluczone, że to miało być ostrzeżenie dla mnie. A teraz przyjechałem tutaj i Lauren odnosi wrażenie, że już przed niczym nie może uchronić Mindy. Jeżeli wierzy, że jej córce grozi niebezpieczeństwo, to ja jestem tego powodem. Nie dziwię się, że wpadła w panikę. Może więc bądźmy wobec niej wyrozumiali. Jako cywil nie analizuje przestępstw logicznie; odbiera je przede wszystkim emocjonalnie.

– Mnóstwo o niej wiesz jak na osobę, która dopiero niedawno ją poznała.

– Jestem dobrym obserwatorem. Lauren szaleje z przerażenia. Mąż się na nią wścieka, ciężko chora córka ledwo żyje, siostra ciągnie za sobą policję i media, a do tego jeszcze ja. Całe życie tej kobiety legło w gruzach. Próbuję spojrzeć na sytuację z jej perspektywy.

– Zapewniam cię, że ja też. Widzę, że ostatnio zachowuje się tak, jakby kompletnie zwariowała. Niesamowite, że ty tak spokojnie to znosisz.

– Od wielu lat żyję ze świadomością śmierci Vivian i zniknięcia Mindy. Miałem siedemnaście lat na to, żeby się z tym pogodzić. Lauren miała siedemnaście godzin.

Juliet drapie się po brodzie.

– Skoro już dzielimy włos na czworo, to pamiętaj, że przez cały ten czas znała prawdę o Mindy.

– Nie uważam, że to dzielenie włosa na czworo. – Zack kładzie dłoń na jej dłoni. – Skąd mogła wiedzieć, że prawnie wcale nie jest jej matką? Tamta lekarka ją okłamała. Twoja siostra pogrążyła się w rozpacz i potwornie się boi, że może stracić dziecko. Myślę, że od samego początku nie myślała racjonalnie, a teraz... zrobiło się jeszcze gorzej, bo Mindy spotkało coś, nad czym Lauren nie ma kontroli.

– Na pewno wykładasz literaturę angielską? – pyta Juliet, patrząc na niego przymrużonymi oczami. – Bo mówisz zupełnie jak doktor Phil^[4].

Zack nie potrafi się powstrzymać – wybucha śmiechem tak głośnym, że ludzie przy sąsiednich stolikach zaczynają się na nich oglądać. Juliet uśmiecha się, bardzo chciałaby dołączyć do niego w tej spontanicznej reakcji, ale ostatecznie tylko chichocze. Kat patrzy na nich takim wzrokiem, jakby zwariowali.

– Tak, jestem wykładowcą literatury angielskiej – potwierdza Zack, kiedy wreszcie się uspokaja. – Ale przedtem zajmowałem się wieloma innymi rzeczami. To prawda, szukam ukrytych motywów jej działania. Chyba po prostu próbuję zrozumieć, dlaczego tak długo kłamała.

Juliet znów patrzy na śnieg za oknem.

– Sama chciałabym to wiedzieć.

Z telefonu dobiega sygnał przychodzącej wiadomości. Juliet patrzy na ekran swojej komórki i wstaje.

– Przyjechał Woody z Parksem i Starr. Mindy pewnie została już przeniesiona do sterylnej sali. Pogadasz z nią przez interkom? Ja zajmę się nimi.

– A czy mogę najpierw choć przez chwilę ci towarzyszyć? Chciałbym z nimi pogadać, żebyśmy wszyscy byli na bieżąco.

– W takim razie poczekaj przy stoliku, ja tu ich przyprowadzę.

– Może zamówię dla wszystkich kawę?

– Dobra myśl. I wodę. Mnóstwo wody. Lepiej żeby choroba wysokościowa ich nie wykończyła.

– Tak jest.

Policjanci, którzy czekają w holu szpitala, od razu rzucają się w oczy – jak to gliniarze, nawet jeżeli nie trzymają broni na widoku. Juliet macha, zbliżając się do nich.

– Widzę, że szczęśliwie dotarliście. – Podaje dłoń Parksowi i Starr, szefa wita przyjaznym szturchnięciem w ramię. – Woody dobrze się wami zajął? Wiem, że przez przełęcz jeździ jak szatan.

Starr tylko kiwa głową, a Parks jest tak zielony na twarzy, że Juliet z trudem tłumi śmiech.

– Ryder, wciągnęłaś nas w niezły bajzel. Nie zapomnę ci tego – mówi Woody z szerokim uśmiechem.

Jest eleganckim mężczyzną po czterdziestce, jasne włosy zaczesuje do góry, na policzkach ma lekki ślad po narciarskich goglach. Jako rodowity mieszkaniec Kolorado zimą lubi jeździć na snowboardzie, co zresztą świetnie mu wychodzi, i każdy wolny dzień spędza na stokach. Latem

często wybiera się na wycieczki rowerowe górskimi szlakami. Jest też doskonałym śledczym. Opanowany, solidny, szczerzy; Juliet bezgranicznie mu ufa.

– Zajęłam dla nas stolik w bufecie. Kto ma ochotę na kawę?

Wszyscy troje podnoszą rękę. Juliet prowadzi ich korytarzem. Zack przesiadł się do większego stołu, również pod oknem. Przed nim już stoją dwa dzbanki z kawą i kilka butelek wody. Pewnie oczarował ekspedientkę, skoro naląła mu kawy do dzbanków. Zwykli klienci ich nie dostają, Juliet widywała je tylko na stolikach, przy których spotykali się lekarze.

Ujmujący mężczyzna z tego Zacka. Niezmiennie uprzejmy, kulturalny, prawdziwy dżentelmen. Juliet z niepokojem myśli, co się stanie, kiedy runie ta starannie kontrolowana fasada. Pewnie zrobi się niezły bajzel.

Kiedy już wszyscy zajmują miejsca, Woody przedstawia się Armstrongowi, po czym prosi Parksa o wprowadzenie.

– Przede wszystkim chciałabym podziękować za to, że zgodziliście się na współpracę. W naszym mieście to jedna z najważniejszych zamkniętych, lecz niewyjaśnionych spraw, dosłownie legenda. Byłoby wspaniale, gdyby udało nam się ją rozwiązać, przynajmniej jedną część.

– Mam nadzieję, że pomogę wam rozwiązać również część drugą – mówi Juliet.

– No tak... Od naszej ostatniej rozmowy dowiedziałem się paru rzeczy, ale niczego związanego z porwaniem. Szukamy wszystkich śladów po doktor Castillo. Liczymy na to, że uda nam się przejść od Lauren poprzez Castillo do ludzi, którzy porwali Mindy. Na razie zakładamy, że ta sama osoba zabiła Vivian, chociaż oczywiście sprawców mogło być dwóch. Podejrzewano nawet, że ktoś chciał w ten sposób zemścić się na Zacku. Im bardziej jednak zagłębiam się w tę sprawę, tym więcej wskazuje na to, że motyw był inny.

– Zgadamy się z tą opinią – stwierdza Woody. – Właśnie prześwietlamy doktor Castillo. Przekazaliśmy szpitalowi Swedish Medical nakaz udostępnienia nam wszystkich akt tej lekarki, no i oczywiście planujemy przesłuchać jej pomagiera. Fuentes jest skazany za przestępstwa pocztowe, ale kiedyś należał do gangu, więc na pewno zna ludzi, którzy mogliby zamordować kobietę i porwać dziecko. Między innymi musimy się

dowiedzieć, czy Vivian była ich celem, czy przypadkowo padła ofiarą przestępców, a im zależało jedynie na dziecku. Jeżeli ci ludzie parali się wyłącznie handlem noworodkami, to niewykluczone, że nie zamierzali zabijać.

Zack wydaje z siebie gardłowe jęknięcie, a Woody podnosi dłonie.

– Rozumiem, ale dotąd nikt nie wiedział o Castillo, więc musimy się temu przyjrzeć ze wszystkich stron. Jeżeli twoja żona została zamordowana dlatego, że była świadkiem porwania, to nieco zmienia naszą perspektywę.

– Proszę mówić dalej. Przepraszam, że przerwałem.

Woody kiwa głową.

– Dziecko przewieziono do innego stanu, więc oczywiście FBI przyłączy się do naszego śledztwa, a skoro tyle instytucji się w nie zaangażuje, potrzebny nam będzie specjalny oddział koordynujący. Tymczasem to my stoimy na czele śledztwa. Przyjrzelismy się różnym sprawom porwania nowo narodzonych dzieci i tylko kilka przypadków pasuje do tego scenariusza. Zazwyczaj sprawca szybko zostaje odnaleziony. Nie wiemy, czy to była jednorazowa akcja i czy chodziło o pana i pańską żonę. Jeszcze za wcześnie, żeby to ustalić.

Zack kręci głową.

– Pracujecie więc z założeniem, że przez tyle lat wszyscy się myliliśmy i że to nie ja stanowiłem cel ataku?

– Tak jak powiedziałem, za wcześnie, żeby to stwierdzić, ale owszem, to możliwe, że napastnikowi zależało wyłącznie na Mindy, a śmierć pańskiej żony była przypadkowa. Nawiasem mówiąc, słyszałem o pańskiej służbie w wojsku. To chwalebne i godne podziwu.

– Robiłem, co do mnie należało. Tak samo jak wy.

– Jasne. Wracając do meritum: dopóki nie odnajdziemy akt doktor Castillo, nie ruszymy z miejsca, więc może mi pan wierzyć, że jestem otwarty na wszelkie sugestie.

– Świeże spojrzenie bardzo nam się przyda – przyznaje Parks.

Starr potakuje.

– Tak na wszelki wypadek zaktualizowałam naszą bazę danych – dodaje.
– Z jakiegoś powodu DNA pana Armstronga nie było w systemie. Przywiozłam też akta i udokumentowane dowody. Pomyślałam, że będziecie państwo chcieli je przejrzeć, więc zrobiłam kopie.

Woody zerka na Juliet, która myśli: „On wie. Wie, że namówiłam Cama, żebyśmy wprowadzili to DNA do systemu, jeszcze zanim oficjalnie przydzielą nam tę sprawę. Cholera”.

Szef spokojnie dolewa sobie kawy.

– Juliet nie weźmie udziału w śledztwie. Przykro mi, tak trzeba. Zajmę się nowymi aktami, powysyłam je swoim ludziom, a zastępca Juliet, doktor Bai Ford, sprawdzi wszystkie profile DNA i ponownie przeprowadzi badania, a nuż coś zostało przeoczone.

– Dobry pomysł. Kilkanaście lat temu analizę DNA robiliśmy w laboratorium stanowym. Teraz mamy własne, na miejscu, a postępowanie dowodowe jest nieco bardziej rygorystyczne niż wtedy. Biuro Śledcze w Tennessee miało nieprawdopodobne zaległości. – Starr wyjmuje dwie szare koperty, grubą i cienką, po czym spogląda na Zacka. – Może wolałby pan odpocząć? Będziemy teraz rozmawiać o dość trudnych sprawach.

– Zostanę, jeśli państwo pozwolą.

– Jak pan sobie życzy. – Starr otwiera grubą kopertę. – Sekcja zwłok wykazała, że Vivian Armstrong została dwukrotnie ugodzona nożem. Znalaziono ranę ciętą szyi i ranę kłutą brzucha. Na narzędziu zbrodni nie zostały odciski palców sprawcy, tylko ofiary, a kałuża krwi wskazuje na to, że kobieta zginęła na miejscu. Zmarła w przybliżeniu trzydzieści godzin przed tym, jak została odnaleziona. Sprawca najprawdopodobniej chciał tylko porwać dziecko, lecz nagle musiał zmienić plan. Poza tym... – Starr zerka na Armstronga i z powrotem przenosi wzrok na kartkę. – Vivian leczyła się na depresję.

– Na depresję? – Zack gwałtownie się prostuje. – O czym pani mówi? Vivian nie miała żadnej depresji. Czekwała na narodziny naszego pierwszego dziecka. Była bardzo szczęśliwa.

– W jej organizmie wykryto wysoki poziom leku przeciwdepresyjnego. Zostało to wpisane do raportu z autopsji. – Starr spogląda na Parksa, który

skinięciem głowy daje jej znak, żeby kontynuowała. – Nie wiedział pan, że żona się leczyła?

– Nie. Pierwsze słyszę. Przez kilka ostatnich tygodni byłem z nią cały czas. Nigdy nie widziałem, żeby brała jakieś lekarstwa. A pan wiedział o tym? – zwraca się do Parksa.

– Nie. – Policjant kręci głową. – Na liście dowodów nie widnieje nawet najmniejsza wzmianka o notryptylinie. Nikt pana nie pytał o leki, kiedy sugerowano, że pan...

Zack z trudem hamuje śmiech. Parks tak bardzo stara się być delikatny.

– Kiedy byłem traktowany jak główny i jedyny podejrzany? Nie, nikt nie poruszył kwestii antydepresantów. Na pewno bym to zapamiętał.

– Do raportu z autopsji dołączono aneks. Badania toksykologiczne trwają dość długo, a jak już powiedziałem, nie dysponowaliśmy wtedy własnym laboratorium. Czy pańska żona przed śmiercią chodziła do psychiatry?

– Nie. Kontaktowała się głównie ze swoją położną, a w razie potrzeby zapisywała się do ginekologa, to wszystko. Nigdy nie narzekała, że jest przygnębiona albo dręczą ją jakieś inne problemy. No ale nie śledziłem jej na każdym kroku. – W jego głosie brzmi taki żal, że Juliet musi się powstrzymać, żeby nie wziąć go za rękę.

– Rozmawialiśmy z tą położną. Jej Vivian też o niczym takim nie mówiła. Ale nie poddaliśmy się i drążyliśmy dalej. Panie Armstrong, czy wie pan, że pańska żona jako nastolatka spędziła pewien czas w szpitalu psychiatrycznym?

– Słucham? – Zack z zaskoczenia szeroko otworzył usta, teraz więc szybko je zamyka. – W szpitalu psychiatrycznym?

– Tak. Od czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego do stycznia dziewięćdziesiątego ósmego roku z przerwami Vivian przebywała na oddziale psychiatrycznym Szpitala Uniwersyteckiego. Dzisiaj dostali nakaz udostępnienia jej akt.

– Nigdy mi o tym nie wspomniała. Ale dlaczego Gorman nic nie powiedział? Ani o to nie spytał? I nie poszedł tym tropem?

Juliet widzi błysk wściekłości w jego oczach. Albo rzeczywiście nie zdawał sobie z tego sprawy, albo jest genialnym aktorem.

Starr kręci głową.

– Tego nie wiemy. A ponieważ on też nie żyje, nigdy się nie dowiemy.

– To kolejna rzecz, którą trzeba sprawdzić – mówi Parks. – Nie chcę szukać wiatru w polu, dziwi mnie jednak, że Gorman zginął dzień po tym, jak poznał Mindy. Długo zbierał informacje na jej temat, a w jego aktach znalazłem notatkę ze słowem „Kolorado”. Mógł podejrzewać, że Mindy jest zaginionym dzieckiem Armstrongów. Pojechał do Kolorado poznać dziewczynę, chociaż zobaczyć na własne oczy, czy jest jakieś podobieństwo albo zdobyć jej materiał DNA. Przeprowadzono tylko oględziny ciała naszego szefa, bo rodzina nie wyraziła zgody na sekcję. Lekarz sądowy nie oponował, bo Gorman zginął na skutek tępego urazu głowy, do którego doszło po upadku z urwiska, na co byli świadkowie.

– Takie wypadki zdarzają się częściej, niżby się wydawało – wtrąca Woody. – Zwłaszcza kiedy ludzie jeżdżą poza trasami narciarskimi. Niestety co roku zimą mamy kilka takich incydentów.

– Poza trasami? – powtarza Parks ze zdumieniem.

– Poza tymi wyznaczonymi.

– Rozumiem. Po prostu jako gliniarz jestem podejrzliwy. Każda osoba związana z tą sprawą już nie żyje. Matka, lekarka, oficer śledczy. Myślę, że

to nie przypadek.

Przy stole zapada cisza, wszyscy zastanawiają się nad tymi słowami. Juliet zerka na Armstronga.

– Zack myśli tak samo – odzywa się w końcu. – I słusznie. Może sprawca nas obserwuje? Niedawno moja siostra dostała paranoi na tym punkcie. Była przekonana, że morderca nas w jakiś sposób namierzył. Myślę, że ona też widzi ten związek i jest śmiertelnie przerażona.

– Oczywiście przesłuchamy ją w następnej kolejności – zapewnia Woody.

– Od niedzieli wypytywałam ją o wszystko w tej sprawie z dziesięć razy. Nic z tego nie wynikło. Ona o niczym nie wie.

– Juliet, chodzi o to, że Lauren może coś wiedzieć, nawet nie zdając sobie z tego sprawy – odzywa się Starr. – Przepraszam, jeśli to zabrzmiało protekcjonalnie, ale chcielibyśmy z panią Wright usiąść i uciąć sobie pogawędkę.

– Oczywiście, bardzo proszę. Co prawda, ostatnio Lauren jest zła jak osa, więc nie zdziwcie się, jeżeli wpadnie w szal podczas tej rozmowy. Powrót do przeszłości ogromnie ją stresuje, a choroba Mindy...

– To trudne, kiedy tajemnice wychodzą na jaw – przerywa jej Zack. – Znam to z własnego doświadczenia. Chciałbym tylko się dowiedzieć, czy to wszystko – wskazuje ręką na akta i policjantów – doprowadzi do człowieka, który zabił Vivian. Bo dla mnie ta kwestia jest najważniejsza. Odnaleźliśmy moją córkę. Teraz spodziewam się, że schwytaicie mordercę.

– To uzasadnione pytanie. Zrobimy, co w naszej mocy – oznajmia Parks.

– To za mało. Chcę odpowiedzi. Sprawiedliwości. Wiem, że zginęło kilka osób związanych z tą sprawą, ale moja żona... – Głos mu się załamuje; tym razem Juliet kładzie dłoń na jego ramieniu. Zack opuszcza drugą rękę i głaszcze psa po uszach. Potem głęboko wciąga powietrze i mówi dalej: – Przepraszam. Ostatnie dni były niezwykle trudne.

Starr stuka palcem w kopertę.

– Nam wszystkim na tym zależy, naprawdę. Przyjechaliśmy do Kolorado przeprowadzić śledztwo i odnaleźć osobę, która zniszczyła panu życie.

I dotrzemy do prawdy. Proszę się skupić na ratowaniu życia córki, a my się zajmujemy szukaniem sprawcy. Zgoda?

Cztery pary oczu patrzają na niego wyczekująco.

– Zgoda.

– Świetnie. Jeszcze jedno – dodaje Parks. – Będziemy musieli złożyć oświadczenie dla mediów. Pozwoliliśmy sobie już przygotować jego zarys.

Rozdaje kopie tekstu, na prośbę Parksa napisanego przez Dana Franklina, rzecznika prasowego komendy policji w Nashville. Podczas gdy wszyscy czytają, Juliet ukradkiem obserwuje twarz Zacka, do którego powoli dociera, w co wkrótce się wpakuje. Oświadczenie jest krótkie i mówi tylko tyle, że w śledztwie dotyczącym sprawy Armstrongów pojawiły się nowe informacje, na razie jednak nie można ich ujawnić. Media na pewno się tym zainteresują, ale nie rzucą się na nich jak sfora dzikich psów.

– Wygląda dobrze – ocenia Woody. – Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, to jeszcze tylko bym dodał, że w dochodzeniu bierze udział również CBI.

– W porządku.

Woody dopija kawę i niedbałym ruchem odstawia kubek. Wszystko nagle staje się tak rzeczywiste, tak ostateczne. Juliet bierze głęboki wdech; jej szef to zauważa.

– Wiem, że to będzie trudne, ale dziennikarze i tak by się dowiedzieli, gdybyśmy zaczęli przesłuchiwać świadków. Czy Lauren i Jasper są na to gotowi? Czy ty jesteś gotowa? A ty, Zack?

– Wszyscy powinniśmy się przygotować, prawda? – odpowiada Juliet. – Porozmawiam z Lauren i Jasperem, uprzedzę ich, czego się spodziewać. Proponuję wybrać kilku zaufanych dziennikarzy i zorganizować konferencję prasową.

– Takie historie dobrze się sprzedają – mówi Zack. – Siedemnaście lat temu, kiedy to się stało, reporterzy z serwisów informacyjnych i portali plotkarskich krążyli nad nami jak sępy. Prawie wszyscy proponowali nam pieniądze za wywiad. Da się coś zrobić, żeby tym razem nikt nie czerpał z tego zysków?

– Oczywiście – zapewnia Woody. – Znajdę dziennikarzy, którzy nie będą próbowali zerować na waszej tragedii albo uprawiać wolnej amerykanki.

– Z drugiej strony... Sama nie wiem, Zack. – Juliet wzdycha z zatroskaną miną. – Rachunki ze szpitala są potwornie wysokie. Trochę pieniędzy...

– Nie. Wykluczone. Nie pozwolę, żeby media wykorzystywały moją córkę – sprzeciwia się gwałtownie, kładąc nacisk na słowie „moją”.

– Dobra, dobra. Jak uważasz. – Potem zwraca się do Parksa: – Kiedy zamierzacie wydać to oświadczenie? Już teraz?

– Im szybciej, tym lepiej – przytakuje Parks. – Nigdy nie wiadomo, co by się stało, gdyby media same zajęły się tą sprawą. – Ponownie czyta tekst. – Muszę powiedzieć, że byłoby o wiele łatwiej, gdybyśmy po prostu nazwali sprawę po imieniu i mieli to z głowy. W ten sposób złagodzimy siłę uderzenia mediów. Lepiej, żeby nie dotarły do prawdy wcześniej niż my.

– Słuszna uwaga. – Juliet potakuje. – Nie będą długo trzymać języka za zębami. Muszę zwrócić się o zgodę do Lauren i Jaspera. Zack, co ty na to?

Zack się zgadza, choć jest wyraźnie rozkojarzony.

– No dobrze. W takim razie zabieramy się do roboty. – Woody chowa dokumenty do koperty. – Teraz porozmawiamy z Wrightami, przygotujemy ostateczną wersję wystąpienia i możemy zacząć działać. Postawimy też wóz policyjny przed ich domem, żeby nikt się tam nie dobijał, i zaczniemy szukać rzetelnych i sprawdzonych dziennikarzy. Spotkajmy się znowu za dwie godziny. Juliet, proszę, pozwól ze mną na słówko, dobrze?

Oho.

Oboje odchodzą od stolika i stają pod ścianą przy bufecie.

– Widziałem datę na próbce, którą wprowadziłaś do systemu. Jeżeli to się powtórzy, pożegnasz się z pracą. Jasne?

Kiwa głową. Nie ma sensu się bronić. Zdawała sobie sprawę z ryzyka.

– Dobrze. Na razie na dwa tygodnie zawieszam cię w obowiązkach bez wynagrodzenia. I już nigdy do tego nie wrócimy. Rozumiesz?

– Tak. Bardzo dziękuję.

Woody patrzy na nią z wyrzutem i dodaje szeptem, lecz z ostrą nutą w głosie:

– Nie waż mi się dziękować. Masz cholerne szczęście, że to tak szybko wyszło na jaw, w przeciwnym razie ta rozmowa wyglądałaby zupełnie inaczej. Naraziłaś nasze dobre imię. Bardzo mnie rozczarowałaś.

Daje znak Parksowi i Starr; po chwili wychodzą razem. Starr z ożywieniem o czymś rozprawia.

Juliet, wyprostowana jak struna, wraca na górę z milczącym Zackiem. Zawieszenie w obowiązkach to dla niej wielkie upokorzenie, ale zasłużyła na gorszą karę. Woody już nigdy jej nie zaufa. Całe szczęście, że nie dowiedział się o udziale Camerona.

Armstrong nadal się nie odzywa.

– Dobrze się czujesz? Musiało ci być ciężko. To szokujące, że Vivian miała depresję i brała leki, że jako nastolatka przebywała w szpitalu psychiatrycznym i nic a nic ci o tym nie wspomniała.

– Nie wiedziałem o wielu rzeczach – odpowiada tak cicho, że ledwo go słyszeć. – Gdybym tylko był przy niej, mógłbym...

– Nie rób sobie tego – przerywa mu Juliet. – Nie myśl tak. Słyszysz?

Uśmiecha się do niej ze smutkiem.

– Juliet, nie można w jednej chwili pozbyć się poczucia winy. Coś o tym wiem. Słuchaj, poszłabyś z Kat na krótki spacer? Chętnie posiedziałbym trochę z Mindy, a doktor Oliver powiedział, że innym osobom nie wolno wchodzić do jej sali.

Juliet czuje się zlekceważona, ale nie pokazuje tego po sobie.

– Oczywiście. Zabiorę sunię do Lauren i Jaspiera. I tak chcę być przy nich, kiedy zaczną rozmawiać z Woodym i policją. Zobaczymy się później, okay? Masz mój telefon. Dzwoń w razie potrzeby.

– Jasne – rzuca Zack, już się odwracając i odchodząc.

DOM WRIGHTÓW

Lauren siedzi na tarasie i patrzy na sypiący śnieg. Marznie i trzęsie się pod kocem, za nic jednak nie wróci do środka, bo tam siedzi Jasper, który nie chce z nią rozmawiać, co ona uważa za potwornie niesprawiedliwe. Dostała SMS-a od Juliet z informacją, że radiowóz już jest w drodze, a ona jedzie tuż za nim.

Lauren wolałaby wrócić do szpitala i potrzymać Mindy za rękę, ale wie, że najpierw musi przejść przez sprawy związane z dochodzeniem. Czuje niepokój na myśl, że policja znajdzie się pod jej dachem. Wciąż odnosi wrażenie, że wydarzy się coś przerażającego, że jest obserwowana, że ktoś zna jej sekrety. Że niedługo na zawsze straci swoją córkę. Ten strach jest tak wielki, że nie potrafi sobie z nim poradzić.

Wiele razy wracała myślami do tego okresu, kiedy przywiozła malutką Mindy do domu. Teraz też się zastanawia, czy w jakiś sposób mogła wtedy wzbudzić czyjeś podejrzenia. Nic takiego nie znajduje, więc nieco się uspokaja.

Drzwi za nią się otwierają i na taras wchodzi Jasper z gorącym kakao. Podaje jej kubek, usta ma zaciśnięte w wąską kreskę.

- Nie przezięb się. Strasznie zimno.
- Wiem, ale w środku czuję się klaustrofobicznie. Jakbym straciła kontrolę nad własnym życiem, jakby miały na mnie runąć ściany.
- Wiele się wydarzyło w tak krótkim czasie. A będzie jeszcze gorzej. Uprzedziłem trenera Mindy o sytuacji. Relacje w mediach na pewno jakoś wpłyną na decyzję o składzie kadry olimpijskiej.
- Czy on...?
- Nie, Mindy nadal ma miejsce w reprezentacji, ale nie wiem, czy ktokolwiek wierzy, że odzyska kondycję. Złamana noga, białaczka, nie

wiadomo, co z przeszczepem... W każdym razie powoli przygotowują się do zmiany zawodnika.

Lauren przeklina, a Jasper aż się wzdryga.

– Wolałbym, żebyś się nie wyrażała tak wulgarnie.

– Wszystko tracimy. To niesprawiedliwe.

– A co takiego straciliśmy? Jeżeli już, to zyskaliśmy. Zack jest naszym wybawcą. Powinniśmy go ozłocić.

Lauren słyszy gorycz w jego głosie.

– Jasper, czujesz to samo co ja i tak samo się boisz. Mindy może umrzeć, zanim przeszczep się przyjmie. Dlaczego nie chcesz się do tego przyznać?

Kiedy Jasper siada obok, Lauren jest wstrząśnięta tym, jak mąż wygląda z bliska. Potwornie zmizerniał. Ta zmiana ją przeraża. Tak długo był dla niej opoką, a teraz sprawia wrażenie, jakby lada chwila miał się rozpaść w proch.

– Policja już tu jedzie, żeby ustalić tekst oświadczenia dla prasy. Lauren, ta historia przestała należeć tylko do nas. Powinnaś przygotować się na to, że będzie wiele pytań i podejrzeń.

– O czym ty mówisz? Oskarżasz mnie o coś?

– Skończ z tą paranoją. I przestań mnie atakować. Jestem twoim sojusznikiem. Próbuję ci pomóc.

Lauren przenosi wzrok na podjazd, gdzie przez gałęzie przebija się blask metalu. Już są, samochody pełzną na górę.

Nie mam paranoi. Przez całe jej życie byłam gotowa na to, co się teraz stanie.

Jasper ujmuje i rozciera jej dłonie, żeby je choć trochę rozgrzać. Odzywa się cicho i łagodnie:

– Kochanie, posłuchaj. Pozwól sobie pomóc. Wybaczę ci, wiesz o tym, ale musisz powiedzieć całą prawdę. Ukrywasz przede mną coś jeszcze?

– Na przykład co?

– Nie wiem, ty powiedz. Od jakiegoś czasu dziwnie się zachowujesz.

Zamarznięty śnieg chrzęści pod oponami aut. Lauren głęboko wciąga powietrze. Ma wszystko pod kontrolą. Panuje nad sytuacją. Na jakiś czas ich życie stanie się pożywką dla mediów, ale ona sobie z tym poradzi. Liczy się tylko Mindy.

Cofa ręce, wstaje i mówi:

– Idę umyć zęby i się uczesać. Chyba powinniśmy zaparzyć świeżą kawę, prawda?

Słyszając jej obojętny ton, Jasper robi krok do tyłu i się prostuje. Patrzy w dół na samochody takim wzrokiem, jakby przyjechały po to, żeby zniszczyć mu życie.

– Już zaparzyłem. Zawsze trzeba dbać o dobre maniery. – Zostawia ją na tarasie i idzie przywitać gości.

Lauren jednym palcem odchyła zasłonkę w oknie w łazience i obserwuje policjantów, którzy zmrużonymi oczami oglądają dom z zewnątrz i próbują oszacować jego wartość. Rozpoznaje ich na podstawie opisu Juliet. Brianna Starr – niska, ruda i młoda – wygląda, jakby dopiero kończyła studia, a nie pracowała jako oficer śledczy. Bob Parks jest starszy, ma ciemne wąsy, szpakowate włosy i mocno umięśnione bary – pewnie często trenuje w siłowni. Patrzą na posesję takim wzrokiem, że Lauren zaczyna się stresować. Ten Parks wydaje się bardzo spostrzegawczy, zresztą jego partnerka tak samo.

Towarzyszy im jasnowłosy mężczyzna w garniturze. Lauren domyśla się, że to Woody Stockton z CBI. Głędzi coś, pokazując na góry. Po chwili na podjeździe pojawia się Juliet. No super. Serce Lauren zaczyna bić mocniej. Zaraz cała czwórka rzuci się na nią.

Ostatni raz przeczesuje włosy szczotką, maluje usta, lekko tuszuje rzęsy i nakłada na powieki odrobinę cienia. Przez ostatni miesiąc w ogóle o sobie nie dbała, teraz jednak musi założyć jak najlepszą zbroję.

Przed wyjściem jeszcze raz przegląda się w lustrze – nieźle, choć jest zmęczona, ale kto na jej miejscu by nie był. Gasi światło i idzie do salonu.

Jasper już przywitał się z gośćmi, właśnie rozdaje im filiżanki z kawą i prowadzi ich do stołu w jadalni. Parks i Starr przystają przy kominku; przez chwilę go oglądają – ogromne palenisko, wielkie szare kamienie prowadzące sześć metrów w górę ku sklepionemu sufitowi z drewna cedrowego. Obudowa kominka o grubości trzydziestu centymetrów jest zrobiona z drewna wyrzuconego na brzeg. Policjant i policjantka podchodzą do okna. Z lekko rozchylonymi ustami podziwiają widok: góry i stoki narciarskie. Lauren czuje dumę, jak zawsze, kiedy ktoś po raz pierwszy widzi jej dom. Jest piękny, ona i Jasper też są piękni, a ich córka to narciarka światowej sławy. Każdy mógłby im pozazdrościć takiego życia. Lauren sama stworzyła ten świat i doskonale do niego pasuje.

Nie mam nic do ukrycia, nic do ukrycia, nic do ukrycia. Widzicie, jaka z nas idealna rodzina? Widzicie, ile nasze życie jest warte?

Ta świadomość dodaje jej otuchy. Kobieta przywołuje uśmiech na twarz i idzie na dół przywitać się z gośćmi. Wszyscy się przedstawiają, po czym Parks od razu przechodzi do rzeczy. Mówi energicznie, z południowym akcentem.

– Dziękujemy, że znalazła pani czas na rozmowę z nami. Wiemy, że Mindy przechodzi teraz trudną terapię. Z pewnością jest państwu ciężko i chcielibyście jak najszybciej wrócić do szpitala. Obiecuję, że nie zajmiemy dużo czasu. Nawiasem mówiąc, to naprawdę imponujący dom.

Jasper staje obok żony, ich ramiona stykają się ze sobą. Jego obecność też podnosi ją na duchu.

Lauren uśmiecha się tak uprzejmie, jak tylko w tej chwili potrafi.

– Dziękujemy za miłe słowa. To prawda, miniony miesiąc był dla nas niezwykle obciążający psychicznie i emocjonalnie. Bardzo się zdenerwowałam, kiedy dotarła do mnie wiadomość o pochodzeniu Mindy. Nie miałam pojęcia, że... ale o tym państwo już wiedzą. Jak możemy pomóc? Chętnie odpowiemy na wszelkie pytania. Usiądźmy, proszę.

Rozsiadają się przy stole; rozmowę rozpoczyna Woody.

– Najpierw zobaczmy, czy akceptuje pani nasze oświadczenie dla prasy. A może zechce pani coś dodać. – Podaje kartkę.

Lauren czyta tekst ze ściśniętym sercem. Są tu ich nazwiska, rozmaite szczegóły. Widząc wyraz twarzy żony, Jasper bierze od niej kartkę; jego oczy szybko ślizgają się wzdłuż linijek.

– Na razie napisaliśmy tylko, że znaleźliśmy nowy trop, ale wolelibyśmy od razu przejść do sedna i oznajmić, że Mindy jest zaginionym dzieckiem Armstrongów. To i tak wyjdzie na jaw, nie da się przed tym uchronić, co najwyżej możemy z tym jeszcze trochę poczekać.

– To znaczy ile? – pyta Jasper.

– Dzień – odpowiada Woody. – Zrobimy co w naszej mocy, lecz wkrótce w tę sprawę zaangażuje się sporo osób z innych organów ścigania, a wtedy na pewno pojawią się przecieki. Nad swoimi ludźmi zapanuję, ale nad innymi niekoniecznie. Będziemy rozmawiać z więźniami, z personelem

szpitala, gdzie przedstawiliśmy nakaz ujawnienia akt, a do tego dochodzi jeszcze policja z Nashville... naprawdę nie zdołamy tej sprawy ukrywać. Dlatego proponuję od razu to załatwić. Zróbmy dziś po południu konferencję prasową, potem będą państwo mogli na jeden dzień wrócić do córki.

Spojrzenia Juliet i Lauren na chwilę się krzyżują.

– No właśnie. Za dwa dni odbędzie się przeszczep komórek macierzystych – dodaje Juliet. – To jasne, że wtedy oboje będziecie chcieli być przy niej. Kiedy początkowa wrzawa wokół sprawy nieco ucichnie, postaramy się zapewnić wam prywatność.

Lauren wzrokiem przekazuje jakąś wiadomość Jasperowi, który potakuje.

– Już czas – mówi cicho, a Lauren z trudem przełyka ślinę.

– Tak. Możemy podać jej imię i nazwisko, ale nie weźmiemy udziału w konferencji prasowej. Jako rodzina walczymy teraz z ciężką chorobą i tylko tyle jesteśmy skłonni ujawnić. Do momentu przeszczepu nie spotkamy się z reporterami, a nawet potem nie zgadzam się na wywiad z Mindy. Tylko ja i Jasper będziemy rozmawiać z prasą, chociaż Zack Armstrong pewnie też by tego sobie życzył.

– To ostatnia rzecz, na jaką miałby ochotę – zaprzecza Juliet. – Bardzo jasno się wyraził, że chce, aby uwaga mediów skupiła się tylko na śledztwie. Oświadczył nawet, że nie przyjmie pieniędzy od prasy za ujawnienie sensacyjnych materiałów.

– My w końcu pewnie się na to zdecydujemy – mówi Jasper. – Wybierzemy jakiś poważny magazyn, na przykład „People” albo „Sports Illustrated”, żeby przy okazji napisali też o karierze narciarskiej naszej córki, co na pewno zwiększy jej szanse na utrzymanie się w reprezentacji olimpijskiej. Z całą pewnością jednak nie przyjmujemy oferty od żadnego brukowca.

– Najlepiej, jak o tym pogadasz z samym Zackiem. Ja wiem tylko, że stanowczo się temu sprzeciwiał.

– To nasza córka. Zack nie musi podejmować decyzji związanych z moją rodziną, zwłaszcza kiedy stawką jest jej reputacja – oświadcza Jasper.

Lauren ma ochotę wydać okrzyk radości, ale tylko ściska dłoń męża i kiwa głową. W oczach siostry dostrzega jakiś dziwny błysk i przez chwilę zastanawia się, dlaczego Juliet siedzi naprzeciwko nich, zamiast również stawić czoło tej zgrai gliniarzy. Tak, znajduje się po niewłaściwej stronie stołu.

„Trzyma z nimi”, słyszy w głowie cichy głosik. Dla niej nie liczy się to, że jest twoją siostrą i ciotką Mindy. Zawsze na pierwszym miejscu postawi prawo, naukę i uznanie w swoim środowisku.

Ta świadomość ją przeraża.

– Chyba potrzebujemy prawnika – wyrzuca z siebie.

To przykuwa uwagę sierżanta z Nashville.

– Dlaczego?

– Oczywiście, że prawnik nam się przyda – mówi Jasper gładko, jakby już wcześniej przedyskutowali tę kwestię i podjęli decyzję. – Musimy na jakiś czas wstrzymać działalność mojej firmy, żeby ochronić siebie i interesy Mindy.

– Zaraz, zaraz. Spokojnie. Nie wciągajmy w to prawników – oponuje Woody.

– Ja jestem prawnikiem – wyjaśnia Jasper. – I uważam, że tylko taki tryb postępowania ma sens. Na wiele tygodni znajdziemy się w centrum uwagi, więc muszę dopilnować, żeby interesy Mindy traktowano priorytetowo. Weźmiemy adwokata i od tej pory bez jego obecności nie będziemy rozmawiać o tej sprawie z mediami i policją.

Lauren jest zaskoczona stanowczością męża, ale nie wstrząśnięta. Coś w zachowaniu policjantów najwyraźniej wzbudziło jego czujność, bo do tej pory nie wspominał jej o takim rozwiązaniu. Poza tym teraz natychmiast ją poparł co do kontaktów z mediami. Aż jej serce rośnie, kiedy Jasper mówi dalej:

– Będziemy się też ubiegać o pełną opiekę nad Mindy. Już zacząłem gromadzić dokumenty.

– Macie państwo takie prawo – stwierdza Woody. – Rozumiem tę potrzebę ochrony rodziny. Proszę pamiętać, że nam też nie zależy na tym, żeby zrobić z tej sprawy widowisko. To by nie tylko zaszkodziło pańskim najbliższym, ale też zmniejszyło nasze szanse na doprowadzenie śledztwa do końca. Chcemy dotrzeć do samego sedna, odkryć, kto porwał Mindy i zamordował Vivian Armstrong. Proszę nie rzucać nam kłód pod nogi, idąc z tym do sądu.

– Nie zamierzamy rzucać żadnych kłód ani włączyć się po sądach. Pragniemy tylko podjąć konieczne kroki, żeby móc decydować o życiu naszej córki. Mojej córki. – Jasper prostuje się. – Owszem, żona nie dostała od doktor Castillo żadnych papierów związanych z adopcją, ja natomiast dysponuję dokumentami potwierdzającymi legalną adopcję. Mam do Mindy takie same prawa jak pan Armstrong, a może nawet większe. Bo chodzi o całkowitą opiekę nad dzieckiem.

– Rozumiem. – Woody odchyła się na krześle, zostawiając na stole filiżankę z kawą. Ton jego głosu się zmienił. Już nie jest swobodny,

wyluzowany. Teraz Woody zamienia się w prawdziwego gliniarza, a Lauren w głębi ducha obawia się, że Jasper trochę przedobrzył. – Wszystko doskonale rozumiem, jednak czy to się panu podoba, czy nie, wydamy to oświadczenie i chcemy mieć nad nim pełną kontrolę. Próbujemy pomóc, przygotować państwa. Proszę się tak nie jeżyć. Jesteśmy waszymi sprzymierzeńcami.

– Jasne. Sprzymierzeńcami. – Jasper parska niewesołym śmiechem.

Policjant rozkłada ręce nad stołem.

– Nie zachowujmy się jak przeciwnicy. To nasza wspólna sprawa. Po prostu uprzedzamy. W chwili, kiedy to oświadczenie zostanie wydane, nastąpi medialna burza.

– To prawda – przytakuje Juliet. – I zależy nam, żeby Mindy przeszła przez tę zawieruchę bezboleśnie. To stawiamy sobie jako najważniejszy cel. Ona jest naszym priorytetem. Prawda, siostrzo?

– Oczywiście... – Lauren przerywa, kiedy rozlega się dzwonek telefonu stacjonarnego. – Przepraszam na chwilę. Zaraz wracam.

Z ulgą odchodzi od stołu. Wreszcie może pozbierać myśli. Jej mąż siedzi blady jak ściana, agenci z CBI patrzą spod opuszczonych powiek, policjanci z Nashville mają takie miny, jakby poczuli jakiś wyjątkowo apetyczny zapach, a młodsza siostra uśmiecha się do niej niczym wilk w owczej skórze. Lauren odwraca się od całego towarzystwa i odbiera telefon.

– Rezydencja Wrightów, słucham?

– Czy rozmawiam z panią Wright?

– Tak.

– Mówi Jeremy Finley ze stacji telewizyjnej WSMV z Nashville, Tennessee. Czy to prawda, że jest pani adopcyjną matką zaginionej Violet Armstrong?

– Ja...

– I czy to prawda, że Violet teraz nazywa się Mindy Wright, mieszka z panią w Vail w stanie Kolorado i należy do reprezentacji Stanów Zjednoczonych na olimpiadę w narciarstwie?

Lauren niemal zachłystuje się powietrzem i odkłada słuchawkę z takim trzaskiem, że zebrani, jak jeden mąż, zwracają na nią oczy. Nie musi nic mówić, na jej twarzy widać wszystko.

– Oho – odzywa się Juliet. – Chyba się domyślam...

Lauren kiwa potakująco, emanuje z niej rozpacz.

– Ktoś z mediów w Nashville. Już wiedzą.

Omiata wzrokiem tę nikczemną klikę, której członkowie wpatrują się w nią z napięciem.

– Kto wypuścił tę informację? Był wyciek. Musiał to być ktoś z Nashville.

– Na pewno nie my – odpowiada Parks. – Dla nas to ściśle tajne.

– Ale zgromadziliśmy wszystkie akta, wprowadziliśmy DNA pana Armstronga do systemu i rozmawialiśmy z ludźmi ze Szpitala Uniwersyteckiego – wylicza Starr z zamyśleniem. – Całkiem możliwe, że na przykład ktoś z laboratorium zainteresował się naszymi działaniami i komuś o nich powiedział. Albo ktoś się zorientował, że zabukowaliśmy bilety na samolot do Vail, albo Andrea Austin coś powiedziała... Ta informacja mogła wycieknąć różnymi kanałami. A kiedy się doda dwa do dwóch...

Telefon znowu brzęczy.

– No super – cedzi Jasper, wstając. – To tyle, jeśli chodzi o waszą pomoc. Pozwolicie, że od tej pory sami zadbamy o siebie.

Woody również się podnosi.

– Proszę pana, nie zalecałbym...

Jasper piorunuje mężczyznę takim wzrokiem, który wystraszyłby nawet dziką bestię. Juliet ogarnia nagłe poczucie winy.

– Idźcie już. Po prostu... dajcie nam spokój. Tyle czasu radziliśmy sobie sami, poradzimy sobie i teraz.

– Oczywiście. Nasi goście i tak pewnie mieli się już zbierać. Odprowadzę was – proponuje Juliet z nadzieją, że nieco złagodzi napięcie, jakie zapanowało w pokoju. Bardzo rzadko widywała Jaspера w takim stanie. Lauren cała się trzęsie, z szeroko otwartymi oczami przygryza dłoń

zaciśniętą w pięść. Juliet zna jej myśli: „To katastrofa. Co my teraz zrobimy?”.

– Juliet, idź z nimi! – nakazuje Jasper podniesionym głosem.

– Co takiego?

– To, co słyszałaś. Lauren i ja musimy porozmawiać. Najlepiej, jak wyjdiesz i dasz nam trochę przestrzeni. Potem pojedziemy we dwoje do szpitala. – Następnie Jasper zwraca się do Woody’ego: – Resztę pytań może pan skierować do mojego adwokata, Billa Conrada.

Juliet patrzy siostrze prosto w oczy. Widzi w nich strach, lecz także determinację.

– Ty też tego chcesz?

– Owszem – odpowiada Lauren cicho. – Tak będzie najlepiej. Porozmawiamy później. Po prostu... potrzebujemy trochę czasu, żeby się ze wszystkim oswoić.

W chwilową ciszę znowu wdziera się dzwonek telefonu. Jasper podnosi słuchawkę i od razu ją odkłada, potem wyjmuje wtyczkę z gniazdka – robi to, cały czas patrząc na Juliet.

– W porządku, zrozumiałam aluzję. – Cmoka na Kat, która niechętnie wstaje i odchodzi od kominka, oglądając się na niego z tęsknotą. Już w progu Juliet jeszcze raz rzuca okiem na pokój i widzi, że jej siostra wybucha płaczem.

Woody staje przy samochodach i patrzy na wyjście.

– Juliet, o co tu, do diabła, chodzi? Miło sobie rozmawialiśmy, a tu nagle...

– Nie wiem. Lauren ni z tego, ni z owego zmieniła zdanie, a Jasper to podchwycił. On stanie na rzesach, żeby chronić swoją rodzinę. Nie dziwię się, że się na nas wkurzył, ale szkoda, że zamierza w to wciągnąć tego beznadziejnego prawnika. Conrad ma dużą władzę w firmie Jaspera, szczególnie go lubię. Zawsze sprawdza, czy nigdzie nie brakuje kropki albo przecinka, a potem każe robić wszystko od początku. Wyjątkowy służbista.

– Niepotrzebnie tak szybko wyłożyliśmy przed nimi kawę na łąwę – stwierdza Parks. – Współpraca z bliskimi ofiar czasami jest najtrudniejszym elementem, zwłaszcza jeżeli danej rodzinie świat się zawalił. Szkoda, że nie poszliśmy dalej z naszym planem, zamiast wciągnąć w to Wrightów. Niestety nadwerężyliśmy ich zaufanie.

– Spróbuję przemówić siostrze i szwagrowi do rozsądku. Myślę, że chodzi o pieniądze. Rachunki za leczenie Mindy są naprawdę horrendalne. Nigdy się do tego nie przyznają, wiem jednak, że już są prawie spłukani. Mindy straciła kilku sponsorów, bo po zawodach nie mogła wystąpić w reklamach, a to mnóstwo kasy. Jasper dobrze zarabia, ale Lauren od roku nie sprzedała ani jednego obrazu. – Grzebie czubkiem buta w żwirze. – Dajmy im dzień, niech ochłoną, i zacznijmy jeszcze raz. Tymczasem chciałabym, żeby Bai jak najszybciej zajął się DNA. Musimy zacząć działać, zanim media zaatakują. Im prędzej się do tego zabierzemy, tym lepiej.

– Racja – przyznaje Woody. – Ja zawiozę akta do laboratorium.

– Świetnie. A ja pogadam z Zackiem i zorientuję się, czy pomogłby nam w kwestii Lauren i Jaspera. – Juliet odwraca się do Parksa i Starr. – Rozumiem, że pojedziecie z Woodym i włączycie się do śledztwa w sprawie Castillo?

– Tak – potwierdza Parks. – Wiem, że nie bierzesz w nim udziału. Będziemy informować cię na bieżąco.

– Dziękuję. Myślę, że kiedy Lauren trochę się otrząśnie, będzie chciała wiedzieć, co się dzieje. Jasper tak samo. Okropnie się zdenerwował. Ostatnio widziałam go w takim stanie, kiedy Mindy uległa wypadkowi, a potem wykryto u niej białaczkę. Od tamtej pory trzyma się mocno, żeby rodzina się nie rozpadła. Kiedy pojawił się Zack, rozpoczęło się śledztwo, a media... to był dla niego ostatni gwóźdź do trumny. Ale dojdzie do siebie. Potrzebuje tylko trochę czasu, żeby przyzwycząić się do nowego życia.

Parks spogląda przez ramię na dom.

– Obyś się nie myliła.

– Nie mylę się. Wierz mi. – Juliet uśmiecha się szeroko. – Jasper jest wściekły na moją siostrę. W sumie to przez nią znaleźliśmy się w takim położeniu. Zabolało go, że nie powiedziała mu o prawdziwym pochodzeniu Mindy. Teraz próbuje odzyskać kontrolę nad sytuacją. Wybuchnął i odreagował na nas, żeby nie wyjechać na Lauren. To dobry człowiek, próbował ją w ten sposób ochronić. Poza tym za dwa dni przeszczep. Oboje mają cholernie zszarpane nerwy, a gdyby do tego doszło zainteresowanie ze strony mediów... Jeszcze tego brakowało, żeby dziennikarze próbowali dostać się do szpitala i robić zdjęcia chorej Mindy.

– Hm, rozumiem – mruczy Parks. – Cieszę się, że znasz ich tak dobrze, bo ja zobaczyłem coś zupełnie innego.

– Tak? A mianowicie?

– Widziałem małżeństwo, które próbuje coś ukryć. Oczywiście niewykluczone, że się mylę. Jak powiedziałaś, to wyjątkowo stresujące dni. No dobra, jedziemy. Masz mój numer. Dzwoń w razie czego. Ja też będę się z tobą kontaktował.

Woody wsiada do samochodu i opuszcza szybę.

– Dokąd jedziesz?

Juliet raz jeszcze ogląda się na rezydencję. Dałaby słowo, że Lauren obserwuje ich przez okno w toalecie, ale po chwili postać znika, a zasłonki wracają na swoje miejsce. Podrzuca w dłoni kluczyki.

– Do Zacka. Muszę go ostrzec, że zbliża się atak krwiożerczej hordy.

SZPITAL W VAIL

Zack chodzi w tę i z powrotem pod szpitalem, rozmawiając przez komórkę. Na jego widok Kat szczeka z radością. Juliet parkuje i wypuszcza ją z samochodu; owczarek pędzi prosto do swojego pańcia i opiera się bokiem o jego nogę. Zack uśmiecha się do psiaka i kończy rozmowę.

– Jak wam poszło?

Juliet rozciera czoło.

– Czuję się tak, jakby mi głowę ścisnęła żelazna obręcz. Słuchaj, sprawa wyciekła do mediów z Nashville. Nie wiemy, jak...

– To ja z nimi rozmawiałem. Zadzwoiłem do znajomego, który pracuje w Channel Four. Skoro mamy przekazać sprawę dziennikarzom, wolę to zrobić po mojemu.

Juliet dopiero po chwili uświadamia sobie, że nieelegancko rozdziawiła buzię, więc szybko ją zamyka.

– Nie mogłeś nas uprzedzić? Lauren i Jasper byli zaskoczeni, nie przyjęli tego dobrze.

– Przykro mi, ale nie wiem, komu tutaj mogę ufać, a on jest moim przyjacielem. Na pewno nas nie wykorzysta. – Ciężko siada na ławce przy głównym wejściu.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, tylko trochę dziwnie po tym lekarstwie. Za godzinę dadzą mi drugą dawkę. Uprzedzili, że poczuję się jeszcze gorzej niż teraz. Możliwe, że nie dam rady wstać z łóżka, więc postanowiłem jak najszybciej zająć się kontaktem z mediami.

– Zack, to decyzja całej rodziny. – Juliet nie ukrywa lekkiego żalu, a on spogląda na nią z nieodgadniętym wyrazem twarzy. – Jak zareagował twój znajomy?

– Bardzo się przejął tym, że odnaleźliśmy Mindy, i obiecał, że zajmie się tą sprawą bardzo delikatnie. Rozumiem, że ktoś z telewizji już zadzwonił do Wrightów?

– Tak. Jasper się rozzłościł. Zack, poważnie, powinienes najpierw porozmawiać z nami. Siedzimy w tym razem.

Armstrong przez chwilę spogląda na góry, po czym przenosi wzrok z powrotem na Juliet.

– Widzisz, to wy siedzicie w tym razem. Ja jestem sam. Uświadomiłem to sobie, kiedy rozmawialiśmy wcześniej, i stwierdziłem, że chcę mieć kontrolę nad tą sytuacją. Kontaktowałem się też ze swoimi byłymi współpracownikami i umówiłem się z lekarzami Vivian w Szpitalu Uniwersyteckim. Niech śledztwo biegnie swoim oficjalnym torem, ja jednak też mam prawo szukać odpowiedzi.

– Widzę, że nie marnowałeś czasu.

– A co miałem robić? Siedzieć bezczynnie i czekać? Rozmawiałem o tym z Mindy i oboje uznaliśmy, że tak będzie najlepiej.

– Rozmawiałeś na ten temat z Mindy? – powtarza z niedowierzaniem Juliet.

– Oczywiście. Przecież tu chodzi o jej życie. Czyżby wszyscy o tym zapomnieli? To ona znajdzie się w epicentrum tego trzęsienia ziemi, a jakoś nikt nie pomyślał, żeby z nią omówić sprawę. Nikt oprócz mnie. Chciałem, żeby dokładnie wiedziała, co się dzieje. Ukrywanie przed nią czegokolwiek nie przyniesie nic dobrego.

– Ale to bardzo chora dziewczynka...

– Nie, to silna, pełna życia młoda kobieta, która musi mieć o co walczyć. Nigdy nie będę trzymał przed nią niczego w tajemnicy. Nigdy. Mindy zasługuje na to, żeby mieć udział w podejmowaniu decyzji. To jej życie. A przez prawie miesiąc nie miała nad nim absolutnie żadnej kontroli.

Juliet już otwiera usta, żeby coś powiedzieć, w końcu jednak rezygnuje. Widzi ojca Mindy w zupełnie nowym świetle. Zack schyla głowę i głaszcze Kat po kufie.

– Przepraszam, że krzyczę. Czuję się okropnie, boję się, a moja córka może umrzeć, zanim zdążę lepiej ją poznać.

– Nie przepraszaj. Masz rację. Powinniśmy spytać ją o zdanie. Lauren i Jasper są śmiertelnie przerażeni. Pamiętaj, że opiekowali się nią siedemnaście lat. Bardzo ją kochają.

– Ja też ją kocham – cedzi przez zaciśnięte zęby Zack.

– Tak. Ale, do cholery, to nie zawody. Musimy trzymać się razem, bo media...

– Juliet, chyba zapomniałaś, że od siedemnastu lat mam do czynienia z mediami. Najgorzej było na początku. Dziennikarze przyszli na pogrzeb Vivian. Czyhali na mnie pod posterunkiem policji. Przy grobie żony. Dosłownie zamieszkali u mnie na posesji. Mieli na zdjęciach zbliżenia każdej mojej łyzy, każdej miny, w nocy nagrywali wszelkie odgłosy dobiegające z domu. Nękali mnie na każdym kroku. Z naszego grona tylko ja wiem, czego można się spodziewać i jakie to ważne, żeby wyprzedzić fakty. W takich przypadkach zawsze znajdowałaś się tylko po jednej stronie, przeprowadzałaś testy DNA, żeby pomóc w odnalezieniu przestępcy. Nie masz pojęcia, jak to jest być samotnie w centrum zainteresowania mediów i policji. Ja to znam.

Kat wydaje z siebie pojedyncze szczeknięcie, nagle czymś zaalarmowana. Widać jakiś ruch między drzewami przy szpitalu. Sarna? Wiewiórka? Może to nic ważnego, lecz zachowanie Kat otrzeźwia Zacka, który przesuwa dłonią po twarzy, potem drapie pupila za uchem. Pies uspokaja się, choć nadal bacznie wpatruje się w drzewa.

– Chodź do środka. Powinieneś odpocząć. Jesteś bardzo blady.

– Spokojnie, mam silny organizm. Pójdę za chwilę. Co jeszcze się dzieje? Kiedy się czegoś dowiemy?

– Niestety ja nie biorę udziału w śledztwie, więc nie wiem. – Juliet wzrusza ramionami. – Na pewno niedługo przyjedzie Woody. Mój asystent dla pewności sprawdza dowody, które przywieźli policjanci z Nashville. Nawiasem mówiąc, Jasper i Lauren wciągnęli w to swojego adwokata. Nie potrzebujesz pomocy prawnika? W razie czego polecę ci paru.

– Wiedziałem, że tak będzie. – Zack ciężko wzdycha. – Byli nienaturalnie mili. Zachowali się wobec mnie niezwykle kulturalnie, ale kiedy przyszło co do czego, lęk przed utratą Mindy wpłynął na ich ocenę sytuacji. Dziękuję, mam swoją panią adwokat w Nashville. Zawiadomię ją

o tym, co się dzieje, i zobaczę, czy się tym zajmie. Ale to Mindy powinna podejmować decyzje. Już jej powiedziałem, że nie będę stawać między nią a jej rodzicami, choć oczywiście pragnę stać się częścią jej życia. – Zack w końcu się uśmiecha. – Ale z niej głuptas. Stwierdziła, że powinienem się tu przeprowadzić, zostać wykładowcą na uniwersytecie w Boulder i zamieszkać z nimi.

– Ej, to wcale nie taki zły pomysł. W Nashville nie ma stoków narciarskich, a Mindy nigdy nie zrezygnuje z gór. Jest z nimi dosłownie zrośnięta. Jeżeli zamierzasz stworzyć z nią silną więź, rzeczywiście powinieneś przenieść się do Kolorado.

Zack przebiera w palcach końcówkę smyczy Kat.

– Zobaczmy. – W zegarku rozlega się sygnał. – Chodźmy już do środka. W ogóle mi się do tego nie śpieszy, ale za piętnaście minut dadzą mi drugą dawkę.

– Zaczekaj chwilę. Jak Mindy się czuje? Pewnie wiesz, skoro ci się zwierza...

– Szczerze? Jest wkurzona. Chciałaby mieć przy sobie Kat, ale lekarze nie zgadzają się na to. – Przez chwilę oboje się śmieją, napięcie między nimi trochę maleje.

Juliet patrzy ponad ramieniem Armstronga i widzi, że na parking wjeżdża wóz telewizyjny.

– Zmykajmy. Chmara sępów już się zleciała.

Mindy – odseparowana w sterylnej izolatce na czas, kiedy jej układ odpornościowy jest niszczonej po to, by można było wykonać przeszczep ratujący życie – próbuje ogarnąć umysłem nową rzeczywistość, w której się znalazła. W krótkim czasie tyle się wydarzyło, że jeszcze nie zdążyła się z tym oswoić. Biotata, dziwne zachowanie mamy, listy, które na pewno są bardzo ważne, bo inaczej dlaczego by je ukrywała?

Mindy nie zdążyła odłożyć ich za komodę. Spędziła w łazience kilka godzin, chowając się przed mamą, i przeczytała każdy kilka razy, niemal nauczyła się ich na pamięć.

Teraz, im więcej dowiaduje się o Zacku, tym bardziej te listy ją niepokoją. Przypomina sobie kilka ostatnich; z napięcia skubie skórę przy paznokciu.

Sierpień 1996

V!

Przepraszam, że tak długo nie pisałam. Lato było dla mnie bardzo ciężkie. Ciągłe wahania nastroju, teraz mam doła. Muszę wrócić do leków. Matka groziła, że jeżeli odmówię, zawiezie mnie na weekend do tutejszego psychiatryka. Tak więc znowu łykam prochy, które wysysają mi duszę. Ale jest w porządku. Muszę tylko wziąć się w garść. Zanim znowu wpadłam w króliczą norę, dostałam się do miejscowej wyższej szkoły sztuk pięknych. Co mi strzeliło do głowy, żeby złożyć tam papiery? Chciałam przypodobać się swojemu obecnemu chłopakowi, bo się upierał, że trzeba mieć „plany życiowe”. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie zależy mi na studiach i wyjściu za mąż. Przed rozpoczęciem semestru oczywiście zamierzam go rzucić.

Jest taka sprawa. W tej nowej szkole muszę bardzo pilnować swojej prywatności. Kiedy więc będziesz do mnie pisać, proszę, nie wspominaj, gdzie się poznałyśmy, okay? Nie wstydę się tego, tylko po prostu uważam, że to wyłącznie moja sprawa. Zgoda?

Buziaki,

Liesel

Wrzesień 1996

Liesel!

Mam nie wspominać, że obie byłyśmy zamknięte w szkole, gdzie uczono nas metod radzenia sobie z emocjami i rozwiązywania problemów, z naciskiem na relacje z innymi ludźmi, żebyśmy jakoś dały radę w życiu? Kochana, zrobi się!

A tak w ogóle to Suka znowu jest w ciąży. I nadal nie nosi obrączki. Czyżby tatuś nieznany?

Całuję,

V

Styczeń 1997

Cześć, V!

Mam adres mailowy!!! Teraz możemy od razu czytać wiadomości, zamiast czekać całymi miesiącami na list. Podaję: lieselt^@aol.com.

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko okay. Co porabiasz? Długo nie pisałaś.

Wyślij do mnie maila!

Buziaki,

Liesel

Styczeń 1998

Liesel,

odpisuję dopiero teraz, bo... WYSZŁAM!!! Tym razem ostatecznie.

Funkcjonuję samodzielnie (no, prawie); mieszkam w kwaterze przejściowej niedaleko swojego starego domu. Rany, czuję się w opór szczęśliwa. Mam fajną współlokatorkę i pierwszy raz od bardzo dawna czuję, że stanęłam na nogi. Liczę na to, że niedługo uda mi się odłożyć dość kasy, żeby do Ciebie przyjechać. Jesteś teraz tak daleko! Co u Ciebie? W porządku?

Pracuję na część etatu w restauracji, co prawda tylko jako sprzątaczką, ale szef obiecał, że kiedy przejdę szkolenie, awansuje mnie na hostesę. Wyobrażasz sobie? Ja? Jako hostessa?

Chodzę z takim jednym chłopakiem, ale chyba go rzucę. Jak dla mnie za bardzo romantyczny. Ale za to ma dużego. I podobają mu się moje kolczyki. Chyba Ci nie pisałam, że przekłułam sobie pępek. Czadowo to wygląda. Też powinnaś sobie walnąć taki kolczyk. Te z dwoma oczkami wyglądają bardzo seksownie.

Kocham Cię, moja przyjaciółko,

V

PS Jeśli chodzi o maila, niestety nie mam komputera. Poza tym listy są o wiele fajniejsze. Gdybym wysyłała do Ciebie maile, czułabym się tak, jakby po drodze mnóstwo ludzi je czytało.

Maj 1998

Kochana V!

Nie uwierzysz, wyszłam za mąż!

Mój mąż nazywa się Kyle Noonan i jest w naszym mieście znanym prawnikiem. Uciekliśmy, żeby się pobrać! Mama okropnie się na mnie wkurzyła. Prawie tak bardzo, jak wtedy, kiedy po skończeniu „szkoły” zrobiłam sobie tatuaż. Musiałam go wtedy usunąć. Boże, jak bolało!

Ale do rzeczy. Kyle to świetny facet. Mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego nie zaprosiłam Cię na ślub. Gdy tylko postanowiliśmy się pobrać, od razu wyjechaliśmy do Vegas! Niezły odpał. Było może nie całkiem tak, jak sobie wymarzyłam, ale Kyle jest nieziemsko przystojny i bardzo miły. Na pewno będzie super.

Planujemy mieć dziecko. Jak wiesz, zawsze chciałam zostać młodą mamusią.

Jak tylko wywołam zdjęcia, od razu Ci je wyślę!

Całuję,

Liesel

Grudzień 1998

Moja kochana Liesel!

Ale wiadomości! Super! To teraz ja się pochwalę: poznałam kogoś. To znaczy faceta. Mówię Ci: boski. Wysoki, przystojny, inteligentny. Przyszedł do naszej restauracji, a ja akurat obsługiwałam jego stół. Zachowywałam się jak idiotka, wszystko dosłownie leciało mi z rąk, ale zostawił mi ogromny napiwek i swój numer telefonu!!! Spotykamy się od paru miesięcy i muszę przyznać, że chyba jeszcze nigdy nie byłam szczęśliwsza. Nie jestem już singielką. Zaproponował, żebym wprowadziła się do jego mieszkania w bazie. Powiedział, że jeżeli mi się spodoba, to możemy tam zostać, a jeśli nie, kupimy jakiś nieduży dom gdzie indziej. Normalnie jest cudowny.

Mam do Ciebie wielką prośbę. Jak widzisz, włożyłam do paczki listy od Ciebie. Potwornie się boję, że podczas przeprowadzki mój chłopak mógłby je znaleźć. Kiedy już zamieszkamy w nowym domu, a on znowu pojedzie na misję, poproszę Cię, żebyś mi je odesłał, ale czy na razie przechowasz je u siebie? Te listy to dla mnie skarb. Dzięki nim przetrwałam najgorsze chwile.

Liesel, na pewno bardzo go polubisz! Nie mogę się też doczekać, kiedy poznam Kyle'a!

Buziaki,

V

Styczeń 1999

V!

Doskonale Cię rozumiem. Nie martw się, listy będą u mnie bezpieczne. Twój chłopak rzeczywiście musi być BOSKI!!! Szybko dawaj zdjęcia! Jeżeli już masz dostęp do internetu, wyślij mi maila. Możemy kontaktować się w ten sposób, jeśli tak Ci będzie łatwiej. Przypominam adres: lieselt^@aol.com.

Spóźnia mi się okres. Ale na razie ćśś...

Całuję,

Liesel

Kwiecień 1999

Moja kochana Liesel!

O rany. Bardzo się cieszę. Nie mogę jeszcze wysyłać maili, bo nasze łącza internetowe są do dupy. Skrzynka mailowa otwiera się pięćset lat. Z. niedługo jedzie na misję. Będziesz mogła mi wtedy odesłać listy. Znajdę dla nich jakieś bezpieczne miejsce.

Z. mówi, że po powrocie się ze mną ożeni. Wyobrażasz sobie? Koniecznie musisz zostać moją druhną i założyć jakąś czadową kieckę. Może lawendową. Pasowałaby do Twoich ciemnych włosów.

Buziaki,

V

Maj 1999

V!

Tak na szybko: to cudownie, że wychodzisz za mąż!

Ale nie wiem, czy lawendowy by mi pasował, bo już nie mam ciemnych włosów. Od paru lat je rozjaśniam. Tutaj to bardzo modne. Fajnie wyglądam jako blondynka, zupełnie inny człowiek, słowo.

A teraz smutna wiadomość. Poroniłam. Kyle w ogóle się tym nie przejął, co już kompletnie mnie dobiło. Lekarz powiedział, że możemy spróbować znowu za dwa miesiące. Może przez ten czas uda mi się przekonać Kyle'a, że dziecko to wspaniała sprawa.

A Ty chcesz mieć dzieci?

Całuję,

Liesel

Luty 2000

Kochana V!

Znowu jestem w ciąży! Lekarz twierdzi, że tym razem nie poronię. Dosłownie pękam ze szczęścia. Kyle'owi powiem dopiero, kiedy będę miała pewność, że donoszę ciążę. Ale Tobie musiałam napisać już teraz. Tak się cieszę!!!

Co u Ciebie? Jak tam Twoje ciacho?

Całuję,

Liesel

Marzec 2000

Liesel!

O rany. Gratuluję! Bardzo się cieszę!

Wyobraź sobie, ja też spodziewam się dziecka.

Cykam się jak diabli. Trochę mi pomaga to, że Ty tak się cieszysz ze swojej ciąży. Ja jestem śmiertelnie przerażona. Ale jakoś się pozbieram. Muszę tylko odstawić lekarstwa, bo mogą zaszkodzić maleństwu. Została mi więc tylko psychoterapia. Hurra! Chodzę do doktora Freemana. Wyobraź sobie, że dalej pracuje w szpitalu uniwersyteckim. Dla mnie, swojej starej pacjentki, zrobił wyjątek.

Serio, niezły czad, że w tym samym czasie zaszłyśmy w ciążę. Na pewno będę czuła się mniej samotna. Termin mam na sierpień. O rany, ile to jeszcze czasu.

Buziaki,

V

PS Jak widzisz, dołączyłam kolejną partię listów do przechowania. Wiem, mówiłaś, że po prostu powinnam o wszystkim powiedzieć Zackowi, ale boję się opowiadać mu o tym, co przeżyłam. On jest taki silny. Nie chcę, żeby uważał mnie za oferwę.

Mindy już wie, kim jest V. Serce jej pęka, kiedy myśli o swojej biologicznej matce. O jej chorobie. Smutku.

Czuje się skołowana.

Właściwie jak trafiła do Lauren i Jaspiera? I kto zamordował Vivian?

Musi porozmawiać z mamą, choć zdaje sobie sprawę, że to będzie bardzo trudne.

Może Zack pomoże jej zrozumieć te listy. Poprosi go o to, kiedy tylko pozwolą mu znowu się z nią zobaczyć.

Na razie leży w szpitalnym łóżku, z głową pełną pytań, i czeka, co przyniesie los.

**CZĘŚĆ
TRZECIA**

SZPITAL W VAIL

Dwadzieścia cztery godziny. Tyle wystarczy, żeby cały świat legł w gruzach.

Zack miał rację. Juliet nie była gotowa na atak mediów. Jest wstrząśnięta jego siłą, chociaż już zdarzało się jej bywać w podobnych sytuacjach. Dyrekcja szpitala musiała podwoić liczbę ochroniarzy, bo ludzie z mediów bez przerwy próbują zakraść się na oddział, żeby zrobić zdjęcia Mindy, Zackowi, Lauren i Jasperowi. Miejscowa policja ma ręce pełne roboty. Do miasta ściągnęli dziennikarze ze wszystkich stacji telewizyjnych w Denver, pojawiły się też wozy transmisyjne.

Najazd reporterów przyciąga gapiów. Ludzie filmują telefonami komórkowymi wejście do szpitala, jakby byli świadkami karambolu na autostradzie i chcieli nagrać kałuże krwi i ofiary z krzykiem uciekające z płonących samochodów. Na Twitterze i Facebooku pojawiły się hashtagi #violetmindy i #violetzyje. Wiadomość o odnalezieniu zaginionego dziecka Armstrongów dotarła do najdalszego zakątka Anglii i wszędzie tam, gdzie używa się języka angielskiego.

Jasper i Lauren poprosili o spokój w obliczu poważnej choroby córki, ale nikt się tym nie przejął. Media non stop trąbią o Mindy Wright, czyli Violet Armstrong.

Dziewczyna zdaje sobie sprawę z zainteresowania, jakie wzbudziła. Pomimo protestów rodziców śledzi wiadomości telewizyjne, kiedy osocze Zacka sączy się w jej żyły. Ostatnia chemioterapia wysała z Mindy prawie całą energię, ale Juliet przez szybę widzi iskrę ożywienia w oczach siostrzenicy, kiedy ta ogląda nagrania ze swoich zjazdów. Nastolatka lekko krzywi się, gdy raz za razem pokazują jej wypadek albo gdy na ekranie pojawiają się zdjęcia młodych i szczęśliwych rodziców. Juliet próbuje sobie wyobrazić, co się dzieje w umyśle tej młodej kobiety. Mindy nigdy przedtem nie unikała światła reflektorów – jest wybitną narciarką i widać,

że się tym szczyli. Nie jest zarozumiała, tylko pewna siebie i doskonale potrafi rozmawiać z reporterami. Sukces częściowo zawdzięcza temu, że świetnie wypada przed kamerą i mikrofonem.

Ale w tej chwili jest wychudzona, z nogą w gipsie, łysa i poszarzała. Jak teraz odebrałby ją świat, który kochał tamtą pełną życia narciarkę? Ona sama na pewno nie czułaby się dobrze, gdyby zobaczono ją w obecnym stanie.

Tymczasem, zanim pacjentka zgodzi się na wywiad, media mają na czym żerować. Stacje informacyjne na okrągło pokazują jej wypadek na nartach. Trener udziela wywiadu za wywiadem, pozostali sportowcy z drużyny są nagabywani przez reporterów. Co parę minut odtwarzana jest konferencja prasowa z Woodym, detektyw Starr i sierżantem Parksem, a także kilkoma innymi osobami z CBI; Juliet ich nie zna – pewnie to federalni, którzy przyłączyli się do śledztwa. Psychologowie dziecięcy snują przypuszczenia, że poprzez zaangażowanie w sporty ekstremalne Mindy nieświadomie próbuje wynagrodzić sobie brak prawdziwej matki. „Gdyby tylko była karmiona piersią”, mówi jeden z nich. Juliet z trudem tłumi śmiech. Mindy przewraca oczami i zmienia kanał.

Z dnia na dzień stała się sławna jako odnaleziona Violet Armstrong, co jest nieoczekiwanym zwrotem w życiu dziewczyny, która już od dawna słynie z waleczności i odwagi.

Pod głównym wejściem do szpitala powstaje coś w rodzaju ołtarzyka stworzonego z kwiatów i pluszowych misiów. Parę razy dziennie Juliet wybiera jeden czy dwa najładniejsze pluszaki i stawia je na parapecie przed sterylną salą, skąd Mindy je widzi.

Jeszcze przez jakiś czas pacjentka zostanie w izolatce, bo lekarze muszą zyskać pewność, czy przeszczep się przyjął. To będą najdłuższe dni w jej życiu.

Lauren i Jasper, nadzwyczaj spokojni, tworzą wspólny front. Odpowiadają na zadawane pytania, ale nie mówią niczego z własnej inicjatywy.

To oczywiste, że wszystko się zmieniło. Nie da się wrócić do tamtego okresu, kiedy Melinda po prostu była ich chorym dzieckiem, o którego życie oboje zaciekle walczyli.

Juliet staje pod drzwiami sterylnej sali i przygląda się Mindy. Nieprawdopodobne, że coś, co wygląda tak banalnie jak kroplówka, może uratować życie. Krew z komórkami macierzystymi powolutku sączy się ze sterylnego worka do żyły. Juliet widzi, że Lauren również uważnie wpatruje się w kapiące krople, odlicza każdą po kolei, jakby mogła nasycić je siłą.

Czas rozmówić się z siostrą. Ta potrzeba jest tak silna i nagląca, że Juliet musi zamknąć oczy i zacisnąć dłonie w pięści, żeby poradzić sobie z napływem emocji. Miłość? Nienawiść? Strach? Wszystko naraz, a do tego jeszcze spora dawka gniewu. To takie przykre, że Lauren jej nie zaufała, że się od niej odsunęła. Ból. Tak, w tej chwili on dominuje. W przeszłości wiele razy czuła się skrzywdzona przez siostrę, ale nie przejmowała się jej przytykami albo brakiem zainteresowania, teraz jednak jest inaczej.

Nie może oprzeć się wrażeniu, że Lauren coś ukrywa. Nie ma pojęcia co, ale na pewno powinna to wyjaśnić. Zbiera się na odwagę, wyciąga rękę, dotyka włosów siostry i zakłada kosmyk za jej małe, zgrabne ucho. Lauren wzdryga się, lecz się nie odsuwa.

– Możemy porozmawiać?

Jasper strzela oczami w jej stronę.

– Zamierzasz jeszcze coś popsuć?

– Zrobiłam tylko to, o co mnie prosiliście. Teraz chciałabym po prostu porozmawiać ze swoją siostrą.

– Jasper, w porządku. – Lauren kładzie rękę na jego ramieniu i lekko się do niego uśmiecha. – Słucham, Juliet.

– Przykro mi, że obarczasz mnie winą za to, co się dzieje. Bardzo mi zależy na tym, żeby jakoś pomóc.

– Wiem. Nie przejmuj się. Już nie chodzi o ciebie.

W jej głosie brzmi coś takiego, że Juliet ma ochotę ją spoliczkować, powstrzymuje się jednak i złość szybko mija.

– Potrzebujecie czegoś? – pyta. – Zostaniecie tu na parę dni. Mogę pojechać do domu i wziąć rzeczy, których pewnie zapomnieliście zabrać ze sobą. Czyste ubrania, szczoteczki do zębów i tak dalej. Dostanę tutaj szmergla. Muszę stąd wyjść i się przewietrzyć.

– Jak to zrobisz, żeby dziennikarze cię nie osaczyli? Oblegają wejście do szpitala, a pod domem pewnie też kilku czeka, tak na wszelki wypadek.

– Poradzę sobie. Jeżeli będzie trzeba, policja da mi ochronę. Dziennikarze mnie nie zatrzymają. No to jak? Przywieźć wam coś?

– Nie, niczego nie potrzebujemy – odpowiada Jasper. – Okiennice w domu są zamknięte, więc reporterzy nie zajrzą do środka, a nam niczego nie trzeba. Dziękujemy, Juliet. – Jego ton jest ostry, lekceważący. Kiedy Jasper zdążył się tak zmienić? Juliet dosłownie go nie rozpoznaje.

– Na pewno?

Lauren zerka na męża, potem kiwa głową.

– Najlepiej, jakbyś się nie zbliżała do naszego domu. – Ona z kolei jak automat powtarza wszystko po Jasperze.

Poddała się, uświadamia sobie Juliet. Lauren myśli, że Zack odbierze jej Mindy, i całkowicie opuściła gardę.

– Zostawiłam tam swoje ubrania, więc po nie pojedę. Potem wynajmę pokój w hotelu. Wezmę też rzeczy Zacka. Nie chcemy wam się narzucać.

– Może tak będzie lepiej – mamrocze Lauren.

– Proszę, przestań mnie obwiniać. Boże drogi, przecież odnalazłam człowieka, który może uratować jej życie. Dlaczego nagle zaczęliście traktować mnie jak wroga?

Na widok gniewu na ich twarzach Juliet wypada z pomieszczenia przy izolatce, nie zważając na to, że Mindy słyszała jej wybuch i teraz patrzy za nią z niepokojem.

Nie rozumie Jaspera i Lauren, nic a nic. I wkurza ją to, że jest przez nich traktowana niczym jakiś potwór, jakby sprowadziła na nich nieszczęście.

Wie, jak niepostrzeżenie wymknąć się z terenu szpitala. Piętro niżej, w tym samym pionie co bufet, znajduje się tylne wyjście prowadzące do podziemnego parkingu. Już wcześniej je sprawdziła, nie kręcił się tam nikt niepożądany. Kiedy tylko dostanie się na parking, od razu pobiegnie do samochodu, nie rozglądając się na boki.

Bez problemu dociera do swojego pikapa. Otwiera drzwi, wsiada i aż podskakuje z przestrachu, kiedy za oknem po stronie pasażera pojawia się

czyjaś twarz. Uspokaja się, gdy rozpoznaje Jaspera.

Wciska guzik, szyba opuszcza się z cichym szumem.

– Co jest?

– Nie powinnaś denerwować Lauren. Teraz jest wyjątkowo roztrzęsiona.

– Dlaczego? Co się, do diabła, zmieniło? Nie rozumiem, czemu oboje nagle zaczęliście inaczej się zachowywać.

– Lauren myśli, że stoisz po stronie Zacka, że będziesz próbowała odebrać jej córkę. Podobno Mindy palnęła, że ty i Zack bylibyście ładną parą. Lauren bardzo się tym zdenerwowała. Juliet, wszyscy od jakiegoś czasu żyjemy w ogromnym stresie. Znasz Lauren, jej skrytość. Złości ją, że rozmawiasz tak otwarcie z ludźmi, którzy zamierzają walczyć o prawo do opieki nad dzieckiem. Musiałem jej dać lek uspokajający. Od przyjazdu Armstronga ledwo funkcjonuje. Jej obawy może nie mają racjonalnych podstaw, ale sam lęk jest bardzo prawdziwy. Muszę pilnować, żeby była spokojna i skupiona na tym, co teraz najważniejsze.

– Nie odniosłam wrażenia, że aż tak źle reaguje na Zacka. Kiedy to się zmieniło?

– Wierz mi, tylko udaje dzielną. Ostatnio znajduje się pod ogromną presją, a to śledztwo wywołuje w niej duży niepokój. Poradzimy z tym sobie, chciałem ci jedynie przypomnieć, żebyś uważała, z kim rozmawiasz i co mówisz. Żeby przypadkiem coś nie zostało źle zrozumiane.

– Masz na myśli Zacka? Boże drogi, Jasper, zachowujesz się tak, jakbyś próbował uniemożliwić mu dostęp do Mindy. – Patrzy na niego z przerażeniem. Jasper milczy; w tej chwili Juliet zaczyna wszystko rozumieć. – Ty rzeczywiście chcesz do tego doprowadzić. Zamierzacie wystąpić na drogę prawną i udowodnić, że Mindy jest wasza, nie jego?

– Podejmiemy takie starania.

Juliet zamyka oczy i kręci głową.

– Nie rób tego. Nie wygrasz. A dziewczyna chce, żeby Zack stał się częścią jej życia.

– Jest niepełnoletnia. To my podejmujemy decyzje.

– Jasper, zrozum, że niedługo ją stracisz, jeżeli nie będziesz się liczył z jej zdaniem. Będzie protestować, Zack tak samo. Lepiej się z tym pogódź i pracuj z nami, zamiast wbijać klin.

– Z nami. Rzeczywiście stoisz po ich stronie.

– Cholera, tutaj nie ma żadnych stron. Jesteśmy rodziną. Próbujemy przeprowadzić Mindy przez ten trudny okres i powinniśmy robić to razem.

– Hm. Jak dobrze znasz Armstronga?

– To znaczy?

– Co o nim wiesz? Jego pobyt w wojsku jest objęty tajemnicą, ale i tak się dowiedziałem, co tam robił. Mówił ci o tym?

– Służył w wywiadzie wojskowym.

– Zgadza się. Mam znajomego w Departamencie Obrony. Powiedział mi prawdę o naszym przyjacielu. Zack zabijał ludzi. Na zlecenie rządu. To były oficjalnie usankcjonowane zabójstwa. A wiesz, w jakich okolicznościach został ranny? Wysłano go, żeby zabił przywódcę talibów. Prawie mu się udało, ale talibowie w ostatniej chwili o wszystkim się dowiedzieli i próbowali go zastrzelić. Zack nie jest takim bohaterem, za jakiego go uważasz, a już na pewno nie takim bohaterem, jakiego próbuje z niego zrobić rząd.

– Wiem, że jesteś pacyfistą, ale to, co się dzieje na wojnie...

– To, co się dzieje na wojnie, to osobna rzecz. Ja mówię o bezwzględnych ludziach, którzy wykonają każdy rozkaz i popełnią każdą zbrodnię zleconą przez ten rząd. Jak to świadczy o Zacku? Wolałbym nie widzieć takiego człowieka w otoczeniu swojego dziecka. Jeżeli spróbuje mi ją odebrać, cały świat się dowie, kim naprawdę jest Armstrong. Powiem o tym również Mindy.

– Jasper, gadasz bez sensu. Zack nie próbuje odebrać ci córki. Chce tylko być współrodzicem. Rozważa, czy się tu nie przeprowadzić. Jest gotowy totalnie przeorganizować swoje życie, żeby mieć z wami stały kontakt.

– Ten człowiek jest moralnie zepsuty, nie pozwolę mu się nawet zbliżyć do mojego dziecka.

Juliet traci cierpliwość. Ma ochotę wyskoczyć z samochodu, tupać, wrzeszczeć i szarpać Jaspera za włosy, ale tylko mocniej zaciska dłonie na kierownicy i kiedy odpowiada, udaje jej się zachować wyważony ton.

– On ratuje życie twojego dziecka, idioto. Czy ty w ogóle o tym pomyślałeś? Jego krew, ta, która według ciebie jest skażona, może uchronić Mindy od śmierci. Nie wiem, w jakim świecie ty żyjesz, ale to na pewno nie rzeczywistość. Od stresu pomieszało ci się w głowie.

Juliet, całkowicie skupiona na Jasperze, nie zauważa kamerzysty, który podkradł się do samochodu i zaczął ich filmować. Dopiero kiedy szwagier nieco się przesuwa, dociera do niej ciche buczenie włączonej kamery.

– O cholera – rzuca.

Ale Jasper tylko uśmiecha się lodowato i idzie do drzwi prowadzących do szpitala, zbywając machnięciem ręki reporterów, którzy zaczęli gromadzić się na parkingu.

Ktoś mówi: „Masz to? Sprawdź, jak się nagrało”. Juliet uświadamia sobie, że Jasper wszystko zaplanował. Dopilnował, żeby reporterzy widzieli, jak zmierza do jej samochodu, i ruszyli za nim sprawdzić, co się wydarzy. Pieprzony drań. Nigdy, przenigdy by nie pomyślała, że jest zdolny do takiego okrucieństwa.

Patrzy, jak reporterzy uwijają się i mówią do mikrofonów. Jasper nie żartował: zamierza podjąć wszelkie środki, żeby się bronić. Ale nie tylko o to mu chodzi. On planuje całkowicie zdyskredytować Zacka.

Z ciężkim westchnieniem wrzuca bieżak, wolną ręką wybiera numer telefonu Armstronga.

Zack nie odbiera, więc Juliet zostawia wiadomość w poczcie głosowej.

– Mamy kolejny problem. Zadzwoń do mnie.

Po powrocie na oddział Jasper siada obok Lauren i bierze ją za rękę.

– Załatwione. Teraz żaden sąd nie przyzna mu prawa do opieki nad Mindy.

Lauren uśmiecha się do niego z czułością.

– Dziękuję, kochanie.

Zack nie jest już do niczego potrzebny w szpitalu. Męczą go światła jarzeniówek, pikające maszyny i wrogie spojrzenia, które rzuca mu Jasper. Minął zaledwie dzień, a tyle się zmieniło. Ich rozmowy mają zupełnie inny wydźwięk. Wrightowie odwrócili się od niego i otoczyli Mindy murem. Juliet również została wyrzucona na zewnątrz.

Mindy jeszcze wiele godzin spędzi w sterylnej sali, zanim się okaże, czy jej organizm przyjmie, czy odrzuci jego krew. Ponieważ Zack czuje się coraz bardziej nieswojo w obecności jej rodziców, postanawia się przejść. Podczas konferencji prasowej udaje mu się czmychnąć przed grupą dziennikarzy. Lekarz prowadzi go do strzeżonego tylnego wyjścia, za którym znajduje się podziemny parking. Stamtąd Zack idzie w dół do miasta.

Spaceruje po Vail z Kat przy nodze, ogląda wystawy sklepów i po raz pierwszy od wielu dni cieszy się z samotności. Z Lauren dzieje się coś złego. Oczywiście jest w potwornie ciężkiej sytuacji – takiej, która zestresowałaby samego dalajlamę – ale musi być coś jeszcze. Patrzy na Zacka takim wzrokiem, że aż go ciarki przechodzą.

Dlaczego? Dlaczego ta zwyczajna, miła kobieta sprawia, że zapala mu się lampka ostrzegawcza?

Dlatego, że jest aż za bardzo doskonała? Nie licząc kilku kłamstw, wypowiedzianych głównie po to, żeby ochronić swoich bliskich, Lauren wydaje się absolutnie nieskazitelna. Jasper tak samo – chodząca perfekcja. Mają idealny dom, idealne życie i idealną córkę.

A Zack wie, że idealni ludzie nie istnieją. Lauren zachowuje się tak, jakby reżyserowała przedstawienie teatralne i ustawiała dekoracje. Gra dobrą matkę – po prawej stronie znajduje się jej utalentowana córka. Jest też oddaną żoną – po lewej stronie stoi przystojny mąż prawnik. Tło: idealnie urządzone, perfekcyjnie czyste dom. Kreatywna, opiekuńcza, kochająca i zdyscyplinowana kobieta. Ma pieniądze. Ma cel w życiu. Nie boi się niczego oprócz utraty córki. Światła reflektorów gasną i... kurtyna.

Praktycznie rzecz biorąc, to obrazek idyllicznej amerykańskiej rodziny: córka – światowej sławy narciarka, i rodzice ze wszystkich sił pomagający jej odnosić sukcesy. Spokojnie płyną rzeką normalności.

Ale tuż pod powierzchnią powstaje coraz silniejszy wir.

Zack znajduje restaurację, która wygląda nieźle – Czerwony Lew – i zajmuje miejsce przy stoliku na tarasie. U kelnera z kręconymi włosami zamawia miskę wody dla Kat i guinnessa dla siebie. Przez parę minut siedzi z rękoma na metalowym blacie, wystawiając twarz do słońca, po czym skupia uwagę na ludziach. Zaledwie trzydzieści metrów dzieli go od kolejki linowej i stromego zbocza z muldami. Narciarze w górze wyglądają jak czarne kropki. Sprawnie robią zwroty, wychylają się i odchylają, wreszcie hamują gwałtownie, wzbijając fontannę śniegu.

Jak na tę porę roku jest ciepło. Narciarze, którzy zrobili sobie przerwę i odpoczywają wokół niego, pozdejmowali kurtki i zostali w lekkim ubraniu. Inni człapią wąskimi uliczkami w sztywnych butach, z nartami na ramieniu; jeszcze inni szukają, gdzie mogliby usiąść, napić się czegoś, odsapnąć i nagrodzić się za wyczyny na stoku. Co zaskakujące, sami dźwigają swoje rzeczy. Narciarstwo to kosztowny sport, więc Zack spodziewał się, że to tragarze będą nosić ich ciężki sprzęt z samochodów na górę i z powrotem.

Pod rdzawymi markizami sklepów przechadzają się kobiety w dużych okularach przeciwsłonecznych, ze świeżo ułożonymi fryzurami. Przyjechały tu nie na narty, tylko na zakupy. Piękne, młode żony – trofea bogatych biznesmenów. Za nimi ciągną się dzieci w markowych ciuchach, z tęsknotą popatrujące na góry.

Ten nieprzerwany strumień ludzi uspokaja Zacka, sprawia, że po raz pierwszy od paru dni czuje się normalnie. Otaczający go ludzie żyją w innym świecie, niczym się nie martwią i wyczekują tylko następnego kopa adrenaliny. Zazdrości im tej beztroski. W ten pogodny, ciepły dzień panuje tu powszechna wesołość.

- Widziałeś mój ostatni zjazd? Leciałem jak na skrzydłach.
- Mało brakowało, a bym wpadł na tyczkę.
- Kurczę, ale dziś pięknie.

To prawda. Świeży śnieg, który spadł w nocy, skrzy się w słońcu, drzewa iglaste przykryte są białymi czapami. Jeszcze nie zdjęto świątecznych dekoracji, ale Zack przypuszcza, że w takim miasteczku wiszą cały rok. Wszyscy lubią motyw pełnej magii zimowej krainy. Wyobraża sobie, jak pięknie musi tu być w nocy: lampki na zielonych, ozdobnych tkaninach, oświetlające czerwone wstążki i kokardy.

Na szafirowym niebie widać tylko parę puszystych, białych obłoczków i kilka jastrzębi unoszących się na prądach powietrza. Ciekawe, co te ptaki myślą o ludziach zjeżdżających po zboczach – czy dla nich to ofiary, na które mogłyby zapolować?

Domy z kremowymi ścianami i czarnymi elementami z drewna, chodniki wybrukowane cegłą i psy – mnóstwo psów. Kat drży u jego stóp, obserwując je bacznie.

Kobiety przy stoliku obok piją drugą margaritę, towarzyszący im mężczyźni w okularach przeciwsłonecznych i butach narciarskich są wyluzowani, tryskają humorem.

Zack próbuje spojrzeć na siebie z dystansu: siedzi przy stoliku z piwem w ręku i psem u stóp. Ma na sobie ubranie z dobrego sklepu Nashville North Face, ale poza tym... Stara się wczuć w rolę tutejszego mieszkańca. Czy pasowałbym do tego otoczenia? Czy zaprzyjaźniłbym się z tymi ludźmi obok, czy uważalibyśmy siebie nawzajem za męczących i nudnych?

Z powodu Mindy to nie tylko rozważania i pytania retoryczne. Za wszelką cenę chce być blisko niej – a to oznacza przeprowadzkę do Kolorado. Naprawdę tu zamieszka i tu zacznie nowe życie.

Czy uda mu się dogadać z Jasperem, czy też będą omijać się szerokim łukiem i tylko dla dobra dziecka udawać dobre relacje? Zack myśli, że jednak mógłby się polubić ze spokojnym, inteligentnym Jasperem, który sprawia wrażenie dobrego człowieka. W każdym razie było tak, dopóki nie zaczął z wyjątkową desperacją chronić żony.

Nawiasem mówiąc – czy Lauren chciałaby go widzieć w swoim życiu?

Po plecach przebiega mu dreszcz, ale Zack szybko się otrząsa. Na koniec jego myśli szybują do ostatniej osoby, którą rozpaczliwie próbował omijać w tych rozważaniach.

Vivian.

Widzi Vivian jak przez mgłę. Ciemne kręcone włosy. Fiołkowe oczy w mroku ich sypialni. Wypukłość brzucha. Zapewnienia, że poradzi sobie sama, jeżeli Zack pojedzie do matki. Jej ostatnie słowa: „Nic mi się nie stanie. Naprawdę. Dziecko urodzi się dopiero za dwa tygodnie”.

Już nie czuje głodu, jedynie z rozsądku zjada mięso z frytkami i popija piwem; resztki daje Kat. Na słońcu jest ciepło. Odchyła głowę, żeby złapać promienie, próbuje myśleć o czymś innym. Wspominanie Viv boli jak wiercenie dziury w chorym zębie: lepiej tego nie robić, ale czasami chce się znowu poczuć ból.

Nadal tu jesteś. Nie zapomniałem o tobie.

Jej duch towarzyszy mu całe życie – zawsze tuż obok, zawsze obecny. Czasami podczas spacerów z psem w powietrzu nagle pojawia się jej zapach. Albo w sypialni ascetycznej niczym cela mnicha budzi go ze snów, w których czuje pod sobą ciepłe, miękkie ciało Viv. Już ledwie pamięta jej śmiech, jej szept unoszący się na wietrze.

Dlaczego nie powiedziała mu o swojej przeszłości? Czy po prostu dlatego, że nie zdążyła? Kiedy się poznali, pracowała w jego ulubionej restauracji. Była beznadziejną kelnerką. Nawet teraz, kiedy przypomina sobie jej nieporadność, na jego twarzy pojawia się uśmiech. Prawie wylała mu kawę na kolana. Poparzyłaby go, gdyby szybko się nie odsunął. Zaczęła go przeproszać, przerażona i pewna, że nie dostanie napiwku, a on zostawił jej dwadzieścia dolarów i swój numer telefonu. Zakochał się w niej szybko i mocno, pozwolił sobie na to uczucie. Ładna dziewczyna, dobra kobieta, ktoś, dla kogo mógłby spróbować żyć dalej. Czy za bardzo się pośpieszyli ze wspólnym zamieszkaniem i ślubem? Jasne. Ale ją uwielbiał. Całą. Szalał z radości, kiedy zaszła w ciążę.

Nigdy nie widział, żeby była przygnębiona, chociaż – i to on, doskonały wywiadowca! – może po prostu nie dostrzegał objawów depresji? Tak, niekiedy bywała milcząca; poza tym często wyjeżdżał, więc całkiem

prawdopodobne, że po prostu nie trafiała się okazja do długiej szczerzej rozmowy lub Viv wolała już mu nie dokładać kłopotów.

Postanowili przenieść się do Nashville, bo nie podobało jej się to, że mieszkając w bazie, ciągle znajdują się pod obserwacją. Po przeprowadzce godzinny dojazd do bazy w Ft. Campbell nie był dla niego problemem, ponieważ i tak często przebywał na misjach w odległych krajach. Teraz zastanawia się, czy Vivian kierowała się czymś więcej, proponując, żeby zamieszkali w Nashville. Może chciała leczyć się z dala od ciekawskich przełożonych męża, którzy nie traktowali takich problemów z wyrozumiałością.

– Och, Viv. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Postarałbym się jakoś ci pomóc.

Znowu wraca myślami do Lauren. Podejrzliwość wobec niej jeszcze bardziej komplikuje położenie, w którym się znalazł. Gdy się widzą, analizuje każde jej słowo i niemal każdy ruch. Obserwuje, drażni, próbuje odnaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego ta kobieta wzbudza w nim taki niepokój. A teraz na dodatek Jasper zaczął dziwnie się zachowywać.

Zack jeszcze nie wie, co się za tym kryje, ale czuje, że wyjaśnienie jest tuż pod powierzchnią. Ludzie z otoczenia Lauren na pewno dostrzegają jej napięcie – są z nią codziennie, dla nich to normalne. Ale Zack, jako osoba z zewnątrz, odbiera je bardzo wyraźnie. Lauren zachowuje się tak, jakby w każdej chwili mogła wybuchnąć.

O co w tym wszystkim chodzi?

Kończy jeść, zostawia kelnerowi napiwek i właśnie wychodzi z tarasu restauracji, kiedy dzwoni jego komórka. Na ekranie wyświetla się numer Juliet.

– Hej, jak tam?

– Mamy kolejny problem. – Słysząc, że płacze.

Serce natychmiast zaczyna mu galopować, mięśnie się naprężają.

– Co się stało? Coś z Mindy? Przeszczep się nie przyjął?

– Nie. Tylko... O Boże, Zack, nie wiem, co robić. Wszędzie cię szukałam. Nie wiedziałam, że wyszedłeś ze szpitala.

– Musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza. Co się dzieje?

– Jasper ujawnił mediom, że byłeś rządowym zamachowcem.

Zacka zaczyna ogarniać spokój. A więc gra się zaczęła.

– Serio?

– Byłeś nim?

– A miałyby to jakiegokolwiek znaczenie?

– Tak mi się wydaje, tym bardziej że Jasper planuje to wykorzystać w walce o prawa do opieki nad Mindy. Na pewno będzie próbował nastawić media przeciwko tobie. W takich głośnych sprawach opinia publiczna często ma ogromne znaczenie. Sam wiesz.

Zack powoli wypuszcza powietrze.

– Niech robi, co chce. Nie byłem żadnym zamachowcem. Czy zabijałem? Tak. Jako żołnierz na froncie. Tych, którzy próbowali zabić mnie albo moich kompanów. Nikogo więcej. Armia to potwierdzi.

– On uważa, że...

– Słuchaj, przez Jaspiera przemawia desperacja. W tej chwili powiedziałby cokolwiek.

– Jesteś wobec niego zbyt wyrozumiały. Przecież on usiłuje zniszczyć twoją reputację.

– Myślę, że chodzi mu o coś innego. Próbuje odciągnąć uwagę od siebie i Lauren.

– To znaczy...? – W głosie Juliet słychać nieufność. Ale nie zaskoczenie.

– Po prostu, moim zdaniem... Już sam nie wiem, co chciałem powiedzieć. Może tylko tyle, że w zachowaniu twojej siostry wyczuwam coś dziwnego.

– Ty też? – Juliet zaskakuje go tymi słowami.

– Czyli nie uroiłem sobie tego? Bo już się bałem...

Juliet prychna niewesołym śmiechem.

– Nie. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby zachowywała się tak jak teraz. – Czuję się jak zdrajczyni, myśląc o niej w ten sposób. Przecież ona jest prawie święta. Zawsze była. A jeśli chodzi o Mindy... Zack, nie

rozumiesz tego. Melinda jest jej całym światem, życiem. Oczywiście bardzo się denerwuje, w końcu w grę wchodzi poważna choroba. Mam jednak wrażenie, jakby niemal czekała na śmierć córki. Myślę, że próbuje nabrać dystansu, uważa, że w ten sposób nieco złagodzi swój ból, kiedy już dojdzie do najgorszego.

Chwilami jest kompletnie rozkojarzona, a kiedy indziej pilnuje Mindy i Jaspiera jak oka w głowie.

– Mindy też to widzi. Rozmawialiśmy o tym, że ludzie nie wiedzą, jak się teraz do niej odnosić. Denerwuje się, że nie traktują jej normalnie.

– Powiedziała ci to?

– Tak. Wkurza ją to, że wszyscy nagle stali się tacy optymistyczni i pogodni. Wolałaby, żeby choć raz, cytuję: „ktoś się wkurzył i obraził na Boga albo coś w tym stylu”.

Tym razem śmiech Juliet jest szczery.

– Mindy ci ufa. Fajnie. Od paru tygodni mnie też się skarży. Narzeka, że jej rodzice udają sielankę, chociaż istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że nie przeżyje.

– To zrozumiałe. Jesteś pewna, że Lauren nie ukrywa niczego więcej? Może wyjawiała coś mężowi, a on teraz próbuje ją ochronić?

– Nie wiem, Zack. Naprawdę. Już ci mówiłam, że nie jesteśmy ze sobą zbyt zżyte. Mnie chyba ostatniej by się zwierzyła, a i to chyba wyłącznie po to, żeby pozbyć się napięcia, a nie oczekując pocieszenia czy rady. – W głosie Juliet wyraźnie słychać gorycz i żal.

– Hm, ciężka sprawa. Bardzo mi przykro. Czy w śledztwie pojawiło się coś nowego?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Sprawdzę.

– Ja to zrobię. Mnie od niego nie odsunięto.

– No tak. Głupio wyszło. Powinam zawalczyć o to, żeby nadal brać w nim udział, przynajmniej jeśli chodzi o testy DNA.

– Nie mogłaś, dobrze o tym wiesz. Ale jeżeli do nich zadzwonisz, na pewno zgodzą się na rozmowę.

– Dzięki, Zack. Porządny z ciebie gość. Radzisz sobie z tym lepiej niż inni.

Armstrong śmieje się głośno.

– Juliet, to nie tak, że lepiej z tym sobie radzę. Po prostu miałem więcej czasu, żeby się pogodzić z utratą córki.

DOM WRIGHTÓW

Po rozmowie z Zackiem Juliet czuje się odrobinę lepiej, nadal jednak jest wytrącona z równowagi. Dzwoni do Woody'ego, ale niemal od razu włącza się poczta głosowa. Czyżby jej unikał? Możliwe.

Potem wystukuje numer Baia, który odbiera, zdyszany.

– Zaczęło się, chica. Gdzie jesteś?

– W samochodzie, jadę do siostry po swoje rzeczy. Wyrzuciła mnie z domu. Dlaczego pytasz?

– Weź laptopa i wejdź do sieci. Jak najszybciej. Koniecznie przez zabezpieczone łącze.

– Dobrze. Właśnie wjeżdżam na podjazd. Skorzystam z komputera Lauren. A o co chodzi? Co znalazłeś?

– Nie masz ze sobą laptopa?

– Został w szpitalu. Uciekłam stamtąd, tak jak stałam. Bai, co się dzieje?

– Chciałbym, żebyś na coś zerknęła. Wiem, że odsunięto cię od śledztwa, ale...

– Oddzwonię za chwilę.

– Juliet...

– Tak?

– Tylko... pamiętaj: nie przez otwarte łącze, dobrze? Muszę ci wysłać akta sprawy.

– Jezus Maria, o co tu chodzi?

– Juliet, proszę cię, nie teraz.

– Daj mi pięć minut. Zaraz do ciebie oddzwonię.

Otwiera kluczem drzwi frontowe i idzie prosto do gabinetu. Hasło, które Lauren ustawiła w swoim komputerze, to data urodzin Mindy, a jakże. Nie

przyszłoby jej do głowy, że ktoś mógłby próbować włamać się na jej konto.

Juliet wchodzi do sieci przez VPN. Nie da to stuprocentowej ochrony, ale na pewno pomoże. Potem ściąga program chroniący pocztę elektroniczną, który zaszyfruje całą jej korespondencję z Baiem. Na koniec tworzy tymczasowe konto mailowe, które po wszystkim zlikwiduje. Nie jest to idealne rozwiązanie, ale najlepsze dostępne w tak krótkim czasie. Kiedy skończy, usunie ślady swojej aktywności na tym komputerze.

Dzwoni do Baia i włącza głośnik w telefonie.

– Dobra, weszłam. Zapisz sobie. – Kiedy dyktuje mu adres, słyszy stukanie w klawisze klawiatury.

Chwilę później mail wpada do skrzynki.

Otwiera go i znajduje w środku profil DNA.

– Co to?

Bai szepcze, jakby blisko stał ktoś, kto mógłby go usłyszeć:

– Profil DNA z miejsca zabójstwa Vivian Armstrong. Zawsze przypisywano go położnej, ale okazuje się, że błędnie. Znalazłem w systemie osobę, do której to DNA pasuje.

– Świetna wiadomość. Ta osoba może być mordercą i porywaczem. Dawaj.

Kolejny mail.

– Dostałaś?

W następnej wiadomości znajdują się dwa profile DNA ustawione obok siebie. Juliet wystarczy dziesięć sekund, żeby stwierdzić idealną zgodność. Na wszelki wypadek sprawdza kod – w dolnym prawym rogu obu profili znajdują się dane identyfikacyjne pod postacią liczby, co ma zapewnić anonimowość próbek wysyłanych do laboratorium i uniemożliwić celową ingerencję lub osobiste uprzedzenia podczas przeprowadzania badań.

– Bai, nie trzymaj mnie dłużej w niepewności. Masz nazwisko czy tylko numer?

– Pamiętaj, że ja ci tego nie powiedziałem, dobrze?

– Mówże wreszcie.

– Ten profil należy do Lauren. Twoja siostra była obecna na miejscu zbrodni.

Te słowa są dla Juliet jak silny cios w brzuch. Dopiero po dłuższej chwili udaje jej się złapać oddech.

– Co ty opowiadasz? – wykrztusza. – Lauren nie mogło tam być. Mieszkała wtedy w Kolorado. Dziecko... tamta lekarka... Bai, to na pewno pomyłka.

– Sprawdziłem cztery razy. Wszystko się zgadza. Zespół dochodzeniowy z Nashville ma DNA twojej siostry, tyle że na razie nie złożyli raportu. Chciałem, żebyś dowiedziała się pierwsza.

– Powiedziałeś o tym komuś jeszcze?

– Nie. Ale nie mogę tego ukrywać.

– Jasne, jasne. – Obiema rękami łapie się za głowę. Myśl, Juliet, myśl.

Przypominają jej się słowa Zacka: „W zachowaniu twojej siostry wyczuwam coś dziwnego”.

– Juliet? Jesteś tam?

– Tak. Bai, proszę, nie mów o tym nikomu jeszcze przez godzinę, co?

– Cholera, ja nie...

– Wiem, to trudne. Nie obrażę się, jeżeli odmówisz. Ale, Bai, daj mi tylko godzinę. Tyle, żebym zdążyła pogadać z Lauren i sprawdzić, co się, do diabła, dzieje. Błagam.

W słuchawce zapada milczenie, potem rozlega się jakieś kliknięcie.

– Nastawiłem minutnik. Juliet, masz godzinę. Potem przekazuję informację Woody’emu. A kiedy do ciebie zadzwoni, pamiętaj, żeby udawać zaskoczenie, bo wolałbym nie stracić pracy.

– Bai, jesteś cudowny. Bardzo ci dziękuję.

Juliet rozłącza się i drukuje maila. Podczas konfrontacji z Lauren musi mieć dowód.

Ale właściwie co to za dowód? Wskazuje wyłącznie na to, że DNA jej siostry znalazło się w domu Vivian Armstrong. Nic więcej, prawda? Przecież to nie znaczy, że...

Usuwa ślady swojej aktywności, po czym wyłącza laptopa. Przez chwilę siedzi przy stole z marmurowym blatem i wpatruje się w wydruk dwóch identycznych profili DNA.

Och, Lauren, okłamywałaś nas wszystkich.

Wychodzi na taras. Jest piękny dzień, wyjątkowo ciepły jak na tę porę roku. Słońce, błękitne niebo i tylko kilka białych obłoczków. Na jutro zapowiadają kolejną burzę śnieżną, ma spaść od trzydziestu do sześćdziesięciu centymetrów śniegu. Dobrze się składa. Zamieć na jakiś czas zatrzyma dziennikarzy, uwięzi ich w pokojach hotelowych. Kto miałby ochotę sterczeć w śnieżycę pod szpitalem, żeby przez chwilę zobaczyć chore dziecko?

Ogarnia ją bardzo silne wrażenie, że świat wiruje i powoli zacieśnia się wokół niej. Potok przy domu chlupocze dziko, jakby ostrzegał, że jutro wystąpi z brzegów. Po jej twarzy zaczynają płynąć łzy, ociera je ze złością.

Musi porozmawiać z Zackiem.

Drżącymi palcami wybiera jego numer. Armstrong natychmiast odbiera telefon.

– No hej. Coś nowego?

– Zack, przed chwilą rozmawiałam z kimś z mojego laboratorium. W twoim... w twoim domu znaleziono DNA Lauren. To jeden z dowodów, które Starr przywiozła z Nashville.

– Co takiego?

– No, trudno uwierzyć. – Wiatr porusza gałęzią drzewa, która ociera się o taras. – Jestem oszołomiona. Na razie nie znam bliższych szczegółów, ale postaram się dowiedzieć.

– Mówiłaś, że twoja siostra pochodzi z Murfreesboro. Ile lat miała, kiedy się przeprowadziłyście?

– Szesnaście. Może siedemnaście. Nie pamiętam.

– Czy kiedykolwiek leczyła się z powodu depresji?

– Co? Nie. Nic mi o tym nie wiadomo. Wtedy byłam jeszcze dzieckiem. Dlaczego pytasz?

– Vivian ukrywała przede mną swój świat. Lauren cię okłamywała. Po prostu zastanawiam się, czy mogły się znać.

– Nie mam pojęcia. Zaraz wracam do szpitala. Pogadam z Lauren, spróbuję coś z niej wyciągnąć.

W tej chwili Juliet słyszy warkot silnika samochodu i chrzęst opon na żwirze.

– Zmiana planów. Widzę jej auto. Jest już na podjeździe – informuje z wyraźnie słyszalnym napięciem.

Zack mówi głośniej, bardziej stanowczo:

– Jadę tam. Nie podejmuj tego tematu sama.

– Zack, spokojnie. To moja siostra. Na pewno istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie. Ona nie mogła tego zrobić.

– Juliet. Wstrzymaj się z tą rozmową do mojego przyjazdu.

– Muszę kończyć. Do usłyszenia.

– Nie. Poczekaj na mnie. Nie...

Juliet się rozłącza. Lauren akurat parkuje i wysiada. Podnosi głowę, patrzy na taras. Wygląda na oszołomioną i wykończoną; Juliet wbrew sobie, odruchowo chciałaby ją pocieszyć.

– Wszystko w porządku? – woła. – Miałaś nie opuszczać szpitala.

– Źle się poczułam. Przyjechałam po lekarstwa.

– Aha. W sumie dobrze, że jesteś. Mam do ciebie sprawę. Chodź na górę. Zrobię ci miętę.

Wraca do środka i starannie zamyka drzwi prowadzące na taras. Pilotem włącza kominek, nalewa wody do czajnika elektrycznego, wyjmuje imbryk i słoiczek swojego ulubionego miodu. Jej też przyda się filiżanka miętę. Czuje mdłości. Lauren pojechała do Nashville? Jak? Po cholere? Co to wszystko znaczy?

I co zrobiła?

Siadają twarzą w twarz w jadalni. Między nimi, na drewnianym stole z grubym blatem, stoją eleganckie filiżanki z chińskiej porcelany na spodeczkach. Herbatka w dwójkę. Juliet położyła przed sobą wydruk, trzyma na nim dłoń, jakby w ten sposób mogła kontrolować zawartą tam prawdę. Lauren, milcząca i nieruchoma, powoli sący miętę. Nie wygląda na chorą. Wygląda na... czujną. Jakby wiedziała, czego się spodziewać.

Juliet odstawia filiżankę na spodeczek tak niezgrabnie, że rozlega się głośne szczęknięcie. Ręce jej się trzęsą. Jeszcze nigdy nie widziała na twarzy siostry równie starannie wykreowanej pustki – jest nią przerażona. Musi jednak dotrzeć do prawdy. Lauren nie mówi wszystkiego.

Dla uspokojenia Juliet robi głęboki wdech. Oczywiście, powinna to zostawić Woody’emu i Parksowi, ale przecież to jej siostra. Jej siostra.

– Wiem, że bardzo się martwisz o Mindy, pojawił się jednak duży problem, a mamy mało czasu. Lauren, musisz być ze mną szczerą. Zdołam ci pomóc tylko wtedy, jeżeli otwarcie ze mną porozmawiasz.

– Nie rozumiem...

Juliet przewraca kartkę na drugą stronę.

– Na miejscu zabójstwa Vivian Armstrong znaleziono twoje DNA.

– Niemożliwe.

– Zareagowałam tak samo. – Juliet uśmiecha się ponuro. – Sprawdzono to cztery razy. Widziałam wyniki na własne oczy. Nie ma mowy o pomyłce. Byłaś tam. Policja przyjdzie po ciebie i nie będzie tak wyrozumiała, skłonna cię wysłuchać jak ja.

Lauren odchyła się na krześle i uważnie wpatruje się w siostrę. Potem splata ręce na piersi i pyta:

– To groźba?

– Nie, fakt. Na miłość boską, w jaki sposób twoje DNA tam się znalazło? Jeżeli powiesz mi prawdę, może wymyślę jakieś wiarygodne, lecz

nieobciążające cię wytłumaczenie.

Śmiech Lauren jest dziwnie pusty i sztuczny. To śmiech kogoś obcego, okrutny i szyderczy. Ze strachu Juliet przechodzą ciarki. Kiedy siostra się odzywa, jej głos – zmieniony nie do poznania, całkowicie pozbawiony emocji i ciepła – również brzmi obco.

– Proponujesz, żebym okłamała policję? Nie przypuszczałabym, że jesteś do tego zdolna. Zawsze taka zasadnicza. Idealna. – Kiedy wypluwa z ust ostatnie słowo, Juliet słyszy w nim całe lata tłumionego żalu. Nigdy nie rozumiała, dlaczego Lauren tak bardzo nią gardzi.

– Daleko mi do ideału, ale... jesteś moją siostrą. A Mindy jest moją siostrzenicą. Próbuję ocalić naszą rodzinę, to, co z niej zostało. Powiedz mi prawdę. Zabiłaś Vivian Armstrong?

– Chyba nie oczekujesz, że padnę przed tobą na kolana i się wyświadcę? – Lauren wzdycha i wstaje z krzesła. – Muszę dolać sobie mięty. Też chcesz? – Nie czeka na odpowiedź, bierze jej filiżankę i idzie do kuchni.

Juliet nie zatrzymuje jej, wie, że Lauren potrzebuje paru chwil, żeby się pozbierać. Jeszcze zanim siostra wstała, Juliet dostrzegła nieszczerłość w jej oczach. Teraz kombinuje. Zastanawia się, co powiedzieć. Jak się wyłgać od tej potwornej prawdy.

Ta myśl wydaje się jej jeszcze gorsza niż świadomość, że na miejscu brutalnego morderstwa znaleziono DNA Lauren. Juliet wie, że od tej pory nie usłyszy od niej ani słowa prawdy, i to sprawia jej ból. Jej siostra jest morderczynią. Porywaczką. Kim jeszcze?

Lauren wraca jak hostessa na przyjęciu, niesie tacę z imbrykiem, dwiema filiżankami, ulubionym miodem Juliet i herbatnikami. Łapówka, cała taca łapówek.

– Nie dodawałam miodu, bo zawsze narzekasz, że ci go skąpię. Masz tu cały słoiczek. Zjadłabyś coś? Ja umieram z głodu. – Bierze filiżankę, herbatnik i podchodzi do kominka.

Juliet patrzy na nią przez chwilę, po czym wzrusza ramionami i nakłada sobie odrobinę miodu do mięty. Lauren zawsze dodaje go za mało. Miesza

herbatę i próbuje. Za słodka. Dolewa trochę z imbryka i upija kolejny łyk. Lepsza, choć nie idealna.

– Lauren, do jasnej cholery, mów, co się wydarzyło w Nashville.

– Tak – mamrocze Lauren właściwie do siebie. – Chyba rzeczywiście muszę coś powiedzieć, bo inaczej schrzanisz wszystko, co budowałam przez całe życie. – Wraca do stołu i ciężko opada na krzesło naprzeciwko siostry. – Czas, żebyś usłyszała prawdę. Zgadza się, znałam Vivian. Pierwszy raz spotkałyśmy się w Nashville, wiele lat temu, kiedy byłyśmy nastolatkami. Po naszej przeprowadzce do Kolorado nadal miałam z nią kontakt. Podtrzymywała mnie na duchu, kiedy się rozwodziłam i poroniłam. Vivian też wtedy była w ciąży. Wspierałyśmy się nawzajem, a kiedy już tylko ona była w ciąży, nadal jej pomagałam. Potem się rozchorowała. Zdawała sobie sprawę, że umrze, i poprosiła, żebym zaopiekowała się Mindy. Bała się, co Zack mógłby zrobić.

– Bała się Zacka? Przecież był ojcem ich dziecka.

– To bezwzględny morderca. Często mi mówiła, że jest przerażona. Miała nadzieję, że Zack zginie w walce i nigdy nie wróci. Żyła w ciągłym strachu, że któreś nocy mąż nagle się obudzi, nie rozpozna osoby obok siebie i poderżnie jej gardło. Przeżywała koszmar za każdym razem, kiedy przyjeżdżał z misji do domu. Potwornie się bała, że mógłby coś zrobić dziecku, że...

– Mówimy o tym samym Zacku Armstrongu? Jezu, to jedna z najspokojniejszych i najłagodniejszych osób, z jakimi miałam do czynienia.

– Nic o nim nie wiesz. I weź sobie do serca moją radę: zakończ ten romans, bo to niebezpieczny człowiek. Bardzo niebezpieczny.

– Romans? Znam go niecały tydzień.

– Widzę, jak na ciebie patrzy. I jak ty patrzysz na niego. Myślisz, że nikt tego nie dostrzega?

Juliet słyszy gorycz w głosie Lauren, mimo to próbuje dalej.

– Nic nas nie łączy. Wytłumacz mi dokładnie, dlaczego Vivian się go bała.

– Pij herbatę, bo ci wystygnie. – Wskazuje głową kubek. Juliet bierze łyk, chociaż mięta z miodem to kiepskie połączenie. – Vivian wiedziała, że zginie z jego ręki, więc poprosiła, abym zaopiekowała się dzieckiem. Nie mogła pozwolić, żeby Zack zrobił mu jakąś krzywdę. Miał wrócić dopiero za pół roku, armia jednak przyznała mu urlop; tak robią zawsze, gdy żona żołnierza jest tuż przed porodem. Vivian wiedziała więc, że Zack wkrótce przyjedzie do domu. Szukała sposobu na wcześniejsze wywołanie porodu. Chciała ochronić przed nim dziecko.

– Wywołanie porodu?

– Tak. Został jednak ranny i miał wrócić z Afganistanu jeszcze wcześniej, więc naprawdę musiała się pośpieszyć. Tak się złożyło, że w tym czasie ciężko zachorowała jego matka. Vivian namówiła męża, żeby do niej pojechał; zaraz potem wypła olej rycynowy, żeby urodzić, zanim Zack wróci. Zadzwoiła do mnie, powiedziała, że to zrobiła. Wskoczyłam do samochodu i popędziłam do niej na złamanie karku. Z Denver do Nashville jest ponad półtora tysiąca kilometrów, prawda? Ja jechałam niecałe dziesięć godzin, bez przerwy. Miała szczęście. Udało jej się wywołać skurcze i urodziła bez żadnych komplikacji. Kiedy dotarłam na miejsce, położna już wyszła. Uściskałam Vivian i zabrałam dziecko ze sobą. Taka była jej wola. Chciała, żeby Mindy była bezpieczna.

– Jasne. A potem sama się zadźgała?

Lauren przenosi wzrok na góry za oknem.

– O tym musisz porozmawiać z Zackiem. Rzekomo przebywał wtedy poza miastem, ale wiemy przecież, jaki jest przebiegły. Bez problemu mógł pojechać do domu, zabić żonę i wrócić na pogrzeb. Uszło mu to na sucho, lecz od tamtej pory próbował mnie odnaleźć.

– Trudno mi uwierzyć w to wszystko.

– Juliet, to bardzo agresywny człowiek. Morderca. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżał do domu, pilnował Vivian na każdym kroku, nie spuszczał jej z oczu. Stosował wobec niej przemoc. A teraz znalazł się na wyciągnięcie ręki od mojego dziecka i Bóg wie, co zamierza zrobić. Dlatego Jasper i ja koczujemy w szpitalu. I dlatego tak bardzo boimy się o Mindy.

Juliet jest zupełnie skołowana. Lauren mówi z taką stanowczością, że chyba każdego by przekonała, tyle że Juliet nie wierzy, że Zack byłby zdolny do takiej napaści. To dobry i łagodny człowiek. Upija kolejny łyk herbaty, krzywi się i odstawia filiżankę na spodeczek.

– Sama prosiłaś, żebym go odnalazła. Praktycznie rzecz biorąc, ty doprowadziłaś do tego, że Jasper dowiedział się o Zacku i powiedział mi o nim.

– Nigdy nie pomyślałam, że uda ci się wpaść na jego trop. Armia usunęła z systemu jego DNA. Vivian wyjaśniła mi, że robią tak w przypadku każdego wywiadowcy. Bóg wie, ile zbrodni popełnił. Miał się odciąć od świata, żeby nikt go nie namierzył. Z powodu swoich działań na froncie mógł stać się celem zamachowców. A teraz my wszyscy staliśmy się celem. Jego celem.

Juliet mocno spleta ręce na brzuchu. Nic z tego nie rozumie. Zack mordercą? Vivian bała się własnego męża?

Czy to możliwe, że Juliet skazała całą rodzinę na śmierć, bo odnalazła człowieka, który może uratować życie Mindy? Nie ma jednak czasu, żeby to przeanalizować, bo Lauren mówi dalej.

– A ty, superdetektyw, nasza Nancy Drew, dzięki swoim próbówkom i eliksirom odnalazłaś tego gada i wpuściłaś go do naszego życia. I co dalej? Media nas obserwują, więc Zack myśli, że nic mu nie grozi. Że ważniejsze od prawdy okaże się to, że jest ojcem, który próbuje uratować życie własnego dziecka. Otóż nie. Na wypadek gdyby coś mi się stało, przygotowałam list do prasy, w którym napisałam o wszystkim, co zrobił.

– Ale ta lekarka, doktor Castillo... Po co te kłamstwa?

– Nie rozumiesz? Próbowałam nas ochronić. Nie mogłam dopuścić do tego, żeby policja powiązała mnie z Vivian. Historyjka o Castillo doskonale się do tego nadawała. Ta kobieta rzeczywiście sprzedawała dzieci. Czas i okoliczności idealnie pasowały. Przeczytałam o niej w jakiejś gazecie. Uznałam, że to idealna przykrywka, w razie gdyby ktoś, a zwłaszcza Zack, o wszystkim się dowiedział. Nikt nie mógł udowodnić, że nie adoptowałam dziecka za pośrednictwem Gracieli.

Juliet kręci głową, próbując ogarnąć umysłem te rewelacje.

– Zack nie jest złym człowiekiem...

– Tak ci się wydaje, bo cię oczarował. On i jego pies. Nawiasem mówiąc, ten owczarek też jest wyszkolonym zabójcą. Jego bronią, kiedy Zack nie ma przy sobie pistoletu. Nie znasz prawdziwego oblicza tego człowieka. Jesteś zaślepiona. Ale nie martw się. Dostaliśmy od niego to, czego potrzebowaliśmy, teraz ja się nim zajmę. Nie skrzywdzi nikogo z naszej rodziny. Nigdy. – Lauren obchodzi stół, siada obok siostry i ją przytula. Juliet cała się trzęsie, Lauren pozostaje niewzruszona jak skała. – Już dobrze, kochana. Wybaczam ci. Wiedziałam, że złamiesz wszelkie swoje zasady, żeby uratować Mindy. Oboje, właściwie troje, jesteśmy ci bardzo wdzięczni. Wyjaśnię Woody’emu, że nie ponosisz za nic odpowiedzialności.

– O czym ty mówisz?

– Wiem, że włamałaś się do danych medycznych Mindy, wzięłaś próbkę jej DNA i umieściłaś ją w bazie CODIS, żeby poszukać pasującego profilu. Jestem dumna, że zrobiłaś to, nie bacząc na regulamin. Musiało to być dla ciebie bardzo trudne. To także wytłumaczyłam w liście, bo nie chciałam, żebyś miała problemy z powodu nieetycznego postępowania.

– To nie tak. Zresztą nie musisz się przejmować. Woody już wie. Zawiesił mnie w obowiązkach. – W tej chwili dociera do niej znaczenie tego, co powiedziała siostra. – Zaraz, to znaczy, że mnie poświęciłaś?

Lauren uśmiecha się i kładzie palec na jej ustach.

– Kochanie, próbuję cię ochronić. Zack Armstrong jest bardzo złym człowiekiem. Trzeba mieć zabezpieczenie, na wypadek gdyby coś się stało. Zrobię wszystko, co trzeba, żeby ochronić rodzinę. Dosłownie wszystko.

– Zack wykłada literaturę angielską na uniwersytecie Vanderbilt. Jest wdowcem od wielu lat pogrążonym w żałobie. Ojcem Mindy. Mylisz się co do niego.

Lauren stanowczym ruchem unosi podbródek.

– Nie pozwolę, żeby skrzywdził moją córkę.

– I dlatego chcesz Zacka zdyskredytować? Albo się go pozbyć? Boże kochany, Lauren, zupełnie oszalałaś. Z braku snu odjęło ci rozum. Mówiłaś Jasperowi o swoich podejrzeniach?

– Jasper wie o wszystkim. Powiedziałam mu, kim jest Zack i dlaczego stanowi dla nas zagrożenie. Powiedziałam również, co zrobiłaś. A teraz opisuję tę sytuację tobie, chociaż nie sądzę, żeby to cokolwiek zmieniło.

– Chyba nie mówisz poważnie. Nie możesz tak po prostu zabić Zacka. Policja natychmiast się do ciebie dobierze.

– Już kiedyś musiałam obronić naszą rodzinę.

Juliet wstaje tak gwałtownie, że nogi krzesła skrzypią o podłogę.

– Przed Vivian Armstrong? Zabiłaś ją, żeby ukraść dziecko? Bo to dla mnie o wiele bardziej wiarygodne niż ta absurdalna historyjka, którą mi opowiedziałaś. Kłamiesz. Dlaczego?

– Ty naprawdę nic nie pamiętasz. Zdumiewające. – Lauren z autentycznym zdziwieniem kręci głową.

Juliet znowu czuje na plecach dreszcz. To nie Zack jest problemem, tylko jej siostra.

– Co miałabym pamiętać?

– Dlaczego przeprowadziłyśmy się do Kolorado. Tak, oczywiście, byłaś jeszcze dzieckiem. Wszystko wyparłaś.

– Lauren, o czym ty mówisz?

– O Bennecie Thompsonie.

– Naszym ojczymie? Zmarł, jak miałam kilka lat. W ogóle go nie pamiętam.

– Tak, tak, zmarł. Już ja o to zadbałam. Zapłaciłam wysoką cenę. Dla twojego dobra straciłam rok życia. Nawet nie wiesz, co dla ciebie zrobiłam.

– Lauren aż kipi gniewem. – Molestował cię – wypala nagle.

– Co takiego? Nie, nieprawda. Przecież bym pamiętała!

– Weszłam do twojego pokoju. Leżał na tobie. Musiałam go powstrzymać. Poderżnęłam mu gardło. Mama mi pomogła. Kazała przysiąc, że nigdy nie będę z tobą o nim rozmawiać.

– Co ty bredzisz? Zamordowałaś naszego ojczyma, a mama ci w tym pomogła?

Złość gaśnie szybko jak zapałka, Lauren przechyla głowę i wpatruje się w siostrę.

– Nieważne. Już nie.

– Oczywiście, że ważne! – Nagle Juliet coś przychodzi do głowy. – Wtedy wcale nie wyjechałaś do szkoły. Byłaś w więzieniu.

– Kurwa, zamknęli mnie w psychiatryku z bandą popierdolonych kryminalistów, żebyś ty bezpiecznie siedziała z mamusią w ciepłym domciu. O mnie nikt nigdy się nie martwił. Sama musiałam sobie radzić. I poniosłam konsekwencje.

Juliet nic sobie nie przypomina, nie może uwierzyć w tę historię. Przecież pamiętałaby, gdyby ojczym ją molestował. Ale z drugiej strony, choć z dzieciństwa pamięta niemal wszystko, jego twarzy w ogóle sobie nie przypomina.

Czuje żołądek w gardle, ale na szczęście daje radę powstrzymać wymioty.

– Dlaczego mama miałaby ukrywać taką zbrodnię? Przecież to potworne przestępstwo.

– Domyślała się, że ojczym próbował się do nas dobierać. Kiedy to się potwierdziło, żałowała, że sama nie poderżnęła mu gardła.

– Nie wierzę.

– Nie zastanawiałaś się, dlaczego nigdy nie stworzyłyście mocnej więzi? Miała do ciebie żal. Byłam jej ulubienicą, ale trafiłam do szpitala, a ona utknęła z tobą. To ja stałam się jego największą ofiarą. Ja zaszłam w ciążę. Ja poświęciłam swoje życie. Wszystko dlatego, że musiałyśmy chronić śliczną, malutką, niewinną Juliet.

– Była jakaś rozprawa? Dostałaś wyrok? – Kolejny element układanki trafia na swoje miejsce. – Czekał, zaszłaś w ciążę?

– Poroniłam.

Juliet robi się gorąco. Coś tu nie gra. Teraz już nie wie, w co wierzyć i czy historia Lauren ma jakikolwiek sens, nagle jednak do głowy przychodzi jej potworna myśl: „Już kiedyś musiałam obronić naszą rodzinę”.

Teraz zaczyna rozumieć. Gniew, smutek. Jej bezpłodna, niezrównoważona siostra zrobiłaby wszystko, żeby mieć dziecko.

– Poznałaś Vivian Armstrong w szpitalu, prawda? Tyle lat się przyjaźniłyście, a potem ją zamordowałaś i porwałaś jej dziecko. Brzydzę się tobą.

Lauren wyniosłe macha ręką, niczym królowa do tłumu.

– Ty się dla mnie nie liczysz.

– Więc dlatego detektyw Gorman tu przyjechał? Bo odkrył, że zamordowałaś naszego ojczyma, i cię wytropił? Próbował się z tobą skonfrontować, a ty go zabiłaś.

Łagodny uśmiech nie schodzi z twarzy Lauren, choć Juliet zauważa, że jeden kącik ust siostry drgnął. Mina tej obłąkanej kobiety wyraża dumę – oto ona, obrończyni rodziny.

– O Boże, Lauren, coś ty zrobiła? Kim ty jesteś?

– Gorman stanął mi na drodze. Po prostu wypełniłam swoją powinność. Przez całe życie pomagałam Mindy podbić świat. Teraz, po przeszczepie, wyzdrowieje i znowu zacznie jeździć na nartach. Czeka ją wspaniałe życie. Zasługuje na to. Załatwię każdego, kto będzie próbował ją skrzywdzić albo przeszkodzić jej w karierze.

Juliet ciężko opada na krzesło.

– Kompletnie zwariowałaś.

– Siostrzyczko, jestem najnormalniejszym człowiekiem na świecie. Mam swoje priorytety, a najwyżej wśród nich znajduje się moja córka. Zawsze znaczyła dla mnie najwięcej. Od siedemnastu lat żyję tylko dla niej.

– Jak myślisz, co poczuje, kiedy się dowie, że jej matka jest morderczynią?

– Nigdy się tego nie dowie.

– Nie? A jak temu zapobiegiesz? Zabijesz wszystkich, którzy zajmują się tą sprawą? Zamordujesz ludzi z CBI i policjantów z Nashville? Za późno. DNA cię zdradziło. Oni wiedzą, co zrobiłaś.

Wyraz twarzy siostry się nie zmienia. Lauren nadal patrzy na Juliet z przyklejonym uśmiechem Mony Lisy.

– To absurdalne. Nie zamierzam dłużej tego słuchać tych bredni. W tej chwili wychodzę.

– Co ty powiesz?

Serce Juliet bije szybko. Wcześniejsze uczucie gorąca teraz rozprzestrzenia się na całe ciało. Stopy są jak z ołowiu, nie może ich oderwać od podłogi. Kolana nie chcą się wyprostować, zaschło jej w ustach. Przed oczami latają mroczki, głowa robi się potwornie ciężka.

– Lauren, co ty mi... – pyta grubym głosem i urywa. Odnosi wrażenie, że jej język robi się tak wielki, że ledwo mieści się w ustach. Nie może zatrzymać śliny napływającej do ust. Pokój zaczyna się kołysać.

– Mówiłam przecież: zrobię wszystko, żeby moja córka była bezpieczna.

– Dlatego próbujesz mnie zabić?

Lauren się uśmiecha – tym razem smutno. Wskazuje na filiżanki. Juliet patrzy na stół i naczynia, ale w jej głowie nie pojawia się żadna myśl. Ledwo słyszy następne słowa, które wypowiada siostra.

– Och, siostrzyczko. Ty już nie żyjesz.

Juliet bezwładnie pada na podłogę.

Kiedy Juliet się rozłącza, Zacka ogarnia zgroza. Trudno uwierzyć w to, że Lauren była obecna na miejscu zbrodni. Ale... jej silna więź z Mindy, zaciekle nadopiekuńczość, brak znajomych, właściwie całkowite odizolowanie córki od świata, wrażenie klaustrofobii w ich relacji – przez kilka tygodni Lauren nie odstępowała dziewczyny na krok, a kiedy została do tego zmuszona, zabroniła innym ją odwiedzać. Wszystko to składa się w potworną całość i prowadzi Zacka do przerażających wniosków.

Lauren zamordowała Vivian i przywłaszczyła sobie jej dziecko.

Kiedy ta myśl formuje się w jego umyśle, Zack chce natychmiast pojechać do domu Wrightów. Nie ma jednak samochodu, a pieszo nie da się dotrzeć na górę.

Chodzi w kółko, zastanawia się, rozważa swoje możliwości. Wokół niego kręci się dużo ludzi. Mógłby poprosić kogoś o podwiezienie, zapłacić, jeśli trzeba. A najpierw zadzwonić po taksówkę albo ubera i pojechać tym, co pojawi się najszybciej.

Rusza przed siebie z Kat u boku. Po chwili w bocznej uliczce zauważa mężczyznę, który trzyma aparat fotograficzny z teleobiektywem. Robi jeszcze dwa kroki dalej i dopiero wtedy jego umysł rejestruje to, co kilka sekund wcześniej zobaczyły oczy. Twarz faceta wydaje się znajoma, ale Zack tak naprawdę rozpoznaje go po czerwonej czapce bejsbolowej założonej daszkiem do tyłu. Widział go rano na parkingu przed szpitalem – gość siedział w samochodzie i pstrykał zdjęcia.

Reporter.

Armstrong robi w tył zwrot i pędzi w stronę reportera, a ten się wycofuje z przerażeniem na twarzy – unosi rękę, jakby to mogło zatrzymać rozgorączkowanego Armstronga i jego groźnego psa.

– Hej. Hej! Potrzebuję twojej pomocy!

– Człowieku, ja tylko cykam sobie foty. Co w tym złego?

– Pracujesz dla mediów. Widziałem cię przed szpitalem. Musisz mnie gdzieś podwieźć. To bardzo pilne.

– Chodzi o Mindy?

Zack w pierwszej chwili chce zaprzeczyć, potem uświadamia sobie, że może to najskuteczniejszy sposób na realizację jego planu.

– Tak, chodzi o Mindy. Jej matka pojechała do domu. I właśnie do mnie dzwoniła. Powiedziała, żebym przyjechał, bo coś się stało. Ale nie mam samochodu. Zawieziesz mnie na górę?

– Do domu Wrightów? Stary, jasne, ale nie za darmo.

– Ile chcesz? – Zack sięga po portfel. Szkoda czasu na negocjacje. Musi jak najszybciej znaleźć się przy Juliet.

– Kasa? No coś ty. Wywiad na wyłączność.

– Dobra. Niech będzie. Chodźmy. – Zack rusza w stronę garażu, ale reporter wskazuje w głąb uliczki.

– Mój samochód stoi tam. Znam ochroniarza. Pozwolił mi zaparkować przy wjeździe do miasta.

Po chwili siedzą w małym zielonym subaru imprezie – z nartami na dachu i tylną kanapą załadowaną sprzętem fotograficznym i narciarskim. Natychmiast ruszają. Kat przycupnęła w niewygodnej pozycji z tyłu, stara się zachować równowagę podczas gwałtownych, ostrych skrętów.

– Wiesz, jak tam dojechać?

Reporter poprawia okulary przeciwsłoneczne od Maui Jima.

– Tak się składa, że wiem. Siedzę w tym już od jakiegoś czasu. Chciałbym pogadać sam na sam z Mindy. – Nie jest zażenowany swoją chciwością.

Zack ma ochotę walnąć gościa w pysk, ale wie, że nawet przemoc by tego sępa nie powstrzymała.

Auto robi okrążenie i zaczyna piąć się pod górę. Zacka kusi, żeby wrzucić piąty bieg, zmusić samochód do szybszej jazdy. Liczy się każda chwila.

– Możesz przyśpieszyć?

– Nie chcę szarżować. Na górze drogi są jeszcze oblodzone. Wolałbym nie spaść w przepaść.

– Dla kogo pracujesz?

Chłopak z szerokim uśmiechem wyciąga do niego rękę.

– Bode Greer, do usług. „Ski Magazine”. Parę miesięcy temu przeprowadziłem wywiad z Mindy. Dobrze nam się gadało. Pomyślałem, że teraz też mógłbym z nią się spotkać. Chyba wpadłem jej w oko.

Na widok pewnego siebie, znaczącego uśmiechu koleś Zackowi skacze ciśnienie. Dobrze wie, co Greer ma na myśli. Obrzuca chłopaka – bo tak naprawdę to jeszcze dzieciak, tuż po dwudziestce, przystojny i beztroski – przeciągłym spojrzeniem.

– Młody człowieku, nie pozwolę, żebyś się zbliżył do mojej córki – cedzi zdziwiony własnymi słowami.

Gdyby tak bardzo się nie bał, gdyby nie był śmiertelnie przerażony, ten nagły przypływ opiekuńczości pewnie by go rozśmieszył. Wie jednak tylko jedno: teraz najważniejsze to ochronić Mindy. Przed reporterami. Przed Jasperem. Przed Lauren. Cholera, nawet przed Juliet. Musi dziewczynę odgrodzić od świata, od wszystkich tych, którzy ją wykorzystują, jadą na jej plecach i zmuszają do chodzenia w codziennym kieracie. Mindy potrzebuje spokojnego miejsca, gdzie mogłaby wrócić do zdrowia. Musi mieć też czas na to, by poznać swoją prawdziwą rodzinę.

Vivian, pomóż mi, błagam. Pomóż uratować naszą córkę.

Dzwoni do Juliet, ale od razu włącza się poczta głosowa. Niedobrze.

Nagle uświadamia sobie, że Bode nadal mówi.

– ...stary, bez urazy. To po prostu fajna laska. Super wypadła w tym wywiadzie. Nie próbuję jej wykorzystać ani nic. I cała ta historia jest niesamowita, niezależnie od tego, czy Mindy uda się utrzymać prowadzenie w rankingu Pucharu Świata, czy w tym roku odpadnie.

– W grę wchodzi o wiele więcej niż Puchar Świata, wierz mi, młody.

– Opowiedz mi o tym. Czeka, wyjmę z kieszeni dyktafon. Mogę go włączyć?

– Co?

– Ojej. Nie wspomniałem, że chciałbym wszystko nagrać?

– Ty cwany gnojku.

Bode poprawia czapkę.

– No co? Taka praca. Na moim miejscu zrobiłbyś to samo.

Jadą teraz pod górę do prostego odcinka drogi, wiodącego do kilku ostatnich serpentyn, które doprowadzą ich na podjazd przed domem Wrightów. Zack mocno zaciska dłonie w pięści i przygryza dolną wargę. Kiedy przesywa go ostry, silny ból, rozluźnia palce i oddycha głęboko. Na języku czuje metaliczny smak krwi. Jego krew uratuje życie Mindy. Płynie teraz w jej żyłach, a wraz z nią płynie prawda.

– Dobra. Możesz nagrać wywiad z nią i ze mną. Ale teraz zamknij się i jedź dalej.

Kiedy docierają pod dom, wokół panuje cisza. Pikap Juliet stoi tam gdzie zwykle, po prawej stronie, na miejscu dla samochodów gości. Drzwi do garażu są zamknięte. Dom sprawia wrażenie pustego. Zack nie wie dlaczego, ale spodziewał się jakiejś awantury. Myślał, że Juliet i Lauren będą szarpać się za włosy, zaciekle walczyć o to, czy Zachary Armstrong jest zbawcą, czy draniem. Na myśl o tym parska krótkim śmiechem, a Bode, który właśnie zaparkował, spogląda na niego pytającym wzrokiem.

– Nic, nieważne.

– Dobra. Co teraz?

– Zaczekaj tu.

– Nie no, gościu, mówiłeś...

– Bode, Mindy tu nie ma, a zgodziłem się na wywiad z nią i ze mną. Nie wychodź stąd. I żadnych zdjęć, jasne? Za chwilę wracam. Kat, zostań.

Pies cicho skamle, ale posłusznie nie rusza się z miejsca. Zack wbiega po schodkach przed głównym wejściem, uważając na ich oblodzone krawędzie. Dzwoni do drzwi, nikt nie otwiera. Próbuje przekręcić gałkę, ale drzwi są zamknięte na klucz. Co teraz? Włamać się do domu na oczach reportera? Na pewno dobrze by się to sprzedało.

Raz jeszcze wciska guzik i jednocześnie dzwoni do Juliet. Intuicja mu podpowiada, że stało się coś niedobrego, przerażającego.

Bode, najwyraźniej też ogarnięty złym przeczuciem, wysiada z subaru. Kat wystawia głowę przez okno i zaczyna szczeakać. W tej chwili podnosi się brama garażowa, a na końcu podjazdu pojawiają się światła samochodu Lauren. Zack wyobraża sobie, jak to musi wyglądać: sterczy pod drzwiami, jakby próbował się włamać, a wjazd zastawia jakieś obce auto. Macha do Lauren i zbiega ze schodów. Kiedy właścicielka posesji podjeżdża, Zack widzi, że jest sama. Gdzie się podziała Juliet?

Lauren opuszcza szybę w oknie.

– Gdzie ona jest? – rzuca Armstrong.

– Kto?

– Juliet.

Lauren wskazuje na pikapa siostry.

– Nie ma jej w domu?

– Nie wiem. Drzwi są zamknięte na klucz, nikt nie otwiera. Podobno miałyście się tutaj spotkać.

– Owszem. Zadzwoiła do mnie i powiedziała, że chce o czymś porozmawiać. Akurat robiłam zakupy, ale od razu przyjechałam. Z tobą się też kontaktowała, tak? – Co brzmi w jej głosie? Lekkie zaciekawienie czy szyderstwo?

Zack nie potrafi tej kobiety rozgryźć. Ma ochotę skrócić jej kark. Najchętniej włożyłby ręce przez okno, złapał ją za włosy i wydusił z niej odpowiedź. Jego ręce wiszą jednak luźno po bokach, a Lauren ze zniecierpliwieniem potrząsa głową, jakby był natrętnym owadem, latającym jej przed twarzą. W co ona gra? Naprawdę jeszcze nie rozmawiała z siostrą? Nie próbuje robić uników ani nie wygląda na zaniepokojoną.

– Mhm, dzwoniła. Chwilę rozmawialiśmy, potem ty pojawiłaś się na podjeździe, więc Juliet się rozłączyła. Od tamtej pory nie odbiera telefonu.

– Musiała zobaczyć kogoś innego, bo ja w tym czasie byłam na zakupach i przyjechałam dopiero teraz. Czy mógłbyś poprosić... tego kogoś, żeby przestawił swojego grata? Chciałabym dostać się do garażu.

– Oczywiście. Hej, Bode! Zjedź na bok, dobra?

Chłopak saltuje i odpala auto, a Zack schodzi z drogi. Lauren mija go, parkuje w garażu, wysiada, pobrzękując kluczykami, po czym otwiera bagażnik.

– Weźmiesz zakupy? Może zjemy razem kolację? Co prawda, Mindy nie ma, ale we trójkę też będzie miło, prawda? Musimy się przyzwyczać do naszej nowej rzeczywistości.

Albo Lauren aż tak dobrze panuje nad sobą, albo Juliet rzeczywiście zobaczyła wtedy inny samochód i Lauren jeszcze nie wie, że jest nieoficjalnie podejrzewana o zamordowanie Vivian. Zack wyjmuje z bagażnika dwie brązowe reklamówki i zasuwana torbę termoizolacyjną. Lauren już weszła do domu. Bode wskazuje na psa, a Zack kiwa głową. Reporter otwiera tylne drzwi; Kat wyskakuje z subaru, mija swojego pana i wbiega do domu; wygląda niczym rozmazana w pędzie kula brązowego futra. Zack podaje chłopakowi torbę termiczną i zaczyna:

– Słuchaj, nie wiem...

Owczarek zaczyna szczekać, ostro i alarmująco, a po chwili rozlega się przeciągły, przenikliwy krzyk.

Zack pędzi przez garaż, gna schodami na górę, Bode depcze mu po piętach. Kiedy wpadają do domu, ich oczom ukazuje się straszny widok.

Dopiero po chwili do Armstronga dociera to, co widzi. Lauren klęczy i krzyczy przeraźliwie. Kat stoi pół metra od niej i szczeka z wyciągniętą szyją.

Nogi w džinsach i butach za kostkę, szeroko rozrzucone na dywanie.

Zack robi trzy duże kroki i rozpoznaje twarz.

Juliet.

Jej skóra jest ciemnofioletowa, spod opuszczonych powiek widać tylko białe półksiężycy oczu, usta pokrywa gęsta piana. Rzuca się do niej, jak przez szybę słyszy za sobą krzyk reportera.

– Wezwij pogotowie! – woła do niego, a Bode szybko wyjmuje telefon.

– Żyje?! – Lauren, głośno zawodząc, łapie go za rękę.

Odsuwa ją i przykłada dwa palce do tętnicy szyjnej Juliet. Czuje powolne, słabe uderzenie, potem jeszcze jedno, ale przerwy między nimi są długie. Zack uświadamia sobie, że Juliet umiera.

Nie ma pojęcia, co się wydarzyło, ale coś mu podpowiada: To jakaś trucizna, przedawkowanie. Dobitnie o tym świadczy piana na ustach.

– Czy Juliet bierze jakieś lekarstwa?

– Nie wiem. Chyba antydepresant. Chryste, czy ona chciała popełnić samobójstwo?

Nie czas na gadki. Nie namyślając się dłużej, Zack zaczyna uciskać klatkę piersiową Juliet, mocno i fachowo, jednocześnie liczy. Czuje, że żebra pękają pod jego dłońmi. Lauren stoi obok i szlocha; Bode, z twarzą białą jak kreda, opada na kolana naprzeciwko Zacka.

– Pogotowie już w drodze. Mogę coś zrobić? Sztuczne oddychanie?

– Nie. Nie dotykaj jej, nie dotykaj ust. Weź stąd Lauren i wpuść ratowników, kiedy tylko przyjadą. Po drodze krzyknij do nich „Narcan”.

Zack nie przestaje robić masażu serca. Czuje pod dłońmi mostek. Ten dotyk, ciało przy ciele, jest dziwnie intymny, bo Zack wie, że to jej jedyna szansa.

Woła przez ramię:

– Lauren, zajrzyj do torebki Juliet. Ma tam jakieś leki? Może brała nielegalne substancje?

– Nie wiem – odpowiada przez łyzy Lauren. – Nigdy nie mówi mi takich rzeczy.

Rozlega się sygnał ambulansu; Zack czuje w sercu małą iskierkę nadziei. Kat ostrożnie odchodzi, po czym biegnie do okna. Patrzy na wóz strażacki i karetkę pogotowia, które właśnie dotarły na podjazd.

Chwilę później otaczają ich ratownicy. Kobieta w uniformie odciąga go od Juliet.

– Zastąpię pana. Co wzięła?

– Nie wiemy. Znaleźliśmy ją w takim stanie.

Pojawiają się igły, rurki, aspirator, tlen. Podają lek stosowany w zatruciach i przypinają pacjentkę pasami do noszy.

– Tracimy ją. Musimy natychmiast jechać. Narcan nie działa. Brak reakcji.

– Otwórz drzwi – rzuca Zack do Bode'a, który stoi po jego prawej stronie, z dłonią na ustach.

Chłopak jest przerażony, pewnie jeszcze nigdy nie widział z bliska umierającego człowieka.

Lauren rozmawia z kimś przez telefon, chyba z Jasperem. Wózek z noszami turkocze na schodach. Zack jest wściekły na Lauren, ledwo się powstrzymuje, żeby nie wybuchnąć. Juliet na pewno nie zrobiła sobie tego sama.

Nie potrafi jednak rozgryźć tej roztrzęsionej kobiety, która idzie przed nim. Jest przerażona, zrozpaczona, zanosi się płaczem, kiedy ratownicy ładują nosze z jej siostrą na tył ambulansu. Zack nie ma wyboru. Gwiżdże na Kat i łapie Bode'a za rękę.

– Zostań z nią – nakazuje mu, a chłopak kiwa głową, z szeroko otwartymi oczami. – Daj mi numer. Zadzwoń, kiedy się czegoś dowiem.

Reporter wyciąga wizytówkę trzęsącą się ręką.

– Jedziesz z nimi?

Ale Zack już pędzi po schodach i wskakuje do karetki. Ratownicza zaczyna go wypychać.

– Proszę pana, ale pies...

– Zamknij drzwi – rzuca tylko jednym warknięciem i kobieta natychmiast wykonuje jego polecenie. W ambulansie nagle zapada pełna konsternacji cisza. – Reanimujcie ją dalej. – Zack wyjmuje komórkę z kieszeni. Parks odbiera po pierwszym sygnale; Zack mówi bez żadnego wstępu: – Mamy cholerny problem.

– Gdzie pan, do diabła, się podziewa? Muszę...

– Posłuchaj. – Zack przechodzi z gliniarzem na „ty”; już się nie bawi w zwroty grzecznościowe. – Jestem w ambulansie z Juliet. Została otruta. Myślę, że przez Lauren.

– Co takiego?

– Jakieś pół godziny temu Juliet zadzwoniła do mnie bardzo zdenerwowana. Powiedziała, że na miejscu zbrodni w Nashville znaleziono DNA jej siostry.

– Co...?

– Nie wiem, skąd miała tę informację ani co się stało. Nagle podczas naszej rozmowy stwierdziła, że widzi samochód Lauren na podjeździe i że z nią porozmawia. Wolałem, żeby nie robiła tego sama, więc niemal od razu tam się zjawiłem. Po drodze próbowałem się z nią skontaktować, nie odbierała. Kiedy dotarłem na miejsce, Lauren nie było w domu. Pojawiła się chwilę później z zakupami. Ona pierwsza znalazła Juliet w jadalni. Tłumaczyła, że siostra chciała popełnić samobójstwo, ale ja w to nie wierzę. Ktoś musi poszukać godziny na rachunku za te zakupy. Podejrzewam, że Lauren próbowała zabić Juliet. Myślę, że odkąd się pojawiłem, zaciera ślady.

– Czy ja cię dobrze rozumiem? Lauren Wright znała twoją żonę?

– Tego nie wiem, ale na pewno ją zamordowała.

SZPITAL W VAIL

Reporterom nie wolno oblegać wejścia na ostry dyżur, za to na parkingu nieopodal głównych drzwi aż się od nich roi. Ambulans zatrzymuje się z piskiem opon, ratownicy odsuwają Zacka na bok i błyskawicznie znikają w holu z Juliet na noszach. Kat idzie przy jego nodze, smycz ciągnie się za nią po ziemi. Jeden z reporterów dostrzega ich – oboje rzucają się w oczy – i zaczyna wołać do Zacka. Zbita grupa dziennikarzy rusza w jego stronę, ale Armstrong bierze smycz i szybko wchodzi do szpitala.

Przy rejestracji zwraca się do młodej pielęgniarki:

– Przyjechałem z Juliet Ryder. Przed chwilą ją przywieźli.

– Ach, to przedawkowanie? Lekarze już się nią zajęli. Pan jest jej mężem?

– Yyy... tak. Tak.

Pielęgniarka patrzy na niego zmrużonymi oczami, po chwili kiwa głową.

– Dobrze, proszę ze mną.

Prowadzi go do małego pomieszczenia, podsuwa mu podkładkę z plikiem formularzy i wyjmuje długopis z kieszeni fartucha.

– Proszę to wypełnić. Dam personelowi znać, że pan tu jest.

– Może pani sprawdzić, co z nią? Ja... ja muszę...

– Zaraz zobaczę. Proszę to wypełnić – powtarza z naciskiem. – I niech pan wyprowadzi tego psa. – Z lekkim skinieniem głowy znika w głębi korytarza.

Zack patrzy za nią bezradnie, po czym przenosi wzrok na papiery leżące na jego kolanach. Nic więcej nie da się zrobić.

Oczywiście nie zna wszystkich danych Ryder, więc znowu dzwoni do Parksa.

– No i jak tam?

– Miałaś rację co do DNA. Zastępca Juliet, doktor Ford, właśnie przekazał tę informację Woody’emu. Wcześniej powiedział jej o wszystkim, a ona błagała, żeby odczekał godzinę, zanim pójdzie z tym do szefa. Wpakował się w niezłe tarapaty. Juliet natomiast została zawieszona obowiązkach służbowych. Słyszałeś o tym?

– Nie. Dlaczego ją zawiesili?

– Nie wiem i nie pytałem.

– Cholera jasna, co jej strzeliło do głowy? A gdzie teraz jest Lauren? Zostawiłem ją pod nadzorem młodego reportera, który, nawiasem mówiąc, pewnie zrobi na tym niezłą karierę.

– Wezwano policję z Vail, żeby ją zatrzymała. Jedziemy z Denver, powinniśmy szybko być na miejscu, mają wysłać helikopter. Co się, do diabła, stało Juliet?

Zack odtwarza sobie w myślach tamte sceny, bardzo się stara zapanować nad zdenerwowaniem.

– Kiedy dotarłem na posesję Wrightów, Lauren nie było w domu. Pojawiła się parę minut później. Znaleźliśmy Juliet nieprzytomną na podłodze. Lauren zupełnie się załamała. Płakała i rozpaczała. Ale mówię ci, z tą kobietą coś jest nie tak. Zupełnie jakby miała serce z lodu i tylko udawała, że tak bardzo to przeżywa.

– Myślisz, że próbowała zamordować własną siostrę?

– Słuchaj, to raczej mało prawdopodobne, że Ryder zadzwoniła do mnie, powiedziała, że w moim domu znaleziono DNA Lauren, a zaraz potem zdecydowała się popełnić samobójstwo. Moja odpowiedź brzmi więc: tak, tak właśnie myślę. Lauren zapewne przypuszczała, że Juliet nikomu jeszcze nie mówiła o wynikach DNA, więc postanowiła zamknąć jej usta.

– To poważne oskarżenie.

– Wright mogła zamordować moją żonę! Kto wie, co jej może odbić?

– Rozumiem. Nie zbliżaj się do niej, jasne? Niech policja się tym zajmie. Zostań tam, gdzie jesteś, i z nikim nie rozmawiaj. Dopóki nie przyjadę, trzymaj gębę na kłódkę, słyszysz?

– Tak.

Zack się rozłącza; zaczyna nerwowo chodzić tam i z powrotem. Do diabła, nie będzie tu beczynnienie siedział. Chce odnaleźć Lauren i wydobyć z niej prawdę, choćby siłą. Chce pobiec i sprawdzić, czy Juliet przeżyje. Chce popędzić na górę i przytulić córkę.

O Jasperze nawet nie myśli, ale kiedy prawnik pojawia się na korytarzu – idzie szybkim krokiem, a jego trapezy skrzypią na linoleum – Zack z trudem się powstrzymuje, żeby nie walnąć go w szczękę.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – pyta Jasper stanowczym tonem. – Gdzie Lauren? Dlaczego nie przyjechała z tobą?

– Nie mam pojęcia, gdzie jest. Czekam na wiadomość, czy Juliet przeżyje.

– Podobno przedawkowała.

– Wiesz to od Lauren? A dodała, że... – urywa. Gęba na kłódkę. – Co jeszcze mówiła? Słyszałem, że rozmawiała z tobą, kiedy reanimowałem Juliet.

– Było aż tak źle?

Zack ciężko opiera się o ścianę.

– Cud, jeżeli przeżyje.

– Chryste. – Jasper przesuwając dłoń po twarzy. – Mindy się załamała. Juliet jest dla niej dosłownie święta. Lauren powiedziała, że znalazła ją na podłodze w jadalni. Że jej siostra mogła wziąć jakieś prochy i przedawkować.

– Naprawdę wierzysz, że Juliet usiłowała popełnić samobójstwo? Stary, daj spokój.

– Jak inaczej to wytłumaczyć? – Mężczyzna marszczy czoło. – Co ty sugerujesz?

Zacka ratuje pielęgniarka, która przywołuje go do siebie ręką. Nie oglądając się za siebie, Armstrong idzie do niej, z Kat przy nodze.

– Prosiłam, żeby zabrał pan stąd to zwierzę.

– To pies towarzyszący. – Wyjmuje odznakę.

– Rozumiem. Ale nie wpuszczą go do sali. Poczekam z nim tutaj. Pańska żona jest w bardzo poważnym stanie. Wykonano gazometrię krwi, żeby sprawdzić, co wzięła; w jej organizmie znaleziono glikol etylenowy. Lekarze teraz się nią zajmują, zamierzają zrobić dializę. Ta substancja uszkadza nerki. Pacjentka została zaintubowana, nie może mówić, ma poparzone płuca. Powiem wprost: stan jest krytyczny.

– Glikol etylenowy? To chyba płyn do chłodziw?

– Zgadza się, jeden ze składników. Mój mąż, weterynarz, często spotyka się z zatruciem glikolem etylenowym. Rzadko się zdarza, żeby ludzie go pili, ale są takie przypadki.

Zackowi nie mieści się to w głowie. Jak można przypadkowo wypić płyn do chłodziw? Dziecko pewnie mogłoby to zrobić, ale dorosły? Chyba tylko gdyby wypił go celowo albo gdyby ktoś dolał mu go do napoju.

– Chcemy jej podać fomepizol. Niestety to bardzo drogie leczenie. Zanim lekarze je zaczną, musi pan podpisać zgodę, na wypadek gdyby pańskie ubezpieczenie nie pokryło kosztów. Czas działa na naszą niekorzyść.

– Rany, zaczynajcie już ją leczyć. Nie ma co czekać. Jeżeli ten lek może uratować jej życie, od razu go podajcie.

– Musi pan podpisać...

– Jej ubezpieczenie pokryje koszty. Juliet ma doskonałe świadczenia zdrowotne. Pracuje w CBI.

– Naprawdę? Hm, rozumiem. Domyśla się pan, dlaczego próbowała zrobić sobie krzywdę? Potrzebna będzie konsultacja psychiatryczna...

– Nie próbowała się skrzywdzić. Ktoś inny ją otrul.

DOM WRIGHTÓW

Lauren stoi przy oknie w jadalni i patrzy, jak ambulans odjeżdża z piskiem opon. Ratownicy zrobili nieprawdopodobny bałagan. Na podłodze walają się plastikowe opakowania, osłonki igieł, rurki. Pracownicy pogotowia powinni dawać oświadczenie do podpisania: tak, uratujemy ci życie, ale pod warunkiem że po nas posprzątasz.

– Uważaj. To wymiociny? Błe.

Niemal zapomniała, że w jadalni został ten chłopak z wytrzeszczonymi ze strachu oczami, który zresztą wydaje jej się znajomy.

– Kim ty właściwie jesteś?

– Bode Greer ze „Ski Magazine”. Zack obiecał mi wywiad. Może usiądziemy i powie mi pani, co tu się właściwie stało? To była pani siostra, tak?

– Pamiętam cię. Kiedyś przeprowadziłeś wywiad z Mindy.

– Zgadza się. To był najlepiej sprzedający się numer magazynu od lat. Teraz, kiedy się okazało, kim Mindy jest naprawdę, miałem nadzieję na ciąg dalszy.

„Kim Mindy jest naprawdę”. Te słowa jak ostrze noża wbijają się w już i tak zranione serce Lauren.

– Chcesz wiedzieć, kim jest naprawdę? To ja ci powiem. Moją córką. A to, co się tu wydarzyło, to prywatna sprawa rodziny. Nie wiem, dlaczego ani w jaki sposób akurat teraz tu trafiłeś i jaki masz układ z Armstrongiem, ale nie jesteś w tym domu mile widziany. Nie zamierzam ci nic opowiadać i nie będzie żadnego wywiadu. Przysięgam, jeżeli napiszesz o tym, co się przed chwilą wydarzyło, pozwę ciebie i twój magazyn. A teraz się wynoś. Trafisz do drzwi.

Na stole leży kapka miodu. Lauren cmoka z niezadowoleniem.

– Juliet, ty bałaganiaro.

Podnosi filiżankę z podłogi.

– Czy to przypadkiem nie jest potencjalne miejsce przestępstwa? Przed przyjazdem gliniarzy chyba lepiej nic nie ruszać?

Lauren patrzy na niego chłodnym wzrokiem.

– Kazałam ci wyjść. Nie żartuję. Wynoś się albo wezwę policję i wyprowadzą cię stąd siłą.

Bode podnosi ręce i obraca czapkę daszkiem do tyłu.

– Dobra, dobra, już idę.

Lauren zamyka za nim drzwi. Ma niedużo czasu. Musi posprzątać i pojechać do Mindy.

Głupia Juliet. Po co wtykała nos w nie swoje sprawy? Lauren sama by się wszystkim zajęła, gdyby jej durna siostrzyczka nie postanowiła rozwiązać największej zagadki kryminalnej stulecia.

Nucąc jedną z ulubionych piosenek Mindy, jakiś kawałek Imagine Dragons, starannie myje filiżanki, wylewa miód do odpływu w zlewie i spłukuje go bardzo gorącą wodą. Nikt inny nie może go spróbować, bo wtedy pewnie ją by oskarżono, a do tego nie wolno dopuścić.

Myje imbryk i nastawia wodę w czajniku. Zostawia rozmrażające się zakupy na blacie, gdzie je położyli Zack i reporter – to, że w całym tym chaosie o nich zapomniała, doda jej wiarygodności.

Zaparza świeżą herbatę, wyjmuje z szafki nową filiżankę i czysty spodeczek; stawia je na stole. Nie pamięta, jakiego koloru szminkę Juliet miała na ustach. Coś bardzo subtelnego – prawdopodobnie balsam Burt's Bees Pomegranate, który jej siostra wszędzie zostawia. Mindy też go używa.

W pokoju Mindy – mojej córki – na nocnym stoliku znajduje tubkę tego balsamu. Wraca do jadalni, nalewa do filiżanki trochę herbaty, ostrożnie ją podnosi i przykładła usta do brzegu, po czym rozsmarowuje odcisk palcem. Idealnie. Upuszcza filiżankę z herbatą mniej więcej tam, gdzie upadła Juliet.

Omiata spojrzeniem podłogę. Tak, doskonale. Wszystko wygląda dokładnie tak samo jak przedtem.

Listy... szybko idzie do swojej sypialni i odsuwa komodę od ściany. Szara koperta z sekretną korespondencją zniknęła.

Mindy, Mindy, Mindy. Niegrzeczna z ciebie dziewczynka. Powinna wpaść w panikę, ale nie może sobie na to pozwolić. Teraz został jej już tylko instynkt samozachowawczy.

Szybko przeszukuje pokój córki – nigdzie ani śladu listów. Łazienka... no właśnie. Tu są. Pod umywalką, wciśnięte między obudowę i ścianę. Wyjmuje kopertę i wraca do jadalni.

Ostatnia rzecz... spod zlewu wyjmuje butelkę przezroczystego, gęstego płynu, który przyniosła z garażu. Jasper raz na jakiś czas zamawia glikol etylenowy w dużej ilości, bo oburza go wysoka cena gotowego płynu do chłodziw, więc próbuje na nim zaoszczędzić. Lauren dokładnie wyciera butelkę, żeby pozbyć się odcisków palców. Pamięta, żeby obtoczyć naczynie w warstewce kurzu zebranego w kącie, z którego ucieka krzyżak przestraszony tym nagłym wtargnięciem.

Lauren patrzy na pająka spokojnie. W innej sytuacji natychmiast by się go pozbyła, przerażona myślą, że któregoś dnia mógłby jej spaść na ramię, ale tym razem ułaskawia stworzenie. Czuje dziwną więź z małym żyjątkiem, kryjącym się bojaźliwie w brudnym kącie. Ten pająk zrobiłby wszystko, żeby przetrwać. Jego życie zależy od otoczenia, od ludzi, którzy się na niego natykają. Każda chwila może być jego ostatnią.

Ona czuje się zupełnie tak samo.

Bode Greer rozmyśla, czekając, aż samochód zjedzie z podjazdu. Kto dopiero po piętnastu minutach pojechałby do szpitala do umierającej siostry? Co ona robiła tyle czasu? Lauren Wright, jaką pamiętał, była zupełnie inną osobą. Bode bardzo miło wspomina tamten wywiad. Spotkali się w domu na szczycie Copper Mountain. Mindy właśnie skończyła ostatnie jazdy treningowe przed wielkimi zawodami. Na tym etapie zawsze

udzielała wywiadów. Miał wielkie szczęście – wszyscy chcieli zamienić choć parę zdań z tą wybitną narciarką.

Podczas wywiadu matka Mindy była czarująca i skromna, nawet zaproponowała, że przyniesie im gorącą czekoladę. Owszem, nieco kontrolowała córkę, ale tak miło, opiekuńczo. W każdym razie to w ogóle dziewczynie nie przeszkadzało. Wyraźnie widział, że są ze sobą mocno związane.

Kobieta, z którą miał do czynienia w tym domu, zachowywała się w sposób tak wyrachowany i okropny, że aż jądra mu się kurczyły. Było z nią coś bardzo, bardzo nie tak. Nie podobało mu się to wszystko.

Bode jest rozdarty. Wracać do domu, spróbować dostać się do środka i zobaczyć, co zrobiła, czy ją śledzić?

Zastanawia się, czego w tej sytuacji Zack Armstrong by od niego oczekiwał. Porządny z niego gość. I chyba uczciwy.

W końcu Bode uruchamia silnik i rusza za Lauren.

**LABORATORIUM CBI
DENVER, KOLORADO**

Przed lotem helikopterem do Vail Parks bez ładu i składu wrzuca swoje rzeczy do torby. Starr stoi przy oknie i rozmawia przez komórkę, wyglądając na lądowisko. Przełożony daje jej ręką znak, żeby się pośpieszyła; stuka palcem w zegarek, a ona kiwa głową, unosząc palec.

W śledztwie już widać światełko w tunelu. Obecność DNA Lauren Wright na miejscu popełnienia przestępstwa da się wytłumaczyć tylko na kilka sposobów. Parks jako wieloletni oficer śledczy w wydziale zabójstw jest obdarzony dużą intuicją i czuje, że ten fakt ma związek z pobytem Vivian Armstrong w psychiatryku.

Dwie godziny wcześniej ze Szpitala Uniwersyteckiego przyszły dokumenty Vivian i od tamtej pory Starr wisi na telefonie, analizując je na odległość. Od lat dziewięćdziesiątych karty pacjentów już były skanowane i archiwizowane, więc odnalezienie konkretnej informacji nie trwa zbyt długo.

Wreszcie policjantka kończy rozmowę i biegnie do drzwi.

– Chodźmy. Po drodze wam opowiem.

Ładują się do helikoptera, zakładają słuchawki i po paru chwilach śmigłowiec unosi się w powietrze. Głos Starr w słuchawkach brzmi metalicznie na tle terkotania śmigieł.

– Od razu przejdę do rzeczy. Wiemy, że Vivian Armstrong, nazwisko panińskie Sato, z powodu depresji została poddana terapii w Szpitalu Uniwersyteckim. Przebywała tam z przerwami w latach dziewięćdziesiąt trzy do dziewięćdziesiąt osiem. I przed leczeniem, i w jego trakcie kilka razy podjęła próbę samobójczą. Kiedy ją wypisano, zamieszkała w domu przejściowym i znalazła pracę w restauracji. Wkrótce potem poznała Zacka Armstronga; resztę historii znamy. Nowe informacje są następujące:

w szpitalu dzieliła pokój z niejaką Liesel Thompson, również nastolatką. Zyskałam dostęp do jej kartoteki, z której wynika, że dziewczyna została oskarżona o zabójstwo w afekcie i skazana na roczny pobyt w szpitalu psychiatrycznym Middle Tennessee.

Parks stuka Woody'ego w kolano.

– To miejscowy szpital psychiatryczny dla przestępców.

– Rozumiem – krzyczy Woody. – Kogo zabiła?

– Niejakiego Bennetta Thompsona, lat trzydzieści sześć, zatrudnionego jako bagażowy na lotnisku międzynarodowym w Nashville.

– Swojego ojca? Zamordowała własnego ojca?

– Ojczyrna. Thompson w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ożenił się z jej matką. I tu robi się ciekawie. Sędzia stwierdziła, że istniały okoliczności łagodzące, dlatego Liesel została oskarżona o zabójstwo w afekcie i osadzona nie w więzieniu, tylko w szpitalu. Wyrok w tej sprawie był nieprawomocny. Liesel miała wtedy szesnaście lat.

– A okoliczności łagodzące to...?

– W listopadzie dziewięćdziesiątego trzeciego roku, trzy miesiące po przyjęciu na oddział, Liesel Thompson urodziła martwe dziecko. W piątym miesiącu ciąży. Badania wykazały, że ojcem dziecka był Bennett Thompson.

– Zaszła z nim w ciążę i dlatego go zabiła? – upewnia się Woody.

– Tak, ale nie taki był powód zabójstwa. Miała młodszą siostrę.

Parks już widzi pełny obraz.

– Którą ojczym również molestował?

Starr kiwa głową.

– W aktach nie jest to wyraźnie stwierdzone, ale możemy to uznać za pewnik.

– Rozumiem, że Lauren Ryder Wright to Liesel Thompson?

– Zgadza się. W dziewięćdziesiątym czwartym, kiedy Liesel, czyli obecna Lauren, wyszła ze szpitala, jej matka sprzedała dom i przeniosła się z córkami do Kolorado. Tutaj zmieniły swoje dane w urzędzie stanu cywilnego. Ryder to nazwisko panięńskie ich matki, która również do niego

wróciła. Juliet miała wtedy zaledwie sześć lat. Zaczęły życie od nowa. Lauren pojechała do drogiej szkoły z internatem, a Juliet poszła do miejscowej szkoły podstawowej. Żyły, jakby nic się nie stało.

– Czy Juliet Ryder wie o tym wszystkim? – włącza się Parks.

Woody kręci głową.

– Nie mam pojęcia. Nawet kiedy rozmawialiśmy o jej rodzinie, nic nie wspomniała na ten temat. Nie jest łatwo uzyskać dostęp do kartoteki członka rodziny, który był młodocianym przestępcą, a zmiana nazwiska... Musielibyśmy sprawdzić, czy w jej aktach jest coś na ten temat, ale niczego takiego nie kojarzę. – Woody rozciera podbródek. – Mój Boże. Biedna Juliet. I biedna Lauren.

– Juliet była jeszcze mała. Nie wiemy, do czego posunął się jej ojczym. Skoro jednak Lauren dzisiaj próbowała ją zamordować, to mogłoby oznaczać, że próbuje ukryć przeszłość. Gdybyśmy ponownie nie otwarli śledztwa w sprawie Vivian Armstrong, nikt by się tym nie zainteresował. Z tego, co nam wiadomo, Lauren i Vivian poza szpitalem w ogóle się nie spotykały.

– Nawiązały kontakt między dziewięćdziesiątym piątym a dwutysięcznym – oznajmia ponurym głosem Parks. – Musimy się dowiedzieć, w jaki sposób.

– Cofnijmy się na chwilę – prosi Starr. – Lauren zabiła swojego ojczyma, a teraz prawdopodobnie próbowała zamordować siostrę. Podejrzewamy, że zadźgała Vivian Armstrong. Myślisz, że...

– Że zabiła też Gormana? – kończy Parks i kiwa głową. – Całkiem możliwe.

– To już cztery ofiary. Jej były mąż też nie żyje, tak samo lekarka, z którą rzekomo współpracowała. Do diabła, z kim my mamy do czynienia?

– Z psychopatyczną morderczynią, której prawie się upiekło – odpowiada Starr.

– Jeszcze za wcześnie na wysuwanie wniosków.

– Jasne, Parks, powiedz to Juliet – rzuca Woody, wyglądając przez okno helikoptera.

SZPITAL W VAIL

Lekarze podają Juliet antidotum na truciznę i wpuszczają do pacjentki Zacka. Pod rurkami, podłączona do respiratora, jest zmieniona niemal nie do poznania. W nogach łóżka stoi młody lekarz z ostrego dyżuru i wprowadza dane do notebooka. Podnosi wzrok, kiedy Zack wchodzi do sali.

– Będzie żyła?

– To pan połamał jej żebra?

– Tak.

– Przeżyje, dzięki panu. Gdyby nie pańska szybka reakcja, zmarłaby przed przyjazdem pogotowia. Przeszedł pan kurs pierwszej pomocy?

– Dawno temu, w wojsku.

– Rozumiem. – Lekarz wyciąga do niego rękę. – Flynn. Dobra robota. Może tylko trochę cierpieć, kiedy odzyska przytomność. Złamane żebra strasznie bolą, zwłaszcza jeśli są odłamane od mostka. Uratował jej pan życie, ale z tego, co słyszałem, może nie być panu wdzięczna. Ratownik powiedział, że próbowała popełnić samobójstwo. Wybrała straszną śmierć.

– Nie zrobiła sobie tego sama. Ktoś jej dolał tej trucizny.

– Jest pan pewien?

– Na sto procent. Zadzwoiła do mnie pół godziny przed tym, jak znalazłem ją nieprzytomną. To długa historia. Ludzie z CBI będą tu lata chwila i przekażą panu szczegóły. Muszę teraz iść do swojej córki, która jest na górze, a boję się zostawić Juliet bez profesjonalnej ochrony.

– Pańska córka też leży w tym szpitalu?

– Tak, nazywa się Mindy Wright.

– Ach, ta narciarka. Zadzwoię do doktora Olivera i zapytam, jak Mindy się czuje.

– Ochrona. Dziewczyna potrzebuje ochrony. Obie jej potrzebują. Proszę.
– Zack wskazuje na zaintubowaną Juliet, utrzymaną przy życiu przez aparaturę. Jest taka słaba i krucha, tak bardzo skrzywdzona. – Tu nie ma mowy o wypadku. To była celowa próba zabójstwa.

– Rozumiem. Załatwię to, ale proszę mi dać parę minut, dobrze? Juliet ma przed sobą kilka trudnych godzin. Połknęła dużo tego glikolu, a do tego garść benzodiazepin. Ich poziom w jej organizmie wykracza dużo ponad normę, nawet gdyby brała te leki codziennie przez parę tygodni.

– Benzodiazepiny? To znaczy lekarstwa przeciwłękowe?

– Zgadza się. Dlatego pytałem, czy nie planowała samobójstwa. To konkretne połączenie substancji byłoby bardzo skuteczne, gdyby nie pana szybka reakcja.

– Samobójstwo? Nie, wykluczone – zapewnia stanowczo Zack.

– Musimy odwrócić skutki działania glikolu etylenowego na nerki, obserwować, czy nie nastąpi niewydolność innych organów, stale sprawdzać jej parametry życiowe, a do tego to przedawkowanie beznodiazepin... Teraz jej stan jest stabilny, ale nadal bardzo poważny. Najbliższe dwadzieścia cztery godziny będą decydujące. Na czas leczenia zabierzemy ją na OIOM. Przypuszczam, że spędzi tam co najmniej parę dni. To najbezpieczniejsze miejsce w tym szpitalu. Poza tym mamy bardzo dobrą ochronę. Czasami trafiają do nas celebryci. Za chwilę sprowadzę ochroniarzy. I dla Juliet, i na onkologię dla Mindy. Dobrze?

– Bardzo dziękuję.

Lekarz wychodzi, ale najpierw prosi pielęgniarkę, żeby go zastąpiła, co podnosi Zacka na duchu. Rozsądny gość: nie zostawi swojej pacjentki sam na sam z obcym człowiekiem, skoro ktoś wcześniej próbował ją zamordować.

Pielęgniarka poprawia coś przy kroplówce, a Zack bierze nieprzytomną kobietę za rękę.

– Juliet – szepcze i niemal płacze z radości, kiedy czuje leciutkie uściśnięcie dłoni.

Kiedy Parks, Starr i Woody docierają na miejsce, widzą szpitalnych ochroniarzy i zbity tłum reporterów. Doktor Flynn dotrzymał słowa: wykonał parę telefonów i teraz wszędzie wokół aż roi się od ochroniarzy. Reporterzy nie wiedzą, co robić – najpierw przyjeżdża policja z Vail, potem zastępcy szeryfa Eagle County, aż w końcu przylatuje helikopter CBI z policjantami po cywilnemu z Nashville. Wszyscy widzą, że dzieje się coś ważnego, chcą podchwycić jakiegoś newsa i natychmiast wejść na żywo na antenę swojej stacji telewizyjnej, chociaż nie mają żadnych konkretnych informacji.

Minus tego zainteresowania jest taki, że od dziesięciu minut Zack tonie w powodzi pytań; zaczyna się denerwować. Chce tylko zobaczyć Mindy i zapewnić ją, że będzie dobrze.

Kiedy na korytarzu pojawia się Parks, Zack macha do niego z ulgą.

- Co tu się wyprawia, do diabła? – rzuca Parks.
- Wszyscy chcą się tego ode mnie dowiedzieć – odpowiada Zack – ale ja muszę iść do córki i z nią porozmawiać.
- A ona w ogóle jest w stanie teraz rozmawiać?
- Nie wiem, bo nikt mnie do niej nie wpuszcza. – Z gniewem spogląda na policjantkę z Vail, która próbowała wypytywać go o Lauren i Juliet.

W tej chwili wkracza Woody, który pokazuje odznakę i recytuje pewnym tonem:

– CBI, agent specjalny Stockton. Biorę na siebie odpowiedzialność za pana Armstronga. Wydaję zgodę na jego spotkanie z córką.

Ten myk działa. Parks bierze smycz, z czego Kat niespecjalnie się cieszy, ale Zack klęka przy niej i tłumaczy jak człowiekowi:

– Zostań, malutka. Muszę pobiec na górę do Mindy.

Suka wydaje z siebie pojedyncze szczeknięcie, jakby mówiła: „No dobra, w porządku, tylko się pośpiesz”, po czym Zack z Woodym pędzą do

windy.

Mindy oczywiście nadal leży w izolatce. W sali znajduje się doktor Oliver w niebieskim uniformie i maseczce na twarzy, a dwaj zastępcy szeryfa pilnują wejścia. Dziewczyna jest wyraźnie przestraszona. Zack widzi, że mała wyciąga szyję, próbując wyjrzeć na korytarz.

Pielęgniarka podaje mu telefon.

– Musi pan porozmawiać przez interkom. Jeszcze nie możemy wpuszczać do niej osób, które dokładnie się nie zdezynfekowały.

– Proszę mnie połączyć.

Staje przy okienku w drzwiach; na jego widok nastolatka nieco unosi się na łóżku. Oliver wkłada pacjentce słuchawkę do ręki i po chwili Zack słyszy jej głos – zmęczony, słaby.

– Gdzie mama? – pyta bez żadnych wstępów.

Zack kręci głową.

– Nie wiem.

– Co się dzieje?

– Juliet wypła jakąś truciznę. Teraz leży na OIOM-ie. Wyjdzie z tego, ale jej stan nadal jest bardzo poważny. Co z Jasperem?

– Nie wiem. Nikt nie odbiera telefonu, wszędzie są policjanci; w wiadomościach mówią, że moja mama zrobiła coś złego.

– Naprawdę tak mówią?

Mindy wskazuje na telewizor. Zack rozpoznaje teren przed szpitalem i półokrągły chodnik przy parkingu. Słońce już zachodzi, jednak otoczenie oświetlają liczne reflektory z wozów transmisyjnych. Telewizor Mindy jest ustawiony na program regionalnego oddziału stacji CBS w Denver. Zack uświadamia sobie, że doszło do wycieku.

– O Boże.

– Co się dzieje, do cholery? – dopytuje zdenerwowana dziewczyna. – Muszę porozmawiać z tatą...

Zack odwraca się i widzi nadciągającego Jaspera.

– O wilku mowa. Zaraz go dam do telefonu, kochanie, jeszcze sekundkę. Jak się czujesz?

– W porządku. Jestem zmęczona.

– To normalne. Wiem, że nie możesz spać, ale staraj się odpoczywać, dobrze? Na pewno niedługo wszystko się wyjaśni.

– Czy ciocia J wyjdzie z tego? Powiedz mi prawdę.

– Parę minut temu uścisnęła mi rękę, więc tak, myślę, że przeżyje. Mam wielką nadzieję.

– Ale czy się obudzi?

Zack dwoma palcami robi na piersi znak X, następnie podnosi je do prawego ucha.

– Obudzi się. Słowo skauta.

Mindy opada na poduszki, a Zack pokazuje Jasperowi, żeby wziął słuchawkę.

– Daję ci tatę.

– Ty też jesteś moim tatą. – Głos Mindy rwie się od emocji; Zack próbuje przełknąć gulę w gardle i posyła jej promienny uśmiech.

Jasper z trudem powstrzymuje wściekłość.

– Skarbie, wszystko będzie dobrze – mówi spiętym głosem. – Znajdziemy twoją mamę i porozmawiamy z nią. Proszę cię, wyłącz telewizor. Nie powinnaś tego oglądać.

– Nie wyłączę. Chcę wszystko wiedzieć. Tato, co się dzieje? Nie jestem dzieckiem.

Jasper proszącym wzrokiem patrzy na Zacka, który tylko wzrusza ramionami.

– Może powiedz jej to, co wiemy. Lepiej, żeby dowiedziała się od nas, nie z telewizji.

Mindy energicznie kiwa głową.

Jasper przełyka ślinę.

– Otrzymaliśmy nowe informacje z Nashville. Wygląda na to, że mama знаła twoją biologiczną matkę. Kochanie, jeszcze nie wiemy, jakie to ma

znaczenie, więc...

Ale Mindy nie jest głupia.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że mama ukradła mnie Zackowi i jego żonie? Tak twierdzą dziennikarze. Że zamordowała Vivian Armstrong i mnie porwała.

– Skarbie, uspokój się...

– Gdzie... jest... mama?! – Teraz Mindy już krzyczy. Próbuje wstać z łóżka. Doktor Oliver ją powstrzymuje, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Jasper zamyka oczy i szepcze do słuchawki:

– Nie wiemy.

Twarcz dziewczyny wykrzywia się, a po chwili zaczynają płynąć po niej łzy. Zack wyjmując słuchawkę z ręki Wrighta.

– Kochanie, staramy się ze wszystkich sił ją odnaleźć. Możesz coś dla nas zrobić? Daj nam od razu znać, jeżeli zadzwoni, dobrze? Nie chcemy jej skrzywdzić, musimy tylko z nią porozmawiać.

Do Mindy dociera cała powaga sytuacji. Jej usta układają się w malutkie O, a ramiona znowu opadają. Kiedy się odzywa, jej głos brzmi dziecięco.

– Okay, obiecuję. Ale najpierw powiem wam coś innego.

– Co takiego?

– Za komodą w swoim pokoju mama schowała listy. Kiedyś je znalazłam i przeczytałam. To była korespondencja między Liesel a jakąś V. Ta V pisała ze Szpitala Uniwersyteckiego. – Mindy głęboko wciąga powietrze. – V to Vivian a Liesel to chyba mama.

Afera zatacza coraz szersze kręgi. Kiedy media dowiadują się, że ktoś próbował otruć doktor Juliet Ryder, która leży teraz na OIOM-ie, cała ta historia zaczyna nabierać konkretnych kształtów. Dziennikarze pilnują jednak, żeby do wszystkiego, co wiąże się z Lauren Wright, dodawać słowo „rzekomo”.

Rzekomo otruła... Rzekomo zamordowała... Rzekomo porwała...

Zack, kompletnie bezradny, krąży korytarzami z Kat przy nodze. Nic tu nie może zrobić, tylko patrzeć i czekać. Modlić się o szybkie i bezkrwawe zakończenie. Unikać wejść i wyjść, przy których reporterzy czają się jak wygłodniałe wilki. Policja przeprowadza rewizję w domu Wrightów, szuka listów, o których wspomniała Mindy.

W mediach utrzymuje się klimat podekscytowania, jakie towarzyszy każdej sprawie kryminalnej, która wkrótce ma się rozwiązać. Na Twitterze i Facebooku wszyscy trąbią o jednym. Zewsząd płyną wskazówki. Wiele ludzi twierdzi, że widziało Lauren. W programach informacyjnych toczą się na ten temat dyskusje. Nikt nie ma pojęcia, o czym mówi, ale też nikt się tym nie zraża.

O dziesiątej wieczorem nazwisko Wright znane jest już w każdym domu.

To zainteresowanie nie przynosi jednak żadnych rezultatów.

Nikt tak naprawdę nie widział Lauren. Po prostu zniknęła.

Na teren całego stanu zostaje wysłany list gończy. Wszystkie lotniska są zawiadomione. CBI wciągnęło Lauren Wright na listę najbardziej poszukiwanych osób, dzięki czemu policja w Kolorado poświęca tej sprawie szczególną uwagę.

Armstrong nie wyrabia nerwowo za każdym razem, kiedy co kilka minut na ekranie telewizora pojawia się twarz Vivian. I jego własna, przy czym zdjęcie pochodzi jeszcze z wojska. Zack ma na sobie mundur i beret

opuszczony na prawą brew. Szerokie bary, wyraźnie zarysowana, kwadratowa żuchwa, surowa mina.

Ledwo rozpoznaje samego siebie.

Ledwo rozpoznaje również Vivian. Nie pamięta tej fotografii. Viv, w zaawansowanej ciąży, stoi z dłońmi spleconymi na brzuchu; na ślicznej twarzy widnieje uśmiech. Tę fotkę na pewno pstryknął jej ktoś bliski. Ale kto? I jak trafiła do mediów?

Wybuchła w nim poczucie winy, które ukrywał tak głęboko.

To jego wina. To zawsze była jego wina.

Mindy ze zmęczenia w końcu zapada w sen, co ułatwia jej też doktor Oliver. Najnowsze wyniki badań są dobre, trzeba jednak chronić pacjentkę przed stresem, dlatego podał jej kubek z wodą, w której rozpuścił łagodny lek uspokajający. Jutro dziewczyna pewnie będzie wściekła, ale na razie ze wszystkich nieco zeszło napięcie. Jej organizm musi dojść do zdrowia. Bez niej całe to zamieszanie straci jakikolwiek sens.

Juliet trzyma się nie najgorzej. Co prawda, nadal leży nieprzytomna – tym razem to lekarze wprowadzili ją w śpiączkę farmakologiczną – lecz wyniki gazometrii i morfologii wracają do normy. Fomepizol – antidotum w zatruciach alkoholem – działa. Juliet do rana będzie dializowana i pozostanie podłączona do respiratora, dopóki lekarze nie sprawdzą, do jakiego stopnia płuca zostały uszkodzone. Jutro planują się zastanowić, czy można już odłączyć ją od respiratora, poczekać, aż się obudzi, i spokojnie powiedzieć, co się dzieje. Cierpliwość, jaką muszą zachować jeszcze przez dwanaście godzin, wydaje się niemal nie do zniesienia.

Jasper siedzi zgarbiony na krześle przed pokojem córki. Wzrok ma wbity w podłogę, dłonie trzyma między kolanami. Od paru godzin nie chce z nikim rozmawiać ani nie przyjmuje żadnej pomocy. Wygląda na całkowicie pokonanego.

Policjanci często zdają raport z tego, na co natrafili w domu Wrightów. W garażu znaleziono butelki glikolu etylenowego. Zainteresowała ich zwłaszcza jedna, bo są na niej odciski palców właścicielki posesji. W filizance w zmywarce wyseparowano ślady jakiejś substancji chemicznej. W szafce w łazience stoi słoiczek z przeciwlękowym ativanem, który zaledwie tydzień temu doktor Oliver przepisał Lauren. Z trzydziestu

tabletek zostały tylko trzy. Nigdzie ani śladu listów. Lauren pewnie wzięła je ze sobą w obawie, że zdradzą jej przeszłość.

Jasper wyraźnie nie może uwierzyć w to, co się dzieje, ale historia wyłaniająca się z tych dowodów nie pozostawia wątpliwości. Przeciwno Lauren jako podejrzanej o próbę zamordowania własnej siostry przemawia wszystko.

Motyw. Narzędzie zbrodni. Okoliczności.

A co najgorsze, działała z premedytacją.

Parks i Starr szczegółowo opisali Zackowi oba miejsca zbrodni – w Nashville i w posiadłości Wrightów na górze. Wbrew dowodom i hipotezom nic tu nie pasuje. Obecność DNA Lauren w domu Armstrongów może oznaczać tylko jedno i wszyscy o tym wiedzą, ale jest to zbyt niepojęte. Albo raczej przerażające, dlatego media tak mocno się tego uczepliły.

Tylko dwie osoby znają odpowiedzi. Jedna, która mogłaby rzucić światło na to, gdzie Lauren była i co robiła przez ostatnie siedemnaście lat, leży teraz zaintubowana w szpitalnym łóżku i walczy o życie. Druga zniknęła.

Zack w pewnym sensie podziwia Lauren. To, że zdołała porwać jego córkę i przez wiele lat ukrywać to nawet przed najbliższymi, dosłownie zakrawa na cud. A kiedy została zdemaskowana, zamiast się wyprzeć albo udawać głupią, z zimną krwią usuwała przeszkody, które pojawiały się na drodze.

Najpierw Gorman. Dochodzenie dotyczące jego śmierci w wyniku wypadku ponownie otworzono jako śledztwo w sprawie potencjalnego morderstwa.

Teraz Juliet. Usiłowanie zabójstwa to także poważne oskarżenie.

Nikt nie potrafi tylko zrozumieć, dlaczego Lauren nie próbowała zabić również Zacka. To prawdziwa zagadka. Wszyscy są zafascynowani tym, że zwykła domatorka z przedmieścia potrafi tak dobrze się ukrywać. Co dziesięć minut któryś z policjantów rzuca: „Gdzie ona może być?”, a dziennikarze szukają odpowiedzi na jeszcze jedno pytanie: „Czy jeszcze żyje?”. Ludzie, których przerażające sekrety wychodzą na jaw, często

popęniają samobójstwo, a wielu z nich pod wpływem gniewu zabija także osoby ze swojego bliskiego otoczenia. W programach informacyjnych raz za razem ostrzegają, żeby nie podchodzić do Lauren, jeżeli ktoś się na nią natknie. Nie wiadomo, czy ma broń – na pewno jednak jest niebezpieczna.

Wygląda na to, że szukają jej w całym stanie – gdzie tam! – w całym kraju. Ona jednak rozviała się jak dym.

Puff.

Spokojna, promienna kobieta, która nagle stała się słynną morderczynią, wciąż przebywa na wolności.

Już po północy, mimo to telefon Zacka nie przestaje dzwonić. Chciałby go wyłączyć, ale Parks mu nie pozwala. Mają nadzieję, że Lauren skontaktuje się z nim, z Jasperem albo Mindy, do tej pory jednak dobijają się do niego tylko dziennikarze proszący o komentarz.

Rada Parksa, żeby wziąć się w garść i odbierać każdy telefon, ostatecznie okazuje się przydatna, bo właśnie kiedy Zack ma odrzucić kolejne połączenie, na ekranie wyświetla się znajome nazwisko.

Greer.

Cholera, w całym tym zamieszaniu zupełnie o nim zapomniał. Policja na pewno będzie chciała przesłuchać chłopaka. Zack odbiera telefon.

– Bode, bardzo się cieszę, że dzwonisz – odzywa się szczerze zadowolony.

– Stary, słuchaj. W telewizji mówią, że policja szuka pani Wright.

– To prawda. Zniknęła i...

– Czekaj, jest w Denver. W tej chwili stoję kilkadziesiąt metrów od jej samochodu.

Następuje błyskawiczna mobilizacja. Nawet Zack, emerytowany wojskowy, jest pod wrażeniem. Woody świetnie zarządza swoimi ludźmi. W ciągu pięciu minut każdy wie, co robić. Policja w Denver pędzi w miejsce, gdzie znajduje się reporter, czyli zaledwie w połowie przecznicy od posesji Juliet. Wygląda na to, że Lauren przyjechała do domu siostry i tam się ukryła.

Kiepski plan, ale przecież ta kobieta nie jest geniuszem zbrodni, tylko do tej pory miała farta. Tak naprawdę to zwykła matka, która próbuje ochronić swoje dziecko przed niebezpieczeństwem.

Jasper pragnąłby, żeby wszyscy wierzyli w tę wersję. Po telefonie od Bode'a co dziesięć minut staje w jej obronie i jak karabin maszynowy wyrzuca z siebie serię usprawiedliwień, nikt jednak nie chce go słuchać.

„Lauren nie byłaby zdolna do czegoś takiego...”

„Na miłość boską, ona nawet muchy by nie zabiła. Nie jest morderczynią...”

„Jak w ogóle możecie myśleć, że to wina Lauren?”

„Przestraszyliście ją, dlatego uciekła...”

W końcu Zack mówi mu, żeby przestał przeszkadzać i poszedł na spacer. Nie robi tego złośliwie, po prostu z powodu tego nagłego przypływu nerwowej energii u Wrighta nie potrafi się skupić. Nie może też oprzeć się myśli, że Jasper jest zamieszany w tę aferę, że w pewnym stopniu ponosi winę za to, co się stało. Rozsądek mu podpowiada, że to niesprawiedliwe oskarżenie, lecz zrozpaczone dziecko, którym w głębi ducha stał się po śmierci Vivian, żąda odpowiedzi.

Jak to możliwe, że Jasper o niczym nie wiedział?

Jak to możliwe, że przez tyle lat dawał się okłamywać?

Jak może bronić kobiety, która wyraźnie jest śmiertelnie niebezpieczna?

Wie, że te pytania donikąd go nie doprowadzą. Tak naprawdę najchętniej przyparłby faceta do ściany i osobiście przesłuchał, pomagając sobie pięściami; niestety tą sprawą teraz zajmuje się CBI – Parks, Starr i Woody, nie on.

Przynosi więc kawę policjantom i nadstawia ucha, gdy zdają krótkie raporty. Patrzy przez szybę w drzwiach na śpiącą Mindy. Myśli o Vivian tak, jak nie myślał od przeszło dekady. Zastanawia się, co powiedziałyby na to wszystko. Przypomina sobie jej oczy, słodki oddech na jego szyi i łagodną wypukłość brzucha, kiedy nosiła pod sercem dziecko. Przez tyle lat we wspomnieniach widział tylko miejsce zbrodni, rany na jej szyi i brzuchu, przymknięte oczy powleczone mleczną błonką, czarną plamę zaschniętej krwi pod spuchniętym ciałem, pokrytym larwami.

A teraz zaczyna dopuszczać do siebie również dobre obrazy. To zdjęcie, które tak często pojawia się na ekranach telewizorów. Jej uśmiech w chwili, kiedy się poznali.

Przez jakiś czas nie napływają żadne nowe informacje, więc denerwuje się coraz bardziej.

Piętnaście minut spędza z Juliet na dole. Jeżeli się obudzi, a jej mózg nie okaże się trwale uszkodzony i będzie rozumiała, co się do niej mówi, zaprosi ją na kolację. Jest już zmęczony tym, że właściwie nie ma życia. Przygnębia go ciągła świadomość, że wszystko stracił. Ale co więcej mógł zrobić? Opłakiwał Vivian tak długo, że już nie umiał funkcjonować inaczej. Dopiero Juliet i Mindy rozłupały ten twardy pancerz, którym się otoczył. A teraz istnieje prawdopodobieństwo, że straci je obie.

Słowa „jeżeli przeżyje” powtarzają się w jego umyśle jak mantra, kiedy idzie schodami na trzecie piętro, potem wraca na drugie. Krąży między salami, gdzie leżą Juliet i Mindy, przy każdej z nich jego modlitwy nieco się różnią, lecz są tak samo szczerze.

Nie do zniesienia jest myśl, że tak dużo udało mu się zdziałać, a teraz znowu utknął w miejscu. Nie poradziłby sobie, gdyby stracił córkę po raz drugi.

Teraz jego kolej, żeby stworzyć rodzinę. Jego kolej, żeby mieć kogoś, kogo będzie kochał.

Przez całą noc zadręcza się tym samym. Ciągłe próbuje odgadnąć, co się dzieje w domu Juliet. Godzinami zastanawia się, jakim cudem dopuścił do tego wszystkiego, obwinia się o to, że nie zaufał swojej intuicji. Już w chwili, kiedy poznał Lauren, czuł, że coś z nią jest nie tak.

O świcie wpada przez drzwi prowadzące na oddział onkologiczny. Między ludźmi przebiega fala lekkiego napięcia – pojawiły się jakieś nowe informacje.

Kiedy Parks go dostrzega, natychmiast rusza w jego stronę. Wyraźnie chce mu coś powiedzieć. Zack spogląda na ekran telewizora, przeczuwając, że coś się zmieniło. I słusznie.

Oślepiające błyski z helikoptera unoszącego się nad szpitalem wyglądają jak światła stroboskopowe. Czuje się tak, jakby znalazł się na planie filmowym. Parks idzie do niego sztywnym krokiem. Zack domyśla się, że dom Juliet z Lauren w środku został otoczony, negocjacje się nie powiodły, więc podjęto decyzję o wtargnięciu do środka. Rzadko się natomiast zdarza,

że akcja dobrze się kończy, kiedy SWAT zaczyna wrzucać do budynku granaty dymne.

W niszy przy dyżurce pielęgniarek stoi telewizor z pogłósnionym dźwiękiem. Zack przystaje, żeby popatrzeć. Kat przywiera do jego nogi; cała drży, jakby ona też czuła się zaatakowana.

Ludzie z jednostki specjalnej biegną do domu. W rogu ekranu pojawia się mały pomarańczowy blask, wygląda niemal jak płomień w palącym się koszu na śmieci. Ogień się rozprzestrzenia, po chwili wdziera się przez okna i zajmuje firanki.

Dom Juliet płonie.

Kiedy Parksa dzieli od niego już tylko kilka kroków, włącza się przeciągły, niski dźwięk alarmu. Zack przez sekundę myśli, że ten odgłos dochodzi z telewizora, ale czujniki dymu na korytarzu zaczynają migać – ostre, białe, pulsujące światło, dziwnie podobne do tego, które zauważył chwilę wcześniej. Parks zatrzymuje się i z otwartymi ustami patrzy ponad jego ramieniem. Zack próbuje dopasować to, co widzi, do tego, co słyszy.

Pożar na ekranie.

Pożar w szpitalu?

Pojawiają się lekarze i pielęgniarki, przepychają się między pacjentami, a ci nagle puszczają się biegiem, jednocześnie próbując zadzwonić. Niektórzy wpadają w panikę. Inni zachowują spokój.

Z głośników płynie automatyczny głos nakazujący natychmiastową ewakuację budynku.

Peruka jest czarna, w kształcie ostro ściętego boba. Lauren założyła ją na Halloween w tym roku, kiedy z Jasperem poszli na bal przebierańców jako Mia Wallace i Vince Vega z Pulp Fiction. Potem pożyczyła ją siostrze. Teraz znalazła ją w garażu Juliet, w wielkim pudle pełnym rzeczy z domu matki. Lauren ich nie chciała, Juliet nie potrafiła się z nimi rozstać. Pudło matki. Samochód matki. Juliet zawsze pilnuje, żeby wszystko chodziło jak w zegarku. Żartuje, że w niedziele wyprowadza to auto z garażu jak starszą panią na spacer.

Ten porządek ułatwia szukanie rzeczy po ciemku.

W peruce i w lekkim, jasnym makijażu Lauren wchodzi do szpitala. Nikt nie zwraca na nią uwagi. Po prostu kolejna osoba dźwigająca swój krzyż przyszła w odwiedziny do chorej przyjaciółki. Albo to pielęgniarka, śpiesząca się z randki na swoją zmianę, szybkim krokiem idzie do szafki po fartuch.

Lauren mija sklepik z upominkami na parterze, skręca na schody i biegnie na drugie piętro, gdzie znajduje się oddział onkologiczny. Przystaje na chwilę, żeby złapać oddech. Ma tylko jedną szansę – ostatnią, żeby się pożegnać.

Jej stare życie się skończyło. Nie ma do niego powrotu.

Jest wściekła na Juliet. Dlaczego nie umarła w domu? Tak byłoby o wiele prościej. Ludzie poznaliby tylko jedną wersję, która z całą pewnością wzbudziłaby współczucie.

Teraz najważniejsze: dowiedzieć się, co z Juliet. Siostra nie zdaje sobie sprawy z tego, jak dużo wie. Jedyne opcje to ją uciszyć. Tak, Lauren jest winna. Jeżeli coś pójdzie źle, może nawet zostać aresztowana i trafić do więzienia.

Istnieją jednak sekrety, o których nie wie nikt oprócz Juliet. I one nie mogą wyjść na jaw.

Zawsze należy zapewnić sobie okoliczności łagodzące, jak mawiał jej były mąż.

Do czasu zdiagnozowania białaczki u Mindy Lauren bardzo długo nie myślała o Kyle'u Noonanie. Lepiej jej było bez tego pieprzonego drania.

Jego szydercza mina... Och, ile to razy wyobrażała go sobie martwego? Ciało rozdęte od wody, skóra czerwona od tlenku węgla, który zatruł jego płuca. Zasłużył sobie na śmierć, o wiele bardziej niż inni razem wzięci.

Te myśli wywołują w jej głowie obraz dobrej, pełnej miłości twarzy Jaspera, gdy patrzył na nią z uśmiechem, trzymając maleńką Mindy na rękach. Lauren nie pozwala sobie na łązy, nie jest słaba. Jasper cholernie ucierpi na tej sytuacji, to pewne. Powinna stworzyć okoliczności łagodzące również dla niego. Musi go chronić.

Teraz trzeba jednak chronić Mindy. Tylko ona się liczy. Prawda i kłamstwa, żal i sekrety, cienie Bennetta Thompsona, Kyle'a Noonana i Vivian Armstrong – wszystko, co się wydarzyło przez siedemnaście lat, teraz nie ma żadnego znaczenia. Warto było aż tyle poświęcić dla dobra córki.

Lauren jest gotowa na najgorszy scenariusz, mimo to liczy na najlepszy. Tą zasadą kierowała się całe życie i dzięki niej zaszła tak daleko.

Siedemnaście minut niczego nie zmieni. Naprawdę musi dopiąć sprawy na ostatni guzik.

Wstrzymując oddech, po raz kolejny analizuje swój scenariusz. Wyzna prawdę siostrze... Tak. Tak będzie najlepiej. To jedyne wyjście.

Zdejmuje dłoń z klamki i cicho wycofuje się na schody.

Pod drzwiami sali Juliet stoją policjanci.

To oznacza, że Lauren znowu musi odwrócić ich uwagę.

Ma broń, ale jeżeli strzeli, ochrona natychmiast ją namierzy, a na to jeszcze za wcześnie. Pistolet jest mały, zwykły rewolwer kaliber 38; Juliet trzyma go w swoim pikapie pod fotelem kierowcy, na wypadek gdyby została napadnięta albo zaatakowana przez jakieś groźne zwierzę. Jaka ona

głupia. Naprawdę uwierzyła, że Lauren szukała w jej aucie swojej rękawiczki. Potem na pewno nie sprawdziła, czy broń leży na swoim miejscu. Naiwna, niemądra dziewczynka.

Głęboko wciąga powietrze i wraca na górę. Tuż przy drzwiach znajduje się alarm przeciwpożarowy. Ciągnie za czerwoną rączkę. Słyszy krzyki, odgłosy zamieszania. Głos nakazujący natychmiastową ewakuację osobom przebywającym na tym piętrze.

Dwaj policjanci idą do dyżurki pielęgniarek, wtedy ona, tuż za ich plecami, wślizguje się do siostry. W środku przywiera do ściany i szybko omiata wzrokiem salę.

Juliet ma rurkę w ustach. Lauren rejestruje to dopiero po chwili – respirator. Przesuwa się w głąb pomieszczenia i wyciąga wtyczkę z gniazdka. Ciałem pacjentki wstrząsa gwałtowny dreszcz, zaraz potem jej mięśnie się rozluźniają. Lauren wychodzi, nie oglądając się za siebie.

Z Juliet już załatwione.

Wchodzi w tłum zmierzający do schodów, wtapia się w grupę ewakuowanych ludzi. Z sali Juliet nie dobiega żaden sygnał oznaczający, że stało się coś złego, natomiast rozlega się on u pielęgniarek. Niech to szlag, zupełnie zapomniała o dyżurce. Wycie alarmu przeciwpożarowego prawie zagłusza pikanie, które jednak jest słyszalne. Pielęgniarka i policjanci szybko wracają do Juliet. Jeden z gliniarzy odłącza się i rusza w stronę klatki schodowej. Lauren zerka przez ramię – widzi jego wykrzywioną twarz, palec, którym wskazuje przed siebie, usta otwarte w krzyku tonącym we wrzawie. Szybko wyskakuje na schody, policjant rzuca się pędem za nią.

Już wszczęli pościg. Musi działać szybko.

Zbiega po dwa stopnie naraz, pod prąd grupy idącej na drugie piętro. Ignoruje wołanie, wpada przez drzwi na korytarz i kieruje się do Mindy.

Doprowadzenie do ewakuacji powiodło się, ale pod drzwiami izolatki stoją Jasper i Zack, towarzyszą im dwaj policjanci z Nashville. Cholera. Musi ich stamtąd odciągnąć. Musi dostać się do środka, porozmawiać z córką.

Powoli przesuwa się pod ścianą. Wie, że to jej ostatnia szansa. Mindy nadal przebywa w sterylnym pomieszczeniu.

Alarm przeciwpożarowy urywa się tak nagle, jak się zaczął. Zdezorientowani ludzie zatrzymują się w pół kroku. Grupka pod salą Mindy oddala się do okna. Zack pokazuje coś na zewnątrz, Lauren korzysta z chwili ich nieuwagi i dopada do drzwi izolatki.

Półtora metra, metr, pół metra – nadal wyglądają przez okno, a ona wyciąga rękę do klamki. Wślizguje się do środka, ale w tej samej chwili potyka się i przewraca, uderzając ramieniem w drzwi, które zamykają się z głośnym trzaskiem jak pod wpływem przeciągu. Podnosi się z podłogi i przesuwa zasuwkę w chwili, gdy Zack, Jasper i policjanci odwracają się i zaczynają krzyczeć na jej widok. Podnoszą ręce do pasa, żeby wyjąć broń, szarpią za klamkę, ale Lauren już idzie do łóżka córki, po drodze zdzierając z głowy perukę.

Mindy jest półprzytomna, ma zaczerwienione oczy. Lauren czuje silny przypływ miłości – dobrze zna ten widok. Jej córka właśnie się obudziła, pewnie z powodu alarmu.

– Mama? To ty?

– Tak, kochanie, to ja. Córeczko, bardzo cię przepraszam. Wiem, że się boisz. Muszę ci wszystko wytłumaczyć...

Blisko jej nogi rozlega się niskie warczenie. Lauren z przerażeniem spuszcza wzrok i widzi psa Zacka.

Kat jest szybka jak błyskawica. Staje między Mindy a Lauren ze zjeżoną sierścią i szczyrzy kły. Wygląda teraz bardziej jak wilk niż pies. Lauren boi się odwrócić od niej wzrok. Jak to było? Utrzymywać kontakt wzrokowy, ale starać się nie dominować? Nie, nie, psom nie wolno patrzeć w oczy – pewnie tak samo, kiedy do ataku szykuje się wilk – bo odebrałyby to jako agresję. Powinna sprawiać wrażenie większej niż w rzeczywistości. Machać rękami i krzyżeć. Rzucać w zwierzę wszystkim, co popadnie. W każdym razie tak piszą w książkach. Lauren ma dom w lesie, więc wie, jak postępować w razie nieoczekiwanego spotkania z różnymi dzikimi stworzeniami.

Ale nie ma czym się bronić. Z izolatki wyniesiono wszelkie niepotrzebne koce i poduszki. Stojak z kroplówką znajduje się po drugiej stronie łóżka.

– Mindy, zawołaj tego psa. Ciebie na pewno posłucha.

– Mamo, co ty zrobiłaś? Powiedz, co zrobiłaś cioci Juliet? Czy to prawda? Zabiłaś Vivian Armstrong i porwałaś mnie? Znalazłam twoje listy. Wiem, że byliście razem w szpitalu. Wiem, że próbowałaś popełnić samobójstwo. Te blizny na ręce nie zostały ci po wypadku samochodowym. Dlaczego mnie okłamywałaś?

Błagalna nuta w głosie córki sprawia, że matce pęka serce. Nie tak miało być. Mindy oskarża ją o coś, czego nie da się wyjaśnić bez długiej rozmowy. To denerwuje Lauren. W ciągu kilku ostatnich dni zrobiła się tak rozdrażniona, agresywna jak dzikie zwierzę.

Wyczuwając zmianę w jej zachowaniu, suka znowu zaczyna warczeć, cicho, ale groźnie, przyczają się, uginając przednie łapy. Rozlega się odgłos walenia w drzwi i szybę, ale Lauren ignoruje wszystko oprócz psa. I oczywiście Mindy. Przeczytała listy, wie o wszystkim.

Kat występuje odrobinę do przodu, jej wargi drżą od warczenia. Lauren tupie nogą i podnosi rękę.

– Niedobry pies! Niedobry!

Teraz Kat warczy głośniej, znów obnażając zęby.

– Mamo, uspokój się, bo się na ciebie rzuci! Kat, przestań. Przestań!

Zwierzę posłusznie milknie, choć nadal obnaża kły. Lauren przez chwilę czuje dumę – nawet obcy pies wie, jakie to ważne, żeby bronić Mindy – ale musi coś wymyślić, żeby go uspokoić. Robi dwa kroki w lewo – Kat odwraca za nią głowę, ale nie rusza się z miejsca. Ostre zęby lśnią w świetle jarzeniówek.

– Mindy, nie bój się. Mamusia jest z tobą. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

– Mamo, co ty wyprawiasz? Otwórz drzwi. Wpuść ich.

– Córeczko, muszę z tobą porozmawiać.

– No to rozmawiajmy! Dlaczego wszyscy mówią, że jesteś morderczynią?

– Nie jestem, kochanie. To całe szaleństwo da się wytłumaczyć, przysięgam. Sama wyznam ci prawdę. Chcę, żebyś usłyszała ją ode mnie.

Rozlega się dzwonek interkomu. Lauren ogląda się za siebie; widzi rząd wściekłych twarzy za szybą i doktora Olivera przy drzwiach. Lekarz swoim kluczem otwiera drzwi, potem do izolatki błyskawicznie wbiegają uzbrojeni policjanci.

Suka nie boi się krzyków. Tak została wyszkolona. Nie lubi jednak pistoletów, więc głośno warcząc, robi parę kroków w tył.

– Kat! Kat, do mnie! – woła Mindy, ale pies zbliża się do Lauren. Kobieta utknęła między trzema policjantami a ścianą.

Nie ma odwrotu. Ze słyszalnym westchnieniem wyciąga broń zza pasa. Pistolet jest mały, idealnie mieści się w jej dłoni. Znowu krzyk i rumor w sali, napięcie rośnie.

– Nie rób tego!

– Odłóż pistolet!

– Połóż broń na podłodze i podnieś ręce!

Lauren ani drgnie. Mówi do Mindy, nie przerywając kontaktu wzrokowego z policjantami.

– Nie zrobiłam tego, o co mnie oskarżają, przysięgam. To nie tak. Zawsze pragnęłam jedynie cię chronić. Tylko ty się dla mnie liczysz. Córeńko, musisz usłyszeć o wszystkim, co dla ciebie zrobiłam.

– Mamo, nie ruszaj się. Odłóż broń.

– Nie mogę. Ale wiedz, że jesteś dla mnie całym światem. Kocham cię. Robiłam wszystko z miłości do ciebie.

– Mamo, proszę. – Mindy płacze, więc Lauren ryzykuje i na chwilę odwraca wzrok do swojego jedyne dziecko.

– Skarbie, nie płacz. Będzie dobrze. Vivian tego chciała. Przysięgam. Dla nas jesteś najważniejsza.

– Pani Wright, ani kroku dalej.

Lauren ostrożnie zbliża się do łóżka.

– Ostatnie ostrzeżenie. Stop!

– Wyjdźcie, i to już – zwraca się Lauren do policjantów. – Inaczej zrobię jej krzywdę.

Wtedy rozlega się głęboki, spokojny głos, zdradzający pewność siebie.

– Ja z nią porozmawiam. – Do drzwi podchodzi Zack Armstrong. – Schowajcie broń. Pozwólcie mi z tą kobietą porozmawiać. Zaufajcie mi – dodaje tonem, którym w końcu przekonuje gliniarzy.

Opuszczają broń; Lauren bierze głęboki oddech i nieco rozluźnia ramiona, ale rękę z pistoletem wciąż trzyma uniesioną.

Zack przekracza próg izolatki. Mindy woła do niego, ale on nie zwraca na nią uwagi, tylko robi kolejny krok do przodu. Wyciąga dłoń, jakby mógł nią zatrzymać pocisk, gdyby Lauren strzeliła.

– Kochała cię – zaczyna Lauren. – Aż do końca. Do ostatniej chwili myślała o tobie i Mindy.

– Wiem, że nas kochała. I wiem, że ty też kochasz Mindy. Lauren, odłóż pistolet, zanim komuś stanie się krzywda.

– Chciałam dla swojej córeczki tego, co najlepsze. Nawet Vivian przyznała, że tak powinno być.

Zack ostrożnie posuwa się w głąb pomieszczenia, dając policjantom znak, żeby się wycofali.

– Lauren, przecież nie chcesz, żeby wszystko się tak skończyło, prawda? Usiądźmy i porozmawiamy. Tylko najpierw odłóż broń. Wtedy zamknę drzwi i zostaniemy we trójkę.

Lauren zdaje sobie sprawę, że wpadła w pułapkę, mimo to wciąż jeszcze próbuje znaleźć wyjście, jakiś sposób na to, żeby naprawić sytuację.

– Nie waż się mówić mi, czego chcę. Zostaw mnie samą z córką. Najpierw pogadam z nią, potem z tobą.

– Nic z tego.

– Zostaw... nas... same! – Lauren wypluwa z siebie te słowa, a nienawiść w jej głosie jest tak silna, że Zack odruchowo robi krok do tyłu.

– Przez ciebie Mindy się boi – mówi cicho.

Nastolatka rzeczywiście jest przerażona, Lauren czuje to, nawet na nią nie patrząc. Ale rozmowy nie da się uniknąć. Trzeba wszystko wytłumaczyć. W umyśle zrozpaczonej matki nieustannie powtarzają się słowa: „Muszę pomóc jej zrozumieć, żeby nadal mnie kochała”.

– Nie zmuszaj mnie do tego. Wyjdz. Porozmawiam z Mindy w cztery oczy.

– Mamo, już dobrze. Po prostu... opowiedz mi całą historię. Tylko nie rób nic złego.

Lauren odwraca się do córki – swojego największego szczęścia, jedyne skarbu. Rękę z bronią wciąż ma uniesioną, a kiedy wykonuje obrót, lufa pistoletu zostaje wycelowana w głowę dziewczyny. Mindy gwałtownie wciąga powietrze i próbuje się cofnąć, ale za sobą ma ścianę. Podczas tego gwałtownego ruchu spada z łóżka, wtedy z korytarza do izolatki wdzierają się grupa ludzi w czarnych uniformach.

Zack podbiega, żeby złapać Mindy, Kat rzuca się do przodu i wbija zęby w rękę, w której Lauren trzyma pistolet. Ostroymi kłami rozrywa delikatne ciało. Pod jej ciężarem obie się przewracają.

Lauren wrzeszczy z wściekłością i próbuje się uwolnić, lecz silne szczęki są mocno zaciśnięte. Ból pomaga kobiecie skupić się na tym, jak bardzo ta sytuacja jest niesprawiedliwa. Mindy ogromnymi oczami patrzy na potwora, w którego jej matka przemieniła się już prawie całkowicie.

– Mindy – wyrzuca z siebie Lauren zduszonym głosem. – Nie miałam innego wyjścia. Musisz mnie zrozumieć. Kocham cię, córeczko.

Zack stoi nad nimi i wydaje komendy psu. Kopnięciem przesuwa pistolet po podłodze, a suka w końcu puszcza swoją ofiarę i się cofa. Lauren jest ranna, oszołomiona, leży nieruchomo, obficie krwawiąc. Policjanci podbiegają, żeby założyć jej kajdanki.

Jest zgubiona. Wszystko straciła.

Zack staje między nią a Mindy, za co Lauren jest mu wdzięczna. Nie chce, żeby córka widziała ją zakrwawioną. Dziecko nie może zobaczyć tej jatki. Trzeba je chronić.

– Mamo? Mamo!

– Mindy, w porządku, maleńka. Mamusia cię kocha. Bardzo kocha – mamrocze Lauren; wie, że wreszcie, wreszcie to już koniec.

Krzyki, zamieszanie i widok rozpaczony na twarzy mamy to dla Mindy za dużo. Zack podnosi ją z podłogi i ostrożnie kładzie na łóżku, wtedy ona natychmiast chowa się pod kocem. Kat wskakuje na materac, żeby się do niej przytulić, i wydaje z siebie pojedyncze, ostre szczeknięcie. Dziewczyna odchyła koc i widzi na pysku psa krew swojej matki.

Musi być dzielna.

Wsuwa palce w miękką sierść i podnosi głowę. Nigdy tego nie zapomni: jej krwawiąca matka na podłodze, z rozerwaną ręką. Pełen gniewu Zack góruje nad nią niczym anioł zemsty, a dwóch mężczyzn, zapewne policjantów, siłuje się z napastniczką, żeby założyć jej kajdanki. Jasper stoi za szybą jak słup soli.

Nagle jak spod ziemi, tuż obok pojawia się doktor Oliver. Uspokaja ją, delikatnie odwraca do siebie jej głowę, wpatruje się w nią z profesjonalnym skupieniem i znowu przemawia do niej łagodnie. Mindy nie rozumie, dlaczego lekarz ciągle ją ucisza, przecież ona nic nie mówi. Zamyka jednak usta, a cisza, która zapada, jest ogłuszająca. Dziewczyna uświadamia sobie wtedy, że się darła, wykrzykiwała w kółko jedno słowo:

– Nie, nie, nie, nie, nie...

Wypowiada je po raz ostatni, płaczliwie, ochrypłym głosem. Policjanci stawiają Lauren na nogi i się rozstępują. Kobieta wpatruje się w Mindy oczami, które są kryształowo czyste i zimne jak lód.

– Córeczko, niczym się nie martw. Będzie dobrze.

W tej chwili odzywa się człowiek z opaloną twarzą narciarza:

– Lauren Wright, zostaje pani aresztowana pod zarzutem usiłowania zabójstwa Juliet Ryder...

Lauren ignoruje mężczyznę. Nie odrywa wzroku od córki i mówi, jakby powtarzała mantrę:

– Skarbie, wszystko w porządku. O nic się nie martw. Ja to załatwię. Kocham cię. Córciu, tak bardzo cię kocham.

Doktor Oliver stanowczo nakazuje, żeby wszyscy opuścili izolatkę. Mindy zaczyna się kręcić w głowie. Tyle ludzi – jeszcze przychodzi jej na myśl. Teraz ta sala już na pewno nie jest sterylna. Chwilę potem odpływa dzięki lekarstwu, które doktor Oliver wstrzyknął jej w żyłę.

SZPITAL W VAIL
TERAZ

LIESEL

Nic na to nie poradzę. Przypomina mi się, jak ostatnio miałam zakładane kajdanki.

Od bardzo dawna nie myślałam o tamtej nocy; wolałabym o niej zapomnieć. Moja córka patrzy na mnie jak na dzikie zwierzę, ale na nadgarstkach czuję ostre krawędzie kajdanek i nie mogę do niej wrócić, spróbować wszystko wytłumaczyć, naprawić.

„Powiedziałam policji to, co teraz mówię tobie”.

Właśnie wyszłam z wanny. Nasycona i spokojna, odnosiłam do kryjówki żyletkę, którą cięłam się podczas kąpieli – ciepłych niczym wody płodowe. Przyklejałam ją do tylnej ścianki toaletki, gdzie matka nigdy by jej nie znalazła.

Drzwi pokoju mojej siostry były zamknięte. Dochodził zza nich jakiś hałas. Odgłosy szamotaniny.

Kiedy tam weszłam i zobaczyłam, co on robi, bez chwili namysłu i wahania wrzasnęłam: „Przestań!”. Nie posłuchał mnie. Przesunęłam więc żyletką po jego szyi, żeby zwrócił na mnie uwagę. Siostra leżała z mocno zaciśniętymi powiekami. Czerwone rozbryzgi plamiły jej twarz.

Od razu padł na podłogę. Krew sikała wszędzie – na mnie, na siostrę, na dywan i ściany. Nie zdołałabym ukryć tego, co zrobiłam, nie mogłabym udawać, że nic się nie stało. Pamiętam, że zemdliło mnie od miedzianego smrodu i od rozpaczki pomieszanej z triumfem. Powstrzymałam potwora. Już nigdy jej – nas – nie skrzywdzi.

Nie powiedziałam im wszystkiego.

Nie powiedziałam, że po tym, jak poderznięłam draniowi gardło, stanęłam nad nim – jego skażona krew leciała ciurkiem na dywan, otwierał i zamykał usta niczym ryba wyjęta z wody – i patrząc, jak umiera, nie czułam nic oprócz radości, wszechogarniającego szczęścia, jakiego nie zaznałam nigdy przedtem.

Nie powiedziałam, że Juliet też na niego patrzyła, z oczami okrągłymi jak u sowy, z krwią kapiącą jej z brody. Piętnaście cudownych minut jego agonii, najpiękniejsze chwile, jakie przeżyliśmy razem.

Potem wytarłam jej buzię, dałam trochę środka nasennego i położyłam ją spać u siebie w pokoju. Umyłam się starannie. Opatrzyłam rękę gazą – moje nacięcia były bardzo głębokie – i założyłam bluzę z długim rękawem.

Dopiero wtedy tam wróciłam. Miał szkliste oczy, jedna dłoń bezwładnie leżała pod brodą, druga na podłodze. Po moim wyjściu musiał się poruszyć. Nie chciałam go dotykać, więc kopnęłam skurwiela w żebra, żeby sprawdzić, czy na pewno nie żyje. Ani drgnął. Wpatrywałam się w sukinsyna jeszcze przez parę minut, po czym poszłam obudzić matkę.

Nie powiedziałam, że matka patrzyła na swojego męża dobre pięć minut, zanim zabrała mnie do kuchni. Tam kazała mi usiąść przy stole i wypić parę łyków brandy, bo zaczynałam się trząść. Nie powiedziałam też o tym, że dłuższy czas zastanawialiśmy się, co zrobić.

Matka była w szoku. Nie miała pojęcia, że Bennett w ten sposób zainteresował się jej córkami. „Dobrze, że gnój nie żyje”, tak się wyraziła. Biedactwo, postanowiła wziąć całą winę na siebie. Zamierzała poinformować policję, że zabiła Bennetta Thompsona, bo przyłapała go na molestowaniu Juliet i wpadła w amok.

Rozpłakała się, kiedy opowiedziałam jej o swoich podejrzeniach. Okres mi się spóźniał. Przez niego.

Kiedy się o tym dowiedziała, błyskawicznie oszacowała konsekwencje i znalazła rozwiązanie.

Moja piękna matka oznajmiła, że pójdzie za mnie do więzienia.

Zdecydowałam, że jej na to pozwolę.

Zadzwoiła pod 911. Przyjechało pogotowie, potem pojawiła się policja.

Powiedziała im, co zrobiła. Powiedziała, że przyłapała męża, kiedy próbował zgwałcić jej młodszą córkę. Że złapała to, co znajdowało się najbliżej – żyletkę z łazienki – i w szale poderznęła mu gardło.

Uwierzyli. Dobra była. Nie próbowała koloryzować, nawet powieka jej nie drgnęła.

To Juliet wszystko zepsuła.

Stała w drzwiach kuchni, cała obryzgana krwią, otumaniona środkiem nasennym, niemal chwiejąca się na nogach. Chyba za dużo jej dałam.

Wygadała miłemu ratownikowi całą prawdę. Jedno zdanie, które oznaczało dla mnie wyrok na całe życie.

– Mama była w swoim pokoju, a Liesel przysłała mi pomoc i go skaleczyła.

Matka patrzyła bezradnie, kiedy policjanci znaleźli pod moimi paznokciami krew tego skurwysyna.

Godzinę później zostałam zabrana z domu i wtedy poczułam na nadgarstkach ostre krawędzie zimnego metalu.

Rozprawa odbywała się za zamkniętymi drzwiami. Żadnych dziennikarzy, świadków, tylko moja matka, psycholog, prawnicy i sędzia.

Widziałam, że sędzia czuła się nieswojo. Okulary do czytania, które wisiały na łańcuszku na jej szyi, kojarzyły mi się z ostatnim, czerwonym uśmiechem ojczyma. Udało mi się zachować tę myśl dla siebie. Sędzia gadała i gadała, stukając długopisem w podkładkę. Była ładna. Lekko marszczyła czoło.

Jej mowa sprowadzała się do tego, że nic nie może zrobić. Zginął człowiek. Musiałam ponieść karę.

Kiedy psycholog zobaczyła nacięcia na mojej ręce, od razu zrozumiała, dlaczego trzymałam żyletkę, kiedy przyłapałam ojczyma na tym, jak próbował zgwałcić moją młodszą siostrę. Kierując się jej opinią, ładna sędzia skazała mnie na leczenie zamknięte w szpitalu psychiatrycznym

Middle Tennessee na okres nie krótszy niż dwanaście miesięcy – w ramach kary i po to, żeby pomóc mi odzyskać zdrowie psychiczne.

Z nieznanymi nam powodów pozwoliła mi spędzić jeszcze jedną noc w domu. Skorzystałam z okazji i podciąłam sobie żyły na lewym nadgarstku. Tym razem użyłam kuchennego noża do obierania warzyw. Miał lepsze ostrze.

Dziwicie mi się? Wolałam umrzeć, niż siedzieć z bandą psycholi w wariatkowie.

Znalazła mnie siostra. Co za ironia losu. Zaczęła wołać o pomoc. Mama przybiegła z kuchni, gdzie siedziała sama i piła chardonnay z wielkiego kieliszka. Natychmiast zawiozła mnie do szpitala, chociaż nie powinna prowadzić. Na ostrym dyżurze lekarze mnie zszywali, cały czas cicho do mnie przemawiając. Z tamtej nocy pamiętam same dziwne rzeczy. Ból po cięciu nożem, krzyk matki, łagodny głos pielęgniarki, ostry wzrok dyżurnego psychiatry, obojętne wzruszenie ramionami, kiedy zaczęłam wrzeszczeć.

Nie pozwolili mi nawet się spakować, tylko od razu przyjęli mnie na oddział psychiatryczny. Szpital został poinformowany o wyroku, który miałam odbyć, i o stanie, w którym się znajdowałam. Zdecydowano, że skoro już tam jestem, to odsiedzę swoje w Szpitalu Uniwersyteckim. Byli tam pacjenci w moim wieku, a jedna z pielęgniarek, znajoma sędzi, wstawiła się za mną jako ktoś w rodzaju opiekuna.

Tak niewiele sobie przypominam z tych pierwszych kilku dni.

Ukłucie igły, strzykawka ze spokojem w płynie.

Współlokatorka.

Ale reszta... resztę pamiętam aż zbyt dobrze.

I znam na pamięć wszystkie listy.

Zwłaszcza ten ostatni.

Przez jakiś czas nie dostawałam od niej żadnych wiadomości. V często urywała kontakt i znikwała, potem nagle znowu się pojawiała. Taki sposób bycia.

Nie namawiałam jej, żebyśmy podtrzymywały tę znajomość. To nie tak, że już nie miałam ochoty się z nią przyjaźnić – po prostu kojarzyła mi się

z najgorszym okresem w moim życiu, a ja wolałam o nim zapomnieć, pochować go w podświadomości. Chciałam, żeby brutalna przeszłość już nigdy nie wpływała na moje życie.

Kiedy jednak V napisała do mnie ten ostatni list, musiałam jej pomóc.

Przeżywała wielki kryzys. Była przygnębiona, nieszczęśliwa i rozpaczliwie pragnęła raz na zawsze uwolnić się od wszelkich problemów. Nie chciała jednak zabierać ze sobą dziecka. Bardzo jej zależało, żeby jej córka i mąż byli szczęśliwi. Próbowałam jej pomóc. Naprawdę.

Zasugerowałam, żeby wróciła do szpitala. Odmówiła.

– Już nigdy nie dam się tam zamknąć. Nigdy. Proszę, pomóż mi odejść i zaopiekuj się dzieckiem do powrotu Zacka.

Długo musiała mnie przekonywać, w końcu się zgodziłam.

Kto by porzucił własne dziecko? Na pewno nie osoba przy zdrowych zmysłach.

V nie zasłużyła na Mindy. Ja na nią zasługiwałam.

Lipiec 2000

Kochana Liesel!

Muszę z Tobą porozmawiać. Ostatnio jest mi bardzo ciężko. Nie wiem, co się ze mną dzieje. A raczej wiem, tylko nie rozumiem. To powinien być najszczęśliwszy czas w moim życiu, a ja czuję się tak, jakbym tonęła w głębokiej, czarnej wodzie. Próbuję walczyć, ale nie mogę utrzymać głowy nad jej powierzchnią, zachłystuję się nienawiścią i przygnębieniem. Nie umiem sobie z tym poradzić. Jestem wykończona mrokiem, smutkiem i dojmującym lękiem, udawaniem szczęśliwej żony i radosnej przyszłej matki. Chcę, żeby to już się skończyło. Jestem zupełnie sama. Taka zmęczona. Czekam, aż dziecko ze mnie wyjdzie. Nie zniosę tej ciąży już ani chwili dłużej. Nie wytrzymam. Mam dość życia. Ta ciąża była ogromnym błędem.

A Zack... Ciągle myślę o tym, że kiedyś wyjedzie i nie wróci, że stanie mu się coś strasznego. Już raz go postrzelono. Mówi, że wystąpi ze służby, ale on to ma we krwi. Nigdy nie zrezygnuje z pracy w kontrwywiadzie. A jeżeli zginie, zostanę sama z dzieckiem.

Lekarstwa nie przynoszą poprawy. Lekarze coś tam usiłują robić, jednak rozmowy i współczucie mi nie pomagają. Taka się urodziłam, nie moja wina. Przestałam brać leki, kiedy się dowiedziałam, że jestem w ciąży, i od tamtej pory coraz bardziej pogrążam się w mroku. Parę tygodni temu wróciłam do tabletek, za późno. Zresztą i tak nic mi nie dawały. To bez sensu.

Dziecko mnie kopie, daje znać, że nieważne, co się dalej ze mną stanie – czy przeżyję, czy umrę – muszę je urodzić i już.

Ma do tego prawo. A ja... Ja po prostu marzę o tym, żeby już ze mnie wyszła. Chcę wreszcie mieć to za sobą.

Zadzwoń do mnie, dobrze? Potrzebuję Twojej pomocy.

Całuję,

V

SZPITAL W VAIL

To dla Lauren upokarzające, że przypięto ją kajdankami do łóżka jak pospolitą kryminalistkę. Kiedy robią jej zastrzyk z lidokainy, wzdryga się, ale potem siedzi w milczeniu, ze stoickim spokojem, gdy lekarz z ostrego dyżuru oczyszcza jej rany i zakłada szwy. W sumie trzydzieści pięć. W miejscach, gdzie ją ugryzł ten cholerny kundel, i na ramieniu, w które się zraniła o krawędź stolika, upadając po ataku Kat. Nawet nie poczuła tego uderzenia, była całkowicie skupiona na zrozpaczonej i przerażonej twarzy Mindy.

Nie chciała wymierzyć do niej z pistoletu.

Boże święty, naprawdę tego nie chciała.

Życie każdego człowieka jest pełne nieprzemyślanych czynów i przypadkowych zdarzeń, ale to jedno wspomnienie już zawsze miało ją prześladować. Broni zamierzała użyć wyłącznie przeciwko sobie.

Trzydzieści pięć nowych szwów do kompletu z czterdziestoma z czasów wczesnej młodości. Mówiła wszystkim, że te blizny zostały jej po wypadku samochodowym, że wybiła ręką przednią szybę. Kiedy teraz, w ostrym świetle szpitalnych lamp patrzy na prostą jak strzała, cienką, bladą, tylko odrobinę wypukłą linię, prowadzącą od nadgarstka do zgięcia w łokciu, znowu wraca do przeszłości.

Nóż wchodzi w jej ciało jak w masło, skóra się rozstępuje i kiedy po chwili pustki rana wypełnia się krwią, a ciśnienie spada, ona czuje lekkość i radość, że już nigdy nikt jej nie upokorzy. Atramentowa, pełna spokoju ciemność. Jazda na ostry dyżur, włączony sygnał, migające światła. Wszechogarniające przerażenie, kiedy budzi się z obandażowanym przedramieniem. Długa droga na oddział.

Vivian.

Wszystko prowadzi do Vivian. Wszelkie wspomnienia, miłość, nienawiść pochodzą z widma ich wspólnej przeszłości. Dlaczego ta suka nie może wreszcie umrzeć?

Straż trzymają dwaj policjanci z Vail. Pod drzwiami ich koledzy z CBI rozmawiają z ozywieniem z gliniarzami z Nashville. Do tej grupki na korytarzu przyłączył się Jasper. Lauren słyszy, jak mąż żąda, by go do niej wpuszczono. Przynajmniej on jej nie opuścił. Nigdy tego nie robi.

Milczący lekarz daje jej tabletkę – „Przeciwbólowa” – a ona połyka ją z wdzięcznością. Lidokaina tylko trochę znieczuliła poszarpane ciało, głębiej ugryzienie psa nadal boli jak diabli. Bardziej jednak boli dusza.

Dopija wodę z malutkiego kubeczka i mówi:

– Muszę porozmawiać z policją. Proszę ich zawołać.

Lekarz patrzy na nią ze zdziwieniem.

– Na pewno? W pani sytuacji większość ludzi wolałaby nikogo nie wpuszczać.

– Ale ja tego chcę, w tej chwili.

– Dobrze.

Zaciąga zasłonki wokół jej łóżka i wychodzi na korytarz. Cała grupka natychmiast idzie do sali, wyraźnie ciekawa, dlaczego ich wezwała.

– Kto wniesie oskarżenie? – pyta.

– Ma pani prawo do adwokata – zaczyna opalony mężczyzna, ale Lauren mu przerywa.

– Zrzekam się tego prawa. Są świadkowie. Kto tu dowodzi?

– Ja. Najpierw jednak muszę przedstawić pani prawa.

Jasper w jednej chwili robi się czerwony ze strachu i wściekłości.

– Lauren, natychmiast się zamknij. Nie wolno ci z nimi rozmawiać, dopóki nasi adwokaci...

– Nie zamierzam się zamykać. Możesz zostać albo wyjść, ale teraz porozmawiam z policją. Zrzekam się wszelkich praw.

– Od lekarstw zupełnie miesza ci się w głowie. Będę cię reprezentował.

– Nie, nie będziesz. – Lekko kręci głową i uśmiecha się ze smutkiem. – Muszę to zrobić sama, Jasper. Proszę. – Zwraca się do policjanta stojącego u stóp łóżka: – Przepraszam, zapomniałam, jak się pan nazywa.

– Stockton, agent specjalny, CBI.

– Chciałabym się przyznać do zamordowania Vivian Armstrong.

– Ani słowa więcej! – zaczyna krzyżeć Jasper. – Ani słowa! Domagam się, żeby w raporcie zostało uwzględnione, że moja żona jest pod wpływem leków przeciwbólowych, że istnieją okoliczności łagodzące, nie została poinformowana o przysługujących jej prawach, więc to zeznanie jest niezgodne z prawem.

– Uważam, że wręcz przeciwnie. Proszę nie przeszkadzać, bo będę musiał interweniować – ostrzega Stockton.

Jasper kilka razy otwiera i zamyka usta, ale kiedy spogląda na Lauren, ona kiwa głową. Wie, co robi. Zawsze wiedziała.

– Kochanie, w porządku. Zbyt długo ukrywałam prawdę. Już czas. Muszę to z siebie wyrzucić. Nie mogę dłużej dźwigać tego ciężaru.

– Lauren, proszę cię, nie... – Jasper się załamuje.

Stockton staje między nimi.

– A co z pani siostrą? Czy przyznaje się pani również do próby zamordowania Juliet Ryder?

Próby? To ona żyje? Cholera. Cholera!

Lauren na chwilę zamyka oczy, myśli kłębią jej się w głowie. Ale właściwie co to teraz zmienia, że Juliet nie umarła?

– Tak. Próbowалаm zabić swoją siostrę.

Z kąta dochodzi cichy jęk. Jasper zaczyna ją błagać zawodzącym głosem.

Ona nie zwraca na niego uwagi. Stockton wreszcie informuje zatrzymaną o jej prawach, bo inaczej zeznanie będzie nieważne. Prosi, żeby wszystko powtórzyła, i zapisuje to, co jakiś czas popatrując po twarzach obecnych, jakby chciał się upewnić, czy słyszą. Lauren wie, że to dla niego żyła złota. Że dzięki niej robi karierę. Nie tylko złapał Lauren Wright, zdobył też jej zeznania. Każdy przyzwoity prawnik uznałby, że takie

zeznanie – bez obecności pełnomocnika, złożone pod wpływem środków przeciwbólowych – nadaje się tylko do śmieci, ale nie szkodzi. Na koniec Lauren oznajmia, że chciałaby podpisać swoje zeznanie.

– Przestań, błagam cię!

Wołanie Jaspera niemal odwodzi ją od tego zamiaru, szybko jednak przestaje słuchać jęków męża. Czas, żeby cała prawda ujrzała światło dzienne. Niech się dzieje, co chce. Głęboko wciąga powietrze, zgromadzeni czekają w milczeniu.

– Przyznaję się również do zamordowania detektywa Gormana. Zagroził mojej rodzinie, mojej córce; chciał mnie wsadzić do więzienia, więc zepchnęłam go w przepaść.

TRZY DNI PÓŹNIEJ

– Jak myślisz? Mówi prawdę?

Zack Armstrong siedzi przy łóżku Juliet, z roztargnieniem głaszcząc ją po dłoni. Parks stoi tyłem do okna, oparty o parapet, ze skrzyżowanymi nogami. Jest zmęczony. Od zeznania Lauren minęły trzy długie dni, pełne roboty papierkowej i wywiadów, spraw do zamknięcia, rozmów z wdowami i wdowcami.

– Dlaczego miałyby się przyznać do czegoś, czego nie zrobiła?

– Nie wiem. – Zack przesuwa dłonią po twarzy. Wygląda na całkowicie wyczerpanego. Spędził w szpitalu trzy dni bez przerwy, kursował między piętrami, siedział z Mindy, potem z Juliet, potem znowu z Mindy i znowu z Juliet. Teraz przyszedł do Juliet, co oznacza, że piętro wyżej Mindy śpi.

– Powinieneś się zdrzemnąć – mówi Parks; Armstrong kiwa głową, chociaż wyraźnie widać, że teraz nawet nie zmruży oka. – Jak Mindy się czuje?

– Dobrze. Doktor Oliver jest dobrej myśli. Jej wyniki się nie pogarszają. Ale w całym tym zamieszaniu... – Zawiesza głos.

Parks zmienia temat.

– Słuchaj, wiem, że jeszcze za wcześnie o tym rozmawiać, ale czy zgodzisz się złożyć zeznania? Nie będzie procesu, bo Lauren się przyznała, za miesiąc jednak odbędzie się rozprawa skazująca, wtedy będą chcieli cię przesłuchać w charakterze świadka. To oznacza grzebanie w twojej przeszłości.

– Nie mam nic do ukrycia.

– Na pewno? Absolutnie nic?

Dłoń Zacka nieruchomieje.

– Nikt nie jest święty – ciągnie gliniarz. – A Lauren ujawniła parę rzeczy.

– Na przykład? – Ciemne oczy Armstronga płoną; Parks znowu sobie przypomina, że ten mężczyzna kiedyś był zawodowym zabójcą.

– Twierdzi, że stosowałeś przemoc wobec żony. I że Vivian poprosiła ją o zaopiekowanie się dzieckiem, bo bała się o jego bezpieczeństwo.

– Ty w to uwierzyłeś?

Parks obronnie unosi rękę.

– Hej, nie strzelaj do posłańca. Jeżeli adwokat Lauren ma jaja, powoła się na jej niepoczytalność, a wtedy mogą powychodzić różne dziwne sprawy. Mówię tylko, że jeżeli jest coś, czego wolałbyś jednak nie ujawniać, to będę przygotowany na twoją odmowę składania zeznań.

Spogląda na Juliet, która leży milcząca jak grób, z podłączonym respiratorem.

– Niczego, co nie stanowi tajemnicy wojskowej, nie muszę zatajać. Służyłem swojemu krajowi. I nie stosowałem przemocy wobec żony. Bardzo ją kochałem. Przykro mi tylko, że nie darzyła mnie zaufaniem na tyle, żeby opowiedzieć o swojej przeszłości. Nigdy nie wypominałbym jej choroby. Ani wtedy, ani teraz.

Przez chwilę obaj milczą.

– Lauren Wright chce z tobą porozmawiać – oznajmia w końcu policjant.

– O nie. Za żadne skarby.

Parks odpycha się od parapetu.

– W porządku. Przekażę, komu trzeba. Do zobaczenia w Nashville. W nocy Starr i ja wracamy do domu. Tutaj na razie skończyliśmy swoją robotę. Już u siebie zajmujemy się kilkoma kolejnymi wątkami, zwłaszcza śmiercią Gormana. Muszę powiedzieć jego żonie, co naprawdę się stało. Nie będzie łatwo. Jego żona jest przemiłą kobietą.

Już przechodzi przez próg, kiedy Armstrong jeszcze za nim woła:

– Hej! Czy Lauren mówiła, o czym zamierza ze mną rozmawiać?

Parks zatrzymuje się i gładzi wąsy kciukiem i palcem wskazującym. Powinien je przystrzyc.

– Twierdzi, że ma ci do przekazania coś ważnego. Że na pewno chciałbyś o tym wiedzieć. I że powie tylko tobie, osobiście.

Armstrong dwa razy kiwa głową, jakby podejmował decyzję.

– Okay, pogadam z nią. Pojechać do więzienia, czy jak?

– Mhm. Możemy cię tam teraz zawieźć, jeśli chcesz. Przyznaję, bardzo mnie ciekawi, co takiego Lauren trzyma w zanadrzu, a do odlotu mam jeszcze trochę czasu. Potem któryś z ludzi Woody’ego na pewno podrzuci cię tu z powrotem.

– Dobrze. – Zack odchodzi od łóżka.

W tej chwili policjant dostrzega jakiś ruch za jego plecami.

– Armstrong – rzuca z szerokim uśmiechem.

– Co?

– Odwróć się.

Juliet Ryder otworzyła oczy.

— — —

Po wyjściu lekarzy Parks staje pod salą Juliet i słucha Armstronga, który cichym, łagodnym głosem streszcza jej wydarzenia kilku ostatnich dni. Zastanawia się, ile razy Zack opowiadał tę historię. Wie, że mężczyzna odrzucał wszelkie oferty wywiadów, rozmawiał tylko z policją. W kontakcie z Ryder jest ożywiony jak nigdy. Parksowi aż ciepło się robi na sercu, kiedy widzi, jak dobrze się rozumieją.

Juliet chłonie każde słowo. Nadal jest zaintubowana, ale lekarze planują za parę godzin wyjąć jej rurkę oddechową. Armstrong na razie donikąd się nie wybiera; Parks natomiast musi już powoli ruszać na lotnisko. W Nashville czeka na niego wiele innych spraw. Nie może zostać tu dłużej.

– Zrobiło się straszne zamieszanie. Kat zaczęła szczekać. – Armstrong schyla się i drapie owczarka za uchem. – Twoja siostra krzyczała, Mindy i Jasper tak samo. Totalny chaos. Skąd, do diabła, Lauren wytrzasnęła broń? Wiem, wiem, nie możesz powiedzieć, a ja nie powinienem zadawać takich

pytań. Ale nie musisz się bać. Lauren trafiła do więzienia; już nigdy cię nie skrzywdzi. Poza tym Kat zawsze cię obroni.

Parks odchrząkuje, Armstrong podnosi wzrok. Policjant na pożegnanie przykłada dwa palce do głowy i odchodzi.

Jaka szkoda. Tak bardzo by chciał osobiście usłyszeć, co Lauren Wright ma do powiedzenia.

ZAKŁAD KARNY DLA KOBIET W DENVER

Do poczekalni wpadają promienie porannego słońca. Okna są umieszczone wysoko, żeby nie dało się wyrzeć i trochę pomarzyć, oglądać zachody i wschody słońca, świat, który istnieje gdzieś tam. Tak naprawdę to zaledwie okienka z grubymi szybami; mają wpuszczać światło dzienne, tak by w niektórych porach dnia można było dla oszczędności wyłączyć sztuczne oświetlenie.

Lauren ma na sobie jasnobrązowy więzienny kombinezon i wsuwane tenisówki. Jasper poinformował, że jego żona może zrobić sobie krzywdę, więc została odizolowana od reszty kobiet i objęta stałym dozorem. „To element twojej linii obrony”, powiedzieli jej prawnicy. „Tylko, na miłość boską, przestań mówić”.

Jej włosy zbiły się w strąki, jeszcze nie wzięła prysznic. Czuje się samotna. Tak bardzo samotna.

Ale przecież zasłużyła na to. W głębi serca o tym wie. Zawsze zdawała sobie sprawę z tego, że żyje na kredyt. Ale było cudownie. Przez niemal osiemnaście lat miała wszystko. Rodzinę. Córkę. To o wiele więcej, niż los daje innym. Gdyby ją ktoś spytał, powtórzyłaby: nie żałuję.

Strażniczki nie są miłe, ale też nie okrutne. Raczej obojętne. Nie obchodzi ich jej cierpienie, ból, pragnienia. Jest zaledwie kolejnym trybikiem w ogromnej maszynie, kolejną idiotką, która postanowiła złamać prawo. Dopiero za jakiś czas okaże się, ile jest dla nich warta – w końcu jest sławna. Mają dużo czasu na dokonanie takiej oceny.

Przychodzą po nią w południe. Pod eskortą zostaje zaprowadzona z celi do sali widzeń i posadzona na upačkanym metalowym stołku. Wszystko tu jest brudne, chociaż służby często sprzątają to pomieszczenie, a smród wybielacza unosi się wokół jak mgła. Smród wybielacza i strachu –

więzienne perfumy. A do tego ogólny syf, bo przez to miejsce przewinęło się tysiące ludzi.

Po obu stronach przezroczystej pleksi znajduje się telefon.

Lauren nie wie, kto się zjawi. To niezaplanowane widzenie, nie wpisano go do rejestru. Adwokaci zwykle z wyprzedzeniem zawiadamiają administrację więzienia o wizytach. Poinformowali Lauren, że będą przychodzili do niej we wtorki i czwartki, żeby ją przygotować do zbliżającej się rozprawy. Strażniczki uprzedzają osadzoną, jeśli zgłasza się ktoś inny. Za każdym razem ma nadzieję, że zobaczy Jaspersa, on jednak trzyma się od niej z daleka. Nie czuje do niego żalu. Stawka nadal jest bardzo wysoka. Niekiedy składają Lauren wizytę agenci CBI, którzy ją oskarżają o różne straszne rzeczy. Tym razem jednak nikt jej nie uprzedził, więc jest nieco zaintrygowana, a nawet cieszy się z tego niespodziewanego urozmaicenia.

Przez chwilę ma nadzieję, że to Mindy. Jest rozdarta. Z jednej strony rozpaczliwie pragnie zobaczyć się z córką – tak, córką, zawsze będzie uważała ją za swoje dziecko – z drugiej woli jej oszczędzić widoku matki za kratami.

Nadzieja ta rozwiewa się jednak, kiedy wchodzi wysoki, ciemnowłosy przystojny mężczyzna.

Zack Armstrong w końcu stawiał się na jej wezwanie.

Siada i przez chwilę patrzy na nią bez słowa, jakby nie wiedział, jak się zachować, po czym sięga do telefonu. Ona robi to samo.

– Cześć, Zack.

– Lauren.

– Jak się czuje Mindy? – To jej pierwsze pytanie. Kiedy Zack nie odpowiada, mówi z westchnieniem: – Proszę cię.

– Lepiej. Przeszczep się przyjął. Czeka ją jeszcze jedna seria chemioterapii, ale doktor Oliver jest bardzo optymistycznie nastawiony. Co prawda za wcześnie, żeby stwierdzić remisję, ale nowotwór przestał się rozwijać.

Lauren na chwilę zamyka oczy i podnosi głowę. Dziękuję.

– Nadal nie chce się ze mną widzieć?

– Tak. Masz do niej o to pretensję?

– Mam pretensję do siebie. Gdybym się wstrzymała z odłączeniem Juliet od respiratora, zdążyłabym z Mindy porozmawiać.

Zack gapi się na nią z niedowierzaniem.

– Naprawdę zwariowałaś, czy to twoja linia obrony?

– A jak myślisz? – Lubi tę zabawę w kotka i myszkę. Życie tutaj jest takie szare i nudne. Nie chce się znęcać nad tym człowiekiem, ale obserwowanie jego niepewności sprawia jej satysfakcję. To chore, lecz jeszcze przez chwilę musi mieć nad nim kontrolę. – Przepraszam. Nie powinnam mówić takich rzeczy. Tutejszy psychiatra twierdzi, że działam zbyt impulsywnie. Że mówię, co mi ślina na język przyniesie, nie zastanawiając się, jak inni to odbiorą.

– Taka prawda.

– Dlaczego nie przyszedłeś wcześniej?

– Lauren, przejdźmy od razu do rzeczy, co? Nie zamierzam się angażować w twoje gierki.

– W porządku. Ale coś za coś, mój drogi. Pomogę ci, jeśli ty pomożesz mnie.

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

– Nie? Nie interesuje cię to, co naprawdę się wydarzyło? W takim razie czego oczekujesz? Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Lauren, siedzisz w więzieniu. Naprawdę do ciebie nie dotarło, że nie masz żadnej mocy?

– Jak uważasz. Wróć, kiedy się namyślisz. Wiesz, gdzie mnie szukać.

Wstaje z uśmiechem i odsuwa od ucha słuchawkę.

– Zaczekaj – rzuca Zack.

Jakie to przewidywalne. Zachary Armstrong tak łatwo daje się upolować.

– Już się zdecydowałaś?

– Usiądź. Chcę to usłyszeć. Chcę usłyszeć wszystko.

– Bez udziału policjantów i prawników. Tylko my dwoje.

– Zgoda.

Lauren przysuwa się do szyby.

– Tylko ty i ja, Zack. To będzie nasz mały rodzinny sekret. Żadnych pogaduszek z Juliet. Opowiem ci dokładnie, co się stało, a ty wyświadczysz mi pewną przysługę. Zgoda?

Wbija w nią wzrok, próbując oszacować koszty.

– Zgoda.

– Przysięgam Vivian, że nigdy ci tego nie zdradzę, ale ze względu na okoliczności... Myślę, że teraz by mi wybaczyła.

– To jakaś sztuczka? Próbujesz wymigać się od wszystkiego? Chodzi o jakieś kwestie prawne, które pozwolą twoim adwokatom udowodnić, że jesteś psychicznie chora? Jeżeli powiesz mi prawdę...

– Powiem. Ale nie powtórzę tego poza tym pomieszczeniem. Nigdy i nikomu, słyszysz? Nie wpłynie to na mój wyrok. Jestem gotowa zapłacić za swoje czyny. Ten sekret jednak musi pozostać między nami, scementować tę dziwną więź, jaka zawsze nas łączyła.

– Skąd pewność, czy nas nie podsłuchują?

Lauren odchyła się i rozgląda. Wzięła to pod uwagę. Czy w telefonach są pluskwy? Całkiem możliwe. Musi zachować szczególną ostrożność.

– Spokojnie, nie podsłuchują – zapewnia szybko Zack, jakby się bał, że ją spłoszył. – Pytałem. Na pewno nie nagrywają tych rozmów.

Lauren rozluźnia ramiona.

– Świetnie. Dziękuję, że to sprawdziłeś. Zawsze byłeś inteligentny.

– Na miłość boską, możesz przestać się wygłupiać i w końcu powiedzieć, o co chodzi?

– W porządku. Vivian prosiła, żebym ją zabiła.

– Gówno prawda. Nie wciskaj mi kitu.

Zack wstaje, a Lauren krzyczy do słuchawki:

– Przysięgam! Mam dowód!

– Jaki dowód?

– Napisała do ciebie list, w którym wszystko wytłumaczyła.

- Znam jej listy.
 - Nie ten. Nikt nigdy go nie czytał. Nawet ja.
 - I przechowywałaś go tyle lat?
 - Tak, razem z kopiami pozostałych listów. Na wypadek, gdyby do tego doszło. – Zatacza ręką krąg wokół siebie. – Potrzebowałam okoliczności łagodzących.
 - Lauren, już nie wiem, w co wierzyć.
 - Przeczytaj list. Zrozumiesz. Obiecuję.
 - Chcę usłyszeć to od ciebie.
- Lauren z fałszywą nieśmiałością na chwilę spuszcza wzrok, potem zaczyna mówić.

**NASHVILLE, TENNESSEE
SIERPIEŃ 2000**

VIVIAN

Vivian siedzi przy stole z filiżanką herbaty i patrzy, jak Liesel uwija się po domu. Już spakowała rzeczy dla dziecka i tak naprawdę zostało im tylko czekać, aż nadejdzie zmierzch.

Dziwne uczucie odliczać minuty do własnej śmierci.

Trwa to od wyjazdu Zacka. Cały ten czas spędziła na kanapie, owładnięta tylko jedną myślą: „Niech to dziecko już się urodzi. Nie zniosę tej ciąży ani minuty dłużej. A kiedy przyjdzie na świat...”.

Olej rycynowy, który wypła do dna, smakował obrzydliwie, ale w połączeniu z paroma innymi sztuczkami doprowadził do akcji porodowej. Przez kilka długich, bolesnych godzin powtarzała w myślach każdy punkt planu. Była potwornie zmęczona mrokiem i smutkiem.

Kiedy wreszcie odeszły wody, zadzwoniła do położnej. Kobieta przyjechała od razu. Przedwczesny poród ją zaskoczył, kiedy jednak zauważyła małą butelkę po oleju rycynowym, porozumiewawczo puściła oko do Vivian. W końcu sama podsunęła jej ten sposób. Wyrzuciła buteleczkę do śmieci i trochę posprzątała; Vivian w tym czasie leżała, jęcząc i stękając.

Bardzo ciężki czas. Najczarniejszy z czarnych. Viv bała się, że ta noc nigdy się nie skończy. A gdy minęła, kiedy Vivian, wreszcie pusta, bez dziecka w brzuchu, czysta i pozszywana, usłyszała, że maleństwo jest zdrowe, w końcu odetchnęła z ulgą. Już niedługo.

Teraz Liesel też się krząta, ogarnia dom. Jednocześnie szczegółowo zastanawiają się nad najłatwiejszym sposobem na odejście. Z miejsca odrzucają powieszenie, postrzelenie i zadzierzgnięcie. Na chwilę

zatrzymują się przy zadźganiu nożem. Vivian ma obiekcje. Myśl o tym, że kawał ostrego metalu wejdzie w jej ciało, wydaje się okropna. Jej intymność już została pogwałcona przez poród, nie chce, żeby znowu coś obcego znalazło się w jej organizmie.

Wobec tego tabletki. Liesel, jak zawsze nadzwyczaj zaradna, przyniosła całe opakowanie talacenu. To lek przeciwbólowy, powiedziała, który czasami bierze na migrenę. Liesel pracowicie kruszy połowę tabletek i usypuje mały śmiercionośny stosik. Część zachowują na później, na wypadek gdyby pierwsza seria nie zadziałała zgodnie z ich oczekiwaniami.

Gotowy plan jest zdumiewająco prosty. Vivian wypije herbatę z talacenem i wkrótce przestanie oddychać. Wtedy Liesel splądruje dom i ułoży zwłoki tak, żeby było oczywiste, że pani Armstrong zginęła z rąk włamywacza. Vivian nie chce wiedzieć, czego konkretnie się spodziewać. Wyobraża sobie, że po prostu zaśnie. Po jej śmierci Liesel na pół godziny wyjdzie z domu, potem wróci i „odkryje” martwą przyjaciółkę. Zadzzwoni na policję. Do czasu, aż zjawi się Zack, dziecko zostanie objęte opieką zastępczą. Przyjazd z Gulf Shores zajmie mężowi nie więcej niż pół dnia. Wróci do domu, do swojego słodkiego dzieciaczka, i będzie żył dalej.

Liesel jest taka dobra. Wszystko pomogła jej zorganizować.

Z tym, że plan się nie powiódł.

– Już czas. Gotowa?

Vivian kiwa głową. Po raz ostatni całuje Violet i oddaje śpiące dziecko przyjaciółce, która kładzie je do łóżeczka.

Liesel stawia przed nią filiżankę i ceremonialnie nalewa herbatę. To earl grey, jej ulubiona. Na dnie leżą pokruszone leki przeciwbólowe.

Potem Liesel dodaje do napoju miód, dużo miodu, żeby zamaskować smak, z pewnością gorzki. Miesza całość, dodaje więcej miodu i znowu miesza.

– Powinam dolać kapkę szkockiej i zrobić grog. Przyjemnie by się umierało.

Liesel śmieje się z roztargnieniem.

– Ludzie myślą, że sobie popijasz?

– Nie.

– W takim razie lepiej tego nie róbmy. Nie dawajmy policji żadnych podpowiedzi. Jeszcze zaczną coś podejrzewać.

– Skąd wiesz?

– Po prostu myślę logicznie. Zaczynamy?

Dziecko kwili. Przez kilka godzin dziewczynka leżała cichutko, zupełnie jakby nie chciała przeszkadzać matce w jej ostatnich chwilach życia.

– Jeżeli zacznie płakać... – zaczyna Viv, a Liesel wstaje i wkłada dziecku smoczek do buzi. – Pewnie głodna. Powinnyśmy najpierw ją nakarmić, żeby się nie obudziła.

Liesel dotyka dłoni młodej matki; rękę ma chłodną, właściwie tak zimną, że Vivian przeszywa dreszcz.

– Nakarmiłam małą i przewinęłam. Nic jej nie będzie. Wszystko pójdzie jak z płatka. Daję ci słowo. Jestem przy tobie. I przy niej. Przed wyjazdem dopilnuję, żeby trafiła, cała i zdrowa, w ramiona Zacka.

– Dobrze.

Ale Vivian nie sięga po filiżankę z herbatą. Dziecko znowu popłakuje, tym razem głośniejsz; z piersi Viv znowu zaczyna płynąć mleko.

– Chyba jednak powinnam ją nakarmić.

– Jeżeli herbata wystygnie, będzie smakować dziesięć razy gorzej. Nie martw się, potem dam Violet mleko z butelki.

Oczy Liesel dziwnie błyszczą. Vivian myśli, że to od powstrzymanych łez.

Zaczyna podnosić filiżankę, a przyjaciółka uśmiecha się do niej zachęcająco.

– No, śmiało. Niedługo będzie po wszystkim.

Dziecko zanosi się płaczem, jakby wiedziało, co się dzieje, i prosiło matkę, żeby przestała, żeby pobyła z nim jeszcze chociaż kilka tygodni. W Vivian narasta strach, a wraz z nim żal.

O Boże. Nie zrobię tego. Nie mogę.

Odstawia filiżankę.

– Muszę...

Nóż trafia ją w szyję. Vivian szarpie głową w bok i czuje na skórze ciepłą krew. Próbuje coś powiedzieć, ale słowa nie chcą przejść przez gardło. Liesel wypełnia pustą przestrzeń między nimi. Oczy jej błyszczą, jest w nich coś, czego Vivian nie widziała od dnia, w którym się poznały, kiedy Liesel zagroziła, że ją zabije.

– Wiedziałam, że stchórzysz i się wycofasz. Po prostu umrzyj wreszcie!

Tym razem Vivian dostrzega błysk metalu; wszystko dzieje się tak szybko, a ona nie jest w stanie się ruszyć. Nóż wbija się w brzuch. Boli. Jezus, jak strasznie boli. Pali. Nie zniesie tego bólu.

Kiedy upada na podłogę, ogarnia ją panika. Co Liesel zrobiła? Nie tak się umówiły.

– Pomocy. – Ledwo łapie oddech, dzieje się coś złego, bardzo złego. – Ja – wydusza z siebie drugie słowo i próbuje się poruszyć, lecz Liesel stawia stopę na jej piersi, między dwiema ranami.

Teraz już nie da rady wstać. Leży cała we krwi, robi jej się zimno, bardzo zimno. I ciemno przed oczami. Dziecko płacze z głodu, a Vivian nie może mu pomóc, bo umiera. Popełniła fatalny błąd.

Ostatnią rzeczą, którą słyszy, zanim ostatecznie ogarnie ją mrok, jest śpiewny głos najlepszej przyjaciółki, jedynej prawdziwej przyjaciółki, która mówi:

– Dzięki za dziecko. Dobrze się nim zaopiekuję.

ZAKŁAD KARNY DLA KOBIET W DENVER TERAZ

– ...no i Vivian wymyśliła, żebym zaaranżowała to tak, jakby ktoś włamał się do domu i ją zaatakował. Nie chciałam tego zrobić, Zack. Myślałam, że mi serce pęknie. Odmówiłam. Proponowała, żebym zabiła ją nożem; powtórzyła to kilka razy. Miało to dla niej szczególne znaczenie, nie wiem jakie. Ale ja bym jej nie dźgnęła za żadne skarby. Przyniosłam buteleczkę leków przeciwbólowych i zaczęłam ją błagać, tłumaczyć, że o wiele łatwiej będzie, jeżeli wypije herbatę z pokruszonymi tabletkami, po prostu zaśnie. Tłumaczyła mi jednak, że jeżeli policja stwierdzi samobójstwo, firma ubezpieczeniowa nie wypłaci pieniędzy, więc koniecznie musi to wyglądać na zabójstwo. Dokładnie wszystko sprawdziła. – Lauren przeszywa dreszcz. – Mimo to nie zgodziłam się. Najzwyczajniej w świecie nie mogłam. Wiedziała, że tu nie może na mnie liczyć. Więc sama poderżnęła sobie gardło. – Wybuch płaczu na chwilę przerywa zwierzenia. – Zaczęła krwawić – podejmuje Lauren po chwili. – Upadła, ale nie umarła. Cięcie nie było wystarczająco głębokie, więc wykrwawiała się powoli. Stałam jak sparalizowana. Ciągle wskazywała na swój brzuch, uderzała w niego dłonią, więc w końcu dźgnęłam ją tam nożem. Wtedy już poszło szybko. – Wyciera oczy, próbuje się pozbierać. – Zack, nie masz pojęcia, jakie to było dla mnie trudne. Tak bardzo nie chciałam tego robić. Tkwiłam nieruchomo, totalnie przerażona, a Vivian błagała mnie, żebym zaopiekowała się Mindy. Bała się, że sam sobie nie poradzisz. Nie znałeś zbyt dobrze Viv, praktycznie rzecz biorąc, była dla ciebie prawie obcym człowiekiem. Mówiła, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy odsunął się od niej. Że się kłóciliście. Martwiła się, że po tym wszystkim nie zatrzymasz u siebie dziecka. Więc uprosiła mnie, żebym ocaliła jej córeczkę. Żebym ją uratowała.

Te ostatnie zdania wyrywają Zacka z oszołomienia wywołanego zgrozą. Nie mógł uwierzyć w tę historyjkę Lauren, ale w jakiś pokrętny sposób jej słowa miały sens. Firma ubezpieczeniowa rzeczywiście wypłaciła mu pokaźną sumę. Wiedział, że tuż po zajściu w ciążę żona zwiększyła ich ubezpieczenie na życie. Nie orientował się jednak, o jaką sumę chodzi. A w siódmym miesiącu ponownie poszła do swojego agenta i podwoiła tę kwotę. Po jej śmierci dostał prawie pół miliona dolarów.

Nikomu o tym nie powiedział. Założył wysoko oprocentowaną lokatę dla Violet, licząc na to, że policja znajdzie jego córkę. Z banku przychodziły wyciągi, ale nigdy ich nie otwierał. Przypuszczał, że teraz kwota na lokacie znacznie wzrosła.

Straszne, mimo wszystko jakoś to tłumaczy, dlaczego Vivian nie powiedziała mu o swojej ciężkiej depresji. Dlaczego nie było żadnych śladów, że chodziła do psychiatry. Dlaczego nikt nie wiedział, że cierpiała.

Chciała go zabezpieczyć. Im obojgu zapewnić dostatnie życie.

– Dopiero pod sam koniec zgodziła się brać antydepresanty. Ja jej kazałam. Bała się, że zaszkodzą dziecku, ale bez leków wpadała w czarną otchłań. Zack, teraz rozumiesz, prawda? Zawsze pragnęłam wam tylko pomóc. Najpierw Vivian, potem Mindy, teraz tobie. Daję ci ostatni element tej układanki, bo już nigdy nie wyjdę na wolność. Albo dostanę karę śmierci, albo umrę tu ze starości, albo ktoś zabije mnie pod prysznicem. Tak czy inaczej, już jestem martwa. Teraz przyszła kolej na ciebie, żebyś zaopiekował się naszą córeczką.

Zack odkłada słuchawkę na blat. Odchyła się na krześle i splata ręce na piersi. Próbuje się oswoić z tym, co usłyszał. Widzi, że Lauren zaczyna się denerwować. Poza tym dzieje się w niej coś jeszcze, ale trudno mu uchwycić co.

W końcu znowu podnosi słuchawkę.

– Absolutnie nie wierzę, że moja żona poprosiła cię, żebyś odebrała mi córkę.

– A jednak to zrobiła. Z całego serca pragnęła, żeby Mindy była szczęśliwa i beztraska, wiedziała jednak, że nie nadajesz się na ojca.

Te słowa poruszają jego czułą strunę. Kiedyś Vivian powiedziała mu to podczas kłótni, ale z rezygnacją, nie z gniewem. „Nie nadajesz się na ojca, więc po co w ogóle mam cię uczyć, jak się zmienia pieluszkę? Zresztą niedługo i tak znowu gdzieś cię wyślą i będę musiała wszystkim zajmować się sama”.

– Czego chcesz, Lauren? Wysłuchałem twojej historii. Co mam ci dać w zamian?

– Vivian zostawiła list do ciebie. Leży w sejfie. Klucz schowałam do szafy, przykleiłam go do górnej półki. Wszystko dla ciebie przygotowałam. Listy, które pisałyśmy do siebie, też znajdziesz. Proszę, powiedz Mindy, że zrobiłam to wyłącznie dla niej. Że zabiłam jej matkę, bo mnie o to błagała, i do samego końca się wahałam. Mindy musiała być bezpieczna. Zawsze zależało mi tylko na tym. Tak, może nie powinnam ulegać i zabierać jej z waszego domu, Vivian przecież nie była zdrowa psychicznie. Ale, Zack, ja pokochałam tę dziewczynkę. Na pewno to rozumiesz. Zapewniłam jej dobre życie. Szczęśliwe. Porządną rodzinę. Wspierałam ją w robieniu kariery. Wszystko dla niej poświęciłam. Mindy uwielbia Jaspersa, a on ją kocha jak własne dziecko. Proszę, nie odbieraj im tego.

– Mogłam jej dać to samo – rzuca Zack i wstaje. – Rozumiem, że Jasper nie zna tej historii?

– Nie zna, nigdy mu tego nie opowiedziałam. I właśnie to jest część naszej umowy. Poproś mojego męża, żeby otworzył sejf. Powiedz mu o Vivian, wytłumacz, co zrobiłam. On nie chce mnie odwiedzić.

Lauren robi naburmuszoną minę. Trudno w to uwierzyć, ale naprawdę się dąsa.

– Sama mu to powiedz.

Zack nie reaguje na jej krzyk, nie zwraca uwagi na to, że Lauren nagle robi się blada i zaczyna walić pięściami w szybę. Ignoruje to wszystko, z trzaskiem odkłada słuchawkę i daje znać czekającemu na zewnątrz strażnikowi, żeby go wypuścił z tego piekła.

DOM WRIGHTÓW

Zack wciska dzwonek. Po paru chwilach Jasper uchyla drzwi, wypuszcza Kat i z powrotem je zatrzaskuje.

Tym razem Armstrong puka.

– Jasper, wpuść mnie. Widziałem się z Lauren. Muszę z tobą porozmawiać.

Nic, tylko cykanie świerszczy.

Dopiero po dziesięciu minutach wołania i walenia w drzwi Wright otwiera je ponownie.

– Czego chcesz? Jeszcze za mało zniszczyłeś?

– Muszę ci coś powiedzieć. – Zaczyna streszczać spotkanie z Lauren, a Jasper słucha go zdumiony; w końcu odsuwa się z progu i robi przejście.

To jasne, nadal jest wściekły – i nic dziwnego. Uważa, że jego żona nie trafiłaby do więzienia, gdyby Zack nie wywierał na nich takiej presji. Mimo wszystko zaopiekował się psem, kiedy było widzenie z Lauren, więc Zack wie, że facet w końcu ochłonie.

Właściwie nie obchodzi go, co Jasper sobie o nim myśli. Zależy mu tylko na bezpieczeństwie Mindy. Już zaczął się starać o prawa do pełnej opieki nad córką. Jego adwokat uważa, że to może się udać. Armstrong nie posunął się aż tak daleko, żeby próbować zabronić Wrightowi kontaktów z dziewczyną, głównie dlatego, że ona by nie chciała takiego rozwiązania, choć jemu wydaje się kuszące. Jasper nigdy nie zgodzi się z nim w ocenie tej sytuacji.

Teraz, kiedy Zack wie, dlaczego Lauren zabiła Vivian, czuje się nieco spokojniejszy. Nadal jest wściekły, zaszokowany jej głupotą i bezwzględnością, ale kolejne elementy układanki trafiły na swoje miejsce. Wie już, jak doszło do śmierci żony, a świadomość, że była tak bardzo

chora i że próbowała zabezpieczyć finansowo jego i dziecko, że zamierzała odejść z honorem i jak najspokojniej – cóż, to wszystko nie poprawia mu samopoczucia, ale wywołuje wrażenie choćby częściowego zamknięcia tej tragicznej historii.

Klucz znajduje się w miejscu, które opisała Lauren.

– Cholera – mamrocze Jasper ze zdumieniem na jego widok.

– Teraz mi wierzysz?

Gospodarz kiwa głową, mocno wstrząśnięty.

– Naprawdę to zrobiła?

– Najwyraźniej tak. Muszę przeczytać resztę listów, żeby to potwierdzić. Wiesz, gdzie znajduje się ten bank? – Podnosi małą białą-zieloną kopertę z kluczem w środku.

– Tak, przy Vail Road. Zawiozę cię tam.

Droga jest krótka. Rozradowana Kat – beztroskie zwierzę, nieświadome tego, że uratowało komuś życie – wystawia łeb przez okno. Zack rozpaczliwie stara się nie myśleć, nie kierować się uprzedzeniami. Przeczytaj list. Wtedy wszystkiego się dowiesz, powtarza sobie w duchu.

Dziesięć minut później Jasper zatrzymuje się na parkingu przed bankiem. Pomimo żalostnego skamlania Kat nie wypuszczają jej z auta, tylko zostawiają lekko opuszczone szyby.

– Spokojnie, malutka, zaraz wracam.

W banku podchodzą do pierwszej wolnej kasy. Zack przesuwa po kontuarze białą kopertę z kluczem do skrytki 615. Dziwne, myśli, to kod pocztowy Nashville. Jakaś aluzja czy sposób na zapamiętanie tego numeru?

– Chciałbym zajrzeć do swojej skrytki.

– Poproszę pana dowód tożsamości.

Podaje prawo jazdy. Parę chwil później kobieta z obsługi zwraca mu dokument i wychodzi zza kontuaru. Zack i Jasper idą za nią w milczeniu do skarbcza.

W środku pracownica banku zwraca się do Zacka:

– Poproszę o pana podpis zgodny ze wzorem w karcie podpisów.

Skrytka jest na jego nazwisko. Mądrze, Lauren. Bardzo mądrze.

– Kiedy ta skrytka została założona?

Kobieta odnajduje informację w niedużej kartotece.

– Zdaje się, że... tak, w dwa tysiące piątym roku.

– W tym samym roku kupiliśmy dom – zauważa Jasper.

Pracownica wkłada własny klucz do zamka, do drugiego wsuwa klucz Zacka, przekręca oba naraz i uchyla drzwiczki. Potem idzie do wyjścia i mówi:

– Proszę dać mi znać, kiedy panowie skończą.

Zostają sami. Zack podnosi wieko pudełka wyjętego ze skrytki.

W środku są tylko trzy rzeczy. Na wierzchu plik dokumentów złożonych na trzy części i paszport, a pod spodem zaklejona koperta zaadresowana do Zacka ręką jego zmarłej żony.

Kiedy otwiera paszport, ich oczom ukazuje się zdjęcie Jaspiera.

– Zaraz, to mój paszport?

Zack podaje mu dokument; Wright przegląda go ze zdumieniem. Spomiędzy kartek wypada jakiś karteluszek. Podnosi ten świstek i czyta, potem zamyka oczy i z trudem przełyka ślinę, jakby próbował powstrzymać wymioty.

– Co to takiego? – dopytuje Armstrong.

Jasper podaje mu karteczkę. Widnieje na niej jedno zdanie, napisane charakterem pisma, który Zack pierwszy raz widzi na oczy.

„Znam twój sekret”.

Jasper błędnie tak bardzo, że Zackowi prawie robi się go żal. Facet najwyraźniej jest wstrząśnięty tym znaleziskiem i rozumie znaczenie tego zdania.

– Do diabła, o co tu chodzi?

– Lauren naprawdę prosiła, żebym był obecny, kiedy otworzysz to pudełko?

– Tak. Widocznie zależy jej, żebym ja też poznał całą prawdę.

Wright zerka w kąt pomieszczenia, gdzie wisi kamera, obserwujące ich oko obiektywu.

– Możemy stąd wyjść? Proszę.

– Oczywiście. – Zack bardzo chciałby przeczytać list od Vivian, a jednocześnie boi się go otworzyć, boi się, co mógłby w nim znaleźć, czego się dowiedzieć. A jeżeli Lauren znowu kłamała? A jeżeli, a jeżeli, a jeżeli...

Widzi, że mężowi Lauren trzęsą się ręce, więc proponuje, że tym razem to on będzie prowadził. Jasper bez słowa zajmuje miejsce dla pasażera, a Zack siada za kierownicą.

Kat jest uszczęśliwiona ich powrotem. Nie cierpi siedzieć sama w aucie. Na powitanie liże obu po uszach.

– Dokąd jedziemy?

– Może do... Nieważne. Po prostu jedź.

Zack zna tylko kilka miejsc w Vail – restaurację, szpital, dom Wrightów na wzgórzu. Przypomina sobie jednak, że w drodze na dół mijał niezwykle malowniczy punkt widokowy, kieruje się więc w tamtą stronę. Dzień jest piękny, śnieg przestał padać, na błękitnym niebie znowu świeci słońce. Zack parkuje samochód; tym razem wysiadają wszyscy troje. Kat bardzo się cieszy tą nieoczekiwaną wycieczką. Zack rozwija jej smycz na pełną długość.

Obaj opierają się o kamienny murek; Armstrong zdejmuje okulary przeciwsłoneczne i pyta:

– No to jak? Powiesz mi, o co chodzi?

– Było nas pięciu. Sami prawnicy. Wszyscy doświadczeni nurkowie. Pojechaliśmy na jeden dzień na Półwysep Kalifornijski. Są tam piękne rafy.

Jasper milknie.

– I co dalej?

– Popłynęliśmy ponurkować w pięciu, a wróciliśmy we czterech.

– Kiepska sprawa.

Wright śmieje się gorzko.

– Tak, bardzo kiepska. Mieliśmy kaca. Nie powinniśmy nurkować. Moim partnerem podczas nurkowania został gość, z którym pracowałem w tej samej firmie w San Diego. Był całkiem niezłym prawnikiem, ale ogólnie straszonym zarozumialcem i dupkiem. Ciągłe gadał, gadał, gadał. Jak to się mówi: krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje. No i on cały tydzień głądził mi nad głową, głównie o swoim rozwodzie, który już prawie został sfinalizowany. Bardzo się z tego cieszył, bo jego – jak się wyraził – głupia żona zaciążyła, a on nie cierpiał dzieci, nie był jeszcze na nie gotowy, więc ją zostawił.

– Niech zgadnę: nazywał się Kyle Noonan.

– Tak. – Jasper rozciera twarz dłonią. – Na pewno znasz ten typ. Tacy faceci nie lubią, jak im się rozkazuje. Przygotowywaliśmy na łodzi sprzęt, wygłupialiśmy się i szykowaliśmy do ostatniego nurkowania. Chyba źle oeniłem poziom tlenu w jego butli. Wiedziałem, że jest go raczej mało, myślałem jednak, że wystarczy. Tak czy inaczej, powinienem uprzedzić gościa, żeby trzymał się blisko łodzi, na wypadek gdyby musiał szybko wypłynąć na powierzchnię. Już miałem mu to powiedzieć, tylko coś mnie rozproszyło; chwilę później Noonan właśnie nurkował. Skończył się tlen i Kyle nie zdążył wypłynąć na powierzchnię. Moja wina. Podczas tej wyprawy byłem jego partnerem. Tamtego dnia w ogóle nie powinniśmy

nurkować, w nocy całą bandą nieźle się urznęliśmy, ale to mnie nie usprawiedliwia. Schrząniłem sprawę, przeze mnie zginął człowiek.

– Wydaje mi się, że wszyscy ponosicie winę. Czy ktoś się zorientował, co się stało? Ktoś z waszej grupy?

Jasper kręci głową.

– Uznali, że to był wypadek. I że zignorował ostrzeżenie o małej ilości tlenu. Zwykły pech. Zdarza się, prawda?

– Prawda.

– Ej, nie oceniaj mnie, dobra?

– Wcale cię nie oceniam. Ja też kiedyś coś schrząniłem i przeze mnie zginęli ludzie. Wyluzuj. Nie mam na myśli niczego złego.

– Przepraszam.

Przez chwilę w milczeniu obserwują dwa jastrzębie unoszące się na prądzie powietrza.

– To chyba nie koniec tej historii?

– Nie. Wróciłem do Denver i poszedłem do byłej żony Kyle'a. Chciałem jej coś powiedzieć, przeprosić ją czy pocieszyć. Zagłuszyć w sobie poczucie winy. Jakoś pomóc kobiecie, dać trochę pieniędzy na dziecko. Noonan wspominał, że nie musiał płacić alimentów, więc została bez grosza przy duszy. Udało mu się przekonać sędziego, że padł ofiarą oszustwa, wykorzystał jakąś sztuczkę prawną, no i została sama z tym maleńkim, ślicznym dzieckiem. Była taka zagubiona i przytłoczona... Bez namysłu zająłem miejsce po Kyle'u.

– Kochałeś ją?

– Tak. Kochałem.

– Opowiedziałeś jej całą historię? Ten liścik, paszport... musiała znać prawdę.

– Którejś nocy, na samym początku naszego małżeństwa, upiłem się i doszło między nami do ostrej awantury. Dałem Lauren do zrozumienia, że sam mogłem się przekonać, że jej mąż był skończonym draniem. Wkrótce potem zniknął mój paszport. Wszystkiego się domyśliła. To bardzo inteligentna kobieta.

– Przebiegła. Jak sądzisz: próbowała cię chronić czy schowała paszport po to, żeby w razie potrzeby pomachać ci nim przed nosem?

– Nie wiem. Już nie wiem, jaka jest naprawdę.

Obaj przez większą część życia zmagają się z poczuciem winy, zgadzają się więc co do tego, że tej historii nie powinien poznać nikt poza osobami, które są w nią bezpośrednio zaangażowane – czyli poza Mindy.

Zawierają rozejm, chcą całą energię poświęcić córce, pomóc jej wrócić do zdrowia i zacząć życie od nowa.

Stojąc na tym wietrznym wzgórzu, zgadzają się podzielić opieką nad nastolatką. Zawsze ją wspierać, być przy niej, wynagrodzić stratę obu matek.

Na znak tej zgody podają sobie ręce i wracają do szpitala, żeby się zobaczyć z Mindy.

Wieczorem, w chłodnym pokoju gościnnym w domu Wrightów, Kat wtula się w niego na łóżku, a Zack zabiera się do czytania listów, które wymieniały między sobą dwie przyjaciółki, i tego, który dopiero teraz dostał od swojej nieżyjącej żony.

Pół godziny później, wstrząśnięty, szepcze:

– Och, moja kochana. – Serce mu pęka na myśl o tym, że wszystko mogło ułożyć się zupełnie inaczej, że przez własną głupotę niczego nie zauważył. – Och, Vivian.

Czyta ten list ponownie, ze łzami w oczach. Chłonie każde słowo żony, niemal słyszy jej głos, śmiech i płacz. Znowu jest na siebie wściekły.

Mógł ją uratować, gdyby tylko powiedziała mu prawdę.

Lipiec 2000

Mój kochany Zachary!

Tęsknię za Tobą. Tęsknię aż do bólu. Dziecko kopie jak szalone. Już nie mogę się doczekać, kiedy ją poznasz.

Mam dla Ciebie złą wiadomość. Nie wiem, jak Ci to wyznać, więc napiszę, a potem... Nie mogę Ci tego powiedzieć przez telefon. Taką wiadomość powinno się przekazać osobiście, ale na to brakuje mi siły.

Przede wszystkim pragnę Ci powiedzieć, że jesteś najwspanialszym darem, jaki dostałam od życia. Bardzo Cię kocham.

A teraz czas na spowiedź: od dawna zmagam się z ciężką depresją, mam za sobą próbę samobójczą. Nadeszła pora, żebym rzeczywiście rozstała się z życiem.

Wiem, że to oznacza, że nie zobaczę, jak nasze dziecko rośnie. Smutno mi z tego powodu, naprawdę, ale każdy kolejny nawrót depresji jest gorszy od poprzedniego. Po prostu już nie daję sobie rady z tym mrokiem.

Poprosiłam przyjaciółkę, żeby mi pomogła, dopilnowała, żebym nie popełniła jakiegoś błędu. Dam jej ten list, dostaniesz go po moim odejściu. Liesel powie Ci, jak się poznałyśmy i w jakim stanie byłam wtedy. Teraz jest jeszcze gorzej i nigdy mi się nie poprawi. Przez wiele lat miałam huśtawki nastroju. Nie mogę Was narażać na takie życie. Ani Ty, ani Violet nie zasługujecie na to. Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz. Mam nadzieję, że zrozumiesz moją słabość. Ten jeden raz chcę być silna. Umrzeć jak żołnierz: szybko i z honorem, nie mogę powoli gasnąć w cierpieniu i mroku.

Zawsze będę Cię kochała i czuwała nad Tobą. Mądrze wychowuj naszą córeczkę. Pilnuj, żeby nie szalała za bardzo.

Ja już zrobiłam wszystko, co mogłam. Teraz Twoja kolej. Znajdź kobietę, którą pokochasz i która pokocha nasze dziecko jak własne. Bądź

szczęśliwy. Niech twoje życie będzie cudowne.

Kocham Cię całym sercem.

V

DOM WRIGTÓW SZEŚĆ TYGODNI PÓŹNIEJ

Mindy budzi się z cudownego snu. Jej matka, Vivian, z książką w ręce idzie przez zielony park ku światłu. W powietrzu unosi się zapach róż, a Vivian wygląda na taką szczęśliwą, taką spokojną. Ogląda się przez ramię i uśmiecha do córki, macha do niej, posyła jej pocałunek i znika.

Ten sen powinien ją zasmucić, a jednak dziewczyna czuje się dobrze. Jest pewna siebie. Silna.

Przeszczep się udał; czuje, jak płynie przez nią energia ojca. Rak przestał się rozwijać. Doktorzy Oliver i Berger naprawili ją, a Zack uratował jej życie.

Ostrożnie wstaje z łóżka. Wczoraj zdjęto jej gips, dzisiaj może zacząć lekki trening. Wysoko unosi długie ręce i czuje przyjemne chrupnięcia, kiedy kręgosłup rozciąga się na całą długość.

Na blacie w kuchni Jasper zostawił jej składniki na śniadanie. Śniadanie mistrzów: płatki kukurydziane z truskawkami i mlekiem kokosowym. Kiedy siada przy stole, rozlega się pukanie do drzwi; po chwili do kuchni wchodzi ciocia Juliet.

– Gotowa?

– Prawie.

– Denerwujesz się?

Mindy posyła jej niepewny uśmiech.

– Trochę. Nie chcę, żeby się na mnie jakoś dziwnie gapili.

– Nie będą. Nikt cię o nic nie oskarża. Dokończ płatki. Włączyłam już silnik w jeepie.

Dziewczyna przełyka ostatnią porcję i wkłada miseczkę do zlewu. Chodząc, ostrożnie opiera się na złamanej nodze, dla zachowania

równowagi używa laski. Minie wiele tygodni, zanim wróci do nart, tymczasem robi ćwiczenia wzmacniające.

Na szczęście nie dała się wciągnąć w to bagno związane ze skazaniem i osadzeniem matki w więzieniu. Psycholog powtarza jej, że nie musi wybaczać matce, że ta jest morderczynią. Była nią, jeszcze zanim dziewczyna się urodziła. Do Mindy wręcz nie dociera to, ile trudu Lauren sobie zadała, żeby ochronić dziecko. Przeraza ją to, że ukochana kobieta zabiła trzy osoby i planowała zabójstwo czwartej. Przeraza ją myśl, że Lauren przemieniła się z cudownej matki w obcego człowieka, który resztę życia spędzi w więzieniu.

Przestań o niej myśleć, nakazuje sobie w duchu. Masz całe życie na to, żeby się z nią pogodzić.

Dzisiaj najważniejszy jest trening.

Mindy wie, że powinna skupić się na swoim celu. Tylko dzięki stuprocentowej koncentracji ze wszystkim sobie poradzi. Wróci do formy, znowu założy narty i pokona każdą trasę.

Juliet przytrzymuje dla niej drzwi samochodu. Ona też porusza się nieco wolniej niż przedtem. Nieźle się dobrały. Dziewczyna ostrożnie wsiada do lśniącego czarnego jeepa. Dostała go w prezencie od taty „za pokonanie raka”, ale jeszcze nie wolno jej prowadzić. Kiedy ruszają w dół wzgórza, zerka spod rzęs na ciocię. W końcu zbiera się na odwagę i pyta:

– Jak ci idzie terapia? Czujesz się lepiej?

Juliet mocniej zaciska palce na kierownicy.

– Jakoś daję radę – odpowiada cicho. Mindy milczy, więc Juliet mówi dalej: – Fizjoterapia to nic wielkiego. Nie cierpię tylko tego cholernego psychologa. Nie lubię rozgrzebywać przeszłości.

– Ja też. Nie znoszę terapeutki ze szpitala. Ciągle drąży temat, że nie pojechałam w tym roku na olimpiadę. „Mindy, i jak się z tym czujesz?” – naśladuje głęboki głos z lekkim niemieckim akcentem.

Juliet śmieje się, ubawiona tą parodią.

– Tak, to dziwne przed obcą osobą rozkładać swoje życie na czynniki pierwsze. Mindy, pamiętaj, że zawsze możesz ze mną porozmawiać, pytać o wszystko. Wiem, jak ci jest ciężko. Ale prawdziwa z ciebie twardzielka.

– Tak, jasne. – Dziewczyna uśmiecha się lekko. – A skoro już mowa o twardzielach... kiedy jedziesz do Nashville?

Juliet zerka na siostrzenicę i odruchowo poprawia fryzurę.

– Jutro.

– Cieszysz się?

Na twarzy kobiety pojawia się uśmiech.

– Chyba tak.

– Uważam, że naprawdę pasujecie do siebie. Wyjdiesz za niego?

Juliet parska śmiechem.

– Dzieciaku, jeszcze za wcześnie, żeby o tym myśleć. Po prostu to miły facet, którego bardzo lubię.

– On ciebie też lubi. Inaczej dlaczego miałby się przeprowadzać do Kolorado?

– Hm... Może dlatego, że tu mieszka jego córka?

– Moim zdaniem to nie jedyny powód. – Mindy uśmiecha się od ucha do ucha. – Nie no, poważnie, bardzo się cieszę, że trafiliście na siebie. Że z tego bajzlu wynikło coś pozytywnego.

– Wracasz do zdrowia. To jedyna rzecz, na jakiej nam zależy. – Ale na twarzy Juliet też pojawia się szeroki uśmiech, a jej policzki pokrywają się lekkim rumieńcem.

Podróż trwa zaledwie dziesięć minut. Juliet parkuje.

– Wrócę po ciebie o dwunastej. Tylko nie szalej za bardzo – ostrzega.

Nastolatka kiwa głową. Czuje się zestresowana, co raczej jej się nie zdarza.

Zapach siłowni jest dla niej tak znajomy, tak bliski. Wchodzi do sali, zamyka oczy i przez chwilę go chłonie. Kiedy znowu otwiera oczy, widzi, że wszyscy przerwali ćwiczenia i na nią patrzą.

Kłania się lekko, a wtedy rozlegają się gromkie brawa.

Jej uśmiech rozjaśnia całe pomieszczenie. Pogodna dziewczyna wróciła do domu.

EPILOG

ZAKŁAD KARNY DLA KOBIET CZTERY LATA PÓŹNIEJ

Lauren ledwo zdążyła usnąć, kiedy w środku nocy obudził ją odgłos otwieranych drzwi. Z emocji kolana się pod nią uginają.

Już jest ubrana. Nie chciała marnować ani chwili, kiedy po nią przyjdą.

Przepustkę do sali telewizyjnej dostała za dobre sprawowanie i za pomoc innym kobietom. Zaczęła prowadzić kurs malarstwa; sama odnalazła pewien spokój w codziennej rutynie. Jest lubiana przez więźniarki i strażniczki. Przez kilka pierwszych miesięcy siedziała w celi jednoosobowej i zdążyła polubić ciszę. Dzisiaj jednak chce zrzucić z siebie ciężar minionych dwudziestu jeden lat. Tak długo żywiła się wspomnieniami, że już prawie zapomniała, jak to jest żyć terażniejszością i rozmawiać z ludźmi. Mieć jakiś cel.

Prowadzą ją do sali telewizyjnej. Nikogo tam nie ma – w Denver jest środek nocy, ale na drugim końcu świata, w Pekinie, to dopiero poranek. Za piętnaście minut zaczynają się zawody w narciarstwie zjazdowym.

Dostała szklankę wody i zgodę na oglądanie telewizji przez godzinę.

Jeden zjazd.

Tylko jeden.

Zwycięzca bierze wszystko.

Gazety rozpisują się o triumfalnym powrocie Mindy do reprezentacji USA. Przez wiele tygodni, aż do olimpiady zimowej w 2022 roku, w kółko przypominały historię jej narodzin, choroby, ryzykownego przeszczepu, matek i ojców. Parę lat temu młody reporter, Bode Greer, nawet dostał nagrodę Pulitzera za reportaż o jej życiu. Co prawda, był jedynym dziennikarzem, któremu udało się poznać pełną historię wybitnej narciarki, lecz spisał ją świetnym stylem, z wielką pasją, co docenił cały świat.

Rozlega się ryk trąbek kibiców; w końcu zaczyna się relacja z zawodów. Lauren, wychylona do przodu na krześle, uważnie wpatruje się w ekran i słucha. Tak długo czekała na tę chwilę. Wszyscy czekali.

Prezenterzy od razu przechodzą do historii, którą uwielbiają widzowie. Opowiadają wszystko od początku do końca. Malutka Mindy na krótkich nartach, z rękami w górze, mijająca kamerę. Wypadek. Lauren w więziennym stroju. Zdjęcie Zacka Armstronga z mocno zarysowaną zuchwą. Ziarniste zdjęcie Vivian. Szpital w Vail. Doktor Oliver chwali młodzieńką pacjentkę za wytrwałość i odwagę. Wypowiedzi jej trenerów i kolegów z drużyny. Nikt wcześniej nie widział aż tak wielkiej determinacji. Nikt wcześniej nie widział kogoś, kto aż tak bardzo kochałby jazdę na nartach. Nieprawdopodobne sukcesy, jakie panna Wright odnosiła przez ostatnie parę lat na mistrzostwach świata. Całe jej życie w trzyminutowym nagraniu.

Trzecia narciarka szusuje w dół z boczka ku kibicom potrząsającym krowimi dzwonkami. To doświadczona zawodniczka, a trasa jest szybka. W wyniku losowania Mindy przypadło piąte miejsce w kolejce. Świetnie się złożyło. Zawodniczek jest trzydzieści, warunki pogodowe się pogarszają, więc im wcześniej zjedzie, tym lepiej.

Lauren z zapartym tchem czeka, aż jej kochana córeczka stanie w budce startowej. Ma wrażenie, że też czuje zamrznęty śnieg pod nartami i twarde, plastikowe uchwyty kijków.

Po trzecim dzwonku Mindy startuje z impetem.

Początek jest dobry. Dziewczyna niemal natychmiast przyjmuje prawidłową postawę i przepływa nad pierwszą muldą, nie tracąc równowagi. Lauren jest pełna podziwu dla siły mięśni ud Mindy, kiedy ta wprowadza ledwo zauważalne zmiany w ułożeniu rąk i nóg, żeby jechać po jak najprostszej linii.

Zawodniczka w okamgnieniu dojeżdża do mety, wzbijając ogromny pióropusz śniegu, który obsypuje pobliski stos siana, pomagający narciarkom awaryjnie hamować.

Lauren z niedowierzaniem wpatruje się w ekran, w jaskrawozielony pasek z wyświetlonym czasem zjazdu.

Była prawie trzy sekundy szybsza od poprzednich rywalek. Musiałby stać się cud, żeby ktoś ją pokonał.

Cały świat wstrzymuje oddech, oglądając kolejne zjazdy. Nikt nawet odrobinę nie zbliża się do wyniku Mindy.

Melinda Wright zdobyła złoto.

Kamera kieruje się na jej rodzinę. Jasper krzyczy, wydziera się ze szczęścia. Zack podskakuje, obejmując Juliet, która macha rękami z radości. Mindy, z nartami na ramieniu, lekko kłania się tłumowi. Chwilę potem dziennikarze rzucają się do niej, oblegają jej rodzinę i pozostałych zawodników.

Teraz dziewczyna też krzyczy. Kamera robi zbliżenie na jej zalaną łzami twarz. Mindy trzy razy uderza się pięścią w pierś, podnosi głowę, patrzy w niebo i wskazuje w górę dwoma palcami. Potem spogląda prosto w obiektyw kamery i bezgłośnie wypowiada słowo: „Dziękuję”.

Lauren wybucha płaczem. Z ręką na sercu mówi do telewizora w pustej sali:

– Córeczko, jestem z ciebie taka dumna. Taka dumna.

Nie próbuje powstrzymywać słonych strumyków, które płyną po jej policzkach. Tak samo jak Mindy spogląda do góry.

– Och, Vivian. Wygrała. Myślę, że mimo wszystko całkiem nieźle poradziłyśmy sobie w życiu.

Ekran telewizora gaśnie.

Od autorki

Książka ta powstawała przez kilka lat, w różnych wersjach. Ciągle chodził za mną pomysł powieści o młodej matce, która poświęca się dla dobra swojej rodziny, o samotnym ojcu wychowującym energiczną, ambitną sportsmenkę światowej klasy. W pierwszych szkicach Violet była łyżwiarką i istniała tylko w myślach ojca, który nigdy jej nie poznał. Wiedziałam, że Vivian odebrała sobie życie, dlaczego jednak szczęśliwa żona i matka miałyby zrobić coś takiego? Na samą myśl o tym pękało mi serce, ale nie mogłam się od niej opędzić.

Jak to często bywa, ta pierwsza wersja przemieniła się w książkę, którą właśnie trzymacie w rękach. Dopiero po kilku latach odważyłam się napisać o samobójstwie jednej z głównych bohaterek. To ogromny, przerażający problem, który odcisnął wielkie piętno na mojej rodzinie. Chciałam poruszyć ten temat w odpowiedni sposób, okazać szacunek i zrozumienie dla decyzji, która jest ogromnym dramatem i dla osoby, która ją podjęła, i dla jej bliskich.

Za pośrednictwem tej książki pragnęłam też zwrócić uwagę czytelników na Project Semicolon (Projekt Średnik). Kiedy dowiedziałam się o istnieniu tego ruchu, byłam bardzo poruszona otwartością i życzliwością jego działaczy oraz przesłaniem, że większości samobójstw można zapobiec. Wielu zwolenników tego projektu zrobiło sobie tatuaż w kształcie średnika na znak wsparcia dla przyjaciela, członka rodziny czy siebie samego. Za każdym razem, kiedy widzę ten znak na czyimś ciele, serce pęka mi z bólu, ale jednocześnie chce mi się krzyknąć z radości, bo te tatuaże zwracają uwagę na tragedię, jaką jest samobójstwo.

Niestety kiedy zaczęłam pisać to posłowie, dowiedziałam się, że założycielka Project Semicolon, Amy Beluel, odebrała sobie życie. To wielka tragedia, która brutalnie przypomina nam o tym, jak groźną chorobą bywa depresja. Co zaskakujące, dosłownie parę chwil po tym, jak przeczytałam tę wiadomość, mój znajomy z Twittera zaczął wstawiać serię postów, w których przypominał sylwetkę wspaniałej pisarki Sylvii Plath –

w rocznicę jej śmierci. W tym fragmencie z Listów do domu matka Sylvii, Aurelia, szczególnie wzruszająco mówi o odejściu córki:

„Choroba, lęki i przepracowanie pozbawiały ją energii fizycznej. I chociaż tak długo dzielnie walczyła i starała się zajmować codziennymi sprawami, to niekiedy spowijał ją mrok gęstszy niż zwykle, który nie pozwalał jej normalnie funkcjonować”.

„Niekiedy spowijał ją mrok gęstszy niż zwykle”. Proszę, przypomnijcie sobie to zdanie, jeżeli kiedykolwiek pochłonie was mrok. Ten stan jest straszny i destruktywny, ale mija. Nadejdzie taki dzień, kiedy poczujecie się lepiej. Nie traćcie nadziei.

Mam nadzieję, że ta książka zachęci czytelników do otwartej dyskusji na temat chorób psychicznych. Nie ma nic wstydliwego w depresji czy chorobie afektywnej dwubiegunowej, w stanach lękowych lub innych zaburzeniach psychicznych. Wręcz przeciwnie – z tej diagnozy trzeba się cieszyć, bo oznacza, że osoba zmagająca się z problemami psychicznymi odważyła się poszukać pomocy u specjalisty. Kiedyś pewien cudowny lekarz powiedział mi, że zaburzenia psychiczne to taka sama choroba jak na przykład cukrzyca – po prostu twój organizm działa inaczej niż organizm zdrowego człowieka. Warto o tym pamiętać. Dzięki tej świadomości może uda nam się zdjąć stygmat z chorób psychicznych.

Jeżeli jednak mrok staje się zbyt gęsty, jeżeli potrzebujesz z kimś o tym porozmawiać albo podejrzewasz, że ktoś z twoich bliskich może mieć zaburzenia psychiczne – proszę, proszę, poszukaj pomocy. Milczenie i samotność nie pomagają, kiedy stajesz się przygnębiony. Powiedz przyjacielom i rodzinie o tym, co czujesz.

Wybierz numer telefonu zaufania. Udaj się do psychologa lub psychiatry.

Pamiętaj, jesteś cudownym człowiekiem. I nie jesteś sam.

J.T. Ellison

marzec 2018

Podziękowania

Pisałam tę książkę kilka lat, istnieje więc wiele osób, którym należą się podziękowania. Zaczynamy.

Przede wszystkim chciałabym wyrazić ogromną wdzięczność wybitnej narciarce Lindsey Vonn, która zainspirowała mnie do stworzenia postaci Mindy Wright. Tak ogromna odwaga, wdzięk, zaangażowanie i nieprawdopodobny talent powinny być wręcz zakazane. Bardzo się cieszę, że nie są. Dzięki, Lindsey. Rządzisz.

Trzy cudowne osoby użyczyły swoich imion i nazwisk postaciom z tej powieści. Sandra McMahan poprosiła mnie, żebym zrobiła niespodziankę jej siostrzenicy, Briannie Starr, lepiej znanej jako Breezy. Na to samo zasłużyła sobie również Andrea Austin, moja przyjaciółka, na której wsparcie zawsze mogłam liczyć. Wykorzystałam również dane Camerona Longera z Wielkiej Brytanii. Za każdym razem, kiedy wystukiwałam ich nazwiska na klawiaturze, czułam wielką radość i podziw dla ich altruistycznej pomocy.

Kiedy przeżywałam kryzys twórczy, moja przyjaciółka i pisarka Victoria Schwab zaproponowała mi zmianę czasu w narracji. W ten sposób uratowała tę książkę. Jestem jej szalenie wdzięczna: za tę radę oraz zamiłowanie do bekonu i herbaty, które dzielam.

Cudowna Laura Benedict, pierwsza czytelniczka niniejszej powieści, moja najbliższa przyjaciółka i niezłomna fanka, przekonała mnie, że początek jest dobry. Bez jej wskazówek i przyjaźni również całkiem bym się pogubiła.

Ariel Lawhon i Paige Crutcher, bez których nie ruszyłabym z miejsca, zapewniały mi stałe wsparcie, kolacje, wino, entuzjazm i niezachwianą wiarę w ten projekt, co bardzo doceniam.

Dziękuję również Helen Ellis, która zawsze umie mnie rozśmieszyć i jest najbardziej uroczą panią domu, jaką znam.

Cudowna Catherine Coulter, z którą napisałam kilka książek, codziennie przysyła mi przezabawne maile. Dziękuję, że tak wiele mnie nauczyłaś.

Jeff Abbott zawsze służył mi pomocą, kiedy musiałam odreagować, potrzebowałam motywacji albo po prostu gdy szukałam jakiegoś dobrego filmu do obejrzenia.

Sherrie Saint pomagała mi przy wszystkich książkach, które napisałam w ciągu ostatnich lat. Jej miłość, siła i ogromna inteligencja były dla mnie wielkim wsparciem. Sherrie, dziękuję za research!

Podziękowania przesyłam również Amy Kerr, która pomogła nadać tej książce ostateczną postać i zawsze służyła mi pomocą.

Wyrazy ogromnej wdzięczności należą się także mojemu cudownemu agentowi, Scottowi Millerowi. Wiedział, że w 2011 roku przerwałam pisanie tej historii, ale nalegał, żebym do niej wróciła, i przeprowadził mnie przez cały ten chaos, jakim jest proces wydawniczy.

Gorące podziękowania składam na ręce swojej fantastycznej agentki filmowej, Holly Frederick, za jej bezcenne mądre rady i spokój.

Wielkie brawa dla redaktorki Nicole Brebner. Uczyła mnie i chwaliła, kibicowała mi i pomagała pod wieloma względami rozwinąć tę historię. Przeczytała ją trzy razy (a może nawet cztery albo pięć) i zawsze znajdowała coś, co można było poprawić. Moi drodzy, Nicole to redaktor idealny. Bez niej ta książka naprawdę by nie powstała. Pisarze często tak twierdzą, ale ja mówię z pełnym przekonaniem. Poza tym dzięki niej moja Kat już nie dostaje jedzenia przeznaczonego dla ludzi.

Wiele razy – podczas lunchów, kolacji, wypadów na drinka i innych spotkań – siedziałam przy stole z Margaret Marbury, która inspirowała mnie do tego, by jeszcze głębiej wniknąć w psychikę bohaterów, pomagała mi odnaleźć mrok, którego ta historia potrzebowała. Z całą pewnością mogę stwierdzić, to najweselsza i najpogodniejsza osoba, jaką znam.

Całej mojej rodzinie wydawniczej z MIRA Books należy się wiele stron podziękowań za niestrudzoną pracę i pomoc przy tym, żeby moja książka trafiła w ręce czytelników. Craig Swingwood, Lorian Sacilotto, Brent Lewis, Amy Jones, Randy Chan, Heather Foy, Stefanie Buszynski, Emer Flounders, Shara Alexander, Margot Mallinson, Catherine Makk, Miranda Inrigo, Malle Vallik, Susan Swinwood, Monika Rola, Olivia Gissing,

Larissa Walker, Sean Kapitan, Kristen Salciccia i wszyscy inni – jesteście najcudowniejszym zespołem, z jakim kiedykolwiek pracowałam. Uwielbiam was i jestem wam szalenie wdzięczna.

Wspaniali bibliotekarze, księgarze, kluby książkowe, instagramerzy i osoby z mediów społecznościowych, które polecają moje książki, przyjaciele i wielbiciel – tak bardzo wam dziękuję!

Jerome i Joan to najlepsi czytelnicy, jakich mogłabym sobie wyobrazić, a przede wszystkim moi cudowni rodzice. Słowa podziękowania również dla kochanych braci, którzy wciąż sprowadzają mnie na ziemię.

Na koniec składam podziękowania miłości mojego życia, ukochanemu mężowi Randy'emu. Bez ciebie moje historie byłyby zaledwie cieniami, niespełnionymi marzeniami, a ja nie byłabym sobą.

- [1] Violet (ang.) – fiołek (przyp. tłum.).
- [2] Cat (ang. kot) wymawia się tak samo jak Kat.
- [3] Milky Way (ang. Droga Mleczna) to również nazwa batonika.
- [4] Doktor Phil – amerykański psycholog prowadzący w telewizji popularny talk-show.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz